

PORWANA

Róża Lewanowicz

Szybko do niej dotarło, że nie porwali jej dla pieniędzy.
Z minuty na minutę narastało w niej przekonanie, że nie wyjdzie z tego żywa...


Replika

PORWANA



Wielka Mistyfikacja

Rozdział 1

Pod powiekami buszowały jeszcze resztki snu, ale praktycznie była już świadoma, że to koniec przyjemnego odpoczynku. Nie musiała otwierać oczu, żeby wiedzieć, że pada.

Najlepsza pod słońcem pogoda – szarowa, pomyślała Justyna i dalej ostentacyjnie pokazywała całemu światu, że się jeszcze nie obudziła. Budzik miał zadzwonić za pięć minut, ale rzadko kiedy zdarzało jej się nie obudzić przed jego jazgotliwym dźwiękiem. Za jej plecami nastąpiło nieznaczne poruszenie, a po chwili dało się słyszeć ciche stęknienie.

– Ja pierdziu... leje.

– No – mruknęła, bo nic innego nie wypadało w tej sytuacji odpowiedzieć.

Łukasz obrócił się w jej stronę i objął ramieniem.

– Dzień dobry, żono – mówił to wprost do jej ucha, co było tak samo nieprzyjemne jak podniecające. Na przedramieniu u Justyny pojawiła się gęsia skórka. – Jesteś gotowa na kolejny, ekscytujący dzień w twoim życiu?

– Zaraz cię rąbnę.

– A to czemu? – chichotał. – Nie masz ochoty iść do biura? No coś ty, kochanie, przecież to uwielbiasz.

Wyrwała spod głowy poduszkę i zaczęła go nią okładać z całych sił. Walka, jak zawsze, była nierówna. Łukasz, silny i bardzo zwinny, nawet jak na tak dużego faceta, szybko przechwycił nadgarstki Justyny i przygniół ją do materaca.

– Ty naprawdę tego nie lubisz – śmiał się.

– Naprawdę nie lubię.

– To nie idź.

– To sam spłacaj kredyt.

– Dobra, ale będziemy musieli nieco zmodyfikować nasze menu. Skończy ci się burzujstwo w Piotrze i Pawle.

– Mi się skończy? – Wciąż nie udało jej się wyswobodzić, mimo że wydawało się, iż wcale tak mocno jej nie trzymał. – A kto wpierdziela szyneczki i oliwki, i sery sto złotych za kilo na kolację, co?

– Oj, tam. W Biedronce też na pewno coś się znajdzie.

– W Biedronce, mój drogi, wcale nie jest tak tanio.

– Nie? – W końcu wypuścił ją z uścisku i zaczął się podnosić.

– Nie-e – przedrzeźniła go. – Słabo się orientujesz. Zostaną ci tylko przeterminowane kurczaki i wędliny za dziewięć dziewięćdziesiąt za kilo z wielkiego hipermarketu, rewitalizowane w jakimś specyfiku, żeby na zielono nie świeciły.

– Jakies bujdy opowiadasz.

– Ech – westchnęła, kręcąc głową. – Czym wy się w tym Biurze zajmujecie?

– Jak to czym? Walczymy z przestępcami różnej maści i łapiemy groźnych dla naszej ojczyzny zbirów.

– Tak, tak, oczywiście – zamruczała pod nosem, wchodząc do garderoby. – Weź mi lepiej, zbawco ojczyzny, śniadanie zrób.

– A może być szyneczka z oliwkami? – krzyknął z kuchni.

– Może, może – roześmiała się.

Śniadanie jedli, niewiele się odzywając. Pogoda nie nastrajała do rozmów, poza tym Łukasz był ewidentnie czymś zaaferowany. Justyna łatwo odczytywała jego nastroje, wiedziała też, że szykuje się z Biurem do większej akcji, a w takich sytuacjach ciężko było zająć go czymkolwiek innym.

– Hmm, kochanie, wracasz dziś normalnie do domu? – zapytał po dłuższej chwili ciszy znad talerza.

– Normalnie. – Kiwnęła głową. – Może jeszcze zahaczę o jakiś sklep, ale jeśli będzie dalej lało, to pewnie zamówię zakupy przez Internet. A czemu pytasz?

– Bo mogę dziś wrócić późno.

– Rozumiem.

Łukasz spojrział na żonę, jakby usłyszał coś bardzo niepokojącego.

– Rozumiem? Nie pytasz dlaczego? Nie złościsz się?

– Rany, Łukasz, co ty ze mnie robisz wariata? Szykujesz jakąś akcję od dwóch miesięcy, z dnia na dzień robisz się coraz bardziej nieobecny, twoi kumple, jak nas odwiedzają, nawet piwa nie chcą pić, bo tylko w papiery się gapią, jakby tam co najmniej gołe baby były.

– Może są.

– Jasne. Rozebrana żona prezesa Frankowskiego.

Wyprostował się gwałtownie, jakby połknął kij od miotły.

– Skąd wiesz?

– Bo nie jestem idiotką. Mieszkamy razem, jakbyś zapomniał. Widzę, jakie gazety czytasz, kiedy podgłaśniasz telewizor w czasie wiadomości, co oglądasz w sieci... Śledzicie ludzi z zarządu, prezesa Frankowskiego, jego żonę też. W zeszłym miesiącu dostaliście zgodę na podsłuchy, dwa tygodnie temu złapaliście młodego Frankowskiego na spekulacjach i próbach mataczenia. Więc... myślę sobie, że już czas, żeby zamknąć tę sprawę i zacząć łapać kogoś innego.

– Justyś... bardzo się staram być dyskretny. – Uśmiechnął się blado. – Jesteś jakimś Sherlockiem Holmesem czy co? A może mafia cię podstawiła jako moją żonę, żebyś...

W stronę Łukasza poleciała ścierka ze zlewu. Złapał ją, ale była na tyle mokra, że musiał zmienić koszulkę.

– Gdybym była z mafii, to bym ci tego wszystkiego nie powiedziała, panie funkcjonariuszu służb specjalnych. Obserwuję cię po prostu.

– No to muszę uważać. Gdybym chciał cię zdradzić, to nie mogę nawet o tym myśleć, bo i tak się dowiesz.

– Bardzo śmieszne.

Łukasz podwiózł Justynę najbliżej wejścia do stacji metra jak się dało, ale i tak nie uchroniło jej to od zalania stóp po kostki wodą.

Cholera jasna, gdzie ja mam głowę!?! Trzeba było ubrać kalosze.

Na peronie był już dziki tłum, jak to zawsze miało miejsce o tej porze na stacji Pole Mokotowskie. Justyna stała, dygocąc z zimna, wyjątkowo prosząc Niebiosa, żeby droga do biura była jak najkrótsza, i przyglądała się swojemu odbiciu w drzwiach, za które już nie wolno było wchodzić. Prosta fryzura, prosty makijaż, nudna spódnica i buty na płaskim obcasie. Zrobiła, co mogła, żeby nie wyróżniać się z otoczenia. Może nieco bardziej się garbiła, ale to z tego powodu, że było jej zdecydowanie za zimno w granatowej marynarce i cienkim sweterku, który miała pod spodem. Dla swojego męża była najpiękniejsza i to jej wystarczyło. Inni mogli w ogóle jej nie widzieć. Swoich brązowych włosów nigdy nie zafarbowwała, nie malowała nawet paznokci.

W wagonie nie było się czego złapać, ale w ścisku nie miała wielkich obaw, że się przewróci. Jedyne, co ją każdego dnia niepokoiło, to że ktoś ją okradnie, a ona nawet tego nie poczuje.

Rzeka ludzi wypłynęła z paszczy metra przy Świętokrzyskiej, kierując się w różne strony, ale znaczna większość osób pomknęła tam, gdzie Justyna – do ronda ONZ. Odcinek ten niestety trzeba było przejść na piechotę, bo ulica była zamknięta przez budowę drugiej nitki metra, jeszcze nawet nierozpoczętej.

– Nic nie robią, ale ulicę zamykają – usłyszała znajomy głos z tyłu. Obejrzała się za siebie.

– Cześć, Magda. Jak tam leci?

– Tam nie wiem. A u mnie norma: rozwód, brak miejsca w przedszkolu, wredna teściowa i pies sąsiada drący mordę do trzeciej w nocy. Po prostu nudy. – Nerwowymi dłońmi wyciągnęła z torebki paczkę papierosów. – Czekaj, odpalę. Nic mi już nie zostało lepszego w życiu.

Magda pracowała z Justyną w jednej firmie, ale w innym dziale. Choć trudno było w to uwierzyć, była młodsza o cztery lata. Wysoka, ale mocno przygarbiona, z poobgryzаныmi paznokciami i żółtymi od kawy i papierosów zębami. Ktoś pokazał kiedyś Justynie na Naszej Klasie jej zdjęcia z czasów liceum – to była prawdziwa bogini, po której obecnie nie został już nawet ślad. Miała dwójkę dzieci i męża, podobno alkoholika, z którym właśnie się rozwodziła. Justyna nie pamięta, by ta kiedykolwiek nie narzekała. Jej podejście do świata i ludzi nie było w zasadzie niczym odosobnionym w biurze, ale malkontenctwo Magdaleny stało się wzorcem niedoścignionym. Często chorowała przez wychodzenie na papierosa na dwór bez odpowiedniego ubrania. Ponadto odnosiło się wrażenie, że jest przeżarta toksynami z farb do włosów, gdyż obecnie na głowie Magdaleny prezentowały się monumentalne odrosty, oraz kosmetykami kupowanymi nałogowo w sieci zawsze po okazyjnej cenie. Justyna podejrzewała u niej zakupoholizm albo inną formę uzależnienia.

– Pogoda pod psem. A podwyżek ani widu, ani słyhu – ciągnęła w drodze swoją wyliczankę narzekań. – Słyszałaś, że dziunia z księgowości, ta... no... Martyna czy inna Sryna, ma romans z naszym szefem?

– Nie, nie słyszałam. – Justyna uśmiechnęła się niewyraźnie. Unikała plotek jak ognia. Miała swoje powody, które skutecznie zniechęcały ją do korporacyjnych „przyjaźni”. Z niewieloma też osobami miała kontakt i była świadoma, że postrzegana jest przez wielu jako dziwaczka.

– No tak, nie jesteś w moim dziale. – Magda zaciągnęła się mocno i z pasją, jakby dym z papierosa był najczystszym powietrzem z Alp. – To jakaś idiotka. Facet ma żonę, dzieci... Co ona myśli? Że dupą karierę zrobi? Już niejedna się na tym przejechała.

Justyna przygryzła wargę. Wiedziała bardzo dobrze, wcale nie z plotek, że Magda ma za sobą romans z byłym kierownikiem jej działu. Odwróciła głowę w stronę witryny sklepowej, jakby właśnie bardzo zainteresowały ją znajdujące się za szybą buty. Do wejścia do wieżowca nie odezwała się ani słowem do koleżanki. Z ulgą przyjęła fakt, że Magda skierowała się w stronę Coffee Heaven.

– Nie masz ochoty?

– Nie, dzięki. Wolę naszą na górze. – Starła się przykleić do twarzy jakiś szczątkowy uśmiech.

W windzie, jak zwykle, panowała absolutna cisza. Grupa wciśniętych w biurowe zbroje ludzi udawała, że nie widzi nikogo poza swoim odbiciem w metalowych drzwiach. Nadmiernie czuły nos Justyny bawił się wyławianiem unoszących się w powietrzu zapachów.

Donna Karan, YSL, Chanel... uu! Ruda z ubezpieczeń piętro niżej chyba dostała premię.

Flakonik kosztuje dobre cztery stowy. Albo prezent...

Drogę od windy pokonała wyjątkowo szybko, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie zmieni buty na suche albo choć zdejmie mokre i dotknie stopą miękkiej wykładziny. Trzeba się jeszcze podpisać na liście.

– Pan Słotwiński dawno przyszedł? – zapytała młodą sekretarkę, nie podnosząc nawet oczu.

– A skąd pani... – Szatynka z plakietką, na której błyszczało imię Karolina, chyba nigdy wcześniej nie była równie zdziwiona. – Skąd pani wie, że dyrektor już jest?

– Po prostu wiem. – Zabrała torebkę z kontuaru i pomknęła do swojego biurka bez zbędnych wyjaśnień.

Odpowiedź była banalnie prosta: tylko Słotwiński używał tych piżmowych perfum. Mijając kolejne pomieszczenia, bez oglądania się naokoło wiedziała, kto już dotarł, a kto nie, tylko dzięki temu, że wyczuwała kolejne zapachy. Skoro jednak sam dyrektor jest dziś tak wcześnie – zazwyczaj nie pojawiał się przed dziesiątą trzydzieści – to szykuje się jakaś poważna narada.

Nikt nie ćwierkał o zebraniu Zarządu. To musi być coś nagłego, wniosowała, zdejmując szybko czółenka i wcierając mokre stopy w przyjemnie ciepłą i suchą wykładzinę.

– Cześć. Nogi cię swędzą? – Przy jej biurku zatrzymał się Kamil, niewysoki, szczupły brunecik z jej działu, mający się za wielkiego analityka. Z zaciekawieniem obserwował jej poczynania.

– Nowy inwestor chce się wycofać? – odpowiedziała pytaniem nie na temat.

– Ee... że co? Kto ci powiedział? – Rozejrzał się nerwowo wokół i ściszył głos. – To jest info poufne.

– Ale ty wiesz.

– No wiem... – zawahał się. – Przyszedłem wcześniej, bo stary mi kazał, więc się dowiedziałem, ale zaledwie pięć minut temu.

– A ja minutę temu.

– Aha... – Wzruszył ramionami, jakby starał się ukryć emocje. – Wiesz, jak jest: nastawiali się na inwestora, nastawiali, a on chce się wycofać, więc panikują... chyba. Nie wiem...

Poszedł sobie w stronę kuchni.

Inwestorzy, albo ich brak, w ogóle Justyny nie interesowali. Było to o tyle ważne, że jeśli firma miałaby upaść albo zacząć zwolnienia, ona powinna jak najszybciej zacząć szukać nowej posady. Ta korporacja była jej trzecią, od kiedy mieszkała w Warszawie, i już zdążyła się przekonać, że wszędzie jest tak samo. Nie obchodziło jej to, że jest postrzegana jako dziwoląg, bo nie jeździ na imprezy integracyjne i nie schlewa się do nieprzytomności, nie chodzi na dół na papierosa, nie pija kawy wspólnie przy ekspresie w kuchni i nie obgaduje szefa. To nie miało dla niej w ogóle znaczenia. Najważniejsza była stała pensja, która wpływała regularnie na konto i pokrywała kolejne raty za ich mieszkanie na Mokotowie. Nikt z szefostwa się jej nie czepiał, przychodziła przed dziewiątą, po siedemnastej była w domu, weekendy były wolne, a czasami wpadła jakaś premia. Za to tę posadę kochała całym sercem, równie mocno jak jej nienawidziła (z czego ciągle śmiał się Łukasz). I dlatego na jej biurku i wokół niego panował idealny porządek. Dbała o to miejsce, bo dzięki niemu żyła tak, jak chciała – ze swoim mężem, we własnym lokum. Dbała też o nie, bo na tyle nie znosiła firmy i tego, co robi, że pragnęła przynajmniej siedzieć w ładzie i porządku.

Wilgotną marynarkę powiesiła na oparciu fotela. Mokre buty wsunęła z dala od zasięgu wzroku. Zapasowe balerinki wyciągnęła z szafki i założyła na suche już stopy. Błat biurka

przetarła chusteczką (paczkę zawsze miała w szufladzie). Włączyła komputer i poszła do kuchni zrobić sobie kawę.

Jej praca nie była niczym skomplikowanym. W ogóle praca w korporacjach nie była niczym skomplikowanym. Prawie czteroletnie doświadczenie w tym zakresie pokazało jej bardzo wyraźnie, że pracują w nich ludzie, którzy do perfekcji opanowali sztukę udawania, że pracują. Większość z rzeczy, jakimi się zajmowali, mogła robić kilkakrotnie mniejsza grupa ludzi w o połowę krótszym czasie. Najtrudniej było pogodzić się z tym, że wysokość ich zarobków wcale o tym nie świadczyła. Justyna miała krótki epizod pracy w spożywczaku na Grochowie i dobrze wiedziała, że żadna z tych osób nie byłaby w stanie przelknąć takiej stawki godzinowej przy tak wielkim obciążeniu fizycznym i umysłowym, a dodatkowo z odpowiedzialnością materialną za towar i kasę. Justyna nie dyskutowała jednak z takim porządkiem rzeczy. Nie było warto.

Niestety stanowisko pracy Justyny stało w samym centrum wydarzeń. Wołałaby siedzieć w dziale, który stale zajmuje się tym samym, jak choćby kadry. Trafiła jednak do inwestycji zagranicznych – głównie z racji dobrej znajomości dwóch języków obcych, które mało kto w tej firmie znał – i bezustannie przed jej oczami przewijały się tabelki z nazwami i cyframi, których nie miała ochoty widzieć ani pamiętać.

– Pani Justyno, idziemy w węgiel – mówił na przykład swym niskim głosem dyrektor Słotwiński i już wiedziała, że za parę dni pojawi się jakaś chińska delegacja, co dla niej osobiście nie miało wielkiego znaczenia, poza tym, że będzie miała do opracowania kilkanaście tabel w Excelu, które trzeba będzie okólnikiem rozesłać do członków Zarządu i kierowników działów.

Obecna firma, w odróżnieniu od poprzednich, obracała naprawdę dużymi pieniędzmi. Więc w tabelkach czasami trudno było się doliczyć zer na końcu słupka. Węgiel, przemysł zbrojeniowy, stal, a nawet diamenty i złoto. Był moment, gdy zaczęło ją to bardziej interesować. Zaczęła analizować dogłębnie, co dzieje się na giełdach, czytać odpowiednią literaturę, oglądała nawet zagraniczne stacje informacyjne z ukierunkowaniem na sprawy gospodarcze. Przewidywanie tego, co może się wydarzyć, było nawet podniecające, zwłaszcza wtedy, kiedy jej własne przypuszczenia potwierdzały się z dużą częstotliwością. Ale w firmie nie było o tym z kim porozmawiać. Jej koleżanek to nie interesowało, ludzie na innych stanowiskach olewali ją albo traktowali z góry. Zdała sobie sprawę, że – poza Słotwińskim i prezesem Jakubowskim – wszyscy „specjaliści” byli imbecylami.

– Jakie oni studia kończyli? – relacjonowała któregoś wieczora swoje odkrycia Łukaszowi. – Srebro zaczyna drożeć, będzie drożeć, zwłaszcza że kopalnie w Kanadzie szykują się do zamknięcia i nie wiadomo, co z nimi będzie, a oni na uparte go brną w złoto, które traci na wartości i prawdopodobnie utrzyma tę tendencję przez najbliższe pięć lat.

– Nie rozumiem – mruknął Łukasz znad talerza z kielbaskami.

– Pomyśl tylko: skoro srebro będzie droższe za rok czy dwa, to dziś trzeba go kupić jak najwięcej, choćby to miały być srebrne zastawy od bankrutującego lorda.

Przestała się jednak denerwować, a nawet tłumaczyć coś mężowi, któremu lepiej szło układanie terakoty w przedpokoju czy zmienianie koloru ścian w sypialni. Wystarczyło powiedzieć, czego się chce, i od razu zabierał się do pracy. Odpuściła sobie zajmowanie się tym, czy firma dobrze robi, inwestując w to lub tamto. Szkoda było jej nerwów także na słuchanie głupot, które niektórzy opowiadali.

Kiedy weszła tego dnia do kuchni, do jej uszu docierały tylko strzępy rozmów:

– Ten gaz łupkowy to wrzód na dupie...

Lampka na ekspresie pokazywała brak wody w zbiorniczku.

Korzystają wszyscy – nikt, jak zwykle, nie dołał.

– Baryłka miała podrożyć... staniała... akcyza i tak w górę...

Jak dobrze, że młynek do kawy pracuje wystarczająco głośno, żeby nie słyszeć własnych myśli.

– A Rydzyk tylko o geotermie...

W lodówce stoi znowu mleko zero procent – Małgośka próbuje z Dukaniem drugi raz w tym roku.

– Bo my się spóźniliśmy...

Na biurku miała elegancką podkładkę, na której postawiła kubek. Kupiła ją na targu w Marrakeszu, w czasie podróży poślubnej. W tym samym stylu była podkładka pod mysz, którą przywiózł Łukasz z wyjazdu do Indii. Bardzo podejrzane było to podobieństwo. Śmiali się, że pewnie z tej samej fabryki w Chinach pochodzą.

Nabrała powietrza głęboko w płuca i wprowadziła swoje hasło.

Witaj, dniu podobny do wszystkich innych. Jakie nie-nowości mi dziś przynosisz?

Na służbowej poczcie był tylko mail od kadrowej przypominający o dostarczeniu planu urlopów na przyszły rok. Poza tym wszystko wyglądało tak samo jak poprzedniego dnia. Tabela była opracowana w dokładnie tym samym stopniu co wczoraj. Dwie następne czekały w kolejce...

– Pani Justyno, zapraszam do siebie. – Słotwiński nie mógłby jej bardziej zaskoczyć. Nie zauważyła, kiedy podszedł do jej biurka. Nie dał jej jednak czasu do namysłu, bo od razu poszedł w stronę swojego biura. Justyna z irracjonalnym żalem spojrzała na nienapoczętą nawet kawę.

– Niech pani zamknie drzwi – powiedział dyrektor, nie patrząc nawet w jej stronę i usiadł za swoim wielkim szklanym biurkiem.

– Słucham, panie dyrektorze. – Mogła być miła bez wyrzutów sumienia, bo go całkiem dobrze odbierała: jako szefa i jako człowieka.

– Niech pani usiądzie. Chcę panią o coś zapytać. W zasadzie potrzebuję rady...

– Tak?

To było dziwne. W sumie przytrafiło się jej to pierwszy raz.

– Chodzi o tę inwestycję, którą mieliśmy podjąć wspólnie z Amerykanami...

– Którzy chcą się wycofać.

– Skąd pani wie?

– Gdybym była wredna, powiedziałabym, że wygadał się Walczak przed kwadransiem przy moim biurku... ale domyśliłam się sama.

– No tak. – Uśmiechnął się. – Przecież siedzi pani w środku wszystkiego. Tak...

w związku z tym mam do pani pytanie – oparł się mocno łokciami o blat biurka i spojrzał na nią przenikliwie – co by mi pani radziła, jeśli chodzi o tę inwestycję?

Nabrała powietrza, jakby chciała coś powiedzieć, ale jej się to nie udało.

– Ja?

– No tak, siedzi pani przy tych tabelkach i cyfrach, zna już pani trochę naszą firmę... Czy ma pani jakieś sugestie?

Musi być bardzo źle. Pewnie w desperacji woła każdego po kolei i pyta o zdanie, żeby postawić własną diagnozę.

Ostatnia myśl nawet ją rozbawiła, ale nie pokazała niczego po sobie.

– Moim zdaniem Amerykanie nie chcą się wycofać, tylko nas zdenerwować, żebyśmy w nerwach podjęli decyzję dla nich korzystną. Chcą rozdawać karty, co sugeruje, że gra jest warta świeczki i trzeba iść w ten biznes...

– Mimo że jest tak daleko? – przerwał jej, choć delikatnie.

– Dla nich Wenezuela nie jest daleko. Sytuacja polityczna jest niepewna, ale to raczej

problem dla rządu amerykańskiego niż naszego MSZ. Myślę, że polskiej firmie będzie łatwiej.

Pokiwał głową, ale nieznacznie. W kącikach jego oczu zobaczyła kurze łapki, które pojawiały się tylko wówczas, gdy się uśmiechał.

Ma mnie za idiotkę.

– Myślę, że... – kontynuowała, nie pokazując zdenerwowania. – Jeśli oni chcą się wycofać, to niech się wycofają.

– Zarząd będzie chciał, żebyśmy szli na jakieś ustępstwa, byleby ich zatrzymać.

– I o te ustępstwa Amerykanom chodzi. Blefują. Ale gdy się wycofają, a my im na to pozwolimy, zostaniemy jedynym graczem.

– Albo graczem w przeciwnej drużynie. A dlaczego pani sądzi, że warto iść w ten biznes?

– Bo to właśnie plantacje ekologicznych upraw będą za kilka lat trzymać tę firmę w pionie. Pół Berlina jest eko, moda, a za nią wzrasta zapotrzebowanie, także w Stanach. Trzeba będzie nasycić rynek, a u nas, w naszym klimacie, szybko nic nie urośnie. Czas wegetacji roślin jest koszmarnie krótki, mamy powodzie na przemian z suszami... no i wiele innych czynników.

– Dziękuję bardzo, może pani iść.

Nie mógł jej tym bardziej zaskoczyć. Myślała, że będzie atakował jej wnioski albo chociaż powie, co sam uważa. A on nic.

Zupełnie osłupiała wyszła z gabinetu dyrektora, a na ciełe czuła złowrogie spojrzenia z różnych biurek naokoło. Usiadła w swoim fotelu i przez moment nie miała pojęcia, co robić. Dotknęła kubka – była na rozmowie tak krótko, że nawet kawa nie zdążyła ostygnąć. Kiedy podniosła wzrok, zdała sobie sprawę, że nikt inny nie jest wzywany na rozmowę, nawet żaden z analityków, którzy mieli własne przeszklone gabinety. Tylko ona...

Bardzo dziwne.

W ciągu dnia nie było jednak zbyt wiele czasu na zastanawianie się nad dziwnymi zdarzeniami. Wszyscy biegali w kółko z racji planowanej na popołudnie narady Zarządu, jakby każdy nagle poczuł, że bez jego zaangażowania – głównie w plotkowanie i snucie domysłów – to ważne wydarzenie się nie odbędzie albo nie będzie miało tak wielkiej rangi. Justyna opędzała się od natrętów, którzy koniecznie chcieli wiedzieć, co ona o tym wszystkim sądzi. Tymczasem jej dotychczasowe doświadczenia nauczyły ją, że rzeczy naprawdę ważne dokonują się po cichu i bez rozgłosu, a takie sensacje są jak pierdzenie słonia – dużo smrodu, dużo hałasu i nic poza tym. Męczyły ją ostatnie zestawienia do projektu węglowego, za nic nie mogła wymyśleć takiego układu danych, żeby pomieścić wszystkie konieczne formuły.

Kiedy udało jej się w końcu odgonić pałętającą się obok Magdę (która nie wiedzieć po co też przybiegła) i urodzić w bólach przedostatnią tabelę, wolnym krokiem podszedł do niej Mirek Lubicki z kubkiem w dłoni. Był przykładem człowieka, którego wygląd może bardzo zmylić obserwatora. Lekko łysiejący i prawie siwy, chudy, niemal kościsty, niczym się nie wyróżniał z tłumu. Pociągła twarz z zapadniętymi policzkami i haczykowatym nosem nie zdradzała, że w środku kryje się wielki kawalarz i jeszcze większy imprezowicz. Justyna już kilka razy przekonała się, że ma niesamowite poczucie humoru i lubi korzystać z życia, jeśli ma na to czas i siły. Jej młodsze koleżanki uważały, że to jakiś stary zgred, który nosi grube swetry, żeby ogrzewały jego wystające kości, a skoro ma duże okulary, to na pewno jest już prawie ślepy.

– Cześć, mała. – Uśmiechnął się figlarnie. – Chodź napić się kawy, bo widzę, że teraz wszyscy przenieśli się z kuchni gdzie indziej.

Przyjęła tę propozycję z zadowoleniem. Z Mirkiem miło się rozmawiało, bo rozmowy polegały głównie na niemówieniu czegokolwiek, tylko niezobowiązującym siedzeniu przy stoliku w kuchni albo strojeniu sobie żartów z nieco przygłupich kolegów, co było dla Justyny niezmiernie odprężające. On, jako jedyny, czasami wciągał się w całkiem sensowne pogaduszki

o giełdzie i tym, co dzieje się z firmą, ale też nie za często. Dla niego ta praca była tym samym, co dla Justyny. Troje dzieci, czterdziestka na karku, wiele, bardzo wiele przykrych doświadczeń i dużo dystansu do otaczającej go rzeczywistości. Dziś jednak był nad wyraz rozmowny.

– Mało się nie posikają z tym zebraniem, a pewnie, jak zwykle, to jakaś pierdoła. –

Oczywiście musiał napełnić zbiornik na wodę. – Jestem zmęczony tymi debilami.

Nigdy nie słyszała, żeby tak wyraźnie mówił, co myśli.

– Czy coś się stało? To znaczy coś przykrego?

– Poza tym, że muszę tu pracować? – Spojrzał na nią znad ramienia. – Nie, te same kłopoty, co zwykle.

Usiadł naprzeciwko niej i wsypał do kubka dwie łyżeczki cukru.

– Chciałem ci o czymś powiedzieć... Nie wiem, czy to ważne, ale myślę, że powinnaś wiedzieć.

– Tak?

– Był tu niedawno taki facet, nigdy go wcześniej nie widziałem. Przyszedł pod wieczór, ja kończyłem jakieś zestawienie kwartalne, ciebie już dawno nie było. Rozmawiał ze Słotwińskim. Walczak twierdzi, że to jakaś firma, która chce się przyłączyć do inwestowania w nowe technologie wojskowe.

– Ale to nie nasza działka.

– No nie. Tyle że jakoś trafił do naszego działu, pogadał sobie z szefem i jak wychodził od niego, to zatrzymał się przy twoim biurku...

– I?

– Zobaczył twoją wizytówkę. Zapytał, kiedy pracujesz i w ogóle. Marta od razu przyleciała, żeby mu wyjaśniać, co i jak. Powstrzymałem ją od podania twojego adresu, NIP-u, numeru konta i tak dalej i zapytałem go, o co mu chodzi.

– Co powiedział? – Na plecach Justyny pojawiła się gęsia skórka.

– Że jesteś jego koleżanką z liceum z Łomży i w ogóle to chciałby się z tobą spotkać.

– Przedstawił się?

– Tak... czekaj, mam to zapisane na karteczce. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pomięty karteluszek, który rozwinął i starannie wygładził. – O! Mariusz Józwiński. Mówi ci to coś?

Podał jej kartkę.

– Mówi... Chodziłam z jednym Józwińskim do klasy. Zresztą z jego siostrą też... Ale to był safandula, który nie dotarł do matury. Mariusz i Edyta pochodzili ze strasznie biednej rodziny, picie, bicie, kupa dzieciaków, mało kto tam pracował. Nie pasuje mi, żeby teraz zjawiał się jako pracownik jakiejś firmy inwestycyjnej.

– Może nie doceniasz jego ukrytych talentów? Może się podźwignął i stał się nowym człowiekiem? Dawno się z nim nie widziałaś?

– Szesnaście lat. Możesz powiedzieć, jak wyglądał?

– Średnio wysoki, taki jak ja mniej więcej. Brunet z ciemnymi oczami. Był jakiś taki podenerwowany... Sam nie wiem. Coś mi się w nim nie spodobało. W zasadzie mógł być lekko upośledzony.

– Jak to?

– Tak trochę dziwnie mówił. Jakby się zastanawiał nad niektórymi słowami. Zacinał się lekko...

– Miał jakiś znak szczególny?

– Tak! Koło prawego ucha bliźnię, miała może z dziesięć centymetrów.

– Hmm... to może być i on. Stary Józwiński walnął go siekierą w szale alkoholowym, kiedy chłopak miał piętnaście lat. Właśnie do tego wypadku było z Mariuszem jeszcze w miarę

dobrze. Rozumiesz? – Zrobiła znaczący gest wokół czoła. – Na umyśle. Potem zaczął mieć kłopoty w szkole i generalnie z emocjami. Poza tym niepokoi mnie co innego...

– Mianowicie?

– Na biurku mam wizytówkę z nazwiskiem po Łukaszu, nie może go znać. Skąd wiedział, że to moja?

– Zapytałem o to. Zmieszał się, ale powiedział, że znalazł na Naszej Klasie.

– Nie mam konta!

– Właśnie! Też mu to powiedziałem. Zmieszał się podwójnie. Coś tam wymamrotał i poszedł. Mówił, zdaje się, że jeszcze wpadnie.

– Jeny! Tego mi tylko trzeba. W każdym razie dzięki. Może i Józwiński ma dobrą pracę, ale normalny na pewno nie jest. Będę uważać po zmroku. – Roześmiała się, trochę po to, by rozładować napięcie.

Mirek uśmiechnął się, ale niezbyt wyraźnie. Wrócili na swoje miejsca. Justyna zaczęła powoli zbierać się do wyjścia. Kiedy zjeżdżała windą, przyszło jej do głowy, żeby pójść na siłownię w Złoty Tarasach.

Łukasza nie będzie, to chociaż trochę się rozruszam.

Nie była typem sportowca, zwłaszcza że jej ciało miało spore ograniczenia przerobowe. Szybko się męczyła, łatwo łapała kontuzje. Musiała bardzo uważać, żeby nie przeholować. W tej jednej kwestii zazdrościła mężowi – mógł ćwiczyć całą dobę, a nawet we śnie. Był wielkim, doskonale zbudowanym facetem, który, gdyby mu czas na to pozwalał, uprawiałby wszelkie możliwe sporty. W domu były ciężarki, na drzwiach zamontował drążek do podciągania. Wiedział wszystko o wszystkich typach treningów, diet i sposobów na regenerację organizmu. Na Justynę nic nie działało. Godzinę treningu musiała sobie odbijać dodatkową godziną snu, najlepiej zaraz po. Zapytała kiedyś Łukasza, czy nie przeszkadza mu taka żona lebiega.

– Nie, kochanie, nie przeszkadza, dopóki daje radę w łóżku. – Uśmiechnął się z błyskiem w oku. – Jeśli zaczniesz mieć zadyszkę, zanim przejdziemy do sedna sprawy, będę musiał pomyśleć o jakimś programie naprawczym.

Mimo wszystko, kątem oka obserwowała z niepokojem snujące się wokół laski w opiętych strojach eksponujących wszystkie możliwe atuty, jakie posiada kobieta wysportowana. Zmniejszyła prędkość na bieżni i spojrzała na swoje ramiona i uda, które trzęsły się lekko przy każdym jej ruchu.

– Jeśli chcesz, popracujemy nad tym – usłyszała głos Borysa, trenera osobistego wszystkich tych, którzy chcieli tu mieć trenera osobistego. Zastanawiała się, jak długo już tak stoi obok i się jej przygląda.

– Nie, dzięki. Jakoś to przeżyję.

– Słuchaj, w miarę upływu lat zaczniesz się robić gorzej. Trzeba temu przeciwdziałać zawczasu.

Miała ochotę rąbnąć go w pysk.

– Pomyślę o tym przed pięćdziesiątką.

– A ile masz teraz?

– Trzydzieści cztery.

Zatkało go.

– Chyba dwadzieścia cztery! Masz twarz dwudziestolatki.

– Jesteś bardzo miły, ale mi już wystarczy wiedzieć, co myślisz o moim ciele.

– Ej, nie obrażaj się. Trzymasz się znakomicie. Ja tylko chciałem powiedzieć, że jeśli chcesz czegoś więcej, to daj znać. Pomogę.

– Idź już sobie – sama nie wierzyła, że to mówi. Asertywność nie była jej mocną stroną,

ale facet tylko ją rozdrażnił.

Poszła do sauny z postanowieniem, że o wszystkim zaraz zapomni. Temat ciała nie był nigdy przyjemny. Stać ją było, żeby dobrze się ubrać, zwłaszcza że Łukasz chętnie robił jej prezenty w postaci wypadów na zakupy. Zawsze jednak była niezadowolona, mimo że ze strony męża nie usłyszała ani jednego złego słowa. Podejrzewała, że w duchu uważa to za jedną z jej kobiecych fanaberii, które trzeba znosić cierpliwie, bo nic nie dadzą próby jej naprawiania.

W saunie zrobiło się jej jeszcze bardziej smutno. Wyszła szybko i wróciła do domu. Ku jej zdumieniu, po otwarciu drzwi do mieszkania usłyszała rozmowy i poczuła zapach pizzy. W salonie siedzieli niemal wszyscy kumple Łukasza z Biura. Wokół nich wałały się stosy dokumentacji, fotografie i jakieś mapy. Na szklanym stoliku stały laptopy, a pod nim piętrzyły się płaskie pudełka z pizzerii. Sądząc po niewielkiej ilości butelek piwa, nie mieli zbyt udanego dnia. Z niezrozumiałych dla niej powodów, gdy było im źle, nie mieli ochoty na alkohol.

– Cześć, kochanie. – Stała w progu, gryząc się w język, by nie wypalić: „co z akcją łapania Frankowskiego?”, bo nie mogła przecież wygadać, że zna ich wielkie tajemnice państwowe. – Kiepski dzień?

– Cześć. – Łukasz podniósł się z kanapy bez entuzjazmu. – Nieciekawy. Byłaś na siłowni – raczej stwierdzał niż zapytał. Znał ją niemal tak dobrze, jak ona jego. Niemal...

– Byłam, ale też mi nie szło. Pizza chociaż smakowała? – pytanie skierowane było do wszystkich.

– Pomyje – mruknął Tomek. – Choć i tak lepsze niż specjały mojej eks.

– Niedobrze. To może ja wam coś na szybko przygotuję? Spaghetti albo jakieś kielbaski, co?

– Nie, Justynka, dzięki. Będziemy się zbierać. Chłopaki, sprzątnijcie nasze graty, idziemy. – Tomasz, jako najstarszy wiekiem, często przejmował rolę nieformalnego dowódcy.

– Ja bym zjadł kielbaskę – cichutko odezwał się drobny blondynek z fotela. Justyna nawet go nie zauważyła w pierwszej chwili.

– Sisor, miej litość! – załamał się Tomek. – Jęczysz jak baba. Idziemy!

– OK, w każdym razie dzięki za odwiedzinę. – Uśmiechnęła się, starając ukryć ulgę na wieść, że zaraz ich nie będzie. – Łukasz, idę do łazienki.

– Dobra.

Duża łazienka była czymś, czego zupełnie się nie spodziewała, kiedy kupowali to mieszkanie. Marzyła o dobrze wyposażonej kuchni, ale kwestie mycia się zawsze uważała za coś, co można zrobić w naprawdę skromnych warunkach. Tymczasem okazało się, że powrót do domu z dużą wanną i przestrzenią, gdzie mieszczą się wszystkie kosmetyki i jeszcze można wstawić drewnianą ławeczkę, na której odpoczywa się po kąpieli, to coś, czego nie da się przecenić. Odkręcała kran, wlewała płyn i zaczynała się rozbierać. Najlepszy był moment, w którym zanurzała ciało w ciepłej wodzie. Odpływały troski, umysł spowalniał.

Słyszała, jak Łukasz żegna kolegów w drzwiach. Po krokach poznała, że idzie do niej. Wszedł do łazienki i od razu zaczął się rozbierać.

– Sisor?! – roześmiała się głośno.

– Tak – parsknął Łukasz. – Nasz nowy nabytek. Tomek go strasznie musztruje, ale wszyscy się niepokoją, czy nie jest za młody na te nasze harce. Pani pozwoli?

Zrobiła mu miejsce, żeby wskoczył za jej plecami do wanny, a ona mogła się o niego wygodnie oprzeć.

– To czemu jest u was?

– Nie wiem. Stary potrzebował kogoś z językami, ale okazuje się, że nie jest łatwo znaleźć w tym kraju wśród funkcjonariuszy różnych służb poligloty. Sama wiesz, że ja także nie

jestem dobry w te klocki. Nie wszyscy mamy taką głowę jak ty, kochana żono.

– A jakie zna języki?

– Angielski, niemiecki, włoski – wszystko biegle. Za młodu jeździł z rodzicami po świecie. Jacyś dyplomaci czy coś. Jeszcze byśmy się cieszyli, gdyby bronią posługiwał się równie biegle.

– Ma jakiś problem na strzelnicy?

Machnął ręką, uderzając o powierzchnię wody.

– Aa, szkoda gadać.

– No, a jak ta wasza akcja? Miało cię nie być...

– O tym też nie chcę mówić. – Wyczuła, jak jego mięśnie stężały w jednej sekundzie.

Potańbował brwi czubkami palców, jak to zawsze robił, kiedy coś go naprawdę martwiło.

– Rozumiem. Nie mówmy o tym.

– A twoja praca? – zapytał.

– Nie mówmy o tym.

– He, he – roześmiał się cicho. – Parszywy dzień, co?

Objął ją mocno i pocałował w kark.

– Nie martw się, wszystko ci wynagrodzę dziś w nocy.

– Mhm – taka oferta zawsze dobrze brzmiała.

Mimo wszystko niepokój nie opuścił Justyny. Obudziła się przed świtem i próbowała jakoś to sobie poukładać w głowie. Życie i wrodzony dar nauczyły ją szybko wyławiać zagrożenia spośród licznych mniej lub bardziej znaczących wydarzeń, a ta sytuacja z nagłym pojawieniem się Józwińskiego taka właśnie była. Tylko Justyna nie wiedziała dlaczego...

Rozdział 2

Do pracy przyszła podenerwowana. Co chwilę zerkała w stronę korytarza, czekając, aż zjawi się ten nieproszony gość, który... rzeczywiście przyszedł. Wiedziała, że to on, ale jednocześnie jej mózg podpowiadał z uporem: To nie jest Józwiński, to nie jest Józwiński. Wyglądał jak on, naprawdę był podobny, w dodatku ta blizna koło ucha była czymś tak oczywistym... Gdyby nie cała reszta, ten garnitur, doskonale dopasowany krawat, buty i jakiś rodzaj nonszalancji, której młody Józwiński nie miał nawet przed jatką, jaką zgotował mu ojciec.

Kiedy szedł w jej stronę, nawet nie udawała, że patrzy gdzie indziej, jakby starała się cały czas mieć napastnika w zasięgu wzroku. Stał przy jej biurku z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Cześć, Justyna. Co za spotkanie!

– Znamy się?

– No tak... Jestem Mariusz, chodziliśmy razem do klasy w liceum. Nie pamiętasz?

– Nie. – Postanowiła grać defensywnie, żeby zbić go z tropu i może w ten sposób jak najszybciej się go pozbyć.

Jego uśmiech przygasł. W oczach zobaczyła nieprzyjemny błysk.

– Nie wygłupiaj się. Twój kolega na pewno powiedział ci, że byłem. – Odszukał wzrokiem Mirka, który z napięciem obserwował tę scenę. – O, tam siedzi.

Kiedy pomachał w stronę Lubickiego, ten od razu opuścił wzrok na ekran swojego laptopa. Justyna przyjęła tę reakcję z ulgą.

– Słuchaj, może zjechalibyśmy na dół do kawiarni. Ja stawiam. Pogadamy, powspominamy stare czasy...

– Nie. Jestem zajęta.

– To może później...

– Nie. – W jej głosie wyczuć można było irytację. – Później też nie. Jestem cały czas zajęta. Mam męża, dom, obowiązki. Niech pan sobie już idzie, nie chcę, żeby szef widział, że nie zajmuję się pracą. Do widzenia.

Odwróciła od niego wzrok w stronę swojej przekłętej tabelki. Poczula, że z nerwów drżą jej kolana. Jeszcze mocniej przysunęła się do biurka, żeby nie dać tego po sobie poznać. Stał chwilę obok niej, w końcu odwrócił się na pięcie i wymruczał pod nosem:

– Jak chcesz. – To miało w sobie ziarno złowrogiego ostrzeżenia.

Gdy tylko zniknął z pola widzenia, do Justyny podszedł Mirek.

– Kawa?

Kiwnęła głową i bez słowa poszła za nim do kuchni. Usiadła na krześle i ciężko westchnęła.

– Dziwny, prawda? – Mirek patrzył na nią z niepokojem.

– Jest w nim coś... sama nie wiem. Mam nadzieję, że już tu nie przyjdzie.

Lubicki kiwnął głową na znak zrozumienia.

– Ale to był ten cały Mariusz, tak?

Podniosła wzrok i spojrzała na niego jakby w zamyśleniu.

– Nie – odpowiedziała po dłuższej chwili.

– Nie?!

– Wiesz co... nie wiem, nie wiem. – Pokręciła głową i zakryła twarz dłońmi. – Wszystko jest bez sensu. Mam po prostu złe przeczucia.

– Rozumiem – odparł cicho. – Daj kubek. Średnia, tak?

– Tak, średnia – odpowiedziała z rezygnacją w głosie. – Dzięki. Wiesz, ja po prostu boję

się świrów. Łaził kiedyś za mną taki jeden kilka miesięcy. Włamał mi się na konto na Naszej Klasie...

– Dlatego zlikwidowałaś?

– Tak. Wyobraź sobie, że dostajesz SMS-a na urodziny od kogoś, kto pisze: Sto lat, sto lat. Kocham Justynę.

– Żartujesz!

– To nie był żart. Wystawał pod moim blokiem całymi dniami, chował się za drzewem i wyskakiwał zza niego, kiedy wracałam do domu wieczorem. Biegł za mną alejką, dopadał pod drzwiami, był natarczywy, agresywny...

– Poszłaś na policję?

– Nie. Napisałam do niego, że pójdę, jeśli nie przestanie, obsmaruję go w prasie i straci prawo do wykonywania zawodu.

– To był lekarz? – Podsunął jej kubek z kawą i usiadł naprzeciwko.

– Nie, psycholog z prywatną praktyką.

Mirek chciał coś powiedzieć, ale parsknął śmiechem.

– Przepraszam, ale to po prostu groteska. I pewnie w więzieniu leczyłby się u innego świra-psychologa.

– To nie jest zabawne. – Chciała zachować powagę, ale też zaczęła chichotać znad kubka. W końcu obydwójce śmiali się głośno i bez zahamowań. – Pewnie tak by było.

– Słuchaj, a może ten cały Mariusz już wtedy znalazł cię na NK? Zanim zlikwidowałaś konto? – zapytał, kiedy już się uspokoili.

– Nie. – Pokręciła energicznie głową. – Zlikwidowałam je jeszcze przed ślubem z Łukaszem.

– Aha. – Lubicki oparł się plecami o ścianę i popadł w zadumę. – To po prostu musisz uważać.

W domu nic nie powiedziała Łukaszowi. Miała nawet zamiar napomknąć coś przy kolacji, ale on znowu był w ferworze przygotowań do kolejnej próby podejścia oszusta grabiącego naród z należnych podatków i wyzyskującego w niewolniczej pracy ludzi z biednych obszarów kraju. Nie dowiedziała się, co nie wyszło poprzednim razem, ale sądząc po jego minie, teraz naprawdę mieli drania na celowniku.

I tak nic by nie pomógł, skonstatowała, zbierając naczynia ze stołu.

Usiadła wieczorem do komputera, żeby zrobić przelew za czynsz. Na stoliku obok leżały nieotwarte koperty z wyciągami z banku. Rozdarła tę na wierzchu i uważnie przeczytała.

– Kotku – krzyknęła w stronę męża zaabsorbowanego jakąś dokumentacją w salonie.

– Słyszysz mnie?

– No, słyszę. Co tam?

Weszła do salonu z kartką w dłoni.

– Czy jest szansa, że za tę akcję, o której nic nie wiem, dostaniesz jakąś premię?

Spojrzał na nią, jakby nagle się obudził.

– Premię? Nie wiem... możliwe. A co? Chciałabyś lecieć do ciepłych krajów?

– Nie, szybciej spłacić tego lichwiarza, co zdiera z nas całą moją pensję.

– Kogo? – Zamrugał powiekami.

– Bank, w którym mamy kredyt hipoteczny.

– A-a... Bank... No tak... A jest taka możliwość?

– Jest. Zostało nam niewiele. Minęły już trzy lata, więc nie zapłacimy kary za wcześniejszą spłatę. Trzeba tylko wynegocjować skrócenie tego okresu.

– OK... Jedna moja premia wystarczy?

– Nie, ale moglibyśmy wyciągnąć pieniądze z mojej lokaty. No wiesz – te czterdzieści tysięcy.

– Nie, kochanie. – Wyciągnął do niej rękę, chwycił za przegub i posadził żonę na swoich kolanach. – Już o tym rozmawialiśmy. To są pieniądze na naprawdę trudne czasy. Na-praw-dę, tak? A nam się nie pali.

– Łukasz, tam jest więcej niż czterdzieści tysięcy. Urósł procent...

– ...który będzie naprawdę wysoki dopiero za dwa lata. Daj spokój. Jakoś to jeszcze uciągniemy.

Opuściła z rezygnacją ramiona i odwróciła wzrok w stronę włączonego, choć ściszonego telewizora.

– Ej, co się stało? – Potrząsnął nią delikatnie. – Czemu ci tak na tym zależy?

– A, nic... Tak tylko, chciałam mieć to z głowy i żeby mieszkanie było nasze.

Objął ją mocniej i pocałował w policzek.

– Będzie nasze, nie martw się.

Kredyt zaciągali w czasie, gdy ani mieszkania nie były jeszcze tak bardzo drogie – zwłaszcza na Mokotowie – ani kredyt we frankach nie zwał z nóg. Umówili się, że jej pensja będzie szła na spłacanie rat, więc wynegocjowali po długich i bolesnych bojach, że rata kapitałowa będzie wyższa, więc i czas spłaty zostanie im znacząco skrócony. Dopiero po groźbach, że pójdą do innego banku, udało się zmienić warunki umowy przygotowanej początkowo przez „ich” bank.

– Proszę pani, jest pani debilnie nielogiczna – wyklócał się Łukasz. – Jeśli spłacimy szybciej to mieszkanie, będziemy chcieli kupić większe, bo na pewno będziemy mieć już dzieci. Niech pani zgadnie, do jakiego banku wówczas się udamy?

Dzieci wciąż nie mieli, co Justynę niezmiernie bolało – Łukasz skrzętnie skrywał związane z tym uczucia. Ale większość kredytu była już spłacona. I kiedy Justyna siedziała tego wieczora przed komputerem, trapiąc się nachodzącym ją Józwińskim, wpadł jej do głowy pomysł, żeby spłacić kredyt w całości, aby mogła odejść ze swojej pracy, której nie znosiła. Pomyślała nawet, że dobrze się stało, że znowu jakiś świr ją nachodzi – będzie miała dobry i mocny pretekst, żeby odejść. Ta myśl była tak pocieszająca, że od razu pobiegła z pytaniem do Łukasza...

Jego reakcja ostudziła nieco jej zapał. Doszła do wniosku, że przeczeka jeszcze jakiś czas, zanim znowu poruszy temat. Czowała jednak, że już nie zmieni zdania i zrobi wszystko, co możliwe, by uwolnić się z ciasnej klatki korporacji.

Jednak poranek przyniósł odpowiedź szybciej, niż mogła przypuszczać. Na swoim biurku znalazła ogromny bukiet czerwonych róż z karteczką, na której podpisał się Józwiński.

Justynko, przepraszam, jeśli byłem zbyt nachalny. Proponuję spotkanie pojednawcze dziś po południu. Ty wybierz miejsce. Mariusz.

Na kartce był też numer jego komórki.

Chwyciła bukiet i w porywie gniewu wrzuciła go do kosza na śmieci. Nie zmieścił się w nim cały i główki kwiatów rozsypały się po wykładzinie. Przymotnie schowała do torebki kartkę z numerem.

Może się jeszcze przydać.

Miała ochotę się rozplakać. Stała z poczuciem bezsilności, nie wiedząc, co ma zrobić: sprzątać kwiaty z podłogi czy po prostu wyjść. Byłoby prościej, gdyby nie patrzyło teraz na nią pół firmy.

Na ramieniu poczuła lekki uścisk czyjejś dłoni.

– Jednym słowem, kolejny świr.

Mirek przyglądał się jej uważnie z wyraźnym niepokojem.

– Przesadził – wyszeptała. – Mam naprawdę złe przeczucia, zupełnie tak samo jak z tym psychologiem.

– Może trzeba komuś to zgłosić?

– Nie, myślę, że trzeba dać sobie spokój z tą firmą.

– Z firmą? – Mirek nie krył zaskoczenia.

– Tak... Muszę pogadać ze Słotwińskim. Przepraszam.

Zostawiła osłupiałego Mirka na środku biura i poszła do gabinetu dyrektora. Słotwiński znowu pojawił się w biurze o wiele wcześniej niż zwykle. Przez głowę przemknęła jej myśl, że szykuje się naprawdę jakaś większa zmiana, ale nie miała zamiaru dłużej się przy niej zatrzymywać.

– Panie dyrektorze, mogę?

– Tak, oczywiście. Coś się stało, pani Justyno?

– Chcę odejść. To znaczy złożę dziś wypowiedzenie, ale nie chcę przychodzić do pracy od jutra. Wybiorę zaległy urlop...

– Zaraz, zaraz. – Podniósł dłoń, przerywając jej. – Jak to? Odejść? Z dnia na dzień? Niech pani usiądzie.

Nie miała na to ochoty, ale nie chciała wyjść na wariatkę, która rzuca wszystko, trzaskając drzwiami dyrektora.

– Co się stało?

– Nie chodzi o firmę, to sprawy osobiste.

– To niech pani weźmie urlop i załatwi te sprawy osobiste, a nie rzuca od razu pracę.

– No dobrze... – westchnęła ciężko. – Chodzi o firmę.

Słotwiński wyprostował się na swoim skórzanym fotelu i spojrzał na nią z powagą.

– W czym tkwi problem?

– Ta praca jest jak więzienie. Czuję się w niej, jakbym siedziała w ciasnej klatce i nie mogła oddychać.

– To są pani odczucia, ale ma chyba pani jakieś argumenty na potwierdzenie, że to nasza firma sprawia, że tak, a nie inaczej się pani czuje.

– Mam dość tych ludzi wokół mnie... To znaczy... Widzi pan, kiedy przyjechałam do Warszawy, krótko pracowałam w zwykłym sklepie spożywczym. Żeby się utrzymać, mieć na opłacenie pokoju. Zarabiałam strasznie mało, to znaczy dokładnie tyle, ile zarabia się w tego typu sklepach. Po dniu pracy nie czułam nóg, po dniu dostawy nie czułam rąk i pleców. W dodatku przyłazili do tego sklepu okropni ludzie z pretensjami, z żalami, które wyładowywali na nas, stojących za ladą. Jeden pijany śmierdziel powiedział mi kiedyś, że mam go obsłużyć, bo jestem od tego jak dupa od srania... Ale mimo wszystko czułam, że moja praca jest jakaś taka... z sensem. Obsługiwałam kasę, nie mogłam się pomylić, bo inaczej musiałam oddawać ze swoich. Musiałam przestrzegać zasad higieny, żeby ludzi czymś nie potruć, kiedy kroiliśmy sery i wędliny. Przychodzili też mili ludzie, czasem się z nimi pogadało, pożartowało... Wracałam do domu zmęczona, ale z poczuciem, że nie zmarnowałam tych godzin. A tu... W naszym dziale powinna pracować jedna trzecia osób, które pracują. Ludzie snują się po korytarzach jak smród po gaciach, kryją po kuchniach, dziesięć razy są na dole na papierosie. Ploty, romanse, ciągle pretensje...

Przerwała, zmęczona niespodziewanym, nawet dla siebie, wybuchem. Słotwiński nie odezwał się ani słowem, tylko nadal uważnie jej się przyglądał.

– Panie dyrektorze... Ja nie neguję zasadności płodzenia tabelek w Excelu i przygotowywania zestawień. Ktoś to musi zrobić. Chodzi o to, że... – zawahała się nagle.

– Kiedy dostałam swoją pierwszą pracę w korporacji, tej od ubezpieczeń, po rozmowie kwalifikacyjnej rekruter zapytał, czy nie będzie mi przeszkadzać taka niska pensja. Zaoferowali mi trzy tysiące brutto. Trzy tysiące! Kiedy w spożywczym nie byłam w stanie przekroczyć tysiąca sześciuset na rękę. Tyle miała najstarsza stażem pracownica, która samodzielnie zamykała i otwierała sklep. Kiedy dobiłam do czterech, zrozumiałam, że i tak wciąż jestem w grupie najmniej zarabiających ludzi...

– Czy uważa pani, że te pensje ekspedientek są w porządku?

– Nie! Bynajmniej! Chodzi mi właśnie o tę firmę, o rażącą dysproporcję. Pan wybaczy, że to powiem, ale skoro i tak chcę odejść... Chociażby ten cały Walczak: jest imbecylem, ale jako analityk giełdowy zarabia piątkę na rękę.

– Dlaczego jest imbecylem? – Dyrektor wyraźnie był poruszony, choć Justyna mogła przysiąc, że raczej go to bawiło niż złościło.

– Bo nie odróżnia swojej prawej ręki od lewej, ujmując to po biblijnemu. Przygotowuje analizy wysrane z palca. Brak mu podstawowej wiedzy ekonomicznej, o giełdowej nie wspominając. Jest... Jakby to ująć? Kimś w rodzaju figuranta dla korporacji, która musi mieć analityka i już.

Dyrektor Slotwiński oderwał wreszcie swoje błękitne oczy od Justyny i spojrzał przez szybę na rozkopaną Świętokrzyską, znajdującą się dwadzieścia pięter niżej. Szpakowaty, przystojny, pełen dostojenstwa. Nikt go nigdy nie widział zdenerwowanego, nigdy nie podnosił głosu, nie dawał też sobą manipulować.

Nagle Justyna pomyślała, że musiała się strasznie wygłupić tą swoją szczerością o niesprawiedliwości w zarobkach. Spojrzała na garnitur szefa, który na pewno kosztował nie mniej niż dwa tysiące.

Będzie dobrze, jeśli się na mnie nie obrazi.

– Nie zmieni pani tej dysproporcji, pani Justyno – odezwał się w końcu, nadal na nią nie patrząc.

– Wiem...

Podniósł rękę, żeby jej przerwać.

– Nie od razu. – Spojrzał na nią z uśmiechem. – Czy pani odejście znacząco wpłynie na wasze finanse, to znaczy pani i męża?

– Moja pensja pokrywa ratę za mieszkanie, ale...

– Rozumiem. – Pokiwał głową, znowu jej przerywając. – Rozumiem też, sądząc po pani desperacji, że wolałaby pani jak najszybciej odejść z firmy.

– Tak – odparła bardzo cicho i poczuła się naprawdę wyczerpana.

– Dobrze więc. Niech pani weźmie urlop bezpłatny od dziś i idzie do domu. Proszę się jeszcze nie zwalniać. A swoje obowiązki przekazać Marcie.

Mimo że tego chciała, zrobiło jej się jakoś dziwnie bardzo przykro.

– Ma pani służbową komórkę?

– Nie.

– To proszę zostawić swój prywatny numer koleżance, jeśli go jeszcze nie ma. Wiem, że pewnie chciałaby pani odpocząć, ale proszę zrobić mi przysługę i być pod tym telefonem cały czas. Myślę, że w ciągu najbliższej doby zadzwonię do pani. Muszę tylko się nad czymś zastanowić, dobrze?

– Dobrze, panie dyrektorze. Dziękuję... – Wstała i podeszła do drzwi.

– Aha, pani Justyno, niech pani poprosi do mnie tego „figuranta”. Nawet z wysranymi

z palca analizami zalega już od dwóch dni.

Spojrzała na szefa nieco wystraszona, ale nawet na nią nie patrzył, tylko przeglądał jakieś papiery. Nie wyglądał także na kogoś, kto z niej kpi.

Na biurku nie miała zbyt wielu rzeczy, ale kiedy zaczęła zbierać je do kupy, okazało się, że potrzebuje jakiejś większej reklamówki, żeby się z nimi zabrać. Jak na zawołanie podbiegła do niej Marta.

– Szef cię zwolnił? – Oczy miała wielkie jak pięciozłotówki.

– Nie, sama odchodzę. – Wołała nie komplikować tej historii opowieścią o urlopie bezpłatnym. Marcie mogłoby to zdecydowanie zamieszać w blond głowie.

– Jej! A dlaczego?

– Marta, masz przejąć moje obowiązki. Do końca tego tygodnia trzeba zrobić zestawienie ostatnich inwestycji w Chinach, które robiliśmy wspólnie z firmą Control Investments. Wszystkie dane w tym temacie mają Rafał i Bożena. Resztę skończyłam i wysłałam gdzie trzeba.

– OK. A co z tobą będzie?

– Nic, będę sobie żyć... normalnie.

Znalazła jakąś torbę w jednej z szuflad i powoli zaczęła ją wypełniać. Mirek podszedł, ale dłuższą chwilę nic nie mówił.

– Jesteś pewna?

Spojrzała na niego przez sekundę, ale niczego nie powiedziała.

– Jesteś – westchnął. – Mogę ci jakoś pomóc?

Pokręciła głową. Poczula, że gdyby się odezwała, z jej oczu popłynęłyby łzy.

– Wiesz co... – Lubicki rozejrzył się po biurze, jakby upewniał się, czy nikt go nie śledzi.

– Zjadę na dół do Coffee Heaven i zamówię jakąś kawę. Pogadamy chwilę bez świadków.

– Mirek, tam będzie teraz pół firmy. Wszyscy „najlepsi” pracownicy przecież jeszcze nie dotarli na swoje miejsca. – Pomyślała o Magdzie, która na pewno pochłaniała właśnie wielką americano bez cukru. – Poza tym muszę iść do kadr...

– No to daj mi reklamówkę, zjadę z nią do kawiarni, a ty sobie załatwiasz, co masz załatwić, OK? Skoro siedzi tam pół firmy, to nie powinniśmy rzucać się specjalnie w oczy.

Uśmiechnęła się blado i kiwnęła głową. Podała mu torbę i poszła do działu kadr.

Na dole rzeczywiście kłębił się mały tłumek przedstawicieli firmy B.S.K., ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Mirek zajął miejsce, z którego był dobry widok na wszystko, ale które nie rzucało się w oczy.

– Wziąłem ci mangoccino. – Podsunął jej wielki kubek z kawą. – Dużo słodkości przyda ci się na nowej drodze życia.

– Dzięki.

– Dziwnie się czuję, siedząc tutaj o tej porze, ale dobrze mi z tym – roześmiał się Mirek, rozglądając się wokół siebie. – Słodki smak wagarów. Co powiedział Słotwiński?

– Poprosił, żebym się nie zwalniała.

– Ale, jak widać, nie posłuchałaś go.

– Posłuchałam.

– Jak to?

– Kazał mi wziąć urlop bezpłatny. Ma do mnie zadzwonić i... coś powiedzieć.

– O... Ale nie wiesz co?

– Nie...

Zbierała słodką piankę z kawy i także zaczynała odczuwać przyjemność, jak zawsze wtedy, gdy nie musiała iść do szkoły, a wszyscy inni szli.

– Wysłałam na idiotkę – powiedziała w końcu, trochę jakby do siebie.

– Czemu?
– Bo z tego, co mu tam naopowiadałam, wyszło, że tylko ja pracuję w tej naszej firmie, a reszta to banda niedouczonych obiboków.
Mirek niespodziewanie roześmiał się, pokazując wszystkie zęby.
– A to dobre! Muszę to opowiedzieć mojej żonie. Ona zawsze mi dogryza, że u nas to nic ciekawego się nie dzieje.
– Nie no... Przesadziłam... Przejechałam się w sumie tylko po Walczaku. O reszcie mówiłam ogólnikowo.
– Fajnie. – Lubicki kiwał łysiejącą głową z aprobatą. – A szef poprosił, żebyś się nie zwalniała. Naprawdę ciekawie.
Wzruszyła ramionami.
– Najgorsze i tak przede mną. Muszę pogadać z Łukaszem.
– O to bym się nie martwił – powiedział nagle poważny Mirek. Nie patrzył na Justynę, tylko ze zmarszczonym czołem wyglądał przez okno. Poprawił okulary na nosie i wskazał palcem w stronę Świętokrzyskiej. – To jest teraz, zdaje się, największe twoje zmartwienie.
Justyna zobaczyła stojącego za szybą Józwińskiego, który spoglądał w górę na wieżowiec. Miał minę, jakby rozgryzał jakiś poważny problem. Wyciągnął z kieszeni marynarki telefon i zaczął z kimś rozmawiać.
– Boże – szepnęła. – On jest nienormalny.
– Powinnaś raczej o nim pogadać z mężem.
– Wścieknie się... ale z drugiej strony... – Schowała się głębiej w fotelu, kiedy wydawało się, że może być zauważona przez Józwińskiego. – Dobrze, że tu siedzimy. Mam nadzieję, że nikt mu nie powie, gdzie jestem.
– Wchodzi do budynku. Może idź do domu?
– Nie, wolę zostać i widzieć, czy wyszedł. Nawet jakby tu na nas wpadł, będę bardziej bezpieczna wśród ludzi.
– Może i racja...
Siedzieli dłuższą chwilę w napięciu. Po kwadransie nerwy nieco puściły, więc rozmawiali luźno o problemach Mirka z dziećmi i kredytach mieszkaniowych. Czujne oko Lubickiego dostrzegło wychodzącego z budynku Mariusza. Szedł bardzo szybkim krokiem, wyraźnie zdenerwowany. Znowu rozmawiał przez telefon.
– Wiesz co... – Mirek położył dłoń na przedramieniu Justyny – jak pójde na górę, postaram się dowiedzieć czegoś o jego wizycie i dam ci znać wieczorem, OK?
– Dobrze.
– Zadzwoń do męża, powiedz mu o wszystkim.
To wcale nie było takie proste. Zadzwoiła do Łukasza i poprosiła, żeby przyjechał po nią do centrum.
– Kochanie, jest dziesiąta. To nawet nie pora lunchu. Coś się stało?
– Tak... Muszę ci o czymś powiedzieć.
– Gdyby to było coś miłego... – zaczął z wahaniem – to bym to wyczuł... ale to coś złego, prawda?
– Niezbyt przyjemnego.
– Zaczekaj, zaraz oddzwonię.
Po minucie zadzwonił z informacją, że już jedzie.
Justyna siedziała w Pizza Hut przy Rotundzie, chcąc być cały czas w większym skupisku ludzi. Łukasz wpadł zdyszany, z miną wyrażającą niekłamaną troskę. Podszedł do stolika i pocałował Justynę w czoło. Zawsze tak robił, gdy bardzo się martwił.

– Szef dał mi wolne. Mam być pod telefonem, gdyby coś się działo... – Usiadł naprzeciwko niej i wziął jej dłonie w swoje. – O co chodzi?

Nabrała powietrza głęboko w płuca.

– Wzięłam bezpłatny urlop.

– Jak to? Po co?

– Nie będę cię okłamywać... Chciałam się zwolnić, ale Słotwiński wysłał mnie na wolne.

– Czemu chciałaś... No tak, nie cierpisz tej pracy i masz dość. Ale... tak nagle?

Nic nie odpowiedziała, zbierając w głowie odpowiednie słowa, kiedy na twarzy jej męża pojawiła się mina świadcząca o tym, że dobrze rozumie, o co chodzi.

– Ten kredyt... To dlatego chciałaś go szybciej spłacić! Żeby odejść.

Kiwnęła głową i rozplakała się.

– Myślałam, że dam radę...

Wstał i usiadł obok niej.

– Daj spokój. Przecież to nie koniec świata. Jakoś sobie poradzimy. Jeśli to aż takie ciężkie, to nigdy nie będę cię zmuszał. Chodź, pojedziemy do domu.

Reakcja Łukasza spowodowała, że Justyna rozkleiła się jeszcze bardziej. Nie musiała walczyć o swoje racje, bronić się i szukać stosownych argumentów. Próbowała coś w aucie powiedzieć, ale za każdym razem Łukasz jej przerywał i mówił, żeby się nie denerwowała. Zanim dojechali do domu, bolała ją już głowa. Dał jej tabletkę i kazał iść spać. Zasnęła, choć wydawało jej się, że nie będzie to możliwe. Kiedy się obudziła, siedział obok i pisał coś na laptopie.

– Cześć. – Uśmiechnął się i odłożył komputer na stolik obok łóżka. – Lepiej?

Przysunęła się do niego i mocno przytuliła.

– Lepiej.

Długo leżeli objęci, nie mówiąc nic do siebie. Justyna pomyślała, że nawet biorąc pod uwagę przykre okoliczności, jakie kazały im znaleźć się w tej sytuacji, to jest to jedna z piękniejszych chwil w jej życiu. Na dworze znowu padało; mimo że była dopiero trzynasta, zrobiło się ciemno jak wieczorem. Całe miasto żyło gdzieś tam sobie, jak wielkie mrowisko, uwijając się przy robieniu kasy i zdobywaniu sławy, a ona była bezpieczna z twarzą wciśniętą w ramię Łukasza, który delikatnie masował jej plecy. Nie siedziała w biurze, nie musiała oglądać tych samych twarzy, nie szczypały ją oczy od wpatrywania się w ekran komputera.

To jakby spełniło się moje największe marzenie – nagle i bez zapowiedzi.

Po trzech latach małżeństwa nauczyła się na tyle ufać mężowi, że czuła się przy nim bezpiecznie jak przy nikim innym. Oswoiła się, zapanowała nad falami niepokoju, które zalewały ją tak często przy spotkaniach z innymi ludźmi. Łukasz był inny – to był Łukasz, po prostu... Wyszła za niego tylko dlatego, że wiedziała, że w końcu nauczy się być przy nim szczęśliwa. Poza doskonałym węchem, który czasami bywał uciążliwym talentem, miała nieprawdopodobną intuicję do ludzi. Umiała też doskonale wyczuć każde zbliżające się zagrożenie. Były to jednak cechy, które czasami przeradzały się w utrapienie, bo nie miała w sobie dość swobody, by szybko zawierać znajomości. Patrzyła na człowieka i wiedziała od razu, co ją może z jego strony przykrego spotkać. Wystarczyło jedno spojrzenie w oczy, odczytanie gestu dłoni czy nerwowego poruszenia całego ciała i już знаła intencje, z jakimi ktoś do niej podchodził. Uniknęła więc tyle samo kłopotów, co straciła szans na przyjaźnie.

Łukasz był prostym i szczerym człowiekiem. Nie zawsze każde jego słowo czy gest były w jej odczuciu miłe, ale nigdy nie miała wątpliwości co do czystości jego intencji. Uważała, że to prawdziwy cud, że nie dała się ponieść emocjom i nie uciekła od niego, gdy tylko zaczął się na poważnie zalecać. Wiedziała, że to jej szansa, by nieco znormalnieć, ale też nadzieja na udany

związek. Wyszedł z całkiem zwyczajnej rodziny, bez balastu zranień i patologii, nie zawsze więc łatwo było im złapać wspólny język, jeśli chodzi o pokręcone ludzkie losy – on widział sprawy prosto, czarno-biało, a Justyna doszukiwała się drugiego dna. W innych przypadkach jej osądy bywały stanowcze i jednoznacznie oceniające jakieś postawy, Łukasz zaś był bardziej skłonny do pobłażliwości. Nauczyli się z tym koegzystować, a także ze świadomością, że jeszcze nie raz będzie między nimi dochodziło do spięć, co szczególnie dla Justyny było ciężkie do zaakceptowania.

Sprawa z Józwińskim na tyle wytrąciła Justynę z równowagi, że kobieta na moment zapomniała, jakim człowiekiem jest jej mąż. Gdy siedziała w restauracji, cała się trzęsa ze strachu, tracąc kompletnie jasny osąd rzeczywistości. Bała się konfrontacji, gdyby Łukasz sprzeciwił się jej decyzji, bo nie była do końca pewna swoich racji.

Ten brak pewności brał się głównie stąd, że nie mogła zrozumieć, dlaczego tak emocjonalnie zareagowała na Józwińskiego. Ostatnio przydarzyło jej się coś takiego niemal dekadę temu i przeczucia jej nie zawiodły. Tyle że teraz bardzo nie chciała, by znowu coś złego ją spotkało...

- Dzwonił ktoś? – odezwała się, chcąc odgonić niemiłe myśli.
- Tak, doktor Andrzejewska. To znaczy jej pielęgniarka, przypominała o wizycie w sobotę.
- Ojej, zapomniałam. – Wyswobodziła się z jego objęć i usiadła na boku.
- Dlatego dzwoniła. – Odgarnął jej włosy z czoła. – Może nie masz ochoty iść? Pokręciła energicznie głową.
- Chcę... Pójdźmy.
- Patrzył na nią z niepokojem.
- Wszystko w porządku?
- Mhm... – Kiwnęła głową, ale starała się nie patrzeć mu w oczy.
- Nie dam rady mu powiedzieć...
- Martwię się pracą.
- Daj spokój. Już ci mówiłem, że to nie jest aż tak istotne. Od zawsze się tam męczysz, w końcu coś musiało się wysypać.
- Ale ten kredyt...
- Jeśli będzie naprawdę źle, wybierzemy twoje pieniądze z lokaty. Póki co zawsze jest szansa na tę moją premię. – Uśmiechnął się szeroko z błyskiem w oku. – Pamiętasz? Szykujemy wielką akcję.
- Pamiętam. – Też się uśmiechnęła. – Nikt się nie domagał twojego powrotu do Biura?
- Jak widać, nie. Niezmiernie mnie to cieszy. Jestem tak zadowolony, że nawet mam ochotę zamówić jakieś dobre jedzenie do domu i niczym się nie martwić do wieczora.
- Dobry plan. Bez gotowania i bez zmywania.

Do wieczora czas upłynął im całkiem przyjemnie. Zamówili pizzę, którą zjedli przed telewizorem. Więcej jednak rozmawiali, niż oglądali. Łukasz opowiadał o nowym koledze-poliglocie i o tym, jakim jest ciamajdą. Justynie nie bardzo przypadła do gustu ta opowieść, ale starała się przynajmniej uśmiechać, kiedy dla Łukasza jakaś część jego historii wydawała się szczególnie zabawna.

- Może się wyrobi? – powiedziała w pewnym momencie cicho.
- Jasne, wyrobi – prychnął Łukasz. Siedział rozwalony w fotelu i wymachiwał pilotem.
- Może i umie gadać w innych językach, ale na akcje na pewno się nie nadaje.

Justyna chwilę siedziała w milczeniu, patrząc tylko na swój talerz. Łukasz spojrział na nią z lekkim niepokojem, zastanawiając się przez chwilę, co mogło ją w tym tak zdołować.

– Przysłali nam kolesia, który ledwo trzyma broń w ręku i który boi się własnego cienia – kontynuował swój wywód, jakby starał się usprawiedliwić. – Stanowi zagrożenie dla siebie i dla nas, gdyby... gdyby coś się stało.

– Mhm... – mruknęła tylko, dalej nie patrząc w jego stronę.

– No co? – Wyprostował się gwałtownie.

– Nic. – Pokręciła lekko głową. – A czy ma chęci, żeby z wami pracować?

Pytanie go zaskoczyło.

– Co? Jakie chęci? Do tej roboty same chęci nie wystarczą. Trzeba mieć jaja i łeb na karku.

– Skąd wiesz, może pewnego dnia okaże się, że jego jaja są większe niż wasze? –

Spojrzała na niego, a w jej wzroku było coś, czego Łukasz nigdy nie widział wcześniej. Mógłby przysiąc, że przez sekundę patrzyła na niego zupełnie inna kobieta.

– Nie rozumiem. – Naprawdę był zdezorientowany.

Roześmiała się cicho i potrząsnęła głową, jakby odganiała muchę.

– Widzisz rzeczy powierzchownie. Nie przyszło wam nigdy do głowy, że ten chłopak ma cechy, z którymi się nie obnosi?

– Aha, oczywiście! Jest ukrytym zбочkiem. – Opadł znowu na fotel, ale z uczuciem dziwnej ulgi, że znowu poznaje żonę w kobiecie siedzącej obok.

– Albo jest podstawiony.

Obrócił głowę w jej stronę z wielkim znakiem zapytania na czole.

– Przez kogo?

– Jest kretem, który was inwigiluje.

– Zwariowałaś... – Miał ochotę unieść się gniewem, ale mu przeszło z jakiegoś powodu.

– Dlaczego to takie nieprawdopodobne? Przychodzi do was koleś, który wydaje się kompletnie do tej roboty nie nadawać. Wy od razu traktujecie go w jednoznaczny sposób. Nawet jeśli jest gamoniem, to w waszym interesie leży, żeby go przygotować jak najlepiej. Powinien być przez was traktowany najlepiej... – Ostatnie słowo wypowiedziała z naciskiem, po czym urwała nagle, jakby jakaś myśl wyparła wszystkie inne. Wydawało się, że nie ma jej w tej chwili w pokoju.

– Najlepiej? – Pytaniem chciał ją wyrwać z tego zamyślenia. Nie bardzo podobał mu się kierunek tej rozmowy.

– Tak, najlepiej. – Znowu patrzyła na niego tym dziwnym wzrokiem. – Jeśli jest u was przez pomyłkę, bo ktoś źle wpasował go do waszego działu, powinniście zrobić z niego komandosa i to jak najszybciej, żeby, jak to mówisz, nie stanowił dla was i siebie zagrożenia. Każdy z was powinien na niego chuchać i dmuchać, bez pomiatania i zmuszania, żeby odszedł. Wy nie jesteście od decydowania, kto u was jest, a kto nie. Musicie pracować z tymi, których wam przydzielono. Bo jeśli tak się stanie i on przez was odejdzie, to któregoś dnia wróci i się zemści.

– Co? Przyjdzie do biura z kałachem i nas pozabija? – roześmiał się nerwowo.

– Nie, zajdzie w pewnych strukturach tak wysoko, jak to możliwe, żeby któregoś dnia was wszystkich udupić na amen. A za każdym razem, gdy będzie mu ciężko, wspomni na was i wasze głupie gęby, zaciśnie pośladki i pójdzie dalej. Jeśli jednak jest kretem, który został wysłany, by was śledzić albo, co gorsza, oceniać, to tym bardziej musicie być mili. Rozumiesz teraz, co mam na myśli, mówiąc, że widzisz fakty powierzchownie?

Nic nie odpowiedział. Odwrócił głowę w stronę telewizora i przygryzł wargę.

– Wasz debilizm jednak nie na tym polega, kochanie – ciągnęła dalej.

– No, to teraz się dowiem... – mruknął.

– On polega na tym, że głównym motywem waszego postępowania jest to, że chcecie sobie przy tym chłopaku poprawić własne, malutkie ego. Sądząc po tym, jak po nim jedziecie, jest naprawdę tycie.

– Nie sądziłem, że możesz tak po mnie jechać. – Na jego twarzy pojawił się grymas zranionego chłopczyka.

– Miło ci?

– Nie! A co ty myślałaś, że fajnie słyszeć od własnej żony, że mam głupią gębę i małe ego?! – Wyprostował się znowu.

– Temu całemu Sisorowi też nie jest miło – odparła ze spokojem. – Pomyśl, co się z nim w środku dzieje, kiedy codziennie robicie z niego pośmiewisko. Jest bardzo młody, więc jesteście dla niego autorytetami, obecnie największymi.

– W sumie racja. – Oparł głowę na dłoniach, a łokcie na kolanach. Kiwał się chwilę w tył i w przód, jakby się nad czymś zastanawiał.

Odłożyła talerzyk i podeszła do niego. Wcisnęła się na kolana Łukasza, który udawał przez chwilę, że stawia opór. Objęła jego szyję i ugryzła go lekko w ucho.

– I tak uważam, że jesteś najfajniejszym facetem na Ziemi.

– Nawet z malutkim ego? – Wcisnął nos pomiędzy jej obojczyk a szyję.

– Nawet z głupią gębą.

– Boże, to jacy straszni muszą być inni!

– No i są. Dlatego jestem z tobą.

Przeprowadzenie takiej rozmowy – wbrew temu, co można by przypuszczać po spokojnym zachowaniu Justyny – nie było łatwe. Powstrzymanie się przed niekontrolowanym wybuchem emocji i żalu, który niespodziewanie zalał kobietę od czubka głowy po palce u stóp, kosztowało wiele wysiłku. Był moment, kiedy nie miała zamiaru poruszać z Łukaszem tematu i puścić mimo uszu jego opowieści, ale dotknął nimi pewnej struny w duszy, która właśnie wydała dźwięk.

Wieczorem zadzwonił Mirek. Miała nadzieję, że to szef, choć sama nie wiedziała, czego po nim oczekuje.

– Cześć – mówił zdyszany, jakby szybko szedł. Pewnie biegł po jedną ze swoich córek, która chodziła na lekcje baletu. – No, to dowiedziałem się, że Józwiński był w biurze, usłyszał od Marty, że odeszłaś i był, delikatnie mówiąc, niezadowolony...

– To znaczy, że coś mówił albo źle się zachowywał?

– Nie, no... Marta zeznała, że miotał się chwilę przy twoim biurku, a potem wypytywał kolejnych pracowników, czy czegoś na twój temat nie wiedzą... yyy... to znaczy, czy nie wiedzą, gdzie poszłaś i czy zmieniłaś pracę. Ta mała idiotka była gotowa dzwonić do ciebie od razu, bo jak twierdziła, było jej go żal, że tak bardzo chciał cię zobaczyć...

– Matko! Ukręć jej szyję.

– W końcu jednak tego nie zrobiła, a on poleciał do Gośki do kadr.

– Sukinsyn! O co... – Podniosła głos, ale szybko stłumiła wybuch, oglądając się nerwowo, czy Łukasz czegoś nie usłyszał. – O co mu chodzi? Kto to w ogóle jest?

– No, ja nie wiem... Myślałem, że ty jesteś lepiej zorientowana.

Nabrała powietrza w płuca i, powstrzymując łzy, patrzyła w sufit.

– W każdym razie – ciągnął wciąż zdyszany Lubicki – poszedł sobie i niczego się nie dowiedział, jeśli wierzyć Marcie i Małgosi, którą też dyskretnie przepytalem. A poza tym... poza tym byłem w twojej sprawie u Słotwińskiego.

– Tak? – ożywiła się. – I co?

– W sumie to nic. Podpytywał, co u ciebie i co mogło spowodować twoją nagłą decyzję.

Mówił, że widywał, jak czasami pijemy razem kawę, więc może coś wiem. Nie chciałem kłamać... – zawahał się – więc powiedziałem, że wiem o pewnej sprawie, ale bez twojej wiedzy nie chcę mu o niej opowiadać.

– Rozumiem. Dobra odpowiedź.

– Jedyna słuszna w tej sytuacji, wydaje mi się. Pytał, czy to ma znaczący wpływ na twoją pracę i czy uważam, że przez to nie będziesz w stanie wrócić do firmy. Odparłem, że póki się ten problem nie rozwiąże, lepiej, żebyś została w domu. I tyle. Kazał mi wracać do obowiązków i siedział w swoim gabinecie.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. Słuchaj, ta robota nie jest niczym ekscytującym, ale uważam, że dajesz sobie radę i Słotwiński to widzi i docenia... No, może trochę słabo to okazuje. Ale szkoda by było, gdybyś odeszła przez jakiegoś świra. Powinnaś powiedzieć o wszystkim Łukaszowi, bo widzę, że naprawdę się kolesia boisz... i pewnie masz powody. Sam próbowałem to jakoś sobie w głowie poukładać i zrozumieć, czego może chcieć. Ale tym bardziej trzeba to rozwiązać i go po prostu posadzić, bo może to nie pierwszy raz, gdy za kimś łązi i jest nachalny. Twój mąż siedzi w policji, wie, jak to załatwić.

– Tak, masz rację. – Trudno było odeprzeć takie argumenty. – Dziękuję tym bardziej za pomoc.

– Spoko. – Odgadła, że Mirek się uśmiecha. – Dobra, kończę, bo jestem już na miejscu. Trzymaj się i uważaj na siebie.

– No, na razie.

Oparła się o zlew i stała nieruchomo, patrząc przez okno. Było już ciemno, ale dobrze z tego miejsca widziała bramę wjazdową na osiedle.

Do kuchni wszedł Łukasz. Podeszedł i objął ją ramionami.

– Na co patrzysz?

– Co? A... na nic. Rozmawiałam z kolegą z pracy i myślę o tym, co mi powiedział... Ale widzę, że ktoś chce wjechać na osiedle.

Łukasz spojrzał przez okno.

– No, a Zdzich nie chce go wpuścić. Normalne. Pewnie ktoś przywiózł komuś meble, a właściciel nie chce wyjść do stróżówki.

– Myślisz, że to dostawczy?

– No tak. Przecież widać, że to jakiś większy van.

– Ale nie jest oznaczony. – Zmarszczyła brwi. – Poza tym, kto vanem wozi meble?

Łukasz wzruszył ramionami.

– Pewnie ktoś na czarno rozwozi towar po mieście i nie chce rzucać się w oczy.

– Ej! – Spojrzała na niego znad ramienia. – Powinieneś wykazywać się większą czujnością jako stróż prawa i porządku. Ktoś może rozwozi narkotyki albo broń.

– Może, ale nie mam ochoty się teraz tym przejmować.

– No, ładnie. A więc to tak działają nasze służby.

– Oj tam. Zobacz, Zdzich jest najlepszym stróżem prawa w okolicy. Nie wpuścił ich. I jakiś Kowalski nie będzie miał dzisiaj dostarczonego kompletu wypoczynkowego.

I naprawdę ze zwykłego lenistwa jakiemuś Kowalskiemu nie chciało się przejść kilkaset metrów, żeby wpuścić dostawcę, pomyślała, ale nie podzieliła się tą uwagą z mężem.

Łukasz siedział w salonie i dumał nad papierami. Justynie przyszło do głowy, że przygotuje mu na drugi dzień coś do jedzenia. Wspominał, że będą z Tomkiem siedzieć na obserwacji i nie wiadomo, jak długo im zejdzie. Wyciągnęła z lodówki sałatę, świeże warzywa i wędzonego indyka. Zabierała się za przygotowanie sosu, kiedy zadzwonił telefon.

Słotwiński!

– Justyna Meyer, słucham. – Miała jego numer, ale wolała nie wyskakiwać z pretensjonalnym „słucham, panie dyrektorze”.

– Słotwiński. Dobry wieczór.

– Dobry wieczór, panie dyrektorze.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Nie, mogę rozmawiać.

– Dobrze. Pani Justyno, mam dla pani propozycję. W zasadzie to dwie.

– Tak?

– Rozmawiałem z prezesem Jakubowskim w sprawie warunków pani zatrudnienia.

Rozmowa była praktycznie formalnością, bo nie pamiętam, żeby pan Konrad kiedykolwiek zakwestionował moje sugestie odnośnie pracowników mojego działu – roześmiał się, mówiąc to.

– No, ale zapytać trzeba. No i prezes zgodził się na wprowadzenie pewnej modyfikacji, jeśli oczywiście pani się zgodzi i wyrazi chęć pozostania w naszej firmie.

– Czego miałyby dotyczyć ta modyfikacja? – Rozbolały ją nogi, więc przeszła do sypialni i usiadła na łóżku.

– Z racji tego, że praca nie wymaga od pani ciągłej obecności w biurze, zaproponowałem, by wykonywała ją pani w domu. Przynajmniej przez okres próbny. Moglibyśmy sprawdzić, czy to zdaje egzamin i czy jest pani zadowolona. Co pani na to?

– Brzmi dobrze. W sumie jestem bardzo mile zaskoczona... – Pierwszy raz od wielu dni poczuła, że na myśl o firmie B.S.K. nie robi jej się duszno.

– Cieszę się. Proponuję, żeby przyszła pani w poniedziałek i po prostu zawarła nową umowę, z nowymi warunkami godzinowymi. Co do płacy... Wie pani, nie widzę powodu, żeby ją zmniejszać, ale mogę zasugerować, żeby rozważyła pani formę samozatrudnienia.

– Mam być wolnym strzelcem?

– Proszę się nie obrażać czy bać, że w ten sposób ktoś chce panią odsunąć z firmy.

Dobrze pani wie, że tego nie chcę. Jednak własny biznes otworzy panią na szerszą działalność.

– Na przykład?

– Choćby w naszej firmie. Być może nie powinienem pani tego tak otwarcie mówić, ale w obecnych strukturach nie mam możliwości zaoferowania pani czegokolwiek więcej ponad to, co pani robi. A chciałbym pani coś zaproponować... I to jest ta druga sprawa.

Nie mogła być bardziej zaskoczona.

– Czego dotyczy?

– Mam prośbę, żeby napisała pani analizę sytuacji na rynku diamentów. Wie pani, że przymierzamy się dość poważnie do zainwestowania w ten biznes, mimo że wielu nam to odradza. Siedzi pani trochę w faktach, na pewno wyrobiła sobie pani zdanie w tym temacie. Proszę przyjrzeć się mu także od strony gospodarczej i historycznej: coś poczytać, poszukać w sieci. Niech pani spróbuje odpowiedzieć na pytanie, czy zarzuty o nierentowność kopalni, w które zamierzamy inwestować, są słuszne i co z kosztami zatrudnienia. Chcę, żeby rozwinęła pani swoją kreatywność, a nie sugerowała się opiniami kogokolwiek, na przykład Walczaka.

– Dobrze... Na kiedy chce pan taką analizę?

– Bez pośpiechu. Niech się pani do tego porządnie przyłoży.

– Rozumiem. A co ma do tego samozatrudnienie?

– Gdyby przygotowała pani taką analizę jako firma zewnętrzna, mogłaby pani wystawić nam fakturę. Ja ją bardzo chętnie podpiszę. Aha, jeszcze jedno. Przejrzałem pani CV... Powinna pani uzupełnić wykształcenie. Pewnie wiele pani na tych magisterskich studiach nie nauczyła, ale to zawsze lepiej niż licencjat.

– Panie dyrektorze, mogę o coś zapytać?
– Oczywiście!
– Pracuję w tej firmie ponad rok i do tej pory miałam wrażenie, że w ogóle nie jestem dostrzegana, jakbym była powietrzem... A teraz... Chcę odejść, a pan rysuje przede mną arcyciekawą ścieżkę rozwoju zawodowego. Coś się zmieniło?
Westchnął głośno.
– Pani Justyno... Powiedzmy, że widzi pani tę rzeczywistość powierzchownie. Zaraz padnę. Dobrze, że Łukasz tego nie słyszy.
– Mówiła pani o ludziach, którzy w korporacjach nic nie robią albo udają, że robią. I oczywiście taka jest prawda. Złości panią nierówny podział obowiązków i usadowienie pewnych ludzi na nieodpowiednich stanowiskach. I to też jest fakt. Ale gdyby widziała pani tę strukturę głębiej, zobaczyłaby, że wszystko to jest grą, którą ktoś toczy po swojemu. Komuś zależy na tym, żeby byli tacy ludzie jak Walczak, który nie odróżnia lewej od prawej. Żeby byli pracownicy, którzy, jak pani, wykonują swoją pracę i idą do domu bez odzywania się. Zależy mi, żeby się pani odzywała... ale nie głośno. Układ zależności w B.S.K. jest obecnie taki, że nie byłoby to mile widziane. Mogłaby pani nadepnąć niejednemu mocno na odcisk...
– Panu?
Roześmiał się.
– Jest pani naprawdę dobra. Mnie. Bo odbiłoby się to na mnie, bez dwóch zdań. Ale ja też rozgrywam swoją grę...
– I chce się pan mną posłużyć.
– Widzi pani, właśnie dlatego chcę mieć panią po swojej stronie barykady.
– Czyli ta propozycja z pracą w domu jest próbą odsunięcia mnie od centrum wydarzeń.
– Tak. Chcę rozegrać pewną partię, ale nie mogę swoich asów pokazywać przed jej zakończeniem. Planowałem wcisnąć panią w te diamenty już jakiś czas temu. Nie było jednak ku temu sposobności. W zasadzie pani decyzja była dla mnie jak dar z niebios. Chciałem zrobić z pani młodszego analityka, ale teraz to po prostu niemożliwe. Nie mam dobrych notowań. Na górze się gotuje...
Zamilkł na chwilę, jakby zastanawiał się nad tym, co chce powiedzieć.
– Pani Justyno, jutro na pani koncju powinny pojawić się pewne środki.
– Jakie środki?!
– Premia. Dwukrotność pani wynagrodzenia, pomniejszona jedynie o podatek.
– Za co? – Serce zabiło jej mocno, choć nie tylko z radości.
– Za analizę o Wenezueli.
– Jaką ana...? Tę naszą rozmowę?
– Tak. Musiałem się nagimnastykować, żeby znaleźć odpowiedni powód, by dać pani tę premię. Udało się zamaskować to Chinami i jakimiś jeszcze drobiazgami.
– Ale dlaczego?
– To na zachętę. – Uśmiechał się, wyczuwała to wyraźnie. – Góra się gotuje właśnie przez Wenezuelę. Przedstawiłem na zebraniu Zarządu moją decyzję odnośnie wycofania współpracy ze Stanami. Chcieli mnie zjeść...
– Ktoś jest pewnie przekupiony – wyrwało jej się.
– Jest pani urodzonym analitykiem, pani Meyer. – Szef był mocno rozbawiony.
– Oczywiście, że tak. Żona wiceprezesa Adamiaka siedzi w ich kieszeni od jakiegoś czasu. Wiedzieli, jak podbudować jej niespełnione ambicje. Pozostałem jednak nieugięty. Jeszcze tego samego dnia Amerykanie wpadli w popłoch. Potwierdziły się pani przypuszczenia. Chcieli znowu zasiadać do negocjacji, ustalać nowe warunki. Też się nie zgodziłem. Prezes Jakubowski

jest właśnie z Majewskim nad Atlantykiem, lecą podpisywać warunki umowy. W poniedziałek zostaną uruchomione potężne środki na rozpoczęcie inwestycji.

– Wenezuelczycy podpiszą?

– Tak. I w tym też miała pani rację: wolą to robić tylko z nami.

– To chyba dobrze?

– I to bardzo. Należy się pani za to znacznie więcej, ale myślę, że znajdę jeszcze sposób, żeby panią wynagrodzić.

W tym momencie Justyna miała ochotę się rozplakać. Tyle się namęczyła w tej cholernej firmie, tyle zaciskania zębów i tyle nerwów... A wystarczyło raz być szczerą, żeby się to wszystko zmieniło.

– Pani Justyno, rozgrywanie ludźmi w korporacjach nie zawsze polega na tym, że pozwala się im nie pracować. Czasami, a nawet bardzo często, wyciska się z nich wszystko, co mają, a potem wyrzuca na bruk jak zużytą oponę. Ta samodzielność, którą pani sugeruję... Chciałbym, żeby pani tego uniknęła, kiedy ktoś pojmie, ile ma pani do zaoferowania. Niech się pani szybko uczy być z dala od tego typu sytuacji. Życzę dobrej nocy i do zobaczenia w poniedziałek.

Rozłączył się szybko, nawet nie zdążyła powiedzieć „dziękuję”. Siedziała w ciemnej sypialni i czuła, że cała drży. Chciała pobiec do Łukasza i mu o wszystkim opowiedzieć, ale pomyślała nagle, że chce najpierw ochłonąć.

Nie będą musiała ruszać TYCH pieniędzy. Ta refleksja przyszła nagle, choć wydawało się, że jest bez związku ze sprawą.

Czy to jest dla mnie najważniejsze? Pierwsze, o czym myślę, to pieniądze, których nigdy nie chciałam wydać.

Żeby odgonić te rozważania, wstała i poszła zobaczyć, co robi Łukasz. Rozmawiał przez telefon, to znaczy co sekundę powtarzał tylko „aha, aha” albo „czaję, czaję”. To mógł być tylko Tomasz i to z jakimiś dobrymi wieściami, bo Łukasz lekko podskakiwał na kanapie wyraźnie czymś podekscytowany.

– Dobra, dobra, Tomuś, zadzwonię rano. No, bądź na parkingu po ósmej. Tak, jasne. No, cześć.

Nie zauważył, jak weszła. Rzucił komórkę obok siebie, klasnął w dłonie i potarł nimi szczęśliwy jak mały chłopczyk.

– Co „Tomuś” ci takiego powiedział? – zapytała rozbawiona.

Podskoczył, nieco wystraszony, ale chwilę potem szeroko się uśmiechnął.

– Jest! Jest! Mamy drania.

Pociągnął Justynę do siebie i rzucił na kanapę obok. Zaczął ją ścisnąć i laskotać, aż doprowadził ją do spazmów śmiechu.

– Wreszcie go dopadniemy, zakujemy w kajdanki, wsadzimy do ciupy, a resztą niech się zajmą więźniowie. – Justyna nie mogła złapać już oddechu, więc zaprzestał swoich „pieszczot” i położył się obok niej, wtulając głowę w jej piersi. – Mam już tak dość tego fagasa i tego, że siedzi na wolności, że najchętniej sam bym go pomęczył, najlepiej jakimś prądem.

Głaskała Łukasza po głowie, myśląc, że nie będzie mu teraz opowiadać o rozmowie z szefem. Kiedy Łukasz był czymś równie mocno zaabsorbowany, nic innego do niego nie docierało. Mógłby nawet nie do końca zrozumieć, co do niego mówi. Usłyszała dźwięk przychodzącej wiadomości na swojej komórce. Odsunęła lekko męża i poszła do sypialni zobaczyć, kto napisał.

– Zostaw – krzyknął Łukasz, nie ruszając się z miejsca. – Na pewno jakaś loteria i piszą, że wygrałaś piątego mercedesa w tym miesiącu.

- To muszę odebrać – roześmiała się.
 - Nie no, coś ty! Gdzie my postawimy te wszystkie mercedesy?
- Wiadomość była od Słotwińskiego.

Jutro przed południem kurier dostarczy Pani przesyłkę z laptopem i paroma dokumentami. Proszę odebrać. Pozdrawiam – W. Słotwiński.

Weszła do kuchni, odłożyła telefon na lodówkę i zabrała się za kończenie sałatki dla Łukasza.

- Idę się kąpać. – Zerknął do kuchni, ale gdy miał się odwrócić, coś mu się przypomniało.
- Aha, na sobotni wieczór mamy zaproszenie na ten wernisaż.
- Jaki znowu wernisaż? – Ostatnie, o czym marzyła, to bieganie w sobotę po galeriach.
- No wiesz – skrzywił się – żony Sławka.
- Nie, proszę cię. – Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. – Ona robi te okropne...
coś.
- Wiem, ale prosił, żebyśmy przyszli zrobić tłum. Wszyscy w Biurze dostali zaproszenia, i to po kilka. Jeśli masz kogoś, kto by poszedł... są u mnie w torbie na laptopa.
- Chyba żartujesz! Żeby mnie ten ktoś potem znienawidził do końca życia?!
- Kotek... Zrobmy to dla Sławka. Mówi, że jak nikt nie przyjdzie, to nici z seksu przez rok. Ona się załamie.

– Kotek, zrobmy to dla sztuki – nie idźmy! Ta idiotka będzie myślała, że jest świetną artystką. Ktoś powinien dać jej do zrozumienia, że nią nie jest.

Łukasz odwrócił się i wszedł do łazienki, ale wychylił jeszcze głowę zza drzwi.

– W sobotę o dziewiętnastej. Wejdziemy, podamy dłoń i uciekniemy.

Schował się i zamknął za sobą drzwi.

– Oczywiście – mruzczała do siebie, maltretując mięso indyka wielkim nożem. – A potem się potniemy i będziemy mieć nocne koszmary.

Justyna spała tej nocy bardzo źle. Śniły jej się koszmary z Józwińskim w roli głównej. Byli w galerii, w której wisiały psychodeliczne obrazy Sławkowej połowicy. Justyna chodziła od obrazu do obrazu, szukając jednocześnie wyjścia, ale miała wrażenie, że jest w wielkim labiryncie. Józwiński chodził za nią, próbując jej dotknąć. Czasami jego twarz namalowana była na którymś z tych bohomazów, a wtedy ożywała i śmiała się jej prosto w oczy diabelskim śmiechem. Obudziła się, kiedy już ją złapał w swoje łapy, z uczuciem, że ktoś naprawdę trzyma na jej ciele ręce. Jednak nie była nawet przykryta kołdrą. Łukasz leżał na boku na swoim skrajem łóżka.

Patrzyła w sufit, ciężko oddychając. Bała się jeszcze bardziej, bo już miewała ten rodzaj snów – one zawsze coś oznaczały. Wstała, żeby napić się wody i kiedy przechodziła obok drzwi wejściowych, jej wzrok padł na zwisający na nich łańcuch. Podeszła z bijącym sercem i nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte.

– Łukasz, kurrr... – syknęła przerażona. Zamknęła gwałtownie drzwi i przekręciła górny zamek. Założyła też łańcuch.

Jej mąż miał obsesję na punkcie zamkniętych drzwi. Pytała go kiedyś, czy jak był mały, to rodzice go zamykali na strychu albo w piwnicy. Zapierał się, że to nie obsesja. Dużo wody upłynęło w Wiśle, nim przyznał się, że kiedyś zamknął się po wejściu do mieszkania i odłożył gdzieś klucze, których nie mógł znaleźć, kiedy musiał szybko wybiec do pracy. Był wtedy młodym, początkującym policjantem. Nie zjawił się na ważnej akcji, a koledzy szydzili z niego dobrych kilka miesięcy z tego powodu. Od tego czasu wołał, żeby drzwi były otwarte – tak na

wszelki wypadek, co było dla Justyny niezrozumiałe, skoro mieli drzwi zamykane od wewnątrz, a nie na klucz, wystarczyło tylko przekręcić gałkę. Wiele razy łapała go na tym, jak bezwiednie niemal sunie wieczorem w stronę wejścia i sprawdza, czy drzwi są otwarte. Tłumaczył, że mieszkają na strzeżonym osiedlu, a drzwi do klatki są otwierane kodem. Uważał, że takie zabezpieczenie w zupełności wystarczy. Justyna jakoś znosiła tę fanaberię, ale dziś poczuła, że ma jej dość. Rano powiedziała mu o tym przy śniadaniu.

– Chcę, żebyś je zamykał. Bardzo cię o to proszę.

– Dobrze, kochanie – powiedział to tonem, którego nienawidziła tego dnia, choć zazwyczaj jej nie przeszkadzał. Oznaczał, że po sekundzie Łukasz nie będzie pamiętał ani jej, ani swojej wypowiedzi. Smarował dalej swoją grzanekę masłem, nawet nie podnosząc głowy.

On już jest na tej obserwacji. Już zakłada Frankowskiemu kajdanki na ręce, westchnęła cicho i pokręciła głową, zrezygnowana.

Spakowała sałatkę z indykiem, dorzuciła kilka kromek chleba, serwetki i plastikowy widelec. Wcisnęła Łukaszowi pakunek do rąk i nastawiła usta do buziaka. Ucałował ją mocno i z pasją, przyciskając wolną ręką do siebie.

– Pa, kochanie. Życz mi szczęścia.

– Życzę. Zawsze życzę. – Patrzyła mu głęboko w oczy, czując w żołądku ucisk. Bała się. Każdego dnia czuła strach o jego życie i zdrowie. Nikt nie mógł odczytać tego z jej zachowania, ale bycie żoną Łukasza to ciągle stres, nad którym nie dało się zapanować.

– Odpocznij. – Pocałował ją w nos. – I niczym się nie przejmuj.

Uśmiechnął się ciepło i wyszedł.

Drzwi zamknęła dokładnie. Było przed ósmą, więc pomyślała, żeby położyć się jeszcze na chwilę, ale zrezygnowała z tego i poszła do kuchni zrobić porządek. Stała przy zlewie i wyjrzała przez okno. Zobaczyła Łukasza idącego szybkim krokiem w stronę bramy. Kiedy zniknął jej z pola widzenia, pod stróżówkę podjechał van – ten sam, którego widzieli wieczorem. Zdych skończył swoją zmianę o szóstej, teraz pracował inny ochroniarz, którego imienia nie знаła. Nie lubiła go, bo rzadko odpowiadał na „dzień dobry” i robił przykre uwagi, kiedy wracało się późno, a on musiał wstać i otworzyć furtkę. W przeciwieństwie do swojego poprzednika jednak nie był tak restrykcyjny, jeśli chodzi o sprawdzanie tych, co chcieli wjechać na osiedle. Teraz nawet nie wyszedł, tylko po prostu otworzył bramę. Van, ciemnogrnatowy mercedes z przyciemnionymi szybami z tyłu, podjechał pod ich klatkę. Z szoferki od strony pasażera wysiadł wysoki, napakowany mężczyzna. Miał na głowie czarną bejsbolówkę, więc nie mogła dostrzec jego twarzy. Mimo że nosił skórzaną kurtkę, widziała, że ma potężne ramiona. Podeszedł do wejścia do klatki i zniknął jej z pola widzenia. W tej chwili pod stróżówkę podjechał wóz dostawczy DHL-u, więc w sekundę straciła zainteresowanie „pakerem” z mercedesa, bo przypomniało jej się o przesyłce z firmy. Spojrzała po sobie i stwierdziła, że musi się nieco ogarnąć. Zawiązała mocniej szlafrok i przeczesła szybko włosy. Kurier nie wjeżdżał na osiedle, tylko przed bramą wysiadł z ciężarówki i wyciągnął z tyłu dwa większe pakunki.

Mój komputer, pomyślała od razu. Zaabsorbowana swoim wyglądem i spodziewaną wizytą przedstawiciela DHL-u, nie zwróciła uwagi na dziwne odgłosy dochodzące spod drzwi mieszkania. Gdyby teraz przed nimi stała, zobaczyłaby, jak ktoś naciska na klamkę, ale bez rezultatu. Kiedy kurier zadzwonił domofonem, ten ktoś się spłoszył i zaczął szybko zbiegać po schodach...

Młody chłopak z czerwono-żółtej bluzie i w czapce z daszkiem był już nieco zdyszany, kiedy dotarł na trzecie piętro. Otworzyła mu szybko drzwi, żeby nie musiał czekać. Postawił pakunki na podłodze i ciężko westchnął.

– Jakiś debil mało mnie nie zabił na pierwszym piętrze. Zbiegał po schodach, jakby się

palilo.

– Gdzie mam podpisać?

– O, tutaj. – Podał jej dokument na desce z klipsem. – Bardzo pani dziękuję. Miłego dnia.

– Ja również dziękuję. I niech pan uważa na kolejnych debili.

– Jasne – roześmiał się, już na progu. – Czasami mam wrażenie, że są dni, gdy jest ich

więcej.

Ja też, pomyślała w duchu Justyna. Wniosła paczki do kuchni i postawiła obok lodówki.

– Trzeba będzie sobie zorganizować jakieś stanowisko pracy.

Zerknęła z ciekawości przez okno i skonstatowała, że mercedes odjechał, a kurier właśnie prześlizgiwał się przez zamykającą się bramę.

Rozdział 3

Siedzieli z Tomkiem pod kamienicą Frankowskiego od dobrych dwóch godzin. Miała to być tylko obserwacja, ale z racji zdobycia na faceta bardzo poważnych dowodów, które pozwalały skazać go na co najmniej dekadę więzienia, stali się częścią większej obławy. Cieszyli się wszyscy. Szef powiedział, że jak przed weekendem zamkną Frankowskiego, to urznie się w sobotni wieczór i będzie miał wszystko w dupie. Wieczorem poprzedniego dnia na jego biurku znalazły się nareszcie stosowne dokumenty, które pozwalały na zebranie całej ekipy i załatwienie wsparcia oddziałów specjalnych. Przypadkowy przechodzień nie mógł wiedzieć, że stojące właśnie w tym kwartale samochody i kilka busów z przyciemnianymi szybami pełne są uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy, którzy czekali tylko na sygnał, żeby wyskoczyć i ruszyć do akcji. Wszystko wyglądało zwyczajnie i tylko wnikliwy obserwator mógł dostrzec, że facet z gazetą przy kiosku na rogu ma w uchu małe urządzenie, dzięki któremu może słyszeć, co mówią inni.

Łukasz i Tomek ubrani byli po cywilnemu i siedzieli w aucie na cywilnych tablicach, ale nie byli w grupie tych, co znajdowali się najbliżej. Nie było nawet powiedziane, że będą brać udział w aresztowaniu. Mimo to pod koszulami mieli założone kamizelki kuloodporne, a pod kurtkami trzymali po dwie sztuki broni.

– Dwie kłamki to chyba przesada, co? – wymamrotał Tomasz, przeżuując pączka popijanego zimną kawą z papierowego kubka.

Łukasz wzruszył ramionami. Irytowały go nawyki żywieniowe kolegi, który później narzekał na swój niedoskonały wygląd, ale Łukasz starał się zwalczać pokusę mówienia mu tego za każdym razem, gdy widział go ze śmieciowym żarciem w dłoni. Lubił go za bardzo, żeby to było aż tak istotne. Spędzali razem dużo czasu, zwłaszcza po rozwodzie Kotowicza.

– Ja tam nie wiem. – Machnął ręką. – Stary chciał dwie, to mamy dwie. Zawsze to dwa razy więcej ognia pod ręką.

– Nie-e. – Tomasz pokiwał paluchem Łukaszowi przed nosem. – Chodzi o to, że niektórzy nie potrafią szybko wymieniać magazynków.

– Kto nie potrafi?

– Sisor.

Łukasz spojrzał na niego z politowaniem.

– Mam ci przypomnieć twoje początki?

– No, dawaj! Ja zawsze szybko zmieniam magazynek. Zawsze byłem szybki.

– Strzelnica wojskowa, Wesoła, jeździliśmy tam jeszcze jako początkujący policjanci.

Pamiętasz?

– Nie. – Na policzkach pojawił mu się szkarłatny rumieniec. – Niczego nie pamiętam.

– Rok dwa tysiące czwarty. Strzelanie z Glauberytu, PM-84, kaliber 9 milimetrów...

– A, z tego gówna. Tak, coś sobie przypominam. Z tego się nie dało strzelać. Zacinał się.

– Jasne, zacinał... Strzelanie w ruchu. Trzeba było oddać strzał do pierwszego celu, zrobić rundkę wokół wiatki i strzelić do następnego. Obserwowały nas takie dwie panie w mundurach, jedna była kapralem, a druga sierżantem.

Tomek nie spojrzał na Łukasza nawet przez sekundę, ale ten i tak wiedział, że kolega wie, o czym mowa.

– One obok miały strzelanie z kbk. Stały sobie w hełmach i patrzyły, jak Tomasz Kotowicz, zwany Kotem, biegnie ze swoim pistoletem maszynowym i miota się z magazynkiem, mijając wiatkę.

– Nie miotałem się.

– Oj, miotałeś, miotałeś. Nie mogłeś długo trafić do celu numer jeden, więc wystrzelałeś cały magazynek. Do dziś nie wiem, czy cel przypadkiem sam nie opadł, bo minął czas. I próbowałeś w biegu pod tą wiatką zmienić magazynek. – Łukasz zaczął chichotać. – I jak go włożyłeś, to ci wypadł. Normalnie rąbnął o beton i zadźwięczał aż miło.

Śmiał się dłuższą chwilę, mimo że widział, jak w koledze narasta irytacja. Oparł się w końcu o zagłówek fotela i zerknął na Tomka.

– To było niesamowite. Panie żołnierki rechoczą się z tego pewnie do dziś. One z tymi swoimi kałachami, a ty ze swoim małym Glaubercykiem.

Tomek odwrócił głowę w jego stronę. Minę miał groźną, ale w oczach pojawiły się iskierki rozbawienia. W pewnej chwili widać było, że i jemu chce się śmiać, więc szybko zwrócił twarz do szyby.

– Włożyłem go odwrotnie – wycedził przez zęby, ledwo słyszalnie.

– Że jak? – Łukasz nadstawił ucho. – Co odwrotnie?

– Włożyłem ten cholerny magazynek odwrotnie.

– Co? Do góry nogami?

– Nie! Tyłem na przód.

– Ale jaja. – Łukasza zaczęła boleć przepona ze śmiechu.

Po sekundzie śmiali się obydwaj.

– To może i Sisiór się wyrobi? – Łukasz wytarł łzę z kącika oka.

– Może. – Tomek chrząknął, jakby zażenowany. – Może kiedyś będzie równie świetny, co ja?

– Nie, to akurat niemożliwe.

Łukasz przechylił się pomiędzy fotelami i z tylnego siedzenia wziął torbę z sałatką.

– Zrobiłem się głodny przez te twoje pączki.

– Mówiłem, że ci kupię.

– Nie, Justynka zrobiła mi sałatkę.

– Nie!

– Co „nie”? – Podniósł zdziwiony wzrok, rozglądając się wokół w poszukiwaniu oznak jakiegoś ruchu. Nic się jednak nie działo.

– Nie będziesz mi tu jadł jakiejś sałatki!

– A czemu nie?

– Nie dość, że jedyna żona, jaką miałem, jest wredną jędzą, a twoja jest kobietą idealną, to musisz mnie dobijać jakąś jej sałatką. „Zrobiła mi sałatkę” – przedrzeźniał go – „moja Justynka”.

Łukasz nie odezwał się, tylko bez odrywania wzroku od Tomka wyciągnął powoli serwetkę papierową, którą położył sobie na kolanach, zdjął pokrywkę pudełka i wbił widelec w jego zawartość. Nabrał sporą porcję i włożył do ust, a następnie zaczął przeżuwać i wydawać dźwięki zachwyty.

– Mmm... rewelacyjna!

– Świnia. – Tomek odwrócił się ostentacyjnie i oparł ręce na kierownicy. – Mam nadzieję, że za sekundę pojawi się Frankowski i nie nażresz się tą swoją zieloną masą z kurczakiem.

– Z indykiem – poprawił go, mówiąc z pełną buzią.

Tomek parsknął zirytowany. Niestety, w uchu nie usłyszał informacji o tym, żeby mieli ruszać się z miejsca. Zapach świeżych warzyw, wędzonego mięsa i sosu drażnił jego nos i spowodował burczenie w brzuchu.

– Ho, ho! – roześmiał się Łukasz. – Ktoś jest głodny.

– Nie jestem. Jadłem pączka.

– No i na wiele ci się zdał. Mówiłem ci, żebyś nie jadł tego gównianego zarcia. Zapycha cię na pięć minut i zaraz jesteś głodny. Zjedz coś, co ma białko, będziesz dłużej syty.

– Mądrała, tra la la la.

– Ja ci tylko dobrze radzę i jak najlepiej życzę.

– A co się stało, że Justynka zrobiła ci taką ucztę?

– Nic. Mówiłem, że może się nam zejść dzisiaj na beczynnym siedzeniu, to mi zrobiła. Ma dobre serce. A poza tym moja żona wcale nie jest ideałem... i właśnie dlatego nim jest.

– No to się zdecyduj.

– Gdyby była idealna, to nie byłaby ani ciekawa, ani do życia. Ma swoje wady, które czasem tylko dodają jej uroku.

– Ciekawe jakie? Od kiedy ją znam, jakoś żadnych nie zauważyłem.

– Oj, Tomaszku, nie przesadzaj. Kiedy poznałem twoją Ewę, też nie mogłem powiedzieć o niej złego słowa. W zasadzie dalej nie mogę... jeśli mam być szczery.

Tomek popatrzył na niego z gniewem.

– Zbiera ci się. To wredna dzzira, która, gdyby mogła, oskubałaby mnie ze wszystkiego. Całe małżeństwo niszczyła mnie swoim krytykanctwem. Każdego dnia słyszałem, jakim jestem nieudacznikiem. Nie podobało jej się, że jestem „zwykłym” nauczycielem historii w „zwykłej” szkole. To zostałem policjantem. Schudłem dwadzieścia kilo, żeby zaliczyć ten cholerny egzamin. Kiedy założyłem mundur, dzień w dzień wypominała mi, że jestem tylko krawężnikiem, że nawet nie potrafię sobie porządnego awansu załatwić... Wszyscy byli lepsi, zawsze był jakiś wzór niedościgniony, który stawiała mi za przykład.

– Ej, przecież całkiem szybko awansowałeś.

– No, szybko... – mruknął cicho.

– Co? – Łukasz przyjrzał mu się uważniej.

– Bo mi się podobało bycie krawężnikiem. Uwielbiałem drogówkę.

– Nigdy nie mówiłeś. Trzeba było zostać, tam też można niezłą karierę zrobić. No i mógłbyś jeździć motorem albo mieć za partnerkę jakąś ładną blondynkę, z którą wypisywałbyś mandaty przy Trasie Łazienkowskiej.

– Łukasz, nie wiesz, o czym mówisz. To ty mógłbyś zostać w drogówce, bo twoja Justyna pewnie nawet byłaby z tego zadowolona. A nawet jakby nie była, to niczego by ci nie zabroniła, nie usłyszałabyś słowa sprzeciwu.

– Pewnie nie. – Mieszał widelcem w prawie już pustym pojemniku. – Nigdy wcześniej o tym w ten sposób nie pomyślałem – powiedział cicho.

– Oczywiście, że nie pomyślałeś! – Tomek wznosił ręce do góry. – Normalne małżeństwo jest jak tlen: dopóki trwa, nie zastanawiasz się nad nim. Jakby ci się coś spieprzyło, to... – Zamilkł nagle. – Wybacz, wcale nie chcę, żeby ci się spieprzyło.

– Spoko, nawet by mi to do głowy nie przyszło. No ale co z tą Ewą? Nie odpuściła nic? Nawet jak awansowałeś?

– Nie. – Pokręcił głową i uśmiechnął się zrezygnowany. – Dopiero jak trafiłem do CBS i poczułem, że teraz to jestem facet z jajami, zacząłem rozumieć...

– Co rozumieć?

– Że jej się nigdy nic nie będzie podobało, że zawsze będzie niezadowolona. – Nabrał powietrza głęboko w płuca, jakby przymierzał się do powiedzenia czegoś ważnego. – Po pierwszej większej akcji, pamiętasz, tej z tym wielkim przemytem na Ukrainę, co wszystkie media się rozpisywały, wróciłem do domu. Byłem zadowolony i z takim niezwykłym poczuciem spełnienia. Wpadłem do mieszkania ze śpiewem na ustach, chociaż ze zmęczenia ślaniałem się na

nogach. Wchodzę do kuchni, ona stoi przy garach, coś pichci. Podchodzę do niej, taki cały roześmiany, z bananem na gębie, chcę ją objąć i przytulić, a ona do mnie z łapami i wali mnie z liścia w gębę. Rozdarła się na mnie, że mam spieprzać, bo śmierdzą i pewnie na dupach byłem. Ja jej na to, że nie, że wielka akcja, narkotyki, przestępcy... W sumie nawet nie powinienem być jej tego opowiadać... A ona do mnie mówi z takim szyderczym uśmiechem: „Ty? W jakiejś akcji? Ty byś nawet gówna za srającym psem nie złapał”. Odwróciła się plecami do mnie i dalej mieszła w tych garach. A wieczorem nakryła do stołu, postawiła te swoje kulinarne dokonania i zawołała mnie, jakby nigdy nic, na kolację. Usiadła i zaczęła wpierdalać. Usiadłem też i patrzę na nią, jakbym nie dowierzał, że to się dzieje naprawdę. Więc ona pyta, czemu nie jem. To nałożyłem sobie na talerz ten gulasz i te ziemniaki i wysypałem jej to na głowę. Rozdarła ryja, że ją parzy i że mnie na policję zgłosi, a ja jej na to, że proszę bardzo i podałem jej nawet telefon.

– Zadzwoiła?

– Coś ty. Darła się jeszcze chwilę, potem poszła do łazienki, umyła się, przebrała i zadzwoniła do koleżanki opowiedzieć, co jej zrobiłem. Była normalnie zadowolona, że może się pożalić na mnie, że dałem jej powód. Wyszedłem z mieszkania, poszedłem w miasto i łąziłem do rana. Dotarło do mnie, że to wszystko na nic, nie dogodzę jej, bo jej się nie da dogodzić. Po dwunastu latach małżeństwa pojąłem, że wcale nie chcę tak żyć.

– Trochę ci się zeszło. – Łukasz skrzywił się nieco.

– No – roześmiał się niespodziewanie. – Jestem zajebiście szybki w kojarzeniu faktów.

– Ale dzięki temu jesteś z nami, jesteś facet z jajami, co łapie bandytów, nosisz dwie spluwy i wszyscy mogą ci skoczyć.

– Aha, jasne. I płacisz co miesiąc zdirze alimenty, żeby cię nie nachodziła i nie robiła awantur.

– No, tego to akurat nie rozumiem.

– Zapewniam cię, wiele byś był w stanie zapłacić, żeby mieć choć trochę spokoju.

Łukasz nic nie odpowiedział. Przygnębiła go ta opowieść równie mocno, co zaskoczyła. Nigdy w życiu nie powiedziałby o Ewie Kotowicz, że z niej taka jędza. Zawsze była miła, uprzejma, a gdy kilka razy robili z Justyną jakąś domówkę, pierwsza przychodziła, przynosiła coś do jedzenia, pomagała obsługiwać gości i ostatnia wychodziła, wynosząc nawet śmieci. Z tego zaś, co mówił Tomek, wynikało, że przez kilkanaście lat był po prostu ofiarą przemocy domowej – psychicznej i fizycznej.

– Co? Nic nie mówisz, bo mi nie wierzysz? – w tonie głosu Tomka można było wyczytać lekką desperację.

– Mylisz się. Znamy się na tyle długo, że powinieneś wiedzieć, że zawsze stoję po twojej stronie.

Łukasz rozejrzał się uważnie po obserwowanej okolicy, wyglądając jakichś oznak poruszenia, ale dostrzegł jedynie, że ten od gazety przy kiosku w końcu sobie poszedł, żeby nie budzić podejrzeń. Pewnie zastąpił go ktoś udający menela w bramie.

– Wierzę ci. – Spojrzał w oczy Tomkowi. – I przeraziło mnie to, co powiedziałeś.

– Powiedziałem ci to, żebyś docenił to, co masz.

– Nie. – Łukasz pokręcił głową. – Powiedziałeś, bo nie można żyć z taką tajemnicą.

Powinieneś dostać baty za to, że mówisz mi o tym dopiero teraz, ale myślę, że jesteś już wystarczająco sponiewierany, żebym miał się nad tobą znęcać.

Łukasz zamyślił się na chwilę i potarł czubkami palców brwi.

– Może uznasz, że zwariowałem, ale uważam, że nie powinieneś jej płacić.

– Co? Nie żartuj! To nie przejdzie. – Tomek pokręcił energicznie głową.

– Powinieneś mieć te pieniądze dla siebie i jeździć za nie do ciepłych krajów na

wycieczki. Za to, co tutaj robisz... Ona ma wasze mieszkanie, to i tak za wiele...

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Łukaszowi nie dawało spokoju to, że przez tyle lat znajomości niczego nie zauważył. Tomek był z tym sam, nie dając nawet cienia podejrzeń, że tak bardzo cierpi. Przypomniały mu się historie maltretowanych kobiet, jeszcze z czasów, kiedy byli policjantami. One nie zgłaszały tych przestępstw, bo czuły się często winne temu, że ktoś się nad nimi znęca. Jeden z psychologów pracujący dla Niebieskiej Linii tłumaczył im podczas jakiegoś szkolenia, że taki wpojono im model rodziny, że to pokłosie patriarchy. Ale Tomek...

Zresztą, kto by mu wierzył?! U nas? Nikt. Bałby się, pewnie słusznie, że będą z niego drwić, więc... on drwił z kogoś jeszcze słabszego.

Pomyślał o tym denerwującym tekście Justyny na temat małego ego.

Moja żona ma chyba więcej rozumu, niż ją o to podejrzewałem.

– Pytałeś o wady Justyny... – zaczął po chwili.

– Nie pytałem, tylko powątpiewałem w ich istnienie. To różnica.

– Jedną z jej „wad” jest nadmierna emocjonalność – ciągnął, nie zważając na komentarz kolegi. – Wszystko bardzo przeżywa, choćby nie wiedzieć jak się starała zachować spokój.

– To nie jest wada.

– No, może nie. – Łukasz uśmiechnął się na wspomnienie, jak popłakiwała poprzedniego dnia w samochodzie, kiedy wracali do domu. – Tyle że ta jej... cecha powoduje różne komplikacje.

– Na przykład?

– Justyna odeszła z pracy.

– O! – Tomek ożywił się. – Wyrwała się korporacyjnym wampirom?

– W sumie nie... Jej szef wysłał ją na urlop bezpłatny. Nie wiadomo na razie, co będzie dalej. Chodzi o to, że coś ją mocno zdenerwowało, co było przyczyną tej nagłej decyzji i na pewno za jakiś czas okaże się, że to błahostka.

– Ale nie wiesz, co to było? – Tomek zmarszczył czoło.

– Nie. Tomek, ja ją znam. Gdyby było coś na rzeczy, nie zgodziłaby się na ten urlop. Po pierwsze, odeszłaby naprawdę, a po drugie, powiedziała by mi, o co chodzi. Coś przeżywa, dusi to w sobie, wyolbrzymia... Trzeba to przeczekać i żyć dalej.

– Mówisz mi o tym, bo...

– Bo... zanim usłyszałem twoją opowieść, chciałem ci pokazać, że pewnymi wadami u swoich kobiet nie ma się co przejmować... – popatrzył na Tomka ze smutkiem – a niektórymi trzeba przejmować się bardzo.

– Myślę, że powinieneś dowiedzieć się, co zdenerwowało w pracy Justynę – powiedział Tomek zdecydowanym tonem, jakby nie słyszał ostatniej wypowiedzi kolegi.

– Czemu tak sądzisz?

– Bo to może nie być objaw hysterii, tylko jakaś poważna sprawa.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Mam: mobbing albo molestowanie.

– Co... co ty...

– Miałem jeszcze w policji kilka spraw, w których tak właśnie wyglądał początek czegoś poważniejszego: żona albo mąż zaczyna zachowywać się niepokojąco, małżonek i rodzina ignorują symptomy, potem problemy narastają, rodzina dalej nic. A po fakcie wszyscy mówią, że niczego nie zauważyli.

– Ale o jakie konkretnie problemy ci chodzi?

– No właśnie molestowanie w pracy, znęcanie się nad pracownikiem. Członek rodziny

czuje się coraz bardziej osaczony, zaszczuty, nikt mu nie wierzy albo boi się powiedzieć. Nie chce odejść, bo czuje się odpowiedzialny za stan finansowy najbliższych albo myśli, że jakoś wytrzyma. I struna pęka.

W głowie Łukasza rósł wielki balon wypełniony koszmarnymi myślami.

Od początku nie lubiła tej pracy, źle znosiła chodzenie do niej. Unikała wyjazdów integracyjnych, z nikim się nie kolegowała...

– O jakiej strunie mówisz? – zapytał cicho.

Tomek westchnął ciężko.

– Różnie. Głównie samobójstwa i ucieczki z domu, połączone z jakimś załamaniem nerwowym. Kiedyś jedna kobieta została po prostu zaszytowana przez gościa, który nachodził ją w pracy, ale nikt nie brał na poważnie tego, że się go boi. Potem się okazało, że był już notowany za napaść i leczony w psychiatryku. A mąż zapierał się, że nic nie wiedział, że nawet był zazdrosny o jakiś urojony romans... Ech, szkoda gadać. – Machnęła ręką. – Naprawdę, sprawdź to.

– Skoro tak mówisz... Zapytam... To znaczy będę pytał, dopóki nie powie, bo pewnie będzie chciała mnie zbyć. W zasadzie to już mnie zbyła. – Pokręcił głową, jakby nie dowierzał, że to mówi.

Nagle aresztowanie Frankowskiego przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Języczek wagi, na której szalach kładzie się różne sprawy ze swojego życia, znalazł się po stronie, gdzie leżało jego małżeństwo i przyjaźń. Pomyślał, że gdyby to stracił, całe jego życie ległoby w gruzach i żadna, nawet największa na świecie, akcja łapania gangsterów i przemytników nie miałaby znaczenia.

– Coś mi dziś rano mówiła... – powiedział to raczej do siebie.

– Co?

– Wspominała przy śniadaniu, że bardzo ją zdenerwowało, że zostawiłem na noc otwarte drzwi. Była naprawdę zła.

– Dalej zostawiasz... Meyer, gdzie ty masz głowę! – Tomek pokręcił głową z dezaprobatą. – Co ci konkretnie powiedziała?

– Żebym tego nie robił... Ale w sumie to nie słuchałem.

Tomek nic nie odpowiedział, pokiwał tylko głową.

Rozdział 4

Umówili się o osiemnastej w Złoty Tarasach. Łukasz zaproponował kino, a potem jakiś spacer, może nawet do samego domu. Zobaczył Justynę, gdy wolnym krokiem spacerowała po drugim poziomie, nie patrząc nawet na witryny sklepowe. Na jej twarzy zagościł szeroki uśmiech, kiedy zobaczyła swojego ukochanego.

– Cześć! Wszystko się udało? – Objęła go rękami w pasie.

– Udało się.

– Ale nie skaczesz ze szczęścia.

– No, nie skaczę. Jak go złapaliśmy, okazało się, że bardziej cieszy mnie myśl o obejrzeniu z tobą filmu.

– Większa adrenalina? – roześmiała się.

– No właśnie, nie wiadomo, co się może wydarzyć. Kupujemy popcorn?

– Rany, to już całkiem mainstreamowi będziemy. Wielkie centrum handlowe, wielki multiplex i jeszcze wielki popcorn z ogromną colą. – Spojrzała na niego, kręcąc głową.

– Oczywiście, że kupujemy popcorn!

Projekcja filmu, z racji premiery, odbywała się w największej sali. Wybrali film animowany, bo ani na komedię romantyczną, ani na strzelaniny i pościgi nie mieli chęci.

– Romantycznie będziemy mieli, jak wrócimy do domu – argumentował Łukasz

– a strzelaniny i pościgi...

– Tak, mogłyby odbiegać nieco od rzeczywistości.

– A może horror?

– O, nie! – zaprotestowała gwałtownie.

– Czemu?

– Jutro idziemy do galerii.

– A, racja – roześmiał się.

Przed wejściem na salę wpadli na Mirka z żoną i ich dwiema młodszymi córkami.

– Co za spotkanie! – ucieszyła się Krystyna Lubicka. – Justynko, czy wy też dopieszczacie wasze wewnętrzne dziecko?

– Tak, zdecydowanie. Łukasz, to jest mój kolega z B.S.K., Mirek. A to Krysia, jego żona.

– Miło mi, nie mieliśmy jeszcze okazji. – Łukasz uściśnął im dłonie. – Łukasz Meyer.

– Nam również miło. – Mirek uśmiechnął się blado. – To nasze młodsze pociechy, Zofia i Helena. Przywitajcie się.

Panienci Lubickie wyraźnie nie miały na to ochoty. Burknęły coś pod nosem i odwróciły twarze w inną stronę.

– Nie jesteśmy godni waszej uwagi? – Łukasza zawsze drażniły takie zachowania i nigdy nie potrafił powstrzymać się od odpowiedniego komentarza. Justyna niepotrzebnie obawiała się, że Mirek może to źle odebrać.

– Mają muchy w nosie – zirytował się Lubicki. – Chciały iść na horror. Dziewięciolatka z dwunastolatką na horrorze o obdzieraniu ze skóry i obcinaniu głów piłą mechaniczną. Normalnie powinny dostać lanie i wrócić do domu.

– Tak, ale stwierdziliśmy, że w ten sposób ukarzymy też siebie – roześmiała się Krystyna.

– Więc zabraliście je na bajkę? – Łukasz uśmiechnął się z satysfakcją.

– No, niech się „pomęczą” trochę.

Łukasz żartował sobie z Lubickimi w najlepsze, jakby znali się od lat. Justynie nie było to dane, bo kątem oka dostrzegła sylwetkę przypominającą Józwińskiego. Skóra ścierpła jej na

całym ciele. Mocniej ścisnęła dłoń Łukasza i zaczęła się nerwowo rozglądać. Wokół kłębił się spory tłum. Ludzie nie stali w miejscu, więc tym trudniej było skupić uwagę na kimś konkretnym. Zobaczyła w pewnym momencie jakiegoś faceta w ciemnym garniturze, wzrostem i kolorem włosów przypominającego nachodzącego ją natręta, ale kiedy odwrócił się tak, że dostrzegła jego twarz, stwierdziła, że nawet nie jest podobny.

Mam obsesję.

– Jesteś policjantem, prawda? – pytanie Mirka dobiegło do jej uszu.

Panowie już są po imieniu.

– Tak, jestem gliną – odpowiedział bez zająknięcia Łukasz. Mało kto wiedział, że pracuje w CBS. Nawet rodzina nie była do końca świadoma.

– Fajnie – odezwała się niespodziewanie starsza latorośl Lubicka.

– Mówisz? – Spojrzał na nią z uśmiechem Łukasz.

Mirek z Łukaszem tak sobie przypadli do gustu, że po seansie postanowili nie kończyć tego wieczoru, tylko pójść do jakiejś knajpy na pizzę. Dziewczynki były zachwycone. Lubicka nie oponowała, mimo że było już całkiem późno.

– Jest piątek wieczór, sama chętnie gdzieś coś zjem – mówiła do Justyny, kiedy zjeżdżali schodami ruchomymi.

Podjechali wszyscy razem samochodem Lubickich na Puławską i znaleźli tam jakąś przytulną restaurację. Krysia zaoferowała się poprowadzić z powrotem, więc panowie wzięli sobie po piwie. Łukasz zdążył kompletnie zapomnieć o swoim planie rozmowy z Justyną, Justyna zaś niemal nie myślała o Józwińskim.

– Wujek, wujek. – Młodsza Lubicka ciągnęła Łukasza za rękaw. – A strzelałeś z pistoletu?

– Strzelałem.

– Jej! – Oczy sióstr zrobiły się wielkie jak młyńskie koła.

– Jesteś teraz ich bohaterem – śmiał się Mirek.

Krystyna pokiwała głową.

– No, pewnie nie zasną dziś z wrażenia.

Justynie zrobiło się nagle bardzo smutno. Starła się ukryć przykry nastrój pod uśmiechem, ale czuła, że jakiś wielki ciężar naciska na jej serce. Przypomniała sobie o planowanej na rano wizycie u doktor Andrzejewskiej i o tym, co może podczas niej usłyszeć. O tym, co słyszy wciąż od ponad dwóch lat...

Wyszli z pizzerii o wpół do drugiej. Zamówili z Łukaszem taksówkę, nie chcieli, żeby Lubiccy nadkładali drogi, by ich odwieźć. Kiedy się bardzo wylewnie żegnali, Mirek podszedł do Justyny i zapytał cicho:

– Jak twoje sprawy? Mówiłaś mu?

Pokręciła głową.

– Nie. Był bardzo zajęty. Ale... zbieram się. Poza tym wracam do pracy.

– Coś ty? – Mirek nie krył zaskoczenia.

– Tak, dzwonił Słotwiński. Zaproponował zmianę umowy, będę pracować w domu...

Przynajmniej na razie.

– A to szczęściara. – Uśmiechnął się całkiem szczerze. – Może ja też pójde i powiem, że odchodzę... – Zerknął w stronę córek, uwieszonych właśnie na ramionach Łukasza. – Albo nie. Ta zgraja by mnie rozniosła, nic bym i tak nie zrobił. No to się cieszę z takiego obrotu spraw – westchnął z ulgą. – Jedziemy, bo padam ze zmęczenia. Aha, kiedy się widzimy?

– Będę w poniedziałek na podpisaniu nowej umowy.

– Świetnie. To do poniedziałku.

– Do poniedziałku.

W taksówce oparła głowę na ramieniu Łukasza i wsunęła mu swoją dłoń w jego.

– Zimne łapki. – Uśmiechnął się. – Jak zwykle. Znak, że serce gorące.

– Mhm...

– Miałaś udany wieczór?

– Bardzo. A ty?

– Było super. W dodatku udało mi się wcisnąć Krystynie zaproszenia na jutrzejszy wernisaż.

Justyna podniosła gwałtownie głowę.

– Co? Łukasz, twoja przyjaźń z Lubickimi właśnie dobiegła końca.

– Nie będzie tak źle. Poza tym jutro możemy to powtórzyć, tyle że bez dzieciaków.

Pójdziemy na jakieś porządne party z wódą i tańcami.

– O, wy... – Pogroziła mu palcem. – To spisek. Naprawdę przypadliście sobie do gustu.

– Masz coś przeciwko temu?

– Nie, coś ty. Mirek jest najfajniejszym kolegą z B.S.K. W zasadzie to jedyny normalny koleś w tej firmie. Według mojej opinii, oczywiście...

Rozdział 5

Wstali po ósmej, więc nie było nawet chwili na zjedzenie śniadania. Na szczęście była sobota i przejazd na Stary Żoliborz nie zajął im dużo czasu. Pielęgniarka poinformowała ich, że pani doktor już jest i ma u siebie pacjentkę. Usiedli w fotelach na korytarzu i czekali w milczeniu.

Doktor Andrzejewska była profesorem, ale nie lubiła, gdy się ją tak tytułowało. Na co dzień pracowała u świętej Zofii przy Żelaznej i w szpitalu MSWiA. Była ginekologiem-położnikiem, a także specjalizowała się w onkologii. Nie leczyła bezpłodności, jednak szef Łukasza polecał ją jako „ludzkiego” lekarza i namawiał, żeby starać się o jej prowadzenie. Mógł się wypowiadać w tym temacie, bo jego żona przeszła prawdziwe piekło z innymi specjalistami, zanim do niej trafiła. Na Żoliborzu przyjmowała pacjentki prywatnie. Wygospodarowała na ten cel część parteru w domu po swoich rodzicach. W pozostałej części mieszkał jej brat z rodziną.

Z gabinetu wyszła młoda kobieta w zaawansowanej ciąży, a za nią pojawiła się drobna postać doktor Andrzejewskiej.

– Justynka. – Na ich widok uśmiechnęła się. – Zapraszam.

Kiedy tylko usiedli przy biurku, Justynie wystarczył rzut oka na twarz lekarki, żeby wiedzieć, co zaraz usłyszy.

– Justynko – zwracała się do niej po imieniu, choć Justyna nawet nie pamiętała, od kiedy zaczęła. – Zrobiliśmy wszystkie badania od nowa, prawda?

Justyna kiwnęła głową.

– Niczego nie przeoczyliśmy. I ponownie nie znaleźliśmy nic, co sugerowałyby, że nie możesz zająć w ciążę. Budowa przydatków, regularne cykle, niezrośnięte jajowody, brak choćby cienia oznak, że masz endometriozę czy jakiś nowotwór... Słowem, nic.

– Rozumiem – powiedziała cicho. Łukasz spojrział na nią ze smutkiem i wziął ją za rękę.

Twarz Andrzejewskiej cała pokryta była zmarszczkami, ale miała ciepły, łagodny wyraz. W błękitnych oczach lekarki można było zauważyć troskę i zrozumienie.

– Twój mąż też jest zdrowy. Nie można więc was „leczyć”, bo nie ma z czego. Jesteśmy bezradni, choć w sumie powinniśmy się cieszyć, że nie jesteście na nic chorzy. Mogłabym próbować was umawiać do kolegi, który zajmuje się bezpłodnością, ale nie widzę ku temu żadnych wskazań. Pakowanie w ciebie hormonów byłoby zbędne.

– To dłaczego... – głos Justyny załamał się.

– Nie wiem. Naprawdę. Podejrzewam... – zawahała się – podejrzewam jakąś blokadę natury psychicznej.

– Ale ja chcę!

– Wiem – przytaknęła lekarka. – Ale być może twój organizm się nie zgadza z jakiegoś powodu na to, może zablokowałaś go w jakiś sposób.

– W jaki sposób można zablokować organizm? – Łukasz potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Czasami pewne wydarzenia albo sytuacje rodzinne, finansowe powodują silne napięcie wewnętrzne i dopóki nie zostaną rozwiązane czy rozładowane, ciało nie podejmie tak wielkiego wysiłku, jakim jest urodzenie dziecka. Miałam pacjentkę, która zaszła w ciążę dziesięć lat po ślubie, dokładnie w momencie, w którym w końcu razem z mężem wyprowadzili się od teściów i zamieszkali na swoim. Potem pacjentka przyznała, że myśli o tym, że teściowa miałaby być blisko dziecka, paraliżowała ją kompletnie. Zaprogramowana była w ten sposób, że przebywanie

obok pewnych ludzi stanowiło realne zagrożenie. Być może i ty żyjesz w jakimś nieświadomym zagrożeniu...

Łukasz przygryzł dolną wargę i odwrócił wzrok w stronę okna, co nie uszło uwadze lekarki. Nie skomentowała tego jednak.

– ...i jeśli ono zniknie, wszystko będzie, jak trzeba. Pomyślcie o tym. Może coś trzeba zmienić w waszym trybie życia albo w otoczeniu?

Justyna z Łukaszem nie odpowiedzieli na tę sugestię. Andrzejewska wyczuła napięcie, jakie spowodowała jej wypowiedź, ale uznała, że ta para powinna sama sobie z tym poradzić.

– Muszę wam jeszcze o jednym powiedzieć. Kochani, czasami jest tak, że tej ciąży nie ma i już. Po prostu. Są pary, które nie mają dzieci i nikt nie umie odpowiedzieć dlaczego. Ale żyją dalej i są dla siebie oparciem. Justynko, widziałam setki kobiet z twoim problemem, a jeszcze więcej takich, które są po prostu bezpłodne. I najgorsze, co je spotykało, to nie fakt, że nie są matkami, ale brak wsparcia ze strony mężów. Czuły się winne, choć nie powinny. A potem, gdy nawet jakimś cudem dziecko się pojawiał, i tak nie były szczęśliwe, bo okazywało się, że to nie był największy problem w ich związku... Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Bardzo dobrze, pani doktor. – Po policzku Justyny spłynęła łza.

– Pójdziemy już. – Łukasz czuł, że jeszcze chwila i Justyna całkowicie się rozklei. Był zły, że przyszli na tę wizytę. W ogóle był wściekły, że ciągle z uporem daje się żonie namawiać na tę walkę.

– Dziękuję, pani doktor. – Justyna zaczęła się powoli podnosić.

– Tak, dziękujemy. Pójdziemy zapłacić.

– Nie, panie Łukaszu, proszę nie płacić. – Lekarka uśmiechnęła się, ale z jakimś smutkiem w oczach. – Trudno to nawet nazwać wizytą, nawet nie badałam Justynki.

Kiwnął głową, ale nic już nie powiedział. Kiedy wyszli, podszedł do stolika, przy którym siedziała pielęgniarka i wyciągnął z portfela sto złotych.

Wyszli z willi na ulicę i przez chwilę nic nie mówili. Samochód musieli zostawić dość daleko, więc czekał ich mały spacer. Justyna miała lekko opuszczoną głowę i dopiero po chwili Łukasz zorientował się, że płacze. Zatrzymał się i obrócił ją w twarz do siebie.

– Justynko, daj spokój... – Objął ją i mocno przytulił.

– Nie rozumiem... – powiedziała cicho do jego ucha. – Dlaczego?

– Bez powodu, po prostu. Czasami tak jest, sama słyszałaś...

Wysunęła się z jego objęć i pokręciła głową.

– Nie-e, zawsze jest jakiś powód. – Spojrzała na niego mokrymi od łez oczami. – A nie myślałaś, że to kara?

– Kara? Za co niby?

Wzruszyła ramionami.

– Za to, że tak bezkarnie sobie żyjemy... szczęśliwi. Że nie borykamy się z kłopotami, mamy co jeść, mamy dach nad głową...

– Co ty opowiadasz?

– No tak. Albo że to po prostu przez to, że nie nadaję się, żeby być matką, bo zrobię coś złego dziecku?

– Albo że ja byłbym złym ojcem. Możesz rozumować i tak. Justyna, to jest niepoważne. Popatrz na mnie. – Podniósł jej twarz, trzymając za podbródek. – Czy tobie naprawdę aż tak potrzebne jest to dziecko? Czy ja ci nie wystarczam za dziesięcioro dzieci?

Rozpląkała się na dobre. Spojrzała na Łukasza, jakby zaraz miała się z nim rozstać na długo, i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Wystarczasz mi! – Szlochała już całkiem głośno. – Za całą setkę dzieci. Za setkę

chłopców i setkę dziewczynek. Nie zamieniłabym cię na milion jakichś głupich bachorów.

Rozdział 6

Dzień spędzili w domu. Łukasz położył się spać na godzinę, Justyna w końcu nie dołączyła do niego – chciała dokończyć analizę dla Słotwińskiego, którą zaczęła pisać dzień wcześniej. Ponadto zgodnie z sugestią szefa zabrała się za zbieranie informacji na temat zakładania własnej działalności gospodarczej. Kiedy Łukasz wstał, ślęczała w kuchni przy stole nad listą rodzajów działalności, szukając odpowiedniego profilu dla swojej ewentualnej firmy.

– Wypałeś się?
– Nawet – sapnął ciężko i pomasaował się po brzuchu. – Nie przyszałaś się położyć.
– Jestem trochę zajęta.
– Tak? – Usiadł przy stole i potarł dłońmi zaspane oczy. Na policzku miał odcisnięty ślad po poduszce. – Czym?

– Robiłam dla Słotwińskiego analizę rynku diamentowego.
– Dla Słotwińskiego?
– Tak, prosił mnie o to przedwczoraj.
– A zapłaci ci za to? Skoro jesteś na bezpłatnym...
– Zapłaci. – Uśmiechnęła się. – Nie odejdę z firmy. Będę pracować dla B.S.K. w domu.
– Żartujesz?! – Łukasz nagle był całkowicie rozbudzony. – Kiedy... Kiedy to ustaliliście.
– Przedwczoraj. Dzwonił do mnie i złożył mi taką propozycję.
– Czemu nic nie mówiłaś?
– Bo byłeś zajęty i zaabsorbowany pracą... – Zerknęła na niego znad laptopa. – Uznałam, że nie jest to aż tak istotne.

– To jest istotne! – Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale jakaś myśl mu w tym przeszkodziła.

Potem rodzina twierdzi, że nic nie zauważyła, przypomniawszy mu się opowieść Tomka. Potarł palcami brwi.

– Justynko, chcę, żebyś mówiła mi o sobie wszystko.
– Dziwnie brzmisz... Łukasz, przecież ci mówię...
– Nie. – Spojrzał na nią z poważną miną. – Nie powiedziałaś mi na przykład, dlaczego chciałaś odejść z pracy.

Przez dłuższą chwilę Justyna nie wiedziała, co powiedzieć. Zaskoczył ją, a poza tym wyczuła w jego głosie pretensję, jakiej nigdy nie słyszała.

– Nie chciałam tam już dłużej przebywać – mówiła wolno i cicho.
– Ale dlaczego? Rozumiem, że jej nie lubiłaś, ale widocznie nie na tyle, żeby nie przyjąć oferty Słotwińskiego. Wyraźnie widzę teraz, że chodziło o to, by nie być w samym biurze.

Spuściła wzrok i milczała.
– Kochanie, muszę wiedzieć takie rzeczy. – Wstał i przesiadł się na krzesło bliżej niej.
– Moja praca nie jest dla mnie wszystkim, tylko ty. – Wziął jej dłoń w swoją i przycisnął do ust.
– Czy wydarzyło się coś złego, co spowodowało, że chciałaś odejść?

– Tak.
Łukasz poczuł, jak zalewa go fala gorąca. Miał ochotę krzyknąć na Justynę, a potem zrobić krzywdę sobie, za swoją głupotę. Uspokoił się jednak, bo wiedział, że to nie ma sensu, może tylko wszystko popsuć.

– Co się stało?
– To irracjonalne... – Zaczęła i znowu zamilkła.
– Nie jest irracjonalne, jeśli zmusiło cię do takiej decyzji. Muszę to wiedzieć.

– Do biura... Do naszego biura przyszedł któregoś razu pewien facet. Nie było mnie, rozmawiał z nim Mirek. Był u szefa w jakiejś sprawie, ale kiedy przechodził obok mojego biurka, podobno pytał o mnie. Przedstawiał się jako mój kolega z liceum.

– Podał nazwisko?

– Tak. Lubicki zapisał. Mariusz Józwiński.

– Znałaś kogoś takiego?

– Tak. Ale od razu mi nie pasował do osoby, o której mówił Mirek.

– Dlaczego?

– Bo Mariusz był klasowym przygłupem z patologicznej rodziny, który nie zrobił matury, a ten to jakiś inwestor w garniaku i pod krawatem. Pasował do opisu z wyglądu, ale... – Pokręciła głową.

– I co dalej? Pojawił się znowu w biurze, tak?

– Pojawił – westchnęła. – Wyglądał jak Józwiński, ale... to bez sensu...

– Co jest bez sensu?

– Moim zdaniem to nie był on. Miał ten sam wzrost, kolor włosów, oczu, nawet bliznę koło ucha. Ale tak nie wygląda facet, któremu ojciec siekierą uszkodził mózg, gdy ten był nastolatkiem. Poza tym, skąd mógł wiedzieć, że to moje biurko, skoro wizytówka jest z twoim nazwiskiem?

Łukasz zmarszczył brwi, zastanawiając się chwilę.

– Hmm... Facet jakimś cudem mógł się wyrobić. Ale z tym nazwiskiem... Pojawił się znowu u was?

– Tak... To znaczy na drugi dzień znalazłam na swoim biurku wielki bukiet róż.

Łukasz wyprostował się gwałtownie.

– Od niego?

– Tak. Był z karteczką.

– Masz ją?

– Mam.

Justyna wstała z krzesła i poszła do przedpokoju po torebkę. Karteczka była w portfelu. Wyciągnęła ją i podała Łukaszowi.

– Skurwiel! Ale jest numer komórki. Zadzwoń.

– Nie! – wyrwało się jej.

– Dlaczego? Powiem mu, żeby spadał.

– A jeśli... – Usiadła znowu. – Długo się nad tym zastanawiałam. Może powinniście go sprawdzić?

– W Biurze?

– Tak.

– Chodzi ci o to, czy nie był notowany?

– Na przykład.

– W sumie racja – westchnął. – Może ma jakieś wyroki za nękanie i można go będzie postraszyć bardziej. Nie wiesz, czy był jeszcze w firmie?

– Był. Po mojej rozmowie z szefem zjechaliśmy z Mirkiem na dół na kawę. Widzieliśmy go przez szybę, jak wchodzi do budynku. Potem Lubicki dzwonił i mówił, że Józwiński miotał się po biurze, kiedy mu powiedzieli, że odeszłam.

– Ja pier... – Potarł dłonią czoło. – Zajmę się tym w poniedziałek z samego rana.

Zapytam starego, czy pozwoli mi powęszyć u znajomych w policji.

Kręcił chwilę głową z niedowierzaniem. Huczało mu w niej jak w ulu.

Gdyby nie ta rozmowa z Kotem, niczego bym się nie dowiedział, pomyślał.

– Justyś. – Spojrzał na nią w końcu. – Chciałbym, żeby to była ostatnia sprawa, o jakiej mi nie mówisz, dobrze?

Kiwnęła głową. Zauważył jednak w jej oczach wyraźny lęk, jakby ta rozmowa wcale jej nie pomogła, a tylko jeszcze bardziej przestraszyła.

– Czy o czymś chcesz mi jeszcze powiedzieć? Chcę znać każdy detal.

– Nie. Wszystko już wiesz. Przepraszam...

Popatrzył na nią zdumiony.

– Dlaczego mnie przepraszasz? Nie zrobiłaś nic złego.

Justyna pomyślała, że jeśli rozplacze się drugi raz tego samego dnia, to będzie przesada. Ale nie dała rady. Łzy płynęły jej nieprzerwanym strumieniem po policzkach, a w piersi czuła ten okropny, nieznośny ucisk. Łukasz przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

Puściły jej emocje. Za dużo wrażeń na jeden dzień; wizyta u lekarza, teraz ta rozmowa... Pomyślał też, że trzeba jej po prostu dać czas na wypłakanie i dojście do siebie.

Po godzinie jednak wcale nie było z nią lepiej. Kręciła się po mieszkaniu, to coś sprzątając, to wrzucając ręczniki do pralki, ale wyraźnie widział, że męczy się i pociąga nosem. W pewnej chwili zobaczył, jak zakłada buty i kurtkę.

– Gdzie idziesz?

– Do sklepiku za bramę. – Wyciągnęła z portfela pięćdziesiąt złotych i wsunęła do kieszeni spodni.

– A po co?

– Chcę zrobić obiad, ale nie mamy już w domu kilku rzeczy.

– Daj spokój! Jedziemy w takim razie do sklepu na normalne zakupy. Czekał, tylko się zbiorę.

Do wyjazdu na wernisaż popołudnie spędzili tak jak zwykle w sobotę. Wizyta w Piotrze i Pawle, wspólne gotowanie risotto, kończenie prania i zmywanie podłóg, a potem szykowanie się na wyjście. Łukasz nie był typem leniwego męża, którego pomoc w domu kończy się na podnoszeniu nóg, gdy żona odkurza, ale tego dnia był wyjątkowo zaangażowany. Justyna uśmiechała się sama do siebie, kiedy przyglądała mu się, jak biega po mieszkaniu i ściera kurze albo wiesza pranie na balkonie. Dopiero gdy zaczął zabierać się do prasowania swojej ulubionej koszuli, zaprotestowała. To była umiejętność, której, mimo wielu chęci, nie posiadał nawet w stopniu znikomym.

Rozdział 7

Prywatna galeria, w której wystawiała się z bolesną regularnością żona Sławka Odrowąża, mieściła się w dzielnicy Włochy i należała do stukniętej wizjonerki i artystki „nowej fali postmodernizmu”. Kolega Odrowąż potwierdzał, że jest to nic innego, jak kółko wzajemnej adoracji niemające pojęcia o normalnym świecie, o sztuce raczej też nie. Jeździli jednak na wernisaże niemal wszyscy z Biura, także dlatego, że stanowiły one doskonały pretekst, by się potem wspólnie urządzić na mieście.

Justyna z Łukaszem spóźnili się nieco, bo zaskoczyły ich zamknięte ulice i trochę czasu zajęło im znalezienie objazdu. W galerii był już spory tłumek, wszyscy wyraźnie skupieni na sobie, tylko nieliczne osoby stały w ogóle zwrócone w kierunku obrazów, które gęsto pokrywały białe ściany. Od razu na szyję rzuciła im się Monika, ekscentryczna żona Sławka, ściskając i świergocząc coś do ich uszu. Zaczęła ich komuś przedstawiać, potem polecała barek z koreczkami makrobiotycznymi i odfrunęła do kolejnych gości jak barwny ptak, owinięta w długą i zwiewną tunikę.

Lubiccy byli już na miejscu. Od razu podeszli do Justyny i Łukasza.

– Cześć. – Mina Krysi wyrażała wiele, głównie rozbawienie i konsternację. – Właśnie dowiedzieliśmy się, że to „coś” odbywa się nie pierwszy raz.

– Tak, bywamy tu regularnie – odparł z przekąsem Łukasz.

– Mogłeś uprzedzić – śmiała się Lubicka. – Wzięlibyśmy coś na uspokojenie.

– Mówiłam Łukaszowi, że to koniec waszej dobrej komitywy. – Justyna kręciła głową.

– Nie wybaczycie mu tego eksperymentu na waszych mózgach do końca życia.

– Wybaczymy. – Mirek położył dłoń na ramieniu Justyny. – Jeśli postawi nam dziś dobrą wódkę.

– Ho, ho! – roześmiał się Łukasz, odchylając głowę do tyłu. – To jest do zrobienia, panie Mirosławie.

Justyna rozejrzała się wokół. Dostrzegła Tomasza, stojącego obok ich szefa i jego żony. Szybko zorientowała się, że z działu męża są niemal wszyscy, niektórzy sami, inni z żonami albo partnerkami. Towarzystwo było w dość dobrych humorach, mimo że to, co wisiało na ścianach, wcale do tego nie nastrojało.

Na obrazach przeważała ciemna kolorystyka. Czernie, szarości i brązy tylko gdzieniegdzie przeplecione były niewielkimi plamami ostrej czerwieni, która jak zawsze symbolizowała krew. Sławek kiedyś przyznał, że Monia nie umie malować, ale zobaczyła pewnego razu wystawę sztuki nowoczesnej i uznała, że jest urodzoną artystką. Rzuciła więc wszystko, co robiła do tej pory, i zabrała się do malowania bohomasów, które chętnie pokazywała światu. Świat natomiast niezbyt chętnie je oglądał, ale nawet druzgoczące opinie po jej pierwszych wystawach, które ukazały się w kilku gazetach, nie zniechęciły jej do robienia tego, co tak lubiła. Sławek był załamany, dlatego starał się ratować dokonania żony (i swoje małżeństwo, jak twierdził), spraszając kolegów z pracy i połowę sąsiadów na kolejne wystawy. Łukasz kiedyś coś wspomniał, że jedyne, co go dziwi, to skąd mają na to pieniądze, skoro utrzymują się tylko z pensji Sławka. Malarstwo to droga pasja, a dzieci posyłane były od zawsze do prywatnych szkół i przedszkoli.

O tym wszystkim Justyna opowiadała Krysi przed jednym z bardziej psychodelicznych eksponatów. Kiedy tylko do niego podeszły, natychmiast obok znalazła się Monika, ale na szczęście nie zabawiła długo, tylko wcisnęła im w dłonie foldery ze zdjęciami i opisem jej „artystycznej drogi”.

– Wydrukowanie takich ulotek musiało rzeczywiście sporo kosztować. – Lubicka uważnie przyglądała się folderowi. – Znam się na tym trochę, bo nasza agencja też czasem robi takie zlecenia. Dobry papier, świetna jakość zdjęć, profesjonalne łamanie. Sam projekt to już duży wydatek, a raczej sama tego nie zrobiła – mówiąc to, ściszyła głos.

– Zwłaszcza, że jest tego naprawdę dużo. Zobacz, walają się w każdym kącie.

– Wiesz co, kiedy Łukasz dał mi zaproszenie, byłam przekonana, że to coś profesjonalnego, ale jak tylko tu weszliśmy... – Parsknęła śmiechem. – I jeszcze nadaje im nazwy. Zobacz, *Jesienna zaduma* albo ten, *Hebanowe morderstwo*. Co to jest?!

Przechodziły kolejno od obrazu do obrazu, czytając umieszczone pod nimi karteczki. Przy jednym, który podpisany był *Tajemniczy pan z blizną*, Justyna podniosła wzrok... i zamarła. Na dużym płótnie Monika próbowała nieudolnie namalować czyjś portret – Justyna nigdy wcześniej nie widziała, żeby na jej obrazach byli jacyś ludzie. Była to twarz mężczyzny z nienaturalnie dużymi oczami, który przy lewym uchu namalowaną miał czerwoną bliznę, mocno odcinającą się od reszty burej kolorystyki. Przez ułamek sekundy myślała, że śni, przez kolejny, że ma zwidy, a potem zrobiło jej się słabo.

– Justynko. – Krystyna szarpnęła ją lekko za rękaw. – Justynko, słyszysz mnie?

Odwróciła się i zaczęła rozglądać za Łukaszem i Mirkiem.

– Łukasz, Łukasz. – Machnęła ręką w ich stronę. – Chodź tutaj!

W tym momencie Justyna była już biała jak ściana i lekko się zachwiała. Lubicka energicznym ruchem podtrzymała ją za ramiona i skierowała w stronę wyjścia. Tymczasem Łukasz przecisnął się przez mały tłumek, który stał wpatrzony w tę scenę z zaciekawieniem, i przejął żonę od koleżanki.

– Zrobiła się biała. Nie mogę złapać z nią kontaktu.

– Wyjdźmy, tu jest strasznie duszno. – Łukasz prawie ją niósł.

– Wezmę wasze płaszcze z szatni. Mirek pożegnaj od nas gospodynię.

Chłodne powietrze nieco pomogło Justynie dojść do siebie. Krysia podała Łukaszowi płaszcz, w który owinął szczelnie żonę i przytulił tak, żeby była oparta o niego całym swoim ciężarem.

– Już dobrze? – Przyjrzał się jej twarzy z bliska.

– Dobrze. – Chciała się uśmiechnąć, ale jej się to nie udało.

Z galerii wyszedł Mirek z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

– Justyna, jesteś moją bohaterką. Tak się poświęcić, żeby dać nam pretekst do opuszczenia tego straszego miejsca.

– Mirek! – Lubicka spojrzała na niego z wyrzutem, ale Justyna roześmiała się cicho.

– To było jak spełnienie mojego najgorszego koszmaru – powiedziała cicho.

– Tak, tak. – Lubicki podniósł głowę i spojrzał na przelatujący właśnie nisko samolot, który podchodził do lądowania na Okęciu. – To było mocne. Nie pozostaje nam nic innego, jak iść się czegoś napić.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. – Krystyna była wyraźnie zaniepokojona. – Może Justynka powinna wrócić do domu.

– Nie. – Justyna pokręciła głową. – Jedźmy na Krakowskie Przedmieście do BrowArmii albo na Mazowiecką do jakiegoś klubu. Miejmy coś z tego wieczoru.

Łukasz uśmiechnął się, choć też nie był do końca przekonany, czy nie lepiej byłoby położyć żonę do łóżka.

Tym razem to oni transportowali Lubickich, którzy do galerii przyjechali taksówką. Po dłuższych naradach stwierdzili, że spróbują uderzyć najpierw na jakieś dobre piwo.

– Może do Guinnessa przy Miodowej? – rzucił propozycję Mirek.

– Nie. – Justyna wyduła usta z dezaprobatą. – Tam jest strasznie duszno i grają na żywo, ale jak dla mnie trochę za głośno; nie będzie można rozmawiać.

– Ale w BrowArmii może nie być miejsca – rzucił Mirek.

– Zobaczmy, może się wciśniemy. Jest jeszcze całkiem wcześnie. – Łukasz wykazał się większą dozą optymizmu.

Rzeczywiście, udało im się znaleźć przyzwoity stolik dla czworga. Panie zamówiły ciemne piwo, panowie zastanawiali się, jak rozwiązać problem auta. W końcu stanęło na tym, że jeśli Justyna będzie w formie, pójdą jeszcze na Mazowiecką, a samochód przestawi się na parking płatny i wszyscy wrócą taksówką. Póki co Łukasz z Mirkiem, który postanowił być solidarny w niepicciu, wznosili toasty kawą latte.

– Za niezbyt wielkie ofiary poniesione podczas oglądania obrazów artystki Moniki Odrowąż. – Mirek podniósł wysoko swoją szklankę. – To naprawdę mogło skończyć się gorzej.

Wszyscy się śmiali, tylko Justynie było ciężko znaleźć w sobie choćby cień radości.

Może powinnam powiedzieć Łukaszowi?, myślała, trapiąca wątpliwościami. Ale myśl o tym, jak absurdalnie zabrzmiałaby opowieść o obrazie Moniki, który przeraził ją na śmierć, skutecznie Justynę od tego zamiaru odwiodła.

– Justynko, Mirek mówił, że jednak zostajesz w firmie. – Krystyna chciała szybko zmienić temat.

– Tak, będę pracować w domu. Przynajmniej na razie.

– Nie spodziewałam się po Słotwińskim takiego gestu. – Pokręciła lekko głową. – Nie znam go aż tak dobrze, ale to dość osobliwe.

– Na pewno ma w tym jakiś ukryty cel. – Mirek wymierzył palcem w Justynę i puścił do niej oko. – Minie trochę czasu i okaże się, o co mu naprawdę chodziło.

– Oj, nieważne – obruszyła się Lubicka. – Grunt, że dziewczyna ma pracę i nie będzie musiała przychodzić do tego waszego wieżowca.

Justyna nic nie odpowiedziała, tylko pokiwała głową na znak, że się całkowicie z tą opinią zgadza. Zastanawiała się, na ile Mirek żartował, a na ile były to jakieś poważne wnioski, ale póki co wolała nie poruszać tego tematu, zwłaszcza teraz.

– Ja też się cieszę z takiego obrotu spraw. – Łukasz bawił się mieszaniami łyżeczką w kawie. – Coś w tym waszym biurze niezbyt przyjemnie ostatnio się zrobiło, prawda? – Spojrzał wymownie na Mirka.

– Tak, bywają dni, że kręci się u nas wyjątkowo dużo antypatycznych osób. – Mirek westchnął ciężko i uśmiechnął się do Łukasza.

– O czym wy mówicie? – Krystyna była wyraźnie zdezorientowana.

– O niczym, żabko. – Lubicki odchylił się mocno do tyłu na krześle i położył rękę na oparciu za plecami żony. – Sama mówisz, że w korporacjach to tylko wariaci mogą pracować. U nas ich nie brakuje.

– Wariaci albo desperaci – mruknęła Krysią.

– A ja do której grupy się zaliczam, według ciebie? – Mirek był wyraźnie rozbawiony.

– Właśnie sama się zastanawiam. Pół na pół, zdaje mi się. Trzymasz się tej firmy, jakby nic innego nie było do roboty w tym mieście.

– Oj, tam – zachnął się Lubicki. – Jakoś daję radę, jak widać. Aha, Justyna, dostałaś komputer?

– Tak, wczoraj rano. I dokumenty odnośnie Chin, które przygotowywała Marta.

– Żeby poprawić? – Uśmiechnął się Mirek.

– Nie... Nie wiem. Jeszcze ich nie przeglądałam.

– Ech... Nic się u nas nie zmienia i nie zmieni. Marta w życiu by tego nie zrobiła dobrze.

Nie wiem, po co szef ją trzyma.

Justyna chciała coś powiedzieć, ale pomyślała, że nie byłoby taktownie dzielić się uwagami z rozmowy ze Słotwińskim. Wołała mówić o czymś bardziej neutralnym.

– Nie mam tylko dostępu do serwera. Widziałam, że informatyk usunął mi z pulpitu kopie robocze, więc nie będę miała póki co na czym bazować.

– Dostaniesz w poniedziałek token, spokojnie. Z tego, co wiem, wszystko jest już dla ciebie przygotowane.

– Nie możecie w domu pracować na swoich dokumentach? – zdziwiła się Krystyna.

– Tak robi wiele firm – odezwał się Łukasz. – Dostęp do serwerów jest zastrzeżony, trzeba mieć hasło i token. Na samym komputerze nic się nie zapisze.

– Ciekawe.

– Widzisz, żaba, a ty mówisz, że to kiepska firma. A my takie ważne rzeczy robimy, że są ściśle tajne. Nie to, co te wasze reklamy podpasek i dezodorantów.

Krystyna spojrzała na niego groźnie.

– Grabisz sobie, panie Lubicki, oj, grabisz.

– Tak mnie mamusia wychowała. – Wzruszył ramionami w geście bezradności.

– Boże! – Lubicka wzniosła oczy ku górze. – Nie wywołuj złych duchów w tak miłej atmosferze.

– Nie lubisz teściowej? – Łukasz szczerze się roześmiał. – Czyżby jakiś konflikt interesów?

– Ej, ej. – Justyna klepnęła go w ramię. – To nie jest zabawne.

– Właśnie! – potwierdziła energicznie Krystyna. – To nie jest zabawne. Nas przynajmniej takie rzeczy nie śmieszają.

– Ale nagle zgodne jesteście. – Łukasz udawał wielkie zdziwienie.

– Jesteśmy, jesteśmy. – Krystyna machała głową w geście aprobaty dla słów Justyny.

– Pewne sprawy zawsze łączą kobiety.

– Tak, zakupy i plotki – prychnął Mirek.

– Nie, kochanie, koszmarnie teściowe.

– Nie przesadzaj, mamusia nie jest jeszcze taka zła. – Kiedy to mówił, wyraz twarzy zdawał się przeczyć jego słowom.

– Oczywiście. „Mamusia nie jest taka zła” – przedrzeźniała go żona. – Tylko gdy przyjeżdża, od razu wpada do kuchni i zaczyna węszyć. „O, a co to! Ojej, jak się ta podłoga tutaj lepi. Miruś, syneczku, tu się mogą kryć same zarazki. To wam zaszkodzi.”

Krystyna odstawiała małe przedstawienie, przy którym wszyscy rechotali w najlepsze.

– Albo przy obiedzie. Łapie go za głowę. – Lubicka wzięła głowę męża w obie dłonie i przyciągnęła do siebie, przekrzywiając mu przy tym okulary. – O tak. Głaszcze go po glacy i mówi: „Synuniu ty mój, jaki ty chudziutki, jaki bladziutki. Co oni tu z tobą robią?”. Cmoka go w czółko, normalnie przy dzieciach. Nasz syn to nie wytrzymuje do drugiego dania i wychodzi. Potem mamusia bierze się za jedzenie zupy i mówi: „No tak, nie dziwota, żeś taki chudy. W tej zupie nie ma grama tłuszczu, zero witamin, jakieś pomyje. Zostaw to, mówię ci, zostaw!”. Szarpie go za rękę, wrywa mu łyżkę i wylewa zawartość talerza do zlewu. „Mama zaraz zrobi ci coś porządnego, zaraz coś tu zaradzimy, żebyś mi nie umarł przed emeryturą”.

– I co? Rzeczywiście coś gotuje? – Łukasz krztusił się ze śmiechu.

– Oczywiście – odpowiedział Mirek. – Otwiera lodówkę, trzaska szafkami, wyciąga szuflady. Kończy się to tak, że leci do sklepu po „porządne” zakupy. Przynosi wielkie siaty z kurczakiem, włoszczyzną, makaronami, tonami ziemniaków i innymi duperelami. A ja w czasie jej nieobecności jem w spokoju obiad. Potem siedzimy i oglądamy jakiś film, a ona lata jak

szalona po kuchni i zrzędzi.

– Tak jest za każdym razem – potwierdziła Krysia.

– No i co, kotek? – Łukasz trącił lekko Justynę w ramię. – Moja Zofia nie wydaje się przy tym taka zła, co?

Mina Justyny wywołała u Lubickich salwę śmiechu.

– No co? – Twarz Łukasza wyrażała niemal oburzenie.

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Mogę poopowiadać o nalotach twojej matki w niedzielne popołudnia.

– Nalotach?

– Tak, kochanie, nalotach. Bo normalni ludzie się zapowiadają z wizytą, a nie wpadają nieproszeni.

– Święta racja. – Krystyna pokiwała głową.

– Pierwsze pytanie: „A co wy? W kościele nie byliście? Dzieci, idźcie. Idźcie wieczorem.

Tu u was taki fajny kościół jest. Stefan, pójdziemy, oni muszą na mszę pójść. Popatrz, trzecia, a oni ciągle w proszku”. Teściu oczywiście milczy. Siada na kanapie i ogląda telewizję, a Zofia biega z kuchni do sypialni, z sypialni do salonu, potem na balkon i znowu do kuchni. „Co gotowałaś? A czemu tak mało? Łukaszek lubi sobie podjeść, duży chłopak. A tego prania to tak nie trzymaj, bo niedziela jest, to nieładnie. Zasłony w sypialni aż się proszą o pralkę, sam kurz”. Ale najlepsze i tak przychodzi wieczorem. Jak już wiadomo, że do kościoła nie idziemy, to zasiada na krześle, nigdy w fotelu, bo nie ma tak dobrego widoku na całość sytuacji, i zaczyna wspominać...

– Nie, proszę cię – jęknął Łukasz i zasłonił dłonią oczy.

– „A pamiętasz, Stefcu, tę Lucynkę, co ją Łukaszek jeszcze w liceum poznał?” – ciągnęła niezrażona Justyna. – „Ładna była, prawda? Takie miała długie włosy, do pasa normalnie. Ślicznie śpiewała w chórze kościelnym. Taką miała przed sobą przyszłość, tatuś był burmistrzem, to grosza nie żałował, na studia posłał, w naukę inwestował. Ale się zepsuła z tym łapserdakiem z Krakowa. A ja zawsze mówiłam, że to z żalu za Łukaszkciem. Oj, co by to było, gdyby oni jednak razem byli?”.

– I mówi to przy tobie? – Krystyna zrobiła wielkie oczy.

– No i za kogo teraz będą mieć moją matkę, co? – Łukasz udawał oburzonego.

– Wiecie, Zofia nie jest taka najgorsza – zwróciła się do Lubickich. – Ona po prostu mnie nienawidzi.

– To nieprawda – protestował Łukasz.

– Prawda. Nigdy nie byłam dla niej dość dobra, żeby cię poślubić. Ma mnie za łązęgę i przybłędę. Sama mi to powiedziała dzień przed naszym ślubem. Zawsze twierdziła, że ożenek z kimś, kto nic sobą nie reprezentuje, to zły pomysł, bo to sprowadzi na ciebie kłopoty. Mówiła wiele razy, że śmierdę obornikiem i zawsze będę, bo jak ze wsi jestem, to inaczej nie będzie. Nie wyprzesz się, że to słyszałaś. Teraz przyjeżdża, żeby udowodnić ci, że miała rację.

– Ech... – westchnęła Lubicka. – Jakby nam życie innych problemów nie szczeniło. Dla ciebie, Łukasz, to może nic takiego, co mówi twoja matka, ale gdybyś był na naszym miejscu, chętnie zrobiłbyś jej krzywdę gołymi rękami.

– Mamuśkę czasem trzeba przystopować. – Mirek pochylił się nad stołem, jakby miał do powiedzenia coś szczególnie istotnego. – Kiedy moja nieco przegina, delikatnie ją wypraszam. Oczywiście dostaje spazmów, opowiada głupoty w stylu, że zgnije pod mostem sama, skoro własny syn jej nie chce. Pakuje się ostentacyjnie, mówiąc, że widzimy ją ostatni raz...

– Tak, tak mówi. – Krystyna parsknęła śmiechem. – A miesiąc temu Helena, jak to usłyszała, wpadła do pokoju i z pretensją rzecze: „Babcia, ostatnio też tak mówiłaś. Weź się

zdecyduj”.

– Co ona na to? – Łukasz zrobił wielkie oczy.

– Zatkalo ją kompletnie. Nic się nie odezwała i pojechała sobie. – Mirek wzruszył ramionami. – A za jakiś czas znowu wraca i przedstawienie zaczyna się od początku. I w sumie bym się tym nie ekscytował, tylko że w którymś momencie zaczęliśmy się o to zbyt często kłócić.

– Osiągnęła swój cel. – Justyna pokiwała głową ze zrozumieniem. – Wsadziła kij w mrowisko i cieszyła się, że się między wami psuje.

– Dokładnie – przytaknął Mirek. – Mieliśmy już dwójkę dzieci. Konrad poszedł do szkoły. Stwierdziłem, że albo-albo, matka albo rodzina. No i zacząłem stawiać granice.

Justyna spojrzała na Łukasza, który miał w tym momencie bardzo zamyśloną minę.

Dzieci cementują... , przemknęło jej przez głowę i od razu zrobiło się jej bardzo przykro. Krystyna dostrzegła zmianę nastroju koleżanki i zaczęła namawiać panów do decyzji odnośnie dalszej części wieczoru.

– Idziemy na balety – powiedział zdecydowanym tonem Mirek. – Idźcie szukać jakiejś fajnej mety, a my zajmiemy się autem. O, zrymowało mi się.

– Dobrze – przyklasnęła mężowi Lubicka. – Chodź, Justynko, przejdziemy się.

Szły wolno ulicą Królewską, początkowo nic nie mówiąc. W końcu Krystyna spojrzała na Justynę i uśmiechnęła się.

– Bardzo zaimponowała mi twoja opowieść o teściowej. Mirek mówił, że jesteś raczej skryta, a tu taka ekspresja i asertywność.

– Zachęciła mnie twoja historia. – Justyna też odpowiedziała uśmiechem.

– Z tego, co zrozumiałam, twój mąż nie do końca jest świadomy, jaką przykrość ci to sprawia.

– Nie, nie jest. – Pokręciła głową. – Być może za słabo mu to przekazuję, a być może po prostu czuję po części, że sobie na to zasłużyłam.

Lubicka zatrzymała się gwałtownie.

– Co ty opowiadasz?! Jakie „zasłużyłam”?

– Nie wiem... – Wzruszyła lekko ramionami. – Nie jestem z dobrego domu jak „Lucynka”, nie reprezentuję sobą nic szczególnego... Nie urodziłam dziecka.

– Ach! Więc o to chodzi! – Krystyna wzięła ją za rękę i lekko nią potrząsnęła. – Posłuchaj mnie uważnie: nigdy, przenigdy nie dawaj sobie wmawiać czegoś takiego. Dziecko, czy jego brak, nie ma wpływu na związek. Zresztą sama mówiłaś, że robiła ci uwagi jeszcze przed ślubem.

– Tak, ale jeśli nastawi Łukasza przeciwko mnie, to nie będzie argumentu, jaki miał Mirek! – uniosła się, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Nie będzie „albo-albo”. Nie będzie powodu, żeby zostawać i brać moją stronę.

Krystyna wyglądała na zdruzgotaną.

– Co ty... co ty mówisz? Mirek tak powiedział, bo tak rzeczywiście było, ale nie umiem ci powiedzieć, co by było gdybyśmy byli bezdzietni... Znamy się prawie dwadzieścia lat i on zawsze brał moją stronę. – Nabrała głęboko powietrza w płuca. – Słuchaj, kiedy są dzieci, tak naprawdę łatwiej jest małżeństwo skłócić. Tak mi się wydaje z perspektywy czasu. Kiedy Konrad szedł do szkoły, a Zosia była malutka, mieliśmy straszny dołek finansowy. Niby dobrze się zarabiał, niby wszystko się na czas opłacało, ale początkowo nie ogarnialiśmy tego wszystkiego. Wyprawka do szkoły, załatwienie opiekunki dla małej, remont mieszkania... No, po prostu milion spraw i ciągły stres. Kłóciliśmy się o pierdoły, jak chociażby rzucony ręcznik w łazience. I na to wszystko wpadała mamuska, która oczywiście brała stronę Mirka, a mnie stawiała w złym świetle. Przez kilka miesięcy nasze małżeństwo wisiało na włosku, byliśmy bliscy rozvodu.

Uważam, że to cud, że do Mirka dotarło, że trzeba matkę pogonić i zacząć ratować rodzinę.

Znowu zaczęły iść w stronę Mazowieckiej. Po prawej stronie, na Placu Piłsudskiego, trzech żołnierzy wystukiwało podkutymi butami równy rytm, zmierzając na zmianę warty przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Od Wierzbowej dochodziły odgłosy rozbawionych ludzi – najlepsza oznaka, że Warszawa zaczyna swoją gorączkę sobotniej nocy.

– Bez względu na wszystko – zaczęła cicho Krystyna – uważam, że wasze małżeństwo przetrwa. Pewne sprawy widać gołym okiem. A poza tym, jeśli do tej pory matka Łukasza was nie poróżniła, to już raczej jej się to nie uda.

Rozdział 8

Justyna obudziła się pierwsza. Trochę bolała ją głowa, ale to pewnie tylko przez niewyspanie – nie wypła w końcu aż tak dużo. Patrzyła przez niezastłonięte okno na wyjątkowo błękitne niebo.

Ciekawe, która godzina. Umieram z głodu.

Zerwała się z łóżka i poszła do kuchni, żeby szybko coś przekąsić. Zrobiła sobie herbatę i zaczęła przygotowywać kanapki, kiedy usłyszała, że Łukasz też wstał i poszedł do łazienki. Sporo wypili z Mirkiem tej nocy, ale on raczej nie miał kaca. Człowiek o takiej masie potrzebował naprawdę dużej dawki alkoholu, żeby zważyło go z nóg. Po chwili wszedł do kuchni i opadł na krzesło.

– Cześć, żono. – Uśmiechnął się, ledwo przy tym otwierając oczy.

– Cześć, mężu. – Justyna podeszła i pocałowała go w usta. – Kanapeczkę?

– Nie, dziękuję. Napiję się tylko czegoś. O, może być nawet herbatka. Zrobisz mi?

– Zrobię.

– Mamy jakieś plany na dziś?

– Nie przypominam sobie. Poza tym, że musimy wieczorem podjechać po samochód do centrum.

– Cudownie. Zostańmy w domu do wieczora. I bądźmy niegrzeczni, jedząc śniadanie w salonie przed telewizorem.

– Dobrze – roześmiała się. – Idź, zaraz ci przyniosę twoją herbatkę.

Siedzieli na kanapie i umilali sobie poranek oglądaniem telewizji śniadaniowej, w której tematy poważne, jak walka o ratowanie hospicjum dla chorych na raka dzieci, przeplatały się z wizytą jakiejś biuściastej blondyny, pretendującej do miana nowej gwiazdy polskiej sceny. Kiedy na ekranie pojawiła się pani pogodynka, z uśmiechem na ustach wieszcząca nadchodzące ochłodzenie i większe opady deszczu, zadzwonił domofon.

– Kogo tam znowu niesie? – mruknął Łukasz z marszem na czole.

– Ja zobaczę. – Justyna poderwała się z kanapy, widząc, że to ostatnie, o czym teraz marzy jej mąż.

– Słucham.

– Pani Meyer? Yyy... tu Walicki, sąsiad... – usłyszała lekko drżący głos. Zaniepokoiło ją to, bo pan Krzysztof raczej bywał pewnym siebie cwaniakiem, któremu niestraszne były nawet boje z babciami o dokarmianie osiedlowych kotów.

– Tak, to ja. Co się stało?

– Pani Justynko, zeszlaby pani na dół, bo jest pewien problem z rowerownią.

– Jaki problem?

– Przyszli nowi lokatorzy i się skarżą, że nasze rowery zastawiły ich i nie mogą nimi wyjechać. Niech pani zejdzie.

– Dobra, dobra. Niech mi pan da pięć minut. Muszę się ubrać.

Była zła. Nie chciało jej się teraz zajmować takimi głupotami. Nie miała jednak ochoty na kolejną sąsiedzką awanturę. Takie sprawy trzeba było załatwiać szybko i bez zbędnych komentarzy. Dziwiła się tylko Walickiemu, że sam nie dał sobie z tym rady.

– Co robisz? – Łukasz wyrzał zza kanapy, kiedy szła do garderoby.

– Muszę zejść na dół. Walicki mówi, że jest jakiś problem z rowerownią.

– To niech to sam załatwi. Chciał być gospodarzem klatki, to niech się stara.

– Oj, dobra. Zejdę. Zajmie mi to parę minut i będzie z głowy.

Założyła bieliznę, podkoszulek, bluzę dresową i te same spodnie co wczoraj. Włożyła też ciepłe skarpety i adidas na wypadek, gdyby trzeba było stać na dole i handryczyć się z jakimiś ludźmi dłużej niż to konieczne. Nie miała ochoty się przeziębici. Zdjęła klucz do rowerowni z haczyka przy wejściu i zajrzała do salonu.

– Idę. Postaram się załatwić to szybko i sprawnie.

– OK. Nie dawaj się wciągać w żadne dyskusje.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Łukasz podniósł się z kanapy i poszedł z kubkiem do kuchni. Chciał zrobić sobie świeżą herbatę i przy okazji sprawdzić, czy da się zobaczyć przez okno, co się dzieje. Nie było na to wielkich szans, bo z trzeciego piętra nie widać było wejścia do rowerowni. Jednak od razu zauważył stojącego pod klatką ciemnogrnatowego vana...

Justyna zbiegła na parter i w drzwiach wejściowych dostrzegła sylwetkę Walickiego. Kiedy ją zobaczył, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Gdy jej stopa dotknęła jednego z ostatnich schodków, sama miała zamiar odezwać się z pytaniem, gdzie ci lokatorzy, ale w tym momencie zza ściany, na której znajdowało się wejście do garażu podziemnego, wyskoczyła zamaskowana wielka postać, ubrana w skórzaną kurtkę.

Ten z mercedesa, zdążyła wywnioskować, kiedy postać rzuciła się w jej stronę i jednym sprawnym ruchem złapała ją za rękę, przyciągając do siebie tak, że Justyna natychmiast znalazła się przy jego wielkim korpusie. Przycisnął ją do siebie mocno i był na tyle duży, że kiedy zaczął iść, jej nogi uniosły się w powietrzu. Chciała krzyknąć, ale napastnik drugą ręką sięgnął do jej twarzy i dłonią zasłonił usta. Mijając drzwi wejściowe, dostrzegła, że przed blokiem, z dala od zasięgu wzroku kogoś z wewnątrz, stoi drugi, również zamaskowany paker, który trzyma w dłoni pistolet wymierzony w głowę Walickiego.

– Kaptur – usłyszała krótkie polecenie nad swoim uchem. Wtedy dopiero dostrzegła samochód. Za kierownicą siedział trzeci mężczyzna z kominiarką na twarzy. Drzwi od strony pasażera były otwarte i przez nie właśnie kierowca wyrzucił w ich stronę czarny worek.

Moment, kiedy facet w skórzanej kurtce zakłada kaptur na głowę Justyny, doskonale widział Łukasz z wysokości trzeciego piętra. Zobaczył jeszcze, jak razem z drugim facetem, chowającym pistolet do kieszeni, wrzucają ją na tył vana i nieprawdopodobnie szybko sami do niego wskakują, odjeżdżając spod klatki z piskiem opon. Tylne drzwi zamykali w czasie jazdy. Reszty nie widział, bo rzucił się do drzwi wejściowych.

Bieg na dół z trzeciego piętra przypominał mu te wszystkie sny, w których próbuje coś gonić albo uciekać przed zagrożeniem i nie może, bo nie potrafi ruszać nogami lub rusza nimi tak wolno, że chce mu się krzyczeć. Teraz też chciał krzyczeć, ale to nie miało sensu. I wiedział dobrze, że biegnie bardzo szybko, o wiele szybciej, niż pozwalało mu na to jego wielkie ciało, chociaż był boso. A mimo to czuł pod czaszką, że to na nic, bo jeśli ten osioł w stróżówce miał ciągle otwartą bramę, to oni są już za nią. Kiedy wypadł z bloku, mijając siedzącego na trawniku Walickiego, który patrzył na swoje zasikane ze strachu spodnie, wiedział, że jest bez szans. Brama była wciąż otwarta, ale po mercedesie nie było śladu. Jednak biegł dalej. Wypadł z osiedla i biegł ulicą, dostrzegając jedynie, jak ciemnogrnatowy van skręca w lewo, bardzo daleko od niego. Przestał biec, bo po kilkuset metrach przewrócił się, zdzierając sobie dłonie i drąc na kolanach spodnie od piżamy. Kiedy upadł, w uszach mu huczało, a w skroniach palił niewyobrażalny ból. Chciało mu się płakać, ale nie mógł. Myślał o jednym: porwanie to śmierć, porwanie to śmierć... Bez względu na to, z jakiego powodu osoba zostaje porwana, dla porwanego to prawie zawsze śmierć. Przed oczami w jednej sekundzie stały mu wszystkie sprawy, jakie ostatnio prowadzili. Kiedy powoli podnosił się z ziemi, widział twarze porwanych dzieci, żon, biznesmenów. Gdy zaczął iść w stronę zakrętu, na którym mignął mu samochód z żoną, oglądał w głowie skrzepowane ciała wrzucone do prowizorycznych grobów w lesie albo

do studzienek kanalizacyjnych.

Policjanci w radiowozie, którzy przyjechali na wezwanie do rzekomego porwania, zobaczyli niezwykły widok. Po asfalcie biegł młody mężczyzna, bosy, w podartej piżamie, z zakrwawionymi kolanami, który gdy tylko ich dostrzegł, rzucił się na maskę wozu i coś zaczął krzyczeć.

– Jezu! – Starszy sierżant Różański wyskoczył z auta jak oparzony.

– Moja żona... – dyszał Łukasz. – Porwali moją żonę... Już ich widziałem... Nic nie mogłem zrobić...

– Spokojnie. – Różański złapał Łukasza za ramiona i podtrzymał lekko, bo wyglądało tak, jakby mężczyzna miał się zaraz przewrócić. – Niech pan wsiądzie do radiowozu, zabierzemy...

– Nie! – krzyknął. – Nie! Jedźcie za nimi! Jeszcze ich złapiecie.

Sierżant odwrócił się w stronę kolegi, który został w wozie i zobaczył, jak wzywa posiłki.

– Proszę pana – powiedział bardzo spokojnie do Łukasza – jak wyglądał samochód?

Pamięta pan markę?

– Yyy... tak, tak. – Łukasz pokiwał energicznie głową. – Ciemnogrnatowy mercedes, van...

– Może vito?

– Chyba tak. Z tyłu miał przyciemniane szyby.

Partner Różańskiego wychylił się z radiowozu, by powtórzyć mu te szczegóły, aby mógł podać je przez radio.

– A napastnicy? Widział ich pan?

– Widziałem dwóch. Ktoś prowadził... ale mieli kominiarki na głowach.

– Prawdopodobnie trzech napastników – krzyknął do kolegi, który kiwnął na znak, że usłyszał.

– Nie widziałem tablic rejestracyjnych – uprzedził kolejne możliwe pytanie Łukasz. – Ale osiedle ma monitoring, można sprawdzić obraz z kamer.

– Rozumiem. Pojedźmy tam. – Pociągnął Łukasza lekko w stronę wozu i wsadził go na tylne siedzenie.

– Róża, chłopaki pytali o tablice – zwrócił się do sierżanta młody policjant, gdy ten usiadł za kierownicą.

Pokręcił głową, nic nie mówiąc. Młody przyłożył do ust radio.

– Nic nie mamy.

– OK, przyjąłem – odpowiedział ktoś po drugiej stronie.

– Jedziemy sprawdzić monitoring na osiedlu – powiedział Różański, gdy ruszył z miejsca. Nagle jakiś kobiecy głos odezwał się w radiu.

– Róża, Ryba, słyszycie mnie?

– Tak. Co jest?

– Mamy sygnał od jakiejś kobiety z tego osiedla o granatowym mercedesie...

Łukasz pochylił się gwałtownie do przodu i gdyby nie kratka oddzielająca go od kierowcy, wyrwałby radio z rąk młodego policjanta.

– To znaczy?

– Widziała jadącego mercedesa, z którego ktoś wyrzucił przez okno telefon komórkowy.

– Ma ten telefon?

– Tak. Już powiedziałam tym, co do was jadą, żeby go od niej odebrali.

– Super! Dzięki.

Policjanci spojrzeli po sobie z minami wyrażającymi wielkie nadzieje.

– Odciski palców – powiedzieli razem.

Łukasz opadł zrezygnowany na kanapę. Wiedział, że to bzdura. Widział porwanie, miał pełną świadomość, że to nie byli nowicjusze.

Oni zarabiają tym na życie.

Chciał coś zrobić, działać, walczyć, żeby choć na chwilę nie myśleć o tym, co to oznacza dla niego i dla Justyny... Schował twarz w dłoniach i jedyne, czego pragnął, poza tym, żeby to wszystko okazało się snem, to śmierci – szybkiej i dającej zapomnienie.

Brama na osiedle była wciąż otwarta. Ochroniarz stał przy wjeździe z zafrasowaną miną. Kiedy zobaczył Łukasza wysiadającego z radiowozu, chciał coś do niego powiedzieć.

– Zabierzcie go ode mnie – wyszczał Łukasz do Różańskiego. Przy stróżówce został posterunkowy Rybczyński i zaczął wypytywać ochroniarza o szczegóły.

Pod klatką na trawniku nadal siedział Walicki z twarzą, na której malował się obłęd. Obok niego stała zapłakana Walicka. Kiedy zobaczyła Łukasza, podbiegła do niego i policjanta.

– Panie Łukaszu, on nie chciał, naprawdę nie chciał – szlochała. – Przystawili mu do głowy pistolet... Wyszedł na chwilę... Wyrzucał śmieci. Mówiłam mu, żeby je zostawił. Uparł się... Boże...

– Niech się pani uspokoi. – Policjant stanął przy Walickim i pochylił się ku jego twarzy. – Słyszysz mnie pan?

Łukasz patrzył na sąsiada bez emocji, ale w środku szczerze go nienawidził i życzył mu bolesnej śmierci.

– Nie dogadamy się z nim. – Policjant pokręcił głową. – Wezwwała pani karetkę?

– Tak. Zaraz będzie.

Jak na zawołanie w bramie pojawiła się karetka, a za nią kolejny radiowóz, tyle że większy. Wsiadło też z niego kilku funkcjonariuszy, w tym dwóch po cywilnemu. Łukasz zauważył, że w oknach siedzieli niemal wszyscy sąsiedzi. Włączył mu się zawodowy schemat myślenia i wszedł do klatki. Zaczekał tam na policjantów.

– Komisarz Wiśniewski, a to komisarz Malicki – zaczęła wysoki blondyn w brązowej marynarce. – To pana żona została porwana?

Łukasz kiwnął tylko głową i zaczął wchodzić po schodach. Policjanci spojrzeli po sobie zdziwieni, ale poszli za nim bez słowa. Drzwi do mieszkania były otwarte. Wszystko zostało tak, jak w chwili, gdy z niego wybiegł. Na płazmie w salonie znowu szczerzyła się pogodynka z debilną miną. Wyłączył telewizor i usiadł w fotelu. Wiśniewski z Malickim stanęli w pewnej odległości od niego. Jeden z nich zaczął dyskretnie rozglądać się po mieszkaniu. Łukasz po dłuższej chwili podniósł na nich wzrok. Wydawał się niepokojąco spokojny.

– To wy będziecie zajmować się tą sprawą?

– Tak. – Wiśniewski kiwnął głową. – Czy stanowi to dla pana jakiś problem?

Łukasz podniósł się i podszedł do stołu, na którym leżała torba na laptopa. Wyciągnął z niej swoją odznakę i podał komisarzowi.

– Ja pierdołę! – Policjant zrobił się kompletnie błydy i usiadł na kanapie. – Michał, zobacz.

Podał odznakę koledze, który nagle stracił zainteresowanie mieszkaniem i też usiadł.

Łukasz wiedział dobrze, jak to wyglądało z ich perspektywy. Niedzielny poranek, zaspani, może siedzieli przy śniadaniu z żoną albo kochanką (na palcu Malickiego nie było obrączki), a tu dzwoni telefon i trzeba się zbierać, jechać do zapłakanej rodziny, wydierać każdy strzępek informacji, bo im szybciej, tym lepiej... Trzeba też okazać współczucie, zapewnić, że robi się wszystko, co możliwe i tak dalej... Sprawa porwania kogoś z rodziny jakichkolwiek służb zmieniała jednak kompletnie zapatrywanie na problem. Zaczynało się myśleć o swojej żonie, swoich dzieciach, a także o tym, że to może nie być zwykłe porwanie dla okupu, tylko

zemsta albo groźba.

– Dzwonię do starego. – Malicki zerwał się nagle z kanapy. – Powiem też chłopakom, żeby inaczej z ludźmi gadali.

Wiśniewski kiwnął głową.

– Myślę, że nie powinniśmy tego nagłaśniać. Dzwonił pan już do Biura?

– Nie. Kiedy?

– No tak... – westchnął. – Zanim pan to zrobi, zadam tylko jedno pytanie... Albo nie! – Pochylił się w stronę Łukasza i podał mu dłoń. – Robert.

– Łukasz – odpowiedział automatycznie. – Jakie pytanie?

– Jaką sprawą się ostatnio zajmowałeś? Jeśli oczywiście możesz o tym mówić.

– W piątek aresztowaliśmy Frankowskiego i kilku jego ludzi.

Wiśniewski nic nie odpowiedział. Opadł na oparcie i pokręcił głową. Łukasz sięgnął po telefon, który leżał na szklanej ławie. Chciał od razu dzwonić do Kota, ale wyszukał numer szefa.

– Brenner – usłyszał niski głos. Szef zawsze tak odbierał telefony od swoich ludzi, unikał familiarności i bardzo pilnował odpowiedniego dystansu.

Łukasz nabrał powietrza i zdał sobie sprawę, że nie może nic powiedzieć. Zaciśnął oczy, starając się nie rozplakać. Krtań miał zaciśniętą do bólu.

– Meyer, słyszy mnie pan? – W głosie Brennera wyczuć można było lekką irytację doprawioną niepokojem.

Robert wstał z kanapy i odebrał telefon od Łukasza.

– Dzień dobry, z tej strony komisarz Wiśniewski, Komenda Stołeczna Policji, wydział poszukiwań. Dziś rano żona pana Meyera została porwana sprzed ich bloku. Jak rozumiem, rozmawiam z przełożonym pana Meyera?

– Tak. Zaraz tam będę. – Brenner rozłączył się.

Łukaszowi po policzkach płynęły łzy. Trzymał twarz w dłoniach i lekko kiwał się w przód i w tył. Wiśniewski przysunął sobie krzesło od stołu i usiadł obok mężczyzny. Nic nie mówił. Nie wiedział, co ma mówić, choć był w podobnej sytuacji kilka razy i zawsze miał przygotowaną jakąś przemowę. Ale co powiedzieć komuś, kto zawodowo zajmuje się łapaniem porywaczy? Usłyszał przed drzwiami głosy i jakieś poruszenie.

– To tutaj? – zapytał ktoś.

– Tak, tak. Tu mieszkają – odpowiedział kobiecy głos.

Drzwi do mieszkania otworzyły się i weszło dwóch pracowników pogotowia, siłą wypychając na zewnątrz wścibską sąsiadkę.

– Witam. – Lekarz podszedł do komisarza i podał mu dłoń. – Koledzy nas prosili, żebyśmy sprawdzili, czy komuś nic więcej się nie stało.

– A co z tym na dole?

– Zabrali go. Pojechali z nim od razu na psychiatryczny, kompletna katatonია. – Machnął ręką. – A jak on się trzyma?

Robert pokręcił głową bez słowa. Lekarz westchnął i przyklęknął przy Łukaszu.

– Te kolana trzeba opatrzyć.

– Zostaw! – Łukasz miał ochotę go uderzyć.

– Panie, jak wda ci się zakażenie, to nikomu nie pomożesz. – Odwrócił się w stronę sanitariusza i kiwnął ręką, żeby podał mu torbę. Rozdarł Łukaszowi spodnie do ud i zaczął oglądać rany.

– Trzeba podać zastrzyk przeciwężcowy. – Lekarz podniósł się i wymownie spojrzął na policjanta. Ten odpowiedział lekkim skinieniem głowy na znak, że rozumie. – Młody, daj mi... wiesz, ten na tęzec. Tak, ten.

Kiedy robili mu zastrzyk, Łukasz nawet nie drgnął. Czekał na pojawienie się szefa, wołał być ze swoimi ludźmi. Lekarz kończył zakładać opatrunek, gdy drzwi do mieszkania gwałtownie się otworzyły i wszedł wysoki, kompletnie łysy facet, który aparycją przypominał autentycznego bandziora. Za nim wbiegł Tomasz Kotowicz.

– Rafał Brenner. – Podał dłoń komisarzowi.

– Robert Wiśniewski. – Uścisk dłoni szefa Łukasza był morderczy.

– Co ustaliliście?

– Chodźmy do kuchni.

– Dobrze. Kotowicz, zajmij się Łukaszem.

Weszli do kuchni i stanęli przy oknie, z którego mogli zobaczyć widok na osiedle. Brama była wciąż otwarta, wokół biegali policjanci. Na alejkach stał spory tłumek gapiów.

– Ci obserwatorzy nie są nam potrzebni. – Brenner wskazał na sąsiadów.

– Wiem, kolega poszedł powiedzieć chłopakom, żeby się nimi zajęli.

– Macie jakieś konkrety?

– Łukasz podał nam markę i wygląd samochodu. Sprawcy mieli kominiarki, było ich trzech. A, i nie mamy tablic rejestracyjnych, ale już sprawdzają monitoring.

Brenner kiwnął głową.

– Z tym sąsiadem się nie dogadamy...

– Jakim sąsiadem?

– Kiedy tu jechaliśmy, udało się nam ustalić, że pani Meyer została zwabiona na dół przez jakiegoś sąsiada, któremu przystawiono pistolet do głowy. Lekarz mówił, że jest w psychiatryku i nie ma z nim kontaktu. Łukaszowi... – ściszył głos – podali coś na uspokojenie.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Niestety, będziemy musieli go trochę pomaglować. Od jego zeznań najwięcej zależy.

Do kuchni wszedł zdyszany Malicki. Podał dłoń Brennerowi i przeszedł do konkretów.

– Na monitoringu widać tablice jak na dłoni, ale sprawdziliśmy w bazie...

– I co?

– Są kradzione. Kradzież zgłoszono miesiąc temu.

– Bo to byli zawodowcy, durniu. – W drzwiach stał blady Łukasz, z tyłu podtrzymywał go Tomek. Był przebrany w szary dres i wyglądał, jakby miał zaraz umrzeć.

– Usiądź. – Brenner podsunął mu krzesło.

Usiedli wszyscy.

– Ile widziałeś? – Szef nie zamierzał czekać.

– Stałem przy oknie i zdołałem zobaczyć, jak zakładają jej czarny kaptur na głowę. I jak odjeżdżają... Nic więcej. Pobiegłem za nimi, ale to było bez sensu. Policja pojawiła się za chwilę, nawet nie wiem, kto ich wezwał.

– Mówisz, że to zawodowcy?

Łukasz pokręcił głową.

– Oczywiście. Gdyby pan widział, jak sprawnie to robili...

– Każdy szczegół jest ważny, Łukasz. – Szef do tej pory nie zwracał się do nich po imieniu. – Chcę wiedzieć wszystko.

Rozdział 9

Dopóki nie wrzucili jej z założonym na głowę kapturem do samochodu, nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę. Pierwsza myśl, jaka przysła jej do głowy, gdy leżała na podłodze mercedesa, była taka, że może gdyby się szybciej zorientowała, to mogłaby się jakoś bronić. Ale gdy nieco ochłonęła, zrozumiała, że nie miała żadnych szans. Napastnicy byli świetnie przygotowani, działali szybko i sprawnie. Poza tym byli ogromni. Widziała kierowcę tylko przez ułamek sekundy, ale zdążyła się zorientować, że cała trójka to napakowani bandyci, którzy miażdżą głowy innym bez najmniejszego wysiłku.

Leżała z tyłu samochodu w miejscu, w którym mogła być zamontowana jeszcze jedna kanapa. Jechali bardzo szybko, często skręcając, co powodowało, że turlała się po podłodze jak worek kartofli. Ręce miała skrępowane, stopy też. Ten, co ją trzymał, związał ją od razu na początku drogi. Przeszukał jej bluzę, z której wyciągnął telefon. Słyszała, jak otwierają okno i wyrzucają go na ulicę.

Dzięki komórce mogliby mnie szybko zlokalizować, zdała sobie sprawę.

Porywacze nic do siebie nie mówili, jakby doskonale wiedzieli, co robić w dalszej kolejności. Usłyszała tylko po kilku minutach, jak któryś mówi: „Uśpij ją”. Kaptur był dość gruby i było jej w nim duszno, ale nie chciała, żeby ktoś pozbawiał ją świadomości. Pragnęła wiedzieć, chociaż na słuch, gdzie jest, orientować się, czy jada drogą asfaltową, czy leśnym duktem. Bała się tak bardzo, że wołała nie żyć, niż przeżywać to, co przeżywa...

Nic nie widziała, ale zdawała sobie sprawę, że jeden z nich przeszedł do niej i zbliżył się z nasączoną czymś szmatą. Wyczuwała zapachy sto razy lepiej niż większość ludzi i w ostatnim przeblysku świadomości wciągnęła mocniej powietrze w nos, żeby wyłowić z otoczenia coś, co naprowadzi ją na jakiś trop. Niby bez sensu, ale oprócz wody po goleniu napastników wyczuła coś, co nie było obce, co skojarzyło jej się z jakąś osobą. Nie zdążyła jednak tego przemyśleć, bo poczuła, jak do twarzy zbliża się zupełnie inna woń...

Ocknęła się w momencie, gdy auto gwałtownie zahamowało. Całym ciężarem ciała przetoczyła się do przodu, uderzając boleśnie o kanapę z przodu. Zastanawiała się, czy zorientują się, że się obudziła, ale zaraz poczuła potworny ból z tyłu głowy, który pulsował i promieniował do ucha.

Uderzyli mnie czymś?

Wydawało się też, że ma przeciętą skórę, a włosy przylepiły się do kaptura przez przyschniętą krew. Bolało okropnie i chyba wołała być nieprzytomna. W pewnym momencie usłyszała jednak jakiś kobiecy głos. Obróciła lekko głowę, bo na lewe ucho słabo słyszała, jak po strzelaniu z RPG7, na które nie założyła kiedyś ochraniaczy słuchu.

– Dzień dobry – mówiła kobieta. Była na zewnątrz auta, co znaczyło, że szyba jest otwarta.

– Dzień dobry. – To kierowca. Coś jej podawał...

Jesteśmy w jakimś McDrive czy co?, przeszło jej przez myśl, ale zaraz szyba zasunęła się i ruszyli bardzo szybko w dalszą drogę.

Autostrada!

Próbowała się skupić, coś wymyśleć, wydedukować... Wszystko na nic. W głowie jej huczało, w ustach zrobiło się słodko. Znowu straciła przytomność.

Rozdział 10

– Jedyne, co możemy teraz zrobić, poza standardowymi czynnościami operacyjnymi, to czekać. – Brenner stał oparty o blat stołu kuchennego jak rasowy przywódca. – Czekać na ich ruch: telefon, mail, list, cokolwiek... Mamy kilka domysłów i nic poza tym. Nie wiemy, czego mogą chcieć.

Łukasz milczał. Zaczął domyślać się, że dali mu coś na uspokojenie, bo długo nie wytrzymałby takiego napięcia. Początkowo oczywiście wydawało mu się to, że motywem jest zemsta jakiegoś bandyty, którego kiedyś złapali. Może nawet kogoś od Frankowskiego... Ale im więcej pytań zadawał mu szef, tym mniej był o tym przekonany. Przez emocje zatarł zdolność jasnego myślenia – przesłuchanie Brennera skutecznie je przywracało.

– Widziałeś ich już kiedyś?

– Widziałem ten samochód.

– Kiedy?

– W tym tygodniu, przed naszą bramą, ochroniarz go nie wpuścił.

– Jaki to był dzień i godzina?

Chwila zastanowienia.

– Czwartek wieczór, siódma albo ósma.

– Dobra, sprawdzimy monitoring.

Tomek i Malicki wszystko notowali.

– Dlaczego ten ochroniarz ich wpuścił?

– Bo tylko Zdzych działa zgodnie z procedurami, reszta ma je w nosie. – Poczul, jak narasta w nim gniew.

– Kot. – Spojrzał na Tomka. – Jutro rano ochroniarz jest u nas.

– Jasne.

– Czy ostatnio działały się jakieś niepokojące rzeczy w waszym życiu albo w życiu twojej żony?

Łukasz przyłożył pokaleczone asfaltem dłonie do twarzy i chwilę nic nie mówił.

– Działy się – odpowiedział w końcu cicho i spojrzał na Tomka, który miał w tym momencie najbardziej współczującą minę, jaką Łukasz kiedykolwiek widział.

– Dlaczego patrzysz na Kota? On coś wie?

– Tak szefie. – Tomek przytaknął. – Wiem.

– O co chodzi?

– Nachodził ją w pracy jakiś koleś...

Policjanci spojrzeli po sobie, jakby ich piorun poraził.

– Znasz go?

– Nie. Mam jego nazwisko... i numer telefonu.

– Dawaj.

Łukasz podniósł się z trudnością i podszedł do lodówki, na której leżał liścik z bukietu od Józwińskiego, i podał go Brennerowi. Wiśniewski wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, co na niej jest.

– Przyniósł jej do biura róże... Zaraz potem odeszła z pracy.

– Przez róże?

– Nie. Wydawał jej się na tyle dziwny, że zaczęła się go bać.

– Ale musiał się wydawać dziwny z jakiegoś konkretnego powodu. Czy miała po prostu przeczucie?

- Nie wiem. Ja go nawet na oczy nie widziałem.
- A ktoś w tym biurze widział?
- Tak. – Kolejny ciemny obszar mózgu rozjaśnił się. – Lubicki!
- I możemy go przesłuchać?
- Tak, on jest najlepiej zorientowany.
- Czy możemy go wezwać jeszcze dziś? – pytanie padło ze strony policji. – Nagramy go i udostępniemy wam materiał.
- Wezwijcie. – Brenner był zdecydowany. – Oszczędzimy sporo czasu. Możesz dać nam jego namiary?
- Mogę.
- Dobrze. Czy w tym biurze działo się jeszcze coś, na co warto zwrócić uwagę?
- Łukasz westchnął zrezygnowany. Nie miał już sił, ale wiedział, że musi skupić się maksymalnie, żeby cokolwiek zdziałać. Trudno było być jednocześnie rodziną ofiary i funkcjonariuszem.
- Nie wiem, czy to ważne, ale jej szef... nie pozwolił jej odejść. To znaczy zaproponował inny rodzaj pracy. Miała siedzieć w domu.
- Brenner pokiwał głową.
- Dobrze. Trzeba się będzie w ogóle rozejrzeć w tej firmie, popytać ludzi. Niech tam jutro pojedą Majcher z tym nowym.
- Nie – odezwał się cicho Łukasz, ale w głosie czuć było stanowczość.
- Dlaczego?
- Ja pojedę.
- Nie powinieneś...
- Chcę pracować. Muszę. Nie będę tu siedział i patrzył na puste ściany.
- Dobrze. – Brenner podniósł dłoń jakby w geście pojednawczym. – Jedź rano do biura. Przez moment nikt nic nie mówił. Ci, co robili notatki, jeszcze raz je czytali. Pozostali, poza Łukaszem, mieli miny świadczące o tym, że przeprowadzają poważne procesy myślowe. Po pięciu minutach do mieszkania wszedł jeden z policjantów. Łukasz obrócił się i zauważył, że to jeden z tych, którzy zgarnęli go z ulicy, ten młodszy.
- Obejrzeliśmy taśmy monitoringu. Coś nas tknęło i przejrzelśmy z minionego tygodnia.
- Do sedna. – Wiśniewski się zniecierpliwił.
- Ten van był tutaj pod bramą w czwartek wieczorem o dwudziestej trzynastcie, ale odjechał.
- Widać twarze?
- Niestety... mieli bejsbolówki na głowach. Tak samo jak następnego dnia rano.
- Słucham? – Brenner wyprostował się, podobnie jak reszta zgromadzonych przy stole.
- Mercedes był tu jeszcze w piątek przed ósmą rano, gdzieś za pięć ósma. Na nagraniu widać, jak pan Meyer wychodzi przez furtkę, a potem podjeżdża samochód.
- Jakby czekali, aż wyjdzie? – upewniał się Brenner.
- Tak. – Potwierdził zdecydowanym ruchem głowy. – Wjechali na osiedle pod tę klatkę. Jeden z nich wszedł do środka, za chwilę przyszedł kurier z DHL i chyba go wypłoszył.
- Ten kurier był do was? – Szef spojrzał przenikliwie na Łukasza.
- Myślę, że tak. – Pokazał laptopa Justyny, który stał na środku stołu kuchennego.
- Przywiózł Justynie komputer. I jakieś dokumenty.
- Gdzie są?
- W pudle koło lodówki.
- Kot... albo nie. Sam je wezmę do Biura. Komputer też.

Łukasz opuścił głowę na klatkę piersiową. Czuł się jak po pokonaniu maratonu. Chciało mu się wyc, ale na to tym bardziej nie miał siły. Tomasz popatrzył na niego zaniepokojony. Potem skierował wzrok na szefa. Brenner przejął jego spojrzenie i lekko skinął głową.

– Panowie – zwrócił się do komisarzy – macie jakieś pytania?

– Na dziś już nie. – Wiśniewski pokręcił blond czupryną.

– OK, zbieramy więc zabawki i przenosimy się z pracą do naszych biur. Jutro porozmawiam z waszym szefem, żeby nasza współpraca była bardziej zsynchronizowana. Kot...

– Zostaję – wyprzedził pytanie szefa Tomek.

– Dam szefowi namiar na Lubickiego. – Łukasz podniósł się i poszedł do salonu. Kiedy wyszedł, Brenner spojrzał na Kotowicza wymownie.

– Pilnuj go – mówił cicho, ale wyraźnie. – Poproszę kogoś, żeby podesłał ci na noc środki na sen albo na uspokojenie. Gdyby było źle, podaj mu je, najlepiej rozpuszczone w wodzie.

– Jasne, szefie.

Łukasz wsunął się do kuchni na obolałych nogach. Dokuczały mu kolana i bolały wszystkie mięśnie od ciągłego napięcia. Wiśniewski zapisał numer telefonu do Mirka i jego adres, po czym wstał i razem z kolegą wyszli z mieszkania bez specjalnych pożegnań.

– Zapomniałem o jeszcze jednym. – Brenner potarł dłonią łysą głowę. – Trzeba trzymać pismaki i inne hienopodobne na krótkiej smyczy, bo na pewno zaczną węszyć. Tu już niejeden sąsiad obdzwonił kogo trzeba, znając życie. – Patrzył przez okno na odjeżdżających policjantów. – Ale zaraz się tym zajmę. Może w samochodzie zadzwonię do paru osób... Kot, spakuj mi tego laptopa.

Sam zabrał pudełko z dokumentami stojące obok lodówki i rozejrzał się uważnie po kuchni.

– Gdyby się coś jeszcze przypomniało wam dwóm, dzwońcie, choćby w środku nocy.

– Oczywiście. – Tomek podał mu laptopa zawiniętego w jakąś reklamówkę, którą udało mu się znaleźć.

Brenner wyszedł bez słowa. Kiedy Tomek wrócił do kuchni, Łukasz siedział przy stole z głową opartą o blat. Kolega usiadł obok niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Myślę, co zrobiłem źle. – Głos Łukasza był ledwo słyszalny. – Myślę o tym, co mi wtedy powiedziałeś...

– Przestań, stary, to ci w niczym...

Łukasz podniósł głowę. Oczy miał czerwone, ale nie płakał.

– Było dokładnie tak, jak mówiłeś – mówił, patrząc przed siebie. – Były jakieś sygnały... Widziałem przecież tego mercedesa, ona zwróciła na niego uwagę, bała się, miała pretensje o otwarte na noc drzwi. Gdyby nie rozmowa z tobą, nawet bym jej nie zapytał o powody odejścia z firmy.

– Chodziło o tego od kwiatów? – Tomasz wiedział, że musi mu pozwolić się wyżalić.

– Tak. Ona... ona twierdziła, że to nie był on.

– Nie rozumiem.

– Że jakiś koleś podszył się pod znajomego z liceum. Ona wiedziała, rozumiesz to?! Justyna wiedziała, że jest zagrożona. Powiedziałem, że to mało realne, ale że go sprawdzę w poniedziałek. – Łukasz rozplakał się jak dziecko. – W poniedziałek... nie skończyła się niedziela, a jej nie ma.

Tomkowi pękało serce.

Mojej francy nikt by nie porwał, bałby się, że go zniszczy, pomyślał.

– Dlaczego? – Z piersi Łukasza co chwilę wydobywał się szloch. – Dlaczego ktoś ją porwał? To bez sensu. Nie ma wrogów. Tylko moja matka jej nie lubi, ale nawet to

zignorowałem.

– Dowiemy się. – Kot starał się być jak najbardziej przekonujący, ale żołądek miał zaciśnięty w supeł. Bał się tak bardzo, jakby chodziło o najbliższą rodzinę. Fakt, że wciąż nie mieli nawet cienia przypuszczeń co do motywów porwania, był najgorszy, także jako dla funkcjonariusza CBS. Łukasz miał rację – to wyglądało na zupełnie bezsensowne zdarzenie. Porywani ludzie pochodzili z bogatych albo wpływowych rodzin, a oni byli bardziej niż przeciętną klasą społeczną. Nic od nich nie zależało... Porwanie przez szaleńca, który wcześniej nachodzi ofiarę i daje jej bukiety róż, też nie trzymało się kupy. Ludzie, którzy to zrobili, przypominali siepaczy Frankowskiego, którzy po śniadaniu idą zakopywać kogoś żywcem w lesie – takich zawodowców nie wynajmuje zakochany świr, choćby nie wiadomo jak był szalony. Tomek nie mógł jednak głośno wypowiedzieć tych swoich rozważań, jego zadanie polegało na podtrzymywaniu kolegi w pionie psychicznym. Głowa Łukasza i tak pełna była podobnych myśli.

– Musisz coś zjeść.

– Nie chcę – odpowiedział niemal machinalnie Łukasz.

– Ale ja chcę. – Tomasz podniósł się i zaczął szukać portfela. – Zamówię coś na telefon.

W tym momencie zadzwonił domofon. Łukasz podskoczył jak oparzony. Chciał zerwać się i pobiec odebrać, ale nagle opadł bez sił na krzesło.

– Moi rodzice – westchnął ciężko.

– Jesteś pewny?

– Tak... To znaczy, najprawdopodobniej to oni. Nie chcę ich teraz widzieć.

– To nie odbierajmy. – To był głupi pomysł, bo dzwonić mógł ktoś inny, ale Tomek nie chciał Łukasza do niczego zmuszać.

– Nie przejdzie. Widzieli światło w mieszkaniu, będą się dobijać do skutku. Odbierz, powiedz, że mnie... że nas nie ma... – Oparł znowu głowę o blat stołu.

– OK, coś wymyślę. – Podeszedł do domofonu i podniósł słuchawkę. Chrząknął, starając się, by jego głos brzmiał swobodnie i naturalnie. – Tak?

– Cześć, kochanie – usłyszał świergotliwy głosik matki Łukasza.

– Yyy... dzień dobry... wieczór... to znaczy Justyny i Łukasza nie ma w domu. Jestem kolegą, Tomasz Kotowicz. Nocuję dziś u nich.

– Jak to? Gdzie oni są? Niech pan nas wpuści! – Ton głosu Zofii Meyer zmienił się diametralnie.

– Oni są u jakichś znajomych... na Mazurach. Wzięli kilka dni urlopu. A ja... ekhm... nie jestem sam...

– Jak to? Nic mi Łukaszek nie mówił. – Zofia próbowała protestować, ale Tomasz usłyszał w tle głos jej męża.

– Przestań. Są dorośli, wzięli wolne. Nie wiedzieli, że przyjeździemy.

– Ale ja mam dla nich konfitury, smażyłam całą sobotę – nie poddawała się.

– To dasz im za tydzień. Jedziemy do domu. – Stefan Meyer był wyraźnie poirytowany.

– Pojechali? – Łukasz spojrział na niego, gdy wrócił do kuchni.

– Tak, twój ojciec odkleił matkę od drzwi i poszli sobie.

– Dopiero wczoraj dowiedziałem się, co moja żona myśli o tych wizytach. Mówi na nie „naloty”.

Tomek uśmiechnął się smutno.

– Nie nazwałbym tego inaczej.

– Widzisz! Dlaczego mi tego wcześniej nie powiedziała?

– Łukasz... Jesteś dla swojej żony najważniejszy, oddałaby za ciebie życie, więc

widocznie była również skłonna przecierpieć twoją matkę, byle cię nie urazić. Kobiety trochę inaczej widzą pewne sprawy... Te normalne kobiety, oczywiście.

Łukasz nie odpowiedział. Po chwili więc Kot wstał i zaczął robić im obu herbatę. Częste wizyty w domu Meyerów sprawiły, że dość dobrze orientował się w tym, co się w nim znajduje. Kiedy usiadł i postawił kubki przed Łukaszem i sobą, wyciągnął telefon z kieszeni.

– Do kogo dzwonisz?

– Muszę załatwić wezwanie dla tego ochroniarza. Myślę, że trzeba przesłuchać ich wszystkich, ale to już później z szefem ustalę.

Mimo że w pierwszym odruchu Łukasz nie chciał niczego jeść ani pić, przysunął sobie kubek z herbatą i wsypał do niego dwie łyżeczki cukru. Tomek rozmawiał chwilę z kimś z Biura, potem zadzwonił po pizzę.

– Która jest godzina? – Łukasz potarł zaczerwienione oczy.

– Dochodzi ósma. Może byś się położył?

– Musimy chwilę się zastanowić.

– Nad czym?

– Nad sprawą... – Mieszał chwilę łyżeczką w herbacie i nad czymś rozmyślał. – Wiem, że brzmi to okropnie, jak mówię „sprawa” o porwaniu własnej żony, ale jest mi chyba trochę łatwiej, kiedy podchodzę do tego jak zawodowiec, a nie rodzina ofiary.

Tomek pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Przyszły ci do głowy jakieś pomysły?

– Przyszły mi do głowy pomysły, co można jeszcze sprawdzić.

– To znaczy?

– Wątpię, żebyśmy jutro dowiedzieli się czegoś więcej w biurze Justyny. Chociaż może... Tak czy inaczej trzeba jechać do jej matki pod Łomżę.

– Myślisz, że to coś da?

– Jak nie spróbuję, to się nie dowiem. Trzeba ją przepytac o przeszłość Justynki, o znajomych ze szkoły i ze studiów. Jej matka nie jest pewnie zbyt dobrze zorientowana, żyje we własnym świecie, ale czasem jeden fakt może mieć istotne znaczenie.

– I pewnie chcesz dowiedzieć się czegoś o tym... Jak mu tam było?

– Jóźwiński. Tak, to przede wszystkim. – Złożył dłoń w pięść i zaczął nią lekko uderzać w czoło. – Nie dają mi spokoju te zbiry. To wyglądało jak porachunki półświatka narkotykowego, jak porwanie żony bosa od przemytu na skalę międzynarodową, a nie jakiegoś podrzędnego funkcjonariusza...

– Przypominam, że pracujemy dla CBS.

– To bez znaczenia. – Pokręcił głową. – Gdyby zgarnęli Grażynę Brennerową, to rozumiem, albo ich córkę. Albo... kogoś jeszcze wyżej. Ja nie jestem w tym kręgu nawet płotką. Już się zastanawiałem, czy ktoś się nie chce zemścić za coś, ale wtedy nie robiłby tak przygotowanej akcji. Z kolei w tym jej biurze... Justyna sama kiedyś mówiła, że jest na samym dole drabiny w korporacyjnej hierarchii. Niektórzy nawet nie wiedzą o jej istnieniu.

– A może miała dostęp do czegoś bardzo ważnego: dokumentów, kontraktów? – Tomek też się zaczął wkręcać w analizowanie faktów.

Łukasz spojrzał na niego, jakby nagle został wyrwany ze snu.

– Może... – Zmrużył oczy. – W zasadzie na pewno, mówiła nawet wczoraj o tym z Lubickim. Ze zwykłego komputera nie dostanie się do ich dokumentacji, potrzebuje tokena... Trzeba zapytać o to Słotwińskiego. Ale jeśli to jest ten trop, to znaczy, że B.S.K. powiązane jest w jakiś sposób ze światem przestępczym.

– I może lepiej nie przepytawać jej szefa zbyt dokładnie, tylko skupić się na

obserwowaniu go? – dokończył ten tok rozumowania Tomasz.

– Tak. – Łukasz kiwnął głową.

– Trzeba to będzie powiedzieć staremu.

Tomek wziął swój zeszyt z notatkami i zaczął coś w nich dopisywać. Wtedy usłyszeli, że ktoś cicho puka do drzwi mieszkania. Spojrzeli po sobie z mieszanymi uczuciami.

– Ja sprawdzę. – Kot wstał i cicho podszedł do wejścia. Wyrzał przez wizjer i szybko otworzył drzwi.

Kiedy Łukasz podniósł się i wszedł do przedpokoju, zobaczył, jak na progu stoi młody policjant, obok niego dostawca pizzy, a za ich plecami, z niepewną miną, Stefan Meyer.

– Ten pan mówi, że ma dla was pizzę – zaczął młody posterunkowy.

– Tak, zamawialiśmy – odparł Tomek. – Siedzisz na obserwacji?

– Tak, szef ustawił nas przed bramą. Ochroniarz ma nas informować, gdyby coś się działo.

– Świetnie. Dawaj zarcie. Ile się należy?

– Trzydzieści dwa. – Dostawca był wyraźnie przestraszony całą sytuacją. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat i był kompletnie pryszczaty. Kiedy tylko dostał pieniądze i drżącymi rękami wydał resztę, wycofał się i zaczął szybko schodzić po schodach.

– A ten pan – policjant wskazał na ojca Łukasza – uparł się, że musi przyjść, bo ma dla was... słoiki.

– Konfitury. – Meyer podniósł siatkę ze słoikami, którą ścisnął w dłoniach. Był nie mniej wystraszony niż chłopak od pizzy.

– O, ludzie – westchnął Tomek i dopiero teraz zauważył Łukasza.

– Synu...

– Gdzie jest matka?

– Siedzi na kawie u swojej siostry, Joli. Zostawiłem ją tam. Kazała mi wrócić i dać wam te słoiki.

– Niech pan go wpuści. – Łukasz machnął ręką, zrezygnowany, i wrócił do kuchni.

Ojciec Łukasza długo nic nie mówił. Ścisnął mocno kubek z herbatą, mimo że była bardzo gorąca. Po policzkach płynęły mu łzy.

– I nic nie mogłeś zrobić? – odezwał się w końcu z rozpaczą w głosie.

– Tato...

– Wiem, wiem. – Zakrył dłonią oczy i głośno zaszlochał.

Stefan Meyer nie wyglądał na ojca Łukasza – byli diametralnie różni, począwszy od tego, że senior był niskim, z wiekiem coraz bardziej korpulentnym panem, którego siwe włosy były już znacznie przerzedzone. Gładko się golił i zawsze dobrze ubierał. Miał w sobie mnóstwo delikatności i wrażliwości, dlatego syn patrzył na niego teraz z wielkim niepokojem, bo bał się o jego słabe serce. W kwestii lubienia synowej pan Stefan był całkowitym przeciwieństwem swojej zacierzwionej żony.

– Tato. – Łukasz sięgnął ręką nad stołem i położył dłoń na rękę ojca. – Nie mów na razie nic mamie.

Stefan podniósł wzrok na niego, jakby nie do końca rozumiał, co się do niego mówi.

– Jak to? Przecież i tak się dowie. Zaraz pewnie media powiedzą...

– Nie, panie Stefanie. – Tomasz spojrział na niego łagodnie. – Robimy wszystko, żeby nikt nic nie wiedział.

– To co mam jej powiedzieć? – Rozłożył bezradnie ręce.

– Nic. Przynajmniej dopóki ci nie powiem...

– Będzie mnie przepytawać, znasz ją. Już teraz na pewno się złości, czemu mnie tak

długo nie ma. Zobacz mnie w tym stanie i od razu czegoś się domyśli.

– To się postaraj, proszę cię. Nie chcę, żeby tu przyjeżdżała i... i opowiadała głupoty.

– Jakie głupoty, Łukasz?

– Oj, sam dobrze wiesz. – Łukasz odwrócił wzrok. – Wymyśli coś takiego, że nie będę jej mógł tego darować do końca życia. Trzymaj ją z dala ode mnie, proszę cię tylko o to.

– Dobrze, synku. – Pociągnął nosem i otarł policzki z łez. – Pójdę już.

Wstał i podszedł do Łukasza. Objął go mocno za głowę i pocałował w jej czubek.

– Trzymaj się – szepnęła i szybkim krokiem wyszedł z mieszkania.

Łukasz oparł czoło na dłoniach, zrezygnowany.

– Jeszcze mi tylko trzeba, żeby ojciec dostał zawału.

Zjedli w milczeniu pizzę, która zdążyła wystygnąć w czasie wizyty ojca Łukasza. Tomek zaproponował, że przeniosą się do salonu, żeby się trochę wyciągnąć. Miał nadzieję, że Łukasz zaśnie w końcu i będzie w stanie rano normalnie funkcjonować. Na razie jednak mężczyzna skulił się w rogu kanapy i intensywnie rozmyślał. Kot zajął miejsce w fotelu z notatkami. Włączył też telewizor na kanale informacyjnym i ściszył głos. Zerkał co chwilę na dolny pasek z wiadomościami, modląc się w duchu, żeby przypadkiem nie pojawiła się choćby wzmianka o porwaniu Justyny.

– Czy oni coś robią? – odezwał się nagle Łukasz.

– Słucham?

– Czy oni w ogóle pracują w tym naszym pieprzonym Biurze?

Tomek z przerażeniem zauważył, że w oczach kolegi kryje się obłęd. Nie patrzył na niego, tylko w jakiś niewidzialny punkt. Ręce miał zaciśnięte na kolanach, na dłoniach widać było bielejące przez skórę kostki palców. Kiwał się lekko w przód i w tył i bardzo szybko oddychał.

Nie jest dobrze, pomyślał Kot. Miał przyjechać ktoś z lekami.

– Oczywiście, że pracują – odparł bardzo spokojnie Tomek.

– A skąd wiesz?! – prawie krzyknął i spojrzał na niego z furią. – Byłeś tam? Widziałeś, jak ktoś siedzi przy biurku i coś robi? Pewnie rozjechali się do domów i siedzą wygodnie w fotelach, a ona gdzieś tam jest i nawet nie wiem, czy ma co jeść.

Tomek wstał i poszedł do kuchni. Wiedział, że nie ma na co czekać. Stanął w oknie i zaczął wymachiwać rękami, mając nadzieję, że któryś z obserwujących ich policjantów to zobaczy. Usłyszał za plecami jakieś poruszenie. Wpadł do przedpokoju i zobaczył Łukasza ubierającego adidas. Podszedł do niego, ale ten poderwał się i wymierzył w niego palec.

– Nie waż się do mnie podchodzić! – warknął. – Nie dotykaj mnie, bo złamię ci rękę!

Tomasz, choć niewierzący, zaczął błagać wszystkich świętych o jakąś pomoc. Łukasz był od niego dużo większy i dużo silniejszy. Miał teraz więcej energii, bo zjadł solidny posiłek. No i był w absolutnym szale. Tomek wiedział, że to może się dla niego źle skończyć, ale podszedł do drzwi i zasłonił je swoim ciałem.

– Zaczekaj. Pojedźmy razem...

– A skąd wiesz, gdzie ja chcę jechać, co? – Łukasz roześmiał się szyderczo. – Jadę sam. Odsuń się.

Ruszył na Tomasza z całym impetem swojego umięśnionego ciała, złapał go za ramiona i odciągnął od drzwi. Tomek zaparł się jednak, więc przez moment mocowali się ze sobą, aż w końcu Łukasz przycisnął kolegę do ściany i lekko przydusił. Kiedy Kotowi zaczęły latać przed oczami ciemne kręgi, drzwi do mieszkania otworzyły się nagle i wpadło do niego dwóch młodych policjantów. Natychmiast złapali Łukasza za ręce i wykręcili mu je do tyłu. Tomasz złapał się za klatkę piersiową i z ulgą zauważył, że jeden z posterunkowych jest bardzo duży,

podobny budową do Łukasza, więc razem mogli dać mu radę.

– Niech pan wezwie pogotowie – powiedział przytomnie jeden z policjantów do Tomka.
– Długo go nie utrzymamy.

Założyli mu na ręce kajdanki i wciąż trzymali, kiedy zjawił się lekarz pogotowia, ten sam, który był tu wcześniej. Łukasz ciężko oddychał i wciąż starał się wyrwać, ale stopniowo tracił siły. Lekarz spojrzął na niego i uśmiechnął się.

– A, znowu te zakażone kolana. – Odwrócił się do sanitariusza. – Młody, tęzec.

Kiedy robił mu zastrzyk, Tomasz opadł na podłogę i objął Łukasza, który niespodziewanie oparł swoją głowę na jego ramieniu i rozplakał się. Szlochał tak strasznie, że chwilami nie mógł złapać tchu. Większy z policjantów zdjął mu kajdanki, a wtedy Łukasz złapał Tomka i kurczowo się go trzymał.

Policjanci dyskretnie wyszli z mieszkania. Lekarz z sanitariuszem poszli do salonu.

– Nie wytrzymam – mówił bezgłośnie. – Nie wytrzymam dłużej...

Tomkowi nie przychodziło do głowy nic innego, jak tylko mocniej go objąć. Po paru minutach zdał sobie sprawę z tego, że środek uspokajający działa, przynajmniej na mięśnie Łukasza. Próbował podnieść go z podłogi, ale nie dał rady. Zawołał sanitariusza i razem zaprowadzili kolegę do sypialni. Położyli go na łóżku, a Tomek ściągnął mu buty i przykrył kocem. Po minucie zauważył, że oddech Łukasza jest bardziej miarowy, tylko co chwilę z piersi wydobywa się żalosne westchnięcie. Zasnął.

Lekarz siedział w salonie na kanapie i coś pisał.

– Wypisuję receptę na środki uspokajające dla pana kolegi – wyjaśnił bez podnoszenia głowy. – Powinienem być to zrobić wcześniej, ale zgubiła mnie rutyna.

Wyciągnął pieczętkę, przystawił ją pod swoimi hieroglifami, wyrwał receptę z bloczka i podał Tomkowi.

– Trzeba wybrać jak najszybciej.

– Jak często mu dawać?

– Jak często będzie potrzebował. Jeśli będzie potrzebował co godzinę, to co godzinę.

– Nie zaszkodzi mu?

Lekarz spojrzął na niego znad okularów.

– A panu nie zaszkodzi jego kolejny szal? Jest w takim stanie, że szkodliwe byłoby go nie odciążać od tego stresu. To może go zabić. – Zaczął zbierać swojej papiery i chować je do torby.

– Młody, idź do niego. Zmierz mu ciśnienie.

Sanitariusz wyszedł bez słowa.

– Moja siostra-idiotka uważała, że podawanie leków chorej na Alzheimera matce będzie dla niej szkodliwe. Nie chciała truć jej chemią, jak mi to często mówiła. Więc matka wpadała w takie stany, że sąsiedzi wzywali policję. Aż któregoś dnia, w krótkim przyływie świadomości, poszła nad staw i się utopiła, bo miała dość. Tak jej pomogły naturalne środki mojej siostry-idiotki. Powinni ją zamknąć...

– Doktorze, ciśnienie ma w normie. – W drzwiach stanął sanitariusz. – Ale widzę, że jest bardzo odwodniony, skórę ma jak papier i kompletnie suche usta.

– To mu podaj sól fizjologiczną.

– Ale nie ma gdzie powiesić kroplówki.

– To ją trzymaj w łapach!

Lekarz pomruczał coś pod nosem ze złością i opadł na oparcie. Tomek znowu usiadł w fotelu.

– Dawaliście mu coś do picia?

– Pił herbatę...

– Jedną przez cały dzień? – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Dostał szału także z odwodnienia. Musi dużo pić. Jeszcze wiele przed nim, bardzo wiele...

Kiedy Kot został sam, poczuł, że jest niewyobrażalnie zmęczony. Siedział na kanapie i bezmyślnie gapił się w telewizor, na którego ekranie jakiś dziennikarz poruszał ustami, mówiąc coś na jakiś mało ważny temat. Tomkowi przyszło do głowy, żeby też się położyć i nawet już się wyciągnął na kanapie. Po paru minutach zerwał się jednak i znowu usiadł. Cisza powodowała, że słyszał własne myśli, a one mu się nie podobały. Czuł, że musi z kimś porozmawiać. Spojrzał na receptę leżącą na stoliku i postanowił zadzwonić do szefa.

– Tak, miałem się tym zająć. – Brenner westchnął ciężko, kiedy wysłuchał historii o napadzie Łukasza i wizycie pogotowia. – Kompletnie zapomniałem. Zająłem się ściąganiem ludzi do pracy. Mieliśmy tu małą odprawę i niektórzy dziś nie pójną spać... Zaraz wyślę do ciebie Majchra po tę receptę, powinien kręcić się gdzieś niedaleko was.

Tomek usłyszał, jak szef mówi coś do kogoś w tle. Wyłowił też kilka dźwięków, świadczących o tym, że w Biurze jest zamieszanie.

– Dobra, załatwione. Kot... Czy masz jeszcze coś ważnego do powiedzenia?

– Dużo.

– No to dawaj. – Brenner oparł się mocno plecami o swój fotel i kiwnął kręcącemu się pod jego biurkiem człowiekowi, żeby zamknął drzwi. Odgradzony był od reszty szklaną ścianą, dzięki której wszystko miał na widoku. Jednak zamknięcie drzwi wytłumiało dochodzące z zewnątrz dźwięki.

Tomek sięgnął po swoje notatki.

– Kiedy jeszcze Łukasz się w miarę trzymał, doszliśmy do wniosku, żeby przyjrzeć się uważniej firmie Justyny, a konkretnie jej szefowi i tematom, którymi się zajmowała.

– Dlaczego? – Brenner spojrział na białą tablicę, którą miał w pokoju. Zapisano na niej możliwe powody porwania. Pracy Justyny na niej nie było...

– Łukasz twierdził, że były to dość poufne sprawy. Myślę, że bez odpowiednich uprawnień, bez hasła i tokena, nie zdołamy sprawdzić tego laptopa, którego pan zabrał. Wnioskuje więc, że Justyna mogła na co dzień stykać się z danym zawierającymi istotne dla kogoś informacje. Jeśli dowiemy się, co to za informacje, być może łatwiej będzie trafić na tego, komu zależy na ich wyciągnięciu z Justyny.

Brenner stał już przy tablicy i markerem zapisywał: zdobycie informacji o firmie J.

– Bardzo dobrze. Coś jeszcze?

– Tak. Łukasz chce jechać do matki Justyny i dowiedzieć się czegoś więcej o jej przeszłości.

– Coś, czego sam nie wie? – Brenner wydawał się zdziwiony. Wpatrywał się wciąż w tablicę i pod ostatnim wnioskiem dopisał: zdobycie informacji o Biurze.

– Tak... – zawahał się.

– Co jest?

– Nic... Wie szef, znamy się jakiś czas i muszę powiedzieć, że przeszłość Justyny jest dla mnie zagadką w znacznej mierze.

– Konkretniej, Kot.

– Poznali się w samolocie z Turcji. Justyna zawsze twierdziła, że była na wakacjach, ale z tych „wakacji” przywiozła znaczną sumę pieniędzy...

– Ile?!

– Czterdzieści tysięcy. W złotych. Kasę wiozła w dolarach.

– To dużo... – Brenner podrapał się po łysinie. – Ale to też nie majątek, za mało, żeby ją porwać. Wiadomo, skąd je miała?

– Mówiła, że siedziała w pracy za granicą. Potem pojechała odpocząć...

– Z tymi pieniędzmi?

– Dla mnie to też zawsze było dziwne, ale Łukasz mówił, że pojechała na wczasy bez wracania do Polski. W ogóle to nie do końca rozumiem, co robiła po studiach. Zrobiła licencjat i wyjechała. Mówiła, że była opiekunką w Niemczech. Ale to dla mnie bez sensu: po co robić studia i jechać na saksy?

– Kot, mało magistrów stoi na zmywaku w Londynie?

– Fakt.

– Dobra, ale to też trzeba będzie sprawdzić. – Na tablicy pojawił się kolejny wpis: niejasna przeszłość po studiach. – Długo jej nie było w Polsce?

– Nie wiem... Niech pomyślę. Poznali się z Łukaszem, kiedy miała prawie trzydzieści lat, studia kończyła w wieku dwudziestu pięciu...

– Późno.

– Tak, bo wcześniej pracowała w Łomży w jakimś banku. Nie miała pieniędzy na naukę. Czyli mamy lukę czasową... jakieś...

– Pięć lat – powiedział szybko Brenner.

– Tak, prawie pięć.

– I Meyer nie wie, co wtedy robiła?

– Nie no, on uważa, że wie... Ale dla mnie to jakieś dziwne, bo nigdy nie słyszałem, żeby opowiadała szczegółowo o tej pracy. Wie szef, znam babki, które jeździły myć dupy starym Niemcom, ale one o tym zawsze dużo mówią. To jest jak trauma...

– Trochę przesadzasz. Ale możesz też mieć rację – westchnął. – Wiozła dolary, mówiła, że była w Niemczech, leciała z Turcji... Coś tu nie pasuje. – Kręcił głową. – To tym bardziej niech Meyer tam jedzie i coś od matki wyciągnie.

– Mam jechać z nim?

– Nie, będziesz mi tutaj potrzebny. Poza tym musisz trochę odpocząć. Nie wiadomo, jak długo to potrwa, a ktoś powinien zawsze z nim być. Wyślę z nim młodego poliglotę.

– Jego? – Skrzywił się.

– Tak, jego. Da sobie radę.

– Niech szef zaczeka. – Usłyszał pukanie. W drzwiach stał Majcher z wyciągniętą ręką. Tomek dał znak, żeby wszedł. Policjant pobiegł po receptę, którą kolega odebrał bez słowa i szybko wyszedł. – OK, jestem. Majcher pojechał po leki.

– Bardzo dobrze. Masz jeszcze coś dla mnie?

– Nie. Chciałem tylko zapytać, co z tym od bukietu?

– A, tak. Dzwonił do mnie komisarz Wiśniewski. Przesłuchali tego całego Lubickiego. Poza tym dzwonili do Józwińskiego na numer, który podał Meyer i... jego też przesłuchali.

– Żartuje szef!

– No właśnie nie. Wygląda na to, że jest czysty, jego zeznania pokrywały się z tym, czego dowiedzieli się od Lubickiego.

– Chłopaki z policji to obrotne bestie. Szybko się z tymi przesłuchaniami uwinęli.

– Na to też zwróciłem uwagę i nie wiem, czy to dobrze, czy nie. Mariusz Józwiński pracuje dla jakiejś firmy inwestycyjnej – już ją sprawdzamy – ma biuro na Ochocie. Podobno siedział w nim, kiedy po niego przyjechali. Jutro dostanę nagranie z przesłuchania, zobaczymy, co to za jeden.

– A, właśnie... – Tomek potarł dłonią czoło.

– No!

– Łukasz wspominał coś, że Justyna miała lekką paranoję związaną z tym facetem.

Twierdziła nawet, że to nie on.

– Jak to nie on?

– Kiedy szef poszedł, mówił, że według Justyny on się podszywa pod tego kolegę z liceum.

– I mówisz mi to dopiero teraz?! – Brenner zacisnął pięść ze złości i uderzył nią o blat biurka.

– Myślałem, że to... – zamilkł nagle, gdy dotarło do niego, jakie to może mieć znaczenie.

– Kotowicz, to jest pierwsza rzecz, którą powinniśmy wiedzieć. Powinieneś być natychmiast do mnie zadzwonić, kiedy tylko ci to Meyer powiedział.

– Wiem, wiem. – Tomek chodził nerwowo po salonie i kiwał głową do szefa, jakby ten mógł go zobaczyć.

– Dobra, kończę. Muszę to załatwić.

Brenner rozłączył się, a Tomek czuł się tak podle, jak to tylko możliwe. Wiedział, że zawiódł. Rozumiał teraz, co czuł Łukasz, który zdał sobie sprawę po fakcie, że nie dość dobrze odczytał sygnały ostrzegawcze. Wszedł do sypialni. Łukasz spał, ale bardzo niespokojnie. Miotał się na łóżku i wydawał jakieś dźwięki, jakby chciał coś powiedzieć.

– Majcher, gdzie jesteś z tymi tabletkami? – szepnął zdesperowany Kotowicz.

Rozdział 11

– Dlaczego mamy tam jechać? Uważa pan, że źle go przesłuchaliśmy? – gorączkował się Wiśniewski, kiedy szli z Brennerem Grójecką w stronę swoich samochodów. – Nawet pan nie widział nagrania.

Brenner nie odezwał się słowem. Była już noc, ale miał nadzieję, że ten cały Józwiński jakimś cudem będzie jeszcze siedział w swoim biurze. Wszystko było pozamykane, a zza wielkiej szyby, za którą było biuro, nie było niczego widać. Niczego...

– Niech pan każe swoim ludziom zabezpieczyć to biuro i dowiedzieć się, od kogo jest wynajmowane – odezwał się końcu, kiedy podszedł do swojego samochodu. – Tego kogoś też trzeba przesłuchać. Jedzie pan ze mną.

Komisarz posłuchał go, choć nie miał na to ochoty. W ogóle nie lubił, kiedy ktoś przejmował nad nim kontrolę, zwłaszcza ktoś spoza jego wydziału. Spojrzał wymownie na Malickiego i rzucił mu kluczyki do ich auta.

– Jaki tam jest adres? – zapytał Brenner, zanim ruszyli.

– Zameldowany jest na Powstańców, Nowe Bemowo. – Wiśniewski zerknął do notatek.

– A dowód miał prawdziwy?

– Jak to... Co pan sugeruje?

– Pytanie było proste: czy miał prawdziwy dowód?

– Nie wiem. Wyglądał normalnie... – Robert poczuł się lekko osaczony.

– Nie zauważył pan niczego szczególnego w tym całym biurze?

– Nie. – Starał się zachować stanowczość i pewność siebie. Dostawał szału na myśl, że jakiś ważniak z CBS będzie udowadniał swoją wyższość i niekompetencję stołecznej policji.

– A nie sądzi pan, że to dziwne, że jakaś firma inwestycyjna trzyma pracownika w biurze poza swoją siedzibą? Że nie siedzi on w wielkim szklanym wieżowcu, jak choćby ten przy rondzie ONZ, przy wielkim dębowym biurku? A nawet gdyby, to dlaczego to biuro nie ma nawet systemu alarmowego?

– Skąd pan wie...

– Widziałeś tam jakąś migającą czujkę w środku albo cokolwiek na zewnątrz, co sugerowałoby, że miejsce jest chronione? Choćby nalepkę z firmy ochroniarskiej? – Zatrzymał samochód na czerwonym świetle i spojrzał na Wiśniewskiego przenikliwie. Jego podwładni wiedzieliby, że jeśli zaczął się do kogoś zwracać per ty, to znak, że traktuje go jak swojego i że nie stanie się mu z jego strony żadna krzywda. Robert nie mógł jednak tego wiedzieć, a poza tym poczuł się mocno urażony. Nic nie powiedział, tylko zacisnął mocno szczęki.

– Trzeba było tak naprawdę zastanowić się już w chwili, kiedy zastaliście go w tym biurze – kontynuował Brenner, ale nieco spokojniej. – W niedzielne popołudnie nawet największe korporacyjne świry dają sobie na wstrzymanie. Co robił, kiedy przyjechaliście?

– Nic szczególnego. Siedział przy biurku i coś pisał na komputerze.

– No właśnie. Nie był zawalony robotą, nie dzwonił do Pekinu czy Tokio i nie przewalał ton papierów... On tam na was czekał.

Wiśniewski poczuł, jak robi mu się gorąco.

– Czy zmierza pan do czegoś konkretnego? – zapytał ze ściśniętym gardłem.

– Tak. Nie wiem, jak przesłuchaliście Lubickiego i co wam powiedział, ale ja wiem, że żona Meyera sugerowała mi, że Józwiński nie był tym, za kogo się podawał. Uważała, że to nie był jej kolega z liceum.

– O, kurwa! – Wiśniewski opuścił głowę i przygryzł wargę. – Nie mamy tam nawet po co

jechać. Można co najwyżej wysłać patrol dla pewności.

– Wiem. – Brenner kiwnął głową. – Dlatego jedziemy do pana Lubickiego. Niech pan znajdzie jego adres. Z tego, co pamiętam, to gdzieś za Bemowem.

– Tak, Chomiczówka – westchnął Robert z rezygnacją.

Drzwi otworzył im Mirek. Był blady i wyglądał na wymęczonego. Za jego plecami pojawiła się Krystyna, zawijająca się w szlafrok. Nie wyglądała lepiej od męża.

– Znaleźliście ją? – zapytała na widok odznaki Wiśniewskiego z nadzieją w głosie.

– Możemy wejść? – Brenner nie chciał stać na progu i wzbudzać sensacji na klatce.

– Proszę. – Mirek odsunął się i zrobił im miejsce.

W mieszkaniu było cicho, ale gdy weszli do salonu, zdali sobie sprawę z tego, że małżonkowie nie poszli spać. Telewizor był włączony na kanale informacyjnym, a na ławie leżały zużyte chusteczki higieniczne i stały kubki po herbacie. W aneksie kuchennym krzątał się Konrad, siedemnastoletni syn Lubickich.

– Kondziu, idź się położyć – powiedziała do niego cicho Lubicka. Wyszedł bez słowa, choć niechętnie.

– Niech panowie usiądą. – Mirek sam zajął miejsce w fotelu.

– Przejdę do rzeczy. – Brenner klapnął na kanapie. – Co pani Meyer powiedziała na temat Józwińskiego?

– Ja... już mówiłem... – Mirek spojrzał niepewnie na Wiśniewskiego, poprawił opadające okulary i wyprostował się, jakby chciał lepiej słyszeć.

– Nie wiem, co pan mówił, ale komisarz Wiśniewski nie wiedział, że Justyna miała wątpliwości co do tego, czy Józwiński jest tym, za kogo się podaje.

Mina Lubickiego wyrażała w tym momencie bardzo wiele.

– No więc, co mówiła na jego temat?

Mirek schował twarz w dłoniach i ciężko westchnął.

– Zaraz po tym, jak zobaczyła go pierwszy raz, powiedziała, że to nie on.

Wiśniewski, który wciąż stał, ruszył gwałtownie i zaczął przemierzać salon w tę i z powrotem, kręcąc co chwilę głową ze złością.

– Dlaczego nie powiedział pan o tym komisarzowi podczas przesłuchania?

– Uważałem od początku, że to bzdura.

– I nie chciał się pan ośmieszyć, tak? – To nie było pytanie. Brenner podniósł głowę i spojrzał na Wiśniewskiego. – I co, panie kolego? Jesteśmy w dupie.

W Brennerze narastała złość, choć nie miał zamiaru jej okazywać. Wiedział, że klucz do rozwiązania sprawy mieli w ręku, ale przez głupotę Kota, Wiśniewskiego i tego całego Lubickiego wypadł im i wpadł do wielkiego dołu pełnego gówna. I teraz trzeba było tam wejść i po same uszy się w tym gównie wytarzać, bez żadnej gwarancji, że to uratuje Justynie życie.

Meyer też jest idiotą, myślał w drodze powrotnej do Biura, ale dopóki Łukasz nie będzie miał żony z powrotem żywej, nie powie mu tego.

Rozdział 12

Odzyskała świadomość i nie musiała nawet przez sekundę zastanawiać się, gdzie jest. Co prawda nie wiedziała, co to za miejsce, ale nie trzeba było jej przypominać faktu, że jest porwana i leży na podłodze czegoś, w czym jest przetrzymywana. Zamrugła powiekami, żeby zorientować się, czy coś widzi. Nie czuła na głowie kaptura, ale nogi i ręce wciąż miała skrepowane.

Niczego nie widziała. Spróbowała obrócić się, co nie było łatwe, bo ręce związane jej z tyłu. Poza tym bardzo bolała ją głowa. Ale gdy tylko znalazła się na plecach, zrozumiała, że nie widzi na lewe oko, a z prawym wszystko jest w porządku. Ból głowy sugerował, że mocno oberwała z lewej strony. Pamiętała, że miała chyba nawet rozciętą skórę i źle słyszała. Bała się, że uszkodzili jej też wzrok, lecz po dłuższym mruganiu powiekami dotarło do niej, że ma w tym miejscu tak spuchniętą twarz, że obrzęk zasłania jej oko.

Uśpili mnie czymś. Po co mieliby mnie bić?

W tym momencie usłyszała stłumione głosy, jakby dobiegały zza ściany. I prawie na zamówienie mówiły o tym, nad czym się zastanawiała.

– Jak ją zobaczy, będziesz miał przejebane – mówił jeden.
– Skąd mogłem wiedzieć, że tak przyjebie w łeb – bronił się drugi.
– Trzeba było ją jakoś zabezpieczyć. Gdyby nam zdechła, mielibyśmy naprawdę problem.
– To był trzeci. I ten głos, choć niezbyt wyraźny, poznała. To on ją złapał, kiedy schodziła po schodach.

– Nic jej nie będzie. – Drugi starał się dodać sobie animuszu. – Poza tym to wy siedzieliście z tyłu, trzeba było jej lepiej pilnować, a nie przyjeżdżamy, a ona jest nieprzytomna i ma pół głowy rozjebane, jakby po ustawce jakiejś była.

Przez chwilę nic do siebie nie mówili. Justyna usłyszała jednak jeszcze jakiś dźwięk, jakby ktoś coś powiedział i dopiero po paru minutach zrozumiała, że oglądają telewizję.

Starała się nie zasypiać, tylko maksymalnie zorientować się w sytuacji. Nabrała mocno powietrza w płuca, bo węch nierzadko pomagał uzyskać odpowiedzi na różne pytania. Było dość ciemno i nie mogła liczyć na to, że obserwacja powie jej coś więcej.

Stary budynek, zawilgocony, z pleśnią... las! Wokół jest las, wyraźnie czuć zgniłe liście i zapach żywicy.

To nie było za wiele. Trudno było się spodziewać, że będą ją trzymać w zaludnionym miejscu. Poza tym nie słyszała żadnych hałasów świadczących o tym, że gdzieś niedaleko jest droga. Owszem, pracował jakiś silnik, ale szybko się połapała, że mają tu po prostu generator prądu, co przygnębiło ją jeszcze bardziej, bo to oznaczało, że są na tyle daleko od ludzi, że nie ma tu pociągniętej linii energetycznej.

Leżała na twardym materacu. Śmierdział starością i ludźmi, którzy na nim kiedyś spali. Przykryta była równie starą kołdrą bez powleczenia, co pozwoliło jej przypuszczać, że nie chcą się jej szybko pozbyć i raczej wolą, żeby była na chodzie, przynajmniej do czasu, gdy nie będzie im już potrzebna...

Szybko do niej dotarło, że nie porwali jej dla pieniędzy. Nie wiedziała jeszcze, czy chodzi o pracę Łukasza, czy jej własną, ale z minuty na minutę narastało w niej przekonanie, że jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, to nie wyjdzie z tego żywa. Ta pewność brała się z wielu źródeł, nie tylko z doświadczeń zawodowych Łukasza, którymi się z nią czasami dzielił. Miała swoje własne, o wiele bardziej wymowne, i to one właśnie stały jej teraz przed oczami.

Muszę coś zrobić. Muszę się uwolnić.

Obróciła się z powrotem na bok i zaczęła wykręcać ręce, próbując wyswobodzić się z więzów. Wszystko na nic. Wydawało się, że pętla zaciska się jeszcze mocniej, wbijając się w jej ciało i powodując palący ból. Zamarła w chwili, gdy usłyszała dźwięk komórki w pomieszczeniu obok.

– Tak, jesteście... No, tak... – Rozmówca był wyraźnie zakłopotany. – Nie da się jej teraz przepytwać. No, nie... W czasie drogi musiała uderzyć się w głowę i jest nieprzytomna...

Usłyszała kroki zmierzające w jej stronę. Zamknęła oczy i starała się wyglądać na naprawdę nieprzytomną. Ktoś otworzył drzwi.

– Tak, uspiliśmy ją... Nie, nie... – Tłumaczył się gęsto. Justyna czuła, że ten ktoś stoi nad nią w ciemności. – Nic jej nie będzie... No, jestem pewny... Trochę ma rozciętą skórę... Co? Nie! Nie ma wstrząsu mózgu... chyba. Jak się ma wstrząs, to się rzyga, a ona nie rzygała... Śpi... To znaczy nie ocknęła się... Dobrze, damy panu znać, jak tylko coś się zmieni... Jasne... Tak, doprowadzimy ją do używalności. Tak... Na razie.

– Kurwa jego mać! – zaklął, kiedy się rozłączył. Wyszedł z pomieszczenia, gdzie była Justyna, dzięki czemu mogła zorientować się, że drzwi nie są zamykane na klucz.

– Co jest? – słyszała zza ściany.

– Nic, dzwonił ten gościu. Jest wkurwiony.

– Mówiłem...

– No, ale mówił coś konkretnego?

– Jest w drodze, zatrzymał się gdzieś pod Łodzią i załatwia interesy. Powiedział, że nie będzie się tu bujał, dopóki nie będzie można jej przepytwać. Musimy ją jakoś ogarnąć.

– No to co robimy?

– Jedźcie do jakiejś apteki. Albo nie, ja pojedę. Czacha, ty zostaniesz i będziesz jej pilnować.

– A co chcesz kupować w tej aptece?

– Nie wiem, coś się po drodze wymyśli.

– Teraz chcesz jechać?

– Tak, teraz! Pojechało cię? Jest środek nocy. Trzeba jechać z rana.

– To ja idę spać, skoro mam jechać.

– Ja też chcę się kimnąć, skoro mam tu z nią siedzieć. Muszę być przytomny.

– Kurwa, z wami ciotami – zirytował się. Już wiedziała, że to przywódca stada. I to dobrze, że pojedzie. – Idźcie, żebyście przypadkiem się za bardzo nie zmęczyli.

Słyszała, że ze złością przesuwają jakieś krzesło i ciężko na nim siada. Spróbowała wtedy znowu się wyswobodzić, ale niespodziewanie poczuła, jak zsuwa się z materaca. Musiała przekręcić się za blisko jego krawędzi. Nie mogła zaczepić się rękami, więc po prostu znalazła się na betonowej podłodze. Nie było do niej daleko, ale i tak w kolana wbiły jej się jakieś kamyczki i piasek. Bardzo zabolęło. Nie udało jej się też utrzymać głowy, którą przedzwoniła o ziemię. Śliska kołdra została na posłaniu. Oddychała ciężko, była zmęczona i bardzo głodna. Leżała w dziwnej pozycji, a w zasadzie kłęczała, opierając pół ciała na obolałej głowie. Kiedy spróbowała wykonać jakiś ruch, z jej gardła wydobył się niekontrolowany jęk. W pomieszczeniu obok natychmiast nastąpiło poruszenie, krzesło przesunęło się, a sekundę potem w drzwiach stanął jeden z porywaczy.

Kątem nieopuchniętego oka zauważyła, że świecił sobie latarką. Kiedy ją zobaczył, wydał coś na kształt okrzyku ulgi.

– No, nareszcie. – Podeszedł do niej, odłożył latarkę i złapał za nadgarstki, ale nie podnosił, tylko przeciął sznurek, którym była związana. Obrócił ją i położył znowu na materacu, a następnie – ku jej rozpaczy – związał ręce, tyle tylko że z przodu. Nie zwracał szczególnej

uwagi na to, żeby nie widziała jego twarzy, nie miał kominiarki, nie odsunął też źródła światła.

To bardzo źle, wiedziała to na pewno. Żołądek skurczył jej się jeszcze bardziej. Chyba usłyszała, że burczy jej w brzuchu, bo powiedział:

– Zaraz dostaniesz jeść. Musisz się najeść, rozumiesz?

Wstał i wyszedł. Spróbowała poruszać rękami, ale związał ją jeszcze mocniej. Poczula, że nie wytrzyma i zaraz się rozplacze. Nie mogła nic zrobić, nie mogła się wydostać, jak zwierzę w klatce. Tak się czuła parę dni wcześniej, kiedy chciała odejść z firmy. Bała się Józwińskiego. Teraz bała się, że umrze w męczarniach.

Nie, ona dobrze wiedziała, jak ją zabiją. Będą chcieli tylko jednego: żeby umarła i nie powiedziała, co widziała i słyszała. Przyniosą wiadro z wodą, przytrzymają jej głowę nad nim, a jeden z nich strzeli jej w potylicę. Potem wyrzucą albo spalą jej zwłoki. Albo zostawią i niczym nie będą się przejmować. Tyle dało jej małżeństwo z facetem pracującym w CBS.

Spalą, przyszła jej do głowy bardzo racjonalna myśl. On mnie dotykał. Nie używał rękawiczek. Zostawia wszędzie ślady biologiczne i nie martwi się o to, bo wie, że pewnego dnia zatrą je na dobre.

Ten przebłysk jasnego myślenia, mimo że bardzo drastyczny, otrzeźwił ją i sprawił, że poczuła w sobie siłę.

Zawsze wiesz, jakie jest zagrożenie. Masz to w sobie wdrukowane, tylko zatarałaś tę umiejętność przez nieuwagę. Korzystaj z tego, myśl i dedukuj, a nie bij na ślepo, usłyszała głos w swojej głowie. Patrzyła jednym okiem w sufit, którego w ciemności prawie nie widziała, i miała wrażenie, że dostrzega znajomą twarz.

Krokodyl, powiedziała do siebie niemal bezgłośnie.

– Co mam robić? – zaczęła przeprowadzać dialog z nieobecnym Krokodylem.

– A co chcesz osiągnąć?

– Uciec.

– Dobrze. Jak chcesz to osiągnąć?

Nie odpowiedziała.

– Inaczej: czy jest coś, co ci w tym pomoże?

– Nie wiem.

– Nieprawda! – zirytował się niewidzialny rozmówca. – Wiesz! Tylko nie chce ci się ruszyć mózgiem. Co się stanie, jeśli nie uciekniesz?

– Zabiją mnie.

– Na pewno?

– Na sto procent.

– Skąd wiesz?

– Bujaj się. Już ci to mówiłam. Nie porwali mnie dla okupu, jesteśmy z Łukaszem golce.

Chcą mnie o coś zapytać. A potem zabiją.

– Bardzo dobrze. – Lubiła, kiedy Krokodyl ją chwalił i wiedziała, że nigdy nie robił tego, jeśli nie zasłużyła. – A po co dają ci jeść?

– Żebym była silna i mogła odpowiadać na pytania.

– Jeśli będziesz silna, to...

– Będzie mi łatwiej uciec.

– Doskonale! Kiedy chcesz uciec?

– Gdy dwóch będzie w aptece.

– Tak. Jak chcesz uwolnić się z tych więzów?

– Nie wiem. Nie mam narzędzi.

– Uciekniesz, jeśli będziesz związana?

- Nie ma szans...
- Czyli?
- Czyli moim priorytetem jest znaleźć sposób, żeby przeciąć sznurki.
- No to go znajdź.

Do pomieszczenia wszedł porywacz. Przyniósł coś i postawił obok materaca.

- Tu jest żarcie. Najedz się i idź spać. I bez numerów.

Kiedy wyszedł, spróbowała się podnieść. Dopiero wtedy pojęła, jak bardzo boli ją głowa.

- Jedz – głos Krokodyła nie umilkł. – Będzie mniej bolała, gdy nie będziesz głodna.

Niewiele widziała, ale kiedy udało jej się uzyskać pion, poczuła, że za plecami musi mieć okno, bo co chwilę uderzały w nią lekkie podmuchy bardzo zimnego powietrza. Pochyliła się i związanymi rękami wymacała podłogę. Dłonie trafiły na coś zimnego i metalowego. Puszki. Kiedy wzięła pierwszą i zbliżyła do nosa, jej żołądek aż podskoczył z radości. Jakaś mielonka. Ale kiedy chciała wsadzić do środka palce, dalej czuła puszkę.

Chwilę jej zajęło, zanim pojęła, że jej porywacze nie są tak sprytni, na jakich wyglądają. Otwierając konserwę, nie usunęli wieczka, tylko zostawili mały fragment aluminium, coś jakby pokrywkę. Wiedziała, że jest na dobrej drodze.

– Zjedz to, zanim zaczniesz przecinać sznurek – jego głos był irytujący, choć nieprawdziwy i tak naprawdę pochodził z jej głowy. – Bo jak tu ktoś wejdzie, a ty będziesz to robić, to ani nie uciekniesz, ani nie zaspokoisz głodu.

Udało jej się w końcu dostać do mięsa, które drżącymi palcami zaczęła wydobywać ze środka. Puszka nie była mała, ale wiedziała, że przydałoby się jeszcze trochę. Sprawdziła i odkryła obok drugą, tej samej wielkości, oraz kubek z wodą.

- Dobrze, że dali ci białko. Białko jest dobre, na dłużej wystarczy – mówił głos.

Ciągle jeszcze nie dotarła do dna pierwszej puszkę, kiedy drzwi otworzyły się, a jej oko oślepięone zostało przez światło z latarki. Odruchowo odwróciła głowę.

- No, jesz. Grzeczna dziewczynka.

Nagle przyszło jej do głowy, że bandzior zorientuje, że zostawił wieczko, ale nic takiego się nie stało i porywacz poszedł sobie.

– Gdyby miał rozum tam, gdzie trzeba, sam by cię karmił. Każde naczynie staje się twoim narzędziem. No, ale mają cię przecież za idiotkę...

Kiedy skończyła walczyć z pierwszą konserwą, z trudem powstrzymała się, by nie zacząć przecinać sznurka wieczkiem. Wzięła drugą puszkę i dalej jadła. Mięso z konserw było zazwyczaj bardzo tłuste i słone, więc ten kubek z wodą, który jej dali, był zaledwie kropelką dla pragnienia, które paliło ją od dawna. To jednak nie było jej największym zmartwieniem, tylko sposób, w jaki ma się uwolnić z więzów.

– Jeśli przetnę sznurek teraz, a on zobaczy, to będę miała przechłapanie – mówiła do siebie.

- To nie przecinaj. Poczekaj, aż pojadą.

- Nie, bo do tego czasu może mi to zabrać.

– Tu nie ma łatwych rozwiązań bez ryzyka. Trzeba się zdecydować i dźwigać ciężar odpowiedzialności.

Rozejrzała się ostrożnie wokół, jakby szukając jakiegoś znaku czy podpowiedzi. Wzrok miała przyzwyczajony do ciemności, więc mogła dostrzec zarys dużego okna, które zabite było szerokimi dechami. W szpary ktoś wsadził szmaty lub gazety, ale i tak od niego wiało.

Wiedziała, że nie ma szans, żeby wyważyć deski. Wydawało się, że w pomieszczeniu znajduje się tylko ten materac.

- Drzwi nie są zamknięte, to zły znak.

– Dlaczego? – pytał niezmordowanie Krokodyl.
– Bo to oznacza, że nie boją się ani mojej ucieczki, ani że ktoś tu przyjdzie.
– Co oznacza, że...
– ...że jesteśmy bardzo daleko od osiedli i szlaków, którymi przechodzą jacyś ludzie.
– Co oznacza, że...
– Jeśli mam uciekać, to zaraz po wyjeździe tych dwóch, bo będę potrzebowała dużo czasu, żeby przedostać się przez las, zanim wrócą.

– I dlatego przecinasz sznurek?

Spojrzała na swoje ręce. Niewiele mogła zobaczyć, ale i tak wiedziała, że zaczęła bezwiednie wyswobadzać ręce. Trzymała między kolanami wieczko, o którego brzeg ocierała sznurek. Nie robiła tego zbyt zgrabnie, ale za to niespodziewanie skutecznie. Gdy tylko zwiększyła nacisk, po paru ruchach poczuła, że jej więzy są luźniejsze. Sznurek był cienki, co ułatwiało porywaczowi zawiązanie go, ale tym łatwiej było przeciąć go czymś tak prymitywnym jak wieczko od puszki. Zaczęła delikatnie manewrować nadgarstkami i zaraz przyniosło jej to ulgę – więzy poluzowały się tak bardzo, że mogła wysunąć z nich obolałe dłonie. Bardzo cieszyło ją to, że nie musiała zniszczyć całej linki, bo miała wobec niej jeszcze pewne plany.

Kiedy przed wyjazdem przywódca porywaczy zajrzał do niej, leżała na materacu, przykryta częściowo kołdrą, a jej dłonie leżały na wierzchu. Udawała, że śpi. Poświecił na nią latarką i zebrał puste puszki z podłogi. Serce biło jej jak oszalałe. Dopiero kiedy wyszedł, zdała sobie sprawę z tego, jak to mogło wyglądać.

– Mógł zobaczyć, że mam przecięty sznurek. Mógł związać mi ręce z tyłu. Mógł mnie uśpić...

– A skąd wiedziałas, że tego nie zrobi?

– Zobaczył sznurek na moich nadgarstkach, więc nie nabrał podejrzeń.

– Wiesz, że jest głupi. To przez tę akcję z puszką?

– Nie... nie tylko. Nie chodzi o to, że jest głupi...

– To o co?

– O to, że mam rozbitą głowę, a oni chcą doprowadzić mnie jak najszybciej do pionu, żeby zadowolić swojego zleceniodawcę. Więc ich czujność jest o wiele słabsza...

– Doskonale!

Usłyszała dźwięk odjeżdżającego samochodu. Nie ruszała się jednak, bo przeczuwała, że ten, który został, może chcieć do niej zajrzeć. Zrobił to, a potem wyszedł i usiadł na krześle. Sądząc po odgłosach, oglądał telewizję... a następnie zasnął.

– Nie mogło być lepiej.

– Nie chcę być nadmierną optymistką. Coś może pójść nie tak.

Podniosła się ostrożnie z materaca, rozwiązała poluzowaną linkę na kostkach i podsunęła się na czworakach do okna. Na dworze szarzało, można było już dużo zobaczyć. Przez jedną ze szpar zauważyła, że posesja, na której znajduje się dom, ogrodzona jest betonowym płotem, który u góry ma ażurową nadstawkę w kształcie kratki, też z betonu. Kiedy zerknęła bardziej na lewo, dostrzegła bramę – była zamknięta od zewnątrz!

– Sprytne. – Krokodyl z jej głowy zdawał się tym nie przejmować.

– Głupi jesteś! Nie przeskoczę tego płotu.

Usłyszała śmiech. Obejrzała się za siebie, ale to nadal była jej wyobraźnia.

– Podkopuj też nie zrobisz.

Siedziała na podłodze pod oknem i poczuła, że nie ma sił, by coś zrobić.

– Musisz działać!

Piekące łzy napłynęły jej do oczu.

– Krokodylu, tak bardzo bym chciała, żebyś tu był...

Podniosła się w końcu i podeszła cicho do drzwi. Uchyliła je lekko i zerknęła. Za nimi był wąski korytarzyk, a naprzeciwko drugie pomieszczenie, gdzie siedział śpiący porywacz. Wyszła z pokoju i przesunęła się bliżej drugiego, żeby dokładnie zobaczyć, co w nim jest.

Porywacz, wielki, napakowany łysol siedział na starym krześle z metalowymi nogami. Głowa opadła mu na pierś. Dłonie miał zaplecione na brzuchu, który też nie był mały. Poza niedużym telewizorkiem w czerwonej obudowie, który mocno śnieżył, i dwoma dodatkowymi krzesłami, w pomieszczeniu nie było nic. Udało jej się jednak zorientować, że w tym budynku są jeszcze inne pokoje i zakamarki, w których na pewno trzymają zapasy wody i paliwa do generatora.

Krokodyl zawsze ich uczył, że najważniejsze jest dobre rozpoznanie.

– Jeśli będziesz wiedzieć, gdzie jesteś i dokąd chcesz iść, oszczędzisz sobie wielu kłopotów i rozczarowań – mówił do nich jak do dzieci.

Teraz nawet o tym nie myślała – jego nauki po prostu z automatu włączyły jej się w mózgu, tak jak i jego wyobrażenie, z którym rozmawiała. Prawym okiem, prawym uchem i nieprawdopodobnym węchem była w stanie w ciągu kilkunastu sekund i bez udziału świadomości ocenić, jak duży może być budynek, gdzie najprawdopodobniej znajduje się ich prowizoryczna kuchnia, w której trzymają konserwy dla niej (dochodził stamtąd intensywny zapach kawy) i co powinna zrobić, żeby dać sobie jak najwięcej czasu...

Nie musiała nawet uruchamiać tego swojego dialogu, żeby przeanalizować możliwe rozwiązania. Łysol w kieszeni bluzy miał pistolet. Zdziwiło ją, że spłuwę trzymał z lewej strony, ale przecież mógł być leworęczny. Kusilo ją.

– Nie, Malina! Będzie ci tylko przeszkadzał. Broń to kłopoty.

Na oparciu krzesła wisiała duża bluza dresowa. Dodatkowa warstwa ubrania może być potrzebna bardziej niż pistolet, ale trzeba ją było jakoś wydobyć spod tego olbrzyma.

– Wyjmiesz ją, jak zrobisz to, co musisz.

Ścierpła jej skóra. To była chwila, w której trzeba było podjąć tę najważniejszą decyzję. Właśnie teraz ważyły się jej losy, cała przyszłość.

– Chcesz żyć? – zapytał. Niemal widziała swojego mentora, jak stoi obok. Podeszła do porywacza i stanęła za jego plecami. W dłoni trzymała linkę, którą wcześniej była związana. Popatrzyła na jego wielki kark, a potem na linkę i szybko schowała ją do kieszeni. I przełączyła się na coś, co Krokodyl nazywał autopilotem.

Przeskoczenie przez płot zajęło jej sekundy. Było to dla niej jednak na tyle traumatyczne, że widziała swoje ruchy jak na zwolnionym filmie. Wypadła z budynku i starała się jak najbardziej rozpędzić, co przy pulsującej z bólu głowie i spuchniętym oku nie było proste. Kiedy zbliżała się do betonowego ogrodzenia, oceniała, gdzie postawić stopę i jak złapać się rękami.

– Już to robiłaś, pamiętasz? Na Wędrzynie. Tam też był taki betonowy płot. Trzeba było położyć stopę na łączeniu płyt i od razu złapać na górze.

Więc biegła prosto w środek jednej z części płotu, bo tam najczęściej płyty były najbardziej od siebie odstające. Ażurowa ozdoba u góry była o tyle problemem, że trzeba było dobrze wymierzyć dłońmi – musiały się wpasować w którąś z dziur. Kiedy już prawa stopa wbiła się w szczelinę pomiędzy częściami ogrodzenia, a ręce chwyciły mocno betonową kratkę, cały ciężar ciała zawisł na jej słabych ramionach. Wiedziała, że musi jak najszybciej podciągnąć się na rękach i przewiesić korpus przez płot, bo jeśli się zawaha na sekundę, ciężki tyłek pociągnie ją do ziemi.

Płot był wysoki, wyższy niż przeciętnie. Nie można było po prostu przerzucić się na drugą stronę. Musiała jeszcze zrobić wielki krok w górę po tej cholernej nadstawce i przenieść

ręce na jej szczyt. Zrozumiała nagle, że nie była tam przypadkiem, komuś bardzo zależało, żeby chronić swój leśny dom przed intruzami. Na szczycie ogrodzenia Justyna wiedziała, że zeskok będzie bolesny, bo posesja znajduje się z trzech stron na wzniesieniu – tylko wjazd był od płaskiej strony. Ale nie było wyjścia.

Miała na sobie bluzę zabraną porywaczowi, dodatkowo swoją i podkoszulek, ale i tak zdarła z brzucha cały naskórek przy przerzucaniu się na drugą stronę. Dość długo kurczowo trzymała się szczytu ogrodzenia i jej droga do ziemi odbyła się również bardzo blisko szorstkiej betonowej powierzchni. Tak jak przypuszczała, upadek bolał nieludzko. Słabe nogi od razu odmówiły posłuszeństwa i całym swoim ciężarem upadła na plecy, po czym zaczęła staczać się z wzniesienia jak bezwładny worek. Schowała odruchowo twarz w ramionach i modliła o to, by nie nadziać się na jakiś ostro zakończony konar. Zatrzymała się na kupie gnijących liści i natychmiast zerwała na nogi. Dopiero teraz poczuła, że ma naprawdę mało czasu.

Wyskoczyła od południowej strony, wjazd był od wschodu, doszła więc do wniosku, że będzie biec na zachód, byle jak najdalej od porywaczy. Poza tym nie zauważyła tam śladu żadnej ścieżki, więc była szansa, że to będzie ostatni kierunek, w którym ruszą w ewentualny pościg. Spojrzała ostatni raz na posesję i zdała sobie sprawę, że była naprawdę trudno dostępna. Jeszcze zanim Justyna wybiegła z budynku, myślała, że istnieje prawdopodobieństwo, iż z którejś strony jest jakieś proste wyjście, jakaś dziura w płocie, którędy bez problemu wyjdzie. Ale szybka analiza danych, której nie do końca była świadoma, kazała przypuszczać, że nie da się inaczej opuścić tego miejsca, jak tylko przeskakując wysokie ogrodzenie. Kiedy wbiegła w las, zrozumiała, że wiedziała to od chwili, gdy zobaczyła zaryglowaną bramę.

Nigdy nie była dobra w bieganiu. Tu miała prawdopodobnie do pokonania dobrych kilkanaście kilometrów, może nawet kilkadziesiąt. I nie mogła zatrzymywać się nawet na chwilę, dopóki nie dotrze do jakiegoś człowieka. Biegła więc i zdejmowała z siebie bluzy, które miała na sobie. Było wciąż bardzo zimno, w niektórych miejscach trawa była zaszroniona, ale logika podpowiadała, że bardzo szybko zrobi jej się gorąco, a bluzy przydadzą się, żeby to ciepło zatrzymać i nie opaść od razu z sił, gdy już przestanie biec.

Łukasz opowiadał jej kiedyś o biegach katorżnika, na które jeździł regularnie, zanim się pobrali. Mówił, że najtrudniejsze było odpowiednie spakowanie się. Jeśli ktoś wziął za dużo, po pokonaniu jakiegoś odcinka stawało się to dla niego ciężarem nie do uniesienia, każdy zbędny gram zaczynał ważyć tonę. Jeśli ktoś wziął za mało, mógł nie wytrzymać chłodu nocy albo zniszczyć sobie stopy przez mokre skarpety i uniemożliwić dalszy bieg, nawet jeśli miał siły.

– Bambi mówił to samo o selekcji do GROM-u, pamiętasz? – Krokodyl biegł obok niej.

Wiedziała więc, że i te dwie bluzy, które trzymała w rękach, za jakiś czas będą bardzo ciężkie, że będzie miała pokusy, by je wyrzucić w las, zwłaszcza że będzie jej bardzo ciepło.

– Będiesz miała wiele pokus – mówił cicho i z troską – ale nie możesz żadnej ulec... Do samego końca.

Rozdział 13

Do firmy, w której pracowała Justyna, Łukasz pojechał z Malickim z policji. Tomek został wezwany przez szefa do Biura. Dowiedział się też, że do Łomży jedzie z Sisiorem. Było mu to w zasadzie obojętne. Wiele spraw było dla niego obojętnych po tak wielkiej dawce środków uspokajających.

Malicki przyjechał do niego pod blok. Przypomnił sobie wtedy, że jego samochód wciąż stoi na parkingu koło domu towarowego w Centrum. Gdy wyjeżdżali przez bramę, zobaczył zaparkowany obok stróżówki wóz policyjny na cywilnych tablicach, w którym dwóch funkcjonariuszy prowadziło całodobową obserwację osiedla. Spojrzał wtedy na swoje nadgarstki, na których widniały sine ślady po kajdankach, które założyli mu poprzedniego wieczora zmiennicy tych dwóch. Przeprosił rano Tomasza za słowa, które wtedy do niego powiedział.

– Przeprosiny przyjęte – westchnął Kot. – Także za wszystko, co powiesz mi jeszcze w przyszłości.

– Jak to?

– Myślę, że nadchodzą chwile, kiedy usłyszę od ciebie dużo gorsze rzeczy. – Spojrzał na niego ze smutkiem.

Łukasz nie wpadał w histerię ani nie załamywał się, bo nie pozwalały mu na to reakcje chemiczne wywołane przez leki, ale cierpienie nie było wcale mniejsze. Ciągłe myślał, analizował, dociekał, kto, dlaczego i jak... Ale najgorzej było, gdy myślał o niej. Czy ma co jeść, czy ją biją, czy gwałcą, czy w ogóle żyje. Kiedyś ojciec porwanego nastolatka powiedział, że nocami modli się o śmierć dla syna, szybką i bezbolesną.

– Proszę Boga, żeby umarł we śnie, żeby zasnął i nie obudził się. Żeby nie jak ten... Jak Olewnik... – rozplakał się.

Syna mu oddali, bez uszu i jednego palca, ale oddali. Zapłacić miał dwa miliony dolarów, zbierał pół. Sprawców złapali rok później przy porwaniu żony jakiegoś narkotykowego bossa, który złamał się i przyszedł sypać dawnych kumpli.

Te wszystkie historie nie niosły nadziei, dlatego w tym momencie nienawidził swojej pracy po raz pierwszy w życiu.

Nie rozmawiali z Malickim w ogóle. Łukasz szybko połapał się, że to totalne przeciwieństwo Wiśniewskiego. Niewysoki, niezbyt urodziwy, mało wygadany. To Robert był gwiazdą, blondynem ze spojrzeniem amanta filmowego, on wracał jako pierwszy, rozsiewając wokół hollywoodzki blask. Ale Łukasz zaczął rozumieć, że fachowcem jest tutaj Malicki. Nie zajmował się sobą, tylko cały czas pracą. To on, kiedy poprzedniego dnia wszedł do ich mieszkania, natychmiast rozejrzał się wokoło i to on wiedział, że trzeba zmienić działanie, kiedy zobaczył odznakę Łukasza. On wiedział, o co pytać Słotwińskiego.

– Nie mów, że jesteś jej mężem – odezwał się w windzie i spojrzał na niego z uśmiechem.
– Staraj się grać milczącego, złego glinę.

– OK. – Kiwnął głową na znak zgody, choć początkowo planował, że zrobi w biurze awanturę... Sam nie wiedział, o co, ale tak właśnie chciał zrobić.

Młoda recepcjonistka uśmiechnęła się niepewnie.

– Panowie byli umówieni?

– Tak, zapowiadaliśmy się na dole u ochrony. – Malicki dyskretnie wysunął spod marynarki odznakę i minął recepcję.

– Byłeś tu kiedyś? – zapytał, gdy szli przez kolejne działy.

– Nie.

– To dobrze.
– Ale zna mnie tu jeden gość...
– To znajdź go i porozmawiaj z nim, żeby niczego nie opowiadał po firmie, a potem do mnie dołącz. Przepraszam – zwrócił się do przechodzącej młodej kobiety – którą do gabinetu dyrektora Słotwińskiego?

Łukasz kręcił się chwilę pomiędzy pokojami i biurkami, aż dostrzegł w końcu Mirka. Lubicki siedział skulony na swoim fotelu i nic nie robił.

– Możemy gdzieś porozmawiać? – Stał nad nim, ale ten wciąż nie podnosił wzroku.
– Co? – Ocknął się z zadumy. Oczy miał czerwone, twarz szarą i jakby mocniej pomarszczoną. Na widok Łukasza poderwał się na równe nogi i złapał go za rękę.

– Macie ją? – zapytał cicho.

Meyer pokręcił głową.

– Chodźmy do kuchni. – Złapał odruchowo kubek i, zgarbiony, ruszył w stronę pomieszczeń socjalnych.

Kiedy weszli do niedużego pomieszczenia bez okien, które służyło za kuchnię i jadalnię, zamknął drzwi. Postawił kubek na stole i spojrzał na Łukasza. Nie odezwali się do siebie, tylko mocno objęli, w przyptywie wielkiej rozpaczy i bezsilności. Mirek był dużo mniejszy, ale starał się, by w jego geście było jak najwięcej pocieszenia. Łukasz nie rozplakał się tym razem, ale Lubicki czuł, że ledwo się trzyma.

– Usiądźmy. Zrobię ci herbatę.

– Jestem tu z kolesiem z policji, mamy pogadać ze Słotwińskim...

– Zostaw ich. Niczego się od niego nie dowiesz.

– Dlaczego? – Łukasz usiadł na krześle.

Mirek wzruszył ramionami.

– Znam go... To stary wyjadacz. Gdybyś przepracował tyle w korporacjach, co on, i gdyby ciebie tak wydupczyli, jak jego swego czasu, też stałbyś się zimnym twardzielem.

– Zawsze myślałem, że nim jestem... – Łukasz chciał obrócić to w żart, ale Mirek wiedział, że mówi całkiem poważnie.

– Słotwiński, nawet jeśli coś wie, nie powie wam tego.

– Ale czemu?

– Bo to jest gość, który nikomu nie ufa... – Mirek usiadł naprzeciwko i podsunął mu kubek z herbatą. – Fakt, że dyrektor dał Justynie tę możliwość z pracą w domu, już jest dziwny sam w sobie. Jednego dnia wyróżnia ją w ten sposób, a następnego ktoś ją porywa. Dla mnie to zbyt duży zbieg okoliczności.

Łukasz patrzył na niego lekko nieprzytomnym wzrokiem. Wolno, ale jednak docierały do niego te słowa.

– Możesz to rozwinąć? – Włączył mu się instynkt śledczego.

– Nawet jeżeli porwanie Justyny nie ma nic wspólnego z tą firmą, Słotwiński zrobi wszystko, żeby to sprawdzić. Nie powie temu twojemu koledze niczego, choćby go tam teraz torturowali. Coś mu naściemnia i przeprowadzi własne śledztwo.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Po pierwsze, bo wam nie ufa, nie ufa systemowi i policji, uważa, że wszędzie są podstawieni ludzie. Po drugie, bo musi wywęszyć, czy nie jest coś na rzeczy i czy to nie zagraża jakimś jego rozgrywkom tutaj w firmie.

– Rozumiem. – Nie chciało mu się pić, ale z wdzięczności za serce Mirka upił łyk herbaty. – Mam do ciebie prośbę.

– Żeby nikomu nie mówić. – Uśmiechnął się smutno.

– Tak. I o tym, że pracuję w CBS.

– Pracujesz w... – Oczy Mirka zrobiły się ogromne ze zdziwienia. Przez chwilę patrzył na kolegę z przerażoną miną. – To może dlatego...

– Nie wiem. Nic nie wiemy...

– A porywacze? Odzywał się ktoś?

– Nie. – Łukasz zrezygnowany oparł głowę o ścianę. – Zresztą nie wiem. Nic mi nie mówią. Jadę dziś do matki Justyny. Szef mi pozwolił, bo nie chce, żebym siedział w samym środku tego śledztwa.

– Ale powinieneś wiedzieć.

– Potrzebują czasu, żeby mnie sprawdzić.

– Jak to sprawdzić? Ktoś cię podejrzewa?

– To normalna procedura – westchnął i znowu napił się herbaty. – Sprawdza się rodzinę, czy nie jest zamieszana w porwanie.

– Żartujesz!? To żalosne.

– Nie, wcale nie – pokręcił głową. – Zawsze tak robimy. Bardzo często to dobry trop.

– Rozumiem.

Łukasz nie dotarł w końcu do gabinetu Słotwińskiego. Poczekał na Malickiego na jednym z foteli przy recepcji. Bez słowa weszli do windy. Komisarz był wyraźnie zły. Walnął mocno w guzik na ścianie, a kiedy się nie zapalił, zrobił to jeszcze raz, tyle że mocniej i z większym gniewem.

– Kurwa jego mać! – syknął przez zęby.

Łukasz patrzył na niego spokojnie.

– Naściemniał ci i puścił z niczym? – zapytał i delikatnie dotknął przycisku, który od razu zadziałał.

– Tak. – Spojrzał na niego zdziwiony. – Skąd wiesz?

Łukasz wzruszył ramionami.

– To dlatego nie dotarłeś. – Pokręcił głową. – Sukinsyn, nie odpowiedział na żadne moje pytanie. Nic nie mam.

Malicki oparł się o ścianę windy i patrzył na przybliżającą się szybko aleję Jana Pawła II.

– To może ty się czegoś dowiedziałeś? – zapytał w końcu, nie patrząc na Łukasza.

– Powiem ci, jeśli zostanie to między nami.

Winda zatrzymała się i wyszli w stronę wyjścia.

– Tak się nie da... – Malicki dreptał za Łukaszem z roziskrzonymi oczami.

– To ci nie powiem.

Samochód stał prawie przy Żelaznej, więc mieli chwilę na mały spacer.

– Ej! – Złapał Łukasza za łokieć. – Chcesz znaleźć żonę?

Łukasz zatrzymał się gwałtownie i spojrzał na niego zimno. Malicki od razu wiedział, że źle to rozgrywa.

– Przepraszam. Chodzi o to, że nie mogę takich rzeczy taić, to byłoby...

– Posłuchaj uważnie: nie wiem, kto i po co porwał moją żonę. Dla mnie wszyscy są podejrzani, nawet ty. Więc jeśli chcesz coś ode mnie wyciągnąć, to graj na moich zasadach. Mam w dupie twoją karierę.

Szli chwilę bez słowa. Malicki rozważał każdą ewentualność.

– Dobra, pójdę z tobą na ten układ – odezwał się, gdy wsiedli do auta. – Nie mogę z całą pewnością powiedzieć, komu u nas ufać, a komu nie. Jeśli uznam, że naprawdę trzeba kogoś wciągnąć, powiem ci.

– Niech będzie. Ale najpierw powiesz mi, co ty sądzisz o tej sprawie.

Malicki uruchomił silnik i włączył się do ruchu.

- OK. Jak dla mnie ci, co ją porwali, byli pewni powodzenia akcji.
- Dlaczego tak uważasz?
- Bo zrobili to na widoku, mieli gdzieś, czy ktoś ich widzi, czy nie... To dowodzi przynajmniej jednego: robili to już kiedyś. Sam mówiłeś, że to zawodowcy. W związku z tym uruchomiłem pewne zasoby ludzkie w postaci kolegi, który wisi mi przysługę, żeby przeszukał bazę w celu dopasowania tego zdarzenia z innymi podobnymi.
- Myślę, że nasz stary zrobił to samo – rzucił kontrargument, ale pojął, że nie mylił się co do Malickiego, facet jest maniakiem swojej roboty.
- Zgoda, też tak myślę. Ale! Pomyślałem o czymś jeszcze. Ponieważ nie porwali jej dla okupu, to znak, że robili to na czyjeś zlecenie.
- Łukasz poczuł się jak dureń. To było oczywiste.
- Więc szukamy kogoś, kto w swoim portfolio ma tego typu zajęcia, a nie kogoś, kto żyje z okupów. – Malicki podniósł w górę palec. – Więc szukamy...
- Zorganizowanej grupy przestępczej o szerokim zakresie działania.
- Tak jest! – Prawie się roześmiał. – Wszyscy łamią sobie głowy, po co Justyna została porwana, a nas to nie interesuje, prawda? My ją chcemy mieć znowu żywą i zdrową. Powinniśmy znaleźć nie tego, kto zlecał, tylko tego, kto wykonywał.
- Masz jakieś pomysły?
- Oczywiście. Mój dobry przyjaciel pracował nad tym całą minioną noc.
- To musi być naprawdę duży dług.
- O, żebyś wiedział.
- I co macie?
- Nikt nie wynajmuje do takiego zadania pierwszej z brzegu grupki dresiarzy. W grę wchodzi raczej jakieś stare wygi, znane policji i znane wam... Jest cień szansy, że ten, kto ich opłaca, jest na tyle mało rozsądny, że wykręcił numer do kogoś, o kim się wcześniej mówiło. Rozumiesz, gość potrzebuje porywaczy, podpytuje w różnych miejscach i trafia na nich, bo jakiś inny „biznesmen” ich polecał. Wytypowaliśmy, idąc tym tokiem myślenia, kilka grup. I zaczynamy ich sprawdzanie.
- A co jeśli się mylisz i ten ktoś jest bardzo sprytny i nie pyta byle gdzie?
- To nawet lepiej.
- Jak to?
- Bo to oznacza, że pytał kogoś z nas. – Spojrzał na Łukasza i wyszczerzył zęby.
- Nie do końca rozumiem.
- Sprawdzamy, kto u nas niedawno przeszukiwał bazy pod kątem zorganizowanych grup przestępczych.
- Też powinniśmy to zrobić – mruknął Łukasz, patrząc przez szybę auta.
- Powinniście, tyle że jest mały problem...
- Jaki?
- Kogo o to poprosić? Ja mojemu „mistrzowi” ufam, a ty masz kogoś takiego?
- Łukasz przygryzł wargę i pokręcił przecząco głową. Od wczoraj nie był w stanie zaufać nikomu.
- No właśnie. Ale spoko, coś pomyślimy. – Uśmiechnął się.
- Zajechali na parking pod Komendą Stołeczną Policji. Sisióra jeszcze nie było, ale godzina była wczesna.
- Chodź na kawę. Opowiesz mi, czego się dowiedziałeś.
- Łukasz nie chciał kawy. Siedział przy stole w jakimś pomieszczeniu socjalnym i ścisnął

szklankę z wodą. Wziął dwie tabletki uspokajające, bo czuł, że są mu bardzo potrzebne. Irytowało go poczucie, że nic nie robi, nie działa...

Malicki pojawił się bez marynarki, z dokumentami w dłoni. Zamknął drzwi i usiadł naprzeciwko Łukasza.

– Co to za dokumenty?

– A, to jakieś bzdury, które muszę wypełnić za zeszły tydzień. Wziąłem, żeby nie kłuły nikogo w oczy na moim biurku. No dobra, to co możesz mi powiedzieć?

– Żebyście obserwowali Słotwińskiego.

– Dlaczego?

– Najlepiej by było założyć mu jakiś podsłuch...

– To akurat wy jesteście od tego bardziej niż my, prawda? No, ale dobra, coś się zorganizuje. A o co chodzi?

– Wiem, że będzie prowadził własne dochodzenie w tej sprawie. Może idąc tym tropem, da się do czegoś dojść. Zaproponował Justynie zmianę warunków pracy, ale nie tylko...

Malicki nachylił się w jego stronę coraz mocniej zainteresowany.

– Mówiła mi, że zlecił jej robienie jakichś analiz.

– I?

– Chodzi o to, że to nie było jej zadanie. Nie wiem, może się mylę... Justynka była zwykłym biurowym pracownikiem od robienia tabel w Excelu, a nie analitykiem. Ona nawet nie miała magistra. Takie zlecenie to coś jakby awans, tyle że robiony po cichu. Dowiedziałem się, że Słotwiński prowadzi w B.S.K. swoje własne rozgrywki i być może wplątał w nie Justynę jako swojego pionka.

– Kiedy złożył jej tę propozycję?

– W czwartek wieczorem.

– A kiedy porywacze pojawili się po raz pierwszy?

– W czwartek wieczorem.

Malicki zamrugał powiekami.

– Siedź tu. Idę załatwić ten podsłuch.

– Tylko...

– Tak, tak, wiem, nikomu nic nie powiem.

Wypadł z pokoju i gdzieś pobiegł. Zadzwoił telefon Łukasza.

– Brenner. Co u ciebie?

– Jestem na komendzie u Malickiego.

– A co ze Słotwińskim? Rozmawiałeś z nim?

– Nie.

– Dlaczego?

– Malicki go maglował i niczego się nie dowiedział. Ja rozmawiałem z Lubickim.

– Mówił ci, że byliśmy wczoraj u niego?

– Nie. – Łukasz był w szoku. – Po co?

– Pamiętasz, jak twoja żona mówiła, że Józwiński to nie Józwiński?

– Tak...

– Bo to nie Józwiński. Dostaliśmy sygnał od łomżyńskich policjantów, że prawdziwy Mariusz Józwiński jest w Hiszpanii na zbieraniu czegoś tam. Hiszpańska policja już nam to potwierdziła.

– A co z tym... – Łukaszowi chciało się wyć.

– Dał nogę. Ten idiota, Wiśniewski, dał się wpuścić w maliny i pozwolił mu uciec, chociaż mogliśmy złapać ptaszka bardzo łatwo.

– To mogłoby nic nie dać... – odparł cicho Łukasz.
– Jak to?
– Bo dałby sygnał porywaczom i od razu by ją zabili.
– Kurwa, racja. – Brenner był ciężko zszokowany jasnością argumentacji Meyera.
– Mógłby to zrobić, jeśli ma u nas jakąś wtykę. No dobra, jedź do tej swojej teściowej. Młody zaraz do ciebie przyjedzie.

– Porywacze się nie odzywali?
– Nie, jest absolutna cisza – westchnął. – Już wiemy na stówę, że to nie okup.
Łukasz nic nie powiedział, tylko kiwnął głową sam do siebie.
– Słuchaj, jak wróćcie z Łomży, jedź prosto do domu i się wyśpij. Dziś tu jest mega rozpiardol, a wieczorem robimy dużą odprawę, będzie też policja. Jak przyjedziesz rano do Biura, wszystko ci przekazę na spokojnie. Możesz też nie przyjeżdżać, zrozumiem.

– Będę. Dzięki, szefie.
Zanim wrócił Malicki, Łukasz zdecydowanie był spokojniejszy – na tyle, na ile było to możliwe w jego sytuacji. Komisarz zajął się porywaczami, szef zleceniodawcą...

Przysunął sobie bezwiednie teczkę Malickiego i zajrzał do środka. Znalazł tam zdjęcia i akta skazanych członków różnych grup przestępczych, którzy byli znowu na wolności. Patrzyły na niego wstrętne gęby osadzone na wielkich ramionach, pozbawione niemal szyi. Część z nich miała na twarzach tatuaże. Malicki robił notatki, które powpinał do każdego zdjęcia.

– Okłamał mnie. – Uśmiechnął się pierwszy raz od wczorajszego ranka. – Jest naprawdę zawzięty.

Zamknął teczkę i odsunął na poprzednie miejsce.

– Justyś, gdziekolwiek jesteś, trzymaj się. Żyj!

Rozdział 14

Wydawało jej się, że biegnie już cały dzień, że zaraz zrobi się ciemno. Ale nie mogła w żaden sposób ocenić, która jest godzina. Nie patrzyła w górę, żeby zobaczyć słońce, nie patrzyła też za siebie, bo uważała, że to strata czasu. Każda sekunda była ważna. Kiedy czuła, że to już koniec i nie pobiegnie dalej, wydawało jej się, że słyszy za swoimi plecami goniących ją porywaczy. Źle widziała, źle słyszała, bolały ją nogi i plecy, skóra na brzuchu paliła żywym ogniem. Wiedziała, że trudno było to nazwać biegiem, ale chodziło o to, by posuwać się naprzód, co nie było proste także ze względu na to, że nie biegła ścieżką. Przecięła kilka razy coś, co przypominało wąską dróżkę, ale prawdopodobnie był to tylko stały szlak zwierząt. Raz niespodziewanie wpadła na szeroki dukt i o mało nie dostała zawału na myśl, że zaraz zobaczy na niej mercedesa porywaczy. Droga na szczęście wyglądała raczej na używaną przez drwali do wywożenia drzewa. Kilka razy Justyna widziała budynki. Wtedy, gdy biegła skrajem lasu, zaraz obok zaoranych pól z szarą ziemią. Nie szła tam jednak, ponieważ wciąż uważała, że jest za blisko miejsca uwięzienia, a poza tym nie zauważyła nigdzie drogi prowadzącej do tych domostw. Marsz po miękkiej ziemi, w dodatku na otwartej przestrzeni, mógłby się dla niej źle skończyć. Wolalała las i chciała dotrzeć do głównej szosy, żeby wiedzieć, gdzie ją wywieźli.

W pewnym momencie nie dała rady dłużej ruszać nogami i zatrzymała się. Chwyliła pień jakiegoś drzewa i zgięła się w pół, żeby zmniejszyć kolkę. Kucnęła i rozejrzała się wokół pierwszy raz od chwili, kiedy oddaliła się od domu, w którym ją trzymali. W lesie panowała cisza, Justyna nie słyszała nawet śpiewu ptaków. Objęła konar trzęsącymi się ramionami, walcząc z nudnościami. Było jej niedobrze prawie od początku. Ubrała bluzy, żeby nie stracić ciepła, i usiadła na igliwiu. Kiedy uspokoił się jej oddech, do uszu doleciał jakiś dźwięk. Nabrała powietrza w płuca i przez chwilę go nie wypuszczała, dopóki nie zorientowała się, jakie jest źródło tego, co słyszy.

– Woda – powiedziała cichutko do siebie.

Ruszyła na czworakach w poszukiwaniu strumienia. Kiedy go znalazła, rzuciła się do niego w przyływie nagłej radości. Piła łapczywie, najpierw rękami, a potem po prostu położyła się na ziemi i piła lodowatą wodę prosto z małego źródelka. Kiedy napiła się wystarczająco, obmyła twarz i po raz pierwszy dotknęła tyłu swojej głowy. Wyczuła zaschniętą krew i lekki obrzęk. Przykładała zimną rękę to do potylicy, to do opuchlizny na twarzy. Nigdy w życiu nie cieszyła się tak z faktu istnienia wody na Ziemi.

Siedziała dłuższą chwilę przy strumyku, nie chcąc go opuszczać. Schowała się w krzakach i cały czas uważnie obserwowała otoczenie. Ale wiedziała, że nie może tu siedzieć w nieskończoność, bo robiło jej się zimno i wzrastało ryzyko, że ją dogonią. Podniosła się z zalem i zaczęła znowu powłóczyć nogami, starając się nadać sobie jakieś tempo.

Tym razem nie biegła jednak zbyt długo, kiedy usłyszała wyraźny odgłos jadącego samochodu. Zamarła. Potem jednak usłyszała następny i następny.auta jechały dość szybko i nie mogły być zbyt daleko. Skręciła lekko w prawo i zaczęła przeciskać się przez gęste krzaki w stronę, skąd dochodził dźwięk. Szła, nie bacząc na raniące jej twarz gałęzie. Wpadała co chwilę w jakąś dziurę, stłukła kolano. Ale wstawała i szła do przodu. W pewnym miejscu krzaki przerzedziły się i mogła dostrzec, że w odległości jakichś czterystu metrów las kończy się, a jego krawędzią biegnie szosa, po której jeżdżą samochody. Już chciała pobiec w tamtym kierunku, żeby kogoś zatrzymać, ale coś ją powstrzymało.

Stała jak wryta i próbowała ogarnąć myśli. Zmęczenie i ból nie ułatwiały jej tego, więc znowu usiadła w jakichś paprociach.

- Dlaczego tam nie idziesz? – Krokodyl „wyskoczył” nagle z jej głowy.
- Nie wiem.
- To się szybko dowiedz, nie możesz długo tu zostać.
- Boję się, że oni mogą jechać tą drogą.
- Mogą – przytaknął.
- Muszę to jakoś inaczej rozwiązać.
- To znaczy?
- Muszę znaleźć miasto, żeby dostać się na policję. Ale nie wiem, gdzie jest najbliższe...
- Obserwuj.
- Co mam obserwować? – zdenerwowała się.
- Otoczenie.

Czterysta metrów to było zbyt daleko, żeby dostrzec cokolwiek konkretnego na tej szosie. Zaczęła więc przesuwać się do przodu, nisko pochylona. Po stu metrach dalej niewiele widziała, bo las był zbyt gęsty. Zdjęła bluzę porywaczy, ponieważ naszyte na niej były jaskrawe pasy. Założyła ją pod swoją, szarą. Stanęła za drzewem, potem za następnym. Już była w stanie dojrzeć marki niektórych samochodów, ale nic jej to nie podpowiedziało. W pewnym momencie jednak coś większego przykuło jej uwagę.

– Autobus! – wydała bezgłośny okrzyk na widok autosana z namalowanym na boku napisem PKS Leszno.

Ciężko oddychała ze zdenerwowania.

– Malina, co ci mówi ten autobus?

– Nie wiem. – Jej irytacja doprowadziła ją do wrzenia. – Jestem blisko Leszna, daleko od Warszawy...

– Nie o to chodzi – naciskało wyobrażenie.

Opadła bez sił na kolana i schowała twarz w dłoniach.

– O co mi chodzi? Co chcę sobie powiedzieć? To bez sensu, nigdzie tym autobusem nie dojadę.

– Dlaczego?

– Bo nie mam...

Nagle ją olśniło. Sięgnęła ręką do spodni. Jej dłoń była tak spocona i poharatana, że długo nie mogła jej wcisnąć do wąskiej kieszeni. Ale kiedy jej się to udało, wymacała na dnie zwinięty banknot pięćdziesięciozłotowy, który schowała tam w sobotnie popołudnie, kiedy Łukasz zawrócił ją od drzwi. Patrzyła na niego swoim niespuchniętym okiem i pomyślała, że gdyby wtedy poszła do tego sklepiku, pewnie już wówczas by ją porwali. Jednak teraz nie było to ważne.

– Muszę znaleźć najbliższy przystanek.

Podniosła się i zaczęła znowu iść. Szła i szła, ale jakiś niepokój wciąż wiercił w jej mózgu dziurę. Rozglądała się za przystankiem, za jakimiś oznakami, że jest tu gdzieś wieś albo miasto. W końcu w oddali, po drugiej stronie szosy, dostrzegła zarys kościoła, a potem licznych zabudowań gospodarczych. Automatycznie przyśpieszyła.

– Nawet jeśli wieś jest w głębi, przystanek i tak powinien być obok głównej drogi – tłumaczyła sobie. – Musi tu gdzieś być.

W końcu go zobaczyła. Zobaczyła nawet dwa: jeden z jednej, drugi z drugiej strony drogi. Zatrzymała się za drzewem i znowu kucnęła. Najprościej było trzymać się tej części lasu i wyskoczyć z krzaków, gdy zobaczy, jak coś nadjeżdża, ale wtedy wróciłyby tam, skąd uciekała. Z kolei żeby pójść na ten drugi trzeba było przebiec szosę na drugą stronę, co wiązało się z ryzykiem spotkania szukających jej porywaczy.

– Nie mam chyba wyboru – westchnęła. Podeszła do krawędzi lasu z bijącym sercem i przykucnęła, czekając na moment, w którym nie będzie jechał żaden samochód. Ten moment nadszedł i choć miała mocno zdrętwiałe nogi, wyskoczyła zza drzewa i najszybciej jak to było możliwe, przebiegła na drugą stronę. Nie miała zegarka, nie było więc sensu patrzeć na rozkład. Już chciała biec w stronę upatrzonego wcześniej zagajnika, który rósł zaraz obok skrzyżowania, ale zerknęła w prawo i zobaczyła, że właśnie w jej kierunku zmierza autobus. Pomyślała, że to może przywidzenie, ale on naprawdę się zbliżał. I zanim do niej dojechał, była ledwo żywa ze zdenerwowania, stała bowiem przeciągającą się w nieskończoność chwilę na otwartym terenie.

Kierowca zatrzymał autobus i otworzył drzwi. Wiedziała, że jej wygląd będzie budzić sensację, ale to nie było istotne. Twarzy nie mogła zakryć, nałożyła tylko kaptur, ale na posiniaczone nadgarstki naciągnęła mocno rękawy bluzy. Weszła do środka.

– Dzień dobry.

– Dokąd? – zapytał nieuprzejmie kierowca z wielkim wąsem.

– Do... końca. – Nie spojrzała na tablicę.

– Do Kościana?

– Tak.

Podawała mu pieniądze, ale on już w tym czasie ruszył i wydawał resztę w czasie jazdy. Pierwsze miejsca były zajęte, usiadła więc zaraz w drugim rzędzie, żeby mieć oko na drogę i to, co się na niej dzieje.

Kierowca obejrzał się w stronę siedzącej z przodu kobiety i powiedział z ironicznym uśmiechem:

– Ciężki weekend był.

– Tak. – Roześmiała się głupim rechotem starej baby.

Dla Justyny komentarz nie był bolesny. Miała w nosie to, co mówią, grunt, że była w miarę bezpieczna i już nie musiała biec. Nie zdejmowała kaptura, ale jeszcze mocniej naciągnęła go na czoło. Była zmęczona, wiedziała jednak, że sen to teraz nie jest dobry pomysł. Musiała wykorzystać ten czas, żeby dokładnie przemyśleć, co robić i co wciąż nie daje jej spokoju.

– Byłaś porwana? – zapytał nieco złośliwie głos w głowie.

– To nie to...

Rozejrzała się po autobusie. Zorientowała się, że to jakaś prywatna linia, kierowca nie miał zwykłego kasownika, tylko małą kasę fiskalną. Nie wiozł dużo ludzi, więc nie było wielu osób, które mogły potwierdzić, że ją tu widziały.

– Dlaczego to takie ważne? – zdziwiło się wyobrazenie. – Przecież zależy ci, żeby jak najszybciej dostać się do Warszawy, do męża...

Na myśl o Łukaszu serce ścisnęło się jej jak w imadle. Łzy same wytrysnęły z oczu. Starła się cały czas nie przywoływać go w myślach, choć sam się narzucał. Wiedziała jednak, że jeśli na to pozwoli, rozklei się kompletnie.

– Osłabia cię to – mówiła jej podświadomość. – Chcesz to osiągnąć, ale nie możesz o tym myśleć, bo to twój słaby punkt.

Pląkała jednak dłuższą chwilę, oparta o szybę autobusu. Popatrzyła na swoje dłonie. Na nadgarstkach miała bardzo paskudne ślady po sznurku, dodatkowo skóra pokryta była licznymi zadrapaniami i siniakami. Spodnie na całej długości były brudne, buty przemoczone. I jeszcze ten smród... Wyglądała żałośnie, ale dla kierowcy była jedynie wracającą z weekendowej imprezy dziewczyną. Wiedziała, że w każdym innym kraju wezwałby policję, zaniepokojony jej wyglądem.

Kiedyś Łukasz opowiadał o tym, jak spotykał się, pracując w policji, z przypadkami

zakatowania żony na śmierć. Pytali sąsiadów, rodzinę, nawet obcych... Wszyscy wiedzieli, że „stary ją bił”, ale nikt się nie wtrącał, każdy pilnował własnych spraw. Najczęściej zwalali winę na samą kobietę, bo ona też pyskata była i w nerwach rzucała nawet w chłopca talerzami.

Na dobrą sprawę ona sama wyglądała teraz jak ofiara przemocy – była nią w istocie – a otoczenie reagowało kpiną...

– Czy to dlatego odczuwasz niepokój? Bo boisz się, że nie będziesz potraktowana poważnie?

Zastanowiła się. Zrozumiała, że nie chce ujawniać tego, że jest wolna.

– Dlaczego?

– Nie...

Nagle ją oświeciło.

– Nie chcę się pokazywać, bo nie wiem, kto i dlaczego mnie porwał. Jeśli ujawnię się za wcześnie, Łukasz może być w niebezpieczeństwie.

– Łukasz?! – Krokodyl na pewno by się zdziwił. Ona też.

– Mogli mnie porwać ze względu na niego i jakąś jego sprawę, może ludzie Frankowskiego?

– To jest prawdopodobne. I co, chcesz się ukrywać w nieskończoność?

– Nie, chcę się dowiedzieć, kto i dlaczego za tym stoi.

– To może ci się nie udać.

– Tak jak nie powinna była mi się udać ucieczka.

Głos wątpliwości zamilkł. Była tego naprawdę pewna. Chciała odzyskać siły i rozważyć możliwe scenariusze wydarzeń, zrozumieć... Mieć z czym wrócić do Warszawy.

– Nigdy nie przestaniesz być jedną z nas, Malina. – To nie był wewnętrzny głos, tylko wspomnienie, które właśnie się w niej obudziło. – Masz to wypalone w mózgu i głęboko w sobie. Jeśli to będzie konieczne, znowu się to w tobie odezwie i będziesz wiedziała, co robić.

Zobaczyła, że nad kierownicą wisi zegar. Było pięć po dwunastej.

Rozdział 15

O wpół do pierwszej Łukasz z Sisiorem, czyli Marcinem Słomkowskim, znaleźli się na podwórku domu rodzinnego Justyny we wsi pod Łomżą. Było to w zasadzie nieduże sióło. Wokół, na powierzchni kilkunastu kilometrów kwadratowych, rozsiane były większe i mniejsze gospodarstwa. Do głównej drogi były jakieś trzy kilometry, które Justyna pokonywała wielokrotnie w swoim życiu.

Nie lubiła tu przyjeżdżać. Łukasza też nie ciągnęło do jej matki. Kobieta była dziwna, zamknięta w swoim świecie, choć pozornie zachowywała się całkiem normalnie. Jeszcze w drodze uprzedził Marcina, że jej reakcje mogą odbiegać chwilami od standardowych.

– Co masz na myśli?

– Jej matka widzi tylko siebie. Prawdopodobnie jej wypowiedź zacznie się od słowa „ja” i jakichś jej przypadków losowych...

– Co ty opowiadasz?! – Słomkowski naprawdę nie wierzył. – Porwano jej córkę.

– Ale nie masz pojęcia, co JEJ się przytrafiło, choćby w tym tygodniu.

– Co na przykład? – zapytał i zaraz zorientował się, że Łukasz powiedział to z cynizmem.

– Aha, rozumiem...

Łukasz ze zdziwieniem zauważył, że jego kolega był świetnym kierowcą. Wydawało mu się też, że jego zachowanie było nieco inne niż w Biurze. Twarz miała wyraz znacznie bardziej poważny, jakby przybyło mu dziesięć lat doświadczenia. W Łukaszu zapaliła się lampka, może nie czerwona, ale przynajmniej pomarańczowa, że coś w teorii Justyny mogło być prawdziwe.

Wysiedli z samochodu i w asyście głośniego szczekania Burka przywiązanego do budy i gdakania pojedynczych kur, które snuły się po podwórku, podeszli do drzwi wejściowych. Budynek był parterowy, murowany. Z lewej strony przylegała do niego duża drewnitnia. Stara stajnia i stodoła stały po prawej, nieco oddalone. Łukasz bez specjalnych ceregieli nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Po prawej stronie korytarza było wejście do dużej kuchni, w której stał kaflowy piec. Gotowało się na nim w zimie, ale był środek października i teraz na blasze siedział jedynie czarno-biały kot, który przerwał mycie łapki w chwili, gdy obcy stanęli na progu.

Tak jak Łukasz przypuszczał, teściowa siedziała w pokoju za kuchnią na swojej wersalce i oglądała telewizję.

– To ty, Basiu? – usłyszał jej wysoki głos.

– Dzień dobry, mamu – przywitał się i poczuł, że naprawdę nie chce z nią rozmawiać.

Wstała wolno i weszła do kuchni. Była niska, mocno wychudzona. Nie dbała zbytnio o siebie, więc skórę i włosy miała zniszczone. Dawne rysy pięknej kobiety zatarły się zupełnie i była dziś kimś zupełnie innym. Jej usta niemal zawsze wyrażały smutek albo jakiś rodzaj przerażenia, podobnie oczy, ciągle szeroko otwarte, szukające wokół oznak zagrożenia, tylko jej wiadomego.

– Łukasz? Co tu robisz? Gdzie Justysia?

– Mamu... Justyna została porwana wczoraj rano przed naszego bloku w Warszawie. Irena Dąbek nieco pobladła i złapała się pieca.

– Co ty opowiadasz? Dziecko! Kto ją porwał?

– Nie wiemy. – Nie chciał na nią patrzeć, więc odwrócił wzrok i skierował go gdzieś w przestrzeń. – To jest mój kolega z pracy...

– Czemu jej nie szukacie? – mówiła ze ściśniętym gardłem, a w oczach pojawiły się łzy.

– Szukamy, tylko musimy znać więcej szczegółów. Przyjechaliśmy, bo mamy nadzieję,

że mama wie coś, czego my... czego ja nie wiem albo nie pamiętam.

– A co ja miałabym wiedzieć? To spokojna, dobra dziewczyna. Ja zawsze mówiłam, że ta Warszawa to zły pomysł. Jak tam pojechałam, gdy miałam szesnaście lat, zaczął mnie taki jeden na ulicy...

Łukasz spojrział na Słomkowskiego, który pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Pani Dąbek – przerwał jej Marcin – chcielibyśmy zapytać o kilka spraw.

Spojrzała na niego, jakby dopiero go zauważyła. Słomkowski podszedł do stołu pod oknem i wziął jedno z krzeseł, które przysunął do pieca.

– Niech pani usiądzie. Wiem, że to trudne, to wielka tragedia, tym bardziej musimy się śpieszyć, żeby uratować życie pani córce.

– Życie? Ktoś jej groził?

Łukasz czuł, że jeszcze chwila i trafi go szlag, ale jego kolega niespodziewanie dobrze radził sobie w tej sytuacji. Słomkowski wziął sobie drugie krzesło i usiadł w pewnej odległości od Dąbkowej. Oparł się łokciami o kolana i spojrział przenikliwie na kobietę, starając się dać jej do zrozumienia, że jest cały skupiony na niej i na tym, co ona mówi. Meyer zrezygnowany zajął miejsce za stołem i schował twarz w dłoniach.

– Pani Ireno, czy przychodzi pani do głowy jakakolwiek osoba albo sytuacja, która mogłaby być dla pani córki zagrożeniem?

Patrzyła na niego z tępych wyrazem twarzy i wydawało się, że w ogóle nie myśli.

– No pewnie – zaczęła nagle. – To pewnie ktoś z wojska, któryś z tych skurwysynów, którzy mają Justynkę męczyli.

Tego Słomkowski się nie spodziewał. Odjęło mu mowę i rozum chyba też. Teraz on miał tępy wyraz twarzy. Łukasz oderwał od głowy ręce i spojrział na teściową, jakby właśnie spadła z księżycy.

– Mamo, co mama plecie?! Jakiego wojska?

– No, tego, w którym była. – Patrzyła na swojego zięcia, jakby to on przyleciał z innej planety.

– Mamo, Justyna nie była w wojsku.

– Była, oczywiście, że była. Dwa lata nawet albo coś więcej.

– Kiedy?

– Co ty, Łukasz? Jak to kiedy? Zaraz po studiach poszła. Licencjat odebrała, spakowała się i pojechała. Z głowy jej się nie dało tego wybić.

Łukasz był stuprocentowo pewien, że jego teściowa ma pierwsze objawy schizofrenii. Jej ciotka i wuj na to chorowali, więc zawsze bali się z Justyną, że to może być dziedziczne, ale póki co te jej dziwactwa wydawały się w miarę niegroźne. Teraz uważał, że trzeba natychmiast wezwać lekarza. Zanim jednak coś powiedział, Słomkowskiemu wrócił rozum.

– Dobrze, a może nam pani powiedzieć, gdzie w tym wojsku była?

– W tym... no... – Szukała w pamięci.

– Ona zwariowała – szepnęła Łukasz do Słomkowskiego, ale Marcin podniósł dłoń, sygnalizując, żeby nic nie mówił.

– Już wiem! W Poznaniu. Tam szkołę miała, a potem pracowała koło Szczecina, w Stargardzie.

Słomkowski odwrócił się w stronę Łukasza.

– W Poznaniu jest szkoła podoficerska, a przynajmniej była swego czasu. Chyba nie zwariowała.

Łukasz czuł, że stracił grunt pod nogami.

– No, dobrze, a kogo miała pani na myśli, mówiąc, że męczył tam pani córkę?

– O, znalazłoby się paru. – Zrobiła wymowny ruch ręką. – Nazwisk nie znam, trzeba by rozmawiać z tą jej koleżanką... Zaraz sobie przypomnę nazwisko. Niedobrzy dla niej byli. Bardzo niedobrzy. Mówiłam: Justyś, nie idź do tego wojska, na co ci to? – Zaczęła płakać i kiwać się na krześle.

– Nic nie rozumiem. – Łukasza zaczęła boleć głowa.

– Jeśli chodzi o to nazwisko... – Marcin był nieugięty.

– A, tak, tak... jak ona miała? Małgosia... Małgosia...

– Łukasik? – Łukasz wyprostował się gwałtownie.

– Tak! Tak, Małgosia Łukasik. Były tu u nas kilka razy na przepustkach. Miła dziewczynka.

– Znasz ją? – Marcin znowu patrzył na kolegę.

– No pewnie! To jedyna koleżanka Justyny. Pracuje w kwaciarni w Śródmieściu. Mamo, Małgosia była w wojsku z Justyną?

– To właśnie powiedziałam. Łukaszkule, ty musisz odpocząć. Wyglądasz jak trup. Zostań u nas na trochę...

– I nie mówiła ci nigdy o armii? – Słomkowski nie zważał na monolog Dąbkowej.

– Nigdy... Ani jedna, ani druga... To jakaś pomyłka.

Marcin wstał i podszedł do okna.

– Niekoniecznie. – Spojrzał na Łukasza. – Mogła mieć ważne powody, żeby nie mówić.

– Jakie?

– Nie wiem. – Rozłożył ręce. – Ale to jest coś, co może nam przeorganizować poszukiwania. Może twoja teściowa ma rację i tam trzeba szukać tropu. Ktoś idzie.

Łukasz spojrział przez okno. W stronę domu zmierzała Basia, młodsza siostra Justyny, która mieszkała z rodziną niedaleko. Zaglądała do matki codziennie, często też tu nocowała. Jej relacje z Justyną nie były rewelacyjne, ale też nie były złe. W Łukasza wstąpiła nadzieja, że ona rozjaśni to, co mówiła teściowa i może wskaże jakiś naprawdę konkretny trop.

– To moja szwagierka.

– Może pomóc?

– Zobaczymy...

Drzwi skrzyknęły cicho i do kuchni weszła niewysoka blondynka, kompletnie różna od swojej siostry. Ze swoim szczerym uśmiechem i pogodnym spojrzeniem nie przypominała też matki.

– Niech będzie pochwalony... – urwała, kiedy zobaczyła Łukasza i Marcina. – Łukasz! Jaka niespodzianka! Gdzie Justynka?

– Justynki nie ma – odezwał się żalony głos teściowej od pieca. Znowu się kiwała na krześle i cicho łkała.

– Czy ona zawsze musi robić szum wokół własnej osoby? – Łukasz warknął z irytacją. Basia zaglądała, jakby miała zemdleć.

– Boże! – Oparła się mocno o framugę. – Nie...

Łukasz podniósł się szybko i podszedł do niej. Położył dłonie na jej ramionach i spojrział w oczy ze swojego metra dziewięćdziesiąt.

– Wczoraj ktoś porwał Justynkę spod naszego bloku. Nie wiemy kto i dlaczego. Usiłujemy się tego dowiedzieć, dlatego tu jestem.

Basia rozplakała się i opadła na pierś Łukasza, ale szybko otrząsnęła się i podniosła zapłakane oczy na szwagra.

– Co chcesz wiedzieć?

– Matka mówi, że Justyna była w wojsku...

– Była... To ty nie wiesz? – Spojrzała na jego kolegę, który pokręcił przecząco głową.
– No, nie wiem...
– Ach... – Basia zasłoniła dłońmi usta i popatrzyła na niego z lękiem. – Miałam ci nie mówić. Przepraszam, Łukasz.
– Ale dlaczego?
– Justynka chciała zacząć nowe życie i nie wracać do tego. Prosiła zawsze, żeby nie poruszać tego tematu.
– Matki wyraźnie nie poprosiła – westchnął Łukasz.
– Mówiła jej – powiedziała cicho i machnęła ręką. – Ale ona zaraz zapomina, co się do niej mówi, sam wiesz.
– To powiedz mi... Powiedz coś więcej o tym wojsku. – Potarł palcami brwi i podszedł znowu do okna.
– Co ci mam mówić? – Wzruszyła ramionami. – Była, było ciężko... Odeszła i temat zakończony.
– Proszę pani – odezwał się wciąż czujny Słomkowski – czy w tym wojsku wydarzyło się coś, co mogłoby dać pani powody sądzić, że ktoś albo coś stanowiło zagrożenie dla siostry?
Basia podeszła do pieca i oparła się o brzeg blachy.
– Nie wiem, czy to może być istotne...
– Wszystko jest.
– Miała takiego dowódcę, który niezbyt dobrze ją traktował. Szczegółów nie znam, ale wiem, że było źle. Było bardzo źle... Łukasz... nie wiem dokładnie, co tam się stało, ale to o mało jej nie zniszczyło. Była w szpitalu... Trochę ją postawili na nogi i pojechała zaraz za granicę, żeby się oderwać od tego, od wspomnień. Wróciła już zupełnie inna. Poznała ciebie...
– Co robiła za granicą? – Marcin zmarszczył czoło.
– Nie wiemy. – Spojrzała na matkę i pokręciła głową. – Tego naprawdę nie wiem.
– Jezu... – Łukasz był bliski załamania. – To jakaś katastrofa.
– Dlaczego? – Słomkowski był uprzedzony o stanie kolegi i czujnie przyglądał się jego zachowaniom.
– Bo to oznacza, że jesteśmy nigdzie – głos mu się łamał. – Musimy to sprawdzić, pojechać tam, pytać ludzi... To zajmie mnóstwo czasu.
W dwóch ruchach Marcin był przy Łukaszu. Podsunął mu krzesło i zmusił, żeby usiadł.
– Da mi pani szklankę wody? – zwrócił się do Basi.
– Oczywiście.
Słomkowski przeszukał mu kieszenie i wyciągnął z jednej z nich buteleczkę z tabletkami. Wysypał na dłoń dwie pigułki i zgarnął z kredensu deskę do krojenia.
– Niech mi pani da jeszcze nóż.
Ostatecznie rozkruszył trzy tabletki i wrzucił do wody. Ostrzem noża wymieszał i kazał Łukaszowi to wypić. Basia stała obok, a po jej policzkach płynęły łzy bezsilności.
– Znajdźcie ją, proszę. Już dość przeszła w życiu...
Środki uspokajające powaliły Łukasza całkowicie. Nie było jednak mowy, żeby zostali tam dłużej, choć teściowa już szykowała posłanie, więc Słomkowski wraz z siostrą Justyną zawlekli Łukasza do auta i umieścili z tyłu, żeby mógł się położyć. Basia przyniosła koc.
– Nie musi oddawać. To tylko rzecz...
Marcin widział w lusterku, jak stała w bramie wjazdowej na podwórko, skulona i smutna. Kiedy sięgał po telefon, zadzwonił Brenner.
– Facet ma podsłuch albo jest jasnowidzem – mruknął. – Słomkowski, słucham.
– Brenner. Co u was? Macie coś?

– Mamy...

– O! – Był wyraźnie zaskoczony. – Coś ciekawego?

– Niestety tak.

– Co to znaczy? – Brenner szykował się na jakieś sensacyjne informacje na temat Józwińskiego, który nie był Józwińskim.

– Dowiedzieliśmy się, że Justyna była dwa lata w wojsku.

– Słucham?

– Tak, prawdopodobnie była w szkole podoficerskiej w Poznaniu, a następnie w Stargardzie Szczecińskim.

– To jakiś absurd. Daj mi Meyera.

– Śpi. Dałem mu tabletki, bo po tym, co usłyszeliśmy, dostał małego ataku...

– Ja pierdołę! Powtórz mi jeszcze raz, co powiedziałaś, tylko powoli. Zanim dojechali do rogatek stolicy, Brenner zadzwonił jeszcze raz.

– Kontaktowałem się z WKU w Ostrołęce. Rzeczywiście, są tam jej dokumenty. Poprosiłem o ich dostarczenie, ale to jest niestety wojsko... To nie będzie takie proste – westchnął ciężko.

– Szefie, jeśli mogę coś zasugerować.

– Mów.

– Wydaje mi się, że ten trop nigdzie nas nie zaprowadzi.

– Słomkowski, zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Nie mamy za wiele, a ta luka w jej życiorysie to zbyt podejrzana sprawa. Musimy to sprawdzić.

– Wiem, chodzi o to, że może pojedę tam, do tego Poznania z Meyerem, żeby go znowu czymś zająć, żeby tu nie wariował.

– Może to i dobry pomysł... Przyjedź na odprawę wieczorem. Zaczynamy o dziewiętnastej, będą wszyscy. Wtedy uzgodnimy szczegóły.

– Mam być teraz z nim?

– Tak, zostań. W mieszkaniu może być trochę bałaganu, byli technicy po odciski i materiał biologiczny. Potem zmieni cię Malicki.

– Ten policjant? Myślałem, że Kotowicz się nim zajmie.

– Kot sam jest ledwo żywy. Znosi to fatalnie. Wyślę go do domu wieczorem. A Malicki wyrwał się z jakiegoś powodu. Nie chce być na odprawie, ma podobno potrzebę popracowania w spokoju... Nie wnikiem, jego komendant za niego ręczy.

– Rozumiem.

Rozdział 16

Zmęczenie było jej największym wrogiem. Zawsze. Nie umiała wtedy radzić sobie z emocjami, które chłostały ją niemiłosiernie i odbierały zdolność jasnego myślenia. Tym większym zdziwieniem było dla niej to, co zrobiła dziś rano. Ta cała ucieczka, bieg przez las... Wiedziała jednak, że nadejdzie chwila, w której pęknie jakaś struna i wtedy załamie się kompletnie.

W Kościanie pierwsze, co zrobiła, to zakupy w małym sklepie spożywczym. Sprzedawczyni chciała ją od razu przegonić, kiedy zobaczyła śmierdzącego obdartusa wchodzącego do środka, ale na widok pieniędzy nieco się uspokoiła. Kiedy Justyna ściągnęła na moment kaptur, mina kobiety zmieniła się i wyglądało na to, że chce coś powiedzieć, ale tylko otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

Po wyjściu ze sklepu Justyna stała dłuższą chwilę, nie wiedząc, co dalej robić. Rozglądała się wokoło, drżąc za każdym razem, gdy dostrzegła jakieś większe auto w ciemnych barwach. Trzęsącymi się dłońmi wyskubywała bezwiednie kawałki drożdżówki, którą sobie kupiła.

Przejechał radiowóz. Nawet nie drgnęła, żeby zwrócić na siebie uwagę policji. Mimo całego roztrzęsienia i zaciemnienia umysłowego spowodowanego wyczerpaniem i bólem, nadal była pewna, że nie może się ujawnić. Zbyt wiele nasłuchiwała się o przekupionych funkcjonariuszach, o wtyczkach w różnych służbach i regularnych zdrajcach. Dopóki nie wie, kto i dlaczego ją porwał, najlepiej będzie, gdy zniknie im z pola widzenia. Chodziło także o dobro Łukasza.

Przyszło jej do głowy, że w miarę bezpieczna będzie w jakimś kościele. Widziała z okien autobusu gotycką świątynię w samym centrum miasta, był tam nawet przystanek, na którym wysiedli prawie wszyscy, ale skoro miała jechać do końca, to pojechała pod sam dworzec PKP. Kusilo ją przez chwilę, żeby wsiąść w pociąg i jechać do Poznania, jednak jakoś nie miała chęci...

– I co? Pojedziesz może do szkoły i poprosisz Jaskółę o pomoc? Albo komendanta?

Skierowała się więc w stronę kościoła. Bała się bardzo, o wiele bardziej niż w lesie, ale tak jak i tam, wykrzesła z siebie resztki sił i doczłapała do celu. W środku było chłodno, wręcz zimno. Zajęła miejsce w drewnianej ławce, starając się nie być zbyt widoczną. Cały czas podjadała i piła dyskretnie sok, który sobie kupiła. Kiedy zjadła trzecią bułkę, zaczęło ją morzyć. To było po prostu nieuniknione. Walczyła, ale bezskutecznie. Zasnęła na dobre.

Obudziło ją szarpanie za rękaw. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi ze strachu, że to porywacze. Spojrzała nieprzytomnym wzrokiem na młodego księdza, który stał nad nią. Był chudy, krótko ostrzyżony i miał duży, haczykowany nos.

– Nie wolno tutaj spać. Proszę sobie iść. – Wiedziała, że choć mówi to stanowczo, jest zalęknięty. Wyczuła lekkie drżenie w jego głosie, które świadczyło o tym, że miesza się w nim poczucie obowiązku z potrzebą bycia miłosiernym wobec bezdomnego. Rozumiała dobrze, jak to działa – rodzącą się w środku litość tłumi się racjonalnymi argumentami: oni tak chcą żyć, taki los sobie wybrali. Było jej go żal, mimo że to ona była w tragicznym położeniu.

– Tak, tak. Zaraz sobie pójdę – powiedziała cicho.

Widok jej zmaltretowanej twarzy i kobiecego głosu spowodowały, że młody kapłan otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Nic jednak nie powiedział, tylko sobie poszedł. Wiedziała, że gdyby to był jego proboszcz, najpewniej stałby nad nią, dopóki sobie nie pójdzie, a potem zaglądałby jeszcze kilka razy, sprawdzając, czy nie wróciła. Mogła się oczywiście mylić, ale dość dobrze wiedziała, jak działają pewne mechanizmy.

Wzięła karton z sokiem z ławki i wsunęła go sobie pod bluzę. Wymacała, czy ma jeszcze w kieszeni bułkę i serek. Chciała wstać, kiedy młody ksiądz wrócił i stanął obok niej. Wciąż był lekko przestraszony, ale już wiedziała, że wygrał w nim Samarytanin, który u młodych kapłanów jest zazwyczaj dużo silniejszy niż u starych.

– Czy można pani jakoś pomóc? – zapytał szeptem.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie od razu. Jednak zdolność czytania ludzi dawała jej pewność, że może mu zaufać. Przesunęła się bliżej środka ławki, żeby zrobić mu miejsce.

– Niech ksiądz usiądzie.

Usiadł, choć z wahaniem.

– Muszę się gdzieś przespać – mówiła również bardzo cicho. – Muszę odpocząć, zanim postanowię, co dalej robić. Ale muszę też być w ukryciu...

Widać było wyraźnie, że ksiądz kompletnie nie rozumie, o co jej chodzi, jednak wciąż chciał pomóc.

– Uciekłam. – Spróbowała jaśniej.

– Skąd?

– Porywaczom.

– Jakim... Była pani porwana?

– Tak. Wiem, że ksiądz myśli, że zwariowałam. – Uśmiechnęła się. – Ale proszę spojrzeć na to.

Odśloniła rękawy i pokazała swoje nadgarstki. Wyglądały jeszcze gorzej niż rano. Ślady po sznurku były dużo bardziej widoczne, w niektórych miejscach skóra zdarta była do krwi. Ksiądz otworzył usta, ale nie wydał żadnego dźwięku. Spojrzał na jej twarz z przerażoną miną.

– Niech pani idzie na policję, pomogą pani.

– Nie. To bardzo zły pomysł.

– Ale dlaczego?

– Bo nie wiem, kto mnie porwał.

– To oni się dowiedzą.

– Albo zaszkożą. Mój mąż jest funkcjonariuszem Centralnego Biura Śledczego, rozpracowuje na co dzień grupy przestępcze, porywaczy, morderców i przemytników. W piątek zamknęli jakiegoś bandziora, a w niedzielę mnie porwano. Jeśli pójdę na policję i okaże się, że ktoś tam jest wtyką, to mój mąż może mieć kłopoty, mogą jemu zrobić krzywdę. A tego bym... nie przeżyła. – Łzy napłynęły jej do oczu. Czuliła, że się rozsypie.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby sama pani walczyła z systemem. – Ksiądz pokręcił głową. – Co pani zdołała? Czego się pani dowie? Mąż na pewno umiera ze strachu, a nawet nie wie, że jest pani wolna.

Spojrzał na nią z jakimś wielkim zdumieniem.

– Jakim cudem pani uciekła?

– Nie chce ksiądz wiedzieć.

– Zabiła pani? No dobrze, nie chcę nic wiedzieć.

– Pomoże mi ksiądz? – Patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. – Potrzebuję jakiegoś ukrycia, chociaż na tę noc. Muszę odpocząć i wiedzieć, że mnie nie znajdą.

– Nie wiem jak... – Jego twarz wyrażała desperację. – U nas nie da rady, a ja nie znam nikogo... – Urwał nagle, jakby sobie o czymś przypomniał. – Chociaż... Mam takiego kolegę... Dawno go nie widziałem, ale on ma niedaleko nad jeziorem dom. To znaczy, to jakaś tam lepsza szopa, w której się ukrył przed ludźmi.

Justyna wyobraziła sobie outsidera z długą brodą, który nie myje się i nie zmienia ubrań, żyje na odludziu i ma różne dziwactwa.

– I on mógłby pomóc? – Miała wątpliwości. Takie leśne ludki nie lubiły raczej towarzystwa.

– O, tak. To człowiek z wielkim sercem. – Uśmiechnął się. – Zaraz, niech pani tu zaczeka. Może uda się załatwić jakiś transport. Gdyby tu ktoś przyszedł, proboszcz albo kościelny, i chciał panią wyganiać, proszę powiedzieć, że czeka pani na księdza Damiana, który poszedł po chleb dla pani. Powinni się odczepić.

– Dobrze.

Wydawało jej się, że czeka bardzo długo. Zaczęła się niepokoić i co chwilę rozglądała się wystraszona w obawie, że zobaczy w kruchcie któregoś z porywaczy. Ale ksiądz Damian wrócił, a jego mina świadczyła o tym, że odniósł sukces.

– Chodźmy, wyjdziemy od zakrystii.

Wyszli, obeszli kawałek kościoła i Justyna mogła zobaczyć grubego faceta z brodą, który stał przy rozklekotanym busie do transportu warzyw i owoców, zaparkowanym przy figurze Matki Boskiej.

– To ten kolega? – zapytała.

– Nie, to pan Zenek. On panią zawiezie.

Pan Zenek uśmiechnął się, pokazując kilka zepsutych zębów. Nie spodobał się Justynie, więc cieszyła się, że ma ją jedynie transportować.

– Prawie gotowy jestem. Tak jak ksiądz prosił, podjechałem tutaj. – Poklepał swój wóz po masce od silnika. – Jeszcze tylko podskoczę po jedną skrzyneczkę do Jadzi i za minutkę jestem.

– Dobrze, panie Zenku, czekamy. – Ksiądz uśmiechnął się, a gdy facet zniknął im z oczu, spojrzał na nią. – Jak pani ma na imię?

– Justyna.

– Justyno, weź te parę złotych, mogą ci się przydać. – Wyciągnął z sutanny banknot stużłotowy i podał jej. – Nie odmawiaj.

– Dziękuję. – Spojrzała na pieniądze. – Czy mógłby ksiądz coś jeszcze dla mnie zrobić?

– Jeśli to możliwe, tak.

– Proszę nie iść zaraz na policję.

Zatkało go.

– Wiem, że poczucie obywatelskiego obowiązku każe to księdzu zrobić, ale to naprawdę nie będzie bezpieczne, dla księdza też. Oni na pewno będą się kręcić po okolicy i mnie szukać. Mają zleceniodawcę i kupę kasy do zarobienia. Podejrzewam, że szybko się nie poddadzą, żeby ją dostać. Najlepiej by było... – nabrała powietrza w płuca – gdyby ksiądz wyjechał. Zaraz albo jutro.

– Nie mogę... Jak...

– Niech ksiądz weźmie zwolnienie i na tydzień wyjedzie. Proszę mi wierzyć, jest ksiądz teraz w wielkich tarapatach.

Dotarło do niego. Widziała, że zaczyna rozumieć powagę sytuacji. Kiwnął głową.

– A co z panią?

– Będzie, co będzie. Latał ksiądz samolotami?

– Tak.

– Proszę więc posłuchać poleceń stewardessy: w razie katastrofy pomagać najpierw sobie. A teraz właśnie ta katastrofa się zbliża.

Pan Zenek wrócił i zajął miejsce w sfoferce.

– Powiedziałem mu, że jest pani bezdomna – szepnął ksiądz Damian.

– Bardzo mądrze – przytaknęła. – Pewnie nie jestem pierwszą bezdomną, której ksiądz pomaga, nie będzie nic podejrzewał.

Wsiadła do samochodu i lekko się do niego uśmiechnęła.

Pan Zenek był nadmiernie gadatliwy. Po dziesięciu kilometrach wiedziała o nim bardzo wiele. Rozwoził po warzywniakach towar od gospodarzy, miał trzy córki, żonę jędzę i psa z nowotworem. Ją martwiło to, że gdyby spotkał na swojej drodze zadających pytania porywaczy, natychmiast udzieliliby im wyczerpującej odpowiedzi. Nie było jednak żadnego sposobu, żeby go uprzedzić – efekt byłby odwrotny i na drugi dzień cały Kościan z przyległościami wiedziałby, że wioził taką kobietę.

Szarzało. Była prawie siedemnasta, kiedy kierowca busa skręcił z głównej szosy i wjechał w las. O mało nie spanikowała. W lesie było jeszcze ciemniej, no i miała złe wspomnienia. Ale Zenek ani na sekundę się nie zamykał, tylko ze szczegółami opowiadał o wizytach z psem u weterynarza i radośnie prowadził swój skrzypiący samochód. Droga była nierówna, więc co chwilę podskakiwali na jakimś wyboju. Justyna czuła każdy siniak, bolała ją też mocno głowa. W końcu zatrzymali się niedaleko brzegu jeziora.

– Muszę cię tu zostawić. Nie pojedę dalej, bo nie ma jak. Jeśli ugrzęznę, to mnie do rana stąd nie wyciągną.

– Bardzo panu dziękuję.

– Nie ma sprawy. Jesteś miłą towarzyszką rozmów.

Tak, zważywszy, że nie powiedziałam ani słowa, pomyślała.

– Idź na lewo wzdłuż brzegu, aż dojdiesz do tego domu, o, tam. – Wskazał tłustym palcem na przeciwległy brzeg. Rzeczywiście, stało tam coś, co przypominało niedużą daczę.

Wysiadła i ruszyła piaszczystym brzegiem. Dopiero wtedy poczuła, jak bardzo zmęczone ma nogi. Każdy krok kosztował ją wiele wysiłku. Po stu metrach zatrzymała się, żeby odpocząć. Postanowiła iść nieco dalej od linii jeziora, ale za to po twardszym gruncie.

Im bardziej zbliżała się do tego domu, tym wyraźniej słyszała regularne odgłosy, jakby uderzania. Nie mogła za nic wywnioskować, co to mogło być, bo dźwięk rozchodził się częściowo w las, a częściowo po tafli wody. Dopiero, gdy była już około pięćdziesięciu metrów od budynku, zrozumiała, że z tyłu domu ktoś rąbie drwa.

Budyneczek był nieduży, choć widziała, że ma coś na kształt wysokiego poddasza. Zrobiony był z drewna i na pewno nie była to szopa. Gdzieś widać było jakąś dziurę i brakowało kilku dachówek, ale wyglądał dość porządnie. O boczną ścianę oparty był rower, mocno ubłocony. Drzwi wejściowe znajdowały się na wprost jeziora i były otwarte. Chciała skierować się jednak w stronę, skąd dobiegały odgłosy siekiery. Zmęczenie odebrało jej resztki sił, więc ostatecznie postanowiła wywołać gospodarza głosem.

– Dzień dobry. – Naprawdę nie miała sił i przez moment wydawało się, że nikt jej nie usłyszał, ale dźwięki rąbania ustały i usłyszała kroki. Zza budynku wyłonił się mężczyzna, na widok którego Justynie kompletnie odjęło mowę.

Stał przed nią prawdziwy młody bóg. Nie był tak wysoki jak Łukasz, ale nieporównanie piękniej zbudowany. Miał na sobie tylko bojówki i podkoszulek na ramiączkach, więc dokładnie widziała niemal każdy mięsień. Był młody, liczyła, że jakieś sześć lub siedem lat młodszy od niej, i był spełnieniem jej dziewczęcych marzeń. Brunet z ciemną karnacją, bardzo krótko obcięty, ale widać było po dłuższych włosach na czubku głowy, że może nosić bujne loki, jeśli tylko pozwoli im urosnąć. Zielone oczy pod czarnymi jak węgiel brwiami. I te kości policzkowe! Na wysokości lewego obojczyka miał wytatuowanego niedużego smoka, a na szyi wisiał łańcuszek z małym krzyżykiem.

W pierwszym odruchu, jakimś kompletnie irracjonalnym, poczuła zawstydzenie, że wygląda, jak wygląda, i pewnie nawet zarumieniałyby się, gdyby nie refleksja, że od kilku lat ma męża, który jest dla niej najważniejszy na świecie i że jest tutaj także ze względu na niego.

– Dzień dobry – odpowiedział zdziwiony. Zmrużył swoje zielone oczy, jakby szukał jej twarzy w swojej pamięci. – Słucham panią.

– Ja... Przysłał mnie ksiądz Damian z Kościana.

– Tak?

– Powiedział, że mi pan na pewno pomoże. Potrzebuję noclegu na jedną noc.

Kiwnął lekko głową.

– Proszę, niech pani wejdzie. – Wskazał na drzwi, jakby było to coś najbardziej naturalnego pod słońcem.

Była w szoku z powodu jego reakcji, ale to nie dlatego nie mogła się ruszyć z miejsca. Po prostu ciało odmówiło dalszej współpracy i zwyczajnie upadła w chwili, gdy chciała wykonać jeden krok. Mężczyzna podbiegł do niej natychmiast i zaczął ostrożnie podnosić.

– Przepraszam. Jestem strasznie zmęczona. – Chciało jej się płakać, ale znowu się pohamowała.

– Spokojnie. Zaraz się panią zajmujemy.

Wprowadził ją do środka. Nie było tam żadnego korytarza, tylko wchodziło się od razu do dużego pomieszczenia, na środku którego stał solidny stół i cztery krzesła. Pod ścianami stały kredensy i mniejsze szafki – wyraźna zbieranina. Po prawej znajdowała się mała kuchenka, a zaraz za nią drewniane schody na górę. W głębi, za schodami, zauważyła metalowe łóżko i tam właśnie ją zaprowadził.

– Ma pani kompletnie mokre nogi – stwierdził, gdy zaczął zdejmować jej buty. – Od dawna tak pani chodzi?

– Od tej nocy – powiedziała cicho.

Sprawnymi ruchami ściągnął jej obie skarpetki i zamarł.

– Boże miłosierny! – szepnął, dotykając delikatnie śladów po związaniu. Spojrzał na nią z troską. – Kto to pani zrobił?

W odpowiedzi popłynęły łzy. Wziął jej ręce i podwinął rękawy. Potem dotknął opuchlizny na twarzy.

– Była pani porwana – stwierdził cicho. – Co pani tu robi? Musi się pani zgłosić na policję.

Pokręciła głową.

– Nie mogę. Tutaj też nie mogę być.

– Dlaczego?

– Bo czuję, że tu byli.

Patrzył na nią z przerażeniem.

– Co pani opowiada?

– Wyczuwam zapach jednego z nich. Na pewno byli tutaj jakiś czas temu.

– Ale... – Nagle jego twarz stężała. – Nie było mnie. Byłem w szkole.

Zamyślił się, patrząc na podłogę. Był wyraźnie przestraszony.

– Po powrocie drzwi były otwarte. Nie przejmuję się takimi rzeczami, bo tu ciągle ktoś przyłazi i zagłada. Bezdomni albo dzieciaki. Tu nie ma nic do zabrania, więc jakoś da się z tym żyć...

Trzymał nadal na kolanach jej sine z zimna stopy i przyglądał się im uważnie, jakby one miały mu odpowiedzieć, co robić dalej.

– Gdzie pani pójdzie? – zapytał retorycznie i spojrzał na nią. – Proszę zostać, coś musimy zrobić z tymi ranami i potrzebny jest pani sen. Jak ma pani na imię?

– Justyna.

– Jacek. – Uśmiechnął się ciepło. – Może to niezbyt dżentelmeńsko zabrzmiało, ale muszę

cię rozebrać. Nie możesz w tym siedzieć.

Kiedy ściągnął jej bluzę i podkoszulek, odkrył siniaki na plecach i zdartą skórę na brzuchu, gdzie krwiaki były równie rozległe co z tyłu. Nogi były w nie lepszym stanie. Zawinął ją w koc i poszedł zagrzać wodę. Wszystko trwało bardzo długo, ale im więcej czasu z nim spędzała, tym lepiej się z nim czuła. Rozglądała się wokół swoim jednym okiem i zaczynała rozumieć, że nie jest tu pierwszym tego rodzaju gościem, to znaczy kimś, kogo trzeba umyć i nakarmić. W kredensie znalazły się nie tylko jakieś ubrania, ale i lekarstwa przeciwbólowe, liczne bandaże i gazy, litry wody utlenionej oraz altacetu. Jacek mył ją i ubierał w stary dres jak profesjonalny pielęgniarz. Za domkiem miał małą toaletę, do której praktycznie ją zaniósł. Potem nakarmił zupą ogórkową i chlebem, jakby była małym dzieckiem. Kiedy przyglądała się jego pięknej twarzy, dotarło do niej jeszcze jedno: robienie tego wszystkiego sprawiało, że jest jeszcze piękniejszy, był najszcześliwszym człowiekiem na Ziemi.

Spanie przygotował jej na górze w małym pokoiku, z jednym żelaznym łóżkiem i szafką, którego okno wychodziło wprost na jezioro.

– Wojskowa prycza – zauważyła.

– Tak, rzeczywiście. – Uśmiechnął się szeroko. – Jak likwidowali niedaleko stąd jednostkę, dużo ludzi za grosze skupowało różne graty. Ja też mam kilka.

Kiedy później myślała o tej chwili, wydawało jej się, że spała, zanim jeszcze się położyła.

Jacek zszedł na dół. Zebrał jej brudne rzeczy, z których powyciągał kilka drobiazgów, wyniósł ubrania za budynek i wcisnął do wielkiej beczki, w której czasem coś palił. Wlał trochę benzyny z kanistra i wrzucił zapaloną zapałkę. Nawrzucał tam jeszcze trochę drwa, które wcześniej rąbał i starych gazet dla pewności, że ogień szybko nie zgaśnie.

Potem wyjął z kieszeni spodni telefon, ubrał bluzę i poszedł w stronę pomostu, na którym zawsze był najlepszy zasięg.

– Dzień dobry, panie Jacku – usłyszał wesoły głos już po drugim sygnale. – Co za miła niespodzianka.

– Słuchaj, Ziułek, mógłbyś do mnie wpaść dziś wieczorem, to znaczy zaraz najlepiej?

– Z flaszką? Coś ty, tak przy poniedziałku?

– Nie z flaszką. Mam mały problem i nie wiem, jak go rozwiązać.

– No, dobrze. – Głos Ziutka spoważniał. – Przyjadę, przyjacielu. Jeśli mnie potrzebujesz... Będę za godzinę, tylko kury pozamykam.

– Aha i jeszcze jedno: weź ze sobą wiadro maści z heparyną i... tę strzelbę na kaczki.

Rozdział 17

Była prawie osiemnasta, kiedy przebili się przez zakorkowane miasto na mokotowskie osiedle Meyerów. Słomkowski z daleka widział samochód policyjny na obserwacji, o który właśnie opierał się Malicki.

– Szybko – powiedział do siebie Marcin. – Naprawdę chłop ma potrzebę.

Zerknął na tył. Łukasz wciąż spał, ale skoro pojawił się chętny do opieki komisarz, to była szansa, że jakoś doprowadzą go na trzecie piętro.

– Muszę zaraz spadać, jeśli chcę zdążyć na odprawę – powiedział do Malickiego, kiedy położyli Łukasza na łóżku.

– Nie ma problemu. Jedź, kolego. Ja mam wszystko pod kontrolą. – Podniósł rękę w geście zapewnienia. – Myślę, że gospodarz się nie obrazi, jeśli trochę się rozgoszczę i zrobię sobie herbatę. Mam mnóstwo pracy przed sobą.

– Aha, tu są jego tabletki na uspokojenie, ale gdyby coś się złego działo, dzwoń od razu po pogotowie. Podobno było tu wczoraj gorąco.

– Dobrze, będę uważał – przytaknął energicznie.

Słomkowski odniósł wrażenie, że policjant chce się go jak najszybciej pozbyć.

Zaniepokoiło go to, więc postanowił się nieco pokręcić.

– Pójdę jeszcze do łazienki. Jak mnie gdzieś w korku przyszpili, może być problem.

Malicki poszedł do kuchni. Słychać było wyraźnie, że robi sobie herbatę i szeleści jakimiś papierami. Kiedy Słomkowski wyszedł z łazienki, zobaczył go siedzącego przy stole z laptopem i stosem dokumentacji wokół. Prawie go nie zauważył.

– To jadę.

– Aha – mruknął pod nosem i nawet na niego nie spojrzał.

Jednak gdy tylko Słomkowski zamknął za sobą drzwi, Malicki złapał za telefon i wybrał numer.

– No, dobra, to co masz dla mnie, Żanetko?

Łukasz ocknął się z letargu przed dwudziestą pierwszą. I od razu poczuł ból. Schował twarz w dłoniach i leżał bez ruchu, zalewany falami nieopisanego cierpienia. Nigdy nie sądził, że można tak rozpaczać i chodzić ciągle żywy, zachowywać się normalnie, rozmawiać z ludźmi, jeść, spać... Marzył o śmierci w każdej sekundzie. Wtedy, gdy myślał, że Justyna już nie żyje. Wtedy, gdy myślał, że żyje, ale ją krzywdzą. W tym drugim przypadku wołał oddać swoje życie, żeby nie cierpiała i uratowała się z tego wszystkiego.

Niech dożyje stu lat, wyjdzie znowu za mąż, urodzi dzieci, będzie szczęśliwa. Tylko niech nic jej nie będzie, myślał.

Usłyszał, że ktoś jest w mieszkaniu. Podniósł się powoli i poszedł do łazienki. Był niemal pewien, że w kuchni siedzi Kot. Kto inny to mógł być?

– Cześć. – Zdumiony zobaczył wyszczerzonego Malickiego, który wcinał chińskie zarcie z pudełek, otoczony papierami i teczkami.

– Malicki? Co ty tu robisz?

– Mów mi Michał. Byle nie Misiek. Mam dla ciebie nowiny.

Łukasz usiadł naprzeciwko i wbił w niego wzrok.

– Coś dobrego?

– Bardzo możliwe. Ale powiem ci, jak najpierw coś zjesz i napijesz się odpowiedniej ilości płynów. Podobno źle reagujesz, gdy chce ci się pić.

– Nie będę nic jadł... – Krew się w nim zagotowała. Malicki podniósł jednak dłoń

i pałeczkami wskazał na siatki z jedzeniem.

– Jeść!

Łukasz połykał łąpczywie kolejne sajgonki, nie odrywając od Michała rozgorączkowanego wzroku. Wypił dobre pół litra wody i wytarł usta w rękaw koszuli.

– Co masz?

– Mój dobry kolega, który właśnie spłacił dług, siedząc przy komputerze prawie dobę, skontaktował mnie z pewną miłą policjantką z Poznania, Żanetką. Ona z kolei była coś dłużna jemu, tak jak wielu innych policjantów z całej Polski – uroki pracy w Warszawie – i dlatego od razu poinformowała o nietypowym zdarzeniu, które może nas interesować. Długo z nią rozmawiałem, zresztą nie jeden raz, i dowiedziałem się o dzisiejszym odkryciu policji ze Śremu.

– Z czego? Jakiego Śremu?

– Zaczekaj, po kolei. Policja ze Śremu dostała dziś przed południem zgłoszenie, że na terenie pewnego gospodarstwa wiejskiego odkryto zwłoki mężczyzny. Martwy pan leżał sobie w jakiejś szopie i nie miał żadnych obrażeń – po prostu nie żył.

– Co to ma wspólnego...

– Czekaj! Daj mi skończyć. I ten pan był dość znacznych gabarytów, łysy paker z tatuażem tu i ówdzie. Kiedy sprawdzono jego tożsamość, w bazie wyświetliła się cała litania jego licznych dokonań, począwszy od włamania do samochodu w wieku lat czternastu, aż do usiłowania zabójstwa w wieku lat trzydziestu dwóch, za które dostał parę lat. Niedawno wyszedł na wolność. Mam tu jego kartotekę, gość był naprawdę pracowity. Normalnie nikt by się nie przejął tym specjalnie – ot, facet zszedł na zawal czy coś – ale jakiś czujny komendant z rzeczonoego Śremu postanowił wysłać denata do Poznania na sekcję zwłok. Był w dodatku na tyle inteligentny, że coś tam naopowiadał takiego, że zrobili mu ją na cito. Okazało się, że gość zmarł z powodu skręcenia karku.

Łukasz zaczął tracić cierpliwość. Zrezygnowany oparł czoło o blat stołu, ale Malicki ciągnął dalej.

– Tyle że wówczas sprawa zainteresowała patologa sądowego na tyle, że właśnie w tej chwili w drodze do Poznania jest konsultant...

– Jaki konsultant? O czym ty mi opowiadasz? – Podniósł głowę.

– Konsultant ten jest byłym oficerem GROM-u, który ma stwierdzić, czy kark skręcił sobie denat, upadając, czy też może ktoś mu go skręcił.

– No i?

– Chodzi o to, że patolog upiera się, iż denat z niczego nie spadł, nie przewrócił się, tylko ktoś mu ten kark bardzo sprytnie ukręcił, tak jak to robią żołnierze sił specjalnych. Jednym słowem jest teoria, że został zamordowany.

– Michał, ja ciągle nie rozumiem.

– Otóż zbadano ślady biologiczne na tym martwym i niczego nie znaleziono. W dodatku był niezbyt kompletnie ubrany. Ktoś go po śmierci rozebrał do gaci. Ale... – podniósł palec ku górze i zrobił minę tryumfatora – wokół ciała leżały pewne przedmioty: puszki po konserwach i jakiś kubek. Znaleziono na nich odciski palców nienależące do denata.

– A do kogo? – Zaczęło mu się robić gorąco.

– Odcisków nie było w bazie, ale ja wiem na sto procent, że to były odciski twojej żony.

Łukasz złapał kant stołu i o mało nie zemdlał.

– Skąd to wiesz?

– Przed twoim powrotem od teściowej byli tu pobrać materiał biologiczny. Poprosiłem miłą panią technik, żeby dyskretnie podesłała mi odciski Justyny, które ja wysłałem dyskretnie do Poznania... No i do tych, co tam wiszą przysługę mojemu „mistrzowi”.

– Śrem? – Łukasz próbował ogarnąć to jakoś rozumem.
Michał pokręcił głową.
– Okolice Śremu.
– Ale na ciele denata nie było jej odcisków.
– Ani pół. Nie było żadnych. Już wiem, że ten, kto go zabił, zrobił to profesjonalnie, ale to raczej nie twoja...
– Justyna była w wojsku – mówił to bardziej do siebie.
Malicki wybałuszył oczy.
– Słucham?
– Justyna ma za sobą dwa lata służby. Przynajmniej dwa lata.
– W GROM-ie?
– Nie... – Spojrzał na Malickiego z błyskiem w oku. – W Poznaniu.
– Ło, ho, ho! To zmienia postać rzeczy. A miły pan z ukręconą szyją akurat zalega tam w jakiejś lodówce. Wiedziałem, że to nie będzie takie proste, wiedziałem. – Kręcił głową.
– Dlaczego tak mówisz? Coś jeszcze wiesz?
– No wiesz, wiadomość o tym, że twoja żona była żołnierzem, przebija wszystko, ale mam niestety złą wiadomość, jeśli chodzi o przynależność naszego martwego do jakichkolwiek grup przestępczych. Jeśli się gdzieś zaciągnął, to nic jeszcze o tym nie wiemy. Z Rawicza wyszedł pół roku temu. Jego nowi kumple postąpili bardzo sprytnie: zdjęli z niego wszystko, co naprowadziłoby na nich, i podrzucili tylko to, co naprowadzi nas na Justynę.
– Czyli chcą, byśmy z nim łączyli porwanie.
– Tak, ewidentnie. Poza tym na pewno nie tam ją przetrzymywali. Szopa była niemal w środku wsi, gospodarz mało zawału nie dostał, kiedy go znalazł. Podobno siłą go powstrzymali, żeby jej od razu nie spalił. Podrzucili go tam razem z tymi puszkami.
– Ale po co? Nie mogli go gdzieś zakopać?
Malicki zrobił dziwną minę i spojrzał niepewnie na Łukasza.
– O co ci chodzi?
– Chodzi o to, że... Uważam, że to Justyna go zabiła, a oni nie wiedzą, że nie ma na ciele śladów jej rąk.
– Co ty pierdolisz?!
– Spokojnie...
Łukasz zerwał się z krzesła i wyszedł z kuchni.
– Kurwa, wiedziałem, że to mu się nie spodoba. Łukasz! – zawołał i poszedł za nim. Meyer siedział na kanapie i trzymał głowę w dłoniach. Michał usiadł na krześle.
– W zasadzie... Uważam, że to dobra wiadomość.
– Co ty w ogóle mówisz?! – Podniósł głowę i spojrzał na niego z gniewem. – Zapodajesz mi tu jakąś chorą teorię. To, że była w wojsku, nie znaczy, że umie zabić człowieka jak jakiś komandos. Jest na to za słaba. Na tyle ją znam.
– Ale zastanów się. – Malicki był niezmordowany. – Takie działanie porywaczy może świadczyć o jednym.
– O czym?
– Że im uciekła.
Na te słowa Łukasz nie wiedział, co powiedzieć. Zrobił gest ręką w powietrzu, ale zaraz ją opuścił.
– Nie rozumiem – powiedział w końcu cicho.
– Ta teoria też nie trzymała się kupy, dopóki nie powiedziałaś o tym wojsku. Skąd wiesz, może ktoś ją tego nauczył? Choćby przypadkiem, na jakimś WF-ie...

– I nauczył, jak uciekać porywaczom, tak? – Choć bardzo tego chciał, nie potrafił w to uwierzyć.

– Mogli popełnić jakiś błąd. A ty możesz nie doceniać swojej żony.

Łukasz oparł się i spojrzął na komodę z ich zdjęciem ślubnym.

O wojsku nic nie wiedziałem. O wielu rzeczach mogę nie wiedzieć...

– Jak doszedłeś do takiego wniosku? – zapytał zrezygnowany.

– Wyobraź to sobie: przez ich nieuwagę Justynie udaje się ukatrupić jednego z nich i uciec. Kiedy orientują się w sytuacji, wymyślają, że wywiozą ciało i gdzieś podrzucą, żeby nie naprowadzić na ślad ich bytności. Zakopanie zwłok w lesie to zły pomysł, lepiej to zorganizować tak, żeby skierować uwagę tylko na tego jednego, na samą Justynę i odsunąć podejrzenia od siebie, a przy okazji szukać uciekinierki.

– Kiedy go znaleźli? – W głosie Łukasza słychać było, że ta wersja wcale go nie podniosła na duchu.

– Przed południem, a co?

– Jest dziewiąta, więc gdzie jest moja żona?

– Mogli ją znaleźć – odpowiedział cicho.

– No właśnie. Gdyby uciekła, już dawno byłaby na jakimś komisariacie. Byłaby w Warszawie!

– Jest jednak coś, co może świadczyć, że było inaczej. – Malicki wstał i poszedł do kuchni. Łukasz nie wytrzymał i podreptał za nim. Michał usiadł przy komputerze i wziął zeszyt z notatkami. – Według opinii lekarza facet zmarł między szóstą a siódmą rano, śmierć nastąpiła natychmiast. Zwłoki znaleziono około południa, co daje nam sześć godzin pomiędzy zgonem a odnalezieniem. Właściciel szopy twierdził, że był w niej godzinę przed odkryciem denata, co oznacza, że przywieźli go tam najwcześniej o jedenastej. Rodzi się pytanie: co robili przez te pięć godzin? Facet był wielki, a skoro Justynę porwało trzech, to było akurat dwóch, żeby go przynieść, więc mało prawdopodobne jest, że wozili ją ze sobą albo że zostawili samą...

– Chyba że było ich więcej.

– To by go nie zabiła. Na tyle sprytu nawet komandosowi by chyba nie wystarczyło. O godzinie jedenastej oni jej dalej nie mieli. Od szóstej... no, nawet od siódmej mogła im naprawdę daleko uciec.

– Trzeba powiedzieć tamtejszej policji, żeby szukali tego mercedesa. Pewnie go gdzieś porzucili. – Łukasz znowu usiadł przy stole.

– Tak zrobimy. – Malicki kiwnął głową. – Oczywiście pytanie o to, gdzie jest Justyna, nurtuje nas bardzo. Dlatego zrobię kawę i zastanowimy się. A potem zadzwonimy do Żanety.

Rozdział 18

Odprawa nie odbyła się. Brenner chciał ją przełożyć na późniejszą godzinę, ale co chwilę ktoś zgłaszał, że potrzebuje więcej czasu, żeby coś sprawdzić. Z komendy stołecznej zadzwonili, że też mają małe urwanie głowy. Siedział jednak w swoim gabinecie i wpatrywał się w notatki. Wiele się zmieniło przez ostatnie godziny na jego białej tablicy.

Do gabinetu wszedł Kotowicz.

– Mogę?

– Miałeś jechać do domu.

– Chciałem odczekać, aż większość sobie pójdzie. Mam pewną sprawę.

– Dawaj.

Tomek zamknął drzwi i usiadł. Wyglądał koszmarnie, ale w oczach miał jakiś dziwny zapach.

– Co się dzieje? – zapytał łagodnie Brenner.

– Siedziałem dziś długo z tymi nagraniami z monitoringu po przesłuchaniu ochroniarzy.

Coś mi nie daje w nich spokoju.

Brenner nie odzywał się, tylko uważnie słuchał.

– Kiedy porywacz został wypłoszony przez kuriera, starałem się to jakoś sobie czasowo policzyć i wyszło mi, że on zdążył wejść na górę i dotrzeć pod ich drzwi. A jednak uciekł. Myślałem sobie tak: chciał zadzwonić do drzwi i porwać ją, jak mu otworzy, ale miał na to wystarczająco dużo czasu. Miał czas, żeby ją uspić albo obezwładnić i olać kuriera, gdyby w tym czasie ten zadzwonił. Odczekałby na górze i zniósł ją na dół. I wtedy przypomniałem sobie, że to był piątek, kiedy siedzieliśmy z Meyerem na obserwacji, więc po pierwsze nie wychodzili razem, bo zaczynaliśmy wcześniej. Wiadomo było, że Justyna będzie chwilę sama, zanim pójdzie. A po drugie powiedział mi, jak siedzieliśmy pod tą kamienicą, że Justyna zrobiła mu rano awanturę o niezamknięte drzwi. Łukasz ma tę swoją obsesję, że się zamknie i nie będzie mógł szybko wyjść z domu. Tyle że jakoś to Justynka zносиła do tej pory. Więc... – zawahał się przez chwilę – doszedłem do wniosku, że porywacz wchodził na górę z pewnością, że Justyna będzie w domu, drzwi będą otwarte, naciśnie klamkę i wejdzie do mieszkania... Ale tego ranka Justyna musiała je zamknąć.

Brenner zmarszczył brwi.

– Jaki wniosek?

– Znowu czuję, że to głupota, ale tak samo myślałem, kiedy Łukasz mówił o Józwińskim... – Podrapał się w ucho. – Myślę, że porywacze wiedzieli to od kogoś od nas. W ogóle mam przypuszczenia, że ktoś tutaj jest w to zamieszany.

– Też tak uważam – odpowiedź Brennera była spokojna i pewna, ale nie mogła bardziej zaskoczyć Kota.

– Jak to... Szef myśli...

– To, co mówisz, tylko to potwierdza. Kto wie o tym, że Meyer nie zamyka drzwi?

– Kilka osób. Wszyscy od nas.

– Napisz mi nazwiska, będzie prościej.

– Dobrze.

Kot wyjął notatnik, zapisał nazwiska i podał kartkę szefowi.

– Dzięki. A teraz idź do domu.

– A co z Łukaszem?

– Siedzi z nim Malicki. Podejrzewam, że prowadzi śledztwo na własną rękę.

- Czemu...
- Niech prowadzi. To zdolny policjant. Nie powinniście z Meyerem przebywać za dużo ze sobą. Za mocno to przeżywacie. Jemu jest potrzebny ktoś mniej zaangażowany. Idź już.

Rozdział 19

- Ja cię pazdrawlaju! – Ziutek drapał się po łysej części głowy, kiedy patrzył na śpiącą Justynę. – Ale kryminał!
- Chodźmy stąd, niech śpi. – Jacek pociągnął go za rękaw i zeszli na dół.
- Usiedli przy stole nad metalowymi kubkami z herbatą. Ziutek wyjął butelkę z rumem i dolał sobie sporą ilość.
- Nie powinieneś pić. – Jacek zmarszczył brwi. – Prowadzisz.
- Nigdzie nie jadę. Zostanę z wami całą noc, bo oni naprawdę mogą tu wrócić. – Pochylił się nad stołem. – Byli u mnie, sukinkoty.
- Żartujesz!
- Tak, byli. Objęździli chyba pół Wielkopolski, żeby ją znaleźć.
- O której to było?
- Po południu. O siedemnastej.
- Jezusie, wtedy do mnie dotarła. Musiała się z nimi minąć gdzieś po drodze.
- Dlatego zostanę, ty pójdziesz spać, a ja sobie usiądę ze strzelbą i będę was pilnował.
- I nie zaśniesz? – Jacek nie dowierzał.
- Nie zasnę. To była gruba zwierzyna, mówię ci. Warto poczekać na taką – roześmiał się.
- I co będzie? – zapytał zmartwiony młodzieniec.
- Nic. Przegoni się ich albo ukatrupi i wrzuci do jeziora.
- Nie o to mi chodzi.
- A o co?
- O nią. – Wskazał na sufit.
- Jeśli nie chce na policję, to znaczy, że ma jakieś powody. Dobrze by było wyciągnąć z niej, co to za afera.
- Mówiła, że jej mąż w CBS pracuje.
- Fiuuu... – Ziutek zagwizdał. – No to jej się nie dziwię. Mogli ją porwać przez niego.
- Weź ją zaraz wysmaruj tą maścią. Takie rozległe krwiaki nie są dobre dla organizmu, zatruwają ją. A swoją drogą... Cholera jasna! Jak ona im uciekła? Nie widziałeś ich, to byli jacyś mutanci. Mówili, że szukają siostry, która jest po wypadku i jest ranna. „Pomieszało jej się w głowie – mówi jeden takim słodkim głosikiem. – Martwimy się”. Gdybym wiedział, od razu bym zastrzelił.
- I byś siedział jak za ludzi, co?
- Nie, to by się zakopało gdzieś. A kto by ich szukał?
- Oj, Ziutek, Ziutek. – Jacek pokręcił głową.
- Dobrze, że spaliłeś te ubrania. Gdyby tu wpadli i coś znaleźli... – Machnął ręką.
- Dziwi mnie tylko, że poza nimi nikt jej nie szuka.
- Wspominała, że jest z Warszawy, więc pewnie ją tu przywieźli.
- A... Rozumiem. Ale mimo wszystko. No nic, zobaczymy rano.
- Wstał, wyciągnął się jak kot i wyszedł na dwór.
- Jacek poszedł znowu na górę z lampą naftową i maścią. Justyna była jak nieżywa lalka. Gdyby znał ją lepiej, wiedziałby, że obudziłaby się natychmiast po jego wejściu do pokoju. Spała tak mocno tylko przy tych, którym naprawdę ufała, zapach innych osób wyrывał ją z najgłębszego letargu.
- Siniaki posmarował tam, gdzie nie wstydził się dotykać. Potem usiadł na brzegu łóżka i z przerażeniem znowu przyglądał się śladom po sznurku, którym była związana. Widział go,

kiedy wyciągał rzeczy z kieszeni w ubraniach Justyny – cały był w jej krwi. Zerwał się nagle i zbiegł na dół.

– Ziutek. – Wszedł na dwór do kumpla, który rozsiadł się wygodnie na rozklekotanym leżaku. – Jej by się jakaś kąpiel przydała, co? A ja tu nie mam warunków... Nie mam ogrzewania ani ciepłej pościeli.

– Nie-e. – Ziutek pokręcił głową. – Jest za słaba. Nie przejmuj się, Jacuś, zająłeś się nią bardzo dobrze. Naprawdę nie mogła lepiej trafić. Idź już spać i o nic się nie martw.

Rozdział 20

- Przekazałeś tej Żanecie fotografię Justyny?
 - Ma jej DNA i odciski palców, a zdjęcia by nie miała? Ma wszystko, Łukasz.
 - I naprawdę siedzi tam i robi nam tak wielką przysługę bezinteresownie?
 - O, nie – roześmiał się Michał. – Przyjdzie dzień, w którym będę musiał pannę Żanetę zadowolić.
 - I ty będziesz siedział po nocach?
 - Raczej leżał – odpowiedział pod nosem.
 - Co?
 - Nie, nic. Nie martw się o to. Zajmijmy się tym, co mamy.
- Patrzyli intensywnie w leżące przed nimi dokumenty i notatki.
- Wiemy na pewno, że śmierć Mariusza Łosia, pseudonim „Czacha”, który leży w poznańskiej kostnicy, powiązana jest z twoją żoną... Bez względu na to, jak bardzo się upierasz, że to nie ona ukreśliła mu łeb. Nieważne. Pozwala nam to sądzić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że brał udział w jej porwaniu. To jest ważne. Możemy przypuszczać, że Justyna po śmierci Łosia – w ogóle nazwisko ma świetne – oddaliła się od porywaczy i przynajmniej do godziny jedenastej jej nie złapali. W tym miejscu musieliśmy bardzo wysilić naszą ograniczoną wyobraźnię i pomyśleć, dlaczego twoja żona nie zgłosiła się na policję, jeśli rzeczywiście w ciągu tych kilku godzin znajdowała się poza zasięgiem porywaczy. Mamy kilka przypuszczeń. Po pierwsze, że ją po tej dwunastej złapali, co mi wydaje się mało realne, tobie bardziej. Niech będzie. Po drugie, że coś jej się stało w czasie ucieczki i na przykład utonęła albo po prostu zamarzła.
- Łukaszowi nie drgnął ani jeden mięsień. Na zewnątrz był funkcjonariuszem, w środku mężem.
- Druga ewentualność jest dla mnie bardziej prawdopodobna niż pierwsza, ale nadal mało realna. Dochodzimy do punktu, w którym zaczynamy rozważać ewentualność, że pani Justyna Meyer nie ujawnia się celowo. – Spojrzał na Łukasza, lecz widząc brak reakcji, kontynuował.
 - Zadajemy więc sobie pytania. Jaki ma powód ukrywania się? Gdzie może się ukrywać? Przy czym odpowiedź na drugie pytanie jest mniej istotna od odpowiedzi na...
 - Nie! – zaprotestował Łukasz. – Nie zgadzam się. Jeśli Justynka uciekła, musimy wiedzieć, gdzie jest, a nie dlaczego...
 - To teraz ja – przerwał mu Michał. – Nie! Nie zgadzam się. Jeśli Justynka uciekła, to powody, dla których się nie ujawnia, mogą być kluczowe. Bo jeśli ją znajdziemy, a nie znajdziemy zagrożenia, którego się obawia, znowu będzie w niebezpieczeństwie.
- Łukasz kiwnął głową.
- Co oznacza, że dalej jesteśmy w dupie.
 - Nie, dlaczego? – obruszył się Malicki.
 - Bo to śledztwo może się nigdy nie skończyć.
 - Ale twoja żona nie jest w rękach porywaczy.
 - Nie wiemy tego na pewno.
 - Ale musimy mieć nadzieję, że tak jest.
- Chwilę milczeli. Łukaszowi było trudno wierzyć. Gdyby nie pracował, gdzie pracował, łudziłby się każdą lepszą myślą, ale za dużo widział i za dużo wiedział o tego typu sprawach.
- Masz jakieś pomysły, dlaczego Justyna nie miałaby się ujawniać?
- Łukasz pokręcił przecząco głową.

– To trzeba zrobić kolejną kawę i się zastanowić.

Nie protestował. Praca z Malickim uspokajała go bardziej niż tabletki.

– Zastanawiamy się po to – Michał postawił mu kubek przed nosem – żebyśmy nie popełniali niepotrzebnych błędów w działaniu. Nawet jeśli nie mamy bladego pojęcia, dlaczego twoja żona siedzi gdzieś schowana, mimo że nie trzymają jej w swych łapach bandyci, to chociaż musimy mieć dobre teorie.

Rozdział 21

Na dworzec wyjechał po niego radiowóz. Było bardzo późno i ulice Poznania niemal opustoszały. W kostnicy było tym bardziej pusto i cicho. Kroki odbijały się mocnym echem po korytarzu. Na jego końcu dostrzegł młodą kobietę, bardzo ładną i całkiem zgrabną, ubraną w dopasowaną garsonkę i starannie umalowaną, mimo tak późnej pory. Na powitanie obdarowała go uroczym uśmiechem. Zrobiło mu się przyjemnie, chociaż był w takim miejscu i miał za chwilę oglądać jakiegoś trupa.

– Pan Tomasz Mrozowski? – Uśmiechnęła się jeszcze piękniej. – Nadkomisarz Żaneta Gołąb. Bardzo się cieszę, że pan przyjechał tak szybko.

– No, ja teraz też się bardzo cieszę – odpowiedział również uśmiechem, mierząc ją wzrokiem. – Nie wiedziałem, że zaraz po maturze można zostać nadkomisarzem.

Roześmiała się zalotnie.

– Och, mógłby się pan zdziwić.

– To co mogę dla pani zrobić?

Niespodziewanie rozejrzała się wokół, sprawdzając, czy nikt ich nie obserwuje. Wyciągnęła spod pachy teczkę z dokumentami i spojrzała na niego całkiem poważnie.

– Potrzebuję opinii na temat tego zabójstwa, ale trochę innej opinii.

– Tak? – Czuł się zbity z tropu.

– Chodzi o to, że robi pan w ten sposób przysługę mi, a niekoniecznie samemu śledztwu.

– Nie rozumiem.

– Zanim puszcze w obieg pewne informacje, muszę być pewna niektórych spraw. Widzi pan, porwano młodą kobietę, żonę funkcjonariusza CBS. Ten trup za drzwiami był prawdopodobnie w to zamieszany. Znaleźliśmy przy nim kilka rzeczy, na których były odciski palców tej kobiety, ale wiem o tym tylko ja... No i mój kolega z Warszawy.

Tomek poczuł, że się gubi.

– Dlaczego pani to zataja?

– A, są różne względy. Temu zbirowi ktoś skręcił kark. Nasz lekarz upiera się, że zostało to zrobione w sposób... hmm... dość specyficzny. Nie ma żadnych śladów, odcisków, siniaków. Ktoś po prostu zaszedł go od tyłu i... trach.

– Podejrzewacie, że zrobiła to ta kobieta? – Był wyraźnie rozbawiony.

– Tak.

– Muszę go zobaczyć.

– To chodźmy.

Weszli do zimnego pomieszczenia, w którym na metalowym stole leżał denat. Kręcący się obok lekarz spojrzał na nich i kiwnął tylko głową, a następnie podszedł do trupa i zdjął z niego prześcieradło.

Tomek zobaczył wielkie, napakowane ciało młodego mężczyzny. Denat nie był może bardzo wysoki, ale za to bardzo duży. Głowę miał prawie łysą, na szyi i paru innych miejscach tatuaże. Klatka piersiowa nosiła ślad po sekcji: zaszytą niemi ranę po cięciu piłą. Tyle mu wystarczyło.

– Pani Żaneto – zaczął, gdy wyszli za drzwi. – To mało prawdopodobne, żeby jakaś kobieta coś takiego zrobiła. Porwane kobiety nie wpadają na takie pomysły, bo albo są związane, albo tak przestraszone, że nie trzeba ich nawet krępować. Włączają się im różne mechanizmy psychologiczne, jakieś syndromy sztokholmskie i inne cholery. Rzadko która myśli racjonalnie. Musiałyby mieć umiejętności, robić to już kiedyś, mieć jakąś nieludzką odporność psychiczną...

– Była w wojsku.
Zatkało go. W mózgu włączyła mu się lampka przy dawno nieużywanej szufladce.

– Yyy... W jakim wojsku?
– Nie wiem dokładnie. Podobno tutaj, w Poznaniu. Robiła szkółkę czy coś.
– Kiedy to było?
– Hmm... Chwila. – Sięgnęła do swojej teczki i zaczęła w niej szperać. Wyciągnęła w końcu jakąś kartkę i przebiegła po niej wzrokiem. – Tak, odeszła pięć i pół roku temu. Potem nie wiemy, co robiła.

Potarł dłonią brodę.
– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Wie pani, widziałem sporo kobiet wojskowych i w ogóle samo wojsko, ale tam nikt takich rzeczy nie uczy... Duża ta wasza porwana jest?
Znowu zaczęła szperać w teczce.
– Metr siedemdziesiąt, sześćdziesiąt pięć kilo wagi, może i więcej... Mąż dokładnie nie wiedział.

– Ma pani jej zdjęcie? Tak z ciekawości...
– Oczywiście. Proszę bardzo. – Podała mu fotografię uśmiechniętej Justyny. Tomek patrzył na nią dość długo, ale jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.
– Dziękuję. – Oddał Żanecie zdjęcie.
– Czyli uważa pan, że ona nie mogła tego zrobić?
– Nie, proszę pani. To wykluczone. – Uśmiechnął się szeroko.
Zaraz po wypisaniu odpowiednich papierów wyszedł na dwór i zapalił papierosa.

Policjanci z radiowozu, który go przywiózł, też palili. Podszedł do nich.

– Będę miał teraz coś do Warszawy?
– Nie chce pan nocować? Mamy miejsce...
– Nie, muszę wracać.
– Zaraz sprawdzimy.

Do przyjazdu pociągu miał pół godziny. Kiedy przyszedł na peron, od razu wyjął telefon i wybrał numer.

– Zajebię cię, Bambi – usłyszał z drugiej strony po kilku sygnałach. – Niech to będzie coś ważnego.
– I jest.
– No to dawaj.
– Wiem, że jesteś teraz w Warszawie. Przyjedź po mnie na Centralną o piątej, to się dowiesz.
– Co? O piątej rano? Człowieku, obracam właśnie superlaskę...
– Chyba ją sam sobie robisz. Wsiadaj w samochód i przyjeżdżaj. To pilne.
– No, dobra. – Konstanty Bąk zawsze był ciekawski. Wołali na niego Gogol, ale nikt nie pamiętał dlaczego.

– Bądź na parkingu z taksówkami. Pociąg może się spóźnić, nie chcę, żebyś kwitł na peronie niepotrzebnie.
– Jakiś ty troskliwy. Będę. A teraz spadaj.

Bambi obudził go stukaniem w szybę samochodu. Kostek był nieprzytomny i miał zapuchnięte oczy, ale nie wyglądał na złego.

– Cześć, brachu. Co u ciebie? Nie masz znowu gdzie mieszkać?
– Mam, mam. Ale jedźmy do ciebie na kawę. Musimy pogadać.
– Tyle to już wiem. Jakies szczegóły? – Włączył się do niewielkiego o tej porze dnia ruchu na Jerozolimskich.

- Krokodyl jest w Polsce?
- Phi. Chciałbyś. Siedzi w Afganie od stycznia. Nie wiem, kiedy wraca. Trzeba pytać Żółwia, on się ostatnio z nim kontaktował. A po co ci Krokodyl?
- Bo to jego bardzo zaciekawi.
- No to powiedz mi wreszcie, a nie pitoł, że Krokodyla zaciekawi! Mnie nie ciekawi, że jego ciekawi, tylko ciekawi mnie, co by go zaciekawiło, ośła głowo – zezłościł się jak dziecko.
- Porwali Malinę.
- Gogol zamrugał oczami i potrząsnął gwałtownie głową, chcąc się jak najszybciej obudzić.
- Czekał, czekał! Naszą Malinę!?
- Tę, tę – potwierdził.
- Kto ją porwał? Po co?
- Nie mam pojęcia, ale przynajmniej jeden z nich już nie żyje.
- Żartujesz? – Gogol parsknął śmiechem. – Skąd ty o tym wiesz?
- Widziałem trupa. Wezwali mnie do Poznania, żebym go obejrzał, bo się strasznie posrali, że mu ktoś łeb skręcił i że zrobił to jak komandos. I nie wiedzą, co o tym myśleć.
- I co im powiedziałaś?
- Że to niemożliwe, żeby zrobiła to ona.
- Dlaczego? Dałaby radę – roześmiał się głośno, jakby mu się coś nagle przypomniało.
- Właśnie ona by dała radę, sam wiesz, o czym mówię. Czemu tak powiedziałaś?
- Bo to nienormalny kraj. Jak się znajdzie, to ją oskarżą o zabójstwo i pójdzie siedzieć za tego gnoja.
- To fakt. – Kostek, już poważny, kiwał głową. – Ale jak się Krokodyl dowie... Ej, ty! Może wcześniej z Afgana wróci? Trzeba zadzwonić do Żółwia.
- No, trzeba – spochmurniał.
- Co jest?
- Trzeba jej poszukać. Te leszcze są w dupie.
- Jak chcesz jej szukać? Nic nie wiemy.
- Dlatego jedziemy do ciebie na kawę, musimy to omówić.

Rozdział 22

Brenner wkroczył do Biura jak rozpędzony czołg. Była siódma rano, więc większość osób wykazywała oznaki niewyspania, ale on wyglądał, jakby właśnie wrócił z urlopu na Karaibach.

– Wszyscy są? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do swojego biura, rzucił torbę na fotel i złapał jakąś teczkę z dokumentami leżącą na biurku. Tablica była wytarta do czysta. Zlikwidował ślady wczorajszej pracy w nocy przed wyjściem, ale wcześniej zrobił komórką zdjęcie. Wszedł z powrotem do open space’u i spojrzał na swoich ludzi. Kowalski spał oparty o rękę. Brenner kopnął w jego biurko.

– Obudzić się! Mamy dużo pracy.

Niektórzy zaczęli prostować się w swoich fotelach, inni czytali dokumenty. Reszta wyczekiwała na słowa szefa.

– Majcher, Odrowąż, Linde, Kowalski, Mzygłód, Iwanow – przeczytał nazwiska, a Kotowi serce na moment stanęło. To była lista, którą wczoraj sporządził. – Idziecie na front z armią.

– Jak to? – Majcher zdziwiony rozłożył ręce.

– Mamy problem z pewnymi działaniami związany z tym, że pani Meyer służyła w wojsku. – Usiadł bokiem na jednym z biurek. – Zgodnie z Ustawą o powszechnym obowiązku obrony naszej ojczyzny z roku 1967 jest ona wciąż żołnierzem. Co prawda żołnierzem rezerwy, ale jakieś matoly z żandarmerii, kiedy się dowiedziały o tej sprawie, postanowiły nam skutecznie utrudnić pracę. Już o szóstej dzwonił do mnie jakiś nawiedzony pułkownik i oświadczył, że muszą się przyjrzeć naszym działaniom.

– Ale jak? – Iwanow roześmiał się nerwowo. – Nie mogą się nam od tak wpierdalać do pracy. Nie będę nikomu przekazywał tego, co wiem.

– Dlatego wysyłam was jako oddział specjalny do rozmów z tymi ludźmi. Trzeba po pierwsze trzymać ich z daleka, a po drugie dowiedzieć się jak najwięcej. Sprawa służby Justyny jest czymś ciągle niewyjaśnionym. Zgodnie z tym, co mówiła jej siostra, coś się tam złego wydarzyło. Musimy wiedzieć absolutnie wszystko, a armia będzie się przed tym bardzo bronić. Aha, wiemy, że była w jakimś szpitalu w związku ze służbą. To też jest do wyjaśnienia. Podzielcie się robotą i opracujcie strategię. Linde, ty byłeś w tej instytucji, przejmij inicjatywę.

Marek Linde kiwnął głową. Panowie nie wyglądali na zbyt zadowolonych, ale nikt nie protestował. Brenner spojrzał na nich ze znakiem zapytania na czole.

– Co jest? Na co czekacie? Już! Zbierać graty i do sali narad.

Wstali i przeszli do salki konferencyjnej po drugiej stronie korytarza. Wtedy szef westchnął, jakby odczuł ulgę. Kiwnął porozumiewawczo do Tomka.

– No, dobrze. To na czym stoimy?

– Mam jechać do Poznania z Meyerem – odezwał się Słomkowski.

– Nie – odparł stanowczo. – Rozmawiałem z nim dziś rano. Chce najpierw pogadać z tą jej koleżanką z wojska. Już po nią ktoś pojechał. Przesłuchasz ją.

– Dobrze. Mam czekać na Łukasza?

– Poradzisz sobie sam, jeśli się nie zjawi. Zaczynaj bez niego. Coś jeszcze?

– Tak, szefie – odezwał się Lenart spod okna. Wstał od biurka i podszedł bliżej wszystkich. – Załatwiałem wczoraj wieczorem założenie podsłuchu dla ludzi z firmy Justyny w związku z tym, o czym wczoraj rozmawialiśmy. Dziś miałem dostać odpowiedź.

– Jasne. – Potwierdził skinieniem głowy. – I co?

– Okazało się, że policja zrobiła to wczoraj rano.

Podniósł się lekki szmer. Wszyscy spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

- Jak to? – Brenner odchylił się, jakby uderzył go podmuch wiatru.
- Mam informacje, że przed dziesiątą rano zaczęli podsłuchiwać Słotwińskiego, a godzinę później nasłuchujący miał cały zarząd i kilka osób z jej działu. Ponadto sprawdzili całą historię połączeń i maile firmowe.
- I nic o tym nie wiemy? – Kotowicz był zły.
- Nie. Tłumaczyli się, że zrobili to bez związku z tą sprawą. Podobno podsłuchują ich „gospodarczy”. Mieli sygnał o nieprawidłowościach w zawieraniu umów zagranicznych. Współpracują z ABW i nie widzą powodu, żeby udzielać nam jakichkolwiek informacji.

Brenner prychnął.

- Jakieś jaja. Dobra, bierzcie się do pracy, ja to załatwię z komendantem. Powinniśmy dostać wszystko, co ustalili. Kot, do mnie.

Tomek zamknął drzwi i usiadł na krześle.

- Wywaliłem ludzi z twojej listy poza główny nurt śledztwa. Zauważyłeś coś szczególnego?
- Kilku nie zareagowało.
- Tak. To mi nieco zawęża pole działania. Ale i tak trzeba być ostrożnym.
- A co szef myśli o tych podsłuchach?
- Robota Malickiego.
- Jak to?
- O dziewiątej Malicki z Meyerem byli w B.S.K., a godzinę później pół firmy już było na celowniku. Meyer mówił, że nawet nie rozmawiał ze Słotwińskim, a Malicki nic się od niego nie dowiedział. Pojechali na komendę i załatwili podsłuch.
- Ale to znaczy, że uprawiają partyzantkę. Działają na własną rękę.
- Spokojnie. Mnie to nawet cieszy.
- Dlaczego?
- Kot, obudź się.
- Chodzi o tych... – Wskazał kciukiem w stronę drzwi.
- Chodzi o nich i o to, że Meyer coś wie albo tylko podejrzewa, ale jest na tyle ostrożny, że nie mówi tego nawet mnie.
- Ale Malickiemu wierzy? – Poczul się urażony, że przyjaciel nie ufa także jemu.
- Nie bądź dzieckiem, Kotowicz. Co dziś robisz?
- Chciałbym być na przesłuchaniu tej Gośki Łukasik.
- Po co?
- Skończyłem z ochroniarzami i monitoringiem... Chciałbym dowiedzieć się czegoś o Justynie.
- Idź, ale staraj się trzymać z boku. I nie rób min, jak zobaczysz Malickiego.
- On też będzie? – Na twarzy Kota pojawił się lekki grymas.
- Będzie. Mówiłem, żebyś nie robił min, bo cię wysłę do innej sprawy.
- Dobra. – Wstał ze spuszczoną głową.
- Zamknij za sobą drzwi.

Rozdział 23

Łukasz z Michałem byli w Biurze jeszcze przed przyjazdem Małgosi. Poszli zapowiedzieć się Brennerowi i od razu przeszli do pokoju przesłuchań.

– Fajnie tu macie. – Malicki rozglądał się wokoło. – Myślałem, że wasza siedziba jest gdzie indziej.

– Bo jest. To miało być tymczasowe. Wsadzili tu dwie komórki „na chwilę”, a potem jeszcze nas i chyba tu zostaniemy.

– Ale dobre miejsce. Nowy budynek, nowe mebelki, świeże wykładziny.

– I zimno jak w psiarni. Ktoś zapomniał założyć klimatyzację. Siedzimy czasami w kurtkach, wytrzymać nie idzie.

– No dobra, panie Łukasz. – Malicki sięgnął po notatnik. – Gdzie nasza miła pani?

W tym momencie do pokoju wszedł Słomkowski, wprowadzając Małgorzatę Łukasik, a za nim dreptał Kot, który odruchowo podszedł do Łukasza i mocno się z nim uściskał. Nie zamienili ani słowa, a Tomek zajął miejsce pod jedną ze ścian.

Gosia była blada. Na twarzy miała ślady niedawnych łez. Była trochę starsza od Justyny, ale tak jak ona wyglądała na bardzo młodą kobietę. Miała farbowane na ciemny blond proste włosy i niebieskie oczy. Urodziła dwoje dzieci i od tego czasu jej figura nie była już dziewczęca, ale wcale nie straciła przez to swojego uroku. Przyjechała do Warszawy zaraz po ślubie Łukasza z Justyną i od razu zwróciła się do nich po pomoc. Znaleźli jej mieszkanie, pomogli z pracą, w której pierwszego dnia poznała mężczyznę swojego życia i z marszu za niego wyszła, rodząc jedno dziecko po drugim. Wiodła proste życie pani z kwaciarni i na pewno nie wyglądała na kogoś, kto był kiedyś w wojsku.

– Cześć, Łukasz – powiedziała cicho.

Kiwnął głową bez słowa.

– Proszę usiąść. – Marcin wskazał jej krzesło. – Chce pani wody?

– Poproszę.

– To ja pójdę. – Tomasz odkleił się od ściany i wyszedł.

– Pani Małgorzato – zaczął Słomkowski, gdy zajął swoje miejsce za stołem. – Nie chcemy, żeby czuła się pani przesłuchiwana. Nagrywamy tę rozmowę, ale proszę to traktować jako pomoc koleżance.

– Dobrze. Zrobię, co mogę.

– Zna już pani niektóre szczegóły tej sprawy, ale nas najbardziej interesuje to, co pani wie o służbie Justyny w wojsku. Bo tak się składa, że my nie wiemy nic. – Uśmiechnął się blado.

– Myślicie, że to ma związek?

– Nie wiemy. Chcemy wiedzieć, co pani o tym sądzi. Czy ktoś z wojska byłby zdolny do zrobienia czegoś takiego? – Malickiego nie interesowały długie podchody.

Spojrzała na niego, mrugając oczami.

– Wszystko, co powiem, musi zostać między nami – powiedziała nagle bardzo poważnie.

– Możecie to wykorzystać, ale nigdzie nie może pojawić się moje nazwisko.

Trzej mężczyźni wyprostowali się nagle. Do pokoju wpadł Tomasz ze szklanką i od razu zauważył lekką konsternację.

– Dobrze – odezwał się Łukasz. – Jak sobie życzysz. Odpowiedz teraz na pytanie.

– Uważam, że osobą, która miałaby jakiegokolwiek powody, by to zrobić, jest chorąży Jaskóła ze szkoły podoficerskiej.

Malicki ze Słomkowskim zaczęli notować, jakby ich ktoś ścigał.

– Dlaczego? – głos Łukasza był spokojny.
– Dlatego, że ewentualne zeznania Justyny na temat tego, co robił, mogłyby mu najbardziej zaszkodzić. Zaszkoziłyby im wszystkim, ale wtedy nikt by nie krył jego, tylko ratował własną dupę.
– Co robił chorąży Jaskóła?
– Znęcał się nad nią psychicznie i molestował ją.
Łukasz nic nie powiedział, ale mocno zacisnął dłoń.
– Wiem też o jednym przypadku znęcania fizycznego.
– Jakiego?
– Pod koniec naszego pobytu w szkole zamknął ją w pokoju w internacie.
– Jak to zamknął? – Marcin podniósł głowę.
– Weszła na chwilę po coś do pokoju i zostawiła klucz na zewnątrz. On przechodził obok i przekręcił klucz. Zabrał go, więc nie mogła wyjść prawie całe popołudnie, nie była na obiedzie. Dziewczyny coś próbowały zaradzić, ale podoficer dyżurny nie chciał wydać klucza zapasowego. Na drugi dzień bardzo ją przeproszał na apelu porannym, bo dowódca kursu zdenerwował się jego zachowaniem, ale zrobił to tak, że jeszcze bardziej ją upokorzył...

Gośka przerwała i potarła dłonią czoło. Łukasz miał wrażenie, że boli ją to tak, jakby sama to przeżyła.

– Kim dla Justyny był Jaskóła? – zapytał Malicki.
– Zastępcą dowódcy naszej kompanii szkolnej. Były dwie. Jedna dla zmechów, czyli nasza, i druga dla panców i rozpoznania. To był rok, kiedy było nas całkiem sporo.
– Kobiet też było dużo? – zaciekał się Słomkowski.
– Tak, ale nie w pancach. Na czołgi nikt nie chciał kobiet wpuszczać. Byłyśmy na zmechu i kilka w rozpoznaniu... W ogóle to Justyna najpierw była w rozpoznaniu.
– Naprawdę? – zdziwił się Marcin. – Tam trzeba mieć chyba jakieś specjalne predyspozycje.

Łukasz z Michałem spojrzeli po sobie wymownie. Kot od razu to zauważył.
– Tak, a ona ich nie miała. Trafiała tam przez pomyłkę. Ci idioci zrobili listę alfabetyczną. Odcieśli od góry grupę i wysłali na rozpoznanie, a resztę na zmech. Było straszne zamieszanie, ludzie pisali pisma z protestami, bo niektórzy chcieli do rozpoznania, a nie do „mięsa armatniego”... Początkowo nie dało się nic zrobić. Justyna była na „D”, więc siedziała w tej grupie całą unitarkę i potem jeszcze trochę. To był jej pech, bo miała dowódcę, który myślał, że oni tam są celowo, i dał im straszny wycisk. My odpoczywaliśmy po zajęciach, a oni ciągle stali na placu i coś ćwiczyli, bo jemu było mało. Justyna była na to za słaba. Przy wcieleniu dostaliśmy szczepionki, pochorowała się od razu, miała gorączkę, łapa jej spuchła... Jak poszła do lekarza i dowódca kursu zobaczył ją z bandażem, to zaczął z niej szydzić przy wszystkich. Ten cały sierżant, ten od jej grupy, darł się, jak widział, że się ktoś na izbę chorych zapisał. W ogóle moim zdaniem on nie był normalny. Jakiś jego pomocnik doniósł na Justynę, że go raz nie posłuchała i postawił ją do raportu. Żołnierza przed przysięgą! Debil jeden! Po tygodniu nie dała rady, poszło jej kolano.

– Co się stało? – zapytał cicho Marcin.
– Podczas musztry ćwiczyli przysiady. Kucnęła raz i się nie podniosła. Zerwała przyczep mięśnia. Tu, przy kolanie.

Malicki skrzywił się i syknął.
– Wcześniej ją ta noga bolała, ale nie szła po zwolnienie, bo ten się darł... Zawieźli ją do szpitala i dali jakąś maść. Żadnych leków na ból. Wyła nocami, załatwiałam jej ketonal przez znajomego na izbie. W sumie jakoś by to wszystko poszło, bo tam kontuzje to prawie każdy miał,

tylko że na koniec unitarki było coś, co nazywali „selekcją”. Mieliśmy iść, a w zasadzie biec kilkadziesiąt kilometrów całą dobę w oporządzeniu, wykonywać zadania, nie pozwalali nam spać i w określonym czasie wrócić do szkoły. Ale Justyna nie poszła... Lekarz jej zabronił i miał rację. Więc po tym teście wezwał ją dowódca kompanii i zaczął zmuszać do odejścia. Mówiła, że podsunął jej kwit i kazał podpisać coś, czego nie napisała, żeby nie musieli ponosić konsekwencji. Nie zgodziła się na to, chciała być żołnierzem i już.

Małgosia napiła się wody. Widzieli, że drży jej ręka, ale kontynuowała.

– Tuż przed przysięgą rozmawialiśmy nocami. I ona mi wtedy powiedziała, że przeczuwa kłopoty. Ja ją uspokajałam: „Justyś, będzie dobrze, jutro przysięga, jedziemy na PJ. Ułoży się”. Ale ona uważała, że to, że nie była na selekcji, będzie problemem, bo ludzie będą ją z tego powodu niszczyć.

– Dlaczego mieliby to robić? – zdziwił się Marcin.

– Nie był pan w wojsku, prawda?

– Byłem – odpowiedział niespodziewanie dla wszystkich.

– Na zmechu?

– Nie... Byłem na przeszkoleniu.

Pokręciła głową z ironicznym uśmiechem.

– Justyna ma intuicję do ludzi i nastrojów, jakie wokół niej panują. Umiała przewidzieć, że wszyscy będą czuć się skrzywdzeni tym, że dostali na selekcji w dupę, a ona siedziała sobie na ciepłej kompanii.

– A tak było? – zapytał Łukasz.

– Nie. Siedziała ponad trzydzieści godzin bez przerwy przy meblu, to znaczy na służbie.

Wypuszczała swoją kompanię na bieg i przyjmowała z powrotem. Potem organizowała czyszczenie broni i sprawy porządkowe. Ale kogo to obchodziło? Poza tym to nie było największym problemem.

Wszyscy milczeli w oczekiwaniu na dalszy ciąg.

– Ktoś podczas unitarki rozpuścił plotkę, że Justyna jest „plecakiem” i dostała się do szkoły po znajomości. Ludzie opowiadali niestworzone historie o jej ojcu, który pracuje w Sztapie, i wujku pułkowniku.

– Justyna nie ma ojca od bardzo dawna – powiedział cicho Łukasz.

– Ale nikt nie wierzył. NIKT! Im bardziej zaprzeczała, tym bardziej jej nie wierzyli. Była osaczona tym, co się wokół niej zaczęło dziać. Szemrano, że trzeba ją wyrzucić, skoro nie zaliczyła selekcji, a potem, że pewnie to przez te znajomości... Wszystkim się to wydało logiczne.

– A kto i po co rozpuścił te plotki? – dociekał Malicki.

Gośka westchnęła ciężko i niepewnie zerknęła na Łukasza.

– Chodzi w dużej mierze o to, że Justyna podobała się facetom... Ale nie tylko kolegom z kursu. Tym naszym dowódcom kompletnie odjechało, nie tylko na jej punkcie. W ogóle mieli jakiś problem z laskami w mundurach, ale laski też były nie lepsze. Jeszcze na szkoleniu podstawowym zaczęły się romanse, które ciągnęły się do samego mianowania. Ale Justyna była szczególna...

– Z jakiego powodu? – Malicki starał się mieć bardzo profesjonalną minę, ale zaczął gotować się z ciekawości.

– Bo nikomu nie dała dupy. Nikogo nie chciała, choć nie było tajemnicą, że jeden z sierżantów bardzo jej się podoba. Ona zawsze miała tę swoją romantyczną wizję związku. Marzyła o wielkiej miłości, o wierności, przywiązaniu... A oni tylko chcieli się dupczyć, nie więcej. I ten sierżant też zerkał mocno w jej stronę, ale jak się dowiedziała, że jest żonaty,

odpuściła z miejsca jakiegokolwiek marzenia. Dupczył więc namiętnie jej dwie koleżanki.

– I myślisz, że to on rozsiał te plotki? – odezwał się niespodziewanie Kot.

– Myślę, że wszyscy.

– Ale skoro dupczyli już kogoś innego, to po co im było się mścić na Justynie? Mieli, co chcieli.

– Tomek, albo jesteś inny, albo nie wiem, co z tobą nie tak. – Obróciła się w jego stronę z krzywym uśmiechem.

Łukasz ukrył swój uśmiech. Pomyślał o małżeństwie Tomasza i jego miłości przez lata do kobiety-potwora i dobrze wiedział, że on naprawdę może być inny.

– Nic ze mną nie jest nie tak. – Podniósł ręce. – Po prostu nie widzę w tym logiki. Może Justynie naprawdę ktoś pomagał i miała „plecy”... Nie wiedzieliśmy, że była żołnierzem, więc i tego możemy nie wiedzieć.

– Jakie „plecy”, Kot? Nie wiesz, co mówisz. – Kręciła głową, nie patrząc na niego. – Była tak biedna, że jak przyjechała na egzaminy wstępne, to stać ją było tylko na zapłacenie za nocleg na kompanii i jeden posiłek. Nie miała przy sobie złotówki. Zresztą, podobno te pieniądze też miała pożyczone. Poszła na egzamin z WF-u z pustym żołądkiem. Spałyśmy razem w jednej izbie żołnierskiej. Mówię, że idziemy jeść, a ona, że nie idzie, bo kupiła tylko ten jeden posiłek. Widziałam, że nie ma swojego jedzenia, więc oddałam jej pół mojego obiadu. Ledwo na nogach stała. Nie miała na bilet powrotny, pożyczyła od takiej Ani i powiedziała, że z pierwszego żołdu odda. A ty mi z „plecami” wyjeżdżasz, bo jesteś obrażony, że nic nie wiedziałeś. Puknij się w głowę.

– No dobrze, pani Małgorzato – wtrącił się Malicki. – Wróćmy do tych plotek.

– Plotki rozsiali dowódcy, tak jak mówiłam. Nie wiem, od kogo wyszło, ale jak ruszyło, to było nie do zatrzymania. Oni byli wściekli, nie tylko dlatego, że z nimi do łóżka nie chodziła. Justyna jest specyficzna... Jest dumna i nie potrafiła nawet, jak niektóre kretyнки, biegać za nimi i się podlizywać. Robi te swoje miny, a facet myśli, że ma go za gówna...

– A ma? – zapytał Łukasz.

– Wiesz co, ma. Zawsze ich miała za gówna. No, może nie od początku, ale jak się połapała, jacy oni są, to zaczęła trzymać dystans. To ich bolało, jakby ich ktoś za jaja ścisnął. To są w większości prymitywy i myślą prymitywnie. Chcieli jej dosrać, więc sobie znaleźli sposób. To, że nie przeszła selekcji, tylko im w tym pomogło.

– No, dobrze – westchnął Słomkowski, zerkając do notatek. – Wróćmy może jednak do wspomnianej osoby chorążego Jaskóły. Jaką on w tym wszystkim odegrał rolę?

– Cóż, powiedzmy, że miał najlepszą z możliwych sytuację. Justynę w końcu przenieśli do nas na zmech, ale przenieśli z tymi plotkami i odpowiednią opinią, która krążyła wśród kandydatów i była podsycana przez sierżantów. Pierwszego dnia na tej kompanii spotkała go na schodach. Szła zapłakana, a on ją zatrzymał. Mówiła mi potem, że w tym momencie spotkała diabła. Od pierwszej sekundy wiedziała, że to nie będzie nic dobrego. Zapytał, dlaczego płacze, a ona że rozmawiała z dowódcą i on chce ją zmusić do odejścia. On się wtedy tak szatańsko uśmiechnął i powiedział: „O, to byłoby bardzo źle, gdyby taka ładna pani szeregowka musiała odchodzić”. Potem jego zachowanie było zupełnie inne. Od razu ją zaatakował, zaczął upokarzać słownie za każdym razem, kiedy ją spotykał. Poniżał przy innych, robił docinki do jej wyglądu, ubioru, sugerował, że jest gruba... Tak sobie po tym czasie myślę, że on po prostu poleciał do nich na zwiady, do tych z tamtej kompanii, i dowiedział się różnych rzeczy. Próbował na przykład wlepić służby za karę, tak zwanego ping-ponga, czyli jedną po drugiej, ale dowódca kompanii czasami go hamował.

Zamilkła. Przygryzła wargę i nie patrzyła na nich. Wyglądało na to, że nad czymś

intensywnie myśli.

– Najgorsze... najgorsze było to, że zepsuli jej opinię wśród nas... Wśród kandydatów. – Oparła łokcie na stole i schowała twarz w dłoniach. – Nawet ja zaczęłam mieć wątpliwości...

– To znaczy? – Malicki spojrzał na nią przenikliwie.

– Zaczęłam się od niej odsuwać, uważać, że jest kimś gorszym... Że ściemnia ze służbami, wymiguje się od zajęć. Wszyscy tak robiliśmy, bo każdy miał coś na sumieniu. Każdy czasami leciał do lekarza po lewe zwolnienie ze służby albo z WF-u. Nie zawsze chciało się iść na zaprawę... Wokół pełno było „plecaków”, krążyły legendy o bratanicy generała, że o mało się na egzaminie nie utopiła w basenie, a i tak ją przyjęli. Niektórzy nie potrafili słowa po angielsku powiedzieć, ale nikt się ich nie czepiał. Taka Justyna była nam potrzebna...

– Kozioł ofiarny – stwierdził Łukasz spokojnie.

Spojrzała na niego lekko przestraszona.

– Tak... Łukasz, wybacz, ale to było naprawdę sugestywne... Gdyby ktoś chciał za nią stanąć murem, sam skazałby się na ostracyzm.

Łukasz odwrócił wzrok.

– Dopiero później, na jednostce, zdałam sobie sprawę, że ja też mogę zostać takim kozłem i że nie warto było poświęcać przyjaciółki dla uznania reszty, bo ono jest zbyt kruche. Ci sami ludzie, z tej samej grupy z Poznania, zrobili ze mnie wariatkę. Jeden był alkoholikiem, drugi złodziejem. Znowu potrzebowali kogoś, za kim ukryją swoje machloje. Niektórzy to jakoś znoszą, ja nie wytrzymałam trzech miesięcy. – Spuściła głowę.

– Dlatego odeszłaś?

– Tak. Justyna tak miała całą szkołę. Do samego końca... Do mianowania, do którego nie poszła.

– Jak to nie poszła? – Malicki potrząsnął głową.

– Wywalili ją w dniu mianowania.

– Za co?

– Za niezdany WF. Na jednej z konkurencji zabrakło jej dwie dziesiąte sekundy.

– Ile!? – Malicki wybałuszył oczy. – Chyba dwie sekundy?

– Nie, tyle, ile mówię... – Spojrzała na Łukasza.

– Co?

– Ta sprawa była dość dziwna. Podchodziła do egzaminu kilka razy... zresztą, było jeszcze parę takich osób. Ale na tym ostatnim egzaminator, porucznik Kowalski, nie pokazał jej stopera. Po prostu powiedział, że oblała i wpisał to do protokołu.

– I nikt nie jest w stanie tego zweryfikować. – Łukasz pokiwał głową ze smutnym uśmiechem.

– Nikt. Od razu cała szkoła zaczęła huczeć, że „załatwił” jej to Jaskóła, ale... – Pokręciła głową. – Nie wydaje mi się.

– Dlaczego? – Tomek sam był bardzo ciekaw.

– Raczej sami wuefiści się zmówili. Byli wkurwieni, że muszą robić tę poprawkę.

W ogóle to byli źli za to, że parę osób wcale nie stawilo się na egzaminie, a i tak gównu im mogli zrobić. Musieli się na kimś odegrać... Na kimś, kogo dało się wypieprzyć. Ale kiedy ta grupa, co miała w plecy WF, już była na wylocie, któryś z chłopaków zadzwonił do Warszawy na skargę do Sztabu Generalnego, że takie są potrzeby Sił Zbrojnych, a tu się wywała wyszkolonych kandydatów przed samym mianowaniem. I podobno do komendanta zadzwonił sam przyboczny szefa Sztabu i kazał ich jeszcze raz egzaminować. Wuefiści to wojsko w wojsku, oni rządzą się swoimi prawami, trzeba z nimi dobrze żyć... Popatrzcie na normy na egzaminach i tych niektórych spaślaków na uroczystościach na placu Piłsudskiego. Ledwo z aut się wytaczają.

I niech mi ktoś powie, że się któryś na drążku podciąga – prychnęła. – Wystarczy, że jakiś wuefista wpisze co trzeba do papierów, i facet wylatuje.

– Ale wuefście też może stać się krzywdą – odparł Malicki.

– Jaka? Że z wojska go wywali? To pójdzie gdzie indziej, ma zawód. A większość z tych ludzi nie potrafi nic innego robić. Więc jak Justyna poprawiała egzamin, to ją nienawidzili już jak psa, chociaż nie personalnie, po prostu, dla zasady. W dupie mieli Sztab i generała. Bolała ich duma, to się liczyło. A jestem niemal pewna, że to nie Jaskóła za tym stał, bo on sam wpadł w panikę. Widziałam raz na służbie, że dzwonił gdzieś i wypytywał, czy można coś z tym zrobić.

– Czemu wpadł w panikę? – Słomkowski nie rozumiał.

Uśmiechnęła się, jakby z satysfakcją.

– Bo się bał. Nie pytajcie mnie dokładnie czego, ale miał pełne gacie ze strachu. Wiem, że Justyna coś na niego ma, i wiem, że nawet teraz może go tym zniszczyć.

Panowie poruszyli się nerwowo na swoich krzesłach.

– Czyli że to jakaś gruba sprawa? – dopytywał Marcin.

– Gruba. Justyna poskarżyła się pani pełnomocnik do spraw kobiet, ale to była suka, której zależało tylko na własnej dupie. Pamiętacie tę aferę z panią sierżant, co nagrała swojego dowódcę, jak ją molestował?

– Tę, co do mediów poszła?

– Tak. Ona też się poskarżyła. I wiecie, co usłyszała? „Nie pani pierwsza, nie pani ostatnia”.

– Ja pierdolę! – wyrwało się Malickiemu.

– Jaskóła wtedy strasznie się wściekł i zrobił coś, o czym ja nie wiem, ale to podobno było przegięcie. Wezwał go sam komendant i powiedział, że jak Justyna wniesie oskarżenie, to go wywali z roboty.

– Dlaczego go nie oskarżyła? – Łukasz zmarszczył czoło.

– Bo miała wizytę pana z żandarmerii po cywilnemu, który powiedział jej, cytując: „Niech pani tego nie robi, oni panią zniszczą”.

– Przedstawił się? – Łukasz pochylił się w jej stronę.

– Nie. Podał tylko imię. Wysłał go sam komendant, który pochwalił się jej tym w twarz... Sprawa obila się o Sztab i komendant był komendantem już tylko miesiąc. Szczęśliwie mieli wszyscy, od Poznania do Warszawy. Okazało się, że każdy się czegoś boi i ta historia może mu zaszkodzić. Poleciało kilka głów, ale Jaskóła wciąż się dobrze trzyma. Pogadajcie z nim. Nie sądzę, żeby mógł porwać Justynę, ale on miał powody. Może powie wam, kto miał większe.

Łukasz opuścił głowę na pierś i nic nie mówił. Słomkowski z Malickim kończyli notatki. Tomek zerknął na zegarek i chciał się dyskretnie oddalić, ale Gośka niespodziewanie znowu się odezwała.

– Przed wami jeszcze jedno zadanie i ja wam w tym nie pomogę.

– Jakie?

– Po szkole Justyna poszła do pracy jako starszy szeregowy do Stargardu Szczecińskiego. Była tam ponad rok. Dowiedźcie się lepiej, co tam się wydarzyło, bo kosztowało ją to wizytę na oddziale psychiatrycznym.

Łukasz zrobił wielkie oczy.

– Nie była na nim długo, ale wiem, że wtedy postanowiła odejść. Ona naprawdę kochała to popieprzone wojsko, więc to musiało być coś dużego.

Rozdział 24

Brenner przez swoją szklaną ścianę z daleka widział, że miny mają nietęgę. Weszli do niego bez słowa. Łukasz od razu usiadł ciężko na jednym z krzeseł.

– No i?

– Nie wiem dlaczego, ale odnoszę wrażenie, że ta miła pani myliła ciągle słowo „wojsko” z „policja” – odezwał się Malicki z ironią.

– Czego się dowiedzieliście?

– Ile jeszcze nie wiemy – odpowiedział Łukasz.

– Ale ktoś mógł mieć motyw? – Brenner zaczął się irytować.

– Mógł – wyrwał się Michał żywo. – Wbrew temu, co uważałem do tej pory, naprawdę ktoś mógł w przyływie strachu o swój bezcenny stołek coś jej zrobić.

– Żartuje pan? – Tego się Brenner nie spodziewał. Pomyślał z niepokojem, że wsadził w ten temat ludzi z kręgu jego podejrzeń.

– Nie. I ta koleżanka ma rację: Jaskółka to za mała rybka, żeby się o coś takiego pokusić, ale jakiś inny rekin na górze, na przykład przed dużym awansem, mógł spanikować. O, zbliża się Święto Niepodległości, idą nominacje... Musisz tam jechać, Łukasz. Ja będę węszył tutaj.

– Dobrze – zgodził się Brenner. – Przekażcie jej zeznania Lenartowi, żeby je zweryfikował. Malicki, niech pan go wesprze.

– Jasne.

– Aha! I dziękuję za te podsłuchy. Oszczędził nam pan wiele zachodu. – Uśmiechnął się niezbyt szczerze.

Malicki zerknął na Meyera, ale ten pokręcił głową, zdziwiony.

– Nie ma sprawy. – Podniósł się z równie udawanym uśmiechem. – Zawsze do usług. Idę szukać pana Lenarta.

W tym momencie do biura Brennera wpadł czerwony ze złości Mzygłód.

– Ale nas szef urządził!

– Co się...

– Z tymi ludźmi nie da się rozmawiać. Wszystko nam utrudniają. Chcieliśmy papiery Justyny z Poznania, nie ma szans. Chcieliśmy papiery ze Stargardu, nie ma szans. Linde rozmawia od godziny z jakimś kacapem ze Sztabu i próbuje coś załatwić. Myślę, że bez interwencji kogoś wyżej nic nie zrobimy. Kiedy już się wydawało, że pomogą, to za chwilę ktoś dzwoni i mówi, że nie mogą... O co im chodzi?

Malicki spojrział na Brennera z błyskiem w oku.

– Pani Małgosia miała rację: poleciało kilka głów, a te, co zostały, boją się.

Rozdział 25

– Ale mamy farta, co? – Gogol podskakiwał z radości na jednej nodze.

– Jak cholera – mruknął niby niezadowolony Bambi, ale też czuł, że to jakiś znak z Nieba, że akurat dziś Krokodyl ląduje w Warszawie. Nie zdążyli wypić kawy, bo Gogol wykręcił do Żółwia i dowiedzieli się, że o dziesiątej powinien być na Okęciu, na którym właśnie pojawili wśród innych oczekujących.

Wyglądali dość osobliwie: Bambi wysoki i barczysty, a Gogol niski, nieco krępy. Prywatnie temu drugiemu lepiej się wiodło – miał normalną rodzinę, która na co dzień mieszkała sobie spokojnie pod Radomiem, w domu kupionym za jakąś większą akcję, ale bywał też często w Warszawie przy okazji różnych spotkań „zawodowych”. Wynajmował małą kawalerkę, w której spotykał się z kolegami z dawnych i niedawnych czasów. Bambiemu nie udało się całkowicie ustatkować, miał jedynie od niedawna własne mieszkanie, co już było wielkim sukcesem. Poza przyjaźnią łączyły ich wspomnienia z minionych lat, kiedy robili rzeczy, o których mało kto wiedział. Jedynym człowiekiem zorientowanym absolutnie we wszystkim był właśnie Krokodyl, na którego czekali.

– Myślisz, że to przeczucie? – Bambi marszczył czoło.

– Jakie przeczucie? Że co? Wyczuł, że Malina ma kłopoty i on ciach, jest w powietrzu?

Nie, coś ty. Fart.

– Ale i tak dziwne.

– No, to byłoby takie... literackie.

– Co niby?

– Tak wyraża się ich ciągle napięcie seksualne, które nie może być nigdy zaspokojone. To jak z Piękną i Bestią. Albo nie... mentor i jego uczennica. Łączy ich wspólna fascynacja, chemia, namiętność.

– Myślisz, że oni... – Bambi zmrużył jedno oko.

– Chyba w marzeniach Krokodyla. – Gogol puknął się w czoło. – Prędeż by mu Malina łapę odgryzła. Sam widziałeś, co zrobiła temu z Poznania – zachichotał.

– Jest.

Krokodyl nie wyróżniał się specjalnie z tłumu. Był całkiem wysoki, ale obecnie strasznie wychudzony. Miał ciemne włosy i niebieskie oczy, które jako jedyne z jego wyglądu czasami zdradzały, co mężczyzna czuje naprawdę. Ubrany był po cywilnemu, jak przeciętny podróżny, a za sobą ciągnął małą walizkę na kółkach. Zgolił nawet swoją brodę i nie miał żadnej wymyślnej fryzury. Tylko liczne blizny na policzkach i dłoniach mogły sugerować, że nie jest wracającym z delegacji zwykłym obywatelem. Widać było, że jest niewyspany. Mrużył oczy i rozglądał się po hali. W pierwszej chwili ich nie zauważył.

– A wy co? – Zatrzymał się przed nimi. – Domów nie macie?

Ruszył dalej przed siebie, omijając ich łukiem.

– Ej, no, czekaj. – Gogol pobiegł za nim, ciesząc się do Bambiego jak dziecko. – Mamy do ciebie sprawę.

– Spadaj, krasnalu. Muszę się wyspać.

– To cię zawieziemy, jesteście moim samochodem.

Nie odzywał się, tylko kroczył zdecydowanie w stronę taksówek. Kiedy zatrzymał się przed przejściem i czekał, aż minie go autobus linii 175, Bambi podszedł do niego spokojnie i nachylił się do jego ucha.

– Ktoś porwał Malinę.

Krokodyl odwrócił głowę w jego stronę i otworzył usta. Za chwilę je zamknął i wyglądało na to, że chce iść dalej.

– Gdzie masz to auto? – Potarł dłonią czoło.

Gogol podniósł kciuki w górę i wskazał za jego plecami.

– Na parkingu. Daj walizeczkę, zaprowadzę.

Krokodyl był głodny, więc pojechali na śniadanie do eleganckiej knajpy przy Krakowskim Przedmieściu. Powiedział, że rzyga tym, co jadł przez ostatni miesiąc.

– Powinienem teraz świecić jak elektrownia przez tę chemię. Trzy tygodnie siedzieliśmy w górach. – Schował twarz w dłoniach i ciężko westchnął. – Dobra, opowiadajcie, o co chodzi.

Bambi był najlepiej zorientowany, więc wyłożył sprawę ze szczegółami.

– Musisz jechać do tego Poznania – przerwał mu w pewnym momencie Krokodyl.

– Po co?

– Przespać się z tą Żanetą i wyciągnąć wszystko, co ma.

– Przespać się? Może ona nie chce...

– Po tym, co tu mówisz, chciała cię przelecieć już w tej kostnicy. Tak będzie najłatwiej, żeby to załatwić. W ogóle powinieneś sam na to wpaść...

– Może lepiej powęszyć przy CBS? – odezwał się Gogol. – Ślubny Maliny tam pracuje.

Twaz Krokodyla stężała. Gogol przewrócił oczami, a Bambi gestem dłoni kazał mu siedzieć cicho.

– Dobrze – powiedział wolno Krokodyl – ale w tym czasie Bambi może pobaraszkować z panią komisarz. Nie musicie tam być we dwóch. Jeden może być tutaj.

– A ty? – Gogol zerknął znad filiżanki z kawą – Nie pomożesz nam?

– Nie pomogę, bo nie mam jak. Nie było mnie tu tak długo, że nikogo już nie znam, a jak znam, to oni mnie nie znają... Chyba że...

Popatrzyli na siebie wymownie. Krokodyl miał minę, jakby doznał olśnienia.

– Chyba że co? – Gogol lekko naciskał.

– Trzeba się zastanowić. Z tego, co mówisz, wynika, że Malina kropnęła tego osiłka.

Istnieje więc szansa, że dała nogę...

– I ciągle jej nie ma? – Bambi był sceptyczny.

– Zaczekaj. Skończę mówić i wtedy możesz się wypowiedzieć.

– Dobra, sorry. – Podniósł ręce w geście kapitulacji. – Mów.

– Nie ma jej, bo nie jest głupia. Jej stary to pies...

– CBS – wtrącił Gogol, ale szybko się zamknął, widząc jego minę.

– Nieważne! To znaczy, że są za biedni na porwanie dla okupu. Porwali ją pewnie ze względu na niego. Jakaś głupia gęś zaraz poleciałaby na pierwszy lepszy posterunek policji, ale Malina wie, co to różne służby, więc nie ufa nikomu. Mam przynajmniej taką nadzieję. I myślę, że będzie chciała na własną rękę wrócić do Warszawy. Tu jej musimy szukać.

– Skąd takie wnioski? – Gogol miał niepewną minę.

– Bo ją trochę znam – odpowiedział cicho.

– To gdzie jej chcesz szukać? – Bambi przymknął jedno oko, co było znakiem, że nie uważa tego pomysłu za zbyt poważny.

– Jeśli myśli, że porwali ją przez starego, będzie węszyć przy jego robocie. Tam się trzeba ustawić i zaczekać na nią.

– Ależ ty jesteś jej pewien, Krokodylku. – Gogol pokręcił głową, cmokając znacząco.

– Wiem, czego ją nauczyłem.

– A nie mówiłem? – Kostek wymierzył palec w Bambiego. – Jak w książkach.

– Nie wiem, o czym mówisz, gnomie, ale na pewno to jakieś bzdury – odpowiedział

spokojnie Krokodyl, wybierając łyżeczką resztki jajka ze skorupki.

– Nie, misiaczku. – Pokiwał palcem Gogol. – Nie obrazisz Kostusia.

– Dobra, to jaki mamy plan? – Tomek zaczął się lekko irytować.

– Ty jedziesz na seks – wskazał łyżeczką na Bambiego, a następnie skierował ją w stronę

Gogola – a ty zaczynasz obserwację starego Maliny.

– A ty, przepraszam bardzo, co masz zamiar robić? – Kostek się oburzył.

– Idę spać. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem łożko.

Rozdział 26

Otworzyła oczy i od razu wiedziała, że widzi na obydwu i to całkiem nieźle. W uchu też nie dzwoniło. Wyczuła dziwny zapach. Powąchała swoje ręce i doszła do wniosku, że to jakaś maść. Piekla ją nieco skóra na brzuchu i czuła ból w głowie, ale nie to było najgorsze.

– Jacek! – Zbiegała na dół na obolałych nogach, mało ich sobie nie łamiąc. – Jacek, pomocy!

Wpadł jak oparzony z kuchenki i spojrzał na nią z przerażeniem.

– Co się dzieje?

Trzymała się obiema rękami za głowę i drapała skórę.

– Nie wytrzymam, jak to swędzi. Zrób coś, błagam!

– Chodź tu. – Pociągnął ją do światła i odgarnął skołtunione włosy. – Rozdrapałaś do krwi. O, matko! Masz wszy!

– Co? Skąd?

– Nie wiem. Gdzie cię trzymali?

– W jakimś domu w lesie. Leżałam... leżałam na takim starym materacu. Boże, zrób coś. Pociągnął ją na dwór i posadził na skrzynkach po butelkach.

– Mam środek na wszy i na pchły też, ale nie będziemy się bawić z tymi włosami. Trzeba je obciąć.

– Rób, co trzeba, tylko mi pomóż.

Pobiegł po swoją maszynkę elektryczną i ogolił jej głowę. Odkrył przy tym zaschniętego strupa i rozciętą skórę.

– Mogłaś mieć wstrząs mózgu. Jesteś nierozsądna. – Kręcił głową, przykładając do rany gazę z wodą utlenioną. Potem zasłonił ją czystym opatrunkiem i zakleił plastrem. Resztę skóry natarł środkiem na wszy.

– Szczypie w oczy.

– Szczypie, szczypie. Trzeba będzie ściągnąć z góry koc i materac i też zrobić z nimi porządek.

– Gdzie są moje rzeczy?

– Spaliłem. I chyba dobrze zrobiłem... Wszystko, co w nich było, schowałem do pudełka po butach. Stoi na kredensie. No – spojrzał na nią i się uśmiechnął – wyglądasz jak G. I. Jane.

– To nie jest zabawne.

– Dlaczego? Mnie się podoba: kobieta walcząca, mundur, broń...

– Byłam w zmechu dwa lata.

Uśmiech zgasł mu w jednej chwili.

– O... To mnie zaskoczyłaś. No... to się nie dziwię, że potrafiłaś uciec.

– To nie dlatego. Wojsko by mnie nigdy tego nie nauczyło. Nie to wojsko. Chociaż przez płot mnie nauczyli skakać.

– Aha...

Patrzyli na siebie przez chwilę, jakby się pierwszy raz widzieli. Jacek roześmiał się.

– Czemu się śmiesz? To nie jest śmieszne. Porwali mnie... Ściągają mnie... –

Uśmiechnęła się w końcu sama. – Co? Odstają mi uszy?

– Trochę. Wyglądasz jak siedem nieszczęść.

– Dzięki.

– Ja lubię ludzi w tarapatach. Lubię pomagać. Chodź, zjemy śniadanie. Tylko zdejmij chociaż tę bluzę, też ją trzeba wyprać. Dam ci coś innego.

Kiedy jedli, Justynie ciągle coś nie dawało spokoju. Rozejrzała się po domku, spojrzała na Jacka, potem znowu po meblach i ścianach. W końcu zrozumiała, że czuje jakiś zapach, który coś jej przypomina. Nabrała powietrza przez nos i przez chwilę się zastanawiała. Szukała w pamięci, co jej przypomina, czy może raczej kogo... Zerknęła na bluzę polarową, którą jej dał. Była zupełnie czarna, nie miała żadnych naszywek ani znaczków firm odzieżowych. Popatrzyła na Jacka i krzyżyk na jego szyi.

– Ty draniu! – Wycelowwała w niego palec. – Jesteś księdzem!

Przestał przeżuwać i patrzył na nią ze zdumieniem.

– Skąd wiesz? Damian miał nikomu nie mówić... – mówił z pełnymi ustami.

– Ta czarna bluza... Tylko księża takie noszą. I ten zapach wody po goleniu... –

Powąchała znowu kołnierzyk. – Mój proboszcz takiego używał. Wy zawsze macie podobny gust w tym zakresie. Krzyżyk na szyi. Na kredensie u góry leży brewiarz... Co ty robisz w tym lesie? Skończył żuć i patrzył w swój talerzyk. Widać było, że odechciało mu się jeść.

– Uciekłem... – powiedział w końcu cicho.

– Od czego?

Wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że to jak zawiedziona miłość.

– Co? Zakochałeś się?

– Tak, zakochałem – wybuchnął niespodziewanie. – Zakochałem się w kapłaństwie, chciałem być księdzem i służyć ludziom. Ale nie mogłem, bo się okazało, że nie pasuję do tego... czegoś.

Justyna patrzyła na niego zdziwiona. W końcu uśmiechnęła się lekko, kiedy nie patrzył. Poczula się dziwnie, jakby była jego starszą siostrą. Był młodszy, to się czuło, więc coś w środku spowodowało, że włączył jej się mechanizm opiekuńczy, choć to on się nią opiekował.

– Ale jesteś księdzem po święceniach, tak? – zapytała łagodnie.

– Tak – powiedział szeptem. – Byłem na parafiach prawie dwa lata, ale nie dałem rady.

– Co się stało?

– Nie chcę o tym mówić.

– A czym się teraz zajmujesz?

– Uczę religii i historii w szkole we wsi.

– I proboszcz nie ma nic przeciwko temu?

– Nie ma. – Machnął ręką. – To staruszek, ma w nosie, kto uczy, byle sam nie musiał tego robić. Powiedział, że jak dla niego, mogę mieć tuzin kochanek, byleby dzieci dobrze do Komunii przygotowywać. Kryje mnie przed biskupem. Wójt zresztą też, po kryjomu mi pensję płaci.

– Hmm... i chcesz tak żyć już zawsze?

– Nie... Nie wiem... Chciałem się gdzieś schować na miesiąc, dwa... Potem powiedziałem sobie, że do końca zimy, ale jestem tu już półtora roku i dalej nie wiem, co mam ze sobą zrobić.

Chciała mu coś powiedzieć, ale uznała, że wymądrzanie się przyniesie zły efekt. Za mało jej ufał, żeby nie poczuć się urażonym krytyką. Wyglądało na to, że jest w trudniejszym położeniu niż ona, bo nie miał przed sobą żadnej realnej perspektywy.

Podniósł się z krzesła i zaczął zbierać naczynia.

– Zrobię ci jeszcze herbaty. Chodź na dwór, muszę skończyć rąbać drewno.

Siedziała znowu na skrzynkach zawinięta w koc i popijała herbatę. Obserwowanie pracy Jacka działało na nią kojąco.

– Nie boimy się, że porywacze tu przyjadą? – zapytała w końcu, rozglądając się wokoło.

– Nie, nie boimy – stęknął przy kolejnym ciosie w kawał drewna. – Mój przyjaciel

pilnował nas całą noc ze swoją strzelbą...

– Jaki przyjaciel? – Była bardziej zaciekawiona niż zaniepokojona.

– Ziutek. Przyjedzie do nas za jakiś czas.

– I co? Zastrzelił ich i wrzucił do jeziora?

– Nie – roześmiał się. – Chociaż miał ochotę. Widział ich wczoraj. – Przestał rąbać i oparł się na siekierze. – Byli u niego w gospodarstwie, pytali o ciebie. Myślę, że Bóg nad tobą czuwa, bo minęliście się po drodze.

Westchnęła. Nie miała nawet sił, żeby czuć lęk.

– I co z nimi?

– Dzwonił do mnie dziś rano. Kiedy wrócił do domu, był u niego sołtys. Mówił, że policja też cię szukała.

Wyprostowała się gwałtownie, o mało nie spadając ze skrzynek.

– Co? Powiedział im o mnie?

– Nie, spokojnie. – Znowu postawił kloc na pieńku i uderzył mocno. – Przychyla się do twojego zdania, że nie należy iść do żadnych władz. Jak dla mnie obydwójce jesteście dziwni, ale niech wam będzie, ja tu nie jestem od dyskusowania. No więc szuka cię policja, a konkretnie twojego ciała.

– Jak to?

– Tak, jest teoria, że cię zamordowano. Więc przekopują lasy, ku rozpaczy naszych biednych leśników, i wszędzie o ciebie pytają. Tutaj też byli, jak spałaś, ale pogadałiśmy sobie minutę i poszli. Podobno znaleźli twoje odciski przy jakimś denacie koło Śremu. Wiesz coś o tym?

Ścisnęła usta i spojrzała na jezioro.

– Jeśli koło Śremu, to nie.

Wyprostował się.

– Co to znaczy?

– Nic. – Wzruszyła ramionami i upiła łyk herbaty. – Po prostu nigdy na oczy nie widziałam żadnego Śremu.

– Co ty ukrywasz? Bardziej boisz się policji niż porywaczy... – Zmrużył oczy.

– Bo porywacza łatwiej wsadzić do więzienia niż funkcjonariusza, który jest przez niego przekupiony.

– Naciągane, ale kupuję. – Wrócił do pracy. – To opowiedz mi coś o tym twoim mężu z CBS. To jakiś twardy gość?

Uśmiechnęła się.

– Nie wiem, czy twardy, ale zakochany w swojej pracy, jak ty w tym twoim kapłaństwie.

– Złe porównanie. Jego miłość jest spełniona. Poza tym ma ciebie.

– No tak... W zasadzie wygląda na twardego. Jest wysoki, bardzo wysoki. I jest ciemnym blondynem, co jest dziwne, bo nigdy nie gustowałam w blondynach. Nosi ładnie przystryżoną brodę, trochę podobną do twojego zarostu. Uwielbia sport. Gdyby mógł, ciągle by biegał, pływał albo jeździł na rolkach. Chodzimy czasami na Pola Mokotowskie. Ja jadę na rowerze, a on szaleje jak nastolatek na swoich rolkach. Umie być szczęśliwy.

– A to trzeba umieć?

– Oczywiście. To jak z każdą inną umiejętnością. Nie spotkałeś nigdy ludzi, którzy wszystko mają i nie są zadowoleni?

– Oj, wielu – przytaknął.

– No właśnie. Żyjemy skromnie, nie wydajemy dużo na siebie, bo nie ma takiej potrzeby. Łukasz często powtarza, że wszystko już ma. Jeździmy ciągle tym samym autem, nie robimy

z mieszkania wystawnego apartamentu. Kiedyś myślałam, że spotkanie kogoś takiego jest niemożliwe. Nie muszę się przy nim spinać, żeby dobrze wyglądać, żeby zawsze mieć dobry humor... A najciekawsze jest to, że wcale nie miał wielkiego powodzenia u kobiet, jakiś taki mało widoczny zawsze był.

– To dla ciebie chyba dobrze?

– Tak – roześmiała się. – Dla mnie jest księciem z bajki, ale nie widziałam w nim tego od razu.

– Dlaczego?

– Bo zawsze biegłam za mrzonką, za czymś nierealnym...

– To co się zmieniło? – Spojrzał na nią, jakby ta odpowiedź była dla niego szczególnie ważna.

– W zasadzie... to nie wiem. Po prostu zastanowiłam się nad swoim życiem i odpowiedziałam na parę pytań. Kiedy zaczął się do mnie zalecać, chciałam uciekać albo go jakoś odstraszyć. Ale potem zdałam sobie sprawę, że mam poważny problem i to ja muszę być normalna.

Jacek pokiwał głową na znak, że doskonale rozumie. Justyna miała jednak co do tego pewne wątpliwości.

– To teraz ty mi opowiedz o tej twojej miłości.

– Nie ma o czym.

– Jest, na pewno. To musi być wielkie uczucie, skoro tu siedzisz.

– Nieprawda, zdradziłem.

– O, nie. – Uśmiechnęła się. – Wyglądasz raczej na kogoś, kto został zdradzony. Daleś całe swoje serce i nie dostałeś nic w zamian. Opowiedz. To rzadkie spotkać kogoś takiego w twoim fachu.

– To chyba nie jest fach – powiedział, nie przerywając pracy. – To jest jak twoja natura, coś, z czym się rodzisz... Przynajmniej tak mi się wydawało. Byłem w ostatniej klasie gimnazjum, uczyłem się do egzaminu i nagle mnie olśniło. To było jak objawienie. Wiedziałem, że chcę być księdzem, że jak nim nie zostanę, to będę nieszczęśliwy. Chodziłem jak w transie przez kilka dni, z nikim nie rozmawiałem, w nocy wymykałem się do kościoła i żyłem, jakbym był już w Niebie. Zacząłem się dowiadywać, czy można pójść do seminarium przed maturą, może do jakiegoś zakonu... Okazało się, że jest coś takiego jak niższe seminarium i że mogę iść tam na trzy lata, zrobić maturę i od razu wskoczyć do wyższego seminarium. Skontaktowałem się z takim w Legnicy, ale powiedziano mi, że muszę przyjechać na rozmowę z rodzicami. No i skończył się mój sen. Matka dostała szału, ojciec mnie wyśmiał. Płakałem kilka tygodni, o mało nie zawałęm egzaminu gimnazjalnego. Poszedłem do liceum tylko dlatego, że trzymała mnie nadzieja, że po maturze złożę papiery do seminarium, ale ponieważ miałem mało punktów i słabsze oceny, przyjęło mnie zwykłe LO, gdzie było więcej notowanych przez policję dzieciaków niż takich bez założonych kartotek. Olewałem szkołę, olewałem też kościół, bo czułem się na niego obrażony. Znalazłem sobie towarzystwo, z którym godzinami przesiadywałem na osiedlowej ławce. Piliśmy piwo i wydzieraliśmy się na ludzi.

– Gdzie to było? To znaczy, skąd pochodzisz?

– Z Poznania. Wychowałem się na osiedlu Czecha, to jest...

– Wiem, gdzie to jest. Znam trochę Poznań.

– Aha. No więc z tym towarzystwem robiło się różne dziwne rzeczy, na przykład próbowało marihuany, mieszało alkohole... Nauczyłem się włamywać do samochodów, potem bez klucza otwierać drzwi do innych miejsc. Byłem kilka razy notowany za jazdę „pożyczonym” autem. Ale też zacząłem ćwiczyć. Chodzili po osiedlu tacy mięśniacy, co ściągali nas z tych

ławek, pokazywali różne sztuczki, namawiali na odwiedzanie siłowni. Robili to za darmo, fundusze zbierali od darczyńców na różne sposoby. Byli moimi idolami. Zacząłem dzięki nim myśleć, że chcę robić to samo.

– To wtedy zrobiłeś sobie tatuaż?

– Tak. – Uśmiechnął się. – Krótco przed maturą. Wtedy też znowu zaczęło mnie ścisnąć z tęsknoty za Bogiem, wróciły myśli o kapłaństwie. Ale już nic nie powiedziałem rodzicom. Sam wszystko załatwiłem, zawiozłem papiery... No i się okazało, że mnie nie chcą.

– Dlaczego? Nie miałeś opinii od proboszcza, tak?

– Skąd wiesz?

– Jestem domyślna. No i co? W końcu cię wzięli.

– Tak, ale po wielu bojach. Czepiali się mojego tatuażu, powiedziałem im o narkotykach i o tym, że byłem notowany... Chciałem być uczciwy. Potem się okazało, że większość moich kolegów ukrywała prawie wszystko. Jeden zataił, że ma z dziewczyną dziecko. A, szkoda gadać. Wzięli mnie, bo ówczesny ojciec duchowny powiedział, że trzeba dać mi szansę. Ale od początku byłem pod lupą. Pilnowali mnie na każdym kroku. Co bym nie zrobił, było krytykowane. Z trudem przechodziłem przez kolejne egzaminy.

Wyprostował się, otarł pot z czoła i popatrzył na swoją siekierę.

– Wiesz co, zaczęło do mnie docierać, że to, co tam widziałem, nie ma nic wspólnego z tym, co czułem, gdy rozmawiałem z Bogiem. Coraz częściej miałem chwile, w których mieszało mi się w głowie i zadawałem sobie pytanie, czy to wołanie, które usłyszałem, było prawdziwe. Wątpiłem. Pod koniec trzeciego roku ojciec duchowny zorientował się, że coś świruję i zaproponował wakacje spędzone u ojców kamilianów. Miały mnie wzmocnić. Większość kolegów pukała się w czoło, nikt tam nie chciał iść, bo to robota przy chorych i bezdomnych. Ale ja się zgodziłem od razu. Wtedy poznałem Damiana, pojechaliśmy razem. Damian był delikatny, ale tak wewnętrznie mocny. Siedział zawsze z boku, ktoś czasami z niego szydził, w twarz mówili mu różne świństwa, a on nic nie odpowiadał. Mnie nikt nie zaczepiał, bo na pierwszym roku jednemu wybiłem parę zębów za budynkiem seminarium po zmroku. Potem do końca trzymaliśmy się z Damiankiem razem. Ja go chroniłem, on mnie podtrzymywał na duchu. Planowaliśmy, że będziemy pracować z trudną młodzieżą albo z bezdomnymi. Marzyły nam się sale gimnastyczne i świetlice środowiskowe. Mogliśmy tak całymi nocami gadać tylko o tym.

– Ale przełożeni zburzyli wam te plany?

– Tak. – Uderzył siekierą w pień. – Już po święceniach diakońskich, na praktykach, oblano nas kubłem zimnej wody. Poszliśmy do zupełnie innych parafii, daleko od siebie. On na jakąś wieś, ja zostałem w Poznaniu. Zobaczyłem rzeczywistość parafialną i byłem przerażony. Proboszcz siedzący ciągle przy kalkulatorze, skłóceni wierni, awanturujące się babcie... i rutyna. Poza tym było coś jeszcze... – Odwrócił głowę i spojrzał gdzieś w las.

– Kobiety?

Spojrzał na nią, jakby go ktoś czymś ukuł.

– Damian coś ci mówił?

– Jacek, nie powiedział mi nawet, że jesteś księdzem.

– No tak... – Ostrzem siekiery rysował coś na pieńku. – Na początku nie zorientowałem się, o co im chodzi. Przyłaziły do zakrystii, niby z jakimiś sprawami. Uśmiechały się, mówiły coś, czego nie bardzo rozumiałem. Niektóre nachylały się, jak pisałem w księdze z intencjami i szeptały mi do ucha... Po miesiącu chciałem uciekać. Jak powiedziałem o tym na spowiedzi, ksiądz zbeształ mnie i kazał unikać pokus. Jakich pokus? Jak żyję, nie podobała mi się żadna kobieta. Owszem, oglądałem się w liceum za ładnymi dziewczynami. Kiedyś się nawet

całowałem... ale dla mnie całym światem był Bóg.

Widziała w jego oczach rozpacz.

– I co było potem? – zapytała cicho.

– Potem były święcenia, wielka radość, że udało się to przejść i jestem wreszcie księdzem. Prosiłem na kilku rozmowach o możliwość pracy z trudną młodzieżą, o parafię, gdzie będę mógł realizować marzenie... W zamian dostałem się na jakąś dziurę zabita dechami, gdzie największą atrakcją była buda z piwem. Ale postanowiłem, że się nie poddam, zacisnę zęby i znajdę sposób, żeby dobrze służyć. Wydawało się, że od parafianek nic mi nie grozi, same bezzębne stare babcie na nabożeństwa przychodziły. Proboszcz był średnio miły, ale się nie wtrącał do niczego, w zasadzie olewał mnie ciągle... Tyle że miał gospodynię. Którejś nocy, zupełnie zniecałk, weszła mi goła do łóżka.

Justyna z trudem powstrzymała się przed wybuchnięciem śmiechem.

– To była jakaś kobieta po czterdziestce, która podobno od zawsze na plebanii pracowała. Wyrzuciłem ją z tego łóżka za drzwi. Na drugi dzień poleciała na skargę, że coś jej zrobiłem. Proboszcz się wściekł i załatwił mi przeniesienie. Okazało się... – roześmiał się nerwowo – okazało się, że domyślił się wszystkiego i sam z nią sypiał od lat. Był po prostu zazdrosny.

– Jak Józef i żona Putyfara – powiedziała w nagłym olśnieniu.

– Nie czułem się jak Józef w Egipcie, o nie! Poza tym to nie była jego żona. Boże! – Schował twarz w dłoniach. – To jakiś kanał. Na następnej parafii, znacznie większej, początkowo wszystko szło dobrze. Zająłem się ministrantami i dziećmi z gimnazjum, pojechaliśmy na kilka wycieczek, spotykaliśmy się w salce na plebanii, oglądaliśmy filmy. No, po prostu były chwile, gdy czułem, że będzie cudownie. Ale te baby znowu zaczęły za mną łązić. Najpierw się zmówiły, że mam prowadzić Różę Różańcową i poleciały z tym do proboszcza. Potem chciały jakieś spotkania organizować. Przychodziły do zakrystii, niektóre macały mnie po plecach, po rękach. – Otrząsnął się. – Kiedyś się zezłościłem. Miałem już dość, więc wyszarpnąłem rękę i powiedziałem, żeby się ode mnie odczepiła. Ta akurat była wyjątkowo nachalna... Zobaczyłem wtedy w jej oczach coś takiego...

– Diabła.

– Tak, żebyś wiedziała. Pierwszy raz widziałem u człowieka takie zło. Ściągnęła usta w ciup i mówi do mnie ze złością: „To niesprawiedliwe, że taki ładny mężczyzna się marnuje. Bóg by na coś takiego nie pozwolił”. Zrozumiałem, że te wariatki chciały mnie jakby... pojąć na własność, chciały, żebym do nich należał. Po tej akcji zaczęło się piekło. Znowu się zmawiały, tyle że przeciwko mnie. Rozpuszczały plotki, chodziły do proboszcza. On je odganiał, bo wiedział, że kłamią. To pojechały do biskupa. Oskarżyły mnie o molestowanie.

Justynie zachciało się płakać. Było go jej żal, serce wyrywało się, żeby mu jakoś pomóc. Spojrzała w górę na drzewa i myślała, jak bardzo los może być niesprawiedliwy.

– Biskup uwierzył?

– Nie wiem... Wezwano mnie do Poznania na rozmowę. Wyjaśniłem wszystko, ale on miał już opinię od poprzedniego proboszcza. Kazał mi się pilnować i trzymać ręce przy sobie. Powiedział, że jeśli się postaram, to nie będzie mnie karał... Jak wracałem z powrotem, poczułem, że mam dość, że nie dam rady. – Jacek miał w oczach łzy. – Wiedziałem, że tego nie uniosę. Więc uciekłem. Przyjechałem do Kościana, do Damianka. Ukrywał mnie trochę na plebanii. Dużo gadaliśmy. Sam się ledwo trzymał, ale nie oceniał mnie, nie mówił, co mam robić. Powiedział, że jak przyjdzie czas, to będę wiedział... Ale ten czas nie nadszedł.

– Jak tu trafiłeś?

– Damian dał mi namiar na Ziótkę, on mnie tu przywiózł i powiedział, że się mogę urządzać. Miał dobre układy z proboszczem, to załatwili mi tę szkołę. I tak sobie żyję...

– A co mówi ci Bóg, Jacku?
– Bóg? – Spojrzał na nią ze smutkiem. – Coś tam słyszę, ale za każdym razem wątpię. Dopadają mnie myśli, że raz mnie oszukał, więc pewnie teraz też chce mnie wyprowadzić w pole.

– Co słyszysz? Zanim zwątpisz...
– Że mam być księdzem. Po prostu, nic więcej. Jak o tym myślę, to czuję spokój, ale zaraz mija. Boję się.

Nic nie odpowiedziała. Wiedziała już, że zanim zdecyduje się mu coś powiedzieć, musi mocno to przemyśleć. Jeśli w ogóle się zdecyduje.

Usłyszeli nadjeżdżający samochód. Justyna spojrzała przerażona na Jacka.

– Spokojnie, to Ziutek. Poznaję po odgłosie.

– Dojedzie tu? Ten cały Zenek mówił, że się nie da.

– Da się. Nissanem navarą się da.

Siedzieli w miejscu, w którym nie było widać drogi, więc tylko słyszeli trzaśnięcie drzwiami i czyjeś stłumione kroki. Justyna ujrzała mężczyznę średniego wzrostu, chudego, z wyniszczoną twarzą. Był mocno opalony, co świadczyło, że dużo czasu spędza na powietrzu. Na nogach miał buty kowbojki i skórzane spodnie. Mimo lekkiego chłodu, ubrany był w koszulę z krótkim rękawem i skórzaną kamizelę z frędzlami. Na głowie miał kowbojski kapelusz, który lekko uniósł na jej widok.

– Matko Boska! – Jego uśmiech zamarł na ustach. – Coś ty jej zrobił? Jacek! Normalnie nie można zostawić się z żadną damą na chwilę.

– Ma wszy – rzucił jakby od niechcienia i podniósł kawałek drewna, który rozłupał siekierą.

– To chociaż jej czapkę daj. Zmarznie biedactwo. – Podeszedł do Justyny, wziął jej dłoń i ucałował z nabożną czcią. – Ziutek.

– Justyna.

– Nie dam jej czapki, bo ma wszy, jeśli nie słyszałeś, co mówiłem. Poza tym uciekła jakimś bandytom i była w zmechu, trochę chłodu jej nie zabije.

– W zmechu? – Uśmiech znowu zastygł na pomarszczonej twarzy. – I jesteś zdrowa na umyśle? Nie znam nikogo po zmechu, kto byłby całkiem normalny.

Roześmiała się głośno.

– To tak jak ja.

Też się roześmiał.

– Ziutek, powiedz mi, co z tymi policjantami? – zapytała z uśmiechem.

– Masz rację. – Jacek zamachnął się. – Nie jest normalna: pyta o policję zamiast martwić się bandytami.

– Przeciwnie, Jacuniu, to dowód na to, że jej do końca z mózgu betonu nie zrobili. Justynko kochana, policjanci szukają cię od samego rana, że się tak poetycko wyrażę. Ale cię nie znaleźli, to znaczy twoich zwłok nie znaleźli, choć bardzo się starają. My się jednak tym nie martwimy, bo jesteś tu z nami, cała i zdrowa... No, może prawie zdrowa. Jak siniaczki?

– Lepiej. Widzę już na drugie oko.

– Smarowałaś ją rano? – zwrócił się do Jacka.

– Nie, zapomniałem.

Ziutek przewrócił oczami.

– Ach, ten Jacek.

– Sama to mogę zrobić. Gdzie położyłeś maść?

– Leży na górze obok łóżka.

Kiedy poszła, Ziutek rozejrzał się wokół i mocno przeciągnął.

- Tych bandytów nie złapali. – Ziewnął. – Ale oni pewnie już wiedzą o akcji i siedzą schowani. Tak sobie jednak myślę, że nie powinniśmy się za bardzo z nią obnosić po okolicy.
- Nikt się nie obnosi.
- Chodzi o to, że nie wiadomo, kto tak naprawdę jej szuka. Słuchaj, Jacek, a ty nie powinieneś być w szkole?
- Nie. We wtorki nie mam lekcji, a poza tym wczoraj pożegnaliśmy dzieciaki. Wyjechały na zieloną szkołę. Można odetchnąć przez dwa tygodnie.
- Aha...
- Co „aha”? – Wyprostował się i spojrzał na Ziutka.
- Nie, nic. Tak sobie pomyślałem, że można by się do Warszawy wybrać...
- Po co? – Zmarszczył czoło.
- Odwieźć Justynkę. – Wskazał głową na domek.
- Nawet nie wiesz, czy ona chce tam jechać.
- Myślę, że o to jej właśnie chodzi.
- Myślę, że tobie o to chodzi. Odezwał się w tobie stary łążęga i nosi cię. Szukasz pretekstu, żeby gdzieś ruszyć w świat.

Ziutek uśmiechnął się pod nosem.

- Może i racja. Już rozmawiałem ze starym kumplem. Ma puste mieszkanie na Pradze, niedaleko Targowej...
- Nic mi to nie mówi, nie znam Warszawy. – Jacek zaczął zbierać porozrzucane kawałki drewna i układać równo pod ścianą domu. Ziutek zdjął kapelusz i ruszył mu na pomoc.
- Nie może sprzedać tego mieszkania, bo okolica szemrana... Więc moglibyśmy pojechać tam choćby zaraz i zatrzymać się u niego.
- Jedźmy po obiedzie. – Usłyszeli niespodziewanie głos za plecami. Poderwali się na równe nogi. Justyna stała oparta o ścianę i uśmiechała się ciepło. – Trzeba porządnie się najeść. No i oczyścić dom z moich wszy.

Rozdział 27

– No, dobrze, mój kochany Michałku – westchnęła Żaneta ciężko – zrobiłam to, o co mnie prosiłeś. Ogłosiłam poszukiwania ciała, a nie żywej Justyny. Nie wiem, po co miałam to zrobić, ale niech ci będzie. CBS mnie zlincuje, jak się dowiedzą, że jej szukamy bez powiadomienia ich o tym Łosiu i odciskach... Stary powiedział, że będzie mnie krył i bronił własnym ciałem.

Malicki uśmiechnął się do siebie na myśl, jak to krycie i bronienie będzie wyglądać, ale nic nie powiedział.

– Za to... – Usłyszał w jej głosie, że jest bardzo zadowolona. Zawiesiła go wyraźnie po to, by zwiększyć napięcie. – Za to mamy coś, co osładza mi wszystkie trudy i lęki.

– No to mów!

– Znaleźliśmy mercedesa!

Malicki miał ochotę wydać z siebie jakiś okrzyk, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Stał przed budynkiem Biura, a nieopodal był Łukasz, który rozmawiał z Kotem.

– Gdzie?

– W stawie koło Kościana. Ci porywacze albo byli debilami, albo spanikowali tak bardzo, że odebrało im rozum. Wepchnęli auto do wody, myśląc, że go utopia, a tu na całej głębokości nie ma więcej niż osiemdziesiąt centymetrów. Van ugrzązł i nasi ludzie właśnie się z nim męczą. Wsadzili tam jakieś worki z piaskiem albo cegły, bo nie idzie tego ruszyć.

Malicki wyraźnie słyszał w tle odgłosy pracy jakichś maszyn i pokrzykiwania ludzi.

– Jesteś tam, tak?

– Tak, technicy wstępnie go obejrżeli, ale dopiero w Poznaniu się nim zajmiemy. Aha, mówiłeś mężowi porwanej o opinii eksperta?

– Mówiłem...

– I co?

– Wiesz co, tak jak nie wierzył w to, że ona go zabiła, tak teraz bardzo tego chce.

– Wcale się nie dziwię. Ale wierz mi, koleś jest naprawdę wielki. Sama nie wiem, czy zdołałabym chwycić go za ten łeb. Musiała mieć nie tyle siłę, co wiedzieć, jak przekręcić. Wiadomo, że jak zginął, to spał, więc...

– Więc mogła wykorzystać okazję.

– Tak, ale opinia biegłego to opinia biegłego. Dopóki ktoś nie zechce jej podważyć, będzie obowiązująca. Oficjalnie zapisano, że zabity został przez silnego napastnika, przynajmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i coś tam, coś tam... Już nie pamiętam.

– No tak. A kiedy powiadomicie CBS?

– Właśnie ktoś w Poznaniu się do tego przymierza. Próbuje ściemnić coś z godzinami, żeby nie nabrali podejrzeń, ale i tak wywęszą od razu, że kłamiemy.

– Tak, Brenner już jest wściekły, bo załatwiłem tu podsłuchy bez jego wiedzy.

– Przeżyje to jakoś, byle się dziewczyna znalazła.

– Jak jej szukacie?

– Normalnie, jak trupa. Przy okazji po cichu rozpytują ludzi po okolicy. Niemożliwe, żeby nikt nic nie widział.

– Jasne. Dzięki, Żanetko. Będziemy w kontakcie.

– Byle bliskim – roześmiała się.

Malicki wiedział, że temperatura rozmowy Łukasza z Kotem jest wysoka. Gotował się głównie Tomasz. Policjant nie podchodził więc tam na razie, tylko zaczął się rozglądać wokół.

Czujne oko dostrzegło w odległości jakichś stu metrów granatowego forda focusa, w którym siedział mężczyzna ledwo wystający zza kierownicy. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne, mimo że auto stało w cieniu pod drzewami. Policyjny nos zaswędziało Malickiego w tym momencie bardzo mocno. Już miał wyjmować telefon i robić zdjęcie, kiedy kierowca forda wysiadł z samochodu i zaczął iść w stronę Biura całkiem pewnym krokiem. Pod pachą trzymał jakąś teczkę, ale nie wyglądał na funkcjonariusza. Podszedł pod budynek i zaczął go oglądać, jakby oceniał jego walory albo coś jeszcze innego. Robił to dość jawnie, trudno było podejrzewać, że ma złe zamiary. Otworzył teczkę i zajrzał w papiery. Mimo wszystko Malicki podszedł do niego.

– Można w czymś pomóc?

Mężczyzna zadarł głowę, żeby spojrzeć mu w oczy i uśmiechnął się.

– Nie, dziękuję. Nadzór budowlany. Słyszałem, że jest jakieś niedopatrzenie. Wezwano mnie, żebym zrobił ekspertyzę i wycenę kosztów.

– Aha. – Michał od razu pomyślał o klimatyzacji, o której mówił mu Łukasz, i nie zadawał więcej pytań.

Mężczyzna wszedł do budynku. Malicki postanowił wsiąść do auta i zadzwonić, żeby dowiedzieć się czegoś w sprawie podsłuchów. Zauważył, jak Kot wymachuje energicznie rękami.

– Myślisz, że jesteś lepszy od nich? – mówił cały rozdygotany. Łukasz patrzył na niego spokojnie i w milczeniu. – Zapomniałeś, jak byliśmy na szkoleniu w Legionowie, jak się Budzyński przyczepił do tej blondynki? Poniewierał nią i miał z tego używanie. A my się śmialiśmy po cichu i mieliśmy dobrą zabawę. Popłakiwała po kątach, jak jej kazał karne rundy wokół placu robić, a my siedzieliśmy w oknach i był ubaw po pachy... Tak było. Zawsze było się z kogo śmiać, zawsze...

Łukasz dalej nic nie mówił. Przypomniała mu się rozmowa z Justyną o Słomkowskim, jak stanęła w jego obronie i zwróciła uwagę, że młody musi się źle czuć z ich docinkami. Ale też nic nie powiedział.

– No i co? Teraz nic nie mówisz. Jesteś wielki pokrzywdzony, bo ci żonę porwali, ale gdybyśmy tam byli, w tym wojsku, bylibyśmy tacy sami.

– Myślę o tym cały czas – odezwał się w końcu cicho. Był jak skała. – Nawet przez sekundę nie zapomniałem...

Kot zacisnął zęby i patrzył gdzieś w inną stronę, nie widząc nawet wchodzącego do budynku Gogola. Łukasz wyciągnął swoje długie ramiona do przodu, złapał Tomka za łokcie i lekko pociągnął w swoją stronę. Tomasz skrzywił twarz w grymasie, jakby miał się rozplakać i wcisnął czoło w tors Łukasza.

– Kocie, nigdy nie przestanę być twoim przyjacielem – zapewnił. – Nie panikuj.

– To dlaczego nic mi nie mówisz? – Tomkowi płynęły łzy. – Siedzisz z tym Malickim i o niczym mi nie mówisz. Ja nie zdradzam.

– Wiem. Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Ale bardzo przeżywasz, a dwóch przeżywających to za dużo. Wszystko ci powiem, na pewno.

Tomek odsunął się od niego i pokiwał głową, połykając łzy.

– Możesz coś dla mnie zrobić? – zapytał cicho Łukasz.

– Tak. Coś w sprawie Justynki?

– Tak... – Zerknął w stronę auta Malickiego i przygryzł wargę. – Sprawdź, kto przed jej porwaniem przeszukiwał u nas bazy ze zorganizowaną przestępczością.

W Tomasza wstąpiły nowe siły.

– Jasne. Za jaki okres?

– Do miesiąca, może nawet więcej. Chodzi o tych, co porywają, ale na zlecenie. Jacyś płatni bandyci...

– Zrobi się. I nic nikomu nie mówić?

– Nie. Jak będziesz miał listę, daj Brennerowi. Będziecie wiedzieć, co dalej.

– Dobra. I... przepraszam.

– Przeprosiny przyjęte. – Łukasz uśmiechnął się. – Także za słowa, które jeszcze powiesz. Tomek roześmiał się przez łzy i jeszcze raz mocno uściskał Łukasza, po czym szybko wszedł do budynku.

Łukasz wsiadł do auta Malickiego, który spojrzał na niego, jakby wiedział o wszystkim.

– Dogadaliście się?

– Tak. Kot sprawdzi, kto przeszukiwał bazy.

– Bardzo dobrze. Słuchaj, mam jedno pytanie. Na jaki temat Słotwiński zlecił twojej żonie pisanie tej analizy?

Łukasz zamrugał powiekami. Zupełnie zapomniał o tej części śledztwa. Oparł głowę o zagłówek.

– Hmm... Muszę sobie przypomnieć.

– Może mała podpowiedź. Diamenty?

– Tak! – Odwrócił gwałtownie twarz w jego stronę. – Masz coś?

– Jeśli to, co rodzi się w mojej głowie, jest prawdą, możemy olać wojsko. To znaczy, jedźcie do Poznania, róbcie swoje, jak gdyby nigdy nic. Nie mam nic pewnego, potrzebujemy więcej czasu. Ale jeśli mam rację... – Spojrzał wymownie na Łukasza.

– To?

– To macie u siebie kapusia.

Łukasz kiwnął lekko głową.

– Ta afera z wojskiem jest nam, wbrew pozorom, na rękę. Armia będzie się tak bronić, aż zaczniecie myśleć, że ludzie w mundurach naprawdę są w to umoczeni.

– A ty będziesz mieć zasłonę dymną dla swojego śledztwa. – Łukasz nabrał powietrza głęboko w płuca.

– Tak. Więc tym bardziej ich przyciśnij, niech się zaczną motać. Twój szef i tak pewnie ma swoje podejrzenia. W ogóle to fajny gość.

– Fajny – przytaknął Łukasz.

– No i chyba wam tę klimę załatwił. Kręcił się tu ktoś z nadzoru budowlanego. Postawić taki budynek bez wentylacji. – Pokręcił głową. – Dobra, jadę do siebie. Gadałem z Lenartem, koleś jest kumaty, poradzi sobie sam. Kiedy jedziecie?

– Wieczorem. Prześpimy się w hotelu i ruszymy od rana z przepytywaniem tego całego Jaskóły – westchnął ciężko.

– Jedźcie teraz – powiedział cicho Malicki.

– Dlaczego?

– Jak przyjedziecie na miejsce, skontaktuj się z Żanetą. Mają mercedesa.

– I mówisz mi to teraz?!

– Spokojnie. – Michał kątem oka zauważył zmierzającego w ich stronę Słomkowskiego.

– Nic nie przyspieszysz. Do waszego przyjazdu powinni mieć już coś więcej. Na razie wyciągają go z jakiegoś bajora. Ufasz mu?

– Nie bardzo. – Pokręcił głową. – Jest dziwny. To znaczy, zachowuje się inaczej niż na początku.

– To zastanów się, co mu powiedzieć. I ile...

– OK, dzięki. – Łukasz podał Malickiemu dłoń. – Będziemy w kontakcie.

Meyer przesiadł się do samochodu Marcina. W wejściu do budynku mignęła mu postać niskiego faceta z teczką pod pachą, który wesoło sobie gawędził z ochroniarzem.

– Pracujemy nad takimi sprawami, a kręci się tu nie wiadomo kto – powiedział, gdy zapinał pas.

– Odwiozę cię do domu. Pewnie chcesz odpocząć. Przyjadę później...

– Nie. Wezmę rzeczy i ruszamy od razu – przerwał mu.

– Coś się zmieniło? Po piętnastej nie będzie tam z kim rozmawiać.

– Muszę pogadać z tamtejszą policją. Później ci wyjaśnię.

– OK – zgodził się Słomkowski nieco zdziwiony.

Łukasz wpadł do mieszkania i zaczął szybko zbierać potrzebne rzeczy. Kręcił się po łazience w poszukiwaniu maszyny elektrycznej, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi. Marcin poszedł otworzyć.

– Łukasz – ton jego głosu był niewyraźny.

Meyer wypadł do przedpokoju, w którym stali jego rodzice.

– Co wy tu robicie? – Poczul gniew.

– Miałeś w ogóle zamiar mi powiedzieć? – zapytała matka z wyrzutem.

– Wracaj do domu. – Odwrócił się i poszedł do salonu. Wrzucił do torby kosmetyczkę i zapiął zamek.

– Jak mi się wreszcie przyznał, ten... – spojrzała na męża z odrazą – kazałam mu się od razu tutaj przywieźć. Czy możesz mi to wyjaśnić?

– Co ci mam wyjaśniać? – Odwrócił się gwałtownie w jej stronę i wbił w nią zimny wzrok. – Że porwano mi żonę? Że nie wiem, kto to zrobił, i ciągle nie ma sygnału od porywaczy? Może już nie żyć.

– Nie, mój drogi. – Pokręciła głową i roześmiała się cynicznie. – Ja wiem, co to za rodzaj kobiety. Znam takie... Ona cię zostawiła. Uciekła od ciebie i pewnie już wyczyściła konto.

Łukasz poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg. Wszystkie nadzieje, jakie zaczęły w nim kiełkować, umarły, a na głowę spadła czarna zasłona. Przez chwilę myślał, że zemdleje.

– Wyjdź stąd – wycedził przez zęby, nie patrząc na nią.

– Nigdzie się nie ruszam. Może wreszcie to do ciebie dotrze. – Wyrwała rękę Stefanowi, który delikatnie próbował wyciągnąć żonę z mieszkania. – Myślisz, że nie wiem, co tu się działo. Niby wielka rozpacz, bo dzieci nie ma. Tak, jasne. Brała pewnie tabletki albo aborcję sobie zrobiła. Ja już dawno się tego domyśliłam. Odczekała moment i związała z kasą...

Łukasz spojrzał na ojca.

– Wyprowadź tę kobietę z mojego mieszkania, bo jeśli ty tego nie zrobisz, zawołam policję i powiem, że jest zamieszana w porwanie.

– Co ty... – Wybałuszyła oczy. Mąż złapał ją mocniej za łokcie i zaczął siłą prowadzić do drzwi. – Jestem twoją matką.

– Nie jesteś. – Spojrzał na nią spokojnie. – Już nie. Wypierdalaj i nie chcę cię nigdy widzieć na oczy.

Z Zofii jakby zeszło powietrze. Na twarzy widać było rozpacz. Zaczęła bardziej ulegle iść za mężem, nie odrywając przerażonego wzroku od syna. Kiedy znaleźli się pod blokiem, w starym Meyerze też coś pękło. Wypuścił ją z rąk i zaczął energicznie iść w stronę auta. Podreptała za nim, ledwo nadążając.

– Stefan, nic nie powiesz? Słyszałeś? Słyszałeś, co on do mnie...

Odwrócił się nagle i spojrzał pełnymi łez oczami na jej twarz.

– Powiedział ci to, co powinien. Nie idź za mną. Wracam sam.

Poszedł sobie, a ona stała jak wryta na środku podwórka. Za chwilę pobiegła za nim, ale

w szpilkach nie mogła go dogonić. Z konsternacją stwierdziła, że on naprawdę wsiadł do auta zaparkowanego przed bramą i odjechał bez niej. Dreptała chwilę, ściskając torebkę w dłoni i myśląc, co ma ze sobą zrobić. Policjanci z obserwacji przyglądali się tej scenie z zaciekawieniem. Podobnie jak Marcin, stojący w oknie kuchni.

Łukasz wsadził głowę przez drzwi.

– Jedziemy.

Nie rozmawiali ze sobą. Wyszli przez furtkę, matki Łukasza już nie było. Minęli ją, kiedy skręcili w drugą ulicę. Szła z opuszczonymi ramionami, co chwilę się potykając. Płakała. Meyer, który prowadził, nawet nie spojrzał w jej stronę.

– Sprawdził ją – powiedział nagle Marcin, kiedy wyjeżdżali Poznańską z Warszawy.

– Kogo?

– Twoją żonę.

– Nie rozumiem.

– Była rozważana opcja samouproadzenia, ale upadła od razu. Wasze konta są nienaruszone.

Łukasz milczał. Słowa matki ukłuły go w najczulszy punkt. Lęk, że partner może cię zostawić, zawsze czai się gdzieś w podświadomości, ale ten rodzaj ucieczki byłby najgorszy. Takie myśli buszowały chwilami po jego mózgu, zwłaszcza że widział w swojej pracy podobne przypadki. Jedyne, co go ratowało przed ich trującym jadem, to ponowne analizowanie faktów i jasny wniosek z nich płynący: Justyna nie uciekła od niego.

Rozdział 28

– Masz coś ciekawego? – Krokodyl wsiadł niespodziewanie do auta Gogola i podał mu kubek z kawą.

– O, dzięki. – Uśmiechnął się całą gębą. – Myślałem, że będziesz spał co najmniej do bólu.

– Nie... Przeleciał jakiś helikopter i zerwałem się na równe nogi.

– He, he, dobre. Musisz przyjechać do mnie na wieś i trochę się dotlenić.

– Dotleniałem się w górach. Poza tym chyba wolę latające nad głową granaty szuszwolskie niż wrzaski twoich dzieci.

– Tak, moje dzieci to urodzeni terroryści. W dodatku trzecie w drodze.

– Boże! Daj żyć. No to co masz?

– Jest spory ruch w tym interesie. – Kiwnął głową w stronę budynku. Odjechał nieco dalej swoim autem, żeby nie rzucać się za bardzo w oczy. – W ogóle myślałem, że mają siedzibę gdzie indziej, ale część ekipy siedzi tutaj.

– Stary Maliny też?

– Tak. Widziałem go jakieś dwie godziny temu.

Krokodyl poruszył się niespokojnie i upił łyk kawy.

– Niektórym puszczają nerwy, jeden z nich tu się poryczał na schodach. Poza tym kręcą się psy ze stołecznej.

– Weź mi to mów po kolei. Co wiesz?

– Ponieważ to nowy budynek, pomyślałem, że zrobię stary numer i ściemnię z nadzorem budowlanym. Poszedłem tam na pewniaka, ktoś mnie zaczepił, ale się nie kapnął. Na ochronie siedzi jakiś imbecyl, który mi wypaplał wszystko, o co bym nie spytał. Od niego dowiedziałem się, który to Meyer...

– Kto?

– No, jej mąż. Wszedłem tam do niego i mówię, że ja do tej nedoróbki i muszę to dokładnie obejrzeć. A on mi od razu, że nareszcie, bo bez tej wentylacji to ni chu-chu. Byłem w domu.

– Czekaj, skąd wiedziałeś, że mąż nazywa się Meyer?

– Bambi mi powiedział. Dzwonił do pani Żanetki, to zapytał.

– Nie dziwiła się?

Gogol uśmiechnął się figlarnie.

– Tak, ale tylko podsycił jej chęć spotkania się z nim. Siedzi już tam pewnie cała napalona. A ja co? Tkwię, jak jakiś pospolity pies, i obserwuję budynek – westchnął z udawanym żalem.

– Dobra. To dawaj dalej.

– Tak jak mówiłem, mamy zaczepienie z klimatyzacją. Można coś wykombinować, gdybyśmy chcieli wejść. Ochroniarz pokazał mi, gdzie są jakie pomieszczenia. Mają dobry system alarmowy, wszędzie są kamery, dlatego doszedłem do wniosku, że w razie czego zostaje jedynie przebieranka. Malina była dobra w te klocki, nie?

– Tak, była – powiedział cicho Krokodyl, patrząc przed siebie.

– Założyło się jej jakąś burkę, dało dzieciaka dla zmyły i szła za Ahmedem na targ. Nikt się nie połapał, że to nie miejscowa. – Zamyślił się na to wspomnienie.

– Włączyłeś kamerę?

– Tak, nagrywa się cały czas. – Wskazał na małe pudełko przy szybie z przodu. – Póki co widzę, że kręcą się jak muchy, to wchodzą, to wychodzą. Trudno powiedzieć coś konkretnego

o zwyczajach tego plemienia na podstawie kilku godzin. Aha, trzymają to w tajemnicy. Ochroniarz nic nie wie o porwaniu, przynajmniej nie udało się w żaden sposób naprowadzić go na ten ślad. Na widok Meyera taki gaduła od razu by powiedział, że to ten mąż porwanej. Media też milczą jak zakłete.

– Zauważyłem – mruknął Krokodyl.

– A, zrobiło się małą prasóweczkę, co?

– Przejrzałem trochę sieć. Słuchaj, a co z ich mieszkaniem?

– Żółw tam jest.

– Co? – roześmiał się Krokodyl. – Żółw siedzi pod ich domem?

– Tak, ma chłopak dobre serce, zostawił swoją pannę i pojechał się rozejrzeć. Psy też siedzą. Obserwują cały czas osiedle. Żółwik poszedł pytać sąsiadów, sporo się dowiedział. Porwali ją w biały dzień spod klatki. Wywabili domofonem, jakiemuś koleśowi trzymali przy bańce pistolet, żeby zadzwonił. Facet zwariował, siedzi w Tworkach na urlopie.

– I media nic nie wiedzą?

– Pewnie wiedzą. Siedzą jak konie w blokach startowych i czekają na sygnał, aż ich ktoś puści.

– Nawet „Fakt” się nie wyrwał z taką sensacją? Przecież pewnie sąsiedzi najpierw zadzwonili do nich, dopiero potem na policję. – Kręcił głową. – Ja cię smolę! Nieźle. Jedźmy stąd. Zgarnijmy Żółwia. Trzeba się zastanowić.

– Mówiłeś, że Malina może się pojawić.

– Ale nie pojawi się raczej w biały dzień. Trzeba tu poczekać wieczorem.

– Aha, jej męża nie będzie. Słyszałem, jak ktoś mówił, że wyjechał.

– Dokąd?

– Do Poznania. – Uśmiechnął się szeroko.

Rozdział 29

Kiedy jechali leśną drogą w stronę głównej szosy, minęli policyjny radiowóz. Justyna siedziała z tyłu, gdzie szyby były przyciemniane, ale i tak mocno się skuliła za fotelem kierowcy. Policjanci mrugnęli światłami, żeby się zatrzymali.

– Cześć, Ziutek. – Jeden z funkcjonariuszy w czarnym mundurze podszedł do nissana. Ziutek otworzył okno. Justyna w tym momencie już niemal leżała za siedzeniami. – Nie widzieliście czegoś podejrzanego?

– Mareczku, gdybym widział, ty pierwszy byś wiedział. Dlatego mówię ci to, co mówiłem już sołtysowi. Widziałem wczoraj u siebie dwóch obwiesi, co pytali o młodą kobietę.

– Tak, tak, wiem. A pan... ksiądz... coś widział? – Wyciągnął mocniej szyję w stronę Jacka.

– Nie, ale u mnie chyba też byli. Po powrocie ze szkoły znalazłem otwarty dom i... wyczułem zapach jakichś perfum.

– Aha, no tak. To też już nam zgłaszano. Dobra, dzięki. Jedźcie gdzieś na dłużej?

– Jedziemy do kolegi do Warszawy. – Ziutek uśmiechnął się. Justyna miała ochotę walnąć go w pysk. – Jacuś ma wolne przez zieloną szkołę, to jedziemy się rozerwać.

– A kto ci będzie kur pilnował? – roześmiał się policjant.

– Sąsiadka na pewno nie odmówi. Ja zawsze karmię jej inwentarz, jak mnie prosi. Zajrzelibyście czasem do Jacusia, czy mu chałupy nie obrabiają.

– Właśnie tam jedziemy. Musimy przeszukać ten teren. Po południu przyjadą nurkowie, będą szukać w jeziorze.

– O, masz! – Ziutek uderzył dłońmi o kierownicę. – Takie atrakcje, a nas nie będzie.

– Jasne, jasne – rechotał policjant – bo w Warszawie będziecie się modlić. Już to widzę. Jedźcie, chłopaki, i napijcie się za mnie.

Klepnął w maskę samochodu i machnął do nich ręką.

– Szkoda, że mu nie podałeś od razu adresu – powiedziała z przekąsem, kiedy wyjechali na szosę.

– Spokojnie. Lepiej nie zapętląć się w kłamstwa, bo potem może być ciężko się wygrzebać.

– Masz jakiś plan na tę Warszawę? – Jacek obrócił się i spojrzał na nią.

– Chcę pojechać pod Biuro. Może uda się tam jakoś wejść.

– Justyna, dobrze się czujesz? Chcesz wejść do CBS?

– Tak, chcę tam wejść.

– A jak niby?

– Mam plan. Jeśli się uda, trzeba będzie się tam dobrze rozejrzeć. Może coś przyjdzie mi do głowy.

Wjechali na podwórko domu Ziutka.

– Ładne gospodarstwo. – Justyna była pod wrażeniem. Wychowana w biedzie umiała jednym spojrzeniem ocenić, ile warte jest to, co widzi. Piętrowy dom, czysty i ładnie pomalowany, duża stodoła, szopa na drewno, kurnik, jakiś warsztat i spory garaż. Podwórko było zamieciono, wszystko poukładane na swoich miejscach. Za domem zauważyła ogródek warzywny ogrodzony solidnym płotem. Kury też miały swój wybieg za siatką.

W domu panował lekki nieład, ale generalnie było schludnie i przytulnie. W kuchni stał piec kaflowy, ale poza tym wyposażona była bardzo nowocześnie. Justyna dostrzegła nawet zmywarkę.

– Ziutku, pięknie się tu urządziłeś. – Nie mogła tego nie powiedzieć.

Ziutek poprawił sobie spodnie, lekko zmieszany, ale widać było, że mile go polechtał ten komplement. Chrząknął cicho i wskazał jej krzesło za stołem.

– Pani spocznie. No, tak... ekhm... Staram się. Nie gustuję w stylu minimalistycznym jak nasz kolega Jacek. Wolę posiedzieć w ciepłe i nie latać co chwilę wrzucać węgiel do pieca. Jacuś, wstaw wodę na herbatkę. Skoczę do spizarki po kotleciki. Coś się wrzuci na ruszt i będziemy się zbierać.

– Poszłabym do łazienki.

– Oj... jasne... Oczywiście – zaplątał się nieco Ziutek. – Idź, dziecino, wykąp się najlepiej. Dam ci ręcznik, porannik tam jakiś jest.

– Idę do samochodu. – Jacek postawił kubki na herbatę na stole i wyszedł.

– Tak, tak. Trzeba wyprać te kocyki z nieproszonymi gośćmi. – Ziutek pokiwał głową.

– Chodź, pokażę ci wszystko.

Zaprowadził Justynę na górę do dużej łazienki z oknem. Przyniósł jej ręcznik i ubrania. W drzwiach stanął Jacek z kocami i kilkoma ciuchami do prania.

– Skąd to masz? – wskazał na ubrania dla Justyny.

– Byłem rano u twojego proboszcza.

– To nie jest mój proboszcz.

– Niech ci będzie, przyjacielu. Powiedziałem mu, że przygarnąłeś kobietę...

– Ziutek! – powiedzieli to obydwójce z przerażeniem w głosach.

– Ależ jesteście okropni! Proboszcz ma cię za największego lowelasa w okolicy. To tak, jakbym mu powiedział, że Ratajowa spod lasu plotki roznosi, nikt by się nie zdziwił.

Powiedziałem, że panna jest w potrzebie, bo jej się ubrania poniszczyły i żeby coś dał.

– A skąd proboszcz ma kobiece ubrania? – Justyna usiadła na brzegu wanny.

– Kiedyś tu był duży ośrodek rekolekcyjny – powiedział Jacek. – Ludzie zostawili różne rzeczy, które się teraz walają z kąta w kąt i proboszcz rozdaje je na lewo i prawo. Mówił coś?

– Nic. – Ziutek wzruszył ramionami. – Coś pomruczał i otworzył dużą szafę z różnymi ubraniami, to sobie wybrałem. To znaczy tobie. Powiedziałem, że nic nie wiesz o mojej wizycie, bo się wstydzisz, a ja widzę, że jesteś w kłopotcie...

Jacek kręcił głową.

– Niech będzie. Może się nie domyśli. Pomóc ci? – zapytał Justynę.

Ziutek uśmiechnął się i dyskretnie wyszedł.

– Chyba sobie poradzę. Tylko ten opatrunek na głowie mi się odkleja. Jak się umyję, to cię zawołam.

Po dwudziestu minutach Jacek wszedł do łazienki zaniepokojony brakiem oznak życia. Justyna siedziała skulona w wannie i płakała cicho. Wyglądała żałośnie z ogoloną głową i posiniaczonymi plecami.

Wziął duży ręcznik i położył jej na ramionach.

– Chodź, woda jest zimna, przeziębisz się.

Usiadła na brzegu wanny, okręcona ręcznikiem. Jacek ściągnął z wieszaka płaszcz kąpielowy Ziutka i przykrył nim Justynę. Łzy płynęły jej nieprzerwanymi strumieniami po policzkach. Objął ją i mocno przytulił.

– Mam dość – powiedziała po chwili, szeptem. – Nie rozumiem, dlaczego mnie to spotkało. Nic złego nie zrobiłam.

– Wiem. To przecież nie kara.

– Boję się, że Łukasz nie będzie chciał mnie widzieć.

– Co ty opowiadasz? – Spojrzał jej w oczy. – Powinnaś jechać tam prosto do niego, na

pewno jest ledwo żywy z rozpaczy.

– Nic mu nie powiedziałam o wojsku, na pewno już wie... Może myśli, że uciekłam. Jak wrócę i stanę na progu, będzie tego pewien. Nikt nie ucieka porywaczom i wraca do domu.

Jacek westchnął. Wiedział, że póki czuła się zagrożona, podtrzymywała ją wola przeżycia. W warunkach bezpieczeństwa pojawiło się irracjonalne poczucie winy. Była jakby w zawieszaniu. Nie do końca pewna, czy może wrócić i nie bać się tych, co ją porwali, a z drugiej strony przebywała w warunkach, które sugerowały, że nic jej nie grozi...

– Chcesz znowu zamknąć się w lesie na zawoszonym materacu i czekać tam na niego? Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Jak to?

– Wydaje mi się, że o to ci właśnie chodzi. Załamujesz się teraz, kiedy nic ci nie grozi, kiedy możemy jechać do twojego domu... Ot tak, po prostu. I myślisz, że twój mąż będzie na ciebie zły. Nie wiem, skąd taka logika, ale to bez sensu. No, chyba że twój mąż nie jest takim ideałem, jak mi to opowiadałaś.

Oparła czoło na jego ramieniu i serce jeszcze mocniej ścisnęło jej się z tęsknoty.

W łazience stał jakiś stołek, na którym Jacek posadził Justynę. Założył jej świeży opatrunek i pomógł się ubrać.

– Jesteś bardzo sprawny w zajmowaniu się tymi rzeczami. – Uśmiechnęła się przez łzy i pociągnęła nosem.

– Praktyka u kamilianów przydała się. Nauczyli mnie, jak z szacunkiem traktować ludzkie ciało, każde ciało, nawet brudne i śmierdzące... W zasadzie to zwłaszcza brudne i śmierdzące – westchnął. – Czasami ludzie czysti i pachnący są o wiele bardziej zgnili niż niejeden żul czy bezdomny... Zresztą sama wiesz.

Na dole czekał gotowy obiad. Ziutek okazał się być doskonałym kucharzem.

– Rozmawiałem z sąsiadką, zajmie się wszystkim, jak nas nie będzie – powiedział, kiedy nakładał Justynie mizerię na talerz. – Spakowałem trochę rzeczy, które mogą się przydać w Warszawie. Kolega mówił, że tam prawie pusto w tym jego mieszkaniu.

– Wziąłeś broń? – zapytała Justyna jakby od niechcienia, wkładając do ust kawałek kotleta.

Jacek z Ziutkiem spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– Broń?

– Masz strzelbę... i dużą stodołę. Podejrzewam, że chowasz w sianie mały magazynek broni.

– Jak... Jak na to wpadłaś? – roześmiał się nerwowo Ziutek.

– A masz? – Zszokowany Jacek wlepił wzrok w kolegę.

– No... mam. Znalazłoby się tam kilka sztuk. Taka mała kolekcja... A co panią by najbardziej interesowało?

– SAKO.

Ziutek roześmiał się, ale nie patrzył w jej stronę, więc już wiedziała, że ma.

– A może jeszcze TORA, co?

– Jeśli masz. – Wzruszyła ramionami i spojrzała na niego przenikliwie. Poczula, jak wstępuje w nią nowy duch, a w głowie rodzą się kolejne pomysły.

– Dziecino, czy ty wiesz, ile takie SAKO kosztuje?

– Siedemdziesiąt tysięcy.

– I myślisz, że mnie na nie stać?

– Myślę, że tak.

Dłoń Ziutka zawisła w powietrzu z widelcem.

– Dlaczego?

– Widzę. Masz ładny dom, kuchnię wyposażoną za jakieś dwadzieścia tysięcy, jeździsz autem za ponad sto... Jest środek tygodnia w południe, a ty nie jesteś w pracy, tylko szykujesz się na wyjazd do Warszawy. Masz zniszczoną twarz i tatuaż, jaki robili sobie więźniowie w latach osiemdziesiątych. Twarz mówi o długim przebywaniu na słońcu, bardzo długim przebywaniu na bardzo ostrym słońcu, na przykład... pod inną niż nasza szerokością geograficzną. Tatuaż, że siedziałeś, prawdopodobnie za zabójstwo.

– Usiłowanie... – poprawił ją cicho.

– Strzelanie do ludzi to dla ciebie nie pierwszozna, sądząc po tym, z jaką ochotą czekałeś na moich porywaczy. Myślę, że po więzieniu robiłeś coś, za co dostałeś dużo pieniędzy, i gotówka stale do ciebie płynie nieprzerwanym strumieniem z nieznanego źródła. Afganistan?

Oparł się o krzesło i patrzył na nią z poważną miną. Jacek był zdezorientowany.

– Mówiłeś, że uciekłeś w Bieszczady.

– Byłem w Bieszczadach... krótko.

– Byłeś najemnikiem – stwierdziła Justyna, sięgając po szklankę z kompotem. – Po której stronie?

Twarz Ziutka zmieniła się. Zrobił się poważny, a w jego wzroku znalazła coś w rodzaju szacunku, ale zupełnie innego rodzaju niż ten, którym ją obdarzał wcześniej. Widziała też iskierki niepokoju, co dało jej powody myśleć, że boi się być zdemaskowany. Szybko połapała się, że bardziej niż policji i sądów, a nawet Urzędu Skarbowego obawia się utracić zaufanie Jacka. Jego atencja do młodego księdza była wyraźna i świadczyła o tym, że to jego jedyny, a może i pierwszy w życiu przyjaciel. Jednak rzuconym w oczy faktom nie był w stanie zaprzeczyć. Zwyciężyła chęć opowiedzenia o sobie i zew przygody, jaki niespodziewanie obudziła w nim obecność Justyny.

– Początkowo byłem u Ruskich... Ale tę drugą stronę finansowali Amerykanie, poszedłem tam, gdzie mi lepiej płacili.

– Dalej ci płacą?

– Kto inny...

– Rozumiem. – Kiwnęła głową. – Byłeś w wojsku, prawda?

– Tak. – Oparł łokcie na stole i pogładził się po karku. – Pod koniec lat siedemdziesiątych służyłem w Żarach, potem trochę w Gubinie. Doszedłem do kaprała i odszedłem, chociaż proponowano mi pracę. Pojechałem do Łodzi, do siostry. Chciałem się zahaczyć w jakiejś fabryce, ale ciągle wpadałem w kłopoty – roześmiał się nerwowo. – Zawsze dobrze strzelałem i lubiłem broń, więc jak mi wpadł kbks kiedyś w łapy, strzeliłem do takiego jednego... Zaszedł mi za skórę, to się na niego zasadziłem na strychu i wypaliłem, jak wracał nawalony z miasta. Kula przeszła milimetr od serca, miał fart... I ja też, bo siedziałem krócej.

– Kto ci to zaproponował?

– Płatne wojsko? Poznałem w Gubinie takiego oficera wojsk radzieckich. Kiedy wyszedłem, wojna w Afganistanie trwała w najlepsze. Siostra mnie nie wpuściła do domu, więc pojechałem do niego na wódkę, a on mi zamiast gorzały zaproponował taką pracę. No i zaczęło się to kręcić.

– To masz to SAKO?

– Ależ ty jesteś namolna. – Niby się złościł, ale uśmiech i błyszczące oczy zdradzały podekscytowanie. – SWD powinno ci wystarczyć, chociaż nie wiem, do czego.

– Dragunow nie jest moim faworytem. – Uśmiechnęła się.

– To zapakuję. – Wstał od stołu.

– Zwariowałeś? – Jacek był przerażony.

Ale Ziotka już nie było.

– Co ty wyprawiasz? – zwrócił się do Justyny, oburzony. – Sprowadzisz na nas kłopoty.

– Nic nam nie będzie. Blefowałam, nie byłam pewna tego, co mówię, za dużo rzeczy mi nie pasowało... Niech weźmie jakąś swoją zabawkę, poczuje zew przygody.

– Jesteś niepoważna...

– Słuchaj, zawdzięczam tobie i jemu bardzo wiele. Nie wiem, jak się mogę wam za to zrewanżować, więc niech chociaż on ma z tego jakąś radość.

– Nie rozumiem. – Objął dłońmi głowę. – Myślałem, że go znam. Najemnik?

Uśmiechnęła się i nic nie odpowiedziała.

Rozdział 30

Brenner kipiał. Łukasz prawie widział jego czerwoną twarz, miał wrażenie, że zaraz wyskoczy przez głośnik telefonu i udusi go.

– Rozumiem, że to, co powiedziałem, nie jest dla pana zaskoczeniem.

Mówi mu na pan, czyli jest naprawdę wściekły.

– Przyznaję, że jestem nieco zorientowany w temacie – powiedział spokojnie. Nie bał się szefa. Wiedział, że po pierwszym uderzeniu emocji przestanie się pieklić.

– I oczywiście jesteście już w drodze do Poznania nie po to, żeby sobie w południe oglądać koziołki na Rynku.

Słomkowski patrzył na Łukasza, zdezorientowany.

– Nie, jadę porozmawiać z tamtejszą policją.

– Jasne. To może niech pan mnie zaskoczy czymś, skoro mi się to nie udało.

– Mają mercedesa, którym uprowadzono Justynę.

Brenner przez chwilę nic nie mówił. Łukasz wiedział, że pociera sobie teraz łusą głowę dłonią.

– No dobrze. Jak tylko będą jakieś konkrety, proszę mnie powiadomić. Ta pani, która tam prowadzi śledztwo, jest niezbyt chętna do współpracy. Jej szef również.

Kiedy Brenner się rozłączył, Marcin patrzył na Łukasza z miną, na której wypisany miał wielki znak zapytania.

– Wiedziałeś o tym trupie?! Od kiedy?

– Od wczoraj wieczorem.

– O odciskach też?

– Tak.

– Ale nie wiesz, gdzie jest twoja żona? – upewnił się.

Łukasz spojrział na niego i uśmiechnął się z politowaniem.

– Dobra, rozumiem. Ale w takim szoku dawno nie byłem. Dlaczego tak długo trzymaliście to w tajemnicy? To znaczy policja w Poznaniu.

– Bo nie wiemy, gdzie jest moja żona.

– Boisz się, że to mogło jej zaszkodzić?

– Tak.

– No to znowu nic nie rozumiem. Jakoś to jednak zniosę – roześmiał się nagle.

– Zabawne.

– Co jest zabawne?

– Namówiłem Brennera, żeby pozwolił mi z tobą jechać, żeby odciągnąć cię od śledztwa i żebyś nie wariował w Warszawie, tylko się czymś zajął. A ty prowadzisz własne dochodzenie i zostawiłeś cały peleton daleko w tyle. Założę się, że nie wiemy nawet o połowie rzeczy, do których doszedłeś w tym czasie.

Łukasz jechał bardzo szybko, zatrzymali się jednak przed Poznaniem na posiłek. Czuł, że musi wziąć leki. Im bliżej byli celu, tym mocniej się denerwował tym, co może tam usłyszeć. Pod komendą byli po siedemnastej.

– Witam serdecznie. – Żaneta już z daleka wyciągała do niego dłoń, na Marcina nawet nie spojrzała. – Pan Meyer, prawda? Chodźmy, muszę panu powiedzieć o kilku sprawach.

Słomkowski schował zmieszany swoją rękę, którą chciał jej podać, i podreptał za nimi do dużego pomieszczenia, gdzie na stole leżały jakieś dokumenty i zdjęcia.

– Niech pan usiądzie. – Wskazała mu krzesło, konsekwentnie ignorując Marcina.

– Koleżanka zaraz przyniesie coś do picia. Magda!

Marcin znalazł sobie jakieś krzesło pod ścianą i przysunął je do stołu.

– Chyba nie będę się odzywał – szepnął do Łukasza – ale sobie chociaż posłucham.

– Pewnie myślisz, że jesteś praktykantem – odpowiedział również szeptem. – Młodo wyglądasz.

– No dobrze. – Żaneta uśmiechnęła się promiennie, kiedy wróciła. Za nią weszła młoda policjantka z kubkami herbaty, które postawiła im przed nosami. Pani komisarz odgarnęła długie włosy z ramion i usiadła naprzeciwko, nie odrywając wzroku od Meyera. – To od czego możemy zacząć?

– Mercedes – odpowiedział Łukasz cicho.

– A, tak. Tak, tak! Mercedes. W samochodzie są odciski palców pana żony, są również ślady jej krwi.

Łukasz nabrał powietrza.

– Ale nie... Spokojnie. Jest ich bardzo mało. Ich umiejscowienie świadczyło o tym, że musiała w czasie drogi uderzyć się w głowę i rozciąć skórę o wystający element kanapy.

Odcisków porywaczy nie mamy.

– Jak to?

– Jest jakieś pół odcisku tego zabitego obok kierownicy, on pewnie prowadził. Poza tym w aucie nie było nic więcej. Zakładamy, że jechali w rękawiczkach. No, po prostu dobrze się zabezpieczyli i od początku mieli zamiar pozbyć się auta. Ale to jest i tak mało interesujące... yyy... to znaczy... – Spojrzała na Łukasza, kiedy dotarło do niej, do kogo mówi. – Przepraszam, chodzi o to, że mamy inne ślady, które mogą nam bardziej pomóc. Zgodnie z pana sugestią ogłosiłam poszukiwania ciała, a nie żywej osoby...

Marcin przewrócił oczami i zrobił minę, jakby ktoś go oszukał i właśnie mu o tym powiedział.

– Policjanci przepytawali przy okazji ludzi w okolicy, czy ktoś nie szukał osoby o podobnym rysopisie. Dowiedzieli się dzięki temu, że dwóch mężczyzn szukało młodej kobiety, rzekomo po wypadku samochodowym. Mówili, że jest upośledzona i jest siostrą jednego z nich.

– Kiedy ich widziano? – wyrwało się Słomkowskiemu, który miał się nie odzywać.

– Słucham? – Zamrugnęła powiekami ciężkimi od tuszu na rzęsach.

– Kiedy ich widziano? Jeśli jej szukali, to znaczy, że jej nie mieli. – Marcin był podniecony tym odkryciem.

– No, nie mieli. – Spojrzała na niego, jakby urwał się z choinki. – To przecież oczywiste. Marcin oparł głowę o blat stołu.

– No tak, to też wiedziałeś – powiedział i podniósł się. – Dobrze, przepraszam. Nie będę już pani przerywał.

– Tak. Widziano ich w okolicach Śremu wczoraj po południu. W miarę upływu czasu przesuwali się w stronę Kościana i tam kamery monitoringu miejskiego zarejestrowały ich obecność w godzinach wieczornych.

Łukasz poczuł, że zaraz się rozpłaczę.

Wieczorem jeszcze jej nie znaleźli.

– Potem zniknęli. Rano dostaliśmy zgłoszenie o mercedesie w stawie. Ale to nie wszystko... – Popatrzyła na Łukasza z miną wyrażającą wielkie zadowolenie.

– To niech pani mówi. – Marcin po raz kolejny złamał swoją obietnicę.

– Te same kamery zarejestrowały obecność na kościańskim rynku osoby, która bardzo przypomina pana żonę.

Łukasz schował twarz w dłoniach. Czuł, że jeśli jego nadzieje znowu legną w gruzach, to

tym razem już tego nie zniesie.

– Ma pani zdjęcia z tych kamer? – zapytał.

– Mam, oczywiście – roześmiała się. – Ależ jestem gapa. Mam wszystko. Zdjęcia mercedesa, porywaczy w Kościanie... No i pańskiej żony.

Wyciągnęła z jakiejś teczki duże czarno-białe zdjęcie i podała Łukaszowi. Marcin wyciągnął szyję. Na fotografii widniała postać w bluzie z kapturem naciągniętym na twarz. Bluza i spodnie z przodu były wyraźnie brudne, ręce kobieta miała schowane w kieszeniach, z których coś wystawało.

– Osoba pasuje do opisu. Taka sama bluza, spodnie, buty... Twarz widać słabo, ale wzrost i figura też pasują.

Patrzyła na niego wyczekująco. Jednak ze strony Łukasza początkowo nie było żadnej reakcji.

– To ona – powiedział szeptem. Żaneta o mało się na niego nie rzuciła z radości.

– Z której godziny jest to zdjęcie? – zapytał Marcin.

– Coś około trzynastej. Wczoraj, oczywiście.

– No i co dalej? – spojrzał na nią pytająco Słomkowski.

– Jak to?

– No, co dalej? Gdzie poszła? Z kim?

– A, tak... – Radość przygasła na jej twarzy. – Nie wiemy. To znaczy kamera rejestruje, jak wchodzi do fary i nie widać, kiedy i jak wyszła.

– Zapadła się pod ziemię?

– Tak to wygląda, ale mogła wyjść przez zakrystię.

– Przez zakrystię? – Łukasz wreszcie oderwał wzrok od fotografii i spojrzał na nią. – To znaczy, że ktoś ją tam wpuścił i pozwolił przejść. Pytaliście księdza?

– Pytaliśmy proboszcza i kościelnego – odpowiedziała szybko. – Wikarego nie było, wyjechał do domu, jest chory...

– Kiedy zachorował? – zapytał z uśmiechem Marcin.

– Co? Yyy... nie wiem. Zaraz sprawdzę. Kolega przekazał mi notatki.

Zaczęła energicznie szperać w teczce, z której wyciągnęła jakąś kartkę.

– Tak, to jest to. Wikary, Damian Bolek, poszedł na zwolnienie lekarskie... wczoraj po południu... – ściszyła głos i wpatrywała się zdumiona w to, co czyta.

Marcin pokręcił głową i spojrzał wymownie na Łukasza.

– Jedźcie do tego Bolka do domu – powiedział zrezygnowany Łukasz.

– To się rozumie samo przez się – powiedziała wolno, dalej czytając notatki. – Matko, ale wtopa. Stary mnie zabije.

Na stole zabrzęczała jej komórka. Wzięła ją do ręki zniecierpliwiona i rzuciła okiem na ekran. Chciała od razu odłożyć z powrotem, ale znowu złapała aparat i wpatrywała się w niego z szeroko otwartymi oczami.

– Jakiś problem? – Łukasz zmarszczył brwi.

– E... Nie... To znaczy, inna sprawa. Muszę wyjść na sekundkę, to naprawdę pilne.

Wybaczcie mi, panowie. – Zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju.

– „Wybaczcie mi, panowie.” – Pokiwał głową z uznaniem Słomkowski. – Chyba zostałem zauważony.

– Weź zobacz te dokumenty. Może jest tam coś jeszcze, co przeoczyła.

Żaneta wypadła z komendy jak na skrzydłach. Bambi stał oparty o drzewo po drugiej stronie ulicy i palił papierosa. Wyglądał na kompletnie wyluzowanego.

– Co tu robisz? – szepnęła, kiedy znalazła się obok niego. Widać było jednak, że jest

zadowolona.

– Nie mogłem się doczekać spotkania.

– Tak, albo chcesz wyciągnąć ode mnie jak najwięcej. – Rozejrzała się wokoło. – Co cię nagle obchodzi ta sprawa?

– Nie nagle. – Zaciągnął się mocno. – Pani Meyer jest moją dobrą znajomą z dawnych czasów.

– A jednak. Była z tobą w GROM-ie? – Oczy Żanety zaświeciły jak gwiazdy. Od razu przez głowę przebiegły jej myśli o tym, że to Justyna zabiła porywacza i w spektakularny sposób uciekła dwóm pozostałym.

– Nie – pokręcił lekko głową – pracowaliśmy w prywatnej firmie za granicą.

– Aha – w jej głosie wyczuwało się zawód. – Jej mąż jest teraz u mnie.

– Żartujesz? – Bambi spojrział na budynek, jakby szukając śladów bytności Meyera.

– Tak. Przekazałam mu właśnie dość dobre wiadomości.

– Justyna żyje i ma się dobrze – powiedział to tak, jakby był całkiem pewien tego, co mówi.

Żaneta była w szoku.

– Skąd wiesz?

– Trochę ją znam. – Uśmiechnął się i znowu zaciągnął.

– I mogła go zabić?

Pokręcił głową i roześmiał się.

– A ty tylko o jednym. Co napisałem w swojej opinii?

– No tak... Nie wiemy, gdzie jest teraz, ale ponad dobę temu wyglądała na całkiem żywą.

– A porywacze?

– Rozpłynęli się w nocy.

– Dobra, wracaj do jej męża. Opowiesz mi resztę wieczorem. Postaram się też przynieść jakieś wiadomości.

– Masz coś? – Znowu była podekscytowana.

– Mam ekipę, która nad tym pracuje.

– Super. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha. – To będzie gorąca noc, prawda?

Puściła mu oko i pobiegła z powrotem do budynku. Tomek wyrzucił peta i wyciągnął telefon z kieszeni.

– Gogol, możesz wchodzić. Jej stary jest tutaj.

Rozdział 31

Przejsście przez furtkę osiedla to była najdziwniejsza rzecz, jaką mogła zrobić. Ale to właśnie robiła. Na nosie miała wielkie okulary w grubych czarnych oprawkach, ubrana była w kurtkę pracownika gazowni, przez obolałe plecy przewiesiła dużą torbę. W dłoni dzierżyła czujnik do sprawdzania ulatniającego się gazu. Nacisnęła na furtkę pewnie, bez cienia zawahania. I poszła prosto w stronę klatki, spod której w niedzielę ktoś ją porwał. Słyszała, jak za jej plecami Jacek mówi do ochroniarza:

– Kolega podejdzie tylko sprawdzić gaz w mieszkaniu. Jakaś babcia panikuje, że jej się ulatnia. Mamy koniec roboty, ja zostanę tutaj, szkoda zachodu.

Jacek bał się bardziej. Też był ubrany w odpowiedni uniform, ale musiał chować dłonie, żeby nie zdradzić, jak bardzo mu drżą.

– Dobra, niech idzie. – Ochroniarz wyszedł przed stróżówkę i niepewnie podrapał się pod czapkę z daszkiem. – Wpuściłbym pana tu do siebie, ale mieliśmy w niedzielę małe zdarzenie i wolę znowu się nie narażać. Nikt nie chce stracić roboty.

– No, nikt – przytaknął Jacek, zerkając na Justynę.

– Ja znam tę babcie. – Kiwnął ochroniarz głową w stronę klatki Justyny. – Ciągle kogoś wzywa, bo jej coś stuka albo przecieka.

Dokładnie to samo powiedziała Justyna Ziutkowi, kiedy wypytywał, na jaką ścieżkę można wejść do bloku. Kiedy przyjechali do Warszawy, nawet nie jechali na Pragę. W Śródmieściu czekał na nich kolega Ziutka z ubraniami i samochodem z gazowni.

– Ze względu na stare czasy – mówił, kiedy wręczał mu kluczyki. – Do dwudziestej się uwińcie, bo będą kłopoty.

Ziutek był w swoim żywiole, a Jacek powiedział, że nigdy nie widział go równie szczęśliwym.

Justyna podeszła do bloku i wbiła kod listonosza. Na schodach minęła ją sąsiadka z czwartego piętra, ale nawet na nią nie spojrzała. Kiedy podeszła do drzwi, serce zabiło jej bardzo mocno. Nie widziała, żeby światło się świeciło, więc Łukasza albo nie było w domu, albo spał. Jeśli spał...

Drzwi były zamknięte. Nacisnęła dla pewności drugi raz na klamkę, ale bezskutecznie. To było ryzyko, które trzeba było podjąć bez gwarancji na sukces. No i nie powiodło się.

Była zła. Miała ochotę uderzyć pięścią w drzwi. Światło na klatce zgasło i zrobiło się zupełnie ciemno. Była prawie dziewiętnasta. Usłyszała, że ktoś wchodzi po schodach. W popłochu wbiegła na schody prowadzące wyżej, co było bezsensowne, jeśli ten ktoś chciał wejść na czwarte piętro.

Może to Łukasz? pomyślała i zabrakło jej tchu. Kucnęła przy poręczy i czekała.

Wchodzący zaświecił światło na wysokości drugiego piętra... i szedł wyżej. Kiedy dotarł na trzecie piętro, Justyna o mało nie wybuchła śmiechem. Pod drzwi jej mieszkania po cichu podszedł Gogol. Zaczął szperać w kieszeni. Wiedziała, że chce włamać się do środka. Siedziała na schodach i dusiła się, obserwując, co będzie dalej, ale długo nie wytrzymała.

– Coś ci nie idzie ten włam, Gogolu.

Gogol cofnął się przerażony. Spojrzał w górę i zobaczył Justynę przewieszoną przez poręcz. Parsknął śmiechem i usiadł na schodach.

– Ja pierdolę! – rechotał. – Myślałem, że zawału dostanę.

Zeszła do niego i usiadła obok. Światło znowu zgasło.

– I co miałeś zamiar osiągnąć, Kostuś?

– Chciałem wam ukraść telewizor.
– Aha...
– Ładna fryzurka... i do twarzy ci z tym czujnikiem – chichotał cicho. – A ty co chciałaś zrobić? Sprawdzić, czy gaz się ulatnia?
– No wiesz, jakby tu mieszkam, nie? Nawet jestem zameldowana.
– To czemu nie weszłaś, Malinka?
– Bo chyba klucze zgubiłam. W lesie czy coś.
– W lesie? To się teraz po lasach włóczysz, tak?
– Raczej ktoś mną włóczy, tylko nie wiem, kto i po co.
– I chcesz to wiedzieć?
– Pragnę tego.
– Ja nie mogę. – Potarł dłońmi twarz. – Krokodyl naprawdę dobrze cię zna. Justynę zatkało. Przez moment wydawało jej się, że serce przestało bić, ale rana z tyłu głowy pulsowała intensywnie.
– Krokodyl? Jest w Polsce?
– Jest. – Gogol kiwnął głową. – Przyleciał wczoraj. Jakby wiedział, kiedy ma cię rotować.
– Co tu robisz? – Chciała wiedzieć, czy obecność Gogola ma coś wspólnego z Krokodylem, ale zależało jej, by za bardzo tego nie okazać.
– Poza tym telewizorem? Szukam cię. W zasadzie szukamy. Za bramą w aucie siedzi Żółw. Bambi jest w Poznaniu.
– Żółw tu jest? – roześmiała się. – Ale fajnie. A co Bambi robi w Poznaniu?
– Obraca jakąś sexy panią komisarz, no i obserwuje, co robi twój mąż.
– Łukasz? – Serce ruszyło i od razu ściśnięte zostało przez przeszywający ból. – Łukasz jest w Poznaniu?
– Tak, ale nie wiem, po co pojechał. Prawdopodobnie podziwiać tego twojego kolegę z ukreconą szyją.
– Nie wiem, o kim mówisz. – Odwróciła wzrok.
– Oczywiście – westchnął. – Ale chodźmy stąd, zanim sąsiedzi zaczną się nami interesować. Nie możesz tutaj tak sobie siedzieć, jesteś porwana. Porządni porwani nie siedzą na schodach pod drzwiami swojego domu. – Wstał i pomógł jej się podnieść. – Jesteś sama?
– Nie, zmontowała mi się mała ekipa.
Wyszli z klatki oddzielnie. Justyna poszła do auta z gazowni, a minutę później Gogol wsiadł do swojego forda z Żółwiem w środku.
– Masz coś? – zapytał Żółw ze swoją żółwią flegmą.
– Tak, Justynę – westchnął i odpalił silnik.
– Kogo? – Zamrugął powiekami.
– Malinę.
– Malinę?
– Żółw, weź się obudź! Znalazłem Malinę... To znaczy ona mnie znalazła, jak chciałem się do nich włamać.
– A co ona tam robiła?
– Nie wiem... Pojedziemy za nią, to się dowiemy.
Żółw miał w tej chwili minę debila, choć na pewno nim nie był.
– Nie widzę tu żadnej Maliny. – Rozejrzał się.
– A widziałeś faceta z gazowni, który wychodził przede mną?
– Widziałem. Nawet dwóch.
– No właśnie.

Żółw nie pytał dalej. Jako geniusz-informatyk ogarniał niektóre „zwykłe” sprawy o wiele wolniej niż reszta społeczeństwa. Wyglądał jak rasowy żołnierz – wysoki, dobrze zbudowany, krótko ostrzyżony. Nie nabrał nigdy tak charakterystycznych dla ludzi z jednostek specjalnych manier czy sposobu ubierania się, bardziej wyglądał na oficera zwykłej liniówki w zielonym garnizonie. Był bardzo przystojny i miał zawsze wielkie powodzenie u kobiet. Jednak pod czaszką krył się mózg o ilorazie inteligencji przewyższającym całą kompanię zmechanizowaną razem wziętą. Dlatego jego ruchy bywały spowolnione, kiedy zaczynał się nad czymś zastanawiać albo gdy nie do końca rozumiał żarty, które słyszy. Robił wtedy dziwne miny: marszczył czoło, przymykał oczy albo wykrzywił usta. Jednak gdy trzeba było działać, przeistaczał się w kogoś zupełnie innego.

Gogol pojechał za Justyną i Jackiem na sam plac Powstańców Warszawy, ale nie podjeżdżał do nich na parking, tylko zgodnie z jej poleceniem zatrzymał się w odległości wzrokowej. Zobaczył, jak z nawary wysiada facet w kowbojskim kapeluszu, a z drugiej strony inny, gruby i z wąsami, który odbiera od Justyny i jej kolegi kurtki i torby, po czym odjeżdża w swoją stronę samochodem z gazowni. Wtedy dopiero zaparkował obok nissana swój samochód i wysiadł z Żółwiem.

– Żółwik. – Justyna uśmiechnęła się i podeszła do nich szybko.

– Malinka. – Spojrzał na nią półprzymkniętymi oczami – Jaka fryzura!

Uściskał ją i dalej wpatrywał się w nią zdumiony.

– Znajomi? – Ziutek podszedł wolno, podciągając spodnie. Widziała, że jest zaniepokojony.

– Znajomi – potwierdziła. Spojrzała na całą czwórkę, która przyglądała się sobie złowrogo. Jacek był bardziej wystraszony. – Nie stójmy tutaj. Ziutek, poprowadź nas na tę Pragę, musimy pogadać.

Rozdział 32

– Dałem twój namiar oficerowi z żandarmerii w Poznaniu – głos Brennera był zupełnie inny niż przed paroma godzinami, ale Łukasz wyczuwał, że coś go gnębi. – Facet wygląda na sensownego człowieka, więc może współpraca nie będzie taka trudna, jak z niektórymi panami z Warszawy.

– Będzie do mnie dzwonił?

– Tak, myślę, że się z wami skontaktuje za jakiś czas. Dowiedziałem się od niego, że Jaskóła jest teraz w pracy, ma służbę pomocnika oficera dyżurnego. Jedźcie tam, mamy błogosławieństwo od komendanta na porozmawianie z nim. Rozmawiałem z moim przełożonym... Sprawa Justyny rozpałała wiele głów w najwyższych władzach armii.

– Nie rozumiem.

– Te zeznania Łukasik... Ona miała dużo racji: trzymają się niektórzy mocno za jaja, jakby się bali. Nie wiem, co twoja żona na nich ma, ale może lepiej, że się nie ujawnia, bo niejeden chętnie by ją teraz uciszył. Meyer...

– Tak, szefie?

– To jest jakieś morze gówna, ta cała historia. Nie wiem, kto ją porwał, ale parę osób w mundurach naprawdę mogło poczuć ciśnienie.

– To szefa martwi? – Łukasz chciał wiedzieć, co trapi Brennera, bo to mogło mieć duże znaczenie.

– Martwi? Nie, raczej czuję się coraz bardziej ogłupiały. Porwanie z powodu Biura – pasuje. Porwanie z powodu pracy Justyny – pasuje. Porwanie z powodu jej służby – pasuje. Zaczynamy być dalej rozwiązani niż byliśmy w niedzielę rano. Nie znam twojej żony, ale jeśli uciekła i się gdzieś ukrywa, to ma więcej rozumu niż my wszyscy razem wzięci. Ja wiem, że tobie mogą do głowy przychodzić różne bzdury... Wiem o wizycie twojej matki.

– Skąd? – Meyer miał ochotę udusić Marcina.

– Była u nas ze skargą... To znaczy na policji. Opowiadała różne głupoty. Trzeba było ją mocno potrząsnąć, żeby się przymknęła. Więc mówię ci, żebyś od dziś bardziej szanował swoją żonę, bo ma *coholes* jak superman. I mam nadzieję, że to ona ukręciła łeb temu gnojowi...

Łukasz przygryzł wargę. Chciało mu się płakać, bo myśl, że Justyna może być wolna, dawała mu wielką nadzieję, ale z drugiej strony chciał, żeby się ujawniła. Jej nieobecność, brak oznak, że o nim myśli, kłuła go w serce równie mocno, co lęk o jej życie. Słowa Brennera wyciągnęły te niepokoje na zewnątrz, ale też były jak plaster na jątrzącą się ranę.

– Jedźcie do tej jednostki, Meyer. Aha, dzięki za wiadomości o nagraniach z monitoringu. Mamy przypuszczenia, że porywacze wrócili do Warszawy po porzuceniu auta, ale bez odcisków nie mamy pojęcia, kogo szukać... No, ale jakoś sobie poradzimy. Na razie.

– Na razie, szefie.

Słomkowski już czekał na niego w biurze przepustek.

– Jaskóła poszedł na obchód po kompaniach. Oficera dyżurnego też nie ma, pobiegł na PKT. Siedzi tu jakiś sierżant, dowódca pododdziału alarmowego. Będziemy z nim rozmawiać?

– Tak, chodź do niego. – Nie chciał stać w miejscu i nic nie robić.

Cywilny ochroniarz wyszedł i na ich prośbę zastukał do drzwi dyżurki. Otworzył im sierżant z plaketką „służba dyżurna” w klapie kieszeni.

– Panowie są z policji. Mają porozmawiać z chorążym Jaskółą. Komendant dzwonił...

– Tak, wiem. – Machnął ręką i odwrócił się w stronę krzesła obrotowego, na którym ciężko usiadł. Wyciągnął przed siebie nogi i założył ręce na dużym brzuchu. Na szafce koło okna

stał mały telewizor. Musiało być w nim coś bardzo interesującego, bo sierżant wpatrywał się w niego, nie zwracając uwagi na gości.

– Jaskóła jest na obchodzie – powiedział, nadal nie patrząc na nich. – Dopiero poszedł, więc pewnie mu się zejdzie.

– Możemy z panem chwilę porozmawiać? – zapytał Łukasz, zastanawiając się, jak temu żołnierzowi idą egzaminy z WF-u.

– Ze mną? – Spojrzał zdziwiony. – A o czym niby?

– Czy zna pan Justynę Dąbek? – to pytanie zadał Marcin, który wyraźnie również nabrał ochoty na małe przesłuchanie.

– Hmm... Dąbek? – Uśmiechnął się nagle pod nosem. – Znam. Pamiętam. Była tu kiedyś na szkółce, ale chyba nie szła do mianowania. Co zmalowała?

– Została porwana, prawdopodobnie nie żyje. – Słomkowski nie miał zamiaru oddawać pałeczki.

– Uu! – Wyprostował się nieco. – No to przykre. I o tym chcecie rozmawiać z Jaskółą?

– Także o tym.

– Nie no, między nimi nie było może chemii, ale bez przesady, Piotrek by jej nic nie zrobił.

– Co ma pan na myśli, mówiąc o braku chemii?

– No wie pan, jak to jest... – Uśmiechnął się i spojrzał na niego, jakby chciał się z nim zakumplować. – Piotrek lubi dziewczyny. Jak się mu któraś spodoba, to się trochę zaleca...

– Z tego, co wiem, pan Jaskóła ma żonę. – Marcin zmarszczył brwi i zajrzał do notatek.

– O, jeny! To nie wie pan, jak jest w życiu...

– Nie wiem. Niech mi pan powie.

Łukasza zatkało.

– Panie – na policzkach sierżanta pojawiły się czerwone plamy – laska była nawiedzona, mało chłopu kariery nie zniszczyła. Pojechała na skargę do Warszawy, że ktoś ją tu molestował. Narobiła kłopotów nam wszystkim. Teraz to niektórzy rano wiaderko z bromem piją, byleby nikt ich o nic nie oskarżył, wszyscy rączki przy sobie trzymają, każdy boi się słówkiem pisnąć. Paranoja jakaś!

– Kłopoty? – Marcin zmrużył oczy. – Jakie kłopoty? Jeśli skończyły się problemy z kontaktami pomiędzy kobietami a mężczyznami w miejscu pracy, to chyba tylko przysługę wam wyświadczyła. To nigdy nikomu na dobre nie wychodzi.

– Nie wiem, skąd się pan urwał, ale tak się nie da żyć. I co? Mamy jej medal dać?

Chodziła na lewe zwolnienia, migąła się przed służbami...

– Ma pan na to jakieś dowody?

– Co?

– To, co pan mówi, to są poważne oskarżenia. Jeśli będzie trzeba, wezwiemy pana na świadka i będzie pan to musiał udowodnić. A jeśli okaże się, że to nieprawda, to oskarżymy pana o krzywoprzysięstwo. Więc niech się pan dwa razy zastanowi, zanim pan coś powie.

– O, nie! – Pokręcił energicznie głową. – Ja niczego nie powiedziałem. Nie będę żadnym świadkiem.

– Ale ja i komisarz Meyer słyszeliśmy, co pan powiedział, więc jeśli pan kłamie, to będzie miał pan kłopoty. Chcę przypomnieć, że szarganie dobrego imienia drugiej osoby także jest karalne.

Sierżant roześmiał się nerwowo i wstał z fotela.

– Zaraz mogę was wywalić z jednostki. Jestem dowódcą...

– A ja panu radzę, żeby pan już więcej nic nie mówił. Ani słowa! – Marcin musiał nieco

zadzierać głowę, żeby patrzeć mu w oczy, ale to sierżant był w tym momencie malutki.

Łukasz zobaczył, że do budynku biura przepustek wszedł jakiś kapitan, także z plakietką służby dyżurnej i z bronią przy pasie.

– Dobry wieczór. – Blondyn o łagodnej twarzy przyglądał się im lekko zdziwiony.

– Panowie z policji?

– Tak. Marcin Słomkowski, a to pan Łukasz Meyer. Chcemy porozmawiać z chorążym Jaskółą.

– Jasne. – Uśmiechnął się. – Zaprowadzę was. Piotrek jest na swojej kompanii, to może pogadacie w jego kancelarii.

Minęli sztab i kasyno. Kompania była długim budynkiem z wysokimi oknami, za którymi tętniło wieczorne życie. Dochodziły ich odgłosy szorowania podłóg, biegania po korytarzach i wesołych rozmów.

– NSR-y. – Wskazał głową kapitan. – Mamy ich teraz wyjątkowo dużo. W tym roku szkółki podoficerskie nie prowadziły naboru, ale może od przyszłego znowu ruszą. To tutaj.

Weszli do budynku i od razu zderzyli się ze zbiegającym po schodach żołnierzem w niebieskim dresie. Na widok oficera dyżurnego zamarł w miejscu, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Chorąży Jaskółą jest u siebie?

– Yyy... tak... panie kapitanie. Melduję, że jest. – Młody chłopak chował za sobą miotłę i mokrą szmatę.

Kiedy weszli na piętro, podoficer dyżurny o mało nie przewrócił się na mokrej posadzce, pędząc do biurka.

– Kompania, bacność! – krzyknął, poprawiając sobie pas.

– Dobra, dobra. – Oficer machnął ręką. – Sprzątać dalej. I czytać Regulamin, potem przepytam z obowiązków podoficera. – Zwrócił się do Łukasza i Marcina: – Musimy się dostać do kancelarii na końcu.

Przeszli przez długi korytarz, wzbudzając wielkie zainteresowanie. Z izb żołnierskich co chwilę ktoś wystawiał głowę i robił głupie miny. Kapitan zapukał do ostatnich drzwi po lewej stronie korytarza i otworzył je bez czekania. Wąska kancelaria mieściła w sobie duże biurko, które stało na środku, szafę pancerną i regały na książki. Unosił się w niej zapach papierosów i kawy.

Jaskółą siedział za biurkiem i na widok oficera zerwał się, stając na bacność. Łukasz ze zdumieniem stwierdził, że wygląda jak klasyczny „mieśniak” z szerokim karkiem, tyle że po czterdziestce. Był krótko ostrzyżony i miał małe, niebieskie oczka, które świeciły nienaturalnym blaskiem. Na jego twarzy błąkał się nieodgadniony uśmiech, który nie wróżył niczego dobrego.

– Panie kapitanie...

– Dobra, spocznij. – Oficer znowu machnął ręką. – Piotrek, panowie z policji chcą z tobą porozmawiać. Zresztą komendant uprzedzał...

– Tak, uprzedzał. Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na taką wizytę, ale czuję się co najmniej zaszczycony.

Kiedy się sobie przedstawiali, Łukasz skonstatował, że z Jaskóły emanuje uniżona służalczość wobec starszego stopniem. Domyślił się więc, że domaga się jej w równym stopniu od swoich podwładnych. Żałował, że nie posiada daru Justyny do odczytywania intencji innych osób, ale już wiedział, że ten facet nie rozumie, że na świecie obowiązują inne normy niż te, które sam wyznawał.

– To ja was zostawiam. Braciak został sam na „oku”, muszę zobaczyć, co u niego.

Siedzieli za biurkiem przykrytym zielonym sukniem, na którym wały się różne papiery, stała tam również pełna po brzegi popielniczka i szklanka z fusami po kawie.

– Panowie, co mogę dla was zrobić? – Wychylił głowę w ich stronę, a na jego twarzy zamarł bardzo nieszczerzy uśmiech.

– Czy zna pan Justynę Dąbek? – zapytał cicho i bardzo spokojnie Łukasz.

– Znam. – Jaskółka kiwnął głową, ale niezbyt energicznie. Przez chwilę jego wzrok błąkał się gdzie indziej. Twarz nabrała poważnego wyrazu, a ton głosu wyrażał nawet troskę. – Znamy się z panią Justyną, bo była moją podwładną.

– Zgodnie z zeznaniami kilku świadków, w czasie, gdy był pan jej przełożonym, molestował ją pan oraz znęcał się nad nią psychicznie i fizycznie.

Łukasz miał ochotę walnąć Marcina z pięści. Nie wytacza się takich działań na początku walki, nie znając przeciwnika. Ale musiał grać i udawać, że w pełni zgadza się z kolegą.

Jaskółka nie zdenerwował się, przynajmniej nie pokazał tego po sobie. Rozłożył szeroko ręce i oparł się na nich mocno.

– Nie, to nieprawda. – Pokręcił głową. – A poza tym...

– Ale prawdą jest, że zamknął ją pan w pokoju i poszedł sobie? – przerwał mu Marcin.

– Tak. – Jaskółka minę miał poważną i nadal zatroskaną. – Ale wszystko sobie z Justynką wyjaśniliśmy. Przeprosiłem ją publicznie za ten szczeniacki wybryk.

– Zgodnie ze słowami świadka, zrobił to pan w sposób, który ją tylko bardziej upokorzył – nacierał Słomkowski.

– Nie wiem, co wam mówiła Justyna, ale...

– Pani Dąbek niczego nam nie mówiła. Zeznania zdobyliśmy w toku pewnego śledztwa, powiedzmy... przypadkiem.

Jaskółka popatrzył na jednego i drugiego lekko zmieszany. Ale nadal nie tracił animuszu.

– I nie wiecie tego od niej, tak? To ciekawe.

– Dlaczego to takie ciekawe? – Łukasz nadal był opanowany. – Bo ktoś inny mówi coś na ten temat? Przecież ludzie widzieli, co pan robi.

– Nie robiłem nic złego – w jego głosie pojawił się jad, mimo że wyraz twarzy nie zdradzał niczego podobnego. Patrzył przenikliwie na Łukasza i chwilę nic nie mówił.

– Niektórzy żołnierze potrzebują więcej dyscypliny i wspólnej pracy. Poświęciłem jej dużo czasu, dużo więcej niż innym podwładnym. Ona zajmowała się tylko sobą, nie obchodzili ją koledzy i że może ich krzywdzić.

Łukasz chciał się wyrwać z jakimś komentarzem, ale milczał. Marcin także zachował niewzruszoną twarz.

– Chodziła ciągle w swoim świecie i robiła wszystko, żeby uniknąć obowiązków. Jej największym problemem było to, że próbowała dopasować nas do siebie, a nie odwrotnie.

– Czy jednym ze środków dyscyplinujących jest mobbing? – Słomkowski przekręcił głowę, jakby zainteresowany.

– Proszę pana, o tym właśnie mówię. – Widać było, że powoli zaczyna tracić panowanie nad sobą. – Justyna Dąbek interpretowała normalne zachowania jako coś złego...

– Zgodnie ze słowami świadka, te normalne zachowania podchodzą pod paragrafy w kodeksie karnym – roześmiał się ironicznie Marcin. Łukasz był w szoku, że ten mały niepozorny facet tak sobie daje radę. – Jeśli je panu udowodnimy, dostanie pan co najmniej zawiasy i wyleci pan ze służby.

– Niczego mi nie udowodnicie. – Jaskółka zacisnął szczęki i uśmiechnął się z tryumfem. – Minęły trzy lata, sprawa jest przedawniona.

Teraz to Marcin miał na twarzy tryumfalny uśmiech.

– Ale jeśli pani Dąbek ma wciąż dowody na rzeczy, które się nie przedawniły, to ma pan duży interes w tym, żeby chcieć zrobić jej krzywdę, tak?

Jaskóła odchylił się na krzesło, ale wciąż trzymał szeroko rozstawione ramiona na blacie biurka. Dłonie zacisnął w pięści i opuścił głowę.

– Pani Dąbek o mało nie doprowadziła mnie do ruiny – zaczął mówić, a Łukasz mógł przysiąc, że w jego głosie słychać skargę i rozżalenie. – Gdyby wtedy wniosła oskarżenie, mój dowódca wywaliłby mnie z roboty. Straciłbym dom i wszystko, co mam.

– A co zostało pani Dąbek, jak ją wywaliliście? – to brzmiało jak pytanie retoryczne i Łukasz wiedział, że zadał je niepotrzebnie.

– Pani Dąbek nie zdała egzaminu z WF-u, a ja starałem się jakoś jej pomóc dojść do mianowania, mimo że rzuciła na mnie te śmieszne oskarżenia.

– Nie, panie Jaskóła. – Marcin pokręcił głową. – Zrobił pan to, bo się pan bał, że Justyna pomyśli, że to z pana winy została wywalona, że to pan jej to załatwił. Proszę pana, ja też byłem w wojsku, wiem, jak to wygląda z tymi waszymi egzaminami, więc niech pan nie ściemnia i nie udaje wielkiego dobrodzieja.

Nagle Jaskóła podniósł głowę i uśmiechnął się dziwnie.

– Justyna to niezła dupa. Nie wiem, co wam naopowiadała, ale na pewno chętnie jej wierzycie, prawda, panie kolego? – Spojrzał na Łukasza wymownie. – Widzę w tych pięknych oczach tę namiętność. I to rozżalone pytanie: „Co pani Dąbek zostało?”. Poruchałoby się taką ładną i biedną pokrzywdzoną panią, co ją niedobre wojsko wywaliło.

Łukasz, wbrew obawom Marcina, nie wpadł w gniew. Oparł się o krzesło i patrzył na chorążego z satysfakcją.

– Panu, zdaje się, nie udała się ta sztuka – powiedział bardzo spokojnie.

– O, ale zawsze były jakieś chętne koleżanki. – Jaskóła uśmiechnął się, pokazując całą klawiaturę uzębienia. – Nigdy nie byłem stratny.

Marcina zatkało. Potrzebował chwili, żeby się otrząsnąć i zrozumieć, że usłyszał to naprawdę.

– Możemy jednak przypuszczać – starał się nie okazywać emocji – że odmowy pani Dąbek zabolowały pana na tyle, że nawet sypianie z „chętными” nie zrekompensowało uszczerbku na dumie.

– Czy jestem o coś oskarżony? – Jaskóła spoważniał, oparł się na łokciach i pochylił w ich stronę. Teraz Łukasz wiedział, że podwładni mogą się go bać. Jego ton i wyraz twarzy mówiły jasno, że facet jest psychopatą.

– Jeszcze nie. – Marcin uśmiechnął się łagodnie. – Ale jesteśmy na dobrej drodze udowodnienia, że to pan miał największy motyw, żeby porwać i zamordować panią Dąbek, bo w tej sprawie właśnie prowadzimy śledztwo.

– To jakiś absurd! Ja nic...

– Sądząc po przebiegu tej rozmowy, mamy rację. Od początku wiedział pan, po co przyszliśmy. – Słomkowski atakował teraz jeszcze bardziej. Łukasz nie sądził, że można tak blefować bez zajknięcia. – Nie zapytał pan, co się stało, jakie śledztwo prowadzimy, dlaczego przyszliśmy do pana... Jak tylko padło nazwisko Dąbek, miał pan świadomość, o czym będzie rozmowa. Potrzebujemy tylko jednego małego dowodu i z chęcią będziemy świadkami pana aresztowania.

Jaskóła chciał coś powiedzieć, przybrał nawet pozę niewzruszonego, ale Marcin zerwał się z krzesła, a Łukasz ruszył w jego ślady. Wyszli z kancelarii na korytarz, na którym odbywał się właśnie apel wieczorny.

Do wejścia do biura przepustek nic nie mówili. Kapitan zobaczył ich przez okno i wyszedł z uśmiechem na twarzy.

– I co? Udała się rozmowa?

– O, bardzo. – Marcin kiwnął głową. – Możemy porozmawiać?
Łukasz nie wiedział, o czym chce z nim rozmawiać, ale poszedł za nimi do pomieszczenia, gdzie stały nieduże stoliki, krzesła i automat z puszkami z colą.

– Czy znał pan Justynę Dąbek? – zapytał od razu.
– Dąbek? – Oficer był zaskoczony nagłością pytania.
– Tak. Justyna Dąbek, była tu kilka lat temu na szkółce, została zwolniona za niezdany egzamin z WF-u.
– Tak, tak, kojarzę. Ona poszła potem do pracy jako starszy szeregowy. Coś się z nią stało?
– Niech mi pan powie, jak ją pan zapamiętał?
Kapitan wypuścił powietrze z ust i zrobił duże oczy.
– Co mam powiedzieć? Normalnie. Prowadziłem szkolenie ogniowe, jeździliśmy na Olszynkę na strzelania, uczyłem ich teorii... Nic szczególnego.
– Jak się uczyła?
– Przeciętnie. Dość dobrze strzelała, zwłaszcza do celów ruchomych, ale kobiety generalnie nieźle się w tym sprawdzają. Zdziwiłem się, że ją wyrzucają. Pozaliczala wszystko, więc szkoda było marnować te pieniądze, które poszły na szkolenie... Nawet mój szef coś tam sugerował, ale nikt go nie słuchał. Wie pan, ja nigdy nie byłem za tym, żeby ludziom robić pod górkę. Żołnierz ma swojego dowódcę, który powinien widzieć wcześniej, że są jakieś problemy, chociażby ze sportem. Jak ktoś ma chęć i motywację, żeby służyć, to po co mu przeszkadzać?
– A nie dotarły do pana jakieś słuchy, że ktoś ją zwalnia z innego powodu?
Kapitan uśmiechnął się niewyraźnie.
– Były plotki, ale ja tego nie słuchałem. U mnie Justyna wszystko zaliczyła, w przeciwieństwie do paru innych, którzy z czymś zalegali, więc byłem pewien, że te dwie belki to tylko formalność. Powiedźcie mi, co się stało?
Marcin westchnął.
– Pani Dąbek została porwana i prawdopodobnie zamordowana.
Łukasz zawsze, jak to słyszał, dostawał gęsiej skórki.
– Boże! – Popatrzył na nich przerażony. – Ale czemu pytacie u nas? Piotrek coś by wiedział?
– Sprawdzamy wszystko, co się da. Musimy już jechać. Bardzo panu dziękujemy.
Zostawili osłupiałego oficera za plecami i poszli na parking. Obok ich auta stał wóz żandarmerii, o który opierał się żołnierz w czerwonym berecie. Łukasz dostrzegł z daleka, że również był kapitanem.
– Kozera – przedstawił się bez zbędnych formalności. – Chcę wam coś powiedzieć, chodźmy do waszego auta.
Wsiedli do samochodu, żandarm zajął kanapę z tyłu i zdjął берет.
– Panowie, bez względu na to, co wam powiedział Jaskóła, mam prośbę.
Patrzyli na niego, jakby nie wierząc, że go widzą.
– Chce pan, żebyśmy znaleźli na niego haka. – Marcin chciał zażartować, żeby rozładować zmieszanie, jakie poczuł.
– Tak.
Słomkowski i Meyer spojrzeli po sobie zdumieni. Kozera pochylił się do przodu.
– Mam dość tego faceta. Policja średnio dwa razy w miesiącu wzywa nas do czegoś, co zmalował. Koleś lubi nocne balangi w klubach. Łazi z jakimiś typami spod ciemnej gwiazdy, także z żołnierzami, i robi regularne burdy. No, po prostu lubi się bić. Jak nie spuści łomotu komuś raz na miesiąc, to źle się czuje.

– A nie możecie mu czegoś zrobić? – zapytał niepewnie Marcin. – Za którymś zgłoszeniem powinni go wywalić z wojska.

– To nie jest takie proste. – Pokręcił głową. – Skunks ma w Warszawie jakiegoś kolegę, majora, który był jego wychowankiem i on ukręca łeb każdej sprawie. Z tą całą... Dąbek było tak samo.

Łukasz i Marcin znowu skrzyżowali swoje oczy.

– Podobno chwalił się, jakoby miał obiecane, że się tę sprawę jakoś załatwi...

– A nie ma pan zamiarów na tego majora? – Marcin zamrugał powiekami.

– Nie. Wiem tylko, że pracuje w DWŁadzie. Chodzi o to, żeby wreszcie udupić go tak, żeby go przynajmniej wyjebali na zbity pysk. Jak pójdzie do paki, będę wam dłużny do końca życia. Macie coś na niego? – Opadł zrezygnowany na siedzenie.

– Mamy – wypalił Marcin.

– Mamy? – Łukasz był w szoku.

– Tak. Podczas rozmowy kilka razy nerwowo spoglądał na swoją szafę pancerną. Myślę, że tam jest coś, co może być przydatne.

– Nie zauważyłem. – Łukasz naprawdę niczego nie widział.

– A ja tak. Panie kolego, postaramy się coś poradzić, żeby zdobyć nakaz. My go i tak nie przeszukamy, ale może to, co przekazemy waszym przełożonym wam pomoże.

– Byłoby zajebiście – westchnął. – A w ogóle macie coś poza tym? Wiecie, gdzie dziewczyna może być?

– Nie – powiedział Marcin cicho. – Po rozmowie z Jaskółą miałem wątpliwości, czy jest w to zamieszany, ale jak pan powiedział o tym majorze...

– Sprawdziłbym jeszcze paru. – Znowu nachylił się w ich stronę. – Macie czas jutro?

– Nie. – Łukasz pokręcił głową energicznie. – Jedziemy do Stargardu.

– Nie szkodzi. Pogadam z dowódcą i sam powęszę. W waszych notatkach pojawiło się nazwisko Kowalskiego, on był tu kiedyś wuefistą. Gdyby wyszło, że sfalszował wyniki egzaminu, mógłby mieć kłopoty. Teraz zajmuje jakieś ważniejsze stanowisko, myślę, że nie chciałby go stracić. Szykuje mu się awans na majora...

– Rozumiem. – Marcin kiwnął głową.

– Koleś jest nienormalny. Mieliśmy zgłoszenie kiedyś od jakiejś dziewczyny, też ze szkółki, że kopnął ją na zajęciach z walki wręcz w twarz. Miała wstrząs mózgu i złamany nos. Sprawy nie było, bo go wybronił ktoś w jednostce, ale rozmawialiśmy z ludźmi i mówili, że facet też lubi przyłożyć bez powodu, wykręcić komuś rękę, uderzyć z liścia...

– To czemu go nie oskarżyliście?

Kozera roześmiał się, ale widać było, że nie jest mu wesoło.

– Bo świadkowie nagle o wszystkim zapomnieli. Dobra, lecę. Dajcie znać, gdyby się wam udało coś znaleźć.

– Jedziemy do Stargardu? – zapytał Marcin, kiedy za kapitanem zamknęły się drzwi.

– Tak. Jak już jesteśmy w drodze, to załatwmy to do końca. – Odpalił silnik i włączył się do ruchu.

Rozdział 33

Brennerowi wcale nie chciało się wracać do domu, mimo że czuł, iż dziś już niczego nie załatwi. Siedział po ciemku w swoim gabinecie i gapił się przed siebie. Zawsze tak robił, kiedy odczuwał bezsilność wobec przeciwności losu albo po prostu niepodważalnych faktów, których nie miał ochoty przyjmować do wiadomości.

Po dwudziestej dzwonił Malicki i też nie brzmiał zbyt szczęśliwie.

– Jesteśmy w wielkiej, czarnej i owłosionej dupie – powiedział z westchnieniem.

– Podsluchy nic nie dały? – zapytał Brenner spokojnie.

– Nic. To znaczy, trafiliśmy na ten diamentowy temat, ale nie ma się do czego przyczepić. Ani ABW, ani my nie możemy niczego znaleźć, co naprowadziłoby nas na Justynę albo chociaż na jakiś przekręt gospodarczy. B.S.K. jest czyste, cieszy się nieposzlakowaną opinią i nigdy w nic nie było zamieszane.

– No, ale wydawało mi się, że jednak pan coś wymyślił.

– Tak – odparł niepewnie.

– To niech pan mówi.

– Justyna miała zająć się diamentami. Z jakiegoś powodu jej szef wsadził ją w ten temat i cichaczem chciał zrobić analitykiem. Rozmawiałem dziś znowu z tym Lubickim i on się upiera, że to jest bardzo podejrzanе, bo to podobno coś niespotykanego u nich w firmie. Mój stary nie chce mi wierzyć, że trzeba Słotwińskiego przycisnąć mocniej, przesłuchać, postraszyć... Kurwa, nie wiem sam. Mamy na głowie stado muchomorów z żandarmerii i wszyscy się posrali. Miałem nadzieję, że uda mi się w tym zamieszaniu załatwić coś więcej...

– Czego pan potrzebuje?

– Najlepiej by było zacząć go obserwować. W ogóle obserwować tę firmę cały czas, ale ciężko ustawić radiowóz pod wieżowcem z trzydziestoma piętrami i milionem firm w środku. Trzeba by mieć kogoś tam...

– Lubickiego.

– Słucham?

– Niech pan zaangażuje Lubickiego jako swojego informatora. Albo nie! Ja to załatwię. Trzeba mu będzie potem coś odpalić.

– Jestem kretynem. – Malicki pukał się pięścią w czoło. – Powiniennem był to zrobić wczoraj rano.

– Lubicki dał ciała z Józwińskim. Myślę, że sam wpadł na to, żeby się teraz wszystkiemu dobrze przyjrzeć. Niech mi pan wyświadczy przysługę i poprosi, żeby tu rano do mnie przyjechał. Ale jakoś wcześniej, przed siódmą najlepiej.

– Nie ma sprawy. Zaraz zadzwonię. Aha... Są jakieś wieści o Justynie?

Brenner westchnął.

– Dzwoniła nadkomisarz Gołąb... Policjanci znaleźli pod Kościanem jakieś nadpalone zwłoki w lesie. Kobieta.

– Jezu...

– Na razie nie wiemy nic dokładnie, więc nie mówiłem Meyerowi. Jest w drodze do Stargardu. Podobno w tym Poznaniu było gorąco. Słomkowski był w takim szoku, że ledwo go rozumiałem.

– Ale że co?

– Jaskółka to jakiś socjopata, ma na koncie sporo przestępstw, za które nie poszedł siedzieć i pewnie go nigdy nie posadzą. Podczas rozmowy też zachowywał się dość osobliwie... Na

szczęście w wojsku coś pękło i parę osób z nami normalnie współpracuje. Komendant z WKU Justyny chciał ją skarżyć za to, że nie podała zmiany adresu do ich ewidencji, ale jakiś człowiek tutaj powstrzymał te zapędy.

– Jaja jak berety! – roześmiał się nerwowo Malicki. – No nic. Wysyłam do pana jutro Lubickiego. Będę w kontakcie. Proszę mnie nie zastrzelić, jeśli zadzwonię w nocy.

– Zastrzelę, jeśli pan nie zadzwoni.

Brenner rzucił komórkę na blat biurka i potarł dłońmi zmęczoną twarz. Miał w dupie wojsko i korporacje. Wiadomość o zwłokach w lesie odebrała mu chęci do wszystkiego. W każdej chwili prowadzenia tego śledztwa chodziło tylko o to, żeby znaleźć Justynę żywą. Wszystko inne było tłem bez większego znaczenia...

Rozdział 34

– Malinka, będzie ciężko coś wymyśleć. – Gogol patrzył na nią z poważną miną. – Nie wiesz, kto cię porwał, po co, gdzie są porywacze... Nie załatwimy tu w kilka osób roboty za policję czy CBS. Oni tam się na pewno uwijają od niedzieli jak w ukropie.

– To co mam zrobić? Wrócić do domu i znowu dać się porwać? – W oczach stanęły jej łzy. Zdała sobie sprawę z tego, jak wielkie nadzieje pokładała w tym, że na jej drodze stanęli koledzy i wciąż nieobecny Krokodyl...

Kostek wiedział, że to zaraz może skończyć się katastrofą i wielkim płaczem, więc położył na jej ręce swoją małą dłoń i pogłaskał delikatnie.

– Wiem, wiem...

– Najważniejsze to dowiedzieć się, kto cię porwał. – Pokiwał głową Żółw.

– Żółw, właśnie powiedziałem, że tego nie wiemy. – Gogol przewrócił oczami zdegustowany.

– A pozwolisz mi skończyć myśl bez wtrącania się przez minutę?

– Nie wiedziałem, że nie skończyłeś.

– To się dowiedz. Malina, pomyśl logicznie: jak najłatwiej znaleźć tych ludzi? Czy zostawili gdzieś swoje ślady? Może na ubraniu?

– Spaliłem jej ubrania, kiedy do mnie przyszła – powiedział cicho Jacek. Siedział w kącie i prawie się nie odzywał.

– Aha – powiedział z flegmą Żółw. – Bo rozumiesz, że mogli być notowani i pewnie policja ma ich w bazie.

Gogol położył głowę na stole.

– Ja nie mogę. Tłumaczysz nam to jak dzieciom.

– Odciski mogą być w domu Jacka. – Ziutek podniósł palec. – Byli tam, sami mówiliście.

– Jak mnie porwali, mieli na dłoniach skórzane rękawiczki. – Justyna pokręciła głową.

– Nie sądzę, żeby biegali po okolicy i zostawiali ślady na lewo i prawo.

– No, a w tym lesie, gdzie cię trzymali? – Ziutek nie poddawał się. – Tam je chyba ściągali.

Justyna walnęła się w czoło dłonią zwiniętą w pięść.

– Ja pierdołę!

Jacek spojrzał na nią zdumiony.

– Przepraszam, Jacuś, ale uświadomiłam sobie, że to najprostsze rozwiązanie. Tylko nie wiem, gdzie to było.

– No, ale stamtąd właśnie uciekłaś – roześmiał się Gogol.

– Komputer. – Żółw sięgnął do torby, która stała pod stołem. – Zapodamy wujka Google'a i się dowiemy.

– Jak niby? – Ziutek wyciągnął szyję w stronę ekranu.

– Malinka przypomni sobie wszystkie szczegóły i ustalimy, gdzie to mogło być.

To nie było proste. Dla ułatwienia wstała i zaczęła przemierzać mieszkanie od drzwi do okna w kuchni. Drewniane klepki skrzypiały cicho pod jej ciężarem. Próbowwała odtworzyć szczegóły swojej ucieczki, a Ziutek cierpliwie jej pomagał. Opisała przystanek, na którym wsiadła do autobusu, a nawet zakręt, z którego wyjechał.

– Pamiętasz, jak wyglądał ten kościół? A ten zagajnik przy skrzyżowaniu duży był? Wiesz była rozległa, czy domy stały na kupie? Długo jechałaś autobusem do Kościana?

Po czterdziestu minutach Ziutek z Jackiem potrafili niemal z całkowitą pewnością

określić, w którym miejscu Justyna wyszła z lasu. Żółw znalazł miejsce na mapie i zaczęła się mozolna próba odnalezienia domu, w którym była przetrzymywana.

– Płot, przez który przeskoczyłam, wyglądał na nowy. Wydaje mi się, że postawiono go niedawno, żeby ochronić to miejsce przed nieproszonymi gośćmi, bo sam budynek to jakaś zapleśniała rudera.

– Idealne na porwania – skostatował Ziutek.

– Nie wiesz, o której stamtąd wybiegłaś? – zapytał Gogol.

– Nie wiem. Szarzało. Jechali do apteki...

– Do apteki? – Jacka nagle olśniło. – To mieli daleko, bo jeśli wyjechali tak rano, to znaczy, że wybrali się do Kościana. Bliżej nic nie ma... To znaczy w okolicznych wsiach coś jest, ale dopiero od dziesiątej.

– O dwunastej byłaś w autobusie, czyli mogłaś biec nawet pięć godzin. – Gogol zerknął na nią. – Jestem pod wrażeniem. Z tą głową i siniakami...

– Nie biegłam, to znaczy trzeba liczyć, że spowalniały mnie drzewa i krzaki.

– No to bierzmy pod uwagę prędkość marszobiegu – powiedział Żółw. – Przez pięć godzin mogłabyś przejść około... dwudziestu pięciu do trzydziestu kilosów, jeśli poruszałaś się szybszym niż zwykle tempem.

– Niemożliwe! – wyrwało się jej od razu.

– A to dlaczego? – Żółw spojrzał na nią zdziwiony.

– W życiu bym nie dała rady.

– Malina, uciekałaś bandytom – chichotał Kostek. – Człowiek w takiej sytuacji nie potrafi racjonalnie ocenić swoich sił i możliwości. Mogłaś przebiec nawet czterdzieści. Dawaj, Żółw, sprawdź teren na wschód od tej wsi.

– Nie wiem, czy na wschód. Może na południe, mogłam po drodze trochę zmienić kierunek.

– Damy radę. – Gogol machnął ręką. – Google Earth zaraz nam wszystko powie.

Po pięciu minutach Żółw obrócił swojego Maca w stronę Justyny i spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Może to?

Nachyliła się nad stołem i zobaczyła zdjęcie budynku schowanego między drzewami.

– Nie ma płotu... – powiedziała cicho, jakby do siebie.

– Sama mówiłaś, że był nowy. To zdjęcie było zrobione jakiś czas temu.

– A jest wzgórze? – zapytała, marszcząc czoło.

– Jakie wzgórze? – Gogol zajrzał jej pod ramieniem.

– Dom stał na lekkim wzniesieniu.

– Mam mapę z warstwicami tej okolicy. – Ziutek ucieszył się, bo mógł wreszcie coś powiedzieć. – Podajcie mi współrzędne, to zobaczymy, czy jest wzgórze.

– Ziutek – westchnęła rozpaczliwie Justyna. – To wzgórze było chyba za niskie...

Ale panowie mieli w sobie więcej samozaparcia i nadziei niż ona. Na uparte go stwierdzili, że to jest to miejsce. Justyna nie była na sto procent pewna, ale wydawało jej się, że kształt domu odpowiada temu, co widziała swoim jednym okiem.

– Przebiegła pani, pani Malino, dwadzieścia dwa kilometry i dwieście trzydzieści metrów – powiedział z powagą Żółw.

– To niemożliwe – upierała się znowu. – Nie mam tyle sił.

– A chodzisz na siłownię? Biegasz? – Zadarł głowę Gogol, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Chodzę na siłownię dwa razy w tygodniu i jeżdżę na rowerze, ale... – Usiadła na krześle obok drzwi i oparła łokieć o starą kuchenkę gazową.

– Nieważne. – Gogol odwrócił się gwałtownie w stronę Żółwia. – Dawaj telefon, dzwonimy do Bambiego, niech policja od tej jego pani komisarz tam jedzie i ściąga odciski. Muszę się wreszcie napić piwa i zagrać z tobą w pokera. Mamy pewne rachunki do wyrównania.

– Mogę ja zadzwonić? – Justyna patrzyła na nich błagalnym wzrokiem.

– Malina, pytasz, jakbym mógł ci zabronić. Masz. – Podał jej telefon. – Przekaż mu tę wiadomość. Może jeszcze nie obraca miłej pani policjantki.

– No? – usłyszała z drugiej strony mruknięcie. – Byle szybko, zbliża mi się godzina randki.

– Cześć, Bambi – powiedziała cicho.

– Kto mówi?

– Wiesz mi sto dolarów za te papierosy, pamiętasz? Nadszedł czas zapłaty.

Gogol o mało się nie udusił. Żółw położył głowę na klawiaturze, a jego plecy miarowo podskakiwały od śmiechu.

– Malina? Ja cież pier... Znaleźli cię?

– Nie, coś ty. Te lebiegi nie znaleźliby piasku na plaży. Próbowali włamać się do mojego mieszkania. Złapałam Gogola na gorącym uczynku. W zasadzie powinnam wezwać policję.

– Ty ich znalazłaś? Jak się Krokodyl dowie...

– Wiesz co, pogawędziłabym sobie z tobą dłużej, ale mamy ci do przekazania pewną informację.

– Dajesz.

Kiedy skończyła rozmawiać z Bambim, Gogol wycierał łzy z policzków.

– Normalnie, jak go ta pani komisarz usłyszy z tymi wiadomościami, to go wysysie...

– Gogol! – Justyna mu przerwała i zrobiła gest głową wskazujący na Jacka.

– Co? Chłop chyba wie, o co chodzi?

– Jest księdzem.

Kostek usiadł wygodnie i spojrzał na Żółwia niby z powagą.

– Aha. Księdzem. A ten drugi? Biskupem może?

– Nie, był najemnikiem w czasie wojny radziecko-afgańskiej – powiedziała spokojnie z uśmiechem.

Gogol nie wytrzymał i znowu ryknął śmiechem.

– Malina, ty się nic nie zmieniłaś. Przy tobie zawsze jakieś atrakcje są. Żółw, dawaj te karty, bo zaraz dowiem się czegoś jeszcze i tu zejść ze śmiechu. Pan najemnik reflektuje? – zwrócił się do Zjutka.

– Zawsze, panie kolego, zawsze. – Wstał od stołu i podszedł do lodówki, która wyglądała z zewnątrz, jakby nie działała. Sięgnął do środka i wyciągnął dużą butelkę wódki Finlandia. Zamrażalnik musiał być sprawny, bo szkło było wyraźnie oszronione. – Mój przyjaciel zostawił, żeby się nam dobrze spało pierwszą noc u niego.

– O, rany! – Żółw nawet gdy się cieszył, był spowolniony.

Gogol zatarł małe łapki z zadowoleniem i skinął na Jacka.

– A pan ksiądz gra?

– Nie, dziękuję. – Jacek był blady i bardzo smutny.

– To może łyceczek czegoś na lepszy humor?

– Też raczej nie...

– Trudno. Chciałem pomóc.

– Jest smutny, bo tu obok jest kościół – powiedziała Justyna.

– To niech idzie. Po co się smucić?

Justyna westchnęła i opowiedziała pokrótce historię Jacka, który nawet na nią nie patrzył.

Ziutek polewał wódkę do kieliszków, które również się znalazły, a Gogol rozdawał karty. Wydawało się, że nikt jej nie słucha, ale w pewnym momencie Kostek popatrzył na Jacka jakby poważniej i powiedział:

– Nie bój żaby, robaczku. Coś zaradzimy. Pójdę do biskupa i mu szepnę na ucho parę argumentów. Na każdego można znaleźć sposób, żeby go przekonać do swoich racji.

– Nie wie pan, o czym mówi – powiedział Jacek cicho i schował twarz w dłoniach.

Justyna wstała, podeszła do niego i położyła mu dłonie na ramionach.

– Gogol jest wesołek i wygląda na lekko upośledzonego – mrugnęła do zgromadzonych za stołem – ale zawsze wszystkim dobrze życzy... I ma dużo znajomości.

– O, widzisz, dobrze gada dziewczyna! – Gogol był wyraźnie zadowolony z tego, co usłyszał. – Dawaj, Żółw, musimy się policzyć.

– Idę spać. – Justyna odwróciła się na pięcie do wyjścia.

– Brakowało ci nas, co Malinka? – Gogol uśmiechnął się szelmowsko znad swoich kart.

Popatrzyła na niego i przewróciła oczami.

– Oczywiście. Jak czarnej ospy.

Rozdział 35

Położyła się na dużym łóżku dwuosobowym, które stanowiło jeden z nielicznych mebli. Kiedy weszli do tego mieszkania, od razu pomyślała, że chciałaby w takim mieszkać z Łukaszem. Duże, z widną kuchnią i dość wysokie. Wszędzie był parkiet, który skrzypiał tu i ówdzie. Mieszkanie wymagało remontu i to dość gruntownego, łącznie z wymianą elektryki i zrobieniem łazienki od postaw, ale i tak robiło na niej wrażenie. Gogol śmiał się, że muszą ją pokazać Krokodylowi, to może wreszcie miałby coś swojego.

Wiedziała, że uciekł przez nią. Pojechał do hotelu, kiedy Kostek spotkał się z Żółwiem pod ich osiedlem, a potem już do nich nie dołączył, bo mu powiedzieli, że się znalazła. Stchórzył, po prostu. Była ciekawa, co by było, gdyby się nie dowiedział i gdyby zaskoczyła go swoim widokiem. Gogoła bardzo frapowało to, dlaczego zrotował się tak niespodziewanie, ale sam Krokodyl nie udzielił im żadnej jasnej odpowiedzi na ten temat. Wołała jednak nie zagłębiać się w zagadnienie, bo doświadczenie nauczyło ją, że nic dobrego i tak z tego nie będzie. Jeśli znajdzie w sobie odwagę, to się pojawi i będą sobie mogli wszystko wyjaśnić.

Skuliła się pod kocem, który zabrali z domu Ziutka. Usłyszała gdzieś w oddali dźwięk przypominający odgłos tramwaju. Serce ścisnęło jej się z nagłego żalu i rozplakała się jak dziecko w jednej chwili. Dotarło do niej z całą brutalnością, że jest w Warszawie, prawie w domu i chociaż była parę godzin wcześniej pod własnymi drzwiami, to teraz, gdy napięcie opadło, puściły tamy tłumionych emocji.

Do pokoju wszedł Jacek. Przeczynał, że może być z nią krucho. Podeszedł do łóżka i usiadł na brzegu. Dopiero wtedy go zauważyła.

– Nie wiem, co mam robić – szlochała. – Jak to rozwiązać.

Wziął ją za rękę.

– Nie rozwiążesz. Nie jesteś superbohaterką z filmu, tylko zwykłą dziewczyną w tarapatkach. Gogol ma rację, nie rozprawisz się z czymś, z czym nie radzą sobie służby specjalne. Justynka, skąd u ciebie taka potrzeba brania wszystkiego na swoje barki? Musisz nauczyć się być słaba.

Nic nie odpowiedziała, ale jej płacz nieco ucichł.

– Musiałaś wiele dźwigać, kiedy byłaś młodsza, prawda?

Spojrzała na niego w ciemności.

– Musiałam. Był dom i matka, która z niczym sobie nie radziła. Młodsza siostra ciągle chorowała. Ojciec odszedł, a potem kopnął w kalendarz gdzieś na Śląsku. Nie było wyjścia.

– Pozwól więc, że teraz ktoś ci pomoże i rozwiąże to za ciebie.

– Kto?

Roześmiał się cicho.

– Jakbyś nie zauważyła, w kuchni siedzi mała ekipa, która jest tu ze względu na ciebie. Naprawdę chcą pomóc, więc pozwól im poczuć się ważnymi gośćmi, którzy cię uratują. Facetom to jest potrzebne. Wiesz, co oni czują na myśl, że dałaś nogę zbirom? Przebiegłaś tyle kilometrów i nie straciłaś ani przez chwilę jasnego osądu sytuacji... Kładziesz na głowę większość mężczyzn w promieniu kilkuset kilometrów.

Słyszał, że dalej płacze. Była w rozsypce, ale nie miał zamiaru jej w tym przeszkadzać.

– Nie położę się koło ciebie, bo jestem księdzem, a nie kastratem – roześmiał się znowu – ale mogę tu klęknąć obok i się z tobą pomodlić.

– Niewiele się modłę.

– Ja ostatnio też, ale może lepiej nam pójdzie, jak zrobimy to razem.

Trzymał ją mocno za rękę i zaczął od *Ojciec nasz*. Nie była w stanie powiedzieć słowa, ale poruszała ustami, połykając łzy. Przy pierwszym *Zdrowaś* poczuła, że mieć takiego przyjaciela jak Jacek to coś zupełnie innego, niż być w związku z mężczyzną takim jak Łukasz, i że chce go mieć zawsze blisko siebie.

Muszę porozmawiać z Gogolem. Niech mu pomoże zahaczyć się w Warszawie. Wyśle się go do biskupa i coś załatwi.

Przy drugim *Zdrowaś* wiedziała, co powie Jackowi, i sama się sobie dziwiła, że jeszcze na to nie wpadła. Przy trzecim dotarło do niej, co musi zrobić, żeby się wykaraskać z tych opalów. Jeszcze nie miała pomysłu, jak to zrobić, ale od tego miała Gogola i Bambiego pod ręką, żeby jej pomogli. Do czwartego nie dotrwała – zasnęła.

Rozdział 36

W kuchni gra im się nie kleiła. Butelka opróżniona była do połowy. Gogola gnębiły „przeczcucia”.

– Z Maliną jest tak: jak jest dobrze, to jest źle. Jeśli nic się nie dzieje, płacze i wszystkiego się boi. Każdy facet wtedy czuje, że chce jej pomóc, przytulić, zaopiekować się... No, powiedz sam, Żółwik, czy tak nie jest?

– No, jest – mruknął Żółw znad laptopa.

– Jak do nas trafiła, wszyscy Amerykanie się w niej zakochali. Każdy leciał, żeby coś jej ponieść albo przynieść, albo tylko żeby sobie przy niej posiedzieć. U nich ta paranoja z równouprawnieniem i wszędzie molestowanie widzą, to taka Malinka z oczkami jak u sarenki była dla nich objawieniem. Ukraińcy śpiewali jej piosenki i też chcieli na rękach nosić...

– Ale nas nie lubiła. – Żółw pokiwał palcem.

– Nie, nie lubiła. Ofukiwała nas, obchodziła wielkim łukiem. Jak któryś się zbliżał, dostawała kolców i syczała. Ale przyszło co do czego... i okazało się, że to jakaś diablina. Nerwy ze stali, zero łez. Nie wiedzieliśmy, co myśleć. Miała być z nami trzy miesiące, krótki kontrakt, parę prostych akcji, głównie przebieranek. Wyjechała po półtora roku i zostawiła wszystkich ze złamanymi sercami.

– A co tam z wami robiła? – To Ziutka najbardziej interesowało.

– Potrzebowaliśmy kobiety do różnych zadań, to się ją w przebraniu miejscowej gdzieś posyłało. Pod spodem miała kamizelkę, pistolet, jakiś nóż... No i to jest problem Maliny. Musi być akcja, żeby pokazała, na co ją stać. Ale inny problem jest taki, że Malina musi mieć kogoś, kto ją dobrze poprowadzi, zmotywuje, dopieści. Krokodyl długo tego nie wiedział. Mieliśmy takiego swojego dowódcę, Amerykanina, on od początku ją wyczuł. A Krokodylek, stara polska szkoła, nie rozumiał, że trzeba się czasem wysilić, żeby w człowieku potencjał zobaczyć.

– To co się zmieniło? – Ziutek oparł brodę na dłoni i wpatrywał się w Kostka zasłuchany. Gogol zrobił krzywą minę. Żółw westchnął i spuścił wzrok na ekran komputera.

– Chyba się zakochał, bo mu zależało, żeby na niego uwagę zwróciła. A że opcja „Malina się zmienia” nie wchodziła w grę, to wdrożył opcję „Krokodyl zmienia siebie”. I wyszło mu to na dobre. Nam zresztą też, bo się fajny chłop z niego zrobił, chociaż dalej jest mruk.

– Mieli romans? – zapytał Ziutek z uśmiechem.

Gogol i Żółw parsknęli śmiechem.

– Nie. To nie wchodziło w rachubę – śmiał się Gogol, kręcąc głową. – Niespełnione marzenie Krokodyla... Ech... Ale ja nie o tym chciałem. – Wychylił kieliszek z wódką i się skrzywił. – Chodzi o to, że właśnie teraz jest akcja i Malina jest nakręcona.

– To źle? – zdziwił się Ziutek.

– Katastrofa. – Machnął ręką. – Malina myśli. I jestem pewien, że już wymyśliła, co zrobić. Jutro wstanie i zastrzeli nas pomysłem, który będzie równie głupi co mądry, podobnie jak ten z ucieczką porywaczom. A jestem tego pewien, bo coś przebąkiwała, że ma jakiś plan, który jej się nie powiodł, kiedy chciała dziś wejść do swojego domu.

– To może trzeba ją od tego odwieść? – Ziutek starał się rozumować logicznie.

– Nierealne. Plan na pewno zakłada środki na granicy legalności i wyda nam się genialny. Kupimy go i zrealizujemy, zanim zdążymy pomyśleć, że to jakiś obłąd.

– Fajnie. – Stary najemnik uśmiechnął się szeroko, aż wszystkie zmarszczki zrobiły mu się trzy razy większe.

– Nie wiem, czy tak fajnie, jak jutro zaczniemy szukać po Warszawie jakichś sztuk broni

- skrzywił się Gogol.
- Mamy broń. – Ziutek wyprostował się. – Wziąłem parę zabawek ze sobą.
- Po co? – Tym razem Gogol się nie śmiał.
- Justynka mnie prosiła. – Zamrugał oczami.
- Konstantemu opadły ramiona. Żółw spojrział na niego nieprzytomnym wzrokiem.
- Co jest? – zapytał, jakby właśnie się obudził.
- Weź mi polej. – Gogol podstawił kieliszek.
- Żółw wziął do ręki butelkę, ale nie nalał wódki, bo zaczął się nad czymś zastanawiać.
- Rozejrzał się wokoło i zmarszczył brwi. Nalał wódkę Gogolowi, a gdy odstawił flaszkę, zaczął się nagle śmiać. Schował twarz w dłonie i rechotał na całego.
- Ja nie mogę! – jęknął na wysokim tonie.
- Ziutek był zdezorientowany, ale Gogol machnął ręką.
- Normalne. Na pewno właśnie zrozumiał pointę jakiegoś kawału, który ktoś mu opowiedział miesiąc temu.
- Bo ja sobie uświadomiłem – odsłonił czerwoną ze śmiechu twarz i spojrział na nich pełnymi łez oczami – jak się muszą czuć teraz jej porywacze.
- Gogol popatrzył na niego z politowaniem.
- Też nie masz o czym myśleć w środku nocy.
- Wyobraźcie to sobie: ktoś porywa panią z korporacji i myśli, że wyjdzie z tego cało, bo porwał idiotkę. A na drugi dzień leży w kostnicy.
- Gogol też zaczął chichotać.
- A ona ściąga do Warszawy pół sekcji jakichś komandosów, jednego księdza i przyjeżdża tu samochodem wyładowanym bronią. To jest dopiero heca.
- Kiedy Jacek wszedł do kuchni, zastał całą trójkę tarzającą się ze śmiechu. Zerknął podejrzliwie na butelkę, ale nie była pusta. Nie zauważył też żadnych prochów albo skrętów.
- Dobrze się czujecie?
- Doskonale – odpowiedział Ziutek. – Siadaj, Jacuś, zagrajmy sobie.

Rozdział 37

Widział ją z daleka, jak drobi na swoich szpilkach w stronę parkingu. Mieli spotkać się godzinę wcześniej, ale dobrze wiedział, że to może być trudne. Wsiadła do jego auta, zdyszana i z rumieńcem na policzkach.

– Cześć. – Żaneta uśmiechnęła się promiennie i od razu przechyliła się w jego stronę, objęła rękami jego głowę i ugryzła w ucho. – Przepraszam za spóźnienie, ale wszystko ci wynagrodzę.

– Biegasz w tych szpilkach w teren? – zapytał ze śmiechem Bambi.

– Zdarza się. Jak wyciągaliśmy mercedesa, o mało nie ugrzęzłam na dobre. Masz coś dla mnie?

– Mam. – Kiwnął głową. – Ale powiedz mi: czy twoje spóźnienie ma coś wspólnego z tą sprawą?

– Oj! – Zamachała rękami, jakby odganiała coś od siebie. – Okropna sprawa. Znaleźli spalone ciało kobiety pod Kościanem. Od razu wszyscy myśleli, że to ta porwana, musiałam mocno się powstrzymać, żeby nic nie wygadać. Robią jej teraz badania DNA. Poza tym znaleźliśmy w jakiejś beczce przy jeziorze spalone ubrania, które pasują do tego, co miała na sobie Justyna. W domu obok było kilka jej odcisków, więc moi koledzy są pewni, że tam ją przetrzymywali...

Spojrzała nagle na niego.

– Ona żyje, prawda? I wiesz, jak mogę ją znaleźć? – Podniosła się i wśliznęła mu na kolana, zadzierając ciasną spódnicę po same uda. – Powiedz, że coś masz.

Bambi czuł się w tym momencie na tyle dobrze, że nie miał chęci od razu mówić o tym, co wie. Przypuszczał, że to ostudzi namiętność pani komisarz.

– A co ci na tym tak zależy? – zapytał, kiedy całowała go po całej twarzy.

– Pomyśl sam, taka sprawa to byłby przełom dla mnie. Zostałabym inspektorem i to nie jakimś tam rzecznikiem prasowym, tylko takim prawdziwym... – mruczała mu przy uchu. – Mój Danielek pękłby z dumy.

– Kto? – Zmarszczył brwi.

– Mój mąż – powiedziała, nie przerywając pieszczot. – On jest zawsze bardzo ze mnie dumny. Zawsze we mnie wierzy...

Bambi poczuł, jak jego libido w tym momencie osiąga poziom równy zeru. Zdjął dłonie z pośladków Żanety i lekko odsunął ją od siebie.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. To bardzo ważne i chyba będziesz musiała dziś znowu wrócić do pracy.

– Nie może zaczekać? – Oparła się plecami o kierownicę i spojrzała zdziwiona w jego twarz.

– Nie, ktoś może przecież gwizdnąć ci sprzed nosa ten awans. Mam dokładne zamiary na miejsce, w którym Justyna była przetrzymywana.

– Żartujesz?! – Zerwała się z jego kolan i usiadła obok, wciskając koszulę w spódnicę.

– Ale to jest pewne?

– Tak. – Wyciągnął z marynarki kartkę i podał jej. – Tu są współrzędne. Jedźcie tam i zdejmijcie odciski palców. A jak już będziesz wiedzieć, kto to był, to natychmiast daj mi znać.

Patrzyła na kartkę z roziskrzonymi oczami i szybko oddychała.

– Mam w Warszawie kolegę, który prowadzi to dochodzenie trochę prywatnie...

– Nie dawaj mu tego – uprzedził jej pytanie. – Nie przez najbliższe godziny.

- Ale on współpracuje z jej mężem.
- To tym bardziej. Ja współpracuję z żoną tego męża.
- Co ty... – Oczy Żanety były w tym momencie bardzo duże. – Ona...
- Ukrywa się. – Kiwnął głową.
- No to nie będzie awansu – powiedziała z żalem w głosie Żaneta. – Ale nieważne. Jak będę już wiedzieć, dam ci nazwiska tych ludzi. Mam nadzieję, że byli notowani... Jest tylko jeden problem.
- Jaki?
- Oni nie są w ciemni bici. Na puszkach były odciski tylko Justyny. Nawet żarcie podawali jej w rękawiczkach. Dlatego moi są pewni, że ta spalona to Meyerowa. Uważają, że tamci zabili ją w poniedziałek rano, potem tego łysego i wyrzucili go do tej szopy razem z puszkami.
- A co ty uważasz?
- Ja uważam, że tak chcieli zrobić, ale gdyby zrobili, toby jej nie szukali po chałupach. Mieli zaplanowane, żeby czegoś się od niej dowiedzieć, a potem błyskawicznie zabić i zatrzeć ślady. Wszystko prawie się udało, poza tym, że im nawiała. I jestem pewna, że to ona ukręciła ten wielki kark.
- Tobie naprawdę należy się ten awans, Żaneta. – Bambi uśmiechnął się.

Rozdział 38

Nie płakał. Już nie miał siły. Leków też nie brał, bo nie widział sensu poprawiania swojego stanu. Najwyżej serce mu pęknie albo oszaleje do reszty i całe życie spędzi w jakimś zakładzie, może z Walickim na jednej sali.

Słomkowski spał. Nie słyszał informacji, które podali w radiu. Stacja była jakaś lokalna, lubuska, a wiadomość o znalezionych zwłokach kobiety pod Kościanem pojawiła się krótko po północy. Nie zatrzymywał samochodu, choć nie widział sensu dalszej podróży. W głowie z całkowitą jasnością rodziły się domysły, co mogło się stać.

Na puszkach nie było odcisków porywaczy. Zabili kolegę, który nie mógł ich doprowadzić do pozostałych. Upozorowali wszystko tak, żeby zmylić policję i dać sobie czas na ucieczkę. Osoba, którą widzieli na monitoringu, to jakiś przypadkowy człowiek, podobnie ubrany.

Czuł się jak idiota, kiedy myślał o tych godzinach spędzonych z Malickim na domysłach w ich kuchni. Był na siebie zły za nadzieje, które w nim rozbudziły. Na Malickiego też był zły.

Droga była niemal pusta, więc jechał wciąż przed siebie. Radia nie wyłączał. Liczył, że powiedzą coś więcej w następnych wiadomościach. Ale o pierwszej ta sama stacja milczała na temat zwłok. Przerzucił szybko na ogólnopolską, potem na następną. Ciągle nic.

Marcin obudził się nagle i spojrzał na niego zdziwiony.

– Daleko jeszcze?

– Zaraz będzie rozjazd na Szczecin i Stargard. Potem już niedaleko.

– Szybki jesteś. W hotelu otworzą nam o tej porze?

– Tak, Tomasz wysłał mi wiadomość, że uprzedzał o naszym późnym przyjeździe przy robieniu rezerwacji.

– To dobrze. Nic nie spałeś.

W pokoju hotelowym od razu położył się na łóżku. Nie zdejmował ubrań ani nie zapalał światła. Leżał w ciemności i patrzył w sufit.

Brenner na pewno wie. Nie zadzwonił...

Obrócił się na bok i od razu zasnął.

Przy śniadaniu przyglądał się Słomkowskiemu, szukając oznak mówiących, że o czymś wie, ale Marcin zachowywał się całkiem normalnie. Nalewał sobie kawę i szybko pochłaniał kolejne kanapki i jajecznicę. Łukaszowi nie chciało się jeść, ale nałożył sobie coś na talerzyk i próbował przeżuwać.

Marcin uparł się, że teraz on będzie prowadził, ale do jednostki nie było daleko. Trzeba było minąć rondo i przejechać pod wiaduktem kolejowym, a potem prosto do końca ulicy pod samą bramę. W biurze przepustek kobieta w mundurze firmy ochroniarskiej wzięła od nich dokumenty i spisała numery odznak, zaznaczając, że nic nie wie o ich wizycie.

– Brenner mówił, że tu jest wszystko załatwione – powiedział Łukasz, kiedy zniknęła w dyżurce z ich dowodami.

– Spokojnie. Na pewno odsiedzimy tu swoje, zanim ktoś się ruszy. Która jest godzina?

– Ósma.

– No to daję nam godzinę. – Marcin oparł głowę o zagłówek i skrzyżował ręce na piersiach.

Jednak po dziesięciu minutach przy szlabanie pojawił się młody sierżant, który podszedł do samochodu. Oddał honor i uśmiechnął się niewyraźnie.

– Dzień dobry, sierżant Borkowski. Zostałem wysłany, żeby z panami porozmawiać.

Dowódca jest zajęty i poproszono mnie... – zawahał się. – Panowie w sprawie tego przetargu?

– Nie. – Marcin pokręcił głową. – Prowadzimy śledztwo w sprawie... – Machnął ręką i wysiadł z auta. Łukasz poszedł w jego ślady.

– Może nas pan zaprowadzić gdzieś, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

Sierżant wskazał im drogę i weszli do jednostki. Poszli prosto, mijając z lewej plac apelowy, i weszli na kompanię, gdzie na parterze znajdowała się jakaś świetlica, całkiem solidnie wyposażona w sprzęt audio-video.

– Niech panowie usiądą. – Wskazał im miejsce przy stole.

– Panie sierżancie, jesteśmy z Centralnego Biura Śledczego i mamy do pana kilka pytań związanych z Justyną Dąbek, która tu pracowała jakiś czas temu...

Borkowski otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale przez dłuższą chwilę milczał.

– Znał ją pan? – zapytał Marcin.

– Tak. – Spuścił wzrok. – Pracowaliśmy na jednej kompanii. W zasadzie byliśmy nawet razem w szkole w Poznaniu, a potem tutaj... Coś z Jaskółą?

– Skąd takie przypuszczenie? – Słomkowskiemu zrobiło się gorąco, ale starał się nie okazywać emocji.

– No bo to on najwięcej szalał, jak byliśmy w szkole... Strasznie się do niej przyczepił, znęcał się i ciągle o niej mówił. Miał jakąś obsesję, a my mieliśmy dość, bo każdy apel zaczynał się od mówienia o tym, co zrobiła Justyna i co on na ten temat sądzi. Nie wiem, jak ona to wytrzymała. Ja bym zrobił coś sobie... albo jemu. Ale milczeliśmy wszyscy, każdy się go bał, a ci co się nie bali, to mieli z tego ubaw.

Łukasz opuścił głowę na pierś i zacisnął dłonie, ale nie miał ochoty się odzywać.

– No, dobrze, a jak tu przysła... Coś się działo?

– Początkowo nie. Ludzie ją lubili. Inni szeregowi wiedzieli, że była w szkole, więc słuchali jej nawet we wszystkim, bo chętnie pomagała w nauce, przy czyszczeniu broni. Tu była mała grupka dziewczyn, to im trochę matkowała. Ale potem to też się rozpieprzyło.

– Dlaczego?

– Przyszły tu za nią plotki z Poznania. Dowódcy, i nie tylko, zaczęli gadać między sobą i opowiadać zasłyszane historie. Najgorzej było na taktykach... Mieli takiego majora, który odpowiadał w jednostce za szkolenie z działań taktycznych wojsk. I on odgrażał się, że jej pokaże, gdzie raki zimują i co to znaczy wojsko. Mówił to, zanim ją w ogóle zobaczył. Zachowywał się tak, jak Jaskółą. Nie był może takim psychopata, ale widać było, że ma z nią jakiś problem. Robił jej pod górkę, jeśli szło o ocenianie. Wszystko, co Dąbek, to było złe.

– Miał powody, żeby tak postępować? – zdziwił się Marcin. – Uraziła go czymś?

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Musicie o to zapytać jej koleżankę, Justynę.

– Kogo? – Łukasz ocknął się z letargu.

– Mieszkała w internacie z dziewczyną o tym samym imieniu. Ona jest teraz kapralem, zrobiła kurs.

– Pracuje tu?

– Tak. Widziałem, że siedzi dziś ze swoją drużyną przy Rosomakach na garażach.

– Jeszcze jedno: jak nazywał się ten major? – Marcin wyciągnął notatnik.

– Sarnowski. Ale nie ma go tu teraz. Dostał awans i jest w Brukseli.

– Rozumiem. – Słomkowski kiwnął głową. Popatrzył na Łukasza i znowu zwrócił się do sierżanta. – Czyli, według pana, atmosfera wokół pani Dąbek nie była dobra?

– Nie. Po jakichś sześciu miesiącach zrobiło się to samo co w Poznaniu. Wiem, że martwiła się też o WF, bo ciągle miała kłopoty z zaliczeniem jednej konkurencji, więc poszła do wuefisty, żeby jej pomógł. Olał ją. Powiedział, żeby któryś z kolegów na kompanii podrzucił jej

jakiś trening. Była załamana, kiedy z nią o tym rozmawiałem. Uważała, że specjalnie będą robić trudności, żeby w maju nie udało jej się zdać.

– Czy wie pan o czymś, co mogło szczególnie uprzykrzyć życie pani Dąbek? Coś, co spowodowałoby u niej załamanie psychiczne, konieczność pobytu w szpitalu...

– W sumie wszystko, co tu się działo, było beznadziejne. Z miesiąca na miesiąc gasła i traciła motywację... – Spojrzał na nich wystraszony. – Powiedźcie mi, czy Justyna się zabiła?

– Nie. – Łukasz pokręcił głową. – Została zamordowana. Wczoraj znaleziono jej spalone zwłoki w lesie pod Poznaniem.

Marcin poczuł, jakby ktoś uderzył go w głowę. Krew spłynęła mu do stóp i był pewien, że zaraz zemdleje. Borkowski wyglądał nie lepiej.

– Muszę wyjść. – Słomkowski podniósł się i skierował w stronę drzwi.

Łukasz znalazł go w łazience obok. Marcin rzygał, trzymając się ściany w kabinie. Meyer oparł się plecami o zimne kafelki i zamknął oczy.

– Skąd o tym wiesz? – twarz Marcina przypominała szary papier toaletowy.

– Słyszałem w wiadomościach o północy w jakimś radiu. Nie mówili, że to ona, ale ciało znaleźli w lesie pod Kościanem.

– Brenner dzwonił?

– Nie. Pewnie będą czekać na wyniki DNA, zanim mi powiedzą. Żadna stacja potem nie powtórzyła tej wiadomości, więc ktoś już ich uciszył.

Słomkowski pokręcił głową i podszedł do umywalki. Odkręcił wodę i umył twarz zimną wodą. W drzwiach pojawiła się przygarbiona postać Borkowskiego.

– Zaprowadzę was do Justyny. Miałem was wygonić po rozmowie, ale możecie nie mieć szans jej przesłuchać... Ona naprawdę może dużo wiedzieć. Tylko... nie mówcie nikomu, że to ja wam o niej powiedziałem.

Łukasz dał znak głową Marcinowi i poszli za sierżantem.

Przed garażami stało kilka Rosomaków, przy których kręcili się żołnierze. Na szczycie jednego z wozów siedziała wysoka szatynka z włosami związanymi w kucyk. Borkowski zawołał ją. Zeszła z ociąganiem i zbliżyła się do nich, mrużąc oczy.

– Mam zajęcia. Muszę skończyć do obiadu. – Nie wyglądała na zadowoloną.

– Panowie są z policji – powiedział cicho. – Porozmawiaj z nimi. Przyszli w sprawie Justyny.

Nie wymienił nazwiska, ale pani kapral od razu wiedziała, o co chodzi.

– Policja? – roześmiała się nerwowo. – Czego Justyna chce?

Łukasz zmarszczył czoło. To pytanie zastanowiło również Marcina.

– Pan sierżant mówił, że mieszkała pani z Justyną Dąbek w jednym pokoju w internacie – zaczął Słomkowski bez wstępów i prezentacji siebie i Łukasza. – Czy byłyście w bliskich relacjach?

– Mieszkałyśmy razem, to chyba dużo...

Łukasz wyczuł w niej lęk, jakby bała się ich.

– Żeby nie przedłużać: co może pani powiedzieć o jej relacjach z majorem... – zerknął do notatek – Sarnowskim?

– O, Boże! – Pokręciła głową i znowu roześmiała się w sposób, który dowodził raczej tego, że jest bardzo podenerwowana. – Ona jest śmieszna. Po co to ruszać po takim czasie?

– O czym pani...

– Dlaczego uważa pani, że nie jest dobrze oskarżać o mobbing po takim czasie? – przerwał Marcinowi Łukasz. Słomkowski zrozumiał, że chce ją podejść sprytem. – Znęcał się nad nią, doprowadził ją do załamania nerwowego, musiała odejść ze służby... To mało, żeby

dochodzić swoich praw?

– Sama się prosiła – powiedziała cicho, unikając ich wzroku.

– Proszę rozwinąć.

– Mówiłam jej, że tu trzeba udawać, że się jest zadowolonym, trzeba się ładnie uśmiechać, nawet jak obrzucają błotem. O, tak. – Wyszczrzyła w nienaturalny sposób zęby, pokazując, jak ona to robi. – A nie zaraz się oburzać. To jest wojsko. Tu trzeba siedzieć cicho. Chodzić, jak każą, i się nie wychylać... Ale ona musiała robić te swoje miny, jak jej się coś nie podobało. Śmiała się z Sarnowskiego...

– Jak to, śmiała się? – Marcin był lekko ogłupiały.

– No, tak. Miała go za debila. Facet się przy niej motał. Wszyscy się go bali, a ona stała w szyku i miała tę swoją minę... jakby szydziła z niego. Od samego początku.

– Ale nie mówiła mu niczego? – upewnił się Słomkowski.

– Nie musiała.

– Nie rozumiem. – Łukasz naprawdę był zdezorientowany. – Dlaczego on się motał? To był jakiś gamoń?

– Nie. – Uśmiechnęła się nieco mniej nerwowo. – Był nawet przystojny, taki bardzo męski i pewny siebie... Kurcze, wszyscy go mieli za twardziela i wielkiego fachowca, ale przy Justynie tracił rozum. No... zmieniał się.

Marcinowi przemknęła przez głowę uporczywa myśl, że ten motyw zaczyna robić się nudny, ale uznał, że byłby idiotą, gdyby to okazał Łukaszowi.

– Aha... – Łukasz zamyślił się. – Pani Justyno, czy działo się tu coś jeszcze innego, co było niepokojące?

– Ale co?

– No, czy pani Dąbek miała problem z kimś jeszcze?

– Wszyscy mieliśmy problem z naszym dowódcą kompani.

– Na czym polegał?

– To był jakiś stary kapitan, którego ściągnęli z emerytury. Sławczuk się nazywał.

Traktował nas jak śmieci. Wyzywał od „jebanych małp”, mówił, że nas wszystkich urządzi tak, że nas wywalą z armii...

– Ale za co niby?

– Za nic. – Wzruszyła ramionami. – Po prostu był chamem i sukinsynem. Nienawidził nas. Cokolwiek byśmy zrobili, było źle. Nasi dowódcy drużyn mieli najgorzej, jeździł po nich jak po burych sukach. Taki był i już...

– I nic nie zrobiliście?

Roześmiała się okropnym śmiechem.

– A co mieliśmy zrobić? Dąbek odeszła, to se poszła do sądu. My tu musimy jakoś przetrwać.

– Czy mi się wydaje, czy w pani głosie słyszę rozżalenie na koleżankę? – Słomkowski zmrużył oczy.

– Bo ona myślała tylko o sobie. – Dalej na nich nie patrzyła. – Widziała czubek własnego nosa i tylko to, że jej jest źle. Jakby nikogo innego nie było wokół. Wróciła ze szpitala, zabrała rzeczy i sobie pojechała. Nawet się z nikim nie pożegnała. Przyszłam do pokoju i było pusto.

– Może nie czuła, że pani zależy na pożegnaniu się z nią? – Łukasz starał się złapać jej wzrok.

– Nie wiem... – Znowu wzruszyła ramionami i przygarbiła się mocniej.

– Pani Justyno – zaczął Słomkowski cicho – Justyna Dąbek została w niedzielę porwana przed swojego domu i najprawdopodobniej zamordowana.

– Co? – Wreszcie na nich spojrzała z wykrzywioną twarzą.
– Jesteśmy tu, żeby ustalić, czy komuś z jej przeszłości mogło zależeć na jej śmierci.
– Komu? – prawie krzyknęła. Usta drżały jej mocno. – Tutaj nikt by...
– Nie wiemy. – Marcinowi zrobiło się jej żal, choć początkowo czuł lekką odrazę po tym, co im opowiedziała. – Szukamy wszelkich możliwych śladów, także w wojsku. Dam pani numer kontaktowy do nas. Niech się pani odezwie, gdyby miała pani coś jeszcze do powiedzenia. Dziś już nie będziemy pani męczyć.

Rzuciła okiem na kartkę z numerem telefonu i nazwiskiem Marcina i opuściła rękę w geście bezradności. Odeszli, zostawiając ją tak, jak stała.

Kiedy wsiedli do auta zaparkowanego za bramą, Słomkowski położył dłonie na kierownicy, ale nie odjeżdżał.

– Dlaczego nie jedziemy? – Łukasz spojrzał na niego zdziwiony.

– Dlaczego tego nie przeżywasz? Ja mam dość, a ledwo ją znałem. Mam dość gadania z tymi ludźmi w zielonych uniformach, słuchania ich pierdolenia. Chwilami nie wierzę, że mówią to naprawdę. Przecież ta jej koleżanka to jakaś idiotka! Słyszałeś, co mówiła? A ty... nie powiedziałaś mi o Justynie, o tych zwłokach... To jest wszystko jakieś chore!

Oparł głowę o kierownicę i ciężko oddychał.

– Pokłóciłem się z Justyną o ciebie – powiedział bardzo cicho Łukasz.

– Jak to? – Podniósł się i spojrzał na niego zmęczonym wzrokiem.

– Mówiłem, że jesteś słaby i nie nadajesz się do tej pracy... Takie tam. Dostało mi się za to. Powiedziała, że jesteśmy bandą idiotów z głupimi gębami i małym ego, którzy muszą sobie podnieść poczucie własnej wartości, ujeżdżając słabszego kolegę, a tak naprawdę, gdybyśmy mieli rozum, powinniśmy traktować cię najlepiej ze wszystkich.

– Tak powiedziała?

– Tak. Mówiła, że jeśli jesteś taki słaby, to trzeba cię szybko wszystkiego nauczyć, żebyś nie stanowił podczas akcji zagrożenia. Miała też teorię, że jesteś podstawiony i przysłali cię z góry, żeby nas szpiegować. Widzę, że trzeba cię naprawdę dużo nauczyć...

– To drugie – powiedział niespodziewanie Marcin.

– Nie rozumiem.

– Jestem szpiegiem.

– Co? – Łukasz o mało się nie roześmiał.

– Śledzę waszą komórkę, bo jest podejrzenie, że macie u siebie kapusia.

Łukasz potrząsnął głową, jakby chciał się obudzić.

– Po akcji z tą hurtownią, kiedy okazało się, że w środku nic nie było, Brenner nabrał podejrzeń, że ktoś u was jest opłacany, i poprosił o wsparcie. Dlatego przyszedłem.

Meyer zakrył twarz dłońmi, ale po chwili oderwał ręce od głowy i spojrzał na Marcina.

– I co? Dowiedziałeś się czegoś?

– Jedźmy stąd. Pogadamy po drodze.

Rozdział 39

Podczas odprawy praktycznie nie słuchał, o czym jest mowa. Docierały do niego strzępy zdań, które jego przełożony wyrzucał z siebie jak zacinający się karabin maszynowy. Patrzył na niego i wyraźnie pouczał, ale nie miał do tego głowy.

– Panie kolego, proszę współpracować z wojskiem – zrozumiał na przykład. – Nie życzę sobie sytuacji, w których pana ludzie przesłuchują osoby, których jednostka do tego nie wyznaczyła. Mam od poniedziałku rano urwanie dupy z tymi wojskowymi i zaczynam mieć tego dość...

I w tym stylu ciągnął swój wywód. Brenner miał to głęboko w poważaniu. Łysy łeb pracował na wysokich obrotach po rozmowie z Lubickim. Miał wrażenie, że między uszami ma rozgrzaną lawę, która zaraz wypłynie albo rozsądzi mu czaszkę. Darował sobie nawet tłumaczenie Meyera jako męża ofiary. Nigdy nie był dobry w rozgrywaniu śledztw zgodnie z politycznym trendem, interesowało go tylko ich szybkie rozwiązanie.

Jesteśmy debilami. Wszyscy! Lubicki od początku mówił, że ten awans Justyny robiony po cichu nie jest normalny. Trzeba było zająć się tym od początku, a nie babrać z wojskiem. To oczywiste, że tylko ktoś z dużą kasą mógł opłacić speców od porwań i zrobił to tak, że nie uda się nam dotrzeć do zleceniodawcy. Ten fałszywy Józwiński też prawdopodobnie nie wie, kto go wynajął.

Kiedy wreszcie jego szef skończył odprawę, Brenner zerwał się z krzesła i bez słowa wybiegł z budynku. Wyciągnął telefon i zadzwonił do Malickiego.

– Niech mnie pan posłucha – zaczął bez wstępów – olewamy wojsko. Choć pan pewnie już dawno to zrobił... Lubicki będzie współpracował. Trzeba go wesprzeć, jak się da. Zajmie się pan tym?

– Oczywiście. Umówiłem się z nim dziś na popołudnie na dłuższą rozmowę, ustalimy szczegóły.

– Bardzo dobrze. – Brenner nawet się zdziwił, że Malicki przejął inicjatywę.

– Aha... i jeszcze jedno.

– Co jest?

– Jeśli chodzi o te zwłoki...

– No – Brenner westchnął ciężko i zamknął oczy. – Musimy poczekać na wyniki...

– No właśnie nie musimy. – Malicki zawahał się. – W zasadzie uważam, że powinniśmy się bardzo śpieszyć, ponieważ wiem z pewnego źródła, że to nie Justyna.

– Słucham?

– Jakby to powiedzieć... Niech mi pan po prostu uwierzy na słowo. Justyna... jest ciągle w niebezpieczeństwie, nawet jeśli nie mają jej porywacze.

– O czym pan opowiada? Nawalił się pan?

– Nie – roześmiał się Malicki. – Sam pan wie, że robię pewne rzeczy na własną rękę. Proszę, niech pan traktuje tę sprawę tak, jakby Justyna wciąż żyła. To naprawdę ważne.

– Niech będzie. Ale trochę za późno, jeśli chodzi o Meyera. Dowiedział się w jakiś sposób o tych zwłokach. Słomkowski jest posrany po pachy. Dzwonił dziś do mnie i pytał, co teraz, bo boi się, że ten coś sobie robi.

– A próbował?

– Nie, podobno zachowuje się bardzo spokojnie. Powiedziałem, żeby się nie śpieszyli z powrotem i żeby miał zawsze tabletki w pogotowiu.

– Rozumiem.

Kiedy skończyli rozmawiać, Brenner schował komórkę do kieszeni i spojrzał w niebo. Wbrew prognozom dzień był piękny. Teraz czuł, że jest jeszcze piękniejszy. Wsiadł w samochód i ruszył w stronę siedziby Biura.

Rozdział 40

Opowiedziała mu prawie o wszystkim. O swojej służbie, o tym, co przeszła, o tym, że Łukasz nic nie wiedział.

– Nie powinien się gniewać za to, że mu nie powiedziałaś – powiedział cicho Jacek. Rozmawiali szeptem, bo od godziny siedzieli w kościele świętych Michała i Floriana. Przyszli, żeby spokojnie pogadać, nie budząc pozostałych, do których nad ranem dołączył również Bambi.

– Może pomyśleć, że okłamałam go też w innych sprawach...

– Nie. – Pokręcił głową. – Myślę, że szybko to sobie wyjaśnicie. A co robiłaś z nimi? To znaczy z tym Gogolem i Żółwiem?

Uśmiechnęła się.

– Byliśmy w prywatnym wojsku w Afganistanie.

– O, Boże! – jęknął i opuścił głowę, jakby był załamany tym, co usłyszał. – Ty też?

– Nie wyglądam, co?

Spojrzał na nią z ukosa.

– Jak ty tam trafiłaś?

– Pojechałam po wojsku do Niemiec, do pracy jako opiekunka. Mieszkałam w Gross Gerau koło Frankfurtu. Rzadko miałam wolne, ale jak już wpadło kilka godzin, to jechałam kolejką na lotnisko, popatrzeć na samoloty, jak startują i lądują... Siedziałam w takim miejscu, gdzie było dobrze widać. Tam był duży food-court z McDonaldem i paroma innymi baremi. No i któregoś razu, jak jadłam frytki i hamburgera, dosiadł się do mnie jakiś facet. Nie wyróżniał się niczym, tylko był bardzo zmęczony i zły, bo uciekł mu samolot i musiał czekać na następny. Zaczęliśmy rozmawiać. Był Brytyjczykiem i powiedział, że pracuje w międzynarodowej firmie.

– Roześmiała się na to wspomnienie. – Ale dużo o tej pracy nie opowiadał, tylko zaczął wypytywać mnie, co robię. Nie chciałam nic mówić, uważałam, że nie jestem na tyle interesująca, więc odwróciłam kota ogonem i powiedziałam, że na pewno był żołnierzem.

Zdziwił się, ale potwierdził.

– Skąd to wiedziałś?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Wyczuwa się takie coś chyba... To znaczy widziałam, że był dość dobrze zbudowany. Jest grupa żołnierzy, którzy często mają budowę ciała inną niż ludzie, którzy od tak sobie ćwiczą, nawet wyczynowo. Są drobniejsi, bywa że wychudzeni, ale przede wszystkim zawsze bardzo zmęczeni.

– Dlaczego?

– Tak już jest. Od dnia, kiedy zakładasz mundur na unitarce, chce ci się spać. I jeśli się jest żołnierzem, który więcej siedzi w polu i na strzelnicy niż w sztabie za biurkiem, to śpisz na zawołanie w każdej dogodniej chwili, a zwłaszcza jeśli jesteś na wojnie. I on był właśnie kimś, kto wyglądał na sprawnego i fizycznie wyczerpanego faceta. Widziałam, że dużo czasu spędza na słońcu, bo miał spaloną twarz i biały ślad od okularów, ale ręce opalone tylko do pewnego miejsca, a dłonie prawie wcale. Kiedy podciągnął na chwilę spodnie, zobaczyłam, że łydki i piszczęły są białe jak u młynarza.

– Czyli trochę blefowałaś, jak z Ziutkiem?

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Mógł przecież być rolnikiem albo jeszcze kimś innym. Ale z tymi dłońmi było zbyt podejrzane. Jak byłam w szkole, nie mieliśmy rękawiczek, ale zawodowe wojsko zawsze je nosi do broni.

– No i jak to się skończyło?

– Nie skończyło się. Zaczęłam mu w końcu opowiadać moją historię. Oczy mu się

zaświeciły i powiedział, żebym zaczekała, bo on musi gdzieś zadzwonić. Zostawił mnie z tymi swoimi bagażami i poszedł sobie. Wrócił po kwadransie i oświadczył, żebym rzuciła babcię z Alzheimerem i jechała z nim do Afganistanu. W zasadzie do Tadżykistanu, bo tam wtedy siedzieli.

– Pojechałaś?

– Pojechałam. Przebukował swój lot i pojechał ze mną do Gross Gerau. Moi Niemcy dostali spazmów, ale nie zastanawiałam się ani chwili, miałam dość ich i drącej się nocami babki. Polecieliśmy do Turcji, a potem jakimś wojskowym samolotem transportowym do Tadżykistanu. No i dopiero wtedy zaczęłam się zastanawiać nad tym, co zrobiłam.

– Dlaczego?

– Bo ja nie byłam jakimś świetnym żołnierzem, a to byli sami komandosi albo ludzie po wielu misjach, którzy mieli za sobą przygody, o jakich nie śniło się wielu chojrakom. Pierwszego wieczora popłakałam się. Przyszedł do mnie wtedy taki wielki czarny Amerykanin, który był nie tyle dowódcą, co koordynatorem ich działań. Zapytał, dlaczego ryczę. Powiedziałam, że źle zrobiłam, bo się do tego nie nadaję. On na to, że nawet jeszcze nie wiem, co będę robić i żebym się przestała mazać jak dziecko. Rano po śniadaniu dostałam szczepionki, jakiś uniform, zbadali mnie i zmierzylili – normalnie, jak pierwszego dnia w wojsku. Ale potem od razu poszłam na strzelnicę. Dali mi broń, której nie chciałam, bo powiedziałam, że uznaję tylko AK-47. W ogóle dostałam much w nosie i zachowywałam się jak rozpuszczony bachor. Wytrzymali wszystko, choć do tej pory nie rozumiem dlaczego. Dali mi tego kałacha, postrzelałam z niego, potem z czegoś innego i jakoś mi dzień zleciał. Wieczorem ten Amerykanin znowu ze mną rozmawiał. Powiedział mi, co uważa o moich zdolnościach strzeleckich i o tym, czego on chce mnie nauczyć. Pytał, czy ćwiczyłam działania w mieście, i zapowiedział, że tego chce mi najwięcej pokazać.

– Było ciężko?

– Nie.

– Nie było ciężko? – Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Nie, nie było, bo byłam dobrze traktowana. Zawsze! Bez względu na to, co powiedziałam i co zrobiłam, traktowano mnie jak człowieka. Zawsze czułam, że mam w nich oparcie, że mogę na nich liczyć. Nigdy nikt nie zrobił mi świństwa. Tego typu „firmy” bywają różne i różni ludzie w nich pracują. Czasami to zbiorowisko maszyn do zabijania, którzy lubią krew i obcięte głowy, a czasem tacy, co lubią szybko zarobić, ale ja trafiłam chyba najlepiej... Więcej było ludzi pokroju Gogola czy Bambiego niż tych z innej bajki.

– A w wojsku? To znaczy w tym naszym, było źle?

Justyna uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową.

– W wojsku, gdy byłam w szkole, poprosiłam raz koleżankę na zajęciach, żeby popilnowała mi broń, bo chciało mi się siku. Karabin był ciężki, nie miałam już sił biec z nim w ciemnościach do lasu. Jak wróciłam, stała sobie w szyku z satysfakcją na gębie, a kierownik zajęć mieszał mnie z błotem. Powiedział mi coś, czego nigdy nie zapomnę: „Niektórzy jeszcze długo nie będą żołnierzami”. Okazało się, że poszła do niego, jak mnie nie było, i oświadczyła, że porzuciłam swoją broń.

Jacek widział, że to ciągle było dla niej trudne.

– A tam znalazłaś innych ludzi, tak?

– Tak – przytaknęła. – Trudno mi się pracuje w zespole, bo ciężko jest mi zaufać komukolwiek...

– Jak widać, często masz rację.

– Jak widać... Ale tam musieliśmy być jednym zespołem, bo mój błąd mógł kosztować

życie wielu osób. Więc wszyscy byli czujni. Od razu mi powiedziano, że każdy jest świadomy moich ograniczeń, ale chodzi o to, co potrafię, a nie o to, żeby mi wytykać słabości. Świrowałam na początku, bałam się, że zaczną mnie nienawidzić i niszczyć... Że się poznają, jaka naprawdę jestem. A chodziło o to, że oni mi właśnie pokazali, jaka naprawdę jestem. Jaka mogę być, jeśli mam wokół siebie kilku dobrych ludzi. To było coś niezwykłego, takie doświadczenie. To było też ważne, bo pomogło uporać się z różnymi demonami z dzieciństwa. Poznałam facetów innych niż mój ojciec, innych niż mój były narzeczony jeszcze z czasów studiów. Zrozumiałam, że życie może naprawdę wyglądać inaczej, tylko trzeba nauczyć się przyciągać dobre osoby, a unikać złych... Tylko że... – Zamilkła i przygryzła wargę.

– Tylko że co? – Przyjrzał się jej uważnie. – Coś złego się tam stało?

– W zasadzie nie... Chodzi o to, że to wszystko było pułapką, zaczęło mnie wyniszczać.

– Jak to?

– Uzależniłam się...

– Od adrenaliny? – Pokiwał głową, jakby ją dobrze rozumiał.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Tak! Od adrenaliny. Moi koledzy z tej grupy byli świetni, uwielbiali mnie, prawie nosili na rękach. W pewnym momencie byłam naprawdę dobrze wyszkolonym najemnikiem. Nie robiłam co prawda wielu rzeczy, którymi oni się zajmowali, ale...

– Umiałaś zabić, kiedy trzeba. – Wziął jej dłoń w swoją i lekko ścisnął.

Pokiwała głową.

– Uzależniłam się też od myśli, że sama jestem świetna i taka twarda. Bo mało jest takich kobiet jak ja. Brałam broń i szłam jak walec, zostawiając za sobą zniszczenia. Ale któregoś dnia obudziłam się i zadałam sobie pytanie, po co to robię i co chcę udowodnić.

– Znalazłaś odpowiedź?

– W sumie tak... Pojęłam, że większość z tych moich umiejętności przerosło to, co potrafi przeciętny żołnierz tutaj, taki, jakim sama byłam. I że cały czas robiłam to wszystko, żeby... żeby zadowolić ich, moich byłych dowódców. Ale to przecież było bez sensu. Ocknęłam się w obcym kraju, na jakiejś beznadziejnej wojnie, która nigdy się nie skończy. Nad głową latały helikoptery albo granaty, albo jedno i drugie... Byłam zmęczona, do granic zestresowana i w ciągłym lęku o życie swoje i moich przyjaciół. Powiedziałam sobie dość i wróciłam.

– Żałujesz tego?

– Nie. – Pokręciła głową z uśmiechem. – Ani jednego dnia.

– No i chyba dobrze ci płacili. – Jacek uśmiechnął się. – Już nie musiałaś klepać biedy.

– I tak klepałam. – Machnęła ręką. – Nie byłam w stanie wydać tych pieniędzy.

– Dlaczego?

– Nie domyślasz się?

Odwróciła głowę w stronę ołtarza, przy którym jakaś zakonnica kręciła się i układała kwiaty w wazonach.

– Powiedziałam Łukaszowi tylko o tym, co wiozłam, kiedy wracałam. Zarobiłam dużo więcej, ale reszta jest na lokacie, o której nic nie wie.

– Dużo? – Jacek jeszcze bardziej ściszył głos.

– Dużo.

Jacek westchnął i też spojrzał na ołtarz. Po prezbiterium dreptała drobna siostra zakonna. Ustawiała wazon, patrzyła na niego długo z większej odległości i przestawiała na inne miejsce. W pewnej chwili zniknęła w zakrystii, a po kilku sekundach wróciła z wielkim bukietem czerwonych róż, który niemal całkowicie ją zasłonił.

– Róże na nogach – zaśmiała się Justyna, ale nagle jej śmiech zamarł na ustach, które

szeroko otworzyła. – Róże...

Jacek zerknął na nią zdziwiony.

– No, róże...

– Ja pier... – Zasłoniła dłońmi usta, powstrzymując się od przekleństwa. Siostra obróciła się w ich stronę i spojrzała groźnie. – Chodźmy stąd. Muszę się zastanowić.

Złapała Jacka za mankiet i wyciągnęła z ławki.

– Co się stało? – Niemal za nią biegł.

– Jestem kretynką. – Kręciła głową. – Skończoną kretynką. Cały czas widziałam odpowiedź i byłam ślepa.

– Powiesz mi, o co chodzi?

– Ten facet... Ten, co się podszywał pod Józwińskiego... Ech... Powiem wszystko w mieszkaniu, musimy obudzić chłopaków.

Gogol stał w drzwiach kuchni podparty pod boki i kręcił głową.

– Wiedziałem, że nie da nam pospać. Mówiłem, że coś wymyśli.

– Nie marudź, tylko rób śniadanie – rozkazała Justyna. – Muszę wam o czymś powiedzieć.

W mieszkaniu zapanował mały ruch. Panowie sprząтали z podłogi pośłania, ubierali się, robili jajecznicę, parzyli kawę i palili porannego papierosa na balkonie. Tylko Justyna siedziała przy stole w kuchni i myślała. Kiedy wszyscy wreszcie usiedli obok niej i zaczęli konsumować skromne śniadanie, opowiedziała ze szczegółami wydarzenia sprzed jej porwania.

– I jesteś pewna, że Józwiński to nie Józwiński – upewniał się z pełnymi ustami Gogol.

– Na stówę.

– A po co taka maskarada? – zapytał Żółw.

– Bo pewnie myśleli, że się nabiorę i dam się zaprosić na tę kawę, albo że nawet jakiś romans będzie...

Żółw z Gogolem parsknęli śmiechem.

– Plan idealny: uwieść Malinę. – Kostek podniósł kciuk w górę.

– Czyli że ten facet był tylko jakąś przynętą, tak? – Jacek marszczył nos, kiedy zastanawiał się nad czymś intensywnie.

– Był przynętą – potwierdziła. – Ale myślę, że to nie był jakiś pionek. Wyczułam wyraźnie zapach jego perfum w tym mercedesie. Wydaje mi się, że to on był organizatorem całego przedsięwzięcia.

– Musimy go znaleźć – wyrwał się Ziutek z błyskiem w oku.

– Nie. – Justyna pokręciła głową. – Raczej go nie znajdziemy. Prędeż tych, co mnie uprowadzili, kiedy ta twoja Żaneta, z którą się nie przespałeś, da nam ich nazwiska. – Wbiła palec w Bambiego, który smarował sobie kanapkę masłem.

– Wypominaj mi, wypominaj. – Machnął nożem. – Wiesz, jaką traumę przeżyłem? To mogło zniszczyć mi psychikę.

– Niemożliwe – powiedzieli razem wszyscy oprócz Jacka i Ziutka.

– Tak czy inaczej – kontynuowała Justyna – musimy zrobić poważną pracę myślową nad tym, po co ktoś mógł chcieć mnie porywać.

– Może ten twój szef coś chciał? – zasugerował Gogol.

– Nie wydaje mi się.

– Ale w tej firmie był ktoś, kto cię nie lubił.

– Nie chodziło o moją osobę jako mnie, Justynę Meyer. Chodziło raczej o to, co robiłam. Zajmowałam się czymś z pozoru mało ważnym, ale tak naprawdę wiedziałam o wszystkim... – Ręka z łyżeczką zawisała w powietrzu.

– Wiedziałaś o wszystkim, więc... – Bambi próbował ją zachęcić do dalszej wypowiedzi.
– Kurwa, ja naprawdę jestem idiotką. – Spojrzała na swoją dłoń i na herbatę, jakby zastanawiała się, co ma wspólnego łyżeczka z kubkiem.

– Jak ty brzydko mówisz – cmokał niby zde gustowany Żółw. – Czego cię w tym zmechu nauczyli, Malina? My w GROM-ie nigdy byśmy tak brzydko nie powiedzieli.

– Nie, oczywiście – roześmiał się Gogol. – Wy tam wszyscy jak Kochanowski albo Sienkiewicz, a co drugi trzynastozgłoskowcem jechał.

– Masz coś do GROM-u? – Bambi złapał za nóż, którym wycelował w Kostka. Gogol wyrwał nóż Żółwiowi, bo mieli tylko te dwa, i skrzyżował z nożem Tomka. Przez chwilę walczyli jak na miecze.

– Dzieci. – Żółw przewrócił oczami i odebrał Gogolowi sztuciec. – Malinka, kontynuuj.

– Muszę jechać do Śródmieścia. – Zaczęła się podnosić z krzesła, z rozpalonymi policzkami i lekkim obłędem w oczach.

– Po co? – Gogol zadarł głowę w jej stronę, ale ona nawet nie zwróciła na niego uwagi. Jacek delikatnie złapał ją za nadgarstek i pociągnął w stronę krzesła.

– Usiądź.

Klapnęła z powrotem, zrezygnowana. Wyglądała, jakby miała się rozplakać.

– Malina – Gogol miał całkiem poważną minę – popatrz na siebie. Jesteś łysym, posiniaczonym stworzeniem, z wielką śliwą wokół oka i raną na głowie. Zjedz śniadanie. Umyj zęby. Posmaruj te siniaki. Pójdziemy z Żółwiem do jakiegoś sklepu i kupimy ci coś do ubrania, w czym będziesz podobna do człowieka. Ty w tym czasie pójdiesz spać, a jak wstaniesz, zdecydujemy, czy nadajesz się, żeby gdziekolwiek pójść. Bierz kanapkę w łapkę i jedz – podsunął jej talerzyk – bo cię twój stary nie pozna, jak do niego wrócisz.

Rozdział 41

- Ilu?! – Łukasz nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.
- Co najmniej dwóch – powtórzył Marcin cicho.
- Kto?
- Przecież ci nie powiem.
- No tak... – Łukasz zamyślił się. – Ale dwóch? W jednej komórce? To cud, że w ogóle jakieś akcje się nam udają.
- Ale tych kilka się nie udało. – Spojrzał na niego wymownie i upił łyk kawy.
- Zatrzymali się kilkadziesiąt kilometrów za Stargardem. Łukasz powiedział, że nie ma ochoty śpieszyć się do domu. Nie było do czego... Siedzieli w jakiejś restauracji, niemal puste, i pili kolejną kawę. Marcin powiedział o owocach swojej pracy z nimi, które nie napawały optymizmem.
- Nie rozumiem dlaczego. – Meyer pokręcił głową.
- Dla pieniędzy. Zawsze.
- Skąd wiesz? – Spojrzał na Słomkowskiego przenikliwie.
- Bo nie robię tego od wczoraj.
- A ile ty masz lat, jeśli wolno wiedzieć?
- Trzydzieści sześć.
- O! To mnie zaskoczyłeś. Wyglądasz dziesięć lat młodziej.
- Dlatego łatwiej mnie wcisnąć gdzieś na szpiega. – Marcin uśmiechnął się. – Ludzie biorą pieniądze, ale powody, dla których kasa jest atrakcyjna, bywają różne. Spotkałem się z przypadkiem, gdy ktoś po prostu lubił je mieć, bo czuł się bezpieczniej. Kto inny ma problemy rodzinne, chore dziecko, długi albo po prostu jest hazardzistą. Różnie, naprawdę.
- Zastanawiam się... – Łukasz spojrzał przez okno restauracji – czy ktoś miał powiązanie z porwaniem Justyny. Ktoś, o kim mówisz.
- Brenner jest niemal pewny, że tak było.
- Naprawdę? Skąd możesz o tym wiedzieć?
- Widziałem, kogo odsunął od sprawy... Poza tym Kot też kogoś podejrzewa.
- Łukasz pokiwał głową. Marcin widział, że cierpi. Bał się, że w pewnym momencie pęknie jakaś struna i będzie z nim źle, ale póki co zachowywał się bardzo spokojnie.
- Łukasz – zaczął cicho – czy mogę cię o coś zapytać?
- Dlaczego nie rozpaczam?
- Słomkowski był zaskoczony.
- Tak... Mniej więcej o to.
- Bo pomyślałem, że lepiej już wiedzieć, niż się łudzić... Poza tym jej to nic nie pomoże, stało się. Wiem, że to ruszy, jak wrócę. Boję się tego. Boję się wejść do mieszkania i położyć na łóżku... Najchętniej w ogóle bym tego nie robił.
- Możesz pomieszkać u mnie.
- Nie. – Pokręcił głową. – W końcu i tak mnie dopadnie. Nie uniknę rozpacz i żalu.
- Rozumiem. – Marcin opuścił głowę i przygryzł wargę. – Pytałem Brennera, czemu ci nie powiedział... Wydaje mi się, że nie jest w stanie. Mówiłem coś o tym wojsku, ale miał to w dupie, nie chciał mnie słuchać. Wiem, że na górze są wkurwieni, że przepytywaliśmę tę Justynę i tego nawiedzzonego sierżanta z Poznania... ale Brenner w ogóle się tym nie podniecał.
- Lubił ją. – W oczach Łukasza pojawiły się łzy. – Mówił, że mu się podoba, że jest taka, jaka powinna być normalna kobieta. Na naszym weselu dużo z nią tańczył... Powiedział mi

wtedy: „Meyer, masz farta. Nie zmarnuj tego”. Miał w czubie, ale mówił szczerze.

– Jak się poznaliście?

– W samolocie. Wracałem z Turcji, mieliśmy jakąś wymianę, byłem trochę w tamtejszej szkole policyjnej. Ona wracała... – Zmarszczył brwi. – Mówiła, że wraca z wakacji. Miałem siedzieć gdzie indziej, ale jakaś rodzina nie chciała być rozdzielona i stewardessa zapytała, czy nie przesiadłbym się na inne miejsce.

– Obok Justyny. – Marcin uśmiechnął się.

– Tak. Siedziała wciśnięta w kąt, wyglądała na zmęczoną. I była cała posiniaczona.

– Dlaczego?

– Powiedziała, że była nad jakąś rzeką i że spływała nią na desce czy poduszce i że tam się tak posiniaczyła... Ale nie wiem, czy tak było.

– To możliwe. Moja siostra była z dziećmi na czymś takim właśnie w Turcji. Dzieci były zachwycone, ona powiedziała, że nigdy więcej, bo woda była jak lód i o mało się nie posikała ze strachu.

– No, widzisz, nawet nie wiedziałem. – Uśmiechnął się blado. – Widziałem, że nie ma ochoty ze mną rozmawiać, bo strasznie chciało jej się spać, ale strzeliłem jakiś wyświechtany komplement, a ona uśmiechnęła się w taki sposób, że poczułem ciarki. Normalnie przeszedł mnie dreszcz od stóp do głów. Nie miałem ochoty zrezygnować z takich doznań tylko dlatego, że była niewyspana, więc ją zagadywałem cały lot i robiłem wszystko, żeby się uśmiechnęła. Jak wysiadaliśmy na Okęciu, już byłem zakochany. Wiedziałem, że to jest to.

– Jak to stwierdziłeś?

Łukasz roześmiał się.

– Myślałem sobie: skoro czuję te ciarki, to znak, że jest moją jedyną. Potem jednak okazało się, że tych z ciarkami jest więcej, i musiałem wdrożyć jakiś plan, który doprowadziłby ją do wniosku, że ja jestem jedynym. I jak mi się wydawało, że już jestem u celu, ona się wycofała. Powiedziała mi, że nic z tego nie będzie i że chyba mnie jednak nie kocha. Załamałem się. Pierwszy raz od podstawówki płakałem. Czuję, że jeśli z nią nie będę, to sobie coś zrobię... Ech...

– To jak ją przekonałeś?

– Zadzwoniłem do ojca i powiedziałem o sprawie, a on mi na to, że jestem skończonym idiotą, bo kobiety tak robią, żeby sprawdzić, czy nam naprawdę zależy. Wiesz, ja myślałem, że jak mówi „nie kocham cię i nie chcę z tobą być”, to tak jest. A mój ojczulek stwierdził, że ona zrobiła to po to, żebym wrócił do niej i powiedział, że ja naprawdę chcę z nią być, bo wtedy dopiero poczuje się bezpieczna. Mówi mi wtedy: „Zrób, co trzeba. Jeśli naprawdę cię nie kocha, każe ci spadać, a jeśli kocha, to będziecie razem.” No i miał rację...

– Mądry facet.

– Doświadczony. Sam miał taką miłość życia i nie poszedł za nią. Żałował zawsze. Matka była inna, ona go złowiła, nic nie musiał robić. I w sumie nie byli wcale tacy nieszczęśliwi, ale powiedział mi kiedyś, że żałował, że ten jeden raz się nie zламаł.

– Wiesz... Miałem ci tego nie mówić, ale jak słuchałem tych opowieści ludzi z wojska o Justynie... Ja jej nie znałem, widziałem ze dwa razy i wyglądała na osobę ciepłą i serdeczną, na kogoś, kogo trudno nie lubić. A tu wychodzi obraz jakiejś *famme fatale*, która powalała na kolana każdego faceta. To mi jakoś nie pasuje, nie trzyma się kupy.

– I myślisz, że wszyscy kłamali?

– Nie. Tylko że... Sam nie wiem. Mam wrażenie, że twoja żona była jak wrzucony granat, który rozpieprzył wszystko, co było wokoło. I nie wiem dlaczego.

Łukasz zamyślił się.

– Nie wiem... Ja też nie rozumiem tego wątku. Owszem, moje życie też wywróciła do góry nogami, ale właśnie dzięki temu nabrało sensu. Nie wiedziałem nic o wojsku, ale dziś myślę sobie, że mogła mieć powody, żeby nie opowiadać o tych rzeczach. Może w tej firmie, w której pracowała, też tak było...

– To znaczy? – Marcin poczuł dziwny ucisk w żołądku.

– No, że wzbudzała większe emocje, niż to się wydawało jej albo mnie. Przychodziła do pracy, wychodziła i nawet nie wiedziała, że ktoś o niej coś myśli albo mówi. Albo... jeśli wiedziała, to nic sobie z tego nie robiła, nie walczyła ani nie dementowała. To by nawet wyjaśniało jej niechęć do integrowania się z ludźmi stamtąd.

Słomkowski przełknął ślinę i mocniej zacisnął palce na kubku z kawą.

– Czy twoja żona miała jakieś szczególne zdolności?

– Nie rozumiem. Że niby była jakimś medium?

– Nie. Ta cała Justyna powiedziała coś takiego...

– To znaczy?

– Mówiła, że Justyna stała w szyku i śmiała się z Sarnowskiego.

– Mówiła, ale co to ma do rzeczy?

– Śmiała się, bo miała go za debila, ale wydaje mi się, że to nie o to chodziło.

Łukasz poczuł lekką irytację.

– Możesz jaśniej?

– Dobra, będę z tobą szczerzy. Uważam, że twoja żona zawsze świetnie wiedziała, jakie budzi w ludziach emocje, zwłaszcza w mężczyznach. Śmiała się z Sarnowskiego nie dlatego, że był debilem, tylko dlatego, że nie radził sobie z tymi emocjami. Ona już to wiedziała, kiedy się jej odgrażał, zanim ją zobaczył. Sam sobie postawił diagnozę: „Jestem przerażony twoim przybyciem, będę cię atakował”. Odbijało mu, ale nie był tak ogarnięty i dojrzały jak ty, więc reagował agresją. Podobnie było z Jaskółą. Męczył ją, ale ona dobrze wiedziała, że to on jest przegrany w tej walce, bo to jego bolał jej odmowy, więc to on jest słabszy.

– Dalej nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Kiedy zacząłeś mówić o tej firmie, przyszło mi do głowy, że ktoś mógł zauważyć te umiejętności.

– Kto?

– Słotwiński. – Marcin nie wiedział, czy to żaloba zaciemnia mózg Łukasza, i był tym nieco zmęczony. – Nie znam go, ale sam mówiłeś, że Malicki, taki świetny śledczy, wyszedł od niego z niczym. On cały czas nas zwodzi. Wszystkie próby podejścia go kończą się fiaskiem. Musiał twoją żonę dobrze obserwować, może przy jakimś temacie coś mu się rzuciło w oczy. Wiesz, że są tacy ludzie wśród nas, którzy nie mówią, tylko działają. Zaproponował jej stanowisko analityka, bo wiedział, że ona jest analitykiem. Czyta nie tylko dane finansowe, ale ludzkie emocje, a Słotwiński jest jeszcze bardziej przebiegły, bo umie kogoś takiego wyłowić z tłumu. Taki ktoś jak Justyna byłby dla niego, podczas negocjacji chociażby, na wagę złota...

– Albo diamentów – powiedział cicho Łukasz.

– Słucham?

– Zlecił jej napisanie analizy rynku diamentowego. Pisała ją w weekend. A Malicki powiedział, że porwanie ma związek z diamentami, tylko ciągle nie miał dowodów. – Podniósł wzrok na Marcina. – To nie zwróci jej życia, ale... chociaż zamknijemy, kogo trzeba. Wróćmy do Warszawy. Trzeba się tym zająć.

– Trzeba. – Marcin zaczął zakładać marynarkę. – To wojsko też się nam przydało.

Rozdział 42

– Nie wiem, jak ja się dałem na to namówić – westchnął ciężko Gogol, patrząc z góry na rozkopane rondo ONZ. Winda mknęła szybko i po kilkunastu sekundach byli z Ziutkiem na piętrze, gdzie znajdowało się biuro, w którym pracowała Justyna.

– A mnie się podoba. – Ziutek puścił oko i uśmiechnął się szeroko.

Pani w recepcji zobaczyła dwóch mężczyzn w niebieskich kombinezonach roboczych, z których jeden taszczył pod pachą wysoką drabinę. Niższy robotnik podszedł do niej i rzucił na kontuar teczkę z klipsem i jakąś kartką.

– Proszę podpisać – powiedział zdecydowanie.

– Słucham? – Podniosła się wystraszona ze swojego fotela. – Ja nie wiem... Panowie w jakiej sprawie?

– Klimatyzacja. – Gogolowi nawet powieka nie drgnęła. Ziutek tylko uśmiechał się głupawo. Twierdził, że nie nadaje się do gadania, zwłaszcza jeśli ma kłamać. – Przyszliśmy sprawdzić klimatyzację. Nie słyszała pani? Legionelloza. Pół wieżowca w tym pionie choruje. Musimy sprawdzić i wyczyścić wszystkie otwory wentylacyjne. Tu jest plan i decyzja administracji. – Postukał długopisem w kartkę.

– Legio... – zawahała się. – Ale ja nie mogę niczego podpisać, to trzeba do kogoś z kadr albo... Nie wiem. Idźcie tam. – Wskazała ręką na wejście do firmy. – Prosto, a potem w lewo korytarzem. Na końcu siedzą ludzie z kadr i finansówki, może oni mogą to podpisać.

– No dobra. – Gogol pokręcił głową i kiwnął na Ziutka. – Wiedziałem, że to nie będzie takie proste. Chodźmy.

Poszli prosto, jak powiedziała, ale nie skręcili w lewo, tylko cały czas pewnym krokiem maszerowali do działu Justyny. Dzięki jej wskazówkom szybko trafili do gabinetu dyrektora Słotwińskiego, do którego wparowali bez cienia wahania.

– Panowie do kogo? – Słotwiński był lekko przestraszony.

– Klimatyzacja. Musimy tu panu trochę poprzeskadzać. Ustawimy się z drabiną, żeby dostać się do otworu.

Ziutek bez słowa zaczął ustawiać drabinę pod miejscem, gdzie wychodził nawiew klimatyzatora.

– Ale ja nic nie wiem. – Słotwiński zmarszczył brwi i spojrzał w górę na Ziutka, który już siedział na czubku drabiny.

– To niech pan idzie do administracji. – Gogol wzruszył ramionami. – My mamy swoje do zrobienia.

– I tak zrobię. – Dyrektor zapiął marynarkę, zgarnął telefon z biurka i energicznym krokiem wyszedł z gabinetu.

– Gdzie schował telefon? – szepnął Ziutek z góry.

– Do lewej kieszeni marynarki. – Gogol odprowadził szefa Justyny wzrokiem. – Dzwonię do Żółwia. Schodź z tej drabiny.

Słotwiński szybko przemierzył korytarz i znalazł się w holu prowadzącym do wind. Recepcjonistka ze słuchawką przy uchu o mało nie spadła z fotela, gdy go zobaczyła. Machnęła ręką błagalnym gestem, żeby zwrócił na nią uwagę.

– Co się dzieje, pani Karolino? Nie mam czasu.

– Panie dyrektorze, właśnie rozmawiam z ochroną. Ktoś zadzwonił z przychodni obok, że na ulicy znaleziono pana kartę kredytową.

– Co?

– Tak, jakaś pacjentka znalazła przed wejściem do wieżowca. Jest do odebrania w recepcji tej przychodni.

Słotwiński przewrócił oczami ze zniecierpliwieniem. Chciał wracać do siebie, żeby sprawdzić portfel, ale zdał sobie sprawę, że to zabierze mu dodatkowy czas, a bardzo mu zależało na wyjaśnieniu sprawy z klimatyzacją. Stawał się zawsze bardzo poirytowany, jeśli działo się coś, o czym nie wiedział.

– Dobrze. Pójdę do tej przychodni.

Zjechał windą i od razu ruszył w stronę ochrony.

– Ktoś z administracji jest? – Przechylił się przez kontuar.

– Wszyscy są. – Młoda kobieta kiwnęła potakująco głową. – Ale są zajęci, bo mamy zgłoszenia o problemach z klimatyzacją. Ktoś podobno zachorował na jakąś dziwną chorobę.

– No tak. – Słotwiński potarł dłonią czoło.

Wyszedł z wieżowca i skręcił w prawo w stronę przychodni. Kiedy wchodził do środka, zderzył się z wysokim mężczyzną, który o mało go nie przewrócił.

– Bardzo pana przepraszam. – Barczysty szatyn o uroczym uśmiechu przytrzymał Słotwińskiego mocno ramionami.

– Nic się nie stało – mruknął w odpowiedzi dyrektor i szybko wyswobodził się z objęć nieznajomego. Podeszedł do rejestracji.

– Podobno ktoś ma moją kartę kredytową.

– A, tak – potwierdziła pulchna brunetka. – Tu jest koperta.

Wziął białą kopertę i od razu wiedział, że w środku nie ma żadnej karty. Zajrzał do środka, skąd wyjął małą karteczkę.

Wejść do męskiej toalety.

Zrobiło mu się gorąco. Serce zabiło mu szybko, ale pomyślał, że w razie czego ma wokół siebie służbę zdrowia. Do łazienki nie miał ochoty iść. Bał się.

– Gdzie jest WC? – zapytał rejestratorkę cicho. Przyszło mu do głowy, że tylko zajrzy i zaraz sobie pójdzie. Nic mu się nie powinno stać...

– Korytarzem w lewo, prosto i znowu w lewo – wskazała.

Podeszedł niepewnie do drzwi łazienki i rozejrzał się. Na korytarzu siedziała jakaś kobieta oczekująca na wizytę, poza tym nikogo nie było. Nacisnął klamkę i wsadził głowę do środka. Przy pisuarze stał jakiś barczysty mężczyzna z lekko siwiejącymi czarnymi włosami. Był odwrócony, więc nie widział jego twarzy.

– Niech pan wchodzi, nie porwę pana – powiedział mężczyzna, po czym spuścił wodę w pisuarze i podeszedł do umywalki.

Słotwiński wszedł i oparł się o drzwi.

– Czego pan chce?

Bambi uśmiechnął się.

– Ja? Niczego od pana nie chcę. Niech pan wejdzie do kabiny, to się pan dowie, kto ma do pana interes. Zamieńmy się, teraz ja stanę przy drzwiach i popilnuję.

Słotwiński bał się cały czas, ale zwyciężyła ciekawość i przekonanie, że od tego człowieka nic mu nie grozi. Podeszedł do kabiny i pchnął lekko drzwi. Zobaczył, że na sedesie ktoś siedzi. W pierwszej chwili pomyślał, że to bardzo młody mężczyzna w wielkich okularach na nosie i z podbitym okiem, ale zaraz zrozumiał, że zna dobrze tę twarz...

– Dzień dobry, panie dyrektorze. – Justyna wstała i jednym ruchem przesunęła okulary na czubek ogolonej głowy. – Niech pan usiądzie.

Zrobił, o co go prosiła. Kiedy usiadł, schował twarz w dłoniach i wydawało się przez chwilę, że płacze.

– Byłem pewien, że pani nie żyje – mówił, nie odrywając rąk. – Czułem się cały czas winny tej sytuacji...

– Dlaczego? – Nachyliła się w jego stronę i oparła dłonie o uda. – Co pan wie, czego ja nie wiem?

Spojrzał na nią. Jego twarz wyglądała na dziesięć lat starszą. Był wyraźnie zmęczony.

– Nic pani nie grozi?

– Grozi. Dopóki nie wiem, kto mnie porwał i dlaczego, nie mogę się pokazać. Przyszłam do pana, bo uważam, że wie pan coś, co pomoże mi wyjaśnić tę sprawę.

– Co chce pani wiedzieć?

– Komu powiedział pan o swoich planach zrobienia ze mnie analityka?

Odwrócił wzrok na moment. Wiedziała, że trafiła w sedno.

– Jakubowskiemu.

– I tylko prezesowi pan o tym mówił?

– Tak – westchnął. – Już analizowałem tę sprawę na różne strony i jestem pewien, że tylko on wiedział.

– Rozumiem... – Justyna podniosła się i spojrzała na Bambięgo.

– Ufamy prezesowi? – upewnił się Tomek.

– Tak.

– Panie dyrektorze – zwrócił się do Słotwińskiego Bambi – w jakiej formie przekazał pan tę informację prezesowi?

– Nie rozumiem. – Słotwiński zmarszczył brwi.

– Powiedział mu to pan osobiście?

– Nie... W czasie rozmowy telefonicznej. – Złapał się odruchowo za kieszeń marynarki i spojrzał na Justynę przestraszony. – Nie mam telefonu.

– Kolega zabrał panu, kiedy mijali się pan z nim w drzwiach – powiedziała Justyna.

– Podejrzewamy, że jest na podsłuchu.

Słotwiński zamknął oczy i oparł głowę o ściankę kabiny.

– No tak...

– A więc – Justyna znowu się nachyliła – kto?

– Myślę, że ma pani swoje przypuszczenia. – Spojrzał na nią przenikliwie. – Obserwuję panią na tyle długo, że wiem, iż czuje to pani od dawna.

– Może nie czuję, ale połączyłam kilka drobnych faktów. – Uśmiechnęła się smutno.

– Żona wiceprezesa Adamiaka jest w kieszeni nie tylko Amerykanów, prawda?

– Nie tylko – potwierdził. – Rosnące potrzeby, jak choćby budowa domu w Konstancinie, wymusiły na niej podjęcie kroków ku zwiększeniu jej zarobków jako członka naszego Zarządu. Znalazła swoje sposoby...

– Chodzi o diamenty?

– Chodzi o diamenty. – Kiwnął potakująco głową. – Pojawił się nagle nowy inwestor, który chciał z nami wejść w ten interes. Kwoty, jakie był gotowy na to przeznaczyć, sugerowały, że chce raczej rozdawać karty, niż tylko grać jako równoprawny współnik. Od razu powiedziałem, że się na to nie zgodzę, a Jakubowski uzależnił podpisanie umowy od mojej decyzji. Adamiakowa już wiedziała, że pani krótka analiza stoi za moją decyzją odnośnie Wenezueli... Skoro mówicie, że byłem podsłuchiwany, musiała wiedzieć bardzo dużo.

– Co to za inwestor? – zapytała Justyna.

– Rosjanie. Duża firma działająca dość agresywnie na różnych rynkach. Myślę, że

zaoferowali Adamiakowej kwotę, która pozwoliłaby jej postawić ze dwa domy w Konstancinie. W zamian musiała przekonać Zarząd do przyjęcia ich oferty...

– Ale żeby porwanie? – Bambi zmrużył jedno oko.

– Proszę pana – ton głosu Słotwińskiego zrobił się bardzo dyrektorski. Mężczyzna wyprostował się i poprawił garnitur – nie wiem, kim pan jest, ale albo charakteryzuje pana wyjątkowa naiwność, albo w pana pytaniu kryje się jakaś ukryta treść. Chciwość i żądza władzy potrafią odebrać nie tylko zdrowy rozsądek, ale zaburzyć całkowicie postrzeganie rzeczywistości. Jeśli ktoś od dłuższego czasu nie myśli o niczym innym niż pieniądze, to jest jak zaprogramowany...

– Nakrecony – wtrącił z uśmiechem Bambi.

– Jak pan woli. Nie ma sensu doszukiwać się logiki w takim myśleniu. Pani Adamiak jest... – westchnął ciężko, zrezygnowany.

– Idiotką – powiedziała spokojnie Justyna. – Jeśli ubzdurała sobie, że ja stoję jej na przeszkodzie w osiągnięciu celu, postanowiła mnie usunąć.

– Tak. – Słotwiński wypuścił powietrze z płuc.

– Ale po co porwanie? – powtórzył Bambi. – Malina, mogli cię po prostu zabić, przejechać na pasach... Cokolwiek.

– Porywacze mówili, że ktoś chce mnie przepytować. – Justyna potrząsnęła głową i spojrzała pytająco na szefa. – Ma pan pomysł, co chcieli wiedzieć?

Słotwiński machnął ręką.

– Klasyczny objaw paranoi. Uważają, że wie pani coś więcej na ten temat. Skoro mnie podsłuchują, to wiedzą, że zleciłem pani napisanie tej analizy, ale nie wiedzą, co pani napisała...

– Rozumiem. Chcieli wyciągnąć ze mnie jakieś rzekome tajemnice.

– Myślę, że tak. Poza tym... uważam, że porwanie miało odwrócić uwagę od firmy.

Zrobiono to w sposób, który mógłby sugerować związek z pracą pani męża. Mam swoje dojścia, wiem, czym się zajmuje. To im dawało zasłonę dymną i czas na zrobienie tego, co trzeba.

Justyna pokiwała głową i wpadła w zadumę.

– Malinka, co o tym sądzisz? – zapytał Bambi.

Spojrzała na niego, ale jakby nie widząc niczego poza obrazem w swojej głowie.

– Sądzę, że mój pierwotny plan ma teraz jeszcze większy sens.

Bambi opuścił ręce wzdłuż ciała i skrzywił się.

– Boże, ty naprawdę nie jesteś normalna – jęknął.

Rozdział 43

Brenner nie zgodził się, żeby Łukasz wrócił do Biura. Kazał Słomkowskiemu zawieźć go do domu i przypilnować, żeby położył się spać. Zanim jednak weszli na górę do mieszkania, Łukaszowi udało się po kryjomu wysłać wiadomość do Malickiego, żeby zjawił się u niego wieczorem.

Marcin był zafrasowany całą sytuacją. Tak jak przypuszczał sam Meyer, po wejściu do domu jego stan gwałtownie się pogorszył. Jeszcze w przedpokoju zaczęły płynąć mu łzy. Chodził z pomieszczenia do pomieszczenia i nie mógł znaleźć sobie miejsca.

– Jedź do mnie – nalegał łagodnie Słomkowski. – Będziemy mogli dalej rozmawiać, będzie ci lżej...

– Nie chcę. – Usiadł na kanapie w ciemnym salonie i patrzył przed siebie.

– Dobrze – westchnął Marcin. – Pozwolisz, że zrobię sobie coś do picia, zanim pojedę?

– Rób, co chcesz.

Słomkowski nalał sobie soku, który znalazł w lodówce. Chwilę się wahał, zanim zdecydował się iść cichaczem po marynarkę Łukasza, w której znajdowały się tabletki na uspokojenie. Wysypał wszystkie na dłoń. Zostało ich tylko kilka. Wziął trzy i zaczął rozkruszać, zerkając co chwilę w stronę drzwi. Ale Meyer nie ruszał się z kanapy, nie zapalił też światła.

– Napij się. – Podał Łukaszowi wysoką szklankę i usiadł w fotelu. Obserwował kolegę, który niemal bezwiednie podniósł naczynie do ust. Marcin odetchnął, kiedy stwierdził, że Łukasz opróżnił szklankę do dna.

– Jedź do domu – powiedział Meyer matowym głosem, odstawiając szklankę na stolik.

– Zostanę jeszcze chwilę... Dla siebie raczej.

Siedzieli w milczeniu. Mimo że było dość ciemno, Marcin zauważył, jak Łukaszowi zaczynają w pewnym momencie opadać powieki. Poprzedniej nocy spał bardzo mało, a podróż i przeżywana żaloba zmęczyły go dodatkowo. Nie pytając o nic, Słomkowski podszedł do Meyera i złapał go za rękę.

– Chodź do sypialni.

– Nie chcę. Idź już...

Ale po chwili poddał się i wstał wolno. Kiedy szli przez przedpokój, zatrzymał się na moment i oparł głowę o ścianę. Zaciśnął usta i oczy, jakby poczuł ogromny ból.

– Nie dam rady – szepnął.

Marcin stłumił w sobie narastający lęk pomieszany z żalem, który kielkował w nim od dłuższego czasu, i pociągnął kolegę mocniej w stronę łóżka. Kiedy Łukasz położył się, łzy płynęły mu nieprzerwanym strumieniem. Nie trzeba było długo czekać, aż zaśnie, ale dla Słomkowskiego była to trudna próba. Kiedy wyszedł z mieszkania, zdołał dojść tylko do półpiętra, zatrzymał się i schował twarz w dłoniach. Wiedział, że go to wszystko przerosło. Nigdy nie miał do czynienia z taką sprawą, nie musiał być blisko ofiary czy rodziny w trakcie przeżywania podobnej tragedii. Przez wiele godzin pracował w napięciu, a jego mózg był bez przerwy na najwyższych obrotach. Ale najtrudniejsze było to, że kompletnie nie miał pojęcia, jak pomóc, bo przecież sam był w rozsypce.

Schodził powoli, stopień za stopniem, nie zapalając światła. Było mu niedobrze. Wyciągnął telefon, żeby zadzwonić do Brennera, bo chciał zapytać, czy ktoś przyjedzie do Łukasza, ale przypomniał sobie, że przecież szef mówił mu dwa razy, że około północy zjawi się Kot albo Majcher. W drzwiach do klatki natknął się na jakiegoś faceta, który litościwie przytrzymał mu drzwi, gdy zderzył się z framugą.

Wyglądam pewnie na pijanego. Ktoś ma ubaw...

Rozdział 44

Justyna wiedziała, że nie pił. Od razu poznała Sisióra i widziała, że jest w kiepskim stanie. Pomyślała, że ma szczęście, że nie poszła szybciej, gdy zobaczyła, jak gaśnie światło w kuchni.

Tym razem naciśnięcie na klamkę dało efekt i bez problemu weszła do swojego mieszkania. Było cicho, ale gdy mocniej wyteżyła słuch, do jej uszu dotarł oddech Łukasza. Poszła do sypialni.

Leżał zwinięty w kłębek, przykryty tylko kocem. Wiedziała, że nie sam się przykrywał, więc pewnie zasnął tak, jak się położył, nie do końca rozebrany. Zasłony nie były zasunięte, światło z ulicy dawało jako taki obraz tego, co się dzieje. Dostrzegła jakąś buteleczkę z tabletkami na stoliku. Wokół łóżka wały się ubrania i buty. Pokój dawno nie był wietrzony.

Oparła się o framugę i zdjęła czapkę, która nosiła na głowie. Nie chciała stąd wychodzić. Chciała położyć się obok niego na łóżku i poczekać, aż się obudzi. I zobaczyć jego minę... Serce ścisnęło jej się tak mocno, że na chwilę straciła oddech. Czuła żal i tęsknotę, tym większą, im bliżej była Łukasza.

Za chwilę coś we mnie pęknie i niczego nie osiągnę. Muszę zebrać się do kupy.

Z wielkim trudem wyszła z sypialni i poszła do kuchni. Nie mogła zapalić światła, więc po omacku szukała torby Łukasza. Nie trudno było się jednak zorientować, że wszędzie jest pobożowisko. Na stole stały kubki i szklanki, piętrzyły się pudełka po chińczyku i jakieś kartki. Nie było jednak torby. Znalazła ją w salonie, podobnie jak komórkę. Kiedy wychodziła z mieszkania, na ułamek sekundy zawahała się, ale nie weszła znowu do sypialni. Zbiegła szybko po schodach, a gdy szła przez podwórko, poczuła, jak w kieszeni wibruje komórka Łukasza. Wyciągnęła ją i zobaczyła, że jest nowa wiadomość. Zrobiło jej się ciepło, gdy zdała sobie sprawę z tego, że gdyby SMS przyszedł parę chwil wcześniej, mógłby obudzić Łukasza. Nim doszła do furtki, odczytała jej treść:

Jestem w drodze. Będę za 10 min.

– Malicki? – zapytała samą siebie, ale nie było czasu na rozważania. Wyszła z osiedla jak gdyby nigdy nic, minęła policjantów w nieoznakowanym radiowozie i wsiadła do samochodu Gogola.

– Obserwują tylko wieczorami i w nocy – wskazał radiowóz kubkiem kawy. – Coś się musiało zmienić. Masz wszystko?

Kiwnęła głową, nie patrząc na niego.

– Ej – złapał ją za podbródek – będzie dobrze. Wszystkim się zajmiemy, Malinka. Zacisnęła mocno usta, ale i tak oczy zrobiły jej się mokre.

– Jedziemy tam? – zapytał Gogol.

– Tak, jedźmy – odpowiedziała cicho.

Rozdział 45

Brenner był nie tyle zły, co poirytowany. Miał ochotę zadzwonić do Meyera i powiedzieć mu kilka słów do słuchu, ale wciąż miał na uwadze fakt, że Łukasz uważał, że jest wdowcem i właśnie przechodził jedne z gorszych chwil w swoim życiu. Wszedł energicznym krokiem do budynku Biura, gdzie przywitał go zaskoczony wzrok ochroniarza.

– Znowu w pracy? – zapytał barczysty młodzieniec o twarzy półinteligenta.

– Nie, przyjechałem tylko po coś. Podobno był kurier i coś dla mnie zostawił.

– A, tak! – Mięśniakowi otworzyła się klapka w mózgu. – Był. Jakaś koperta leży na pana biurku. Sam zanosilem.

– A kto pilnował wtedy budynku? – Brenner nie czekał jednak na odpowiedź, tylko szybko przeszedł korytarzem do przeszklonych drzwi prowadzących do pomieszczeń Biura. Przyłożył swoją kartę do czytnika i nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły od razu, bo zrobił to za szybko, więc jego irytacja osiągnęła w tym momencie bardzo wysoki poziom.

Przysłać mi jakąś dokumentację właśnie teraz, złościł się. Meyer wysłał mu SMS-a z informacją, że podał przez kuriera coś pilnego od poznańskiej policji. Jacyś kretyni. Jakby nie można było zrobić tego inaczej.

Przeszedł open space i wszedł do swojego biura. Zapalił lampkę na biurku i dopiero teraz zauważył, że coś jest nie tak. Jego fotel był odwrócony, choć był pewien, że gdy wstawał, przysuwał go przodem do blatu. Zamarł. Zanim pomyślał, że to podstęp, i zanim w ogóle mógł cokolwiek zrobić, fotel obrócił się w jego stronę.

– Dobry wieczór – powiedział znajomy głos na nieznajomej twarzy zasłoniętej okularami w grubych czarnych oprawkach.

Mrugnął chwilę oczami, próbując to sobie jakoś poukładać w łysej głowie. Gdy emocje lekko opadły i zrozumiał, w czym rzecz, roześmiał się z ulgą. Oparł dłonie o blat biurka i pokręcił głową.

– Jak... – Urwał, kiedy zobaczył przed sobą komórkę i identyfikator Meyera. – No tak. Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Miała być koperta.

– I jest. – Justyna sięgnęła pod siedzenie i wyciągnęła niedużą brązową kopertę z jego imieniem i nazwiskiem. – Widzę, że nie jest pan zaskoczony moim widokiem. Nie tak, jak można by się tego spodziewać.

– Pani mąż jest pewien, że pani nie żyje.

– Dlaczego? – Serce zabiło jej mocno, jakby usłyszała, że to Łukaszowi coś się stało.

– Poznańska policja... od której mam tę przesyłkę – wskazała na kopertę – znalazła pod Kościanem spalone zwłoki jakiejś kobiety. Są przekonani, że to pani ciało.

Justyna opadła na oparcie i zamknęła na chwilę oczy.

– Ale pan wiedział, że to nie ja...

– Ktoś tam chyba wie, że to nie pani.

– Żaneta. – Justyna kiwnęła głową.

Brennerowi odebrało mowę.

– Skąd... Zna ją pani?

– Nie. – Uśmiechnęła się blado. – Ale wiem bardzo dużo innych rzeczy, które mogą się przydać.

– Do czego? – Zmrużył oczy.

– Niech pan usiądzie. Wiem, że nienawidzi pan, gdy ktoś zajmuje pana fotel, ale proszę

dziś być dla mnie wyrozumiałym. Siedzę tak, że nie widać mnie na monitoringu. Kolega mocno się natrudził, żeby złapać sygnał kamer. Zaskoczyło go, że obraz jest cyfrowy, a nie analogowy.

– Kolega – mruknął Brenner i usiadł przy biurku. – Co więc pani ma dla mnie?

– Justyna. – Znowu się uśmiechnęła, ale już bardziej radośnie. – Jak to się skończy, będziemy udawać, że jesteśmy na stopie oficjalnej.

Kiwnął głową.

– Rafał.

– Udało mi się ustalić kilka faktów. Porwana zostałam na zlecenie...

– Zaraz, zaraz! – Brenner podniósł dłoń. – Co to znaczy „porwana zostałam na zlecenie”?

Chcesz mi powiedzieć, że spinamy się tu od niedzieli i stawiamy na baczność całe służby, żeby to ustalić, i jesteśmy ciągle w dupie, a ty przychodzisz i rzucasz mi na biurko odpowiedź? Kim są ci twoi „koledzy”, co?

Nigdy nie widziała, żeby był tak zdezorientowany.

– Nie powiem ci, nie licz na to. Mogę ci natomiast powiedzieć, kto zlecił porwanie.

W kopercie jest nazwisko i skrótowo opisane powody. Są dość pewne. Rozmawiałam rano ze Słotwińskim i mamy co do tego raczej spójny pogląd...

– No tak. – Uśmiechnął się krzywo. – Nam nie powiedział ani słowa.

– I dobrze zrobił, bo macie u siebie kreta.

– Skąd o tym wiesz?!

– Bo to logiczne. Nie ma czasu, żeby to teraz wyjaśniać szczegółowo.

– A wiesz, kto jest tym kretem?

– Wiem – jej odpowiedź była bardzo cicha, ale dla Brennera było to jak cios w samą potylicę.

– Powiesz mi?

Uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Coś za coś, drogi Rafale.

Zagotował się, ale w ostatniej chwili powstrzymał przed wybuchem. Potarł dłonią łysinę i nabrał powietrza w płuca.

– Czego chcesz ode mnie?

– Żebyś mi nie przeszkadzał, kiedy wprowadzę w życie swój plan.

– Jaki plan? – Był bliski eksplozowania. – Nie możesz pogrywać samodzielnie, nie jesteś jakimś mścicielem.

– Uspokój się. Nie będę się mścić. Chodzi mi o złapanie tych, co mnie porwali. Jesteśmy po tej samej stronie. Masz nazwiska porywaczy?

– Nie.

– Są w tej kopercie. Policja z Poznania przekaże je wam oficjalnie rano, mają odciski z miejsca, w którym mnie przetrzymywali. Do tego czasu jednak możesz już pracować.

Wybacz... niewiele dziś pośpisz.

– Kurwa – roześmiał się nerwowo i pokręcił głową. – To przez ciebie wstrzymują te informacje.

– Tę tak, ale inne przez Łukasza. Znasz Malickiego?

– Znam, to policjant, który spędził z twoim mężem dużo czasu.

– Jest teraz u Łukasza, widziałam SMS-a od niego. Współpracuje z Żanetą od samego początku i na pewno ustalają coś, czego nie wiecie, ale rzeczy, które masz ode mnie, są tylko dla ciebie. Tylko!

– Rozumiem. – Brenner wyprostował się na krześle. Justyna wiedziała, że to, co powiedziała przed chwilą, poprawiło mu nieco humor.

– Chodzi o to, że porywacze wciąż wiedzą, że żyję i wciąż mają kasę do zarobienia. Kazałam swojemu szefowi dać nogę na ten czas, bo jest w realnym niebezpieczeństwie. W tej magicznej kopercie znajdziesz również pluskwę, którą wyciągnęliśmy z jego komórki. Nie wygląda na coś waszego...

– Co chcesz zrobić? – Brenner poczuł niepokój.

– Wystawić się jako przynętę.

– Chyba cię pojebało! – wyrwało mu się. Patrzył się na nią szeroko otwartymi oczami i z przerażeniem na twarzy. – Justyna, to najgorsze, co możesz zrobić. Ja ci na to nie pozwolę.

– Nie zabronisz mi niczego. Mam do ciebie tylko jedną prośbę: nie przeszkadzaj, kiedy zobaczysz coś, czego nie zrozumiesz.

– Teraz nie rozumiem.

– Kiedy zrobi się gorąco, miej na uwadze, że wydarzy się coś... niespodziewanego. Jakiś spadający z nieba znak. Nie patrz wtedy w górę, tylko działaj normalnie.

– Dalej nie rozumiem.

– Zrozumiesz.

– To daj mi chociaż nazwisko kreta.

– Nie. Nim zajmę się sama.

– Mówiłaś...

– Mówiłam, mówiłam. Powinniście wiedzieć to od dawna. Muszę iść. Zasiałałam się tu u ciebie.

– Gdzie pójdziesz?

– Nie martw się o to. – Uśmiechnęła się. Wyciągnęła telefon z kieszeni i wybrała numer. Oczekała, aż usłyszy jeden sygnał i się rozłączyła. – Mamy chwilę, żebyś się przesiadł na swoje miejsce. Stanę tutaj, a za dwie minuty będę miała czas, żeby wyjść.

– Justyna... czy mogę coś dla ciebie zrobić? Potrzebujesz czegoś... poza tym... o czym mówisz?

Zastanowiła się, po czym spojrzała na niego z lekkim uśmiechem.

– Tak, możesz dla mnie coś zrobić, co sprawi mi największa przyjemność. Skoro macie to ciało i policja myśli, że nie żyję, ogłoście w mediach fakt mojego porwania i morderstwa.

– Dlaczego?

– To nieistotne. Już nie ma potrzeby, żeby się z tym kryć. Po prostu zrób to i niech rano wszystkie newsy się od tego zaczynają. Ale! Z podaniem mojego panieńskiego nazwiska, żadnej wzmianki o Meyerze. Będę ci zobowiązana... i nawet dam ci tego kreta na tacy.

– To zaraz zadzwonię – roześmiał się. – W zasadzie rozważałem już tę ewentualność jako jedną z prób wyjaśnienia sprawy.

– Nie łapię logiki, ale OK, niech i tak będzie. Dzięki.

– Nie ma sprawy. Uważaj na siebie.

Kiedy zniknęła w ciemnościach open space'u, Brenner poczuł coś więcej niż ulgę. Chciało mu się śmiać i gadać, jak wtedy, gdy był nawalony. Miał ochotę gdzieś zadzwonić i komuś o tym opowiedzieć, ale powstrzymał się. Otworzył brązową kopertę i wyciągnął z niej plik kartek. Były tam również dwa zdjęcia i od razu wiedział, że są z kartotek policyjnych. Położył je na biurku i przyglądał się im długo. Twarz jednego z tych mężczyzn coś mu mówiła, ale pewnie z powodu jakiejś innej sprawy. Zanim zadzwonił po ludzi, zastanowił się mocniej nad tym, co usłyszał od Justyny. Podniósł wzrok na wytartą, wciąż białą tablicę i zrozumiał...

Chce, żebym im powiedział. Wszyscy mają wiedzieć o tym, że jej szukamy żywej. Mamy do niej doprowadzić tego, który zdradza i całą resztę.

Racjonalne przesłanki mówiły, że nie wolno mu podjąć tej gry. Nie wiedział, kim są ci,

którzy pomagają Justynie, nie wiedział, co tak naprawdę planują. Ale świerbiło go, żeby zagrać na jej zasadach.

Już w to gram. Pozwoliłem jej stąd wyjść. Nikomu nie mam zamiaru o tym powiedzieć, chcę jej nawet pomóc z mediami, mimo że nie mam pojęcia, o co chodzi... Jestem umoczony po czubek mojej łysej głowy.

Rozdział 46

Malicki nie wiedział, co zrobić. Żaneta nabrała wody w usta i nie chciała powiedzieć, co tak naprawdę wie poza tym, że czeka na wyniki DNA, i do tego czasu nie będzie niczego potwierdzać ani dementować. Był więc zły, bo przecież zasugerował Brennerowi, że Justyna żyje i żeby dalej tak traktował tę sprawę.

Stał przy oknie w kuchni Meyerów i pił herbatę. Miał ochotę napić się wódki albo koniaku. Widział jakiś w salonie, ale przecież musiał być na chodzie cały czas. Łukasz spał mocno, może nawet za mocno, więc domyślił się, że pewnie jest na prochach. To go też złościło, bo chciał z nim porozmawiać. Chciał pogadać z kimkolwiek.

Jak na zawołanie, zadzwonił Brenner.

– Panie kolego, wiem, że jest pan u Meyera, ale musi pan wziąć się nieco do pracy.

– Skąd pan to wie? – Malicki nie mówił o tym nikomu.

– To nieistotne. Mam nazwiska porywaczy. Ściągnąłem już, kogo się dało. Czekam na tych, co są po „jednym piwie”, aż ich ktoś przywiezie i bierzemy się do roboty.

Malicki dawno nie był tak zaskoczony. Miał w sobie głęboko skrywaną ambicję bycia najlepiej poinformowanym, który wyprzedza resztę w śledztwie i czuł, że właśnie jego poczucie własnej wartości zostało mocno nadszarpnięte.

– Co mam robić? – zapytał cicho, nie kryjąc nawet zawodu, jaki odczuwał.

– Prześlę panu to, co mamy. Niech pan uruchomi swoje zasoby ludzkie i czasowe i dowie się o tym jak najwięcej.

– Zostawić Meyera?

Brenner westchnął.

– Myślałem już o tym. Kot miał się tam zjawić, ale potrzebuję go tutaj. Jeśli pan może, proszę zostać i pracować nad tym, nad czym się da. Dzwonić, odbierać pocztę, myśleć i analizować.

– Jaki mamy cel?

– Łapać tych ludzi. Chociaż... w sumie dobrze by było, gdyby doprowadzili nas do zleceniodawcy, bo jeśli tego nie zrobimy, wynajmie kogoś innego. Właśnie nad tym niech pan pomyśli. Czekam na każdą sugestię, choćby się panu wydała głupia.

– Czy pan... Czy pan nadal wierzy, że Justyna żyje?

Brenner roześmiał się.

– A pan w to wierzy? Wydawało się, że jest pan pewien.

– Sam już nie wiem.

– Panie kolego, niech się pan nie mazgai, tylko bierze dupę w troki i ruszy mózgiem. Muszę kończyć, bo już większość ludzi jest na miejscu. Aha, jeszcze jedno. Media będą mówić o śmierci Justyny. Proszę się nie dziwić, tylko traktować to jako część strategii, a Meyera trzymać z daleka od wiadomości. Poradzi pan sobie?

– Poradzę – westchnął z rezygnacją Malicki.

– Też tak myślę, bo ze Słomkowskiego to jeszcze długo nie będzie pożytku. No nic. Do usłyszenia.

– Na razie...

Malicki poczuł się zmęczony. Pracował od niedzieli na najwyższych obrotach i właśnie skończyły mu się resztki energii. Zamiast otwierać pocztę, poszedł do salonu i położył się na kanapie. Chciał odetchnąć i zebrać myśli do kupy, ale zanim dobrze się ułożył, spał w najlepsze.

===aAw0B2QGZAZnVWRRMFQxAWcCMgdiBGAEMwo9CG1VZVU=

Rozdział 47

– Jajka czy jajka?

Kamil zamrugał spuchniętymi powiekami. Patrzył na żonę, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

– Nie rozumiem.

– Masz do wyboru jajka albo jajka, ewentualnie jajka z jajkami. Na śniadanie oczywiście. Nic innego nie mamy w lodówce, bo nikt dawno nie był na normalnych zakupach. Więc, co ma być?

– Nie no, bezwzględnie jajka. Nie będę się nawet zastanawiał, kochanie. Jajka. Wszystko jedno, pod jaką postacią.

– Za to cię kocham i wytrzymałam z tobą dwadzieścia lat: zawsze wiesz, czego chcesz.

Kamil Kołecki zasiadł za stołem i podgłośnił telewizor. Przed sobą miał kilka głównych tytułów prasowych, które kolejno zaczął przeglądać, zerkając co chwilę na pasek informacyjny na dole ekranu. Lubił przyjść do pracy i nie bawić się w prasówkę, tylko od razu zabierać się do tego, co najważniejsze.

Jego żona, Matylda, wniosła do pokoju dymiącą jajecznicę i chleb.

– Herbata? – zapytała.

– Byle nie jajeczna – odpowiedział z kromką w ustach.

Matylda nie lubiła jego zwyczaju czytania i oglądania wiadomości w trakcie jedzenia, ale już nawet się z nim o to nie kłóciła. Usiadła tyłem do telewizora i nalała sobie herbatę z dzbanka.

– Przerwę ci, kochanie – powiedziała po chwili.

– Słucham cię uważnie – odparł, nie patrząc w jej stronę.

– Musimy znaleźć mniejsze mieszkanie – mówiła spokojnie i bez emocji. – Nie stać nas na to duże, puste i zimne.

– Nie rozumiem.

– Przędziemy coraz cienie. Ty zarabiasz coraz mniej, ja mogę stracić pracę, jeśli jakimś cudem nie obronię habilitacji do przyszłego roku, a cudu raczej nie będzie. Nie możemy udawać, że jest dobrze, skoro nie jest. Dzieci tu nie wrócą, niezależnie od tego, jak będziesz to wypierał, więc...

– Dobrze, myszko.

– Kamil! – Oparła się dłońmi o stół i spojrzała na męża zirytowana. – Nie słuchasz mnie.

– Słucham. I się zgadzam. Sprzedamy to mieszkanie i pójdziemy do mniejszego. Nie muszę udawać, jak niektórzy moi koledzy, że jestem dziany gość. Spokojnie możemy przeczekać recesję w jakiejś przytulnej kawalerce.

Matylda przewróciła oczami, ale odczuła ulgę. Rozmowy o finansach nie należały do łatwych. W zasadzie to poszło zbyt gładko...

– Kamil, dlaczego mnie spławiłeś?

– Bo muszę jechać do pracy. – Patrzył w ekran telewizora, jakby zobaczył coś strasznego.

Matylda odwróciła się. Młoda reporterka stała na tle jakiegoś lasu i opowiadała o czymś z wielkim przejęciem. Za jej plecami widać było policjantów, którzy najwyraźniej czegoś szukają. Na pasku informacyjnym widniał wielki napis: „Porwanie i morderstwo”.

– Jak udało nam się ustalić, kobietę porwano w niedzielę rano sprzed jej bloku na mokotowskim osiedlu – referowała dziennikarka. – Policja nie ujawniała tej informacji do teraz ze względu na dobro śledztwa. Jednak wczoraj, w godzinach porannych, znaleziono spalone zwłoki porwanej w tym lesie, który widzą państwo za moimi plecami. Dziś potwierdzono jej

tożsamość i wiadomo z całą pewnością, że była to Justyna Dąbek, mieszkanka Warszawy. W tej chwili trwa przeczyszczenie najbliższej okolicy w celu znalezienia dodatkowych śladów, które być może pozwolą ustalić więcej szczegółów. Nie wiadomo, kim byli porywacze. Z naszych źródeł, które niestety nie są potwierdzone, wynika, iż motywem porwania była zemsta bądź chęć ukrycia istotnych dowodów przestępstwa, którego świadkiem mogła być zamordowana...

– Boże drogi. – Kołeczka zasłoniła dłonią usta. – To jakiś koszmar.

Spojrzała na męża, który był już ubrany i pakował laptopa do torby.

– Chcesz się tym zająć? Przecież to nie twoja działka.

– Właśnie że moja. Bardzo moja.

Naczelnny siedział u siebie i pił kawę. Nie był zadowolony z nagłego wtargnięcia Kamila, ale powstrzymał się od złośliwego komentarza.

– Nie może poczekać do kolegium? – zapytał na powitanie.

– Nie może. Nie będzie też kolegium – odparł Kołeczki i zamknął za sobą drzwi. Pod pachą miał jakiś pakunek.

– Chcę ci przypomnieć, że to ja jestem naczelnym i to ja jestem od odwoływania kolegium.

– Roman, nie mamy czasu na przepychanki. Jesteśmy umówieni w Komendzie Stołecznej w związku z pewną sprawą. Zbieraj się.

Naczelnny zmrużył oczy i przeszył Kamila wzrokiem. Nie lubił, gdy mu rozkazywano, ale Kołeczki nie był typem, który lubi rozkazywać swoim przełożonym. Jeśli to robił, to tylko z ważnego powodu.

– Co się stało? – Roman Kulig poczuł, że robi mu się lekko gorąco.

– Justyna Dąbek została zamordowana.

– Kto? – Nic mu to nie mówiło.

– Justyna Dąbek. Była u nas cztery lata temu, na pewno pamiętasz.

– Na pewno nie pamiętam.

– Pamiętniki. – Kamil pokazał pakunek.

– O, kurwa – szepnął naczelnny i postawił kubek na blacie biurka. – Kto ją zabił?

– Nie wiadomo. Została porwana w niedzielę rano. Wszystkie media o tym huczą, ale jak się w aucie słucha RMF Classic, to się nie wie, panie naczelnny.

Kulig zakładał marynarkę i patrzył roziskrzonym wzrokiem na paczkę w ręku Kamila.

– Ale mają coś więcej?

– Podali prawdopodobny motyw. Wszystko pasuje. Jest tak, jak mówiła.

Rozdział 48

Nic tak nie przerażało Michała Malickiego jak to, że był wyspany. To oznaczało, że na pewno zasnął, a jeśli zasnął, to coś przegapił albo nie dotarł na jakieś spotkanie. Podniósł głowę i skrzywił się z bólu. Musiał spać w jednej pozycji, bo miał kompletnie zeszywniały kark. Było mu jednak bardzo ciepło. Spojrzał na swoje ciało i zobaczył, że został przykryty kocem. Nie pamiętał, żeby sam się okrywał, więc mógł to zrobić tylko Łukasz. Usłyszał dochodzące z kuchni odgłosy, które świadczyły o tym, że ktoś tam intensywnie sprząta. Podniósł się i zawinięty ciagle w koc poszedł za tym dźwiękiem.

Łukasz wyrzucał kartony po chińczyku, układał kubki i talerze w zmywarce, przecierał blaty i stół. Zauważył Michała, ale nie odezwał się słowem.

– Co robisz? – głos Malickiego był zachrypnięty.

– Miejsce do pracy. Musimy zająć się paroma rzeczami, a nie da się pracować w takim chlewie.

– Czym się chcesz zajmować?

– Moja żona została porwana, jeśli zapomniałeś. Nie zamierzam siedzieć beczynn timer.

– Przepraszam. – Malicki przetarł dłonią oczy i usiadł przy stole. – Gadam jak idiota.

Miałem wczoraj kiepski wieczór.

– Coś się wydarzyło? – Łukasz wyglądał wyjątkowo spokojnie.

– Dzwonił Brenner. Wiedział, że u ciebie jestem... Nie mam pojęcia skąd. Dał mi nazwiska porywaczy, miałem nad tym w nocy posiedzieć, ale... jak widzisz, nie udało mi się.

Łukasz kiwnął głową i zaczął nalewać wodę do czajnika.

– Co się stało? – Malicki podniósł się i położył koc na krześle. – Nie dziwi cię, że mamy nazwiska porywaczy?

– Dzwoniła Żaneta.

– Do ciebie?! – Poczul się nagle rozbudzony i jeszcze bardziej zły o to, że tyle przespał.

– Nie, do ciebie. Nie ma nigdzie mojej komórki, przeszukałem całe mieszkanie. Dzwoniła na twój telefon i odebrałem.

– Kiedy?

– Godzinę temu. Nie obudziłeś się, więc odebrałem...

– I co?

– Jest w drodze do nas. Załamała się, bo została odsunięta od sprawy. Przyjedzie tu albo będzie dzwonić.

Michał nie wiedział, co powiedzieć.

– Jak to? To jedzie do nas czy do kogoś innego?

– W sumie nie chciała powiedzieć. Ma się kontaktować z nami.

– Co ci mówiła? – Malicki złapał Łukasza za rękaw. – Widzę, że coś wiesz.

– Ryczała, a jak na chwilę przestała, to powiedziała o tych porywaczach. Ktoś z jej przelożonych chciał wyciągnąć z niej, skąd miała zamiary na miejsce, gdzie trzymali Justynkę. Nie wygadała się, więc ją odsunęli. Poza tym powiedziała, że te zwłoki to nie jest Justyna, bo ciało na pewno leżało w lesie dłużej niż dobę czy dwie, ale nikt jej nie uwierzył. Uznano, że bredzi, bo wszystko im pasowało. Podobno znaleziono spalone ubrania Justyny w jakiejś beczce. Wiesz coś o tym?

Malicki znowu usiadł. Łukasz podał mu herbatę w kubku i zajął miejsce naprzeciwko niego.

– Wiem... W domku obok były jej odciski palców. Ale nie było śladu po porywaczach.

– No właśnie. Kłopot polega na tym, że ten domek był zamieszkiwany przez jakiegoś byłego księdza i Żaneta odkryła, że to najlepszy kumpel tego księdza z Kościana...

– Jakiego księdza?

– Justyna weszła do kościoła w Kościanie i zniknęła. Musiała wyjść przez zakrystię, ale żadne kamery tego nie zarejestrowały. Przypuszczaliśmy z Marcinem, że pomagał jej ktoś z kościoła, ksiądz albo kościelny. Tego samego dnia wikary poszedł na zwolnienie lekarskie, nagle, bez wcześniejszych oznak choroby.

Malicki czuł, jak szybciej bije mu serce.

– To trzeba jechać do tego księdza.

– Policja była u niego, ale rodzice na oczy go nie widzieli. Ukrył się gdzieś.

– Ale historia! I co? Ten od domku to jego kolega?

– Tak.

– To gdzie on jest?

– Wyjechał z innym kolegą do Warszawy.

Michałowi odjęło mowę. Podniósł kubek i znowu go postawił.

– Łukasz, czy... czy ty wyciągnąłeś z tego jakieś wnioski, bo mam sieczkę zamiast mózgu w tym momencie.

– Zapytałem Żanetę o tego człowieka, z którym ksiądz wybrał się do Warszawy... – Zamilkł nagle.

– No i?

– Michał, nie zniosę kolejnego razu, kiedy moje nadzieje są grzebane żywcem. – Pokręcił głową i zacisnął usta.

– Łukasz – Malicki złapał Meyera z rękaw – bądź przez chwilę funkcjonariuszem, śledczym, kimś, kogo interesują fakty. Proszę cię!

Łukasz zamknął oczy i wydawało się, że podda się emocjom.

– Proszę cię, Meyer. Pomyślmy o tym spokojnie. Znika ksiądz, który mógł pomóc Justynie w Kościanie, potem ksiądz, u którego znaleziono jej odciski, jedzie do Warszawy... Policja ma na pewno jego nazwisko i rysopis. Dowiedzmy się jeszcze czegoś o tym drugim.

– Nie da rady – powiedział cicho.

– Dlaczego?

– Żaneta chciała wysłać do jego domu ekipę, żeby go przeszukać, ale nie dostała nakazu. Zabroniono jej się tym zajmować. Oficjalne stanowisko jest takie, że Justyna nie żyje i leży teraz w kostnicy w Poznaniu. Czekają jedynie na wyniki badań DNA.

– Ale to jakiś absurd! – Malicki złapał się za głowę. – Zadzwońmy do Brennera. O co im chodzi?

– Nie chcę rozmawiać z Brennerem. Wiem, co usłyszę. W sprawę umoczone jest wojsko i każdemu zależy, żeby to szybko zamknąć. Myślę, że mój szef też ma związane ręce.

Malicki opadł na oparcie.

– To nad czym chciałeś się zastanowić? Mówiłeś, że nie będziesz siedział beczynnienie.

– Muszę pomyśleć, po co Justyna chciałaby wrócić do Warszawy bez ujawniania się. Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym w nocy z poniedziałku na wtorek. Znalazłem nasze notatki.

Michał kiwnął głową. Poczł zadowolenie z faktu, że Meyer wciąż ma w sobie resztkę nadziei. Chciał się tego złapać i pomóc mu.

– Dobra. Zróbmy to. Tylko najpierw zjedzmy. Ja coś przygotuję. Jestem mistrzem robienia czegoś z niczego.

Rozdział 49

O dziewiątej Brenner zrobił odprawę. Zwołał wszystkich, było też dwóch policjantów z poszukiwań i dowódca antyterrorystów. Jego ludzie zachodzili w głowę, o co chodzi, skoro media otrąbiły śmierć Justyny. Każdy rozglądał się i szukał wzrokiem Meyera albo Kotowicza. Brenner przyglądał się uważnie twarzom, szukając niepokojących objawów.

– Zaczynamy. Kogoś nie ma? – odezwał się swoim niskim głosem, na dźwięk którego wszyscy zamilkli.

Lenart podniósł dłoń.

– Kotowicza, no i... Meyera.

– To akurat nieistotne. – Brenner machnął ręką i oparł się o biurko. – Jak zapewne widzieliście i słyszeliście, media podały wiadomość o znalezieniu zwłok, które uznano za zwłoki Justyny Dąbek. Nie bez powodu przekazaliśmy prośbę, żeby nie używać nazwiska po mężu. Mam nadzieję, że nikt nie ma wątpliwości, jaki to był powód.

Popatrzył po ludziach, ale nikt nie zgłaszał uwag. Ciągle nie rozumiał, dlaczego dla Justyny było to takie ważne, tym bardziej wolał nie wnikać w szczegóły. Czuł, że większość osób pomyśli o tym, że nie byłoby dobrze łączyć ofiarę z funkcjonariuszem CBS.

– Czy ktoś ma jakieś przypuszczenia, dlaczego się dziś zebraliśmy w tym gronie? – wskazał na stojącego obok człowieka z AT.

– Ciągle szukamy porywaczy – powiedział dość niepewnie Iwanow.

– Nie. – Brenner pokręcił energicznie głową. – Szukamy Justyny.

Po pomieszczeniu przeszedł dość głośny szmer.

– To żyje czy nie żyje? – Odrowąz rozłożył ręce w geście zapytania, był wyraźnie zdezorientowany.

– Żyje i ukrywa się w Warszawie – odpowiedział Brenner pewnym tonem. – Musimy ją znaleźć jak najszybciej.

– Dlaczego miałyby się ukrywać? – Lenart pokręcił głową. – Ma coś na sumieniu?

Brenner uśmiechnął się lekko.

– Raczej nie. Po prostu się boi. Dopóki nie złapiemy tego, kto ją porwał, a mamy na to coraz mniejsze szanse, nie będzie chciała się ujawniać. Dlatego musimy ją znaleźć i zapewnić ochronę. Media dały nam zasłonę dymną. – Był dumny, że tak szybko to wymyślił.

Lenart roześmiał się i pokręcił głową.

– Mamy jakiś pomysł, gdzie może być?

– Nie mamy. I to jest nasze najpilniejsze zadanie na dziś. Musimy zdążyć przed porywaczami. Nie wszyscy z was wiedzą, ale dostałem w nocy informacje od poznańskiej policji z danymi personalnymi dwóch mężczyzn, którzy porwali Justynę w niedzielę... – W tym momencie z wielką uwagą przyglądał się twarzom swoich ludzi. Po kilku sekundach wiedział, że Justyna miała rację: od dawna powinno być dla nich jasne, kto sypie. Miał ochotę walnąć siebie samego w pysk za swoją głupotę, ale powstrzymał nerwy i kontynuował. – Zebrałem ekipę, która ma ustalić, gdzie mogą teraz przebywać. Kilku z was wesprze ich, reszta zabiera się do pracy praktycznie od nowa, jakbyśmy mieli nową sprawę. Jest z nami inspektor Bielecki z Komendy Stołecznej. On i komisarz Wiśniewski będą prowadzić śledztwo razem z nami. Czy są jakieś pytania?

Nikt się nie odezwał, ale niemal wszyscy mieli nietęgą miny. Szukanie Justyny w Warszawie bez jakichkolwiek wskazówek, gdzie może być, było mało przyjemne i zapowiadało długie godziny spędzone tylko na analizowaniu tych samych faktów. Nagle jednak

towarzystwo ożywiło się, bo w drzwiach pojawiła się nieziemsko urodziwa postać kobieca. Mimo zapuchniętych od płaczu oczu i braku makijażu, nadkomisarz Żaneta Gołąb wyglądała zjawiskowo ze swoimi długimi włosami i świetną figurą. Duże, czerwone usta, zarumienione policzki i zadarty nos sprawiały, że jej twarz wyglądała dziewczęco. Zawsze była dobrze ubrana, nawet jeśli jechała pół nocy samochodem i przeżyła załamanie nerwowe. Wprowadzili ją Łukasz z Michałem Malickim, budząc tym większą sensację. Brenner nie znał Żanety, ale szybko domyślił się, kim może być. Wyprostował się i skierował w ich stronę.

– Kończymy – powiedział do ludzi, nie patrząc na nich. Zaprosił nowo przybyłych do siebie, podobnie jak inspektora Bieleckiego i dowódcę AT.

W gabinecie usiadła tylko Żaneta, pozostali stanęli przy szklanej ścianie. Pani komisarz popłakiwała ciągle, co budziło w Brennerze mieszane uczucia, ale starał się nie okazywać irytacji ani tym bardziej rozbawienia.

– Jaki jest problem? – zapytał od razu.

– Odsunięto mnie od sprawy – chlipała. – Nie mogłam sprawdzić wszystkiego do końca. Ci imbecyle nie słuchali racjonalnych przesłanek.

– Zależało pani na rozwiązaniu, jak domniemywam po pani stanie. – Brenner z trudem trzymał fason.

– Nie. – Spojrzała na niego jakby nieprzytomnie. – Pan myśli, że płaczę przez sprawę? Nie, to co innego.

Wszyscy wymienili zdziwione spojrzenia.

– To o co chodzi?

– A, nie! Niech się pan nie przejmuje. Płaczę, bo mam inne problemy... Ale nieważne. – Machnęła ręką. – Jeśli chodzi o to śledztwo, to pojechałam do domu tego całego Ziutka...

– Kogo? – Brenner potrząsnął głową.

– No, tego, co pojechał z Justyną do Warszawy... To znaczy z panią Meyer.

Brenner spojrzał na Łukasza z głupią miną. Meyer odkleił się od szyby i podszedł bliżej.

– Justyna prawdopodobnie przyjechała tu z dwoma facetami. Jeden jest księdzem, czy tam byłym księdzem i wiemy, że nazywa się Jacek Dróżnik. Drugi to niejaki Józef Nienacki, ale niewiele o nim wiemy. Żaneta była tam incognito i poprosiła sąsiadów, bo jej szefowie postanowili już dalej nie drążyć tematu. Zaraz potem przyjechała do nas.

– Chciałam od razu trafić do pana, ale nie znam Warszawy, więc poprosiłam ich o pomoc. Brenner kiwnął głową, ale nadal milczał.

– Z tego, co udało się wydębić od tamtejszej policji – ciągnął wyjaśnienia Łukasz

– Nienacki i Dróżnik pojechali do Warszawy. Sąsiadka, która pilnuje jego domu, powiedziała, że Nienacki wspominał o jakimś koledze, który ma tu mieszkanie.

– Musimy to sprawdzić. – Brenner spojrzał na inspektora, który tylko kiwnął głową. – No i co dalej? Wiadomo coś jeszcze?

– Nie. – Żaneta pokręciła energicznie głową.

Brenner odwrócił wzrok na swoją tablicę i zacisnął szczęki.

– Ci pani przełożeni... Musimy to jakoś inaczej załatwić.

– Myślałem o tym, żeby wejść do domu tego Nienackiego – wyrwał się w końcu Malicki, który od dłuższego czasu czuł potrzebę wniesienia jakiegoś wkładu do sprawy. – Wystarczą odciski, może dokumenty czy inne dowody... i będzie prościej.

Brenner spojrzał na niego przenikliwie.

– Tak. – Kiwnął głową z aprobatą. – Załatwię to. Panie inspektorze, damy radę coś z tym zrobić?

– Oczywiście. – Bielecki stał swobodnie z założonymi rękami i rytmicznie kiwał głową.

– Zaraz wykonam telefon.

– Doskonale. Pani Żaneto – spojrzał na policjantkę z ciepłym uśmiechem – jest pani świetnym gliną.

Uśmiech pani nadkomisarz rozjaśnił jej twarz i uczynił tak piękną, że Brennerowi zrobiło się gorąco wokół serca.

– Niech pani idzie się czegoś napić. Panie Malicki – zwrócił się do Michała. – Nie jest pan u siebie, ale niech pan będzie łaskaw...

– Oczywiście. – Malicki skinął głową jak żołnierz wykonujący rozkaz.

– Meyer, musimy porozmawiać.

Wszyscy po cichu wyszli, a Łukasz usiadł przed biurkiem. Brenner zauważył, że do open space'u wszedł Kot, który na widok Meyera od razu dał nogę.

– Oglądałeś wiadomości?

– Tak – powiedział cicho, nie patrząc na szefa.

– Wiesz, dlaczego to nagłośniłem?

Łukasz chwilę nic nie mówił, ale widać było, że jest mu bardzo ciężko.

– Myślę, że ma pan jakiś cel... Nie bardzo rozumiem jaki, ale staram się panu zaufać.

– Cieszy mnie to. Nie mogę podać wszystkich powodów, ale rozważałem już tę ewentualność od jakiegoś czasu. Media i ich szum pozwolą nam nieco zatuszować nasze działania.

– Co pan chce osiągnąć? – Łukasz spojrzał smutno na Brennera.

– Wszystkim powiedziałem, że chcę ją znaleźć, ale nie o to chodzi...

– To o co? – roześmiał się nerwowo.

– Sama się odnajdzie, jeśli my złapiemy tych, co ją porwali, i im to udowodnimy, a to może nie być takie proste. Okazuje się, że Justyna wie, co robić w sytuacjach zagrożenia. Jest rozsądna i jasno ocenia sytuację.

– Mówi pan to tak, jakby pan wiedział...

– Widzę, co się dzieje, nic więcej. Wydaje się, że ani na chwilę nie straciła kontroli...

A mówię ci to, Meyer, bo chcę, żebyś ty też zaczął tak myśleć. Myśl o swojej żonie jak o kimś, kto wie, co robi. Nie rozkminiaj, dlaczego się nie ujawniła, nie podejrzewaj ukrytych podtekstów.

– Niczego nie podejrzewam! – głos Łukasza drżał.

– Spokojnie. – Brenner podniósł dłoń. – Mam trochę wyobraźni, choć może tego tak nie widać, i wiem, co dzieje się w twojej głowie, zwłaszcza... po wizycie twojej matki. Zaufaj Justynie. I pomyśl, że decyzja o nieujawnianiu się była cholernie trudna. Rozumiemy się?

– Tak.

– Bardzo dobrze. Uprzedzam, żeby treść naszej rozmowy została między nami, dla dobra nas wszystkich. Chcesz pracować?

– Tak. – W Łukasza wstąpił nowy duch. – Co mogę robić?

Brenner sięgnął po jakąś teczkę leżącą na biurku i podał mu ją.

– To jest inna sprawa. Zajmij się tym z Iwanowem.

– Ale...

– Nie dyskutuj ze mną. Albo chcesz pracować, albo jedziesz do domu.

Meyer walczył chwilę ze sobą. Widać było, że jest zły.

– Dobrze, idę do swojego biurka. – Zaczął się podnosić.

– Tylko żadnego wtrącania się do kolegów! Rób swoje.

Łukasz skinął lekko głową i wyszedł. Wszyscy z zaciekawieniem przyglądali się, jak zdejmuje marynarkę i zakłada ją na oparcie swojego fotela, a następnie siada przy biurku i otwiera teczkę. W tym momencie zjawił się Kot. Podszedł do przyjaciela, z którym serdecznie

się uściskał.

– Super, że cię tu widzę. – Tomek chrząknął wzruszony. – Idę do starego na chwilę.

Pogadamy potem przy kawie?

– Jasne. – Łukaszowi widok Kota niespodziewanie poprawił nastrój.

– Aha... – Tomek nagle zawrócił i podrapał się w ucho. – Zgubiłeś, kolego, swój telefon.

– Gdzie jest? – Łukasz zupełnie o tym zapomniał.

– Ktoś uczciwy odniósł go na policję – roześmiał się Kotowicz. – Dostaniesz nowy, tak na wszelki wypadek.

– A mój identyfikator też przypadkiem nie wpadł komuś w oko?

– Jest na portierni. Leżał przy kwiatku koło wejścia.

– Dzięki. – Łukasz potrząsnął głową. – Chodzę nieprzytomny.

Kot wszedł do gabinetu szefa i usiadł ciężko na krześle.

– Powiedziałem mu o telefonie.

– Bardzo dobrze. – Brenner coś pisał i nie odrywał wzroku od kartki.

– Dał mu pan tę sprawę?

– Tak.

– I jak to przyjął?

– Przyjął. Nie miał wyjścia. Woli siedzieć tutaj niż wracać do mieszkania.

– No tak...

Brenner podniósł głowę i ściągnął okulary do czytania.

– Coś się stało?

– Nie, nic. Tylko się martwię trochę, jak sobie poradzi.

– Poradzi, poradzi. – Brenner uśmiechnął się. – Co masz dla mnie?

– Lista, o którą prosił mnie Meyer. – Kotowicz podał mu kartkę przez biurko. – Osoby, które przeszukiwały bazę w ciągu ostatniego miesiąca. Tylko trzy.

Brenner spojrzał, kiwnął głową i czerwonym mazakiem zakreślił jedną linijkę, a następnie oddał kartkę Tomkowi. Kot wpatrywał się w nią osłupiały dłuższą chwilę.

– Skąd pan wie?

– W sumie dzięki Justynie. Na dzisiejszej odprawie nie udało mu się zachować spokoju, kiedy powiedziałem, że dziewczyna żyje i jej szukamy.

Kot kręcił głową z niedowierzaniem.

– Mamy coś na niego?

– Na razie nie – westchnął Brenner. – Potrzebuję dowodów. Sprawa jest zbyt śliska. Tak naprawdę bardzo liczę na Łukasza.

– Rozumiem. – Tomek odwrócił głowę i zerknął na kolegę przez szklaną ścianę. – Co mam robić?

– Idź do kuchni. Siedzi tam z Malickim pani Gołąb z poznańskiej policji. Dużo wie, więc porozmawiaj z nią i nadrób zaległości. Tylko się od razu nie zakochaj.

Kot zmarszczył czoło i uśmiechnął się.

– Jeśli jest wredna, będę zakochany w sekundę. W innych nie gustuję.

Brenner roześmiał się i wrócił do pisania.

Rozdział 50

– To co robimy? – zapytał Jacek cicho, żeby nie budzić pozostałych.

Justyna spojrzała na niego znad laptopa Żółwia i zmrużyła oczy.

– Nic, czekamy.

– I tak będzie dobrze?

– Aha. – Znowu patrzyła na ekran, rozważając, gdzie wstawić kolejną cyfrę w sudoku.

– Dziwnie. Najpierw chciałaś działać, a teraz wszyscy leżą pokotem i śpią.

– No, a ja sobie gram. Sudoku zawsze mnie uspokajało.

– Myślisz, że policja naprawdę sobie poradzi?

– Myślę, że policja, CBS, a nawet moje głupie wojsko dadzą sobie świetnie radę. Musimy zaczekać na wyniki ich pracy i ruszyć do boju.

Jacek oparł brodę na dłoniach i niby się zamyślił, ale co chwilę zerkał na Justynę lekko zdenerwowany.

– O co ci chodzi? – Nie wytrzymała i zamknęła z impetem komputer.

– O nic. – Wzruszył ramionami. – Tylko nie wiem, co się dzieje. Może trzeba zadzwonić do tego szefa twojego męża i z nim porozmawiać. Może potrzebuje jakichś informacji.

– Jacek, tak się nie robi. Podałam mu i tak na tacy wszystko, co wiem. Teraz oni muszą dokończyć tę robotę.

– Ale skąd wiemy, że tu przyjdą?

– Bo to nie są idioci. Ja nie mam możliwości, żeby powiązać Adamiakową z porywaczami i jeszcze z kolesiem, który w Biurze informował ich o wszystkim. Do tego potrzebni są ludzie, dużo ludzi i dużo komputerów. Kiedy przyjdzie odpowiedni moment, zrobię, co trzeba, i wrócę do domu... Mam przynajmniej taką nadzieję.

– No, ale skąd będą wiedzieć, że tu jesteś?

– Bo Ziutek naopowiadał w okolicy, gdzie jedziemy. Tego pewnie dowiedzą się najszybciej.

– Ojej. – Jacek podniósł gwałtownie głowę. – I będziecie strzelać?

Justyna przewróciła oczami i znowu otworzyła laptopa.

– Jak będzie trzeba, to się coś tam strzeli.

– Akurat. – Popatrzył na nią podejrzliwie. – Już widzę, jak zacieracie ręce, żeby sobie postrzelać do kogoś. Wszyscy jesteście nienormalni.

– Jacek...

– Już cię trochę przejrzałem. – Wymierzył w jej stronę palec. – Mówiłaś słodkim głosem, że zależy ci tylko na tym, żeby Ziutkowi sprawić przyjemność, a tak naprawdę miałaś to od początku zaplanowane... z tą bronią. Jak tylko spojrzełaś na jego stodołę, wywąchałaś okazję, żeby do kogoś postrzelać bezkarnie.

Był naprawdę przejęty. Justyna miała wrażenie, że nosi w sobie żal do niej, jakby go oszukała. Nie była do końca pewna, ale mógł mieć rację...

– Widziałem twoją twarz, kiedy pokazał ci tę broń – kontynuował, ale na nią nie patrzył.

– Nakręciłaś się i już nic ci nie wybije tego z głowy. Znowu jesteś jedną z nich – wskazał głową na sąsiedni pokój – i chcesz zabijać...

Położył głowę na przedramionach, które oparł o blat. Justyna chciała go pogłaskać, ale bała się, że to go jeszcze bardziej spłoszy. Nic nie powiedziała, bo Jacek nie wiedział, że wszystko jest gotowe, nawet mieli małą stację meteo do pomiaru prędkości wiatru i umieszczoną w oknie kamerę, która nagrywała cały czas otoczenie. Była pewna, że nie pomylił się co do nich,

ale naprawdę nie była w stanie już tego zatrzymać. Przyszło jej do głowy, że trzeba młodego księdza przez ten czas gdzieś ukryć.

Rozdział 51

Początkowo Łukaszowi nie szło nawet czytanie akt, które dostał, trudno więc było mówić o jakimś pomysle na rozwiązanie sprawy. Po pół godzinie podszedł do niego Wiesiek Iwanow i przysunął sobie fotel do jego biurka.

– No to dawaj, co masz. Z wielką chęcią zajmę się czymś innym niż kontakty z wojskiem.

Wieskowi, jak wszystkim, trudno było zachowywać luz przy Łukaszu, ale rozkaz szefa łamał nawet najoporniejsze charaktery.

Łukasz podsunął mu teczkę.

– Jakaś kretyńska sprawa. Kazał nam sprawdzić źródła finansowania budowy domu jednorodzinnego pod Konstancinem.

– Hmm, niezła miejscówka. – Wiesiek przeglądał kolejne fotki. – Coś podejrzanego?

– No, mówię, że to idiotyzm. Jeden z sąsiadów zgłosił do Urzędu Skarbowego doniesienie, że budowa gwałtownie przyspieszyła w ostatnim czasie. Mało tego, zaczęto zrywać stare, nieco gorsze materiały i kłaść nowe. Wykopano też dół na duży basen.

Iwanow kiwnął głową.

– Czyli właściciel dostał nagły zastrzyk gotówki.

– Tak, ale dlaczego my się tym zajmujemy? W aktach nie ma słowa, żeby rodzina była powiązana ze światem przestępczym. Czyści ludzie. Mąż jest współwłaścicielem jakiejś firmy, żona zasiada w Zarządzie, ma jeszcze swój biznes. Nie jesteśmy od tego, żeby sprawdzać ich źródła finansowania. Nie CBS.

Wiesiek zamyślił się i przygryzł wargę.

– Ale może sprawdzimy jednak – powiedział po chwili i spojrzał na Łukasza. – Może właśnie o to chodzi, że nikt inny nie będzie w stanie tego zrobić. Od czego zaczniemy?

– Nie wiem. – Łukasz zajął w dokumenty. – Skoro obydwójce pracują w tej samej firmie, to tam trzeba uderzyć.

– Jaki jest adres?

Łukasz westchnął i potarł palcami brwi.

– Co się stało? – zapytał cicho Iwanow.

– Adres pracy Justyny. Ten sam wieżowiec, tylko dwa piętra wyżej.

– To nie jedziemy?

– Nie no, bez przesady. – Łukasz zamknął teczkę. – Zastanówmy się tylko nad możliwymi scenariuszami.

– Dobra. Chodź do mnie do biurka, jest więcej miejsca. Może znajdziemy coś o tej firmie. Skoro obydwójce tam pracują, to pewnie jest coś na rzeczy...

Usiedli przy monitorze i Iwanow zalogował się.

– Jak nazywa się firma?

Łukasz przebiegł wzrokiem notatki i zamarł.

– Ja pierdolę!

– Tak się nazywa? – roześmiał się nerwowo Wiesiek.

– Nie... B.S.K. Investments.

– Firma twojej żony.

– No właśnie...

– Ale to bez sensu. Byli prześwietlani na wszystkie strony. Mają od poniedziałku podsłuchy.

– Wiem, sam Malicki to załatwiał. – Meyer obrócił głowę w stronę gabinetu Brennera,

który rozmawiał przez telefon. – O co chodzi?

– Stary ci to dał?

– Tak... To znaczy, że coś podejrzewa. – Łukasz spojrzął na Wieśka. – Coś, czego nie udało się odkryć.

– To co robimy?

– Na pewno nikomu nic nie powiemy. Kto się u nas tym zajmował?

– Lenart. Wziąć od niego to, co ma?

– Tak, tylko dyskretnie.

O godzinie trzynastej Biuro niemal opustoszało. Głód wygonił większość do pobliskiego baru. Żaneta pojechała z inspektorem Malickim spotkać się z Wiśniewskim i zająć śledztwem w stołecznej. Brenner udał się na odprawę do swojego szefa. Wiesiek z Łukaszem nie odchodzili od biurka ani na krok, wciąż pochyleni nad aktami.

– Mamy sporo składników, choć to ciasto nam się jeszcze nie klei. – Wiesiek uśmiechnął się pod nosem. – Mamy nazwiska porywaczy, choć nie znamy tożsamości tego, co podszywał się pod Józwińskiego, i w sumie nie wiemy, jaką rolę w tym odegrał. Wiemy, że trop wiedzie do firmy Justyny i jej wiceprezesa z żoną. Wiemy też, co Słotwiński zlecił Justynie przed porwaniem i że ma to związek ze sprawą. Dlaczego Adamiak bądź jego ślubna mieliby zlecać porwanie?

– Żeby... – Łukasz zawahał się – odsunąć ją od tego albo dowiedzieć się czegoś. Nie wiem, co Justyna napisała w tej analizie, ale skoro szef zlecił jej to po kryjomu, to mógł się obawiać, że treść analizy nie spodoba się Adamiakom. Bo na przykład mogła go od tego odwieść, a im zależało na tym interesie.

– Co Malicki przekazał ci w tej sprawie?

Łukasz zajrzał do akt, które dostał od Michała.

– Afryka Południowa, uruchomienie nowych kopalni. Gdyby interes wypalił, B.S.K. byłoby głównym inwestorem i mogłoby niezłe na tym zarobić.

– Było jakieś ryzyko?

– Spore. Głównie ze względu na kłopoty z pracownikami. Ostatnimi czasy dochodziło często do buntów i rozlewu krwi w innych kopalniach. Taki jeden incydent mógłby pogrążyć całą inwestycję i firma utopiłaby tam bezpowrotnie grube miliony.

– Czyli że... Justyna mogła odradzić ten biznes.

– W sumie tak. – Łukasz dalej czytał notatki. – Ministerstwo Spraw Zagranicznych umieściło ten kraj na liście niepewnych. W dodatku nasze rodzime firmy miały do tej pory złe doświadczenia, mało kto na tym dobrze wyszedł, że tam pojechał...

– To dlaczego komuś mogło bardzo zależeć, by jednak w to wejść?

Meyer spojrzął na Wieśka, jakby go olśniło.

– Adamiakowie dostali duży zastrzyk gotówki, skoro tak im ta budowa dobrze idzie. Ktoś im dał te pieniądze, ktoś z zewnątrz... Jest prawdopodobne, że gdyby doszło do zawarcia umowy, dostaliby więcej. Chodziło właśnie o to! Wiesiek, trzeba było odsunąć Justynę, żeby nie odradziła inwestycji, może nastraszyć ją albo samego Słotwińskiego. Ktoś przekupił wiceprezesa lub tylko jego żonę.

– Jak to udowodnić?

– Nie wiem. – Meyer pokręcił głową, zrezygnowany. – Mają już podsłuchy. Ten cały niby Józwiński pewnie zajmuje się tym, żeby byli czysti. Porywacze raczej też nic nie wiedzą, chcą tylko zarobić.

– Czyli jeśli tam pojedziemy, to tylko ich wystraszymy.

Łukasz potwierdził ruchem głowy.

– Sam nie wiem... – zaczął po chwili, rozglądając się po pustym pomieszczeniu.
W pewnym momencie schował twarz w dłoniach i pokręcił głową. – Już wiem.
– Co? – Wiesiek był nieco wystraszony.
– Kurwa mać! Brenner zrobił to specjalnie. Malicki twierdził, że mamy kapusia, Słomkowski zresztą też... i Kot – roześmiał się z goryczą. – A Brenner wystawia Justynę, mówiąc wszystkim o tym, że żyje i że jej szukamy.
– Wystawia temu kapusiowi? – Iwanow zrobił wielkie oczy. – Myślisz, że jest na tyle nieostrożny?
– Myślę, że... nie, to niemożliwe.
– Ale co?
Łukasz wstał i podszedł do okna.
– Nieważne. Nasz donosiciel ma nas doprowadzić do zleceniodawcy.
– Ale to chyba trochę karkołomne, nie sądzisz?
– Sądzę... – odpowiedział cicho.
– Tyle że gdybyśmy wiedzieli, kim on jest, mogłoby nam być łatwiej. – Wiesiek oparł się o blat biurka.
– Może stary wie.
– To mógłby nas łaskawie poinformować – roześmiał się Iwanow.
– A może... to wcale nie jest takie istotne. – Łukasz odwrócił się i usiadł znowu przy biurku. – Trzeba dobrze obserwować Adamiaka i jego żonę, bo kapuś da im cynk o sprawie i zaczną wykonywać dziwne ruchy.
– Policja podsłuchuje wszystkich – Wiesiek pokiwał głową – niech więc podsłuchuje tylko ich, ale dokładniej.
– Zgadza się. Jedziemy na plac Bankowy. – Łukasz wstał i poszedł po swoją marynarkę.
W tym momencie do Biura wszedł Brenner.
– Meyer, jedziemy do Stołecznej. – Kiwnął na niego.
– Wiem. Właśnie się zbieramy – odparł zdziwiony.
– A po co? – Teraz Brenner był zdezorientowany.
– Wyjaśnimy po drodze, szkoda czasu. – Iwanow był już przy drzwiach.

Rozdział 52

W pokoju, który normalnie służy do przesłuchań, siedziało kilka osób. Łukasz znał tylko Wiśniewskiego, który od razu się z nimi przywitał. Po chwili wszedł inspektor Bielecki i zaczął wszystkich przedstawiać.

– Panowie, to są redaktorzy Kulig i Kołecki. Redaktor Kulig oczywiście jest naczelnym i chyba nie muszę mówić, z jakiej są gazety.

– Nie, nie musi pan. – Brenner uśmiechnął się dość oficjalnie, gdy podawał im dłoń.
– Czy panowie są niezadowoleni, że informacja o śmierci pani Dąbek dotarła do nich z opóźnieniem?

– Nie, proszę pana. – Kołecki uśmiechnął się również. – To raczej pan może być niezadowolony, że tak późno dowiaduje się o pewnych sprawach.

Łukasz z Iwanowem spojrzeli po sobie, a Brenner usiadł przy stole.

– To proszę mi o tym powiedzieć.

– To może po kolei, co? – Kulig podsunął Kołeckiemu jakąś teczkę. – Ty opowiedz, bo to bardziej twoja sprawa.

– Tak, rzeczywiście. Ponad cztery lata temu do naszej redakcji zgłosiła się pani Justyna Dąbek z pewnymi informacjami. Opowiedziała nam dość szczegółowo o swoim pobycie w wojsku. Media milczą na ten temat, ale widocznie wy nie chcieliście rozgłosu, nie wiem... Spisaliśmy jej zeznanie, zrobiliśmy nawet kopie i w sumie traktowaliśmy dość mało poważnie, ale oprócz słów zostawiła nam też to. – Otworzył teczkę i wyjął dwa dość grube zeszyty, zawinięte w cienki papier. – To są jej pamiętniki z czasów służby w wojsku, głównie ze szkoły w Poznaniu, ale jest też kilka ciekawych stron na temat pobytu w Stargardzie.

– Po co wam to opowiedziała? – zapytał Brenner.

– Otóż, pani Dąbek twierdziła, że pamiętniki te zostały jej skradzione przez niejakiego...
– Zajrzał do jakichś notatek.

– Jaskółę – dokończył Brenner, marszcząc brwi.

– Zgadza się! – Uśmiechnął się Kołecki. – Więc nie muszę wdawać się w detale tej sprawy, skoro pan wie. Pani Justyna nadmieniła, że pan Jaskóła może któregoś dnia poczuć ciśnienie w tylnej części ciała i zechcieć zrobić jej krzywdę, kiedy okaże się, że ta kradzież jest czymś, co zaszkodzi jego karierze.

– Kradzież? A nie treść pamiętników? – odezwał się spod ściany Iwanow.

– Nie, proszę pana. Treść, jak stwierdziła sama pani Dąbek, jest mało interesująca. To znaczy, po zapoznaniu się z nią wcale tak nie uważamy, prawda Romek?

– Zgadza się. – Kulig przytaknął. – Niektórym te opowiadki mogłyby rozbić małżeństwa albo zakończyć kariery.

– No właśnie. Pani Dąbek jednakże zaznaczyła dość wyraźnie, że chodzi o sam akt kradzieży, ponieważ na pamiętnikach są odciski rzonego pana Jaskóły, który w akcie desperacji najpierw je ukradł, a potem w akcie większej desperacji oddał po kryjomu i pewnego dnia może tego żałować. Dlatego przechowałem je dość starannie zapakowane, z dostępem do powietrza – zaśmiał się cicho. – Policja ściągnęła dziś rano te odciski, a żandarmeria... skąd?

– Z Poznania – powiedział Bielecki.

– Tak, właśnie. Żandarmeria z Poznania zadziałała niespodziewanie szybko i już mamy porównanie odcisków z tych zeszytów z odciskami na rączkach pana Jaskóły, który dwie godziny temu został aresztowany w swojej jednostce.

– Nie rozumiem. – Brenner zasłonił na chwilę oczy, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Czy to wystarczyło, żeby go aresztować?

– Tak, proszę pana, bo cała pointa zmierza do tego, że pani Dąbek napisała w swoim zeznaniu, że w przypadku jej gwałtownego zejścia z tego świata albo zniknięcia – a jak wiemy, miały miejsce obydwa zdarzenia – należy udać się do tego pana, bo to on może mieć motyw. Kiedy tu z Romanem jechaliśmy rano, też nam było trudno uwierzyć w to, że to coś da, ale ci żandarmi, to znaczy prokurator wojskowy, po prostu oskarżył go o morderstwo. – KołECKI rozłożył ręce jakby w geście bezradności. – Zeznanie podpisane własnoręcznie przez zamordowaną im wystarczyło.

– O... morderstwo?! – Brenner nie krył szoku. Spojrzał na Bieleckiego, który swoim zwyczajem tylko pokiwał głową.

– Mało tego – odezwał się niespodziewanie Wiśniewski i podszedł do stołu – znaleziono kserokopie tych pamiętników...

– W jego szafie pancерnej – głos Łukasza był spokojny.

– Tak – odparł zdziwiony Robert. – Skąd pan wie?

Meyer machnął ręką.

– Nieważne.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwał w pewnym momencie Bielecki.

– Panowie redaktorzy mają dwa pytania.

– A, tak. – KołECKI poderwał się. – Czy możemy to opisać?

Brenner popatrzył na niego, jakby właśnie go zobaczył. Chciało mu się śmiać. Dotarło do niego, po co Justyna prosiła go o nagłośnienie tej sprawy. Nie mogła lepiej się zemścić na Jaskóle.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się.

Iwanow zmarszczył brwi. Taka decyzja nie była podobna do jego szefa.

– Opiszcie wszystko, byleby bez używania nazwiska męża.

Kulig kiwnął głową.

– No właśnie. Pytanie drugie jest takie, czy możecie panowie przekazać te pamiętniki mężowi zamordowanej? – Naczelnny rozejrzał się pytająco po zebranych. – Myślę, że powinny się znaleźć u niego.

Brenner pochylił się nad stołem i na powrót zawiął zeszyty w papier. Wstał i podał je Łukaszowi. Dziennikarze otworzyli szeroko usta, ale niczego nie powiedzieli.

– Pójdziemy z Iwanowem do tych ludzi, o których panu mówiłem – powiedział cicho Łukasz, ściskając pamiętniki przy piersi.

– Idźcie.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Kulig z KołECKIM mieli papierowe twarze.

– To... był mąż? – Kamil wskazał na drzwi.

– Tak – odpowiedział Brenner. – To mój człowiek z CBS. Dlatego ważne jest, by podać nazwisko panińskie.

– Jest nam bardzo przykro. – Naczelnny był mocno zmieszany. – My tu tak swobodnie o całej sprawie...

Brenner podniósł dłoń.

– Spokojnie. Wszystko w porządku. Opiszcie rzetelnie tę historię, będziemy wam wdzięczni. W zasadzie jest to nam teraz na rękę.

– Rozumiem. – Kulig zaczął wstawać. – Pójdziemy już.

Rozdział 53

Brenner znalazł Meyera w pokoju socjalnym, w którym siedział z Iwanowem, Malickim i Żanetą.

– Chodź na chwilę. – Kiwnął na niego. Kiedy znaleźli się na korytarzu, spojrzął na Łukasza z powagą. – Skąd wiedziałeś o szafie?

– Marcin zauważył, że Jaskółka cały czas na nią zerkał, kiedy z nim gadaliśmy. Ja niczego nie dostrzegłem, ale on się uparł.

– Powiedzieliście o tym żandarmerii?

– Tak. Mówiłem panu o tym całym Kozerze. Błagał nas, żebyśmy coś na Jaskółkę znaleźli.

– Pamiętam. – Brenner potarł dłonią kark. – Pewnie od razu tam pobiegł, jak go poszli aresztować.

– Uważa pan, że to jakiś problem?

– Nie, absolutnie. To jest teraz zmartwienie Jaskółki. Nawet jeśli uniewinnią go w sprawie morderstwa, to i tak jest skończony. Najbardziej niesamowite jest to, że Justyna naprawdę coś na niego miała cały czas. Mówiłem ci, że ona umie kontrolować sytuację. – Roześmiał się z niedowierzaniem. – I on naprawdę miał motyw. Meyer, najwyraźniej wszyscy jesteśmy idiotami.

– Ja na pewno – mruknął Łukasz.

– Ale to nic. Słuchaj, sądzę, że pomogą wam tutaj dość dobrze. Co prawda będziecie się musieli trochę zaprzyjaźnić z ABW, ale jakoś dacie radę...

– Dlaczego mi pan nie powiedział od razu?

– Meyer, puknij się. Wszyscy musieli wiedzieć, że robisz coś innego, nawet ty. Całe Biuro myśli, że wsadziłem was w sprawę gospodarczą i o to chodzi.

– Ten kapuś też?

– On przede wszystkim.

– Wie pan, kto to jest?

– Wiem. – Kiwnął głową, nie patrząc na Łukasza.

Łukasz roześmiał się, a po chwili machnął ręką.

– Dobra, nieważne. I tak nam to na razie niepotrzebne. Zajmiemy się tymi podsłuchami. Rozmawiałem z Malickim, ktoś będzie cały czas obserwował mieszkanie Adamiaka na Szczęśliwicach.

– Świetnie. Bardzo liczyłem, że tak to zorganizujesz.

– Aż tak mi pan ufa?

– Dużo bardziej. – Brenner klepnął go w ramię i uśmiechnął się. – Bierz się do roboty.

Twoja żona nie zrobi wszystkiego za ciebie.

– To zabolalo. – Kiwnął palcem w stronę szefa, ale też z uśmiechem. – Cios poniżej pasa.

Rozdział 54

Pod Biurem na Brennera czekali goście. Nieopodal budynku stała zaparkowana toyota yaris, z której wysiadły dwie osoby, kiedy zgasił silnik swojego auta. Od razu poznał Lubickiego, domyślił się więc, że kobieta, z którą przyjechał, jest jego żoną. Podeszedł do nich i przywitał się.

– Dzień dobry, panie inspektorze. – Mirek lekko skinął łysiejącą głową i poprawił okulary. – To Krysia, moja żona. Chcielibyśmy z panem porozmawiać.

– Zapraszam, wejdźmy – wskazał na drzwi.

– Nie, lepiej nie. – Lubicki rozejrzał się nerwowo. – Chodźmy gdzieś indziej.

– Dobrze – zgodził się Brenner, zdziwiony. – Za rogiem jest mała kafeteria, tam możemy na chwilę usiąść.

Zamówili po małej kawie i usiedli przy okrągłym stoliku.

– W czym mogę pomóc? – Brenner nie spodziewał się takiej wizyty i był mocno zaciekawiony jej niezapowiedzianym charakterem.

– W zasadzie sprawę do pana ma moja żona. Krysia uważa, że jest coś, o czym powinien pan wiedzieć.

– Słucham więc.

– Pamięta pan tę nieszczęsną wystawę na Włochach?

– Pamiętam. – Kiwnął głową.

– Właśnie. Ja też pana widziałam, więc chciałam zapytać, czy zwrócił pan uwagę na jeden z obrazów?

Brenner roześmiał się cicho.

– Wszystkie były koszmarnie, ale żaden nie przykuł mojej uwagi na dłużej.

– W pewnym momencie Justynka zasłabła. Stałyśmy wtedy pod jednym z płócien, ale zwałyłam to na karb zaduchu w pomieszczeniu i zmęczenia... Dopiero jak Mirek zaczął opowiadać mi szczegóły tej sprawy, o tym całym Józwińskim, który ją nachodził, dotarło do mnie, że właśnie on był na tym obrazie.

– Słucham? – Brenner spojrzał na Krystynę, jakby uważał, że kobieta ma nie po kolei w głowie. – Jak to był na obrazie?

– No tak. Przyniosłam nawet ulotkę z tego całego pozał się Boże wernisażu i ten portret też tutaj jest. Niech pan spojrzy. – Podesunęła mu folder z reprodukcjami prac Moniki Odrowąż.

– Nawet tytuł jest taki, *Tajemniczy pan z blizną*. Przy nim właśnie Justynka zasłabła. A mój Lubicki twierdzi, że Józwiński miał bliznę z lewej strony koło ucha.

Brenner westchnął ciężko i pokiwał głową.

– To prawda.

Krystyna była w autentycznym szoku.

– Widzę po pana reakcji, że nie jest pan zaskoczony... Jak rozumiem, autorka tego obrazu ma coś wspólnego z tym człowiekiem. Albo jej mąż... – Zasłoniła dłonią usta, gdy dotarło do niej, co to tak naprawdę oznacza.

– Tak, ma pani rację...

– Czyli że zgadza się pan, że któreś z Odrowążów może mieć powiązanie z tym człowiekiem? – Mirek zrobił wielkie oczy. – Wydawało mi się to nieprawdopodobne.

W oczach Lubickiej pojawiły się łzy.

– Boże, to oznacza, że mogliśmy go wcześniej złapać. Gdybym się zorientowała... Można było przecież coś zrobić, żeby jej nie porwali.

Brenner chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się niespodziewanie. Przyjrzał się

uważnie ich twarzom i od razu zrozumiał, że oni wciąż myślą, że Justyna nie żyje.

– Dlaczego nie przyszła pani z tym wcześniej? – zapytał po dłuższej chwili.

Krystyna spojrzała niepewnie na męża, a następnie na Brennera.

– Wie pan... Nie znamy się z Justynką ani Łukaszem za dobrze, ale strasznie przeżyliśmy całą tę historię. Wydawało się nam... mojemu mężowi, że to byłoby nie na miejscu wyskakiwać teraz z czymś takim. Poza tym teoria, że człowiek z bliźną ma coś z tym wspólnego, była jak science fiction.

– A jednak przyszła pani.

– Tak. Nie znam się na tych waszych śledztwach, ale uważam, że trzeba sprawę doprowadzić do końca, nawet jeśli Justyna nie żyje. Trzeba to wyjaśnić, złapać każdy trop. Ona zasługuje na to, a poza tym być może zapobiegniemy innym złym rzeczom, które mógłby ten człowiek w przeszłości zrobić.

– Bardzo dobrze pani rozumuje. – Brenner uśmiechnął się. – W związku z tym mam do pani wielką prośbę... W zasadzie sprawa jest dość trudna, a może i niebezpieczna...

– O, nie! – Mirek pokręcił gwałtownie głową. – Na nic takiego ci nie pozwolę.

– Akurat mi zabronisz – prychnęła Krystyna. W żyłach krew jej się zagotowała na myśl, że będzie miała okazję zrobić coś ekscytującego. Spojrzała na Brennera. – Co by to miało być?

– Mam prośbę, żebyście wrócili teraz do domu. Przyślę do was kogoś z Biura, kto dokładnie przekaze wskazówki co do dalszego postępowania. Muszę też mieć kogoś, kto zapewni pani ochronę... – Wyjrzał przez okno kawiarni. – Może się okazać, że to, co mi powiedzieliście, zmieni przebieg naszego dochodzenia. A teraz przepraszę was i pójdę załatwić, co trzeba.

Pokiwali głowami i patrzyli, jak energicznym krokiem odchodzi w stronę Biura. Kiedy zniknął im z pola widzenia, Krystyna pacnęła Mirka w ramię.

– Ała! – Skrzywił się. – Za co?

– Za twoją głupotę. Mogliśmy przyjechać z tym wczoraj, ale oczywiście według ciebie ubzdurałam coś sobie.

Lubicki potarł ramię, które go wcale nie bolało, i zrobił minę zbitego psa.

Rozdział 55

Kiedy Brenner wchodził do open space'u zderzył się z Markiem Linde, który gdzieś wybiegał.

– Dokąd, panie kolego? – zatrzymał go.

– A, szef. – Linde uśmiechnął się. – Zaraz przyjedzie ktoś z policji. Mamy informacje o tym całym Nienackim.

– O kim? – Brenner szukał w pamięci.

– No, o tym Józefie, z którym podobno Justyna przyjechała do Warszawy.

– Racja. I co macie?

– Wiemy, że jeździ ciemnozielonym nissanem navarą, ale dopiero teraz dostaliśmy jego numery rejestracyjne. Jeśli nie zdjął tablic, znajdziemy go całkiem szybko. – Wyszczrzył zęby, zadowolony.

– Bardzo dobrze. – Brenner wcale nie był tego taki pewien, przeczuwał, że mogli ukryć auto, ale skoro Justyna planowała być przynętą, to zapewne samochód miał jej w tym pomóc.

– Wiecie coś więcej o tym człowieku?

Marek zerknął w notes.

– Hmm... niewiele. W sumie dziwię się, że policja albo jakieś inne służby nie wzięły go na celownik. Facet jest dziwny. Ma kawałek poletka, kilka kur, niby coś uprawia... ale żyje ponad stan. Ten samochód, zupełnie nowy, kupił całkiem niedawno. Nikt nie wie, czym się zajmował przez ostatnie piętnaście lat. Aha! No i był karany.

– Za co? – Brenner zmarszczył brwi.

– Odsiedział pięć lat za usiłowanie zabójstwa, wyszedł w osiemdziesiątym piątym.

– W jaki sposób usiłował kogoś zabić?

– Niech spojrzę... Strzelał z dachu albo ze strychu do kolegi z kbks-u, prawie trafił w serce.

– Ja pierdołę. – Brenner zasłonił ręką oczy.

– Co się stało? – Linde popatrzył na szefa zdziwiony.

– Nie, nic... Róbcie swoje. Będę u siebie.

– Mamy sprawdzać tego kolesia?

– W żadnym wypadku! – Brenner odwrócił się gwałtownie w jego stronę i pokiwał palcem. – Jego zostawcie. A! I chcę u siebie widzieć za chwilę Mzygłoda i kogoś jeszcze. Niech sobie dobierze jakiegoś partnera. Tylko szybko!

– Robi się, szefie.

Brenner wszedł do swojego gabinetu i spojrzął na tablicę. Podeszedł do niej i znowu wszystko zmasał. Zaczął przechadzać się od ściany do ściany, bawiąc się gumową piłeczką. Po paru minutach zjawiał się Piotrek Mzygłód.

– Dlaczego jesteś sam?

– Wszyscy zajęci. – Rozłożył ręce. – Jeśli to takie skomplikowane...

– Nie, nie. – Brenner machnął ręką. – Siadaj. Może to i lepiej, że będziesz sam. Sprawa jest poważna. – Wyciągnął z kieszeni folder z wernisażu i podał Mzygłodowi.

– O, rzeczywiście – roześmiał się Piotr. – To może mnie wiele kosztować.

– Nawet nie wiesz, jak wiele. – Brenner spojrzął na niego z powagą i oparł się o biurko.

– Przed tobą prawdziwie bojowe zadanie.

Rozdział 56

Jacek przemierzał mieszkanie nerwowym krokiem, starając się nie zaglądać do kuchni. Ciężko wzdychał i wyglądał co chwilę przez okno. Czasami mówił coś do siebie cicho, kręcąc przy tym głową. Justyna weszła do pokoju z częścią SAKO w ręce i białą szmatką w drugiej, i spojrzała na niego z politowaniem.

– Uspokój się. Łazisz jak ranny lew w klatce. Nic ci nie będzie.

– Powariowaliście! – prawie na nią krzyknął i zamachał rękami. – Siedzicie sobie w kuchni i czyścicie broń jak jacyś kryminaliści. To się nie skończy dobrze, takie rzeczy nigdy się dobrze nie kończą.

Justyna westchnęła i usiadła na rozlatującej się kanapie.

– Jacuś, będzie źle, jeśli nic nie zrobimy.

– Nie chcę na to patrzeć. – Wskazał na kawałek karabinu w jej dłoni. – To tak, jakbym dawał przyzwolenie na łamanie prawa.

Justyna chwilę śledziła jego nerwowe ruchy i powiedziała opanowanym głosem:

– Jesteś cipa.

Spojrzał na nią, jakby go prąd poraził. Zrobił wielkie oczy i zacisnął usta.

– Co ty...

– Jesteś rozlazłą cipą, tyle ci powiem. – Podniosła się i podeszła do niego bardzo blisko.

– Taki właśnie jesteś: nic nie robisz, tylko się nad sobą uzalasz. Nie ma w tobie zapału ani pomysłu na życie. Schowałeś się w lesie jak zwykły tchórz, zamiast walczyć o swoje. Najgorsze to nie robić niczego. To gorsze, niż gdybyś nawet zrobił jakieś głupstwo. Tak ci wygodnie. Babrasz się w gównie rozpaczania nad sobą i swoim ciężkim losem. A powiedz mi, co zrobiłeś, żeby to zmienić? No, co?

Patrzyła na niego intensywnie, dopóki on nie spojrzał na nią. Oddychał szybko i widać było, że walczy z gniewem. Zacisnął pięści, ale nie wykonał żadnego ruchu.

– Nic się nie da zrobić – powiedział w końcu z zaciśniętym gardłem.

– A próbowałeś?

Odwrócił głowę w stronę okna.

– No właśnie. – Ton jej głosu złagodniał. – Twoi przełożeni zawiedli na całej linii.

Wszyscy. To dlaczego nie poszukałeś sobie innych? Dlaczego nie pojechałeś do innej diecezji, nie poszedłeś do zakonu? Cokolwiek, choćby w innym kraju, na innym kontynencie... Zakopałeś talent w ziemi i liczysz, że twój pan się nie wścieknie, jak wróci i zobaczy, że nic nie robisz. Jesteś imbecylem, a przynajmniej tak się zachowujesz.

Jacek zacisnął powieki, a policzki lekko mu zadrżały. Walczył chwilę ze sobą, ale łzy wygrały i w sekundę zalały mu twarz. Justyna stanęła na palcach i zarzuciła mu ręce na ramiona. Jego głowa opadła na jej bark. Objął Justynę lekko i rozplakał się na dobre.

– Coś wymyślimy – powiedziała mu do ucha. – Na pewno jest jakieś wyjście i będziesz mógł robić to, co kochasz. Choćby Gogol miał torturować biskupa albo szantażować papieża.

Poczuła, że kiwnął lekko głową i roześmiał się przez łzy. Odsunęła się od niego i spojrzała głęboko w jego zielone oczy.

– Ale najważniejsze, żebyś został w Warszawie. Nie chcę cię stracić. – Uśmiechnęła się i złapała go za rękę. – Chodź do kuchni, ktoś musi zrobić nam herbatę.

Jacek otarł łzy rękawem bluzy i poczłapał za nią do kuchni. Całe towarzystwo z zapalem zajmowało się bronią i celownikami, ale Justyna w twarzach wyczytała, że wszystko słyszeli. Usiadła na swoim miejscu, a Gogol uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo.

– Fajnie jest, Malinka. – Kiwnął głową, pokazując na blat stołu. – Z tobą zawsze coś ciekawego się dzieje.

– Tak, zważywszy, że była porwana i o mało jej nie zabili, to naprawdę jest super – powiedział z przekąsem Żółw, robiąc śmieszoną minę.

– Żółwik, czy ty zawsze musisz popsuć wszystkim humor? – Gogol pokręcił głową. – To przez ten GROM masz poprzestawiane w mózgu.

– Uważaj, co mówisz. – Wycelował w niego zamkiem od SWD.

– Ja czegoś nie rozumiem. – Justyna zmarszczyła brwi. – Co ty, Żółwiu, robisz w GROM-ie? Coś mi umknęło.

– Tak, ostatnie cztery lata – mruknął Żółw. – Poszedłem do GROM-u, bo miałem ochotę. Przyjęli mnie i jestem. To znaczy teraz mam urlop po misji i sobie siedzę u dziewczyny.

– Aha...

– A wcześniej co robiłeś? – zainteresował się Ziutek.

– Było się tu i tam. – Żółw wzruszył ramionami. – Skończyłem z mech we Wrocławiu i informatykę na Politechnice...

– Fiu, fiu – zagwizdał z uznaniem Ziutek. – Pan oficer.

– Jakoś tak wyszło. – Przewrócił oczami na znak, że to nic takiego. – Po promocji wysłali mnie do Świątoszowa, ale wtedy jeszcze szwejnina była straszna, normalnie zacząłem się w rozwoju cofać, to dałem nogę po roku. Ścigali mnie, chcieli, żebym koszty nauki zwracał... Długa historia. Ale ja już wtedy z nimi byłem. – Wskazał głową na Bambiego i Gogola. – A jak odszedłem, to się do GROM-u zgłosiłem. I tyle. Żadna wielka historia.

– Pięknie. – Ziutek uśmiechnął się. – A ty też w GROM-ie jesteś? – Spojrzał na Bambiego.

– Teraz nigdzie nie jestem. Jak Malina wróciła z Afganistanu, byłem z chłopakami jeszcze jakiś rok i też się wypisałem. Żółw mnie spotkał któregoś dnia na ulicy i powiedział, że teraz w GROM-ie jest inaczej, to dałem się namówić i wróciłem.

– Tak. I znowu zrobili ze mnie durnia. – Gogol pokiwał głową.

– Zaraz ci przyje... – nie dokończył i spojrzał speszony na Jacka, który właśnie zalewał kubki z herbatą gorącą wodą. – Zaraz dostaniesz w papę. Wróciłem, bo chciałem sobie na emeryturę zarobić. Odejść i mieć jakieś świadczenia na starość.

– A to byliście tam razem kiedyś, tak? – dopytywał się Ziutek.

– Dawno temu – westchnął Gogol i zabrał kubek od Jacka. – Dzięki, brachu.

– Ja wróciłem, ale szybko znowu spakowałem walizki i chciałem wracać do kolegów – kontynuował Bambi. – Albo już inny byłem, albo to nie to, czego chciałem... Sam nie wiem. Tyle że wtedy ktoś mi zaproponował, żebym dla policji trochę popracował jako konsultant. No i czasem jadę gdzieś, coś zaopiniuję, napiszę parę słów, co myślę o tym czy innym morderstwie albo o jakiejś wojskowej sprawie. I jakoś się kręci.

– I dzięki temu dowiedzieliśmy się, że porwano Malinę. – Gogol uśmiechnął się i poklepał Tomka po plecach. – Bambi, normalnie czasem się przydajesz, wiesz?

Ziutek patrzył w nich z niekłamanym uwielbieniem. Byli jego bohaterami i wspomnieniem minionych dni.

– A pan najemnik co o sobie powie? – zapytał nagle Gogol.

– Ech... – Ziutek machnął ręką. – Wiecie, to były inne czasy. Poza tym o pewnych rzeczach nie wolno mi mówić.

– No, ale chociaż rąbka tajemnicy byś uchylił – nalegał Kostek.

– Nic takiego – zerknął na Jacka niepewnie.

– Byłeś snajperem – powiedziała spokojnie Justyna, mieszając łyżeczką herbatę.

– O, masz. – Ziutek mała nie poparzył sobie języka. – A ta skąd to wie?

Gogol z Bambim się roześmiali.

– Malinka to taki nasz Sherlock Holmes. Rozwiązywała wiele różnych zagadek, co nie,

Żółw?

– Zgadza się – przytaknął. – Ale skąd wie, że byłeś snajperem, to ja nie wiem.

– Gdyby robił coś innego, to byśmy już wiedzieli. – Justyna wzruszyła ramionami.

– O, nie, słowiczku. – Gogol pokiwał palcem. – Oni lubią się chwalić.

– Ale nie wtedy, gdy ich najlepszym kumplem jest ksiądz, który nie toleruje zabijania. –

Uśmiechnęła się uroczo.

– Racja. – Gogol opuścił rękę na stół.

Jacek milczał, tylko czasem cicho wzdychał. Zajął miejsce przy oknie i pił herbatę.

– No to nie będę pytał, jaką liczbę pan najemnik ma na koncie, chociaż mnie kusiło. –

Kostek przewrócił oczami. – Grunt, żeby nam jutro dobrze poszło.

– Jutro? – odezwał się niespodziewanie Jacek. – Skąd wiecie, że to jutro wszystko będzie?

Gogol podrapał się po głowie.

– Zapomniałem, że jak się nie odzywa, to nie znaczy, że nie słucha. – Skrzywił się lekko.

– Robaczku, mamy swoje przypuszczenia bazujące na pewnych istotnych danych. Nic się nie martw, wszystko pod kontrolą. A, właśnie, Malinka, jak tam na froncie?

– Rafał dał cynk, że idzie nieźle, nawet lepiej, niż się spodziewał. Już wpadli na to z samochodem, więc w każdej chwili można go będzie wyciągnąć na ulicę.

Ziutek kiwnął głową na znak, że rozumie.

– A co z panią prezesową? – zapytał Bambi.

– Jest obserwowana cały czas. Zauważono, że wykonuje jakieś nerwowe ruchy, ale póki co nie ma się czego chwycić. Ale za to... – podniosła palec w górę – Brenner domyślił się, kto zdradził, i podobno wie, jak to udowodnić.

– No, proszę – cmoknął z uznaniem Gogol. – Facet jest dobry. Odpowiedni człowiek na odpowiednim miejscu. To kiedy zmieniamy lokal? – Spojrzał po kolegach.

– O dziewiętnastej sąsiadka wychodzi do pracy na nocną zmianę. – Ziutek chrząknął z lekkim przejęciem. – Ma zadzwonić dwa razy do drzwi i będziemy mogli się przenieść.

– Cudownie. – Gogol zatarł łapki z zadowoleniem. – To mi się podoba.

– Ale mi się nie podoba. – Żółw przyglądał się z uwagą nabojewi do SAKO.

– Jaki masz znowu problem? – Gogolowi zniknął uśmiech z twarzy.

– Bo nie wiem, skąd pan najemnik ma amunicję...

Bambi przewrócił oczami, a Gogol machnął ręką i sięgnął po kubek.

– Miałbym mieć broń bez amunicji? – Ziutek uśmiechnął się tajemniczo.

– Żółw, gadasz, jakbyś się właśnie urodził. – Justyna pokręciła głową. – Po wszystkim wysłę cię na przeszkolenie do mojego męża. On ci wyjaśni to bardzo dokładnie.

– Twój mąż niech lepiej porywaczy znajdzie. – Żółw wydał usta z dezaprobatą. Nie lubił, kiedy robiono z niego głupszego, niż był.

– Już znaleźli. – Uśmiechnęła się szeroko.

Wszyscy oderwali się nagle od swoich zajęć i spojrzeli na nią, jakby ich poraził piorun. Nawet Jacek obudził się ze swojego odrętwienia i otworzył szeroko usta.

– Skąd wiesz? – zapytał cicho.

– Brenner przysłał mi wiadomość. Godzinę temu udało się ustalić, gdzie mają swoją metę.

– Ale jak? – Bambi zmarszczył brwi. – Trochę szybko.

– Siedzieli pod Biurem. Rafał domyślił się, że skoro ja uciekłam i jestem w Warszawie, to i oni w końcu wpadną na ten pomysł i tam będą na mnie czekać. Wystarczyło potem za nimi pojechać.

– To mogli równie dobrze siedzieć pod blokiem – powiedział cicho wyraźnie zmartwiony Ziutek. – A wy tam byliście... dwa razy.

– Też o tym myślałam. – Justyna podrapała się po ogolonej głowie. – Ale wówczas już dawno by tu byli, a oni dziś w południe koczowali niedaleko Biura. Zmieniają samochód dla niepoznaki. Poza tym prawdopodobnie nie wiedzieli jeszcze, że mamy ich tożsamość... To znaczy, policja ma.

– Co to znaczy *jeszcze*? – Żółw rozejrzał się po wszystkich, upewniając się, że tylko on nie rozumie.

– Bo po odprawie kapuś im powiedział, że są namierzani – odpowiedziała cicho.

Wszyscy zamilkli. Dotarło do nich, w jak poważnym niebezpieczeństwie byli. Im udało się przechytryć policję na obserwacji, ale równie dobrze mogli to zrobić porywacze. Ludzie nie rozpoznawali Justyny bez włosów, w okularach i w męskim przebraniu, nie mieli jednak gwarancji, że ktoś się nie pozna, zwłaszcza jeśli wypatruje właśnie jej.

– Mogliśmy mieć dawno pozamiatane – szepnęła Gogol, kręcąc głową. – My na to, żeby cię tam szukać, wpadliśmy od razu.

– Krokodyl wpadł. – Bambi kiwnął palcem.

Justynie zrobiło się gorąco.

– Siedzieliście pod Biurem? – Spojrzała na nich, mrugając powiekami.

– Od poniedziałku w południe – odpowiedział Gogol i uśmiechnął się lekko. – Krokodyl od razu powiedział, że tam będziesz uderzać.

Justyna oparła się mocno o krzesło i odwróciła wzrok.

– Ale ja siedziałem pod blokiem. – Żółw uważał, że ten fakt nie może być pominięty.

– I nawet sąsiadów przepytalem.

– I nie widzieliście niczego podejrzanego? – Justyna zdawała się nie słyszeć uwagi Żółwia.

– Nie. – Gogol pokręcił zdecydowanie głową. – Nagrywałem to, co się tam działo kilka godzin, i do niczego nie mogłem się przyczepić.

– A pokażesz mi nagranie? – zapytała cichutko, robiąc błagalną minę.

– Malina, nie wyskakuj mi tu z tymi oczkami, bo i tak nic nie wskórasz. – Gogol pomachał ręką, jakby się od niej opędzał. – Wiem, o co ci chodzi. Chcesz zobaczyć starego na nagraniu, żeby się potem kompletnie rozkleić. Zapomnij! Bierz się za swoją broń i składaj celownik. Dawno tego nie robiłaś, trzeba troszkę poćwiczyć z postawą.

Rozdział 57

Krystyna nie pamiętała, żeby kiedykolwiek tak bardzo drżały jej kolana. Całą sytuację utrudniał fakt, że ubrała się elegancko w nieprawdopodobnie ciasną sukienkę i bardzo wysokie szpilki, w których stopa przybrała niemal pionową pozycję. Jednak myśl, że bierze udział w supertajnej i niebezpiecznej akcji, dodawała jej animuszu. Wysiadła z auta i ostentacyjnie zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Bardzo drogi samochód, którym przyjechała, nie był ich, podobnie jak pieniądze, które miała spakowane w torebce. Rozpuściła włosy, żeby zasłonić nadajnik w uchu i modliła się, żeby nie został zauważony.

Weszła do galerii pewnym krokiem, jakby robiła to wiele razy i jakby miała zamiar od razu wszystko kupić. Rozejrzała się wokoło i uśmiechnęła lekko, gdy zobaczyła sunącą w jej stronę Monikę Odrowąż. Dziś malarka nie wyglądała tak ekscentrycznie, jak w sobotę. Krystyna ze zdumieniem zauważyła, że jest wręcz nieśmiała i brak jej pewności siebie. Trudno jej było to zrozumieć, ale starała się nie dać zbić z tropu i dalej grać nowobogacką damę.

– Dzień dobry, pani Moniko. – Wyciągnęła do niej rękę i energicznie potrząsnęła jej dłonią.

– Yyy... Dzień dobry. – Malarka była wyraźnie zdezorientowana. – Zaskoczyła mnie pani. Miałam odbierać dzieci ze szkoły, ale... ale skoro to takie ważne, to od razu przyjechałam. W czym mogę pani pomóc?

Krystyna rozejrzała się wokoło i roześmiała głośno.

– Jak to w czym? Przyjechałam kupić obraz, który muszę natychmiast zabrać ze sobą. Sama pani rozumie, wyjeżdżam! Dziś, zaraz. I muszę go mieć.

Monika wyraźnie się rozpromieniła na te słowa.

– To może się pani czegoś napije? Koleżanki nie ma, ale ja mogę...

– Nie, droga pani. Wykluczone. Nie mam na to czasu, bo samolot mi ucieknie. Przejdźmy do rzeczy.

Krysia ruszyła zdecydowanym krokiem do portretu człowieka z blizną.

– Chcę ten!

Monika skrzywiła się lekko.

– To może być problem.

– Jaki problem!? – Krystyna złapała się za serce. – Proszę mnie nie straszyć.

Malarka spojrzała na Krystynę z większą przenikliwością. Lubickiej zrobiło się lekko gorąco i zaczęła zastanawiać się, czy nie odsłoniło jej się ucho ze słuchawką.

– Skąd pani wie o moich obrazach? – zapytała cicho Monika.

– Jak to skąd? – Krystyna znowu się roześmiała. – Byłam tu w sobotę.

W uchu usłyszała ciche syknięcie. Tego nie było w planie i wiedziała, że Mzygłodowi się to nie spodoba, ale poczuła, że musi zagrać w ten sposób, żeby zbyt mocno się nie pograżyć w kłamstwach.

– Nie widziała mnie pani? – Patrzyła na Monikę jak na idiotkę. – Stałam tutaj, rozmawialiśmy.

– Nie przypominam sobie...

– Proszę pani, dostaliśmy z mężem zaproszenia od pana Brennera. Jego musi pani znać. Twarz Odrowążowej rozjaśniła się nagle.

– Ach, jest pani znajomą pana inspektora?

– Nie – ściszyła głos Lubicka – jego szefa.

Monika uśmiechnęła się i kiwnęła głową na znak, że rozumie i że podziwia...

- No więc – Krystyna wyprostowała się nagle – to jak będzie z tym obrazem?
- Wie pani... on jest w zasadzie sprzedany.
- Co!? – Udawanie przerażenia nie mogło wyjść jej lepiej niż w tym momencie. – Komu?

Ja go muszę mieć!

- W sumie wszystkie obrazy są już sprzedane...

Lubicką autentycznie zatkalo. Miała ochotę roześmiać się szyderczo Monice w twarz i powiedzieć jej, co sądzi o całej jej twórczości, ale ugryzła się w język.

- To niemożliwe. – Rozejrzała się po galerii. – Kto je kupił?

– Mam jednego nabywcę... To znaczy... Mam taką klientkę, która chętnie kupuje. Mówi, że do biura albo dla znajomych. Dużo płaci...

Krystyna ostentacyjnie otworzyła torebkę.

- Ile? – Włożyła dłoń do środka i złapała plik banknotów. – Dam pani więcej.

Monika przygryzła wargę, jakby lekko zawstydzona.

- Akurat za ten... dwadzieścia tysięcy.

Krystyna myślała, że ogłuchnie na jedno ucho, gdy usłyszała głośne przekleństwo z ust Piotra Mzygłoda. Jej też na usta cisnęły się nieparlamentarne słowa.

- Pani Krystyno, niech pani blefuje. – Piotrek odzyskał równowagę dość szybko.

- Nie ma problemu. – Powieka nawet jej nie drgnęła. – Dam dwadzieścia pięć. Od razu.

Oczy Moniki zrobiły się wielkie jak młyńskie koła. Otworzyła usta szeroko na widok stuzłotówek w dłoni Lubickiej.

– Chodźmy na zaplecze. – Odrowążowa rozejrzała się nerwowo i poprowadziła Krystynę do jakiegoś pomieszczenia bez okien. Wskazała jej miejsce za stołem, ale klientka nie chciała siadać, tylko zaczęła wyciągać pieniądze z torebki.

- Proszę przeliczyć. – Krysia wskazała plik banknotów.

– Nie... Wie pani, zaufam pani. – Monika uśmiechnęła się krzywo, ale Lubicka widziała jej reakcję: rozszerzone źrenice i przyspieszony oddech. Wiedziała już, że teraz kobieta będzie jeść jej z ręki.

- Niech pani pyta – usłyszała ciche polecenie Mzygłoda.

– Pani Moniko, słynę z tego, że znam się na sztuce – uśmiechnęła się przymilająco – i że znajduję takie perełki jak pani wśród oceanu tandety... Ale nie zdarzyło mi się, żeby ktoś mnie ubiegł. Kto to był? Niech pani powie.

Monika popatrzyła na nią wzrokiem zwierzęcia zagonionego do klatki.

– Nie wiem, czy ta osoba... – chrząknęła cicho – czy nie będzie zła... To taka miła pani Ania. Jej mąż ma firmę inwestycyjną przy ONZ...

– Adamiak? – Teraz oczy Krystyny były wielkości zegara na Pałacu Kultury. Poczula, że jest jej słabo.

- Zna ją pani? – Monika niemal się ucieszyła.

– Spotkałam ją kiedyś. – Zachowanie powagi kosztowało Krystynę wiele wysiłku. – Ale nie sądziłam, że tak się interesuje sztuką... Miałam ją raczej za kogoś, kto nawet nie wie, jak się ubierać.

Ostatnia uwaga była złośliwa i wcale nieudawana. Jednak Monika nie zorientowała się w niczym.

– Pani Ania odwiedza mnie od niedawna... Nawet nie wiem, skąd się dowiedziała o moich obrazach. Od razu spodobało jej się to, co robię, i na pniu kupiła wszystko, co miałam. Byłam w absolutnym szoku. Wie pani... Tak między nami, nie chciałam już się tym zajmować. Nikomu się to nie podobało, w prasie zrobili ze mnie pośmiewisko... Tylko mój mąż mnie wspierał.

– Pani mąż?

– Tak – roześmiała się. – Sławek mnie zaskoczył. Nie byliśmy nigdy udanym małżeństwem, a tu taka niespodzianka! Mówił do mnie: „Maluj, kochanie, w końcu się na tobie poznają”. No i jeszcze teraz pani przyszła...

Krystynie zrobiło się jej żal. Chciała jakoś jej pomóc, ale wiedziała, że nic nie da się zrobić. Poczwała, że musi jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Nie mam za wiele czasu – powiedziała cicho. – Musimy jeszcze go spakować.

Monika przyniosła papier i taśmę klejącą, ale Lubicka musiała pomóc jej zdjąć obraz ze ściany.

– Co panią zainspirowało do namalowania tego portretu? – Przypomniało jej się, że musi zadać jeszcze to jedno ważne pytanie. – Do tej pory chyba nie malowała pani ludzi.

– Nie, rzeczywiście. Namalowałam tego człowieka, bo mnie niesamowicie zaintrygował. Widziałam go kilka razy i nawet nie wiem, jak się nazywa, ale było w nim coś takiego... że nie mogłam przestać o nim myśleć. Przerazał mnie...

– To jakiś klient czy pani znajomy?

– Nie, to znajomy mojego męża.

Rozdział 58

– On jest dla mnie wszystkim, rozumiesz? – Żaneta wytarła ciekący nos i zaszlochała cicho. – Jak go stracę, to chyba się zabiję.

Malicki odwrócił głowę w stronę szyby, żeby ukryć uśmiech, mimo że było całkiem ciemno.

Siedzieli niedaleko lasu pod Zielonką i czekali na sygnał do wyruszenia za porywaczami. Udało się ustalić, gdzie jest ich kryjówka, i wokół czaiło się pełno uzbrojonych funkcjonariuszy CBS w hełmach i z twarzami zasłoniętymi kominami. Nie było ich widać ani słychać, podobnie jak aut, które stały nieopodal. Michał i Żaneta ubrani byli w czarne golfy i kamizelki kuloodporne. Pani nadkomisarz związała nawet na tę okoliczność swoje długie włosy i założyła wysokie, wiązane buty.

– Żaneta, chciałbym ci jakoś pomóc, ale w sumie rozumiem chłopca – powiedział szeptem. – Jest mi cię żal, naprawdę. Tylko że wszyscy wiedzą, że lubisz... no... ten – podrapał się po głowie i wykrzywił twarz – że lubisz te sprawy, zwłaszcza z dużymi przystojniakami.

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

– Że co? Że mają mnie za zdzirę, tak?

– Może nie aż tak... – Malicki pokręcił głową, walcząc ze śmiechem. – Faceci generalnie lubią kobiety, które są chętne, i pewnie nikt ci złego słowa nie powie... Ale to twój mąż i jemu to naprawdę może... trochę przeszkadzać.

– Ale ja go kocham. – Łzy znowu trysnęły z jej oczu, ale z jeszcze większą siłą. – Jest dla mnie najważniejszy. Te... przygody nie mają żadnego znaczenia.

Michał sięgnął do schowka i wyciągnął kolejną chusteczkę, którą jej podał.

– Jak się dowiedział?

– A jak myślisz? Ktoś mu doniósł. Dostał pocztą zdjęcia robione z ukrycia, jak się z kimś całuje.

– Wściekł się?

– Nie, coś ty. I to było najgorsze. Powiedział: „Żanetka, jak mogłaś tak mnie zranić?” – beczała w najlepsze. – Spakował się i poszedł do hotelu. Pojechałam za nim, ale nie chciał ze mną rozmawiać. I co ja mam teraz zrobić?

– Dogadacie się – powiedział spokojnie Malicki. – Tylko nie możesz wskakiwać na każdego faceta, który ci się spodoba. To można... – zrobił ręką gest w powietrzu – można jakoś kontrolować.

– Nie muszę niczego kontrolować. – Wzruszyła ramionami. – Wiem, co robię.

– Jasne. – Michał wyraźnie kpił.

– Co masz na myśli? – obruszyła się.

– Nic... Tylko widziałem, co wyprawiałaś przy Wiśniewskim.

– Co wyprawiałaś?

– No to się nie dogadacie. – Malicki machnął ręką i westchnął ciężko.

Po paru minutach ciszy w słuchawkach usłyszeli informację, że zbliża się jakiś samochód. Rzeczywiście, zza zakrętu wyjechał jasny bus. Toczył się powoli, bo asfalt skończył się kilkaset metrów wcześniej i kierowca musiał uważać na liczne doły. Wiedzieli, że pojechał w stronę ukrytego głębiej w lesie budynku z betonu, który został zaadaptowany do mieszkania całkiem niedawno. Porywacze mieli tam generator prądu i zapas żywności. Jedyne okno zabili deskami, a dziury wypchali szmatami. Kiedyś budynek służył wojsku ćwiczącemu na poligonie, na którym właśnie się znajdowali, ale od dobrej dekady stał zupełnie nieużywany. CBS

zainstalowało w nim mikrofony. Wszyscy funkcjonariusze siedzieli bez ruchu, obserwując tylko, co się dzieje. Pierwszy pierścień osób otaczających budynek pracował na noktowizji. Przy wyjeździe z poligonu znajdował się samochód, w którym prowadzono nasłuch i nagrywano rozmowy z budynku.

– Długo tu mamy siedzieć? – zapytała szeptem Żaneta.

– Do skutku.

– Czyli?

– Dopóki stąd nie wyjadą.

– Nie łapiemy ich?

– Żaneta – Malicki przewrócił oczami – byłaś na odprawie. Nasłuchujemy i zbieramy dowody, a potem za nimi jedziemy i łapiemy na gorącym uczynku.

– To może potrwać całą noc. – Skrzywiła się lekko.

– Tak, dlatego mamy termos i koc. Możesz się przespać.

– A dlaczego jest nas aż tylu? – Rozejrzała się wokół, mimo że niczego nie było widać.

– Skoro to tylko obserwacja.

– Zastanów się. – Poczul się lekko zirytowany. – Zachowujesz się, jakbyś wczoraj wstąpiła do policji.

Zmarszczyła brwi i wytarła nos, jakby miało jej to pomóc w myśleniu.

– Aha! – Puknęła się w czoło. – Przecież coś może pójść nie tak i może się zrobić gorąco.

Boże – pokręciła głową – jestem debilką bez mojego Danielka.

Malicki zaczął żałować, że zgodził się z nią dzielić auto. Narcyzowaty Wiśniewski był bardziej znośny.

Rozdział 59

Piotrek Mzygłód czekał w samochodzie na parkingu przed Biurem. Było już całkiem późno, pracowało niewiele osób, a jako jeden z ostatnich wychodził Sławek Odrowąż. Piotr zamrugał długimi światłami, żeby ten go zauważył.

– Co jest? – Sławek wsiadł do jego auta i potarł dłonie. – Zimno, co?

– No, zrobiło się rześko – westchnął Mzygłód. Widział wyraźnie, że Odrowąż trzęsie się cały, ale raczej nie z zimna. Jemu też drżały lekko ręce, dlatego trzymał je mocno zaciśnięte na kierownicy. – Przepraszam, że nie zadzwoniłem, ale widziałem, że też wychodzisz. Słuchaj, stary chce, żebyśmy jutro pracowali razem.

– Dlaczego? – Przez twarz Sławka przemknął ledwo zauważalny grymas. – Jeżdżę z Mariuszem Kowalskim...

– Tak, wiem. Też nie rozumiem, o co chodzi, zwłaszcza że mam na tapecie nieco inną sprawę, ale nie chciałem już dyskutować. Umówmy się jakoś na rano, dobrze? Przyjechać po ciebie do domu?

Odrowąż nie zdążył odpowiedzieć, bo zadzwonił telefon Piotra.

– Co znowu? – zirytował się Mzygłód i wyciągnął komórkę. Skrzywił się, gdy zobaczył, kto się wyświetla. – Linde. Mam nadzieję, że to nic pilnego i się wreszcie wyśpię... Co jest, Marek?

Przez chwilę Piotrek słuchał, co mówi jego rozmówca, i tylko co chwilę potwierdzał, że rozumie.

– To mamy jechać teraz? – zapytał w pewnym momencie i spojrzał na Sławka z miną mówiącą, jak bardzo mu się to nie podoba. – Aha, jutro... Dobrze, będziemy... Jasne, jasne... Będę ze Sławkiem... Tak, na pewno... Cześć.

Wyłączył telefon i nabrał powietrza w płuca. Odrowąż patrzył na niego wyczekująco.

– O co chodzi? – zapytał w końcu.

– Niesamowite. – Pokręcił głową, nie patrząc na kolegę. – Znaleźli nissana.

– Tego... tego, którym przyjechała Justyna? – Sławek pochylił się bardziej w stronę Piotra, jakby chciał lepiej słyszeć.

– Tak. Stoi na Pradze pod jakąś kamienicą.

– Masz adres?

– Mam. – Kiwnął głową i wyjął notatnik z kieszeni. – Zapiszę ci. Przyjedź tam od razu rano.

– O której zaczynamy?

– Sześć chce nas widzieć o dziewiątej.

– Tak późno? – Sławek wziął kartkę od Mzygłoda i wpatrywał się w nią intensywnie.

– Tak. Mamy przyjechać i obserwować. Linde mówił, że najwcześniej wkroczymy w południe. Ściągniemy wtedy AT, jeśli będą ku temu przesłanki. Nie wiemy nawet, które mieszkanie, więc trzeba będzie się pewnie dobrze temu przyjrzeć.

– A nie lepiej jechać od razu?

– I co zrobimy? Jest tam jakiś radiowóz, to będzie obserwował, czy się gdzieś nie przemieszcza, ale raczej nie w nocy. Jest prawie dwunasta. – Spojrzał na zegarek. – Wiesz, jak jest z Brennerem, będzie chciał to zrobić delikatnie i mieć sto procent pewności, że nie ma skuchy. Gdyby chodziło o kogoś innego, może by poszalał, ale nie w tej sytuacji...

Sławek pokiwał głową, nie odrywając wzroku od kartki.

– Jasne – powiedział po chwili cicho. – Trzeba dziewczynie zapewnić maksimum

bezpieczeństwa.

– No właśnie. – Piotrek ziewnął, mając nadzieję, że to wygoni nareszcie Odrowąża z jego auta. Nie miał ochoty siedzieć obok niego ani minuty dłużej.

– No to lecę. – Sławek uśmiechnął się niewyraźnie. – Jedź się wyspać. Widzimy się rano.

– No, na razie. – Machnął ręką. Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu. Za zakrętem do jego auta wsiadł Marek Linde.

– Żyjesz? – zapytał, patrząc z uśmiechem na Piotrka.

– Daj spokój. – Pokręcił głową. – Rzygać mi się chce.

– Brenner załatwił to w białych rękawiczkach. Aż trudno uwierzyć...

– Szkoda słów. Razem w szkole, razem w policji, wspólne akcje, narażanie dupy... A tu takie coś.

– Co robimy teraz?

– Jedziemy się wykapać i coś zjeść. Tam jest cała armia ludzi, więc jakoś sobie poradzą przez ten czas.

– Wiadomo, w którym mieszkaniu się zadekowali?

– A skąd! W ogóle nie wiemy, czy to ta kamienica.

Linde roześmiał się.

– Niesamowite. Myślisz, że Justyna wystawiła samochód jako przynętę?

Piotrek też parsknął śmiechem.

– Myślę, że to możliwe – rechotał głośniejsz, bo poczuł, jak schodzi z niego napięcie. – To byłoby z tego wszystkiego naprawdę najzabawniejsze.

Rozdział 60

O wpół do drugiej pod blok, w którym mieszkał wiceprezes Adamiak z żoną, podjechał czarny lexus. Postać parę chwil i odjechał jakieś pięćdziesiąt metrów dalej pod szlaban. Po pięciu minutach zza budynku wyłoniła się skulona kobieca postać zawinięta w płaszcz, spod którego wystawały spodnie od piżamy.

– Mamy ich – powiedział szeptem Kot.

Łukasz skinął głową. Lexus nie był tu pierwszy raz i już zdążyli mu się lepiej przyjrzeć. Samochód zarejestrowany był na niejakiego Marcina Polaczka, który nie był notowany, ale za to wyglądem przypominał człowieka podszywanego się pod Mariusza Józwińskiego. Nie miał żadnej blizny, jednak nikt nie oczekiwał, że będzie ją miał. Od początku brano pod uwagę fakt, że była jedynie częścią charakterystyki.

Łukasz z Kotem siedzieli w samochodzie zaparkowanym na terenie kościoła po drugiej stronie ulicy Włodarzewskiej. Znajdował się tam większy parking i ich auto nie wyróżniało się spośród innych stojących wokół. Obok budki dla ochroniarza przy wjeździe na osiedle stał nieoznakowany radiowóz, a w parku Szczęśliwickim, w głębi na alejkach, czekały większe wozy wypełnione antyterrorystami, którzy byli gotowi na jeden sygnał od Łukasza i Tomka.

Adamiakowa wsiadła do lexusa. Kot spojrzał na Meyera, który tylko kiwnął głową. Chwilę później z parku wysypały się czarne postacie w kominiarkach i hełmach na głowach, z bronią przyciśniętą do korpusów. Przemieszczali się bezszelestnie na lekko ugiętych nogach. W ciągu kilku sekund otoczyli samochód, a dwóch z nich złapało za klamki, ale drzwi były zablokowane. Nie zastanawiając się, wybili szyby kolbami broni i otworzyli wóz. Jeden ze stojących obok drzwi kierowcy antyterrorystów oddał strzał. W tym momencie Łukasz z Kotem wyskoczyli z samochodu i ruszyli w stronę lexusa. Tomek pobiegł naokoło, Meyer w dwóch susach przeskoczył wysoki płot. Adamiakowa leżała na asfalcie twarzą do ziemi i strasznie zawodziła. Łukasz ominął ją i dopadł do kierowcy. Leżał zwinięty na boku i trzymał się za obojczyk. Krwawił.

– Wyciągnął broń – powiedział jeden z zamaskowanych funkcjonariuszy. – Karetka zaraz będzie.

Cała akcja trwała kilka chwil. Nagle wokół pojawiły się radiowozy, migające niebiesko-czerwonymi światłami. Kręciło się pełno ludzi. Łukasz zauważył dwóch kolegów z Biura, jak biegną do bloku. Dopiero teraz zobaczył, że w dłoni trzyma pistolet, który musiał odruchowo wyciągnąć z kabury, gdy biegł do lexusa. Schował go i położył dłonie na głowie, kręcąc się w miejscu bez większego celu.

– Wszystko OK? – Tomek go dopadł i złapał za rękaw.

Łukasz potwierdził ruchem głowy, ale nie był w stanie nic powiedzieć.

– Stary. – Kot spojrzał na niego z troską. – Jeszcze nie koniec. Musimy jechać na Pragę. Dasz radę?

– Tak – szepnął. – Jedźmy zaraz.

Gdy wyjechali na Aleje Jerozolimskie, Tomek podał telefon Łukaszowi.

– Zadzwoń do szefa. Pewnie już wie, ale lepiej, jak sam mu powiesz.

Brenner odebrał natychmiast.

– Macie go?

– Tak. Wyciągnął broń i został postrzelony, nie wiem, co z nim będzie.

– Rozumiem. A pani Adamiak?

– Aresztowali ją.

– Bardzo dobrze. Jesteście w drodze?
– Tak, właśnie mijamy Dworzec Zachodni, niedługo będziemy na Targowej.
– W takim razie jedźcie w okolice Dworca Wileńskiego i zaparkujcie gdzieś niedaleko budowy metra. Znajdę was.

– Tak zrobimy.
– Meyer... trzymasz się?
– Tak, szefie... Wie szef, gdzie jest Justyna?
– Nie, przykro mi. Mamy samochód i obserwujemy budynek, ale nie ma po niej śladu. Znajdziemy ją.

Dojazd na drugą stronę Wisły zajął im nieco więcej czasu, niż się spodziewali, ze względu na zamknięty most, ale Brenner cierpliwie czekał, oparty o swoje auto. Wysiedli i podeszli do niego.

– Jedźcie tam, ale trzymajcie się w pewnej odległości. Porywacze wiedzą, jak wyglądasz.
– Spojrzał na Łukasza. – Tak naprawdę mogą wiedzieć dużo więcej, niż się spodziewamy. Z Zielonki mamy sygnał, że już wiedzą o samochodzie i mają adres. Planują zjawić się tu przed piątą, więc bądźcie czujni.

– A nie można by ich złapać już w tej Zielonce? – zapytał Tomek.
– Można by. – Brenner potarł głowę dłonią. – Ale wolę ich łapać, jak będą w akcji. Niech wyciągną broń i nią trochę pomachają...

Nie mówił im wszystkiego, bo nie chciał denerwować Meyera. Obecność uzbrojonych porywaczy narażała Justynę na niebezpieczeństwo, jeśli oczywiście kobieta była w pobliżu. Dawła im jednak pewność, że łapią przestępców na gorącym uczynku. Miał też namacalny dowód na zdradę Odrowąza.

– Muszę jechać do Biura. Poradzicie sobie. Na miejscu jest Iwanow.
Łukasz z Tomkiem pokiwali głowami i poszli do samochodu.
– Mam wrażenie, że coś ukrywa – powiedział Tomek, kiedy odpalał silnik.
Samochód Iwanowa stał na tyle daleko od kamienicy, że nie było nawet widać nissana. Przesiedli się do niego.

– I jak się sprawy mają? – zapytał Kot.
– Wszyscy już są. – Wskazał głową na okolicę. – Linde z Mzygłodem niedawno przyjechali, są niedaleko. Jest po trzeciej, więc pewnie niedługo ruszą z Zielonki.
– Nie boją się, że porywacze zauważą, że są śledzeni?
– Założyli im nadajnik na samochód, także spoko... – Spojrzał na Łukasza. – Ale twoja żona schowała się naprawdę dobrze. Mieliśmy zamiar na jedno puste mieszkanie, byliśmy pewni, że tam się ukryli...

– No i? – Łukasz pochylił się do przodu.
– Są ślady bytności kogoś: pusta flaszka po wódce, pety na balkonie... Jeśli tam byli, to ich już nie ma. Pytaliśmy Brennera, czy nie ściągać ekipy do odcisków, ale się nie zgodził.

– Ale auto jest – stwierdził Kot.
– Jest. – Marek kiwnął głową.
Łukasz czuł mocny ucisk w żołądku. Bał się o Justynę, bał się, że jej tu wcale nie ma, że to jakaś pomyłka i ona naprawdę leży gdzieś w kostnicy. Dłonie mu drżały, plecy zalewał zimny pot. Myślał o tym mieszkaniu. Wódka, pety... To mogła być zwykła melina.

– Wiecie coś więcej o tym mieszkaniu? – zapytał cicho.
– Właściciel od pół roku nie może go sprzedać. Rozmawialiśmy z nim. Twierdzi, że zdarzają mu się nieproszeni goście, jakieś menele, pijaczki... Robią syf, rozwalają zamek, nabijają rachunki na wodę i prąd. Wydaje się, że nie ma się do czego przyczepić.

– Jasne. – Łukasz opadł na kanapę.

W tym momencie przejechał obok nich duży samochód, który zatrzymał się niedaleko. Wyskoczył z niego funkcjonariusz w czarnym mundurze i kamizelce. Marek otworzył okno.

– Ruszyli z Zielonki. – Pochylił się i zajrzał do środka. – Ustawiamy się na stanowiskach.

– Macie kogoś na dachu? – zapytał Kot.

– Nie. – Pokręcił głową.

– Dlaczego?

– Wasz szef powiedział, że nie ma potrzeby.

Łukasz zmarszczył czoło. To było bardzo niepodobne do Brennera. Albo był głupi, albo miał jakiś ważny powód...

– Bardzo dziwne. – Tomek spojrzał na funkcjonariusza podejrzliwie.

Siedzieli dłuższą chwilę w milczeniu, obserwując otoczenie. Co jakiś czas przejeżdżał samochód. Większość z nich była od nich. Po chodnikach chodzili pijani ludzie, zataczając się z prawej na lewą. Ktoś rozbił butelkę o asfalt, kto inny rzygał w bramie.

– Ktoś wychodzi z kamienicy – usłyszeli w pewnym momencie w słuchawkach.

Wstrzymali oddechy w oczekiwaniu na więcej informacji. Niczego nie widzieli, więc byli skazani na relację. – Jakiś pijak. Poszedł do kamienicy naprzeciwko.

Odetchnęli, choć wcale nie z ulgą.

– No to czekamy – powiedział cicho Linde.

Rozdział 61

Udawanie pijanego zawsze szło Ziułkowi najlepiej. Był wtedy bardziej wiarygodny niż wówczas, gdy naprawdę chodził nawalony. Wiedział, że obserwuje go wiele par oczu wokół i że nie może popełnić żadnego błędu, bo gdyby go sprawdzili, znaleźliby rozłożonego na części Dragunowa pod jego kurtką. Walizka z celownikiem była już na dachu. Przeszedł do kamienicy naprzeciwko i jak tylko znalazł się w środku, zaczął wbiegać po schodach.

– Słyszysz mnie? – do jego ucha wpadł dźwięczny głos Justyny.

– Słyszę – odpowiedział szeptem.

– No, masz szczęście, Żółwiu. Gdyby ta twoja sieć radiowa zawiodła...

Największe obawy Justyny budziła łączność. Żółw zarzekał się, że uda mu się ustawić sieć w pełnym dupleksie na radyjkach, które udało im się jakimś cudem zdobyć. Justyna nic się nie odzywała, ale wiedziała, że „cud” nazywa się Krokodyl, który cichaczem podał Bambiemu wszystko, co było potrzebne. Ciągłe się nie ujawniał, ale zdawała sobie sprawę, że jest o całej akcji na bieżąco informowany. Czuła pod skórą, że robi znacznie więcej, niż mogliby przypuszczać.

Żółw pomagał Justynie wdrapać się na dach, bo drabinka była uszkodzona. Podał jej walizkę z SAKO i zszedł szybko do mieszkania.

– Bambi mówi, że pod kamienicą i na uliczkach czeka prawdziwa armia. – Gogol odwrócił głowę od okna, gdy usłyszał wchodzącego Żółwia. – Może nie musimy sami się ustawiać, skoro jest tyle osób?

Żółw wzruszył ramionami.

– Kompleks dziecka pragnącego dowieść swojej omnipotencji.

– Co ty pierdzielis? – Gogol zmarszczył brwi. – Mów po ludzku.

– Malina czuje, że jak sama siedzi na górze i ma wszystkich na muszce, to kontroluje sytuację.

– Aha...

– Z drugiej strony... – Żółw podrapał się po głowie. – Zna tych ludzi lepiej niż my. Wie, kto jest kim.

– Tak, wie, komu od razu przestrzelić kolano – roześmiał się Gogol.

– Na przykład. – Żółw był cały czas poważny. – Weź radio. Podawaj jej to meteo, bo się zacznie pieklić.

– Dobra. – Gogol wsadził sobie słuchawkę do ucha i włączył radyjko.

– Nie wiem, po co jej to potrzebne. – Żółw przewrócił oczami. – Nie ma tu jakichś większych odległości, żeby poprawki na wiatr były takie niezbędne.

– Czy ja wiem. – Kostek przyłożył do oczu lornetkę. – Między budynkami może nieźle wiać. Poza tym robi to, czego ją nauczyliśmy. Nie odstawia kichy. Ale... wydaje mi się, że nasi goście są wcześniej.

– Słucham? – Żółw podszedł do okna. – Podobno niedawno wyjechali.

– Drogi są puste o tej porze... Widzisz tego białego busa? – wskazał ręką. – Ustawili się pod spożywczym, w razie czego wyglądają na dostawczy.

– Daj lornetkę. Nie ruszają się. Pewnie chcą poobserwować.

– Co robimy? – Gogol spojrzał na Żółwia pytająco.

– Oczekamy chwilę. Nie możemy od razu się wystawiać, bo pomyślą, że to podstęp.

W mieszkaniu na dole wszystko gotowe?

Gogol kiwnął głową.

– Tak.

Po upływie kwadransa drzwi do busa od strony pasażera otworzyły się i wysiadł z niego napakowany facet w skórzanej kurtce i czapce bejsbolówce na głowie. Nikt nie drgnął. Żółw z Gogolem również pozostali niewzruszeni. Paker ominął nissana, rzucając mu przelotne spojrzenie, i wszedł do kamienicy.

Gogol oczami wyobraźni widział, jak mężczyzna wchodzi cicho po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Podchodzi do drzwi i nasłuchuje przez chwilę. Naciska klamkę i wchodzi do środka, ściskając cały czas w dłoni pistolet. Nawet słyszał, jak parkiet pod jego stopami cicho skrzypi, kiedy przemierza kolejne pomieszczenia. W kuchni na krześle znajduje bluzę z kapturem, która wygląda jak ta należąca do Justyny, dokładnie ta, w której porwali ją w niedzielny poranek. Zawiesili ją tam zaraz po wyjściu policji. Trochę się takiej naszukali po sklepach w centrum handlowym. Bambi żartem wypominał, że to akurat musiała być ta najdroższa. Ziutek wytarzał ją na trawniku za kamienicą, żeby wyglądała i pachniała odpowiednio. Teraz porywacz już z mniejszą ostrożnością zagląda do sypialni i dużego pokoju i wychodzi pośpiesznie z budynku. Gogol wyjrzał przez okno i po trzech minutach zauważył biegnącego przez ulicę pakera.

– Rybka połknęła haczyk – powiedział z flegmą Żółw. – Malina, widziałaś?

– Widziałam. Myślałam, że nie będziesz zakładał tego „śmiesznego radia”.

– Nie mogłem się powstrzymać. Musiałem podzielić się z tobą taką wiadomością.

Wygodnie ci tam?

– Znośnie. Jeśli nie zamarznię do świtu, to będzie naprawdę git.

– Leżysz czy siedzisz?

– Siedzę – roześmiała się cicho. – Ziutek się złości, bo sam się położył i już mu łokcie zdrętwiały.

– Cwaniara – usłyszeli szept Ziutka. – Mam zardzewiałe stawy, to już nie to zdrowie.

Zaglądam do niej, a ta sobie w kucki zasiadła i komin udaje.

Żółw pokręcił głową i znowu spojrzął przez lornetkę.

– Ziutek to ma chociaż noktowizję, ale ty nic nie widzisz...

– Daję radę. Wiem, gdzie patrzeć. Będą teraz siedzieć i czekać, aż się pojawię. Bambi jest gotowy?

– Gotowy – westchnął Żółw i rozejrzał się po pokoju. – Gogol poszedł.

– Bardzo dobrze.

Rozdział 62

Brenner czuł się tak, jakby miał wielkiego kaca. W zasadzie miał... kaca moralnego. Siedział w swoim gabinecie w ciemnościach i nie miał siły ani ochoty, żeby się gdzieś ruszać. Zerknął na komórkę. Była prawie czwarta. Wiedział, że porywacze docierają na miejsce.

Zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby jego przełożeni dowiedzieli się, na co się zgodził, wyleciałby dyscyplinarnie z roboty. Podejmował już w życiu różne ryzykowne decyzje, ta jednak nie była nawet na granicy legalności – była daleko poza nią.

Informacje, które dostarczyła mu Krystyna Lubicka, natchnęły go do skontaktowania się z Interpolem. Dwie godziny po tym, jak przekazał zdjęcia i odciski palców Polaczka vel Józwińskiego ściągnięte z wizytówki, którą dał Justynie, dostał odpowiedź, że człowiek ten figuruje na liście poszukiwanych przestępców, którego zakres działalności obejmuje Rosję, kilka republik postsowieckich i państwa Europy Zachodniej. Nazywał się Wołodia Kowaliow i znany był z doskonałej znajomości kilku języków oraz umiejętności zmiany wyglądu. W Rosji działał w grupie przestępczej, w zasadzie mafii, obracającej ogromnymi sumami pieniędzy. Jeden z ludzi Brennera bardzo szybko dotarł do powiązań tej mafii z rosyjską firmą, która chciała inwestować w kopalnię diamentów w Afryce Południowej. Wszystko idealnie połączyło się w jedną całość.

Pozwolił Justynie na jej partyzanckie działania, bo poczuł w pewnym momencie, że ufa jej bardziej niż większości swoich ludzi. Nigdy by tego nie okazał, ale zdrada Sławka zaboląła go szczególnie mocno. Poza tym dotarło do niego, że nie tylko on musiał być w to zamieszany, bo Adamiakowa dostała namiary właśnie na Kowaliowa, a nie jakichś pospolitych rzezimieszków z Zielonki. Na biurku leżały nazwiska dwóch osób, które w ciągu minionego pół roku dowiadywały się o przestępców działających w Rosji i jednocześnie w Polsce. Czuł ucisk w klatce piersiowej. Te informacje oznaczały, że jego komórka pójdzie najprawdopodobniej w rozsypkę po tej sprawie, a każdy z jego ludzi zostanie dokładnie prześwietlony. Gdyby Justynie nie udało się uciec, te rzeczy nigdy nie ujrzałyby światła dziennego. Podobnie Jaskóła nie odpowiedziałaby za wszystko, co zrobił.

Szef Brennera dzwonił do niego wieczorem i powiadomił, że pracę w wojsku straciło znacznie więcej osób. Kilka z nich usłyszało zarzuty prokuratorskie za niedopełnienie obowiązków i znęcanie się nad podwładnymi. W nadgorliwości ktoś ściągnął nawet Sarnowskiego z Brukseli i odwołał go na czas nieokreślony ze służby.

Tymczasem Justyna najprawdopodobniej siedziała na jakimś dachu przytulona do broni i ze swoimi „kolegami”, o których wolał nic nie wiedzieć, czekała na Sławka i porywaczy. Dwóch pozostałych zdrajców знаła osobiście, więc wysłał jej nazwiska SMS-em. Nie znał szczegółów jej planu, domyślał się tylko, że odpowiednio przygotowała przynętę, na którą wszyscy się nabiorą. Liczył na jej celne oko i opanowanie.

Do Biura niespodziewanie ktoś wszedł. Brenner wyciągnął szyję i zmrużył oczy.

– Odrowąż – powiedział cicho.

Sławek podszedł do swojego biurka i czegoś na nim szukał. Potem podszedł do biurka Meyera. W tym momencie Brenner zapalił lampkę. Odrowąż cofnął się gwałtownie. Stał chwilę w miejscu, ciężko oddychając, ale po chwili zaczął iść w stronę biura szefa dość niepewnym krokiem. Wszedł do środka i uśmiechnął się krzywo.

– Ale mnie pan wystraszył. Przyjechałem...

– Dowiedzieć się czegoś więcej o akcji – przerwał mu spokojnie Brenner. – Dobrze, że pan jest. Chciałem coś panu pokazać.

– Tak? A co? – Potarł spocone dłonie o marynarkę.

– Tam, pod ścianą – wskazał na duży, płaski przedmiot oparty o ścianę i przykryty białym prześcieradłem. – Niech pan zajrzy.

Sławek podszedł wolno do ściany i zdjął materiał. Było całkiem ciemno, ale i tak doskonale widział, co to jest. Obraz namalowany własnoręcznie przez jego żonę, na którym widniała twarz z blizną koło lewego ucha. Odrowąż stał dłuższą chwilę w milczeniu i ścisnął mocno w dłoni prześcieradło.

– To dzieło kosztowało nas sporo pieniędzy, w dodatku Monika wcale nie chciała go sprzedać, bo podobno ma na niego kupców – zaczął Brenner. – Nie wiedziałem, że twoja żona tak się ceni.

Sławek wciąż nie patrzył w jego stronę.

– Okazało się, że miała ostatnimi czasy kilku klientów, ale najbardziej wyróżniającym się była niejaka pani Anna Adamiak. Mówi ci to coś?

Odrowąż odwrócił się wolno w stronę Brennera i spojrzał na niego z zaciśniętymi szczękami.

– Zawsze mnie dziwiło, że stać was na takie wystawne życie. Wydawało się, że ciężko utrzymać dom z jednej pensji. Poza tym taka pasja – wskazał na obraz – sporo kosztuje. Ale już rozumiem. Można było wykazać fiskusowi rachunki za sprzedaż kolejnych obrazów i nic nie wzbudzało podejrzeń.

Brenner sięgnął po komórkę i sprawdził, która godzina.

– Jedź na Pragę, Odrowąż. Wszyscy już tam są. Nie może cię ominąć taka wielka akcja.

Sławek stał, jakby nie słyszał tego, co powiedział szef.

– No, jedź. Coś może ci umknąć.

Odrowąż wyszedł szybkim krokiem z Biura, rzucając po drodze prześcieradło. Brenner usłyszał, jak trzasnął w oddali drzwiami. Chciało mu się wymiotować. Wstał, podszedł do obrazu i odwrócił go do ściany.

Rozdział 63

Telefon Polaczka nie odpowiadał. Sławek wcisnął w samochodzie gaz do dechy, ale czuł, że to na niewiele może się zdać. Wybrał szybko numer Anny Adamiak, ale również nikt nie odebrał. Zaczęło go cisnąć w dołku z nerwów. Gdy przejechał most Poniatowskiego i skręcił za rondem Waszyngtona w lewo, w jego mózgu zrodziła się obawa, że CBS i policja wiedzą więcej, niż mu to powiedział Brenner. Kluczył uliczkami Pragi i nerwowo spoglądał na zegar. Było wpół do piątej.

Może uda się coś zdziałać.

Pluł sobie w brodę, że nie wyciągnął namiarów do porywaczy. Najgorsze, co mogło się wydarzyć, to to, że wpadną w zasadzkę pod tą cholerną kamienicą.

Zastanawiał się, czy to ma w ogóle sens. Skoro jego szef wie o nim takie rzeczy, to być może po prostu go tam aresztują, ale potem pomyślał, że Brenner mógł założyć mu kajdanki już w Biurze.

Mają za mało dowodów, myślał z satysfakcją. Nic mi nie zrobią, nic na mnie nie mają.

Wiedział jednak, że jeśli złapią porywaczy, może być gorzej. Nie wierzył w to, że Polaczek da się złapać, a kupowanie obrazów Moniki przez Adamiakową o niczym jeszcze nie świadczyło.

Zaparkował swoje auto w znacznej odległości od nissana. Nie widział dokoła żywej duszy. Zauważył, że w głębi ulicy, pod sklepem w innej kamienicy stoi biały dostawczak, ale nikogo w nim nie było. Poczul się przez moment zdezorientowany, bo nigdzie nie widział wozów policji czy AT. Gdzieś w głębi stały jakieś auta, ale nie rozpoznał w nich nieoznakowanych radiowozów czy busów antyterrorystów.

Gdzie oni są?

Nagle dostrzegł, jak zza kamienicy, pod którą stał nissan, dokładnie od jego strony, wychodzi jakaś kobieta. Kolor włosów i ich długość sugerowały, że mogła to być Justyna, ale wydało mu się, że jest nieco grubsza. Szła zawinięta w kurtkę blisko ściany w stronę drzwi wejściowych. W tym momencie z prawej i lewej strony nissana wypadło dwóch napastników w czapkach bejsbolówkach. Kobieta zamarła, przyklejona do budynku. W ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że to na pewno zasadzka na porywaczy. Zza kamienicy stojącej po przeciwnej stronie ulicy wypadło dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy. Kolejnych dwóch wypadło zza obserwowanego budynku. Zrobił szybką analizę faktów i podjął decyzję. Wyciągnął broń z kabury i wymierzył w kobietę.

Stał w takim miejscu, że zasłaniał go nissan, więc mógł wytłumaczyć się tym, że mierzył do porywaczy, jeśli oczywiście to nie oni zostaną oskarżeni, bo w ręce jednego z nich zauważył pistolet. Był daleko i było dość ciemno, ale kobieta nie ruszała się i znajdowała się od niego zaledwie pięćdziesiąt metrów. W ułamku sekundy przyjął postawę do strzału i naciągnął kurek... W kolejnym poczuł w prawym nadgarstku ból, jakiego nigdy nie doświadczył. Z przerażeniem i jakby na zwolnionym filmie patrzył, jak jego ręka dosłownie rozpada się na kawałki. Odłamki ciała i kości uderzyły go w twarz i korpuz. Broń upadła i wystrzeliła...

Na moment zapanowała cisza, choć równie dobrze mógł ogłuszyć go ból. Upadł na bok i zwinął ciało w kłębek. Kiedy podniósł lekko głowę, zauważył, że kobieta stoi tam, gdzie stała, a jeden z porywaczy leży na wznak na ziemi i się nie rusza. Drugi był właśnie powalany przez antyterrorystę. Nagle ulica zarojła się od czarnych postaci w hełmach, z których część wpadła do kamienicy. Jeden odciągnął kobietę i zabrał do jakiegoś auta. Zanim Sławek zemdleł, dostrzegł, jak w jego stronę wolnym krokiem idzie Łukasz Meyer.

Chciałem zabić mu żonę..., zdążył pomyśleć i odpłynął.

Rozdział 64

– Malina, niech cię cholera! – szepnął Gogol, który stał za budynkiem i obserwował wszystko od strony Odrowąża. – Amputują mu ją jak nic.

To on jej powiedział, że podjechał samochód Sławka. On też wypuścił z kryjówki Małgosię w odpowiednim momencie.

– No, bardzo mi przykro – powiedziała z przekąsem. – Nie pozbiaram się z tego powodu do końca życia. Ziutek...

– Zdjąłem porywacza. Nie zdążyliby zareagować. Nie obstawili dobrze ulicy od tej strony. – Ziutek czuł, że się nie podniesie, tak miał zeszywniałe mięśnie i stawy od leżenia bez ruchu. – Bambi, dzięki za czujność. Jesteś mistrzem obserwacji.

– Zawsze do usług – usłyszeli jego głos, choć nikt nie widział, gdzie aktualnie się znajduje. Był gdzieś za dostawczakiem porywaczy i śledził każdy ich ruch.

– Schodzimy? – zapytał Ziutek.

– Ty możesz schodzić, chociaż nie wiem, czy to mądry pomysł – odpowiedziała Justyna.

– U mnie kamienica pełna po brzegi antyterrorystów. Mam nadzieję, że tu nie wejdą. Gogol, co z Małgosią?

– Zabrali ją do auta. Myślę, że sobie poradzi z resztą tego przedstawienia.

Przez dobre dziesięć minut obserwowali sytuację ze swoich stanowisk, także Żółw, który wszystko nagrywał w oknie. Przyjechało pogotowie i zabrało rannego Sławka. Potem pojawiła się kolejna karetka do postrzelonego w klatkę piersiową porywacza.

– Kto go postrzelił? – Dowódca AT rozejrzał się po swoich ludziach.

– Pistolet Odrowąża wystrzelił podczas upadku – powiedział cicho Łukasz. Wiedział, że to nieprawda. Nie zgadzała się strona, z której bandzior dostał i kąt, pod jakim pocisk przebił klatkę piersiową. Ale nie chciał innego wyjaśnienia, chciał uściskać tego, kto strzelał... Odwrócił się na pięcie i chciał iść do auta, do którego zabrano kobietę spod kamienicy, jednak dowódca złapał go za rękaw.

– To niech mi pan powie, kto strzelał do niego? – wskazał na odjeżdżającą karetkę ze Sławkiem.

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Może porywacz?

– To chyba przywalił mu z RPG – parsknął inny zamaskowany funkcjonariusz. – Na pewno nie z pistoletu. Poza tym nie słyszałem strzału.

Łukasz zmarszczył brwi. Podniósł wzrok i rozejrzał się po dachach kamienic. Światło latarni, pod którą stał, oślepiło go i niczego nie zobaczył. Przeszedł więc kilka kroków do przodu. W tym momencie Ziutek nagle odzyskał władzę w członkach i jednym zwinnym ruchem ześliznął się głębiej na dach, przytulając się mocno do swojej broni. Przy okazji przywalił celownikiem w nos.

– Mało brakło – dyszał ciężko do radia. – Co to za gość?

– Mój mąż – powiedziała Justyna cicho. W eterze zapadła cisza.

Odsunęła się od krawędzi dachu i oparła o komin. Skuliła się mocniej, kiedy usłyszała, że kłapa na dach otwiera się. Antyterrorysty nie byli jednak zbyt dociekliwi, nie przeszukiwali dachu i zaraz zeszli na dół. Zimna już lufa dotykała jej policzka. Podniosła rękę i odkręciła tłumik. Zdała sobie sprawę, że broń była na tyle długa, że wnikliwy obserwator mógł zauważyć, jak wystaje powyżej komina, ale już nie było sensu, żeby się tym martwić.

Łukasz tymczasem walczył ze sobą. Patrzył wciąż w górę i myślał o tym, dlaczego Brenner nie wystawił nikogo na dachu. Chciał iść do auta, gdzie siedziała ta kobieta, tak podobna

z daleka do Justyny, ale kusilo go rowniez, zeby zajrzec na gore. Jego rozterki zakonczyly jeden z antyterrorystow.

– Ta pani chce z panem porozmawiac. – Policjant pokazal na samochod. – Proszę isc.

Serce zabilo mu mocno, a nogi trzesly sie jak galarety. Kiedy podszedl blizej, drzwi odsunely sie i wsiadl do srodka. Na kanapie skulona i drzaca siedziala Goska Lukasik.

– Co ty tu robisz? – Nie mogl byc bardziej zdziwiony.

– Dostalam wiadomosc, ze Justyna tu jest.

– Od kogo?

– Nie wiem. – Uniosla lekko ramiona. Klamala, ale nie czula wyrzutow sumienia. Chciala dobrze odegrac swoja role. – Nie znalam tego numeru, ale uwierzylam. Przyjechalam wczesniej pod ten adres, zeby zorientowac sie, czy nie jestem wrabiana.

– Zwariowalas? – Lukas z byl przerazony. – Mogli cie zabic.

Kiwnela lekko glowa i spuscala wzrok. Miala na sobie gruba kurtke, nieco za duza, ktora mocno sciskala z przodu w dloniach. Pod spodem nosila kamizelke kuloodporna, ktora zalozyly jej Gogol, ale nie miala zamiaru jej komukolwiek pokazywac.

– Chce jechać do domu – powiedziala cicho. – Jestem swoim samochodem...

– Nie, niech cie odwiezie ktos od nas. – Lukas rozejrzal sie wokol. – Tu sa nasi ludzie, nie wszyscy sa potrzebni w tym momencie. Poczekaj, zaraz kogos zalatwie.

Wysiadl z wozu i pobiegł do Iwanowa. Wiesiek zgodzil sie od razu, zwlaszcza ze chcial jak najszybciej wracac do domu. Zabrał Malgosie z samochodu i zaprowadzil do swojego.

Justyna obserwowala te scene, lezac plasko na brzuchu.

– Bambi, zrob cos dla mnie.

– Wszystko, kochana.

– Wez samochod i jedz za nimi. Iwanow jest zdrajca...

– Pierdzielisz?!

– Niestety nie. Dopilnuj, zeby nic sie jej nie stalo. Zaraz poinformuje Brennera.

– Jadem.

Powoli ruch na ulicy robil sie mniej chaotyczny. Kazdy zajmowal sie swoja dzialka. Zbierano dowody i szukano innych sladow. Dowodca antyterrorystow rozmawial z Brennerem przez telefon, a jego ludzie schodzili na dol kamienicy. Byli w mieszkaniu kolegi Ziutka, ale niczego ani nikogo nie znalezli. Pukali do innych lokatorow, w tym do Zolwia, ktory doskonale udawal zaspanego mieszkanca Pragi.

Justyna obserwowala Lukasza, ktory krecil sie pomiedzy budynkami bez wiekszego celu. Zauwazyla Kota, ktory rozmawial z Mzyglodem. Pojawily sie tez jakieś nieoznakowane radiowozy, ale wiekszosc po chwili odjechala. Wyciagnela z kieszeni spodni telefon i napisala wiadomosc do Brennera. Kiedy spojrzala znowu na ulice, nie widziala juz nigdzie meza. Kotowicz oddalal sie od kamienicy i wygladalo na to, ze ma zamiar odjechac.

– Musial pójść do auta... – powiedziala do siebie cicho.

– Co mowilas, Malinka? – zapytal Gogol.

– Nie, nic.

– Chcesz schodzic? – uslyszala niski glós Zolwia. – Odradzalbym, dopóki sie panowie w czarnych uniformach kręca. Dam ci znac i pojde zdjac cie z góry.

– Dobrze, bede czekac. – Usmiechnela sie lekko. Zsunela czarna czapke, ale zaraz nalozyla ja z powrotem, bo na dachu mocno wialo, a lysej glowy nie mialo co chronic. Palce, mimo ze w rekawiczkach, skostniały jej na amen, wiec usiadla znowu pod kominem i zaczela je rozcierać.

– Zimno, co? – szepnal Ziutek.

– Celujesz do mnie, draniu? – roześmiała się.

– Nie, tylko patrzę przez celownik. Rozkręciłem już broń i pochowałem za pazuchę. Nie wiem, czy walizczkę z PCO mam tu zostawić. Boję się, że jak ktoś mnie zobaczy, to za bardzo będę się z nią rzucał w oczy.

– Zostaw – powiedział spokojny Żółt – dla pewności.

– No to idę.

Ziutek zszedł z dachu, wyszedł z budynku i skierował się prosto w stronę Gogola ukrytego za kamienicą naprzeciwko. Znowu zataczał się w pijackim rytmie, budząc rozbawienie u grupki funkcjonariuszy.

– Panowie – machnął do nich rękami – piękna noc. Wszystkiego dobrego życzę... hyp... idę się odlać. Panowie pozwolą...

Zniknął za budynkiem i dał nura w krzaki, gdzie siedział Gogol.

Po upływie pół godziny nikogo nie było. Justyna wiedziała, że na obserwacji stoi przynajmniej jeden radiowóz, bo nissan wciąż intrygował wszystkich, inaczej już by go odholowali. Ale na to też mieli plan. Trzeba było tylko zejść z dachu. Żółt się nie odzywał i nie odpowiadał, gdy go wywoływała.

– Pewnie radio mu nawaliło – powiedział Gogol. – Wchodzimy z Ziutkiem do budynku.

Podeszła do kłapy, żeby chociaż sprawdzić, czy zdoła zeskoczyć. Wiedziała, że zanim Ziutek z Kostkiem prześlizną się przez piwniczne okienko z drugiej strony i wejdą na górę, minie trochę czasu. Nie miała ochoty kwitnąć na zimnie niepotrzebnie.

Kłapa lekko zaskrzypiała, kiedy ją uniosła. Zajrzała w dół i niczego nie dostrzegła, bo światło na klatce się nie paliło. Mogła zaryzykować, ale jeszcze była walizka z bronią. Po chwili namysłu schowała ją za kominem.

Niech któryś z chłopaków po nią przyjdzie.

Usiadła na brzegu otworu i poczuła, jak ze strachu drętwieją jej stopy. Przesiadła się w miejsce, gdzie był szczebel drabiny, którego wandalę nie dosięgli i nie zniszczyli, obróciła na brzuch i wyczuła stopami ścianę. Chwyciła szczebel i ześliznęła nogami po murze. Chciało jej się krzyżeć z bólu. Zapomniała, że ma zdartą skórę i siniaki na każdym centymetrze ciała. Kiedy zawisała na dłoniach, droga do podłogi nie była już taka daleka. Zeskoczyła.

Wtedy zaświeciło się światło na klatce. Od razu pomyślała, że to Gogol albo Żółt. Odwróciła się i miała ochotę spuścić im łomot za opieszałość. Ale zamiast nich zobaczyła opartego o ścianę Łukasza z pistoletem w dłoni.

– Nie dość, że mi nie pomogłeś zejść, to jeszcze do mnie mierzysz. – Naprawdę się zezłościła, gdy do niej dotarło, że męczyła się, choć nie musiała.

Łukasz patrzył na nią z otwartymi ustami i nie był w stanie niczego powiedzieć. Słyszał głos swojej żony, ale widział nieco inną twarz: wychudzoną, zmarzniętą i z wielkim siniakiem wokół oka, który zaczynał zmieniać kolor. Opuścił ręce i ciężko westchnął, jakby miał się rozpłakać. Justyna podeszła do niego i mocno objęła za szyję. Złapał ją tak silnie, że o mało nie zmiądzzył jej żeber.

– Domniemywam, że to pan mąż. – Gogol stał podparty pod boki i szczerzył się do nich.

– Kto to jest? – Łukasz miał ochotę rzucać się do walki.

– A, nie wiem. – Justyna wzruszyła ramionami i przytrzymała męża w miejscu. – Jakiś mały krasnal się przypałętał. Nie zwracaj na niego uwagi.

– Nie zadzieraj z Kostusiem, Malinka. – Pogroził jej palcem. – Zaraz będziecie mogli się znowu ścisnąć, tylko zadam jedno pytanko: SAKO miła pani gdzie schowała?

– Koło komina.

– I ja mam tam wchodzić, tak? – Gogol wskazał na wejście na dach. – To nie jest zadanie

dla krasnali.

– To niech Żółw wchodzi. – Justyna zmarszczyła czoło. – Miał tu być dawno temu.

Gogol westchnął i zaczął schodzić. Justyna chciała pójść za nim, ale Łukasz złapał ją za rękę. Stał na stopniu niżej i spozrywał jej w oczy.

– O co chodzi? – Patrzył na nią zaniepokojony. – Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Nie wystarczy, że stoję przed tobą żywa?

– Ale... czy coś ci grozi, o czym nie mam pojęcia? Justyś, ja nie znam tego człowieka, nie wiem, kim jest Żółw...

Zamknęła mu dłonią usta.

– Łukasz, zejdźmy na dół. Musimy zadzwonić do Brennera i dowiedzieć się, czy mogę wrócić do domu.

– Złapaliśmy Adamiakową – powiedział cicho. – Byłem przy tym, jak ją aresztowano. I tego... Józwińskiego, czy jak mu tam.

Pokiwała głową. Światło zgasło i przez chwilę nic nie mówili. Justyna dotknęła dłońmi głowy Łukasza i mocno go pocałowała.

– Jesteś moim bohaterem – szepnęła.

– Bohaterem? – roześmiał się przez łzy. – Nie masz pojęcia, ile błędów popełniłem...

Znowu zakryła mu usta.

– Za dużo mówisz, Meyer. Zejdźmy na dół. Jestem do szpiku kości zmarznięta.

Wzięła męża za rękę i pociągnęła na drugie piętro. Kiedy weszli do mieszkania, Gogol wstawiał w kuchni wodę na herbatę.

– Państwo reflektują? – zapytał. – Jacka nie ma, to nie ma komu herbaty robić.

Justyna podeszła do okna.

– Kostek, zaraz się tu zlecą policjanci, jak zobaczą światło.

– No to niech się zlatują. – Wzruszył ramionami. – Co to? Człowiek nie może o świcie herbaty pić? Ciebie nikt nie pozna, a pan mąż zawsze może powiedzieć, że do kumpli wpadł na poranną kawkę po akcji.

– A gdzie reszta?

– Żółw, wyobraź sobie, zasnął. Usiadł na oknie i chrapał jak smok. Wygoniłem go na dach. Ziutek uciekł przed twoim chłopem, jak się dowiedział, że tu jest, a Bambię sama gdzieś wysłała...

Justyna spojrzała na Łukasza z powagą.

– Łukasz... – złapała go za dłonie – zanim zeszałam, dostałam wiadomość od Brennera...

– A co ty masz wspólnego z moim szefem?

– On wiedział o wszystkim. – Wskazała głową na Gogola.

Łukasz roześmiał się i spojrywał na sufit.

– O, Boże! Facet ma nerwy ze stali. – Pokręcił głową i znowu popatrył na Justynę. – Co ci powiedział?

– Właśnie aresztują Iwanowa.

– Za co? – Zrobił przerażone oczy. – Ja go...

– Wiem, pojechał z Goską. Iwanow powiedział Adamiakowej o tym Józwińskim... to znaczy dał jej kontakt do niego.

– Ale... ale ja z nim pracowałem nad tą sprawą. On mi pomagał.

Gogol nic się nie odzywał, tylko zrobił znaczącą minę.

– To jest pewne?

– Tak. – Kiwnęła głową. – Linde też wziął za to pieniądze.

Łukasz odwrócił się gwałtownie i podszedł do drzwi, jakby chciał wyjść. Zatrzymał się jednak i schował twarz w dłoniach. Po chwili wrócił i spojrzał na Justynę zaczerwienionymi oczami.

– O mało nie umarłem z żalu – szepnął. – Myślałem, że coś sobie zrobię albo co najmniej oszaleję, jak ten nasz zarządca... Walczak. A oni na tym zarabiali. Popatrz na siebie. Ledwo cię poznałem. – Wziął jej ręce i podwinął rękawy. Kiedy zobaczył ślady po sznurku, zacisnął oczy, powstrzymując łzy.

Justyna objęła go za szyję.

– Nie myśl o tym teraz.

Gogol usiadł za stołem i przysunął sobie kubek z herbatą.

– Co się dziwisz staremu? – zapytał retorycznie. – Zawalił się mu cały świat.

Łukasz spojrzał na Gogola z miną, jakby go dopiero zauważył. Kostek sięgnął po drugi kubek i postawił na blacie.

– Siadaj, mężu Maliny. Napij się, bo i tak nic cię teraz nie pocieszy. Grunt, że Malinka jest z nami, cała i zdrowa. Reszta się jakoś ułoży.

Justyna miała ochotę go teraz uściskać za jego serce. Pchnęła lekko Łukasza na krzesło, a on nie stawiał nawet oporu. Usiadł i objął ją w pasie, wtulając się w jej brzuch.

– Pokazywałaś panu mężowi swoją nową fryzurę? – Gogol mrugnął do niej znad kubka.

– Bujaj się. – Wystawiła środkowy palec.

Do mieszkania wparował Żółw z walizką w ręce. Stał na progu kuchni, popatrzył na Justynę i Łukasza, a następnie ostentacyjnie położył broń na stole.

– Ja nie będę tego czyścił. Czyści ten, kto strzelał.

Gogol parsknął śmiechem, a Łukasz podniósł wzrok na Żółwia i zamrugnął powiekami.

– Jesteś starym zmecholskim betonem – powiedziała Justyna, gładząc Łukasza po włosach. – Normalnie jakbym słyszała moich kolegów po taktyce. „Nie będę tego czyścił” – przedrzeźniała go. – Zabieraj się z tym na górę, bo zaraz tu może wpaść policja.

Żółw zrobił obrażoną minę, złapał walizkę i wyszedł z mieszkania.

– Kto to był? – Łukasz spojrzał na Gogola.

– Nie wiem. – Gogol chichotał. – Jakiś wariat.

Justyna usiadła na kolanach męża i kiwnęła na Gogola, żeby podał jej kubek.

– Szybko poszło, co Malina? – Kostek westchnął.

– Szybko – przytaknęła. – Ale wiesz, że mogło być źle...

– Oj tam, zaraz źle.

– Justynka, dlaczego on na ciebie mówi „Malina”? – zapytał Łukasz cicho.

– Mówiłam ci, żebyś nie zwracał na niego uwagi. – Machnęła ręką. – Gogol, jeżeli było aż trzech kapusiów, to mogliśmy popłynąć z tą całą akcją.

– No, mogliśmy. – Kiwnął głową i spoważniał. – W sumie ciągle trudno powiedzieć, czy wszystko jest dobrze.

– Łukasz mówi, że aresztowali prezesową i tego Józwińskiego.

– Naprawdę? – Gogol spojrzał z uznaniem na Łukasza. – Ale macie na nich coś pewnego?

Łukasz czuł się dziwnie, rozmawiając z człowiekiem, którego pierwszy raz widział na oczy, a który najwyraźniej wiedział więcej o jego żonie niż on sam. Musiał jednak przyznać, że budził zaufanie.

– Mój szef coś ma... Ja dokładnie nie znam szczegółów, ale myślę, że to coś poważnego.

– Rozumiem. – Gogol kiwnął głową. – Chciałbym poznać tego twojego szefa, musi być gość z jajami.

– To może będziesz miał okazję – powiedziała Justyna, patrząc właśnie na ekran komórki.
– Napisałam, żeby po nas przyjechał. Zaraz zobaczymy, co odpowie.

Do mieszkania wrócił Żółw, dalej z fochem. Złapał za czajnik i zaczął nalewać wodę.

– Herbaty to mi oczywiście nie miał kto zrobić.

Kostek przewrócił oczami.

– No tak, księżęta z GROM-u mają przecież służbę, paziów i giermków.

– Załatwiłem łączność, kamery... – zaczął wyliczać.

– Tak, tak, jasne. Jesteś zajebisty gość.

Drzwi do mieszkania otworzyły się. Wszedł lekko przygarbiony Bambi, ewidentnie bardzo zmęczony.

– Ja pierdolę, mam dość normalnie... – Zamarł w progu kuchni na widok Łukasza. Stał przez chwilę nieruchomo z wielkimi oczami. – Dzień dobry. – Uśmiechnął się i wyciągnął dłoń w stronę Meyera. – Mrozowski.

Łukasz niepewnie wyciągnął swoją i zmarszczył brwi.

– Tomasz Mrozowski? – zapytał.

– Tak, a mieliśmy już przyjemność?

– Nie, ale pana nazwisko pojawiło się przy okazji badania tych... zwłok z Poznania.

Bambi uśmiechnął się i usiadł za stołem.

– Tak, mieliśmy z panią Żanetką miły wieczór w kostnicy.

– Z Żanetą, z którą się nie przespałeś – powiedziała Justyna, wskazując na niego palcem. Żółw z Gogolem roześmiali się.

– Panie, widzisz pan, co ja tu mam? – Podniósł ręce w geście rozpaczki. – Normalnie żyć mi nie dadzą. Kobieta ma męża, nie mogłem puknąć mężatki. Mam zasady...

Gogol zaśmiał się głośniej.

– No dobra. – Otarł łzy z policzka. – Na poważnie. Co się wydarzyło, gdy cię nie było?

– Ech... przyjechali jacyś ludzie, chyba od was – kiwnął na Łukasza. – Jak Gośka wysiadła z samochodu, zaraz wyciągnęli tego kolesia, zglebili go i normalnie aresztowali. Zaraz się zmyłem, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Malina mówiła, że też sprzedawał...

– Nie wiem nic pewnego – powiedział cicho Łukasz.

– Aha... – Bambi opuścił głowę i potarł oczy. – Bo tak sobie w drodze pomyślałem, że skoro był ktoś jeszcze... Oprócz tego, co mówiłaś – spojrzał na Justynę – to mogliśmy tu mieć rzeźnię, a nie akcję na dwa strzały.

– Mogliśmy – odparła cicho. – Ale Łukasz mówił, że ten Iwanow mu pomagał...

– Pomagał? – Meyer roześmiał się nerwowo. – Prawie rozwiązaliśmy razem sprawę.

– No właśnie. Więc doszłam do wniosku, że Sławek nie wiedział ani o nim, ani o tym Linde. Było im bardzo na rękę, że tylko jego podejrzewamy. Po wszystkim i tak byliby z kasą, bezpieczni na swoich stanowiskach. Nie wiem tylko, jak Brenner na to wpadł.

– Malina – Żółw spojrzał na nią nagle, jakby się właśnie obudził – a dlaczego ty siedzisz w tej czapce?

Wszyscy zwrócili głowy w jej stronę. Gogol uśmiechnął się z błyskiem w oku.

– Bo się boi, że chłop ją z domu wygoni, jak zobaczy jej fryzurę.

Łukasz podniósł dłoń za jej plecami i zsunął jej czapkę z głowy. Justyna odruchowo złapała się za uszy, przyciskając je do czaszki.

– Co ci się stało? – Łukaszowi serce ścisnęło się z żalu. Zobaczył, że siniak z lewej strony jest o wiele większy i sięga tyłu głowy, gdzie dodatkowo znajdował się opatrunek. Dotknął ją delikatnie i odsunął jej dłoń od głowy.

– Trzeba mi było obciąć włosy, bo miałam wszy.

– Wszy? Skąd?

Poczuła, że nie jest w stanie mu opowiedzieć tego, co się stało. Popatrzyła mu w oczy, a jej własne zrobiły się mokre. Oparła głowę na jego ramieniu i wcisnęła nos w szyję. Objął ją mocno i też nic już nie mówił.

Wszyscy zamilkli na chwilę. Zaczęło do nich docierać, że gdy opadną emocje po wydarzeniach tej nocy, Justyna z Łukaszem będą musieli uporać się z traumą poprzednich dni. Gogol zastanawiał się, co sam by czuł, gdyby miał wysłuchać od swojej porwanej żony o tym, co się z nią działo. Zrobiło mu się strasznie ciężko na sercu i nawet nie miał ochoty żartować.

Komórka Justyny zawibrowała na blacie stołu. Żółw sięgnął po nią i przeczytał wiadomość.

– Jest już pod kamienicą. Ma wchodzić? – Spojrzał na nią pytająco.

– Tak. – Oderwała twarz od szyi męża.

Policjanci w radiowozie stojącym niedaleko z zaciekawieniem przyglądali się łysemu facetowi, który zaparkował pod kamienicą i wszedł do niej bez wahania.

– To ten z CBS – powiedział jeden, machając kubkiem z kawą.

– Po co tu przyjechał? Nikogo już nie ma.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – To sam szef, więc pewnie ma powody.

– Może trzeba podać po radiu...

– Nie, zaczekaj. Możemy się tylko wygłupić.

Brenner nie pukał, tylko wszedł do mieszkania. Gogol wstał i od razu ruszył podawać mu dłoń.

– Nareszcie mogę uścisnąć tak ząną prawicę. – Pochylił się nisko ze śmiechem, wprawiając Brennera w osłupienie. – Zapraszamy w nasze skromne progi – wskazał swoje miejsce przy stole.

Żółw przewrócił oczami, a Bambi śmiał się cicho. Brenner usiadł, objął jednym spojrzeniem całe towarzystwo i schował twarz w dłoniach.

– Herbaty? – Gogol pochylił się nad jego uchem.

– Kawy – odparł Brenner.

– Żółwik – Gogol zrobił gest głową – ty jesteś najmłodszy. Jedziesz z kawą dla pana inspektora.

– Jestem tu najstarszy stopniem – obruszył się, ale wstał i włączył gaz pod czajnikiem.

– Ależ ta młodzież dziś niewychowana. – Pokręcił głową Kostek i zajął miejsce Żółwia.

– Jakie wieści, panie kochany? Czekamy tu jak na szpilkach.

Brenner podniósł głowę.

– Rafał Brenner – przedstawił się. – Pan to pewnie Tomasz Mrozowski, konsultant. – Podał dłoń Bambiemu. – Nie wiem, czy pan pamięta, ale już kiedyś się widzieliśmy.

– Pamiętam. – Bambi potrząsnął energicznie dłonią Brennera. – Doskonała pamięć, panie inspektorze.

– Konstanty Bąk – przedstawił się Gogol. – A ten od czajnika to Żółw.

– A ma jakieś nazwisko?

– Żółwiński – roześmiał się Bambi.

– Waldemar Czarny. – Wyciągnął swoją dłoń Żółw, z lekko obrażoną miną. – Kapitan Czarny.

– Pan jest w GROM-ie, prawda? – Brenner przyjrzał mu się uważnie.

– Yyy... tak... ale...

– To widać od razu. – Rafał machnął ręką.

Justyna uśmiechnęła się pod nosem.

– Co ustaliłeś? – zapytała cicho.

Łukasz drgnął lekko. Nikt nie zwracał się do jego szefa po imieniu.

– Na samym początku przeczuwałem, że będziemy się musieli taplać w wielkim gównie przez tę sprawę, ale nie sądziłem, że będzie miało rozmiary Oceanu Spokojnego. – Oparł się mocno łokciami o stół. W jego twarzy widać było coś na kształt zdziwienia. – Twoje porwanie dosłownie zeszło na dalszy plan przy tym, czego się dowiedzieliśmy przy okazji. Rozmawiałem z moim przełożonym i poprosiłem, żeby nie podawać dementi do wiadomości o twojej śmierci. Narobiłoby to sporo zamieszania. Jutro... a w zasadzie dzisiaj powinien się ukazać duży artykuł na ten temat...

– Kołeczki – szepnęła.

– Zgadza się. – Kiwnął głową. – Armia już wie o jego istnieniu, ale, ku mojemu zdumieniu, nikt nie chciał go wstrzymywać. Paru generałów podpięło się pod temat i zrobiło dzięki niemu porządki kadrowe u siebie.

Żółw, Gogol i Bambi spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

– Czyli będzie po dawnemu, ale w innej obsadzie – powiedziała Justyna z westchnieniem.

– Prawdopodobnie. – Brenner podsunął sobie kubek z kawą i sięgnął po prowizoryczną cukiernicę ze słoika. – Tak czy inaczej, twoje zagranie z pamiątkami było mistrzostwem i również zasłoniło kilka innych ważnych spraw. O twojej rzekomej śmierci wszyscy szybko zapomną, ale u nas jest najgorzej... – Spojrzał na Łukasza. – Meyer, prawdopodobnie nie będzie do czego wracać od poniedziałku.

Łukasz pokiwał głową, nie patrząc na szefa.

– Nie wiem, jak się z tego wygrzebiemy. – Potarł dłonią potylicę.

– Dacie radę. – Bambi patrzył na niego spokojnie. – Jeszcze wyjdzie pan na tym z awansem.

Brenner pokręcił głową.

– Nie sądzę, żeby ktoś chciał mnie nagradzać za to, że miałem u siebie trzech sprzedawczyków.

– No, a jak było z tą panią prezesową? – Bambi założył ręce na piersiach i spojrział na Brennera z uśmiechem. Zdziwiło to Justynę, bo w jego wydaniu oznaczało to tylko jedno: wiedział o czymś, czego nie wiedzieli inni.

– W życiu byśmy jej nie złapali, gdyby nie Justyna – roześmiał się Brenner.

– Ale pana szef tego nie wie.

Brenner zmarszczył brwi.

– Pan coś insynuuje?

Bambi pokręcił głową i dalej się uśmiechał.

– Ja mam za to pytanie. – Justyna podniosła nieśmiało dłoń. – Ponieważ od dziś Odrowąż będzie się podcierał lewą ręką, to czy nie będzie problemu, że mu prawą wysłałam w kosmos?

Gogol parsknął śmiechem. Łukasz zamknął oczy, jakby chciał się wyłączyć z tej rozmowy, a Brenner mocniej zmarszczył czoło.

– Co mu zrobiłaś?

Gogol wyszczerzył się.

– Strzeliła sobie z SAKO.

– Chodzi jej o to, żeby nie było śledztwa – powiedział powoli Żółw.

– A wie pan, że się domyśliłem. – Brennerowi poprawił się humor. – Nie takie rzeczy się tuszowało. To znaczy nie wiem, jak wyglądała ta wasza akcja...

– Mam nagrane na kamerę – wyrwał się Żółw. – Mogę pokazać.

– Bardzo dobrze. – Brenner był naprawdę zdziwiony. – Justyna, skąd ty ich wzięłaś?

– Złapałam ich na włamywaniu się do naszego mieszkania. – Uśmiechnęła się.
– Powiedziałam, że jak mi nie pomogą, to zgłoszę ich na policję.
– Byłaś u nas w mieszkaniu? – Łukasz odchylił ją nieco i spojrzał w oczy.
– Nawet dwa razy. – Żółw machnął ręką. – Skąd by miała twoją wejściówkę do Biura?
– Mówiłem ci, Meyer – Brenner pokiwał łusą głową – pełna kontrola. Justyna... a kto zdjął porywacza?
Wszyscy spojrzeli po sobie, ale nikt nie miał ochoty nic mówić.
– Powiedziałem AT, że pistolet Sławka wystrzelił przy upadku – powiedział w końcu Łukasz.
– I bardzo mądrze – pochwalił Brenner i popatrzył znowu na Justynę. – A ten pistolet Sławka nazywa się Józef Nienacki, tak?
Justyna uniosła ramiona w geście bezradności i nie odpowiedziała.
– Co teraz zamierzacie robić? – zapytał po chwili Brenner.
– A możemy już stąd wyjść? – roześmiał się Gogol.
– Tak. – Brenner spoważniał. – Może nie od razu, ale powoli możecie się zbierać. Co z samochodem Nienackiego?
Żółw podniósł rękę.
– Ja zabieram. Mam jego dokumenty i jakąś ściemę do sprzedania.
– A co z właścicielem?
– Poszedł gdzieś. – Gogol wzruszył ramionami. – Porzucił własność...
– No, dobra. – Brenner podniósł dłoń w geście, że rozumie.
– Ja wracam do żony i dzieci. – Gogol uśmiechnął się. – Moja pani nerwowa chodzi, bo termin się zbliża – zrobił gest na brzuchu – trzeba przypilnować resztę inwentarza.
– Ja jadę się wyspać. – Bambi przetarł oczy. – Tak mnie ta Malina zmęczyła, że z tydzień urlopu potrzebuję.
Justyna roześmiała się.
– Jasne, zwał wszystko na mnie.
– Jesteście okropni. – Brenner znowu schował twarz w dłoniach, ale kiedy ją odsłonił, oczy mu się śmiały. – Skąd wy żeście się urwali, co?
– Panie inspektorze – Gogol kiwnął dłonią, jakby coś tłumaczył – jeśli panu powiemy, to będziemy musieli pana zabić.
– Tak właśnie myślałem. – Rafał śmiał się w najlepsze. – Jedźcie stąd i nie pokazujcie się przez najbliższy rok... albo w ogóle. Pan da mi to nagranie, a ja wszystko wyjaśnię przełożonym, to znaczy przedstawię oficjalną wersję zdarzeń. Potem wyprasuję gajer i podam się do dymisji.
– Niech się pan z tym tak nie śpieszy. – Bambi kiwnął głową. – Przynajmniej do przyszłego tygodnia.
Brenner nic nie powiedział, tylko pokręcił głową. Wypił ostatni łyk kawy i skinął na Meyera.
– Chodźcie, odwiozę was do domu.
Justyna długo ścisnęła się z każdym po kolei. Oddała komórkę Żółtowi, ale zaprotestował.
– Weź ją, Malinka. To taka specjalna komóreczka. Nikt cię nie będzie przez nią podsłuchiwał. – Puścił do niej oko.
Kiedy podeszła do Kostka, szepnęła:
– Pamiętasz o Jacku?
– Oczywiście, Malinka! Wszystko będzie git.
Na dworze było już prawie jasno. Jeden z policjantów przysnął, ale gwałtownym

szarpaniem za rękaw został obudzony przez kolegę.

– Patrz – wskazał na nissana.

Żółw wyszedł z kamienicy, jak gdyby nigdy nic, z walizką z SAKO w dłoni. Otworzył bagażnik i wrzucił ją do środka, podobnie jak torbę z innymi rzeczami. Policjanci podjechali radiowozem do niego, wysiedli i podeszli bardzo blisko.

– Dokumenty poproszę.

Żółw spojrział na nich półprzytomnie.

– Jakie dokumenty? Sprzątam po akcji. Nie widzieliście?

Policjanci nie zdążyli nic powiedzieć, bo z kamienicy wyszedł Brenner.

– Jakiś problem, panowie? – Wyciągnął odruchowo legitymację.

– Yyy... Nie... Wie pan, chcemy wylegitymować...

– Zostawcie go. Jest ode mnie.

– Ale mamy nakaz...

– Gościu – Brenner udawał zirytowanego – on tu siedział całą noc i chce odpocząć.

Samochód robił za przynętę i musi wrócić na parking. Czy coś jeszcze muszę tłumaczyć?

– Nie – odpowiedział cicho policjant. Drugi podrapał się w głowę i pociągnął kolegę za sobą do radiowozu. Wsiedli i odjechali w swoją stronę. W tym momencie z kamienicy wyszła Justyna z Łukaszem.

– Siadajcie – wskazał na auto. – A ty stąd szybko zmykaj. – Kiwnął do Żółwia.

Nissan zniknął. W lusterku Justyna zauważyła przemykającego z naprzeciwka Ziotka z walizką na PCO pod pachą. Brenner go nie zauważył, wsiadł i odpalił silnik.

Rozdział 65

Było jej ciągle zimno, więc Łukasz zostawił odkręconą gorącą wodę. Klęczał obok wanny i pocierał lekko jej posiniaczone plecy gąbką. Skóra na głowie zaczęła ją znowu swędzieć, więc krótko po ósmej zjawił się Kot z jakimś środkiem zakupionym w aptece.

Rozpląkała się dopiero wówczas, gdy ubrana w dres położyła się na łóżku. Łukasz przykrył ją kołdrą i też się położył.

– Jesteś głodna? – zapytał, gładząc ją po policzku.

– Nie, niczego nie chcę.

Była bardzo zmęczona, ale nie chciała zasypiać. Miała nieprawdopodobną wolę być ciągle przytomna. Bała się, ale nie знаła źródła lęku. Patrzyła w oczy mężowi, szukając w nich oznak gniewu albo żalu, ale widziała tylko troskę.

– Łukasz... – powiedziała cicho – złościsz się na mnie?

– Za co? – Zdumiony uniósł lekko głowę.

– Że ci nie powiedziałam o wojsku.

Pokręcił głową i objął ją ramieniem.

– Nie złościsz się. Nie złościłem się ani chwili...

– Ale jak już to wszystko minie... nie będziesz miał żalu, że coś przed tobą zataiłam?

Przyglądał się jej uważnie, próbując nadażyć za jej tokiem rozumowania.

– Ty też nie wiesz o mnie wszystkiego... Nie ma takiej potrzeby. Chyba że... zataiłaś to z jakiegoś złego powodu...

Wzruszyła lekko ramionami.

– Chciałam żyć normalnie, a tamto nie było normalne. To było... jak piekło na ziemi.

Dzień po dniu cierpienie.

– To dlaczego nie odeszłaś wcześniej?

– Bo to było jak związek z toksycznym facetem. Mówiłam ci o tym moim narzeczonym ze studiów...

Kiwnął lekko głową.

– To było tak samo. Ciągła próba zadowolenia ich, udowodnienia, że się nadaję, że zasługuję na ich uznanie... ale ciągle im było mało. Poszłam na szeregowego zawodowego, żeby odpokutować winy...

– Jakie winy? – Łukasz przewrócił Justynę na plecy i zawisł nad nią na swoich ramionach. – O czym ty w ogóle mówisz?

– Kiedy nie zdałam tego egzaminu... czułam się winna, że czegoś nie zrobiłam, że miałam tę kontuzję i nie dałam rady z całą resztą... Poszłam do Stargardu, żeby to odpokutować, żeby mieć szansę pokazania, jak mi zależy i że zrobię wszystko, żeby się poprawić. Dokładnie jak w tym związku. Ale po jakimś czasie... spotkałam człowieka ze szkoły, który był przy tym egzaminie i on mi powiedział, że go zdałam, ale Kowalski schował stoper i skłamał. Załamałam się, wszystko straciło sens, jakbym została...

– Zdradzona? – powiedział cicho.

– Tak. – Łzy popłynęły jej po skroniach. – Dotarło do mnie, że czego bym nie zrobiła, i tak będzie źle, zawsze mnie zgnoją i coś na mnie znajdą. Straciłam impet. Każda służba, każde zajęcia były jak tortura. I jeszcze ten Sławczuk i jego słynne „jebane małpy”... Wszyscy mieli dość, ale dla mnie to było podwójnie przykre.

– Dlatego byłaś w szpitalu?

– Nie – roześmiała się niespodziewanie przez łzy. – Struna pękła z innego powodu.

Łukasz opadł i położył się obok niej. Podłożył Justynie ramię pod głowę i przyciągnął do siebie.

– Co się stało?

– Mieliśmy w szkole takiego sierżanta, który bardzo mi się podobał...

– Gośka coś wspominała. – Łukasz nie był pewny, czy ma ochotę tego słuchać.

– On przyszedł potem do Stargardu, przeniósł się z żoną i zamieszkał w Szczecinie.

Dogadywaliśmy się całkiem dobrze, bez jakichś większych urazów do siebie. Prowadził z nami ogniowe. I któregoś dnia, podczas strzelania, wpadł na strzelnicę cały uradowany... podszedł do mnie z bananem na gębie i mówi, że urodziła mu się córka. Powiedział coś takiego: „Tylko prawdziwe zuchy mają najpierw dziewczuchy”. A ja stałam w tym śmiesznym oporządzeniu, w hełmie na głowie i z kałachem na ramieniu... i strasznie płakałam. Łało jak z cebra, więc nawet nie było widać, że to łzy...

Łukaszowi serce zabiło mocniej. Myśl, że jego żona może czuć cokolwiek do kogoś innego niż on, zapiekła jak ogień, mimo że to było dawno temu.

– Wtedy poczułam, że się rozpadam – kontynuowała. – Nie dlatego, że to był on i że zazdrościłam jego żonie. Dotarło do mnie, że tkwię w tym całym wojsku, ale wcale nie o to mi chodzi w życiu. Nie chcę nikomu niczego udowadniać, tylko żyć... Zapragnęłam być szczęśliwa, mieć męża i rodzinę, a nie marznąć na jakimś zadupiu w polu, w przemoczonym mundurze. Coś we mnie pękło na dobre, zaczęłam czuć się coraz gorzej... W pracy było też z dnia na dzień do dupy. Sławczukowi odbijało jeszcze bardziej, Sarnowski niszczył mnie na taktykach. Kiedyś nie wytrzymałam i pojechałam po jednym z chorążych, który zaraz poleciał z gębą na skargę.

Sarnowski odebrał mi broń, normalnie na zajęciach, przy ludziach... Powiedział, że stanowią zagrożenie dla kolegów, że zwariowałam. I tak się czułam naprawdę... Jak wariatka.

Justyna rozplakała się na dobre. Łukasz obejmował ją mocniej i chociaż bolały ją od tego siniaki i zadrapania, nie protestowała.

Meyer patrzył w sufit i czuł się znowu jak w poniedziałkowy poranek. Serce bolało go tak bardzo, że nie mógł uwierzyć, że można dalej z tym bólem żyć. To, co usłyszał, spadło na niego nagle, zmuszając do przewartościowania wielu poglądów, także na własne małżeństwo. Próbował zrozumieć, dlaczego tak naprawdę Justyna to wszystko zataiła, żyjąc z nim tyle czasu i mając jednocześnie taką przeszłość. Patrzył na nią każdego dnia i niczego nie widział. Albo widział, tylko nie chciał zobaczyć...

– Justynka, czy ty mi o tym nie mówiłaś, żeby mnie chronić?

– Chronić?

– Czy ty nie chciałaś, żebym czuł się z tym źle, żeby mnie to nie bolało...

Justyna uniosła się i spojrzała na niego zapuchniętymi oczami.

– Nie. – Pokręciła głową. – Chodziło o coś innego.

– O co więc? – Ujął jej twarz w dłoń.

– Nie chciałam, żebyś mnie krytykował.

– Jak to krytykował? Za co?

– Łukasz... – wyswobodziła się z jego objęć i usiadła na łóżku – jesteś największym maniakiem sportu, jakiego znam. Cały jesteś ruchem i sprawnością. Pracujesz jako zajebisty funkcjonariusz CBS i drwisz z każdego łamagi, jaki do was przyjdzie... Jak choćby z tego całego Sisióra, czy jak mu tam. A ja byłam właśnie taką łmagą. Potrzebowałam prawie roku ciężkiej pracy, żeby zacząć robić pompki na ławeczce i to tylko na tróję. Nigdy nie przebiegłam OSF-u...

– Justyna – Łukasz podniósł się gwałtownie – ja nawet nie wiem, co to OSF...

– Wiem – przerwała mu – ale gdybyś na niego poszedł, to byś go przebiegł z zamkniętymi oczami. Serce by mi pękło, gdybyś spojrzał na mnie choć raz w ten sposób... Jak

na pokrakę, jak na kogoś, kto nie zasłużył na to, żeby być żołnierzem... – Zapowietrzyła się z emocji i schowała twarz w dłoniach.

– Justyś, Justynka. – Łukasz chwycił ją za rękę. – Co ty w ogóle mówisz do mnie? Żono moja. Spójrz na mnie.

Łukasz czuł, że teraz on się rozsypie. Nigdy wcześniej nie ścisnął go taki strach o to, czy jego małżeństwo przetrwa. Wydawało się jeszcze wczoraj, że najbardziej liczy się tylko to, żeby Justyna wróciła żywa, a dziś było wiadomo, że jej powrót oznaczał kryzys, który ciężko będzie przejść.

– Wiem, że byłem świnia, opowiadając o ludziach różne rzeczy – mówił z desperacją w głosie. – Wiem, że za każdym razem myślałaś, że mogę to powiedzieć o tobie... Ale na litość boską, nie myśl o tym teraz. To jest w ogóle nieistotne. W ogóle! Myślałem od niedzieli, że nie przeżyję tego, co się stało, że jak cię stracę, to nie mam po co dalej żyć... A ty mówisz o wojsku, cały czas o tym myślisz, nie widzisz tego, co najważniejsze...

Justyna całkowicie straciła siły. Ramiona i głowa opadły jej nisko. Łukasz wziął ją pod pachy i zmusił, żeby się położyła. Usiadł na brzegu łóżka obok niej i wziął za rękę.

– Myślałem... – głos mu się załamał – myślałem, że przez te wszystkie lata nabrałaś do mnie zaufania na tyle, żeby wiedzieć, że nigdy w życiu bym cię nie skrzywdził. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego to ciągle w tobie siedzi. Ci ludzie... to, co mówili, co ci zrobili... Powiedziałaś, że marzyłaś o mężu i rodzinie. Przecież to ci się spełniło. Jestem tu.

Pochylił się i pocałował ją w usta.

– Śpij. Kiedy jesteś zmęczona, wszystko wydaje się być gorsze niż w rzeczywistości. Wyciągnęła ramiona, więc znowu się nachylił i mocno ją objął.

Rozdział 66

Jacek siedział w kucki na fotelu i patrzył w komputer. Słyszał, że ktoś wchodzi po cichu do mieszkania, ale nie odwracał głowy. Był sam od zeszłego wieczora, bo właściciel wyjechał na Mazury z żoną. To ten sam człowiek, do którego należała ich kryjówka na Pradze. Ziutek poprosił, żeby młody ksiądz mógł się u niego schować na czas nocnej akcji.

– Co robisz? – zapytał cicho Nienacki.

– Czytam dzisiejsze czytania mszalne w Internecie. Byłem ciekaw, co Bóg chce mi dziś powiedzieć.

– I co mówi? – Ziutek przycupnął na oparciu kanapy stojącej obok biurka.

– *Najmilszy: Pośpiesz się, by przybyć do mnie szybko...* – przeczytał pierwszy wers.

Ziutek kiwnął głową.

– Jak to rozumiesz?

– Bardzo dosłownie...

– Co więc chcesz zrobić?

– Justyna powiedziała, że jestem rozlazłą cipą...

– Słyszałem, ale...

– Miała rację – nie dał dokończyć Ziotkowi. – Powinienem coś zrobić już dawno temu.

Przecież jak pójdę do biskupa, to mnie nie zabije ani nie wsadzi do więzienia. Najwyżej wygoni i tyle. Potem mogę pójść do innego, pojechać do Rzymu, cokolwiek... byle nie siedzieć na dupie i nie użalać się nad sobą.

Ziutek patrzył na niego kątem oka. Wcale nie chciał, żeby Jacek wyjeżdżał gdzieś i go zostawiał. To był jego najlepszy i najwierniejszy kompan. Poza tym zawsze czuł, że gdy jest blisko niego, on sam staje się kimś lepszym. Wiedział jednak, że to się kiedyś skończy.

– Justynka jest bezpieczna? – Jacek popatrzył na Ziotka.

– Tak, jest już w domu z mężem...

– Super. – Uśmiechnął się. – Bałem się, że komuś coś się stanie. Wszyscy są cali, prawda?

Ziutek odwrócił wzrok i skrzywił się lekko.

– No... tak... Jeden z porywaczy jest ranny i jeden policjant ma coś z ręką, ale poza tym skończyło się dobrze. Jacek – spojrzał niepewnie na przyjaciela – co zamierzasz?

Jacek wzruszył lekko ramionami.

– Byłem wczoraj wieczorem u sióstr urszulanek na Powiślu. Przechowają mnie jakiś czas u siebie, dopóki mnie nie przygarnie ktoś inny.

– Dlaczego u nich?

– Znałem jedną z sióstr w Poznaniu, powołałem się na nią... Jakoś tak dobrze mnie przyjęły.

– Jasne... A powiedz mi... czy masz do mnie żal?

– O to, że byłeś płatnym zabójcą? Nie mam o to żalu, nie mogę cię osądzać... Znam cię z innej strony. Tylko... tylko mnie to jakoś tak strasznie przeraża. – Potarł czoło dłonią, jakby był zażenowany. – Mierzyć do człowieka i pozbawić go życia... Jakim prawem? Na jakich warunkach?

– Czasem trzeba się bronić...

– Siedząc w krzakach i czekając na kogoś jak na zwierzynę? – Jacek pokręcił głową.

– Zabicie kogoś jest czymś nieodwracalnym, tego nie da się naprawić. To są sprawy, które rozstrzyga Bóg i On sam wie, co można z tym zrobić dalej... Ziutek, czy ty jeszcze się tym

zajmujesz?

– Nie – odpowiedział cicho i spuścił głowę.

– Ale widziałem twoją twarz, kiedy szedłeś po broń. Widziałem, co się z tobą działo, kiedy ją czyściłeś i szykowałeś się do tej całej akcji. To w tobie jest, ty tym jesteś... A najgorsze jest to, że w Justynie też to chwilami widziałem. Zapalało jej się coś takiego w oczach, co czyniło ją nierozpoznawalną i obcą dla mnie. Kiedy trzymała broń, miałem wrażenie, że ta jest częścią jej ciała. Kobieta ma dawać życie, a nie je odbierać. Ile się matka musi natrudzić, żeby urodzić dziecko, a wy jednym pociągnięciem za spust świadomie niweczycie ten wysiłek. Tego nigdy nie zrozumie.

Ziutek chrząknął i podrapał się po krzywym nosie. Broda mu lekko zadrzała, a oczy zaszklily się od łez.

– Ale... ale dalej mnie lubisz? – Mrugał powiekami, walcząc z płaczem.

Jacek patrzył na niego chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Zależy ci na tym tak bardzo? – zapytał cicho.

Ziutek zdołał tylko kiwnąć głową.

– Lubię i nigdy nie przestanę, a im bardziej lubię, tym większą przykrość mi sprawia to, czym się zajmowałeś. – Wyciągnął do Ziutka dłoń, którą ten złapał i mocno ścisnął. – To tak jak z jedną koleżanką z osiedla... Bardzo ją lubiłem, uważałem, że była świetna, dobra i wartościowa... I o mało mi serce nie pękło, kiedy się dowiedziałem, że się prostytuuje. Krzywdziła samą siebie, tak jak ty krzywdzisz, gdy zabijasz. Ona nie umiała uwierzyć w to, jaka jest ważna i jak bardzo może być kochana, i ty też nie potrafisz... Nie musisz tego robić, żeby być zajebistym gościem. Ja cię lubię, gdy jesteś zwykłym Ziutkiem, z którym w soboty piję rum.

Ziutek roześmiał się, ale jednocześnie po policzku spłynęła mu łza, którą szybko wytarł dłonią.

– Ale jak się wyprowadzisz gdzieś, to nie będzie z kim pić rumu, Jacuś.

– Myślę, że poradzimy sobie jakoś z tym problemem. – Jacek puścił do niego oko. – Nie ma rzeczy niemożliwych dla takich gości jak my.

Rozdział 67

– Powinniście zgłosić się do jakiegoś psychologa. – Brenner mieszał wolno łyżeczką kawę, którą podał mu właśnie Łukasz. – To, o czym mówisz, może narastać i nie skończy się jednorazowym wyskokiem.

Łukasz usiadł za stołem w kuchni. Kiedy Justyna zasnęła, sam miał nadzieję na jakąś drzemkę, ale nie udało mu się zmrużyć oka. Szeł zjawił się niespodziewanie o dziesiątej, cicho pukając do drzwi. Nie mógł znaleźć sobie miejsca w pustym domu i przyjechał sprawdzić, jak się miewają Meyerowie.

– Myśli pan, że to problem psychologiczny, a nie coś, co w niej ciągle siedziało?

– Myślę, że jedno wynika z drugiego. Dziewczyna dużo przeszła, sam nie wiem, jakbym się z tym uporał... Porwanie obudziło demony w nas wszystkich. Nic już nie będzie takie samo, nie licz na to. Dlatego uważam, że potrzebna wam pomoc.

– Wie pan... dzień przed porwaniem byliśmy u doktor Andrzejewskiej. Żalowałem, że dałem się na to namówić, chciałbym już nie wracać do tematu, bo to dziecko nie jest nam do niczego potrzebne... Lekarka powiedziała, że Justyna nie zachodzi w ciążę, bo jest psychicznie zablokowana. Teraz myślę, że miała rację.

Brenner kiwnął głową.

– Więc musicie nad tym popracować. Mnie moja Grażyna ciągała po psychologach i miałem ochotę ich pozabijać...

– Naprawdę? – zdziwił się Łukasz. – Nie wyglądacie na małżeństwo z problemami.

– Ech – Rafał machnął ręką – mało wiesz, bo młody jesteś. Jeszcze w policji... przychodziłem do domu nabuzowany, ciągle miałem przed oczami te trupy i zgwałcone kobiety, a ona od progu zaczynała o obieraniu ziemniaków, wynoszeniu śmieci i że córka późno wróciła ze szkoły. Chciałem ją bić, normalnie miałem ochotę walnąć ją w twarz... No i kiedyś machnąłem ręką...

Łukasz otworzył szeroko usta, ale nic nie powiedział.

– Poszliśmy. Ona z tym limem pod okiem, ja z miną zbitego psa. Poszliśmy do jakiegoś zwykłego PZP...

– Czego?

– Poradni Zdrowia Psychicznego. Publiczna placówka, kupa ludzi na korytarzu, a my tam siedzieliśmy... Grażyna wyglądała jak żywy dowód zbrodni, myślałem, że splonę ze wstydu.

– Długo chodziliście?

Brenner spojrzał na niego przenikliwie.

– Nigdy nie przestaliśmy. Teraz rzadziej, raz, dwa razy w miesiącu, ale chodzimy cały czas. Psycholog na pierwszym spotkaniu powiedział, że mam żonę nosić na rękach za te ziemniaki i wynosić śmieci zaraz po tym, jak wrócę z miejsca zbrodni, bo to ratuje mi mózg przed zlasowaniem. Mam się odciąć – zrobił w powietrzu gest wyprostowaną dłońią – i żyć normalnie.

Łukasz potarł policzek, jakby był nieco zażenowany.

– Co tam sobie myślisz, Meyer?

– Że Justyna się nie odcięła...

– Od wojska?

– Tak. Że ciągle jest żołnierzem, któremu nie dano szansy służyć normalnie. Plotki zniszczyły ją tak, że nie miała szans już nic zrobić. I ona ciągle żyje w strachu, że znowu ją zniszczą, że ktoś jednym słowem zrujnuje jej opinię i zdrowie... Ta jej firma... też nie była

niczym dobrym. Boję się... Boję się, że to porwanie też nigdy z niej nie wyjdzie i będzie ją wyniszczać.

– Dlatego uważam, że dobrze rozegrała sprawę z Jaskółą. To jej nie wróci tego, co straciła, ale ma choć tyle satysfakcji. Gnój zasłużył sobie na długie więzienie. Poza tym myślę też, że masz słuszość co do wojska. Jestem tego pewien, sądząc po tym, że uciekła porywaczom.

– Nie rozumiem.

– Twoja żona nie do końca myśli racjonalnie. Emocje biorą wciąż górę nad tym, co mówią fakty. Sam zobacz, uciekła bandytom, prawdopodobnie po mistrzowsku jednemu ukręciła łeb, przyjechała do Warszawy i rozwalila całe towarzystwo jednym strzałem... A jednocześnie ciągle jest tą samą Justyną Dąbek, którą gnoili przełożeni w wojsku, niepewną swojej wartości, potrzebującą zapewnienia, że ma prawo oddychać. Musisz się tym zająć, Meyer.

– Co mam zrobić? – Łukasz rozłożył bezradnie ręce.

– To, co zrobiłeś rano: zapewnij ją o tym, że jest dla ciebie najważniejsza... Ja wiem, że nam, facetom, wydaje się, że jak zrobiliśmy to raz dwadzieścia lat temu, to mamy to z głowy, ale z kobietami jest inaczej. Twoja jest... szczególna, więc musisz to robić trochę częściej. Nie wiem... Zapisz to sobie w komórce jako przypomnienie i mów każdego dnia o tej samej godzinie.

Łukasz pokiwał głową. Jeszcze nigdy jego szef mu tak nie zaimponował. Nikt się nie przyznawał do tego, że potrzebuje pomocy psychologa, a nawet że ma jakieś poważniejsze problemy. Każdy chciał uchodzić za twardziela, który ze wszystkim sobie radzi. A tymczasem siedział przed nim facet uważany przez swoich podwładnych za największego z twardzieli na tej planecie i mówił mu otwarcie takie rzeczy. Meyerowi przemknęła przez myśl osoba jego małego schorowanego ojca, który nigdy nie udawał wazniaka ani kogoś, kim nie był. A jednak to jemu najwięcej w życiu zawdzięczał z tego, kim się stał i co umiał – właśnie dlatego, że patrzył na ojca, który nie wstydził się być słaby.

– Co będzie z nami? – zapytał po chwili. – Pozbieramy się czy rozrzucą nas po innych komórkach?

– Na razie jesteśmy zawieszeni. Każdy z nas będzie dokładnie prześwietlony i pewnie minie trochę czasu, zanim wrócimy do pracy. Może być ciężko. – Spojrzał na Łukasza poważnie. – Prawdopodobnie zostaną nam również wstrzymane pobory...

– Jakoś damy radę. – Łukasz machnął ręką. – To jest teraz najmniej istotne.

– Tak, ale problem jest poważny – westchnął ciężko Brenner. – Rozmawiałem ze Słomkowskim. Wiesz...

– Tak, mówił, że nas szpiegował.

– No właśnie. Chodzi o to, że on nakrył kogo innego na kontaktach z przestępcami.

Łukaszowi odjęło mowę.

– Ale...

– Złapaliśmy Frankowskiego tylko dlatego, że zależało na tym Lindemu i Iwanowowi.

Było im to potrzebne do sprawy z porwaniem Justyny.

– Chyba pan żartuje!

– Niestety nie. To był doskonały moment, żeby odciągnąć uwagę od firmy Justyny.

Jednego dnia aresztowanie, na drugi porwanie... Leży jak ułaz. Wiesiek i Marek wysypali zdrajcę i działali sobie dalej, a Odrowąż nic o nich nie wiedział. Widzisz... coś się zmieniło w tym naszym fachu. Policjanci zawsze byli nieco zdegenerowani i można nam było wiele zarzucić, ale takiego wyrachowania chyba jednak nie było. Może się mylę, może idealizuję nieco dawne czasy, ale teraz mam wrażenie, że wystarczy trochę więcej szmalu i można kupić każdego jak

pietruszkę w supermarkecie.

Brenner patrzył na Łukasza z troską. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest łatwo wrócić do życia ze świadomością, z kim się pracowało.

– Meyer... ty też musisz o siebie zadbać, żeby cię to nie zgmiotło. Justyna jest bezpieczna, ale będą was nękać lęki i wspomnienia. Jeśli to możliwe, dajcie sobie czas na odpoczynek.

– Dobrze... A co będzie z panem?

Brenner roześmiał się.

– Powinienem właśnie podawać się do dymisji, ale zaintrygował mnie ten cały Mrozowski. Poczekam do poniedziałku. Mój szef się nie śpieszy z odwoływaniem mnie... Mają zresztą teraz co innego na głowie, tego Rosjanina i wojsko. Do Biura nie możemy wchodzić na razie, więc pewnie pojedę jutro gdzieś odpocząć. Albo nic nie będę robił. – Uśmiechnął się.

– Tak czy inaczej dziękuję, że pan przyjechał. Czuję się dezorientowany po tej naszej rozmowie z Justyną. Pomyślałem, że jeśli czegoś nie zrobię, to naprawdę ją stracę...

Brenner nic nie powiedział. Wypił kawę i spojrzął na zegarek.

– Pojadę już. Gdyby coś się działo, zadzwoń.

– Nie mam komórki.

– A, racja. Ale Justyna ma tę, z której kontaktowała się ze mną. W każdej chwili możesz do mnie zadzwonić, jeśli uznasz, że jest ci to potrzebne.

W tym momencie zadzwieczał domofon. Łukasz podskoczył na krześle i złapał się za serce. Był błydy i ciężko oddychał. Brenner złapał go za rękę i mocno ścisnął.

– Tak teraz będzie, Meyer – powiedział spokojnie. – I trzeba z tym żyć.

Łukasz poszedł z szefem do drzwi i podniósł słuchawkę.

– Łukaszku? – usłyszał płaczliwy głos.

– Moja matka. – Pokręcił głową niezadowolony. Brenner kiwnął ręką na pożegnanie i wyszedł.

Z oporami, ale otworzył drzwi i poszedł do kuchni. Po trzech minutach Zofia Meyer doczłapała się do ich mieszkania i stanęła przed nim ze zrozpaczoną miną.

– Już wiem – łkała. – Wiem o wszystkim. Przepraszam cię za wszystko, synku. Ty mnie teraz potrzebujesz.

Popatrzył na nią z ukosa i zaczął zbierać kubki ze stołu.

– Byłam tu wczoraj, ale nikogo nie zastałam. Łukasz, zostanę z tobą, ja...

– Chyba cię pojechało! – Justyna stała oparta o framugę drzwi, a w jej oczach były pioruny.

– Ona... Ty... żyjesz. – Zofia złapała się za gardło, jakby zaczynała się dusić.

– W telewizji mówili... – Popatrzyła na Łukasza wielkimi oczami. – Synku, o co tu chodzi?

– Mamo, lepiej, żebyś sobie poszła. Potrzebujemy być sami. – Łukaszowi z bezsilności opadły ramiona.

Justyna podeszła do czajnika elektrycznego, włączyła go i oparła się o blat kuchenny.

– Wracaj do cioci Joli, póki pozwala ci u siebie mieszkać. – Wykonała gest, jakby wyganiała teściową.

– Do cioci Joli? – Zofia udawała zdziwioną.

– Masz na sobie jej garsonkę i pachniesz jej balsamem. To znak, że cię przygarnęła.

Pewnie ojciec cię wywalił – głos Justyny był zimny i ciał serce Zofii jak brzytwa.

– Wywalił cię? – Łukasz złapał się pod boki i zmarszczył brwi.

Zofia się rozplakała.

– Widzisz, jestem teraz bezdomna...

– Ale na pewno tu nie zamieszkas. – Justyna pokręciła łysą głową i odwróciła się do

szafki z kubkami. Łukasz zabrał jej kubek i kazał usiąść przy stole. Kiedy zalewał herbatę, cały czas zerkał na matkę.

– Chociaż na jedną noc – zaszlochała.

– Nie. – Justyna oparła się mocno o stół. – Nie spędzisz tu nawet minuty. Mam cię dość. Mam dość twojego pierdolenia i poniżania mnie. To jest mój dom i nie chcę cię w nim widzieć. Jeśli Łukasz chce się z tobą spotykać, róbcie to na mieście. Wolałabym wrócić do lasu i porywaczy i znowu dać się związać – pokazała posiniaczone nadgarstki – niż mieć cię pod własnym dachem.

Łukasz, jak gdyby nigdy nic, postawił przed żoną herbatę i usiadł obok za stołem.

– Łukasz, nic nie powiesz? – Pierś jego matki unosiła się szybko.

– Ja ci już coś powiedziałem... we wtorek po południu. – Wzruszył ramionami.

Zofia zacisnęła pięści. Miała plan zemdleć ostentacyjnie, ale bała się upokorzenia w razie, gdyby nie chcieli jej pomóc.

– Miałam nadzieję, że nie żyjesz – wycodziła przez zęby.

Justyna spojrzała na Łukasza, który schował twarz w dłoniach.

– Wiem, że o tym marzyłaś, wiem. – Justyna kiwnęła głową i upiła łyk herbaty. – Przykro mi, że kolejny raz cię zawiodłam, ale mam zamiar to robić przez następnych kilkadziesiąt lat. A teraz już stąd idź, bo wezwę policję i powiem, że opłaciłaś porywaczy.

Łukasz roześmiał się, choć wcale nie chciał.

Zofia wyszła i trzasnęła za sobą drzwiami. Meyer oparł wtedy głowę na ramieniu żony i mocno ją objął. Justynie było go żal. Po raz pierwszy nie czuła się dotknięta ze względu na siebie, tylko na niego.

– Oczyszczające doświadczenie – szepnęła z uśmiechem i pocałowała go w czubek głowy. – Myślisz, że ojciec ją znowu przyjmie?

– Mam to w dupie. – Był wyraźnie zły. W pamięci pozostał bolesny ślad po poprzedniej wizycie matki i jej okrutnych słowach. Nie miał zamiaru się nad nią litować. Podniósł głowę i zaczął całować Justynę po całej twarzy. – Jak dla mnie może się z nią rozwieść, niech też ma coś z życia.

Justyna ujęła jego głowę w dłonie i spojrzała mu w oczy.

– Tego nie spodziewałam się usłyszeć...

– A jak mam zareagować na taką głupotę? – Znowu ją pocałował. – Nie mówmy już o tym. Chodźmy się kochać.

Justyna roześmiała się.

– Nie mam siły. Muszę coś zjeść.

– To zamówmy pizzę albo inne gówno.

Żadne z nich nie podniosło się jednak po telefon. Justynie było za dobrze, Łukasz czuł, że jak ją wypuści z rąk, to mu zniknie.

– Wystraszył mnie domofon – powiedział w końcu cicho. – Myślałem, że dostanę zawału.

– Ja też... – Oparła czoło o jego policzek. – Nie wiem, co gorsze, porywacze czy Zofia?

Meyer parsknął śmiechem.

– Boże, to jakiś koszmar. – Pokręcił głową. – Podziwiam mojego ojca...

Odskoczyli od siebie gwałtownie z wystraszonymi minami.

– Stefan – powiedziała Justyna.

– Właśnie. Trzeba mu powiedzieć. I twojej siostrze, też pewnie już słyszała...

– Nie mam numeru...

Łukasz potarł dłonią twarz.

– Do ojca pamiętam, ale do Basi trzeba będzie chyba pojechać. I do twojej matki.

Justyna zrobiła strapioną minę.

– Mam wielką pokusę niczego jej nie mówić. Niech myśli, że nie żyję – szepnęła.

Łukasz odwrócił wzrok i patrzył przez chwilę na ścianę.

– Justynka... możemy sobie nie dać z tym rady... Z tym wszystkim.

– Co powiedział ci Brenner?

Spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Słyszałaś, jak tu był?

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Zapach jego wody po goleniu unosi się w całym mieszkaniu.

Jest nawet silniejszy niż balsam cioci Joli.

– No tak – westchnął. – zaproponował skorzystanie z pomocy psychologa. Pewnie bym się oburzył... ale sam przyznał, że chodzi z żoną. Co ty na to?

– Możemy spróbować – powiedziała cicho. – Jak byłam w szpitalu po wojsku, bardzo mi pomogli.

Kiwnął głową.

– Zajmijmy się najpierw tym. – Poglądził ją po policzku. – Potem pomyślimy, co z twoją matką. Nie chcę, żebyś tam jechała i znowu wracała zmasakrowana jej gadaniem.

Zaczęły płynąć jej łzy. Kto inny mógłby oskarżyć ją o egoizm – Łukasz pomyślał o niej i żeby jej było dobrze, tak po prostu.

– Ale... do Stefana zadzwońmy – powiedziała po chwili. – Chcę go zobaczyć.

Rozdział 68

– Jest źle. Są w absolutnej rozsypce – westchnął ciężko Brenner. – Zbieranie się do kupy zajmie im sporo czasu.

– Dadzą sobie radę. – Bambi uśmiechnął się lekko. Był niewyspany, ale znowu nie mógł zasnąć. Nie chciał powiedzieć, skąd miał numer do Brennera, ale ten i tak zbyt długo nie naciskał. Było mu na rękę, że nie musi jechać zaraz do domu.

Siedzieli w restauracji w Mariocie z widokiem na panoramę miasta. Bambi powiedział, że stawia, i od razu zaproponował przejście na ty.

– Kusi mnie to pytanie, choć wiem, że nie masz ochoty odpowiadać... – Uśmiechnął się Rafał, sięgając po kieliszek z wodą.

– Dlaczego mówiłem o tym awansie?

– Nie, akurat nie o tym chciałem... Skąd znacie się z Justyną?

Bambi uśmiechnął się tajemniczo, ale najwyraźniej nie miał zamiaru udzielać odpowiedzi.

– Meyer jest teraz w innym świecie, podejrzewam, że zanim sam sobie zada to pytanie... albo żonie, minie trochę czasu. Ale mnie to naprawdę intryguje.

– A jakie masz przypuszczenia?

– W pierwszej chwili pomyślałem, że z wojska, ale nie pasuje mi to zbyt. Justyna ciągle nie potwierdziła, jednak jeśli to ona wysłała tego całego Łosia na tamten świat, to znaczy, że... wy mogliście ją tego nauczyć.

– Gogol. – Tomek oparł się łokciami na stole. – Kostek wygląda niepozornie, ale ma dużo umiejętności, poza tym jest bardzo silny.

– Aha...

– Pracowaliśmy kiedyś razem w jednej... firmie.

– To ten rok zaraz po odejściu Justyny z wojska? – upewnił się Brenner.

– Półtora. – Skinął głową. – Wystarczająco, żeby ją nauczyć, jak sobie radzić w trudnych sytuacjach...

– I jak rozwalić komuś rękę z odległości dwustu metrów.

– No, nie – roześmiał się Bambi – to było co najwyżej sto pięćdziesiąt. Bułka z masłem.

– Ale facet był w ruchu, jak sędzę, bo nie widziałem jeszcze nagrania.

– A Malina nie miała noktowizji. – Tomek uniósł brwi wysoko. – Szczerze powiedziawszy, sam byłem zdziwiony. Centymetry ją dzieliły od tego, żeby go całkowicie rozwalić. Musiała być naprawdę na niego wkurzona.

Brenner pokręcił głową z niedowierzaniem i spojrzał na widok za szklaną ścianą.

– No, a co z tym całym... Józwińskim będzie? – zapytał Bambi.

– Cholera wie. – Rafał wzruszył ramionami. – Póki co jestem od tego odsunięty. Wiem jedynie, że szukało go wiele osób w wielu krajach...

– No tak, ale wy go nie mieliście w kartotekach.

Brenner uśmiechnął się.

– Dlatego zaczął działać u nas. Że się tak wyrażę, „rynek” nie jest jeszcze tak nasycony, żeby nie znalazło się tu miejsce dla kolejnego mafiozo.

– Jesteś pewien? – Bambi zmrużył oczy i uśmiechnął się lekko.

– Nie rozumiem.

– Powiem ci, że to nie przypadek, że się wam na tych Szczęśliwicach tak wystawił – Tomek mówił to całkiem pewnie, aż Brennerowi przeszły ciarki po plecach.

– Możesz jaśniej?

– Mogę. Miałeś, przyjacielu, trzech kapusiów tylko od tej sprawy. To się nie mogło wam udać, a tymczasem... Jeden, z tego, co mówił stary Maliny, pomógł mi ją rozwiązać, podając na srebrnej tacy Józwińskiego czy innego Miszę. Nic ci tu nie zgrzyta?

Brenner zamrugał powiekami, czując, jak zalewa go fala gorąca. Serce zabiło mu mocniej, mózg zaczął się topić. Złapał się za krawędzie stołu i wpatrywał się w Bambię zdumiony.

– Iwanow pracował dla kogoś innego – szepnął.

Bambi kiwnął głową i zerknął na zegarek.

– Trzynasta wybiła, możemy się napić, skoro nasza rozmowa jest już na tym etapie. – Machnął na kelnera. – Ja oczywiście pokrywam wszystkie koszty, nawet leczenia ewentualnego kaca szanownego pana inspektora.

Rozdział 69

Stefan przyjechał pod ich osiedle wieczorem. Łukasz stał w oknie kuchni i obserwował jego przygarbioną postać, jak sunie wolno przez dziedziniec. Podeszedł do drzwi i otworzył ojcu, gdy tylko zadzwonił domofonem. Stary Meyer z lekką zadyszka wszedł na piętro i zastał syna stojącego w otwartych drzwiach. Podeszedł do niego i bez słowa objął. Oczy miał zaczerwienione, broda mu drżała.

– Trzymasz się, synku? – zapytał, kiedy wszedł do środka, a Łukasz zamknął drzwi.

– Trzymam się, staruszk. Chodź za mną, mam dla ciebie niespodziankę. – Pociągnął zdezorientowanego ojca za rękaw do salonu, w którym siedziała Justyna.

Stefan patrzył się na nią, jakby nie rozumiał tego, co widzi. Bo w istocie nie docierało to do niego.

– Cześć, tato. – Uśmiechnęła się niepewnie. Ciągle wstydziła się swoich odstających uszu, więc miała na głowie kolorową chustkę.

Meyer podeszedł do niej wolno, wyciągnął ręce, a kiedy tylko dotknął jej ramion, mocno przycisnął do siebie. Pisnęła cicho, bo zaboląły ją siniaki.

– Tato, nie tak mocno. – Łukasz skrzywił się, jakby to były jego sińce. Stefan jednak nie słuchał. Pochylił się i pocałował Justynę w głowę.

– Nie wiem jak, ale to nieważne – powiedział, łkając. – Myślałem, że mi serce pęknie, dziecko. Jak wczoraj w telewizji powiedzieli...

Łukasz ruszył w stronę ojca i złapał go za rękę.

– Usiądź. – Posadził go w fotelu.

Stefan był nieco błądy i trzymał się za serce, ale po chwili uśmiechnął się.

– Tak się modliłem – wyszeptał. – Całą noc. Prosiłem o cud...

– Daj mu wody. – Justyna skinęła na męża. – Tato, tylko spokojnie.

– To już nieistotne. – Machnął ręką. – Mogę nawet kipnąć. Grunt, że umrę spokojny o ciebie. Myślałem, że jadę dowiedzieć się, kiedy pogrzeb... a ty sobie tu siedzisz.

Justyna przysunęła się do niego i wzięła jego dłonie w swoje.

– Obiecałam dziś Zofii, że będę żyć bardzo długo, choćby tylko jej na złość – szepnęła z uśmiechem.

– Ta wariatka tu była? – Skrzywił się.

– Była. – Łukasz podał mu nad ramieniem szklankę. – Nie wiedziałem, że ją pogoniłeś.

– A... – Zrobił gest w powietrzu i odwrócił wzrok. – Niech idzie do diabła.

Łukasz usiadł na krześle obok Justyny i przyjrzał się uważnie ojcu.

– Nie prosiła cię, żebyś ją przyjął znowu?

– Prosiła. Przyjechała do Sochaczewa i coś tam mówiła... Powiedziałem, że może sobie pracować w firmie, bo to też jej własność, ale wrócić będzie mogła dopiero wtedy, jak zacznie się normalnie zachowywać. Niech chociaż udaje przyzwoitość. – Zajrzał do szklanki i upił łyk wody.

– Chcesz zostać u nas? – zapytał Łukasz.

– Nie, dzieci. – Pokręcił głową. – Pojadę do kolegi, mieszka tu niedaleko, żeby już po nocy nie jeździć. Wy teraz macie co innego na głowach. Nie trzeba wam jeszcze starego grzyba.

– Zaczął się podnosić z fotela. – Pomóż mi, synku. Posadziłeś mnie na tym miękkim i się ruszyć nie mogę.

Podeszedł znowu do Justyny i pocałował ją w czoło.

– Zostańcie z Bogiem.

Odwrócił się na pięcie i podreptał szybko do drzwi.

Justyna patrzyła na Łukasza wielkimi oczami.

– Co się stało, żono? – Przyklęknął przy niej i przycisnął jej dłoń do twarzy.

– Nie zapytał o żadne szczegóły... Liczyło się to, że jestem żywa.

Łukasz podsunął jej rękawy wyżej i spojrzał na ślady na nadgarstkach.

– A mnie powiesz, jak było?

Pokręciła głową z zaciśniętymi oczami. Pochyliła się do przodu i objęła Łukasza za szyję.

Podniósł się razem z nią i zaniósł do sypialni.

Rozdział 70

Nawet Grażyna Brenner była zaniepokojona. Wezwanie w niedzielę przez przełożonego nie mogło wróżyć niczego, z czego można by się ucieszyć. Naszykowała mężowi garnitur, ale krawata nie chciał. Starym zwyczajem obgryzała paznokcie ze zdenerwowania, kiedy patrzyła przez okno, jak Rafał wsiada do auta i odjeżdża spod bloku.

W budynku było całkiem cicho, ale gdy przemierzał korytarz, widział, że w prawie każdym pomieszczeniu ktoś siedzi przy biurku i pracuje. Gdy doszedł do drzwi szefa, zawahał się na chwilę, po czym podniósł dłoń, żeby zapukać.

Generał Rasiak nie odpowiedział od razu. Brenner wszedł i zastał go siedzącego za biurkiem i podpisującego jakieś dokumenty. Szef zerknął na niego przelotnie i wskazał ręką na krzesło przed sobą.

– Pan siada. Dokończę tylko kwitologię...

Rasiak szybko się irytował. Na policzkach pojawiały mu się wielkie czerwone plamy, a na łysiejącej głowie kroplił się pot. Był szorstki i szybko zrażał do siebie ludzi, którzy byli zbyt wrażliwi na to, żeby mieć ochotę dostrzec coś więcej pod jego powierzchownością. Brenner nigdy nie uważał, że jest dobrym fachowcem, ale lata doświadczeń z bardzo wieloma przełożonymi pokazały, że właśnie taki ktoś idealnie się nadaje na to stanowisko. Wbrew pozorom generał stanowił doskonały bufor pomiędzy podwładnymi a chociażby szefostwem całego resortu. Można rzec, że brał na klatę większość ciosów i dzięki temu pozwalał reszcie w miarę swobodnie pracować.

Dziś trudno było wyczuć, w jakim jest nastroju. Nawet gdy odłożył dokumenty na bok i spojrzał na Brennera, jego twarz nie wyrażała ani gniewu, ani zadowolenia. Był po prostu zmęczony.

– Panie kolego – wytarł dłonią wyjątkowo dziś suche czoło – zdenerwował mnie pan.

Brenner poczuł się dziwnie. Ton głosu szefa przeczył wypowiedzianym słowom. Wolał więc milczeć.

– Mam do pana wielki szacunek i bardzo duży margines zaufania... ale wolałbym, żeby jednak informował mnie pan o wszystkim, czego się pan podejmuje. Ta akcja na Pradze... – chrząknął i wykrzywił usta. – Dlaczego pan mi nie powiedział o tej przynęcie?

Rafał Brenner miał wrażenie, że właśnie dostał z pięści w brzuch.

No to po mnie! Zabije mnie, a potem ja zabiję tego, kto mu powiedział...

– Panie generale, ja...

Rasiak podniósł dłoń w górę, sygnalizując, żeby się zamknął.

– Wyszło dobrze, bo ci kapusie pewnie by wszystko położyli, ale wystawianie snajpera na dach bez wiedzy AT? – Pokręcił z dezaprobatą głową. – Tak się nie robi.

Brenner z trudem zachował kamienną twarz.

– Powiedział pan o samochodzie, a nie powiedział pan, że jest podstawiony. Brenner, to się mogło źle skończyć. – Rasiak miał prawie zatroskaną minę. – Nikt z pana ludzi nie wiedział, szef AT nie wiedział, policja się obraziła, bo wyszli na durniów... a przy okazji ja.

Brenner złączył dłonie i przyjął skruszoną postawę.

– Takie partyzantki to w filmach, ale nie u nas... Sprawa jest głęboko polityczna, a gdyby pan wiedział, jak bardzo, to by pan uciekł na L4, zamiast ją prowadzić. – Kiwał z politowaniem głową. – Dzwoni do mnie ten, co tam kierował tymi całymi antyterrorystami i drze się do słuchawki, że jego ludzie nakryli strzelca na dachu, jak siedział za kominem i się nawet bezczelnie dobrze nie schował. Wie pan, jakie im się jaja małe zrobiły ze złości? A potem pan

sobie wychodzi, jak gdyby nigdy nic i przegania ludzi na obserwacji... Panie Brenner, normalnie do ukarania takie coś. Na tym stanowisku musi mieć pan trochę dyplomacji. Co pan jakiś Clint Eastwood jest?

– Rozumiem, że mam się stawić na dniach do dymisji... – zaczął, ale głos mu całkiem zachryął.

– Niech się pan tak nie śpieszy, panie kolego – roześmiał się ironicznie generał. – To nie będzie takie proste. Nawet, kurwa, pana ukarać po ludzku nie mogę! – Ostatnie zdanie wykrzyczał, wychylając się nad biurkiem.

Brenner cofnął się lekko i wybałuszył oczy. Rasiak usiadł i zaczął przeszukiwać papiery na blacie.

– Wyszukujecie się, mój drogi, jak szczur na otwarcie kanału – powiedział już spokojnie, zakładając okulary do czytania na nos – i pójdziecie w piątek rano do pana premiera. O, jest! – Wyciągnął ze spodu jakąś kartkę. – „Prezes Rady Ministrów ma zaszczyt...” i tak dalej, tra la la la... Odbierzecie wyróżnienie i medal.

Brenner wyciągnął rękę i wziął od szefa dokument. Próbował czytać, ale nie szło mu za dobrze. Nic z tego, co się właśnie wydarzyło, nie rozumiał.

– A ja... – Rasiak wyciągnął kolejny papier – muszę, kurwa, pana do awansu wystawić. O, proszę, pan weźmie i poczyta.

Brennerowi chciało się śmiać, poczuł nawet lekki ból w przeponie, ale się powstrzymał.

– Panie generale... yyy... ale ta cała akcja dopiero była. – Patrzył na szefa zdziwiony.

– Takie rzeczy załatwia się długo. Potrzebne są komisje, wnioski...

– Srali muchy – mruknął Rasiak. – Służy pan w tym tyle lat i się dziwi, jakby po szkółce był. Nie dziwić się, tylko wypiąć pierś przed premierem i nie zrobić znowu ze mnie debila przed ludźmi. Ładnie się uczesać – zarechotał – buty napastować i nie dyskutować więcej.

Brenner nie wytrzymał i roześmiał się.

– No i z czego się pan śmieje? – zapytał Rasiak, ale też mu było wesoło. – Też bym chciał wiedzieć, o co chodzi, ale wolę się nie wychylać. Mamusia uczyła: biją to uciekaj, dają to bierz. I tego się trzymajmy. – Oparł się mocno o fotel i założył ręce na piersi. – A tak na poważnie, chodzi o tego Kowaliowa. Posrali się ze szczęścia w MSZ, jak go złapaliśmy, bo się ani Szwedom, ani Niemcom to nie udało, o Ruskich nie wspominając. Jutro ma przyjechać prokurator z Berlina, będzie chciał ekstradycji, więc będzie czym się targować o parę innych spraw.

Brenner kiwnął głową i potarł łysinę dłonią.

– No właśnie... – zaczął niepewnie.

– Co „no właśnie”? – zirytował się w sekundę generał. – Nie wyskakujcie mi tu tylko z jakimś gównem, bo już wszystko załatwione.

– Chodzi o to, w jaki sposób udało się nam go złapać. – Spojrzał poważnie na generała.

– Mów pan. – Kiwnął głową.

– Sprzedał go Iwanow.

Rasiak pochylił się nad blatem i spojrzał przenikliwie na Brennera.

– Chyba odwrotnie? Sprzedawał, ale Kowaliowowi.

– Nie. Chciał pan, żebym był ze wszystkim szczerzy, więc mówię. Iwanow pracował jeszcze dla kogoś innego. Nie, żebym był na sto procent pewien, ale... uważam, że ktoś się nim posłużył do usunięcia z biznesu Kowaliowa, zanim ten się na dobre rozkręcił z różnymi sprawami.

– Ja pierdołę. – Głowa Rasiaka opadła ciężko na piersi. – Ale chujnia.

Generał wyprostował się nagle i zaczął układać papiery na blacie. Wyciągnął bez słowa

dłoń po dokumenty w ręce Brennera i dołożył je do reszty.

– Dobra, nie ma się co certolić – powiedział całkiem poważnym tonem. – Zbiera pan ekipę i od jutra zaczynacie robotę.

– Ale podobno jesteście na razie odwołani...

– Pierdolisz pan jak potłuczony. – Machnął do niego ręką. – Nie musi to być zaraz cały oddział, weź pan kilku, którym ufa i sprawdźcie, dla kogo pracuje ten cały cwel. Aha...

Meyerowi chyba trzeba pomóc przy pogrzebie.

Brennera zatkało.

– Ktoś mu umarł?

– Z choinki żeś się pan urwał? Zwłoki mają jutro z Poznania przyjechać. Załatwialem to na cito, bez wyników badań.

– Ale Justyna żyje... Jest z mężem w domu od tej nocy...

Generał rozłożył ręce i otworzył usta, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobył.

– Bardzo przepraszam... Myślałem, że to oczywiste, kiedy prosiłem, żeby nie dementować... – zaczął się tłumaczyć Brenner. – Justyna uciekła porywaczom i znaleźliśmy ją w Warszawie, jak się ukrywała u znajomych.

– Panie – Rasiak pogroził palcem Rafałowi, sycząc przez zęby – pan mnie do grobu wpędzisz. I co ja z tym trupem tu zrobię? Jak się wkurwię, to go panu pod drzwi podrzucę.

Dlaczego ja o tym nic nie wiem?!

Brenner potarł dłonią czoło.

– Niech go tu przywiozą – powiedział w końcu cicho.

– A po co? Żeby wyszedł na jeszcze większego kretyna?

– Nie. Chodzi o to, że podanie do wiadomości, że pani Meyer żyje, narobi większego zamieszania. Parę osób może nie być z tego powodu zadowolonych.

– W sumie racja – uspokoił się nagle Rasiak i pokręcił głową. – Idź już pan stąd i bierz się do roboty, bo mnie zaraz krew zaleje.

Rozdział 71

- Nie pojedziemy nad morze. – Łukasz miał nietęgą minę. – Przynajmniej nie dzisiaj.
- Dlaczego?
- Mamy pracę. Brenner wezwał kilku z nas i... – Rozłożył bezradnie ręce.
- Łukasz, proszę cię. – Spojrzała na niego błagalnie. – Nigdy tak się nie cieszyłam, jak z tego, że jesteś odwołany z obowiązków.
- Dobra, pogadam z nim jeszcze. Obiecuję.
- Nie – Justyna wyglądała na zirytowaną – ja z nim porozmawiam. Mam dość, muszę odpocząć.
- Jak uważasz. – Łukaszowi nie przypadły do gustu tajne kontakty żony z jego szefem.
- Nie strzelaj focha jak Żółw. – Wbiła w niego palec. – Możesz dziś jechać i chwilę z nim pobyć, ale wieczorem się pakujemy i wyjeżdżamy.
- Dziękuję za pozwolenie, pani Meyer. Czym sobie zasłużyłem na tę łaskę, co? – Objął ją i wsunął ręce pod koszulkę od piżamy.
- Bo ja też idę dziś do pracy. – Uśmiechnęła się szelmowsko.
- A po co? – Zmarszczył brwi. Nie podobała mu się myśl, że Justyna wróci znów do tego wieżowca.
- Słotwiński wrócił, właśnie przeczytałam maila... Chcę z nim pogadać.
- To naprawdę aż takie ważne dla ciebie?
- Odsunęła się lekko od niego i spojrzała z powagą.
- Dzięki niemu tu jestem i ciągle żyję. Nie wygadał wam niczego, więc nikt nie ostrzegł Adamiakowej. Mogłam zanieść informacje do Brennera i sprawę udało się wyjaśnić. Myślę, że wystarczająco dużo mu zawdzięczam. Poza tym chcę się pokazać Mirkowi... On też nie wie, że żyję.
- Łukasz pokiwał głową.
- Zrobię śniadanie – powiedział i podrapał się po głowie – skoro mamy taki pracowity dzień.
- Justyna nie wchodziła do firmy, tylko zaczekała na dole. Łukasz wjechał do Słotwińskiego, machając ochrone przed oczami legitymacją, której nikt mu nie zdążył zabrać. Z daleka zobaczył Mirka, który zerwał się z fotela i podszedł szybko do niego.
- Łukasz... – ścisnął go za ramiona – jak żyjesz?
- Dobrze. – Meyer uśmiechnął się ku wielkiemu zdziwieniu Lubickiego. – Zjedź na dół do lobby, ktoś tam na ciebie czeka.
- Oczy Mirka zaświeciły się.
- Naprawdę? – szepnął.
- Naprawdę. Idź już, nie może zostać sama. Muszę pogadać z twoim szefem.
- Słotwiński podniósł głowę i zmrużył oczy, kiedy zobaczył Meyera wchodzącego bez pukania do jego gabinetu. Łukasz wyciągnął znowu legitymację i podał mu dłoń.
- Nie mieliśmy okazji. Łukasz Meyer, mąż Justyny.
- Słotwiński poderwał się i energicznie uściśnął mu dłoń. Zapiął marynarkę i wskazał fotel naprzeciwko siebie.
- Proszę, niech pan siada. Herbaty? Kawy?
- Nie. – Łukasz machnął ręką. – Przywiozłem Justynę na rozmowę z panem.
- Żyje? Po tych informacjach w mediach zacząłem wątpić...
- Myślałem, że pan wie... Mówiła, że dostała maila.

– A, tak. Wysłałem okólnik do pracowników, że wracam od dziś. Miałem przecież jej adres mailowy w tej grupie. Gdzie ona jest?

– Na dole. Może pan zejść?

– Wie pan co? Niech pan jednak usiądzie. Ja tu nikomu nie ufam, wolę nie wzbudzać zainteresowania nagłym wyjściem. Potem powie pan żonie, żeby wjechała dwa piętra wyżej, myślę, że powinna pokazać się Jakubowskiemu...

– Prezesowi? – zdziwił się Łukasz.

– Tak. Konrad strasznie to przeżył. Zna się z Adamiakiem od studiów... Szkoda gadać. – Nachylił się nad biurkiem i wcisnął przycisk interkomu. – Pani Bożeno, poproszę dwie kawy.

– I myśli pan, że prezes będzie chciał ją widzieć?

– Jestem pewny. – Słotwiński znowu usiadł. – Czuł się współodpowiedzialny za całą sytuację, w końcu zatwierdził mój plan z tą zmianą stanowiska. Wie pan... – roześmiał się nerwowo i pokręcił głową – nie przypuszczałem nigdy w życiu, że można posunąć się do czegoś takiego. Znam Ankę od dawna, wiem, że jest pazerna, ale... ale jej po prostu odebrało rozum. Długo rozmawiałem z Konradem w ten weekend, była okazja, bo mnie przechował w swoim domu na Mazurach... Doszliśmy do wniosku, że zwyczajnie zignorowaliśmy sygnały ostrzegawcze. Ona od dawna zachowywała się niepokojąco.

– Ale że niby coś z głową? – Łukasz zrobił gest wokół czoła.

– Nie. Po prostu zaczęła przesadzać. Jej ambicje rosły. Wpadła w towarzystwo takich harpii z jakiegoś Lux-Klubu, które w niej to tylko podsycaly. Jestem pewien, że teraz żadna nawet jej w więzieniu nie odwiedzi.

Weszła sekretarka z dwiema filiżankami na tacy. Zamilkli i nie mówili nic, dopóki nie wyszła.

– A wiceprezes miał z tym coś wspólnego? – zapytał Łukasz.

– Myślałem, że pan wie więcej. – Słotwiński uśmiechnął się. – Nie, Adamiak jest nieprzekupny, tylko też jej nie dopilnował odpowiednio. Załamał się. Już zgłosił decyzję o odejściu z Zarządu, więc mamy poważny problem, bo w jego rękach jest spory pakiet akcji. Nie chce mieć z tym nic wspólnego... Tak przynajmniej powiedział wczoraj.

Słotwiński sięgnął po filiżankę i upił mały łyk. Łukasz wyczuł, że jest zdenerwowany.

– A niech mi pan powie... – zaczął niby od niechcienia znad filiżanki – co z nią będzie?

– Z Adamiakową? Nie wiem. Myślę, że posiedzi trochę. Wie pan, porwanie to jedno, ale w grę wchodzi jeszcze oszustwa, choćby z tymi obrazami... Chociaż pewnie pan niewiele o tym wie.

Dyrektor pokręcił głową.

– Poza tym taka daleko idąca współpraca z przestępczością zorganizowaną jej nie pomoże. Ci porywacze będą zeznawać tak, żeby ratować własne dupy, a nie jej.

– Myślę, że wiceprezes wynajmie najlepszą kancelarię...

Łukasz roześmiał się.

– Widziałem akta tych ludzi. Oni są sami jak chodzące kancelarie adwokackie. Dobrze wiedzą, co mówić.

Słotwiński pokiwał głową i spojrzął na Łukasza.

– Nawet pan nie wie, jak się cieszę, że Justyna żyje. Nigdy nie miałem większego kaca moralnego niż w chwili, gdy się o tym dowiedziałem.

– Czyli od początku uważał pan, że to ktoś od was?

– Nie na sto procent... ale zaczęło mi świtać. Trudno było w to uwierzyć, naprawdę.

Czułem się kompletnie bezsilny. Kiedy tu była u mnie policja, miałem ochotę coś powiedzieć, ale od razu pomyślałem o panu i o tym, że to wszystko jest jakoś powiązane. Mam nadzieję, że nie

ma mi pan tego za złe.

– Panie dyrektorze, moja żona uważa, że dzięki panu się to wszystko dobrze skończyło, przynajmniej dla nas... I dziś ja też mogę powiedzieć to samo, chociaż tydzień temu tak nie myślałem.

Dyrektor kiwnął lekko głową.

– Chce pan dalej zatrudniać moją żonę?

– Oczywiście! – Słotwiński wyprostował się, jakby wstąpiło w niego nowe życie. – Teraz, kiedy nasza główna „przeszkoda” ogląda świat zza krat... Jeszcze dziś podpiszemy nową umowę.

Łukasz pokiwał ręką na znak, że się nie zgadza.

– Nie dzisiaj. Jedziemy na urlop. Mnie nie pozwoliła wrócić do pracy, więc nie pozostanę jej dłużny.

– Rozumiem – roześmiał się Słotwiński. – Tylko, na Boga, nie za długo. Mamy w planach nowy kontrakt...

– Dobrze, dobrze... Pójdę już. Mam tylko do pana prośbę.

– Słucham uważnie.

– Proszę zatrzymać ją tutaj, zanim po nią nie przyjadę. Nie chcę, żeby...

– Naturalnie, doskonale to rozumiem. – Pokiwał energicznie głową i spojrzał na Łukasza ze smutkiem. – Gdyby coś panu wypadło... – sięgnął po wizytówkę – proszę dać znać. Odwieziemy ją, gdzie trzeba.

– Dziękuję.

Rozdział 72

Siedzieli w tym samym miejscu w kawiarni, co przed porwaniem. Justyna patrzyła milcząco przez wielką szybę na przechodzących ludzi, a Mirek trzymał jej dłoń. Wszystko, co złe, skończyło się, ale teraz właśnie wróciły do niej różne obrazy z minionego tygodnia.

– Wyjazd to dobry pomysł – powiedział cicho Lubicki. – Krysia na pewno ucieszyłaby się, gdybyście nas odwiedzili, ale lepiej będzie, jak jeszcze dziś znajdziecie się w innym miejscu. Zmiana otoczenia działa cuda.

Kiwnęła lekko głową i wzięła do ręki wielki kubek kawy.

– Nie sądziłam, że będzie tak ciężko – szepnęła w końcu. – Cały czas chciałam wrócić do domu, do Łukasza... Ale chwilami mam wrażenie, że się rozpadnę. Łukasz mówi to samo. Podskakujemy ze strachu, kiedy dzwoni domofon, patrzymy w twarze każdego człowieka na ulicy, Łukasz nie chce zostawić mnie samej nawet na minutę. I w dodatku słabo wierzę, że to minie...

– Minie. Oczywiście, że minie. Dajcie sobie czas na strach i złe wspomnienia... To się zatrze i będziecie żyć normalnie.

Bardzo chciał w to wierzyć, ale miał świadomość, że pewnych ran nie da się do końca zaleczyć, tylko trzeba nauczyć się z nimi żyć.

Justyna podniosła wzrok. Do kawiarni wszedł Łukasz i nerwowo rozglądał się wokół. Widziała w jego oczach lęk. Wtedy dotarło do niej, jak bardzo zmieniła się jego twarz od zeszłej niedzieli. Podniosła rękę, żeby ich zauważył.

– Słotwiński prosił, żebyś wjechała na piętro Zarządu. Powiedziałem, żeby cię zatrzymał, dopóki nie wrócę. Postaram się szybko zająć wszystkim w Biurze i zaraz będę.

– Dobrze. – Złapała go za rękę. – Usiądź na sekundę. Dopiję i pojedziemy z Mirkiem.

Usiadł na brzegu fotela i patrzył na nią intensywnie. Siniak na twarzy prawie zszedł, na głowie nosiła chustkę, a ręce miała zasłonięte długimi rękawami jego koszuli, która wystawała spod marynarki. Poczul, że nie chce się nigdzie ruszać bez niej, ale w końcu wszyscy troje wstali i poszli w swoją stronę.

Koło windy czekał już Słotwiński, nerwowo przemierzając korytarz z jednego końca na drugi. Kiedy ją zobaczył, autentycznie się ucieszył i mocno uściskał jej dłoń.

– Chodźmy, pan Konrad czeka na nas.

– Panie dyrektorze. – Zatrzymała się nagle.

– Słucham. – Spojrzał na nią zdziwiony.

– Czy jest pan pewien, że wszystko już będzie dobrze... To znaczy w firmie?

Nabrał powietrza w płuca.

– Nie mogę dać takiej gwarancji, ale jeśli pani nadal reflektuje, zostanmy przy tym, że będzie pani pracować głównie w domu.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się blado. – Tak będzie dla mnie lepiej.

Gabinet Jakubowskiego był duży, z imponującym widokiem na miasto, mimo że znajdował się jedynie dwa piętra wyżej niż reszta firmy. Wyposażony był w ekstrawaganckie meble i piękny skórzany fotel. Kiedy weszli, Jakubowski stał przy szklanej ścianie z rękami założonymi z tyłu i patrzył w dół na rozkopaną ulicę. Odwrócił się i uśmiechnął.

– Bardzo się cieszę, że jest pani z nami. – Podał jej dłoń. – Niech pani usiądzie.

W tym momencie Justyna wiedziała, że Jakubowski nie jest szczery. Zerknęła na swojego szefa i mogła z całą pewnością powiedzieć o nim to samo. Wyczuwała w nich jakiś lęk, ale nie miała żadnych danych, żeby znaleźć jego źródło albo chociaż się go domyślić. W pierwszym

odruchu chciała wstać i wyjść, ale powstrzymała ją ciekawość. Poza tym – wiedząc, że oni obydwaj coś ukrywają – zyskiwała nad nimi przewagę. Postanowiła odegrać rolę naiwnej ofiary, która stuprocentowo ufa swoim szefom.

– Po drodze do ciebie ustaliliśmy kilka szczegółów... – zaczął dyrektor Słotwiński, ale prezes przerwał mu jednym gestem. Oparł się dłońmi o blat biurka i spojrzał na nią uważnie.

– Byłem w Wenezueli, jak pani zapewne wie – powiedział spokojnie. – I chciałbym panią zapytać, czy mamy po co jechać do Afryki?

Justyna spojrzała niepewnie na szefa, który zrobił minę wskazującą, że nic nie wiedział o tym, o co pyta prezes.

– Panie prezesie... wszystko zależy od Rosjan. – Już wiedziała, że ta gra może jej się opłacić, tym bardziej jeśli będzie jej dane wreszcie zająć się tym, co ją interesowało.

– Nie rozumiem. – Pokręcił lekko głową.

– Widzi pan, od zeszłego tygodnia sytuacja zmieniła się diametralnie. – Uśmiechnęła się.

– W pani ocenie aresztowanie jednego z członków Zarządu...

– Nie, nie... – Teraz Justyna przerwała prezesowi. – To nie ten trop. Chodzi raczej o niejakiego pana Kowaliowa, który tu był i podszywał się pod mojego kolegę, a następnie zorganizował porwanie. Ten człowiek był zwykłym bandytą, choć może w ładniejszym garniturze...

Jakubowski roześmiał się i zajął miejsce w swoim fotelu. Nikt nigdy nie powiedziałby o nim, że się denerwuje, ale właśnie teraz największe jego stesy nieco zelżały. Słotwiński umiał ocenić to po tym, że złożył swobodnie dłonie na biurku, a nie trzymał ich zaciśniętych albo schowanych.

– Problem polega na tym, że jego aresztowanie ujawniło powiązania z mafią firmy, która pretendowała do miana naszego współnika.

Prezes kiwnął głową i oparł się o podłokietnik.

– To jest najlepszy moment, żeby wejść z nimi w ten układ.

– Yyy... nie rozumiem. – Słotwiński zmarszczył brwi.

– Niech pani kontynuuje. – Jakubowski machnął ręką.

– Firma ta za wszelką cenę będzie chciała zmasać swoje nieczne występki i będzie się bardzo kajać, i być może... pójdzie nawet na największe z możliwych ustępstw. Myślę, że trzeba zagrać obrażonego gracza, który nie domaga się wyjaśnień, tylko chce odejść od stołu negocjacyjnego. Oni wtedy zwolnią u siebie parę osób i zjawią się u pana w gabinecie. Widzi pan, teoretycznie mogą sami się podjąć tego biznesu... ale w świat poszła fama, że porywają ludzi na zlecenie, więc...

– Będą chcieli to zmienić – dokończył z powagą Jakubowski.

– I mamy rozdawać karty? – zapytał Słotwiński. Justyna wyczuła, że jest zaskoczony kierunkiem tej rozmowy.

– Ależ skąd! – Przewróciła oczami. – Niech oni będą liderem. Niech wyłożą pieniądze i martwią się problemami z tamtejszymi zarządami i zbuntowanymi górnkami. Ten interes to jest jakiś jeden wielki kanał, a B.S.K. popłynie nim jak kupa gówna... – zawahała się na moment. Dłuższe przebywanie z kolegami z dawnych lat ujęło jej nieco na dobrym wychowaniu, jednak najwyraźniej jej szefom to nie przeszkadzało w tym momencie. – Nie popłyniemy, jeśli to nie my poniesiemy całego ciężaru odpowiedzialności. Jeśli to wypali, zarobimy. Może nie tyle co Rosjanie, ale będziemy na plusie. Jeśli nie wypali, stracimy na tyle mało, że nie odczujemy tego specjalnie.

– A ja nawet nie zaproponowałem pani kawy. – Jakubowski uśmiechał się szeroko.

– Może coś mocniejszego?

– Nie, dziękuję. Mam dość „mocnych” wrażeń, trunków i innych atrakcji.

– Rozumiem. – Prezes nagle spochmurniał. – Pani Justyno... niech pani posłucha dobrej rady mojego kolegi. Wojtek mówił mi, że sugerował samozatrudnienie. To trzeba załatwić jak najszybciej. Zniszczą panią tutaj, na szczycie. Musi pani mieć jak największą niezależność, także taką – wskazał na głowę palcem – mentalną. Niektórzy będą mówić pani różne rzeczy, bardzo miłe i bardzo fałszywe... My z Wojtkiem dostaliśmy po dupach za naiwność, o mało nie skacząc razem z mostu na koniec pewnej historii. Szkoda by było, gdyby i panią to spotkało. Na tej firmie ani na żadnej innej świat się nie kończy, trzeba umieć dbać o siebie.

Nic nie odpowiedziała. Spojrzała na dyrektora, który tylko nieznacznie skinął głową, dając do zrozumienia, że w pełni zgadza się z prezesem.

Rozdział 73

Łukasz zaczął się denerwować, kiedy spotkanie przedłużało się przez głupie, jego zdaniem, przepychanki słowne. Staął odwrócony do okna i trzymał dłonie na głowie. Kiedy westchnął po raz trzeci, Brenner przerwał Mzygłodowi i zapytał:

– Meyer, chcesz coś na ten temat powiedzieć?

– Nie. – Odwrócił się do nich. – Chcę jechać do żony i zabrać ją nad morze.

– Bardzo mądry pomysł – pochwalił Brenner zupełnie szczerze. – Jedźcie, najlepiej na dwa, trzy tygodnie.

– To czemu mnie pan wezwał? – Ramiona Łukasza opadły nagle.

– Bo jakbym nie wezwał, to byś się poczuł urażony i skłąbyś mnie, na czym świat stoi, a tak przynajmniej sam najlepiej wiesz, co masz robić. Zaczekaj minutę, niech Piotrek dokończy.

– No więc, tak jak mówiłem – Mzygłód przewrócił oczami z irytacją – mamy pewne przypuszczenia, dla kogo Wiesiek mógł pracować. Proponuję zająć się tym w najbliższym czasie. Przydałby mi się ktoś do pomocy, skoro Meyera ma nie być...

– Weź Słomkowskiego. – Łukasz uniósł lekko ramiona, jakby to było oczywiste. Spojrzał ponad zebranymi na szefa, który puścił do niego oko.

– Jego? – Skrzywił się Piotr. – To oferta.

– Nie jest ofertą. – Łukasz uśmiechnął się na wspomnienie wycieczek po jednostkach.

– Widziałem, co potrafi z ludzi wycisnąć. Mówię ci, weź go. To jest cicha woda i dobrze prowadzi samochód.

Kot zaśmiał się pod nosem. Mzygłód miał szczęście do wyskakujących mu niespodziewanie na drogę latarni i przęsał mostów wszelkiej maści.

– To ja z Lenartem zajmujemy się Markiem Linde – powiedział Tomek. Stał oparty o ścianę z założonymi rękami i póki co niewiele się odzywał.

– OK. – Brenner wyglądał, jakby się nad tym zastanawiał. Trzymał się pod boki i mrużył oczy. – Zróbmy więc tak: skoro wiemy, że Iwanow dostarczył Kowaliowowi większość informacji, to może od niego zacznijcie. Myślę, że teraz jest dobry moment, żeby tego Ruska przesłuchać. W zasadzie ostatni chyba... – Spojrzał na Mzygłoda. – Majcher wróci ze zwolnienia lekarskiego, to będzie mógł wam pomóc. Natomiast co do Lindego, to uważam, że trzeba będzie sięgnąć do jego przeszłości aż do czasów służby wojskowej. Kot, może to nie jest słuszne, ale po tych akcjach jestem skłonny podejrzewać ich wszystkich o złe znajomości jeszcze z przedszkola.

– Szefie... – zaczął niepewnie Lenart – nie rozpieprzą nas na amen? Została nas garstka, a nie chciałbym jednak stracić tej roboty.

Brenner potarł łysinę i odwrócił wzrok.

– Myślę, że nie... Dostałem awans – powiedział to bardzo cicho, ale zrobił niesamowite wrażenie na wszystkich.

Łukasz uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Awans? – Lenarta zatkało. – Mówił pan w czwartek, że pewnie pana wyjebią na pysk.

– No, właśnie nie. Dziś Rasiak zdecydował, że mam od listopada zacząć tworzyć nową komórkę, według własnego uznania.

– I weźmie nas pan ze sobą? – Mzygłód spojrzał niepewnie po kolegach.

– A z czego mam tę komórkę skleić, co? – zdenerwował się szef. – Jak wszyscy inni siedzą albo zaraz będą siedzieć. Innym nie zaufam, jeśli ich nie znam. – Zaczął nerwowo przechadzać się pomiędzy biurkami. – To jest jakaś, kurwa, katastrofa, co się stało. Jeden sprzedawał drugiego, a potem jeszcze komu innemu. Nie wiadomo, jak głęboko to sięga...

Pewnie przez najbliższe pięć lat nie będziemy się zajmować niczym innym, tylko sprzątaniami tego syfu. – Zatrzymał się i spojrzał na nich groźnie. – Mam nadzieję, że chociaż wy jesteście czysci. Bo was normalnie pozabijam i chętnie pójdę potem odpocząć do Rawicza albo Wronek.

– Uniewinnia pana. – Kowalski machnął ręką i oparł się o biurko, jakby miał zaraz zasnąć, co w jego przypadku nie byłoby takie dziwne.

– Jasne – mruknął Brenner. – Prędeż mafię pruszkowską uniewinnia... Chociaż to akurat zły przykład. Dobra, kończmy. Wiecie, co macie robić. Meyer, nie chcę cię tu widzieć przez najbliższe dwa tygodnie.

Łukasz kiwnął głową i odkleił się od parapetu. Zebrał swoje rzeczy i zaczął się żegnać z kolegami.

– Daj się zaskoczyć Sisiorowi. – Przytrzymał dłoń Mzygłoda. – To będzie prawdziwa frajda.

Piotrek najwyraźniej nie dowierzał, bo nic nie powiedział, tylko coś mruknął do siebie.

– Wyjdę z tobą. – Kot założył marynarkę. – Muszę zapalić.

– Znowu palisz?

– Daj spokój. – Machnął ręką. – Dobrze, że tylko to...

– A co się dzieje?

– Składam jutro wniosek w sądzie. Nie będę więcej płacił tej suce.

– No – Łukasz uśmiechnął się szeroko – pogratulować.

Wyszli na zewnątrz. Tomek odpalił papierosa i mocno się zaciągnął.

– Chyba pójdę do tego Kowaliowa, żeby mi zmontował jakąś ekipę na nią, bo coś czuję, że to będzie jatka, kiedy się dowie.

– Nawet Kowaliow może mieć opory, wiesz o tym – parsknął Łukasz.

– Wiem, kurwa, wiem. Zniszczyłaby go tak, jak mnie. Wolałby w więźniu siedzieć do końca świata.

Na parking pod budynek podjechał jakiś granatowy passat. Wysiedli z niego Malicki i Wiśniewski. Mieli strapione miny.

– Co jest, panowie? – zawołał do nich wesoło Kot. – Wyglądacie, jakbyście na pogrzeb jechali.

Podeszli bliżej, ale wcale się nie uśmiechali. Łukasz zauważył, że wyglądają jakby bardziej odświętnie.

– W zasadzie jedziemy... – Malicki nie patrzył na nich, tylko z zaciśniętymi ustami spoglądał gdzieś w bok.

– Michał, co się stało? – Łukaszowi skoczyło ciśnienie.

– Żaneta popełniła samobójstwo – powiedział Robert.

– Co ty pier... – Kotowicz się zachwiał. Miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Dokładnie to samo czuł, kiedy Brenner zadzwonił z wiadomością, że porwano Justynę. Papieros wypadł mu z palców, a drugą ręką zasłonił usta.

– Kiedy? – Łukasz czuł, że ma dość złych wiadomości na najbliższe dziesięć lat.

– W sobotę wieczorem – odpowiedział Wiśniewski. – Przyjechała na komendę, niby coś zrobić i jak wszyscy wyszli, to strzeliła sobie w głowę przy swoim biurku.

– Ale dlaczego? – zapytał przerażony Kot.

– W piątek jej mąż złożył pozew rozwodowy. – Teraz Malicki wyciągnął papierosa. Tomek odruchowo wydobyl z kieszeni zapalniczkę i podał mu ogień. – Mówiła, że sobie coś zrobi... ale nie sądziłem... – Kręcił głową.

– Jedziecie tam teraz? – upewnił się Łukasz.

– Tak – potwierdził Wiśniewski. – Jej komendant prosił, żeby ktoś od nas był jutro na

jakiejś wizji lokalnej. Mają nas przepytawać, bo prowadzą śledztwo...

– A co z jej mężem? Wie już?

– Podobno wie. – Malicki wzruszył ramionami. – Dowiemy się o wszystkim na miejscu i zadzwonimy. Przyjechaliśmy do Brennera, nasz stary wolał, żeby otrzymał wiadomość od nas, a nie przez telefon.

– Załamie się – szepnął Tomasz, patrząc na Łukasza. – Nasz szef nie lubi, jak policjanci sobie strzelają w głowy, zwłaszcza dobrzy.

– Wasz szef chciał ją wciągnąć do swojej komórki – powiedział Wiśniewski, kiwając głową. – Już rozmawiał, z kim trzeba.

– Ale jaja! – Tomkowi chciało się płakać.

– Pojadę już. – Łukasz potarł palcami brwi. – Nie chcę, żeby Justyna siedziała tam za długo.

– Jedź, stary. – Kotowicz poklepał go po plecach i zwrócił się do policjantów. – Chodźcie na górę.

Kiedy Łukasz odjechał, Wiśniewski złapał Kota za rękaw i pochylił się do jego ucha.

– Wyjaśnij mi coś: jego żona żyje czy zwariowała do reszty?

– A chcesz wersję oficjalną czy taką dla nas? – zapytał Tomek, czując, że mimo powagi sytuacji, chce mu się śmiać.

– Aha... – Wiśniewski wyprostował się i zrobił minę, jakby wiedział, o co chodzi.

Malicki zrobił gest za jego plecami, po którym Kot zorientował się, że jego kolega jest kompletnie zakręcony.

Rozdział 74

W każdym niemal wiadomościach pokazywano zajawki z wręczania Brennerowi odznaczenia z rąk premiera. Miał poważną minę i zaciskał usta. Musiał w dodatku założyć krawat.

Justyna leżała na łóżku i machała pilotem. Padało cały dzień, więc siedzieli w hotelu. Łukasz czytał jakąś książkę i co chwilę rzucał propozycję, co mogliby robić wieczorem, którą Justyna odrzucała.

– A tego kolesia znasz? – wskazała pilotem na telewizor.

Łukasz zerknął znad książki i zmrużył oczy. Poderwał się z fotela i zbliżył do ekranu.

– Nie było go we wcześniejszych wiadomościach, prawda? – Gapił się w obraz.

– Nie-e. – Pokręciła głową. – Dopiero teraz. Co to za kapitan?

– Kozera – westchnął i usiadł z powrotem w fotelu, bo na ekranie pojawił się inny materiał filmowy. Spojrzał na Justynę i lekko się uśmiechnął. – Zamknął Jaskółę.

Przestała machać pilotem i patrzyła na niego, mrugając powiekami.

– Żartujesz?! I dostał tylko jakąś nagrodę? Powinni go zrobić od razu pułkownikiem.

– Myślę, że sobie poradzi i już niedługo będzie wymiatał wszystkich innych złych gości w wojsku. – Wziął znowu książkę do ręki.

– Pójdzie siedzieć? – zapytała po dłuższej chwili.

– Kto? Jaskółę?

– No.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami, chociaż tak naprawdę wiedział, że prawdopodobnie potrzymają go w areszcie, przynajmniej *pro forma*, przez jakiś czas.

– A ty? – Obróciła się na bok w jego kierunku.

– Ja raczej nie pójdę siedzieć – powiedział, nie odrywając wzroku od lektury.

Justyna zachichotała.

– Nie o to mi chodziło. Co będzie z wami?

– Będziemy dalej u Brennera, będziemy łapać groźnych przestępców i wsadzać ich za kraty. Oni będą wychodzić i znowu będziemy ich ścigać. Wiesz, jak jest...

– Hmm... – mruknęła.

Opuścił książkę i spojrzał na nią podejrzliwie.

– Co to miało znaczyć?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Miałam nadzieję, że naprawdę pójdziecie w rozsypkę i może zajmiesz się czymś innym.

– A ja myślałem, że ty odejdiesz z korporacji.

Pokazała mu język.

– Bardzo dojrzałe. – Puknął się w czoło.

Wystawiła środkowy palec.

– Ej! – Rzucił książkę i wskoczył na łóżko, łapiąc ją za nadgarstki. – Bardzo nieładnie, proszę pani. Bardzo be.

Pocałował ją mocno i położył się obok. Sięgnął ręką do jej głowy i gładził odrastające włosy.

– Powiedz mi... Malinko – uśmiechnął się – czy ten awans załatwił Brennerowi Mrozowski?

– Pewnie tak.

– Skąd jesteś taka pewna?

– Bo Bambi nigdy nie rzuca słów na wiatr, podobnie jak Kroko... – ugryzła się w język. Łukasz wciąż był przekonany, że Bambi, Gogol i Żółw to koledzy z wojska. Wprowadzenie nowej postaci mogłoby zmienić ten pogląd, a tego nie chciała.

– Kto?

– Nikt. Przypomniał mi się ktoś inny z wojska. Chciałam powiedzieć, że jeśli coś obiecał, to raczej miał po temu podstawy.

– Ale jak taki ktoś może mieć wpływ na takie sprawy?

Uniosła brwi i wykrzywiła usta w geście bezradności.

– Nie mam pojęcia. Tomek chadza zawsze swoimi drogami. Zna różnych ludzi, wielu z nich jest mu winnych różne przysługi. Możliwe, że po prostu ktoś spłacił dług...

– To jak z Żanetą – westchnął ciężko Łukasz. – Szkoda dziewczyny.

– Szkoda – powiedziała Justyna, ale w jej głosie nie było słyhać żalu.

– Coś dziwnie brzmisz, kochana żono. – Zmarszczył czoło.

– Bo wcale mi się nie podobała idea, że po waszym Biurze miałyby ganiać jakaś długowłosa lala.

– Nawet jej nie widziałas – oburzył się.

– E-e. – Pogroziła mu palcem. – Widzisz, to nie wyglądało dobrze. Już mi Bambi dokładnie opowiedział o tej pani. Wiem wszystko. Niech spoczywa w pokoju... byle z dala od Warszawy, bo nawet zimna jest niebezpieczna.

Łukaszowi rozjaśniła się twarz.

– Boże, jak to miło wiedzieć, że jeszcze jesteś zazdrosna po tych wszystkich latach.

– Zapytaj mnie za dwadzieścia. – Uśmiechnęła się nieszczercze.

– I co? – Uśmiech zgasł na jego ustach.

– Będę jeszcze bardziej zazdrosna.

Spojrzał na nią, jakby ją pierwszy raz widział.

– Naprawdę, nigdy ci nie przejdzie?

– Nigdy.

Przyciągnął ją mocniej do siebie.

– To jest prawidłowa odpowiedź, pani Meyer.

Rozdział 75

Brenner wyszedł ze swojego biura i kiwnął na Łukasza, żeby do niego przyszedł.

– Co jest, szefie?

– Macie dziś z Justyną czas po południu?

– W zasadzie tak... – Zmarszczył brwi, przeszukując w pamięci, czy czegoś nie planowali. – Mogę do niej jeszcze zadzwonić, ale raczej nic szczególnego nie robimy.

– Dobrze. – Brenner spojrział przez szklaną ścianę, jakby się obawiał, że ktoś może usłyszeć. – Dzwonił do mnie Mrozowski, chce się spotkać gdzieś na mieście. Prosił, żeby Justyna sobie wybrała dowolny lokal.

– OK. – Łukasz zawahał się. – Jest jakaś okazja?

– Nie wiem. Powiedział, że mu zależy.

– W porządku. Już dzwonię do żony... Jak rozumiem, mam się z tym nie obnosić – wskazał palcem na open space.

– Raczej nie. – Szef się uśmiechnął.

Justyna chciała pójść do Wedla przy Szpitalnej.

– Nie wiesz, ile osób ma być? – dopytywała się. – Zadzwońię zrobić rezerwację.

– Nic nie wiem, Justyś.

– Dobra, wezmę największy stolik – westchnęła.

Kiedy Meyerowie dotarli na miejsce, zastali Bambiego na rozmowie z Brennerem.

– Cześć, Malinka. – Tomasz uściśnął ją mocno. – Jak ładnie wyglądasz i jakie masz długie włosy.

– Bujaj się – mruknęła. Po upływie niemal miesiąca niektórzy wciąż brali ją za faceta. Usiadła i zerknęła do karty. – Ktoś jeszcze będzie?

– Gogol i Żółw – odpowiedział Bambi.

– Fajnie. – Uśmiechnęła się i rozejrzała po sali. – Muszę iść do łazienki. Przepraszam.

Kiedy wyszła, Bambi kiwnął na Łukasza.

– No i jak? Ciągniecie jakoś ten wózek?

Łukasz westchnął ciężko.

– Justyna myślała już, że będziemy pchać...

– Jak to? – Mrozowski uśmiechnął się niepewnie.

– Spóźnił jej się okres i żyła nadzieją, że jest w ciąży, ale... – machnął ręką – kolejne rozczarowanie. Tylko niepotrzebne łyzy.

– Pogadaj z Gogolem, on ma nadwyżkę. Zaraz tu przyjdzie, to ci opowie dokładnie, jak ich los obdarzył.

– A co się stało? – Brenner zrobił zdziwioną minę.

– Żona urodziła bliźniaki – roześmiał się Bambi. – Normalnie chcieli lekarza pozwać o odszkodowanie. Miało być jedno duże, wyszły dwa małe i w dodatku jakieś słabe. Leżą w Międzyzlesiu od dwóch tygodni, dlatego Gogol prawie mieszka w Warszawie. Jak weźmiecie im starszą dwójkę na przechowanie, to na pewno się nie obrażą.

W tym momencie do lokalu wszedł Kostek i rozejrzał się wokoło. Kiedy ich zobaczył, gęba mu się roześmiała. Podszedł do stolika i przywitał się z każdym wylewnie.

– No, jakie doborowe towarzystwo. – Ścisnął dłonie kolegom, miażdżąc im kości.

– Mówiłem ci, Bambi, że jak Malina będzie wybierać knajpę, to wyjdzie jakaś bryndza. Założę się, że wody tu nie uświadczysz.

– Możesz się napić wina. – Justyna klepnęła go w plecy.

– Wino to se sama możesz łąić. – Odwrócił się, złapał ją w pasie i unióśł lekko. – Witaj, moja piękna, długowłosa.

– Następny. – Przewróciła oczami, wyslizgując się z jego objęć. – Gdzie Żółw?

– Mówił, że już wyjeżdża z Rembertowa. – Bambi zerknął na zegarek.

Wszyscy się roześmiali.

– To mu może trochę zejść. – Brenner pogładził swoją łysinę.

Zajęli miejsca i wsadzili nosy w menu.

– Tia... – Gogol pokiwał głową – wybór jak cholera. Proszę pani – złapał kelnerkę za spódnice – a to wino można na butelki?

– Gogol, nie rób wsi. – Justyna kopnęła go pod stołem. – Zamów sobie lody.

– Malinka, nie pouczaj mistrza. To co bierzemy? Białe czy czerwone?

Kiedy udało im się złożyć zamówienie, nie wyprowadzając przy tym z równowagi obsługi, wszyscy spojrzeli po sobie.

– Malino i mężu Maliny – zaczął oficjalnie Kostek – mam do was interes. Nie znalazłoby się u was jakieś miejsce dla dwójki uroczych dzieci? Odstąpię za darmo. To prawdziwa okazja: odchowane, odkarmione, w gratisie dorzucę ubrania i zapas karmy na miesiąc.

– A gdzie jest haczyk? – Justyna wyglądała na całkiem poważną.

– Są trochę... jakby to powiedzieć – zatoczył ręką koło w powietrzu – dzikie. Wymagają pewnych nakładów celem ich resocjalizowania. Dlatego pomyślałem o was. Twój mąż ma na co dzień do czynienia z bandytami, powinien sobie poradzić.

– On pracuje w CBS, a nie w Guantanamo. – Mrozowski śmiał się głośno.

– Nie pomagasz mi, Bambi. – Gogol cmoknął i pokręcił głową. – Myślałem, że mogę liczyć na twoje wsparcie.

– Jest naprawdę tak źle? – Justyna oparła podbródek na rękę.

– Katastrofa! Dziadkowie podpisali akt kapitulacji, a dopóki tu siedzimy z Kaśką i młodsze nie dojdą do siebie, to te cyborgi rozniosą pół wsi. Mój syn ma osiem lat, a już go zna każdy policjant w okolicy.

– Brak im ojcowskiej ręki – stwierdził Brenner.

– Panie, im brak piątej klepki... Chociaż się cholery dobrze uczą. Szkoda, że nie ma u nas tych wojskowych obozów dla młodzieży, oddałbym na rok... albo do matury.

– To czemu ich nie przywieziesz na trochę do Warszawy? – zapytała Justyna, a Łukasz spojrzął na nią groźnie. – No co? Może powinni trochę pobyć w innym otoczeniu? Przywieź je. Ja siedzę w domu, to mogę je gdzieś zabrać.

– Malinka. – Gogol rzucił się na nią i głośno cmoknął w policzek. – Jesteś kochana. Ale daj spokój, ja żartowałem. Nie zrobiłbym ci tego. Wystarczy ci bandytów na wiele lat...

Zapanowało niezręczne milczenie, które przerwały kelnerki niosące ich zamówienie. Wszyscy klienci patrzyli zdumieni na jego rozmiary.

– A jak tam, Malina, twoja praca, skoro już była o tym mowa? – Bambi uśmiechnął się.

– Wszystko dobrze. – Wzruszyła lekko ramionami. – Namówiłam Zarząd, żeby weszli w biznes z tymi Rosjanami...

– A główka cię nie boli przypadkiem? – Gogol dotknął czoła.

– Słuchaj, sprawa jest polityczna...

Brenner zakrztusił się truskawką.

– Stąpamy po niepewnym gruncie tak naprawdę. Wiemy, że tam wszystko jest powiązane: polityka, biznes i mafia... Ale właśnie dlatego wychodzenie teraz z tego nie byłoby dla nas dobre, bo nie możemy pokazywać, że nie wierzymy w ich dobrą wolę. Wywalili pół swojego kierownictwa i każdego, kto mógłby mieć coś wspólnego z kolegą „Józwińskim”, byle

tylko poprawić wizerunek. Mogliby nas olać i sami bić się na tym rynku, mają na to i środki, i odpowiednie kontakty. Tyle że tu nie chodzi jedynie o pieniądze. Mój powrót do firmy też został dobrze odebrany, stosunki są bardzo poprawne, więc... B.S.K. pod wieloma względami ma otwartą drogę na rosyjskim rynku, skoro tak świetnie współpracuje z tak wielką firmą.

Łyżeczka z kawałkiem lodów zawisała Brennerowi w powietrzu.

– Chcesz powiedzieć, że wykorzystywałaś swoje porwanie do tego, żeby firma zaistniała na tamtym rynku?

– Rafał, wykorzystam swoje porwanie do wszystkiego, jeśli tylko jest zgodne z prawem, bo tylko tak mogę się z tym uporać i żyć w miarę normalnie.

– „Buduj siłę na słabościach”. – Gogol miał oficjalny ton głosu. Podniósł kieliszek z winem w górę i machnął nim wszystkim przed oczami. – Trzeba wypić za sentencję naszego wspaniałego kolegi Krokodyla.

– Kogo? – zapytali jednocześnie Łukasz z Brennerem.

– Nikogo. – Bambi machnął ręką, a w drugą wziął swój kieliszek. – Bredzi.

Kiedy wszyscy napili się wina, przyszedł Żółw.

– Dlaczego nikt na mnie nie zaczekał? – zaczął płaczliwie.

– Masz ci los. – Gogol uderzył dłonią o kolano. – Zapomnieliśmy o naszej sierotce. Masz, Żółwiątko, napij się ode mnie.

– Nie chcę twojego wina, sam sobie zamówię – naburmuszył się. Ściągnął marynarkę i powiesił na oparciu krzesła. – Malina, zapytam od razu, żebyś nie zapomniała... Gdzie chodzicie do psychologa?

Wszystkich zatkało. Justyna przycisnęła kieliszek do piersi i spojrzała na niego z ukosa.

– A skąd ty o tym wiesz, co?

– Ale jaki pan-bezpośredni – parsknął Gogol. – Żółw, zupełnie ci mózg zlasowało w tym Rembertowie.

– Zamknij się. Muszę to wiedzieć, bo mi coś panna świruje. Mam wylot za miesiąc, a ta w jakąś depresję wpadła.

– Ale skąd wiesz, że chodzimy do psychologa? – powtórzyła pytanie Justyna.

Żółw popatrzył na nią zdziwiony.

– A nie chodzicie? Przecież ty zawsze mówiłaś, że trzeba sobie pomóc służbą zdrowia. Myślałem, że po takim czymś... chodzicie.

– Chodzimy prywatnie – powiedział spokojnie Łukasz. – Dam ci wizytówkę.

– O, widzisz – ucieszył się Żółw. – Jeden uczciwy.

– Ale ty wiesz, Żółwik, że ci psycholog kobiety nie zatrzyma, jak ona odejść chce? – Bambi mieszał resztkę wina w kieliszku.

– Nie chce odejść. – Żółw znowu spochmurniał. – Tylko boi się mojego wyjazdu.

– O, matko – Gogol zasłonił oczy dłonią – to są dylematy...

– No, co? – Żółw spojrzał na niego. – Ty masz rodzinę i też jeździsz. Jakoś sobie radzicie.

– Bo moja Kaśka to typ żony marynarza. Jak jestem z nią za długo, to się zaczyna denerwować. Ona jest wielofunkcyjna i umie być kobietą i facetem, jeśli potrzeba. Ale jeżeli twoja laska jest inna, to nie wróżę wam świetlanej przyszłości.

Żółw zasępił się i zwiesił głowę. Justyna pogładziła go po ramieniu.

– Musicie o tym porozmawiać – powiedziała cicho. – Bo potem będzie bardziej przykro.

Nastrój Żółwia poprawiły nieco lody czekoladowe. Rozmawiali wszyscy dobrą godzinę o mniej poważnych sprawach i głośno się śmiali. W pewnym momencie jednak Łukasz zauważył, że Justyna śmieje się nieco mniej. Była zmęczona, podejrzewał też, że obecność kolegów, którzy kojarzą jej się z porwaniem, również na nią dobrze nie wpływa. Pomimo

głośnych protestów pozostałych, zaczął się podnosić z krzesła, a Justyna przyjęła jego decyzję z wyraźną ulgą.

Pożegnali się i wyszli na mokrą ulicę. Było już bardzo ciemno i przenikliwie zimno. Objął ją ramieniem, a w drugą rękę wziął jej dłoń.

– To prawda, co powiedziałaś Brennerowi? – zapytał, gdy dochodzili do parkingu z ich autem.

– O czym?

– Że wykorzystanie twojego porwania pomaga ci?

– Tak, to prawda – odpowiedziała cicho. – Takie złe wydarzenie nie ma sensu, tak jak nie mają go różne choroby i cierpienia, ale ja staram się zrobić coś, co pozwoli mi myśleć, że to nie było na darmo...

– Rozumiem. – Zatrzymał się i obrócił ją twarzą do siebie. – Ale ciągle mi nie powiedziałaś...

– Łukasz, co ci mam powiedzieć? Jak się czułam, kiedy mnie związali? Albo jak mnie bolały nogi, kiedy zeskoczyłam z płotu?

– Widzisz, nawet nie wiedziałem, że był płot. – W jego głosie słychać było lekką rozpacz.

– Nic nie wiem. Jakbyś się bała, że źle zareaguję.

– Boisz się, prawda? – Dotknęła jego twarzy. – Umierasz ze strachu, że usłyszysz coś, czego nie zniesiesz... Masz w głowie różne straszne obrazy, które nie dają ci spokoju. To dlatego wtedy zadałeś mi to pytanie o wojsko.

Podniósł wzrok i nic nie odpowiedział.

W Justynie nagle coś się zaczęło zmieniać. Miała wrażenie, że otwiera jej się w mózgu jakaś klapka i zaczyna widzieć rzeczywistość inaczej, nie przez perspektywę własnych odczuć.

– Łukasz... ja nie wiedziałam...

– Czego nie wiedziałaś? – W oczach stanęły mu łzy.

– Że ty to tak przeżywasz. Że cię to boli, chyba nawet bardziej niż mnie.

Przygryzł wargi mocno, niemal do krwi.

– Ta twoja koleżanka z wojska... Ta cała Justyna... Ona powiedziała, że jesteś egoistką, bo myślisz tylko o tym, że tobie jest źle... ale o innych i co oni czują, to już nie.

Justyna złapała go za poły kurtki i położyła głowę na jego ramieniu.

– Justyna jest idiotką... – szepnęła – ale w tym jednym chyba ma rację.

– Z tej całej historii wyniosłem jeden zasadniczy wniosek – jego pierś uniosła się w nagłym bólu – że nie wierzysz w to, jak bardzo cię kocham. Przez cały czas wątpiłaś... Cały czas żyłaś w przekonaniu, że ja też w końcu cię zdradzę... Jak oni...

– Przepraszam...

– Chciałbym... – odsunął ją od siebie delikatnie i ujął jej głowę w dłonie – chcę, żebyś się wszystkim ze mną dzieliła, żebyś nie chowała niczego dla siebie. Myślę, że na tyle zaufania zasługuję.

Pokiwała głową. Nie była w stanie powiedzieć niczego mądrego ani nawet głupiego. Niespodziewanie z jej głowy wyskoczył Krokodyl z kolejną sentencją, którą ją zawsze karmił, kiedy za dużo wypił:

– Najmocniej nas ranią ci, na których nam najbardziej zależy, Malina.

Zawsze wiedziała, że mówi o niej.

Rozdział 76

Grażyna Brennerowa była bardzo niezadowolona, kiedy jej mąż oświadczył przez telefon, że idzie z kolegami na wódkę. Jej irytacja była tym większa, że słyszała po jego głosie, że już jest wstawiony.

– Rafał, jest środek tygodnia.

– No i co z tego? – Prawie widziała, jak wzrusza ramionami. – A co to? Dzieci nam płaczą?

– O której wrócisz? – zapytała z rezygnacją w głosie.

– Kto to może wiedzieć? Zadzwoń po ciebie, skarbie. Przyjedziesz po mnie, prawda?

– Niech cię cholera, Brenner! – Starala się okazać gniew, ale poczuła, że już jej złość minęła. – Przyjadę, tylko się zachowuj.

– No, dobra... no, pa...

Bambi i Gogol stali na krawężniku i chwiali się, robiąc zawody, kto wychyli się mocniej. Żółw rozmawiał z dziewczyną przez telefon. Kiedy Brenner do nich podszedł, Kostek uśmiechnął się i zapytał:

– Jakąś miłą mordownię pan inspektor poleca?

– Chodźcie – odwrócił się i kiwnął na nich ręką – coś się znajdzie.

Przy drugiej kolejce Żółw ulotnił się z zafrasowaną miną. Jego dziewczynie skończył się zapas dobrego humoru i przeżywała właśnie kolejny kryzys.

Siedzieli przy barze i beczelnie gapili się na dziewczyny w krótkich spódniczkach.

– Ależ dawno nigdzie nie byłem – westchnął Rafał. – Już zapomniałem, jak może być fajnie.

– Polecamy się na przyszłość. – Bambi uniósł kieliszek, wodząc wzrokiem za blondynką z dekoltem do pasa. Odwrócił się jednak nagle w stronę Brennera z poważną miną. – A co z tą Żanetą?

Gogol wyciągnął szyję, żeby lepiej słyszeć.

– Zamieszanie. – Brenner machnął ręką i wychylił kieliszek, opróżniając go do dna.

– Przez kilka dni uchodziła za martwą, ale okazało się, że komuś coś się popieprzyło i była w śpiączce.

– Długo?

– Ze dwa tygodnie.

– A jak teraz się czuje?

– Wiesz, stan jej zdrowia jest tragiczny, ale podobno samopoczucie ma dobre.

– Jak to? – zdziwił się Gogol.

– Jej chłop siedział przy niej, kiedy się obudziła, to już jej inne rzeczy nie interesowały.

Facet wycofał pozew, sprzedał firmę i zajmuje się nią cały czas. Zmienia pieluchy, karmi...

Gogol syknął cicho i skrzywił się.

– Będzie inwalidką? – zapytał.

– Chyba nie. Podobno to przejściowe. Ale do służby nie wróci. Jej szef już walczy o jakąś rentę, co nie jest takie proste. Coś tam sobie w tym mózgu na dobre uszkodziła i już nie będzie taka błyskotliwa.

Bambi pokiwał głową z zamyśloną miną.

– Wielka szkoda, naprawdę. – Brennerowi rzeczywiście było jej żal. – Ale Malicki mówił, że jest szczęśliwa, bo męża ma przy sobie. Wiecie, dla każdego co innego w życiu jest ważne.

– No tak... – Gogol też wpadł w zadumę. – A jak widzisz naszą Malinę? Poradzą sobie z tym jej wielkoludem?

– Meyer nie jest przecież taki duży – roześmiał się Rafał.

– Dla tego gнома wszyscy są wielcy. Nawet żonę ma wyższą – zarechotał Bambi.

– Oj, oj, żebyś się przypadkiem nie zakrztusił tym twoim żabim rechotem.

– O, matko. – Brenner potarł dłonią zaczerwienione oczy. – Nie wiem, co z nimi będzie.

Myślę, że sobie poradzą. Takie pary nie rozstają się z byle powodu. No chyba że... – Spojrzał na nich wymownie.

– O co ci chodzi? – Bambi odchylił głowę.

– Chyba że to, co robiła z wami, może być dla nich za trudne.

Bambi z Gogolem spojrzeli po sobie, ale nic nie powiedzieli. Gogol wypuścił gwałtownie powietrze z płuc, a Bambi zrobił nic nieznaczący gest dłonią.

– To może się napijmy – zaproponował Tomek.

Brenner spoważniał i wyglądał, jakby nagle wytrzeźwiał.

– Aż tak było źle? – zapytał.

– Aż tak było dobrze – mruknął Gogol. – To był udany rok, naprawdę.

– Ale Justyna ma jakiś powód, żeby nie mówić o nim mężowi?

– Wiesz – Mrozowski podrapał się w ucho – skoro już wie o wojsku, to teraz powinno być łatwiej. Nie powiem, bywało gorąco. Malina zadziwiła nawet nas kilka razy...

– Zabiła kogoś? – zapytał cicho Brenner.

Gogol z Bambim roześmiali się zupełnie szczerze.

– A ty myślisz, że po co tam byliśmy? – Gogol rozłożył ręce. – To nie jest organizacja humanitarna.

– A co? – to Brennera interesowało najbardziej i poczuł lekkie podniecenie, że nareszcie udało mu się doprowadzić rozmowę do tego miejsca.

– Już mówiłem – pokiwał palcem Gogol – jeśli powiem, to będziemy cię musieli spacyfikować, robaczku. Zapytaj Malinę, może coś ci powie.

– Dobra – Rafał machnął ręką i odwrócił się do baru – napijmy się. Jak wrócę zbyt trzeźwy, żona nabierze podejrzeń.

– To wypijmy za żonę – roześmiał się Kostek.

Rozdział 77

W sobotę przed południem, kiedy siedzieli w salonie na kanapie i jedli późne śniadanie, zaskoczył ich dźwięk domofonu. Justynie talerzyk wypadł z rąk. Każdy taki dźwięk zaskakiwał i był bardzo przykry dla ucha.

– Ja zobaczę. – Łukasz poderwał się z miejsca. Wrócił po chwili z poważną miną. – Jakiś Jacek. Mówi ci to coś?

Justyna zeskoczyła z kanapy i pobiegła do drzwi jak na skrzydłach. Kiedy Jacek wchodził po schodach, stała na progu i podskakiwała z radości. Jak go zobaczyła, rzuciła mu się na szyję. Łukasz poczuł, jak narasta w nim ciśnienie i wielki żal.

– Chodź. – Justyna pociągnęła Jacka do środka. – Łukasz, to jest Jacek, który mnie przechował w lesie. Mówiłam ci o nim.

Jacek podał mu dłoń, ale rezerwa Meyera wcale się nie zmniejszyła. Tymczasem Justyna wepchnęła młodego księdza do kuchni i posadziła przy stole.

– Chcesz coś jeść? Pić?

– Napiłbym się wody. – Uśmiechnął się w sposób, który powiedział Łukaszowi, że może za to kupić każdą kobietę. Sięgnął do dużej czarnej torby, którą ze sobą z trudem przytaszczył, i rozpiął zamek. – Mam dla was prezenty. Od Ziutka.

Justyna usiadła.

– Od Ziutka? A co u niego?

– Zaraz ci wszystko powiem. – Machnął ręką. – Tylko powyciągam.

Na stole znalazła się paletka jaj, dwa słoiki z miodem, jeden ze smalcem i woreczki z kotlecikami mielonymi. Justyna wzięła jeden do ręki.

– Zwariował – roześmiała się. – Mamy tu co jeść.

– Ale na pewno nie takie – powiedział z przekąsem Jacek.

– Ja też mam dla ciebie prezent. – Justyna zerwała się z krzesła i wybiegła z kuchni.

Panowie zostali sami. Jacek chciał coś powiedzieć, ale zobaczył minę Łukasza i zrezygnował. Po minucie Justyna weszła z dużym workiem foliowym, w którym był jakiś czarny materiał. Wyciągnęła i z dumą rozłożyła przed nim nową sutannę.

– Przymierz, proszę cię – zaczęła nalegać. – Mam też koloratkę i kilka koszul. Dobierałam na oko, ale na pewno będzie pasować.

Jacek chwilę się wahał, ale w końcu wstał, ściągnął bluzę z polaru i nałożył sutannę.

Łukasz miał ochotę strzelić sobie w pysk. Schował twarz w dłoniach i walczył ze sobą, żeby się nie roześmiać.

Jestem zazdrosny o księdza. Tego jeszcze nie grali.

– No i jak? – Zaciśnęła dłonie i czekała w napięciu. – Pasuje ci?

– No pewnie. – Ramiona mu opadły i spojrzał na nią z wielkim przejęciem. – Nie trzeba było...

– Aj, tam! – Klepnęła go w rękę. – Gadasz jak potłuczony. Normalnie wyglądasz jak ksiądz.

Kiedy Jacek ściągał sutannę i starannie pakował ją z powrotem do worka, a następnie chował do torby, Łukasz odwrócił się i zaczął przygotowywać herbatę. Justyna pozbiierała prezenty od Ziutka ze stołu i znowu kazała Jackowi usiąść.

– Przepraszam, że was tak nachodzę. – Popatrzył niepewnie na Łukasza, który postawił mu przed nosem kubek z herbatą. – Przyjechałem pierwszym pociągiem z rana, który miałem z Poznania. Ziutek odwoził mnie na dworzec i powiedział, żeby od razu z tym do was

przyjechał.

Łukasz usiadł za stołem i położył ręce na blacie. Przyglądał się uważnie Jackowi z uśmiechem na twarzy.

– Justyna mówiła, że bardzo jej pomogłeś – powiedział po chwili.

– Bardzo może nie. – Uśmiechnął się blado. – W sumie nie wiem, kto komu bardziej pomógł...

– No, ale powiedz wreszcie, co u ciebie? – Justyna zaczęła się niecierpliwić.

– W porządku. – Jego uśmiech stał się o wiele jaśniejszy. – Byłem u biskupa. Tutaj, w Warszawie. Powiedziałem o wszystkim...

– Absolutnie o wszystkim? – upewniła się Justyna.

– No, nie – roześmiał się. – Nie powiedziałem, że moim najlepszym kumplem jest były płatny zabójca... Tego mógłby biskup nie zrozumieć.

Łukasz opuścił powieki i pokręcił lekko głową z niedowierzaniem.

– Ale poza tym wyznałem każdy szczegół z ostatnich lat...

– Jak to przyjął?

– Dostało mi się za to siedzenie w lesie i za to, że jestem cipą, jak sama stwierdziła...

– Biskup ci coś takiego powiedział? – Łukasz zerknął na niego z ukosa.

– Nie, Justyna – zaśmiał się cicho – ale ze słów biskupa wynikało to samo... Byłem zaskoczony, bo mi wiele osób odradzało pójście do niego, nawet siostry coś tam innego podpowiadały. Ale chciałem spróbować, bo jak byliśmy na tej Pradze i widziałem włóczęce się po ulicach dzieciaki, to jakoś tak... zachciałem tam być. Straszono mnie, że to pasterz bez serca i że na pewno mnie wyrzuci, a jednak nie...

– No i co z tobą będzie? – zapytała Justyna.

Jacek westchnął.

– Najpierw muszę iść na rekolekcje zamknięte, jeszcze nie wiem, gdzie. Milczenie, post, pokuta, medytacja... No, po prostu bajka. – Uśmiechnął się całkiem szczerze.

– To w ramach kary, tak?

– Chyba nagrody. Jak przyjadę do Warszawy, będę bezpośrednio podlegał biskupowi, a nie żadnemu proboszczowi. No i sesje u psychologa jako obowiązkowa część programu naprawczego. Mam od podstaw zacząć organizować duszpasterstwo na ulicach Pragi i Grochowa. Mogę współpracować z tymi, co tam już są: streetworkerami i wolontariuszami.

– Żartujesz? – szepnęła Justyna. – Sam ci to zaproponował?

– Nie. Ja go o to poprosiłem, poszedłem z już obmyślonym planem i zgodził się. Muszę znaleźć sobie lokum i sam zdobywać fundusze. Ziutek rozmawiał już z tym kolegą od mieszkania i na razie tam mam zamieszkać.

– Ale wiesz, że wielu się to może nie spodobać? – Łukasz był pełen podziwu, ale czuł, że taki idealizm może łatwo rozbić się o prozę życia.

– Wiem. – Jacek kiwnął głową. – Mam nadzieję, że nie będzie mi łatwo, inaczej nic z tego nie będzie. Ale w życiu nie czułem się tak szczęśliwy... Nawet po samych święceniach.

W salonie zadzwonił telefon Łukasza.

– Przepraszam. – Podniósł się i wyszedł.

Jacek nachylił się do Justyny.

– Justynka, czy to załatwił mi Gogol? – zapytał szeptem. – To z biskupem.

– A nie uważasz, że sam to sobie załatwiłeś? – odpowiedziała pytaniem, również szeptem.

– Nie wiem... To było jakieś nierzeczywiste. On... ten biskup wyglądał, jakby na mnie czekał.

Pogłaskała go po głowie i pokręciła głową.
– Gogol ci to załatwił, ale u innego biskupa.
– Coś ty? – Zrobił wielkie oczy. – Gdzie?
– W Ordynariacie Polowym. Gdybyś tam zaraz poszedł, jutro jechałbyś na przeszkolenie do Wrocławia.
– Jakie przeszkolenie?
– Na podporucznika. Zrobiliby z ciebie kapelana.
– O, nie! – Cofnął się i zmarszczył czoło.
– No, właśnie. To samo mu powiedziałam. Niech się wypcha z taką ofertą, zniszczyliby cię tam. Jacuś, tobie nie były potrzebne znajomości, tylko wiara...
Pokiwał głową i spojrzął za okno.
– Może tak miało być? – powiedział cicho i jakby do siebie.
Do kuchni wrócił Łukasz. Justyna podniosła głowę i spojrzała na niego pytająco.
– Jakieś zawracanie gitary. – Machnął ręką. – Kot nie umie komputera obsłużyć.
Nalał sobie soku z lodówki i znowu usiadł.
– A może chcesz coś zjeść? – Kiwnął na Jacka. – Justyna z tego szczęścia, że tu jesteś, zapomniała o gościnności.
– Ja... – chciał coś powiedzieć.
– Tak, tak. – Poderwała się. – Zaraz coś ci zrobię.
Łukasz przysunął się bliżej księdza i spojrzął na niego przenikliwie.
– A powiedz mi, dobry człowieku, kim jest ten cały Ziutek?
– Łukasz! – Justyna odwróciła się z błagalną miną. – Nie przesłuchuj go.
Jacek roześmiał się.
– Ziutek to mój najlepszy przyjaciel, który pomógł mi, kiedy byłem w potrzebie.
– Chyba mu serce pęknie, kiedy wyjedziesz – powiedziała Justyna, wyciągając patelnię z szafki.
– Myślę, że sobie poradzimy. Sam zaproponował, żeby w jego domu organizować jakieś wakacje albo ferie dla młodzieży...
– A jak młodzież będzie niegrzeczna, to wyciągnie SAKO z siana i zrobi porządek – parsknęła Justyna.
– Justyna! – Łukasz udawał oburzonego. – Nie rób z kolegi potwora.
– Nie. – Jacek zarumienił się po same uszy. – Pozbył się wszystkiego. Poza tym był u proboszcza i przekonał go, żeby znowu ruszył dom rekolekcyjny. Staruszek złościł się trochę na początku, ale potem sam był u biskupa...
– I Ziutek może będzie im jeszcze gotował, co? – Justyna otworzyła paletkę z jajkami przywiezionymi przez Jacka. Nie chciała mówić tego głośno, ale nie uwierzyła w to, że Ziutek pozbył się broni.
– Nie wiem. To naprawdę możliwe. Oczywiście zaangażował się w to nie bez powodu. Ma nadzieję, że będę przyjeżdżał z jakimiś ludźmi z Warszawy... Wciągnął w to wójta, zaczął zbierać datki. Do wiosny powinno wszystko ruszyć.
– Miłość jest najlepszym paliwem do działania. – Justyna kiwała głową, mieszając jajecnicę. – Łukasz, wyciągnij Jackowi chleb i masło. Jacuś, zostaniesz z nami trochę, prawda?
Jacek chciał coś powiedzieć, ale opadł zrezygnowany na oparcie krzesła.

Rozdział 78

– Panie Muszyński, pan wie, że mam do pana słabość... ale takie prośby są po prostu nie na miejscu. – Premier Brzeziński stał w oknie z założonymi z tyłu rękami i patrzył na protestujących pod jego Kancelarią górników.

Premiera niewielu lubiło, bo był szpiegiem w czasach komuny, ale był tak dobry, że nawet opozycja nie mogła odmówić mu umiejętności i zasług. Mimo to przy każdej nadarzającej się okazji dostawało mu się za przeszłość. Nie zrażał się nigdy, póki mógł robić to, co lubił. Przez długi czas był szefem wywiadu, a później kierował MSWiA. Jego wyprostowana postawa i manery robiły wrażenie na każdym, z kim się spotkał. Dyplomatą był słabym – lubił, kiedy rozmówca wie, co myśli.

– Dostał pan awans dla Brennera, nawet wtrąciłem się ministrowi Kozińskiemu i wyróżniłem Kozerę... – odwrócił się i spojrzał na Krokodyla z uśmiechem pełnym politowania – ale tego po prostu nie zrobię.

Krokodyl spojrzał na swoje poharatane dłonie i pokiwał głową. Premier podszedł do biurka i usiadł.

– Nie mogę zmusić pani Dąbek do tego, żeby znowu wstąpiła w szeregi waszej organizacji z jednego zasadniczego powodu i pan wie, jak on brzmi, prawda?

– Tak.

– No, właśnie – roześmiał się cicho Brzeziński. – Ktoś mógłby się dowiedzieć, że płacimy prywatnemu wojsku, żeby chroniło naszych dzielnych żołnierzy na misjach, a to byłoby po prostu... trudne do ocenienia w skutkach. Pan widział, co pani Dąbek zrobiła temu swojemu przełożonemu. Wytrzymała z taką informacją tyle czasu... A to oznacza, że robi to samo z każdą inną i jeśli się dowie, że płacił jej polski podatnik, a nie jakiś milioner zza oceanu, to za parę lat wszystkich nas rozpieprzy. Nawet nie zdążymy pisać.

Premier sięgnął po karafkę z wodą i nalał sobie trochę do szklanki.

– Kiedy rządziłem MSWiA, a już zwłaszcza kiedy miałem pod sobą wywiad, było nam łatwiej współpracować, przyznaję. To całe premierowanie wcale nie było mi na rękę, ale jak się chce kogoś udupić na dobre, to trzeba go zrobić premierem. Mam związane ręce w wielu sprawach. Zaraz mi się tu ci górnicy okopią, potem przyjdą pielęgniarki, a ja nawet nie miałem kiedy się zapoznać z faktami i muszę udawać, że wiem, o co im chodzi, a najchętniej rozpedziłbym ich na cztery wiatry. Może pan wie, jaki jest problem tych ludzi?

Krokodyl uśmiechnął się.

– Nie, długo mnie tu nie było.

– No właśnie! – Premier odstawił szklankę. – Dacie radę z tym Iranem? Nawet GROM-u tam nie wpuszczę, dopóki tego nie sprawdzicie.

– To będzie kosztować. – Zrobił gest palcami. – Sam pan wie...

Brzeziński machnął ręką.

– To się może jakoś załatwi. Niech pan obgada tę sprawę ze swoimi koordynatorami. Najpóźniej w styczniu chciałbym wiedzieć, na czym stoję.

– Dobrze, panie premierze.

Brzeziński spojrzał na niego, zaniepokojony.

– Niech pan się nie rozkleja przypadkiem. Kobieta to nic dobrego w pana fachu.

– Justyna bardzo by nam się teraz przydała...

– To niech ją sam pan zapyta – przerwał mu Brzeziński. – Może się zgodzi. Ja mogę co najwyżej zmusić Kozińskiego, żeby ją z powrotem powołał do służby w wojsku, ale nie do pracy

w czymś takim.

– Tak, rozumiem – powiedział cicho Krokodyl.

– W ogóle to ta cała historia wpędziła mnie w jakąś chroniczną migrenę. Obecny szef MSWiA jest idiotą. Powiedział mi w niedzielę rano, że porwali jakąś Meyer, żonę kogoś z CBS. W ogóle bym się nie zorientował, bo co mnie teraz CBS obchodzi, gdyby nie mój sekretarz. Przybiegł do mnie po obiedzie i mówi, że ktoś Dąbek spod bloku porwał. Wie pan, jakie miałem pełne gacie? Od razu pomyślałem, że ktoś się o wszystkim dowiedział i chce ją przepytąć o te wasze ekscesy w Afganistanie. Dlatego pana wezwałem. A pan mi wchodzi do gabinetu i mówi, że Dąbek porwali...

Krokodyl musiał się roześmiać.

– Dla pana to zabawne, ale co ja miałem pomyśleć, jak ściągam człowieka. Supertajna akcja na granicy legalności, bo żeś pan w górach siedział z kozami i obcinał komuś głowy albo uszy. Szykuję się cały dzień, żeby to po cichu załatwić, a pan tu przychodzi i wie więcej niż te ciołki z CBS-u. Zakręciłem się jak słoik na zimę.

– To był ciężki tydzień. – Krokodyl uśmiechał się pod nosem.

– Daj pan spokój. – Premier machnął ręką. – Okazało się, że każdy się czegoś boi. Ja też, co najgorsze. My tu mamy propagandę sukcesu głosić, że wojsko wyszkolone i radę sobie daje...

Krokodyl prychnął.

– Niech pan nie prycha. Sam pan wie, jak jest. Media mówią *jeden zabity, trzech lekko rannych*, ale nikt już nie dopytuje, co znaczy, że *lekko*. Zwieźli nam tu niedawno z Rammstein tę psycholog, co też *nieznaczne obrażenia* miała, bez nóg i ślepą. Szef Sztabu słyszeć o tym nie chciał. Zawsze tak było, dlatego was wynajmowałem, żeby tych statystyk nie psuć... Żeby innym humor poprawiać. – Odwrócił głowę w stronę okna.

– To może lepiej byłoby ich wycofać albo po prostu nauczyć, jak się walczy. – Krokodyl podniósł wysoko brwi.

– Panie Muszyński, nie wymądrzaj się pan...

– Nie chce pan, panie premierze, mojej prośby spełnić, a ja mógłbym pana bardzo prosto zaszantażować.

Brzeziński przewrócił oczami. Wiedział, że Krokodyl blefuje, na tyle go znał.

– I co? Powie pan prasie, że wojsko jeździ niewyszkolone na misje?

– Że się ten ostatni patrol sam wysadził.

– Co? – Premier poczuł ciarki na plecach.

– Kupują na targu krótkofalówki, które nadają na tych samych częstotliwościach, co szuszwolskie do wysadzania bomb na drogach. Któryś wcisnął tangentę w odpowiednim momencie i... – Wyraz jego twarzy był spokojny i uśmiechał się lekko.

– Panie... – Brzezińskiemu nie było do śmiechu. – Nie przeciągaj pan struny.

– W porządku. – Krokodyl uniósł dłonie w geście kapitulacji. – Przyszedłem do pana, bo wiem, że tylko pan mógłby spełnić tę prośbę. Wydaje się panu śmieszna, ale dla mnie to poważna sprawa.

Brzeziński zamyślił się.

– Dobrze zrobił ten cały Brenner, że nie dementował wiadomości o jej śmierci. Zanim się połapią, że nic jej nie jest, cała sprawa nieco ucichnie i niektórzy zajmą się czymś innym.

– Panie premierze – Krokodyl spojrzał na Brzezińskiego z powagą – czy w razie czego... mimo wszystko mogę liczyć na pana życzliwość?

– Panie Muszyński – premier podniósł ręce, które zaraz mu opadły na blat biurka

– zawsze chętnie przypnę jakiś medal albo podpiszę awans, albo nawet odwołam ze stanowiska. Byle nie sprawy sercowe. Na tym żaden z nas dobrze nie wyjdzie – roześmiał się. – Ja tu pewnie

długo nie posiedzę, bo mnie wsadzili w ten kanał, żeby się szybko pozbyć, ale ile będę mógł, to wesprę. Pan wie najlepiej, ile jestem panu dłużny.

– To niech pan jeszcze coś dla mnie zrobi... tak na przyszłość.

– Niech pan mówi.

– Teraz ta sprawa ucichła, ale może przyjść moment, że ktoś zechce się Justyną naprawdę zainteresować. Może zrobić się gorąco...

Premier podniósł rękę, przerywając mu.

– Dobrze, niech będzie – powiedział cicho i bardzo poważnie. – Jeśli zorientuję się, że będzie bardziej bezpieczna z wami, talibami naokoło i latającymi nad głową granatami niż tutaj, postaram się ją stąd odesłać. Coś pomyślę.

– Bardzo panu dziękuję...

Rozdział 79

Kot nie pukał nawet do gabinetu szefa, tylko wkroczył do niego z poważną miną. Usiadł ciężko na krześle, westchnął i zasłonił dłonią oczy. Brenner podniósł wzrok i wpatrywał się w niego, oszołomiony.

– Panie komisarzu, dowiem się jeszcze dziś, jaki jest pana problem? – zapytał po upływie dobrych trzech minut.

Tomek oderwał dłoń od twarzy, a drugą rzucił jakąś teczkę, którą trzymał pod pachą, na biurko szefa.

– Chcę odejść – powiedział zdecydowanie.

– Dlaczego? – Brennerowi chciało się śmiać, bo w zachowaniu Kota wyczytał nadmiar patosu. Powstrzymał się jednak i sięgnął po teczkę.

– Chcę wrócić do drogówki i zajmować się normalnymi sprawami.

– Tak? – Brenner otworzył plik dokumentów przyniesiony przez Kotowicza i zaczął je przeglądać. – Hmm... napracowaliście się.

– Właśnie.

– Kot – Brenner stracił cierpliwość – o co ci chodzi?

– Chodzi o to, że dowiedziałem się tego... wszystkiego – wskazał rękami na teczkę w rękach szefa. – Że już wiem, kto, komu i dlaczego sprzedawał...

– To bardzo dobrze. Powiniennem teraz wystawić cię do wyróżnienia.

– Za co?! Za to, że kumple, z którymi tu pracuję od zawsze, wystawili żonę innego kumpla na pewną śmierć? Bo chcieli zarobić?

Brenner zdjął okulary i spojrzał z troską na Tomasza. Kotowiczowi drżała broda, był naprawdę przejęty. Brenner od samego początku wiedział, że to bardzo uczuciowy funkcjonariusz, któremu serce nieraz ściśnie się w akcie współczucia dla skrzywdzonych ludzi, ale pracował dobrze i z oddaniem, dlatego uważał, że nie powinien marnować się w drogówce.

– Może powinieneś iść na urlop? – zapytał cicho.

– Pan zawsze wysyła mnie na wolne, jak zaczynam świrować. – W głosie Kota słychać było pretensję. – A ja bym wolał, żeby takie rzeczy się nie działy.

Brenner westchnął i oparł się o krzesło.

– Nie chce mi się tego czytać. Powiedz, co wiesz.

Tomek spojrzał w sufit i wydawało się, że nie ma ochoty niczego mówić, ale w końcu zebrał się w sobie i zaczął relacjonować kolejne zdarzenia.

– Linde był w wojsku dość dawno, jeszcze w czasach, gdy była nie tylko służba zasadnicza, ale i fala. Był kapralem i tak się złożyło, że w jego drużynie pewnego razu znalazł się żołnierz o nazwisku Jurkiewicz.

Brenner znowu pochylił się w jego stronę.

– Sebastian Jurkiewicz? – upewnił się.

– Tak. – Kot kiwnął głową. – Jeden z naszych porywaczy. Już wówczas był po wyroku, sprawiał wiele problemów swoim przełożonym. Ale z Markiem było inaczej. Okazało się w ogóle, że Linde był szczególnym dowódcą. Ludzie się go bali, umiał trzymać dyscyplinę... Z Jurkiewiczem spotkali się już w cywilu. Marek był młodym policjantem, który złapał swojego byłego podwładnego na jakiejś kradzieży. Poszli wtedy na układ: Linde go wypuścił, ale Jurkiewicz sypał innych kolegów w grubszych sprawach.

– Dlatego Linde był taki skuteczny – powiedział cicho Brenner.

– No właśnie. Jurkiewicz też piął się po szczeblach mafijnej kariery. Przy pomocy Marka

usuwał kolejnych konkurentów. Do porwania Justyny żyło im się bardzo wygodnie.

– Ile to lat trwało?

– Kilkanaście.

Brenner pokręcił głową.

– A wiesz, dlaczego Linde nie ostrzegł porywaczy, kiedy siedzieli w Zielonce?

Tomek uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją.

– Oczywiście! Kiedy już było wiadomo, że ich namierzaliśmy, mieli podsłuchy, więc ten, kto by ich informował, sam siebie by wsypał. Zresztą Mareczek przyznał, że miał pełne gacie, bo przecież tam sobie swobodnie rozmawiali na różne tematy. Nie wiedział tylko, że pan już miał go na celowniku za to przeszukiwanie baz.

Brenner kiwnął głową na znak, że rozumie.

– Wie pan, dziwi mnie tylko Sławek. – Tomasz zaplótł ręce na brzuchu.

– Dlaczego?

– No, że tam pojechał i wymyślił, że zastrzeli Justynę. Jakiś idiota!

– Też mnie to dziwi, zwłaszcza że pokazałem mu obraz i dałem do zrozumienia, że go rozpracowaliśmy.

– No właśnie. – Kot skrzywił się. – Majcher z nim rozmawiał dość długo i pytał go o to...

On podobno był przekonany, że ten cały Kowaliow czy Polaczek jest nie do złapania i że generalnie nic na niego nie mamy. Jakby dostał zaciemnienia umysłowego.

Brenner uśmiechnął się, chociaż wcale nie uważał tego za zabawne.

– Bo chyba dostał... A Kowaliow naprawdę był nie do złapania.

– Hmm... Kwestie związane z Kowaliowem wydają się nam całkiem jasne –

kontynuował Kot – ale ciągle nie mamy pewności odnośnie Iwanowa. Wiesiek milczy jak zakłęty, wiemy, że się boi... Linde wygadał, że Kowaliow chciał mieć niezależne wtyki u nas, dlatego Odrowąż nic o nich nie wiedział. Marka zwerbował przez samych porywaczy, których mu znalazł Sławek. Pewnie miał niezły ubaw z nas, kiedy się zorientował, jak my tu pracujemy. Najmuje kogoś od nas, kto mu najmuje porywaczy, którzy werbują kolegę od sąsiedniego biurka, bo właśnie są z nim w dobrej komitywie. Ale Iwanow nawinął się nie wiadomo skąd i nie wiadomo, dla kogo pracował.

– Ale wiemy, że uspił czujność Kowaliowa i Lindego?

– Nie inaczej. Marek mówił, że był nieco przyparty do muru, kiedy Wiesiek się do niego zgłosił i powiedział mu wprost, że chce w to wejść.

– Skąd się dowiedział?

– Nie mamy pojęcia. – Kot rozłożył ręce. – Pokierował tym tak, że złapaliśmy Rosjanina i panią prezesową, to znaczy nie przeszkodził nam w niczym. Nie wiemy jednak, komu było to najbardziej na rękę.

– Rozumiem. – Brenner potarł dłonią głowę. – Trzeba się tym będzie i tak zająć. Rasiak mnie naciska... i w sumie mu się nie dziwię.

Tomek kiwnął głową, wyraźnie zmartwiony.

– Mam nadzieję, że sobie czegoś nie zrobi – powiedział cicho.

– Kto?

– Wiesiek. Jest w kiepskim stanie psychicznym.

– Nie, on sobie sam niczego nie zrobi, wiesz dobrze. Jeśli już, to ktoś mu „pomoże” i to jest najgorsze.

Kot zaczął się powoli podnosić z krzesła, ale Brenner zatrzymał go gestem dłoni.

– Będziesz jutro u Meyerów?

– Chyba tak. – Zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się, czy na pewno chce.

- Przyjdź. Poznasz kilka ciekawych osób. – Brenner uśmiechnął się lekko.
 - Nie wiem, czy mam chęć na nowe znajomości...
 - Kotowicz, znowu się rozklejasz.
 - Nie rozklejam, tylko Meyer znowu mi wszystkiego nie mówi.
 - On akurat mówi wszystko... Gorzej, że Justyna coś ukrywa.
- Tomek popatrzył na szefa mocno zdziwiony.

– Coś z porwaniem?

Brenner zaprzeczył ruchem głowy.

- Przyjdę – powiedział Kot cicho. – Jakoś zniosę nowych kolegów Łukasza.
- Starych kolegów Justyny.
- To przyjdę na pewno.

Rozdział 80

Zdecydowaną bohaterką wieczoru była Krystyna ze swoją opowieścią o wizycie w galerii sztuki. Lubickiego bardziej interesowało to, że Justyna była żołnierzem, ale ewidentnie reszta zebranych już była uświadomiona w tym zakresie i wszystkie oczy zwrócone były na jego żonę.

– Was to może nawet bawić – westchnęła Krysia – ale dla mnie to jest jakiś horror. Co ta kobieta musi przeżywać? Żeby własny mąż tak ją oszukał, wplątał w mafijne układy... Niepojęte!

Goście siedzieli bądź stali w salonie Meyerów. Justyna krzątała się pomiędzy nimi razem z Gosią, wnosząc i wnosząc szklanki albo kubki z kawą, dopóki Łukasz nie nakazał jej usiąść na miejscu.

– Ja jestem pod wrażeniem. – Tomek Kotowicz podniósł w górę szklankę z drinkiem.
– Że się pani na to zgodziła i wytrzymała presję.

– A mnie dziwi, że się wasz szef na to zdecydował – powiedziała z przekąsem Justyna.
– Jakbyście policjantek nie mieli.

– Tak, biję się w pierś – roześmiał się Brenner. – To było lekkomyślne.
– Ależ ja się bardzo cieszę. – Krystyna wyprostowała się gwałtownie. – W sumie nawet mi się podobało. Zawsze marzyła mi się taka przebierana akcja.

Bambi zerknął z uśmiechem na Gogola, który wyszczerzył się do niego i puścił oko. Justyna zrobiła ledwo widoczny gest głową, mówiący, że mają siedzieć cicho.

Spotkanie upływało im poza tym miło i wesoło. Mirek zerkał co chwilę na Bambiego i Gogola, ale nie śmiał pytać Justyny, kim są. Tomek zapytał wprost, ale udzieliła wymijającej odpowiedzi. Łukasz dużo rozmawiał z Kostkiem, który ze szczegółami opowiadał o sytuacji na froncie rodzinnym, a Gosia szeptała na ucho Brennerowi historię z nocy, kiedy dała się wystawić jako przynęta.

– Nie bała się pani? – Zmarszczył czoło.
– Bałam się okropnie, ale chyba było mi to potrzebne po tych latach „zwykłego” życia. Wie pan, długo nie docierało do mnie, co się tak naprawdę dzieje. Dopiero jak zobaczyłam bandytę z bronią w dłoni, zdałam sobie sprawę, że mogą mnie zabić.

Brenner kiwnął głową.
– Wiedziała, że na dachu jest Justyna i w razie czego... – Pokręciła głową. – Byłam w wojsku, ale nigdy nie widziałam, żeby do kogoś strzelano, do mnie też nikt nie mierzył tak bezpośrednio. A ten porywacz po prostu nagle upadł...

– Nie słyszała pani strzału?
– Słyszałam, ale on dostał później... w plecy, tyle że kula przeszła na wylot i jak leżał, to wyglądało, że dostał z przodu.

– Rozumiem.
– Nie mówiłam o tym nikomu. – Spojrzała na niego z niepokojem.
– Wiem. – Rozejrzył się po gościach. – Ja też nikomu nie mówiłem. Gdybym powiedział...

– Dużo ma pan tych tajemnic?
– Pani Małgorzato – uśmiechnął się i zajął do prawie puste szklanki – ledwo mieszczą mi się w głowie. – Podniósł wzrok i skierował go na Mrozowskiego. Szukał cały czas okazji, żeby z nim porozmawiać.

Stworzył mu ją Kot, który w pewnym momencie podniósł się z kanapy i kiwnął głową na Bambiego.

– Chodźmy na balkon.
– A po co? – Bambi zamrugnął powiekami zdumiony.
– Zapalić. Przecież widzę, jak pana nosi od pół godziny.
Brenner przeprosił Gosię i poszedł za nimi.
– Palisz? – Mrozowski zdziwił się na jego widok.
– Już nie, ale chciałem pogadać.
– Co cię gryzie? – Bambi mocno się zaciągnął. – Chyba wszystko już dobrze? Masz awans i możesz dalej się rozwijać...
– Chodzi o Iwanowa.
Kotowiczowi o mało papieros nie wypadł z dłoni.
– On coś wie? – wskazał na Bambiego.
– Nie, Kot. To ja wiem od niego. – Brenner uśmiechnął się smutno.
– Aha...
– Nic nie mam. – Mrozowski pokręcił głową. – Mogę podrzucić parę pomysłów, ale są do sprawdzenia już przez was. Pogadaj z Maliną, ona ma głowę do takich zagadek.
Brenner roześmiał się, jakby zażenowany.
– To byłoby chyba nie na miejscu.
– Dlaczego? – Bambi wzruszył ramionami.
– A kto to jest Malina? – zainteresował się Tomek.
– Kolega z wojska. – Bambi mrugnął do niego z uśmiechem, a następnie zwrócił się znów do Rafała. – Mówię ci, zrób to. Daj jej fakty, które masz, i pozwól się zastanowić.
– Może i racja – mruknął Brenner, stukając palcami o balustradę.
Na balkonie zjawił się Gogol. Spojrzał po zebranych i szeroko rozłożył ręce.
– Co jest, panowie? Jakaś stypa?
Wszyscy uśmiechnęli się na jego widok.
– Gdzie jest Żółw? – zapytał Rafał. – Myślałem, że będzie.
– Poleciało Żółwiątko. – Kostek kiwnął głową. – Smutny, bo panna odeszła... Żenić się chciał, ale musiałby się najpierw z mundurem rozwieść. – Potarł mocno małe dłonie i skulił się w sobie. – Idę stąd, bo zimno jak w psiarni.
Brenner poszedł za nim do środka i skinął na Justynę. Łukasz spojrział na niego pytająco.
– Chcę, żeby mi pokazała, jak się obsługuje ekspres. – Wskazał na kuchnię. – Zaraz wróci.
– Coś się stało? – zapytała, gdy znaleźli się w kuchni. Od razu wiedziała, że nie chodzi o kawę.
– Możesz wpaść do nas któregoś dnia do Biura?
– A po co?
– Chcę porozmawiać z tobą o pewnej sprawie.
– Coś z Łukaszem?
– Nie... – Zaciśnęła mocno usta i przyjrzała jej się uważnie. – Rozmawiałaś z nim?
– O czym niby?
– O twoich kolegach i o tym, co z nimi robiłaś.
Justyna odwróciła wzrok w stronę okna.
– Nie chcę z nim o tym mówić...
– I uważasz, że to w porządku?
– Sam jesteś ciekaw, prawda? – Popatrzyła na niego ze złością. – Koniecznie musisz wiedzieć, czym się zajmowałam... A ja już nie chcę o tym pamiętać, rozmawiać. Chcę żyć normalnie.

Złapał ją za łokcie i spojrzał głęboko w oczy.

– Justyna, zaufanie twojego męża do ciebie nie zmalowało ani na chwilę. Przyjął do swojego umysłu świadomość, że Mrozowski i Gogol to koledzy z wojska. Nie docieka, nie pyta... we wszystko wierzy. Czy choć przez sekundę był podejrzliwy? Czy choć raz zachwiał się w przekonaniu, że jesteś z nim uczciwa? Przecież ma po temu powody... i to niemałe. Justyna, nie szarżuj więcej, nie naciągaj tej struny. On sobie na to nie zasłużył.

Wypuścił ją z rąk i westchnął ciężko.

– Przyjdź w tygodniu, jeśli masz czas. To dla mnie dość ważne.

Kiwnęła lekko głową, a Brenner wyszedł z kuchni.

Odechciało jej się wracać do gości. Zakłuło ją to, co jej powiedział, bo powiedział prawdę... Oparła się dłońmi o zlew i spojrzała na bramę wjazdową na osiedle. Serce ją zabolowało na ten widok.

Gdybym wtedy wiedziała...

Ktoś dotknął lekko jej ramienia. Odwróciła się gwałtownie.

– Wszystko gra? – Gogol, wyjątkowo, miał poważną minę.

– Nie... – Potarła dłonią czoło. – Brenner chce czegoś ode mnie, chce, żebym przyszła...

– Chce, żebyś rozwiązała pewną sprawę.

– Co?! – Zmarszczyła czoło. – Jaką... O, nie! – Pokręciła energicznie głową. – Nie będę się w to bawić. On jest gliną, niech sobie sam rozwiązuje sprawy.

– Myślę, że chodzi o ciebie i twojego męża – powiedział cicho. – Inaczej by nie prosił.

Przygryzła wargę.

– Ale za to ja rozwiązałem inną zagadkę. – Uśmiechnął się i puścił do niej oko.

– Jaką zagadkę?

– Dlaczego biskup przyjął Jacka.

Justyna zrobiła wielkie oczy. W tym momencie do kuchni wszedł Łukasz z mocno zaniepokojoną miną.

– Coś się stało?

– Chodź, mężu Maliny, też ci to powiem. – Kostek zachęcił go gestem dłoni.

– Dowiedziałem się, co stoi za sukcesem naszego młodego księdza.

– Ślepa wiara i chęć służenia bliźnim? – Łukasz podniósł jedną brew.

– Ależ skąd! Niechęć jednego pasterza do drugiego. Tak się złożyło, że kiedy Jacuś zjawił się w Kurii, akurat relacje obu panów były nie najlepsze, ponoć dalej są. Biskup ze Stolicy nie mógł sobie wymarzyć lepszego sposobu, żeby tamtemu dogryźć – chichotał. – Nawet tego z Kościana chcą tu ściągnąć do pomocy.

Łukasz pokręcił głową.

– Tam też się gryzą...

– Sprawy ziemskie przysłużyły się tym z góry. – Justyna wzdrygnęła ramionami.

– Chodźmy do gości, bo się obrażą.

Rozdział 81

Biegła pomiędzy campami. Ciężko oddychała. Widziała zamachowca, ale jakby zamazanego. Umykał jej szybciej, niż była w stanie biec. Nogi miała ciężkie, oczy jakieś słabe... Jednak biegła dalej, nie poddawała się. Kamienie pod jej butami powinny wydawać dźwięk przy każdym kroku, ale wydawało się, że porusza się w powietrzu.

To bez sensu, szepnęła i spojrzała w dół. W dłoni ścisnęła pistolet. Był nienaturalnie duży, ale nie czuła, żeby coś ważył.

Kiedy podniosła głowę, campy wokół niej rozsunęły się albo były już w tym ustawieniu. Utworzyły coś w rodzaju placu apelowego. Nie wiedziała już, czy to Ghazni, czy może Stargard. Była tu i tu.

Jeśli mam mundur, to jestem w Stargardzie, jeśli sukienkę, to Afganistan...

Jednak gdy się sobie przyjrzała, miała na sobie spodnie i bluzę z dnia porwania.

Serce zabiło jej mocniej. Poczowała, że jest w wielkim niebezpieczeństwie. Rozejrzała się wokół, ale wyglądało na to, że jest zupełnie sama. Mimo to wiedziała, że niedaleko jest Krokodyl. Jej nos był tego pewien. Zaczęła iść przez plac, szukając go wzrokiem. Kiedy obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, znalazła się niespodziewanie na targu wypełnionym ludźmi i towarami. Kolory, dźwięki, a nawet ten charakterystyczny pył, który wlaźił wszędzie... Widziała to wszystko, ale nie czuła nic poza zapachem wody po goleniu Krokodyla.

Nagle pomiędzy straganami zobaczyła tył jego głowy. Zaczęła za nim biec, ale znowu jej umykał. Mijała ludzi i leżący wszędzie towar. Potykała się o jakieś przedmioty i kamienie. Serce biło jej tak szybko, że o mało nie wyskoczyło z piersi. Podświadomość mówiła, że jeśli go nie dopadnie, sama zginie, a nie tylko ci wszyscy ludzie wokół. Była jakieś piętnaście metrów od niego. I była sama... Tego nie rozumiała, ale była kompletnie opuszczona.

Zamachowiec zatrzymał się nagle. Podniósł ręce w górę, a w jego prawej dłoni dostrzegła mały, czarny przedmiot.

Zapalnik.

Krokodyl nie powinien jej na to pozwolić. Czuła do niego żal, że wystawił ją na takie niebezpieczeństwo. Mimo że sama tego chciała...

Wyciągnęła broń przed siebie, a pamięć otworzyła się i pokazała jej, co będzie dalej, ale wbrew temu, co wiedziała na pewno, mężczyzna odwrócił się powoli i spojrzał na nią wzrokiem Mariusza Józwińskiego, który nie był Mariuszem Józwińskim.

Pociągnęła za język spustu, ale broń nie wypaliła. Spojrzała na rękę i zauważyła, że ma na sobie zielony mundur, ten, w którym rękawy były zawsze za długie. Kurek zawadził o krawędź jednego z nich i dlatego nie mogła oddać strzału.

Józwiński-nie-Józwiński uśmiechnął się szyderczo.

– Jak chcesz – powiedział tym samym złowrogim tonem, co u niej w biurze i nacisnął guzik na zapalniku.

Zerwała się, złana potem. Trzymała się mocno za klatkę piersiową, łapiąc oddech. Spojrzała w bok. Łukasz spał twardym snem, co ostatnio zdarzało mu się bardzo rzadko. Nie chciała go budzić, mimo że on na pewno by tego chciał. Spuściła nogi na podłogę i schowała głowę w dłoniach. Poczowała pod palcami bliznę. Już dawno nie bolała fizycznie, ale w miarę upływu czasu narastał ból wewnętrzny, kiedy o niej myślała.

Na dworze było ciemno, w dodatku była niedziela, krótko po piątej rano. Podniosła się i wzięła z fotela szlafrok. Kiedy go zakładała, wróciły obrazy ze snu.

O tym, co wydarzyło się na targu, nie śniła nigdy. Prędzej gnębiły ją koszmary o służbie

w Poznaniu i Stargardzie niż najgorsze nawet wspomnienia z Tadżykistanu czy pobytu w Afganistanie. To nie był proroczy sen, ale raczej rodzaj wewnętrznego ostrzeżenia. Jej uśpione emocje obudziły się z jakiegoś powodu i zaczęły pokazywać zęby, jak wielki pies. Skrywane lęki powstały, nakarmione złymi wydarzeniami.

Poszła cicho w stronę kuchni. Chciało jej się pić i zająć czymś, co zmazałoby wrażenie po koszmarze. Kiedy przechodziła obok drzwi wejściowych, zatrzymała się nagle i nabrała powietrza mocno przez nos. Zastygła, jakby porażona środkiem paraliżującym. Jakby to, co poczuła, było substancją chemiczną do obezwładniania wroga. Świadomość tego, co się dzieje, spętała jej ciało i odebrała ochotę na dalszą wędrówkę do kuchni. Zdołała zerknąć na dyndający lekko łańcuch na drzwiach, na więcej nie starczyło jej odwagi.

Może jak wrócę do łóżka i udam, że śpię, to sobie pójdzie?

Myśl była irracjonalna, ale bardzo jej się spodobała. Zamknęła oczy, lecz po chwili je otworzyła i ruszyła wolno do kuchni. Nie wchodziła całkiem do środka, tylko oparła się plecami o framugę i skrzyżowała ramiona na piersiach. Nawet na niego nie spojrzała. Zapalił światło punktowe pod szafkami, więc i tak niewiele by widziała...

– Chciałem zrobić sobie kawę, ale hałas waszego fantastycznego ekspresu mógłby narobić niepotrzebnego zamieszania. – Krokodyl uśmiechnął się i odłożył gazetę. – Poza tym zależało mi na tym, żeby obudzić tylko ciebie, a do tego potrzebne są jedynie mocniejsze perfumy...

– Czego chcesz? – Spojrzała na niego z wyraźną wrogością. Była na niego zła i rozumiała, że ma żal, jak w tym śnie, że nie było go wtedy, gdy go najbardziej potrzebowała.

– Chciałem się z tobą zobaczyć, to chyba oczywiste. – Rozłożył ręce. – I mam dla ciebie propozycję.

– Nie wrócę. – Pokręciła głową.

Krokodyl roześmiał się cicho.

– Jeszcze nie wiesz, czego chcę...

– Chcesz mieć mnie blisko siebie i czuć nade mną kontrolę.

Spojrzał na nią i próbował się uśmiechnąć, ale był wyraźnie zaskoczony.

– Dużo czasu zajęło ci zrozumienie tej oczywistości? – zapytał w końcu.

– Za dużo. Tak samo, jak zbyt wiele zajęło mi dopuszczenie do siebie, że dokładnie tego samego chcieli moi pojebani dowódcy w wojsku. Jak ktoś nie ogarnia się sam ze sobą i swoimi emocjami, to czuje presję, żeby przejmować kontrolę nad drugim człowiekiem, najlepiej przemocą. Zapłaciłam bardzo wysoką cenę za nierozumienie tak prostej rzeczy...

Krokodyl oparł się o krzesło i odwrócił wzrok.

– Zawsze miałem nadzieję, że masz mnie za kogoś lepszego niż tych swoich pozał się Boże dowódców.

Justyna roześmiała się ironicznie.

– Widzisz, jesteś taki sam. – Pokręciła głową. – Próbujesz brać mnie pod włos i wzbudzać poczucie winy. Jaskółka robił podobnie.

Krokodyl oparł się łokciami o blat stołu i zaczął bawić się gazetą.

– Czytałem ten artykuł... – Spojrzała na nią i uśmiechnął się całkiem szczerze. – Kiedy dotarło do mnie, jak ich urządziłaś, zacząłem podejrzewać, że sama się kazałaś uprowadzić, bo to było prawdziwe mistrzostwo.

Po twarzy Justyny przebiegł bolesny grymas. Odwróciła gwałtownie głowę, nie chcąc na niego patrzeć.

– Nie obrażaj się – powiedział cicho. – Wiem, jak było. Gogol z Bambim wszystko mi opowiedzieli.

Krokodyl czuł się fatalnie. Nigdy nie okazywał emocji i uważał, że Justyna ma słuszość, mówiąc, że sobie z nimi nie radzi. Kiedy na nią patrzył, serce ścisnęło mu się niemożliwie, mimo że twarz mówiła co innego. W przypływie większego wzruszenia miał ochotę wstać i zatłuc jej śpiącego męża, ale tylko mocniej zacisnął dłonie na gazecie.

– Zostawię ci coś... – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął niedużą kopertę, którą podsunął w jej stronę na blacie. – Przyjrzyj się temu. W środku jest karta SD... Będziesz wiedzieć, o co chodzi. Na kartce jest hasło. Zniszcz ją zaraz. Malina... – w jego wzroku dostrzegłaby błaganie, gdyby tylko na niego patrzyła w tym momencie – wiem, że cię nie przekonam... ale chociaż zastanów się.

Justyna spojrzała na kopertę i podniosła wzrok na twarz Krokodyla.

– Zrobiłam bardzo wiele, żeby żyć normalnie. Wykonałam nadludzki wysiłek, decydując się związać z kimś takim jak Łukasz. Jestem tym, kim chciałam być: zwykłym obywatelem, który nawet nie bardzo lubi swoją pracę...

– Z tego, co mi wiadomo, jest inaczej – przerwał jej z uśmiechem i uniósł jedną brew. – Ta twoja firma nigdy się do tego nie przyzna, ale jesteś dla nich cenniejsza niż te wszystkie diamenty, które będziecie wydobywać. Gdziekolwiek się nie ruszysz, zostaje tylko niebo i spalona ziemia, wiesz o tym dobrze i z tym powinnaś nauczyć się żyć, a nie na siłę wciskać się w biurowy uniform. A tak między nami... Adamiakowa wcale nie zleciła twojego porwania.

Justyna otworzyła usta, ale zaraz mocno je zacisnęła i nic nie powiedziała, tylko wpatrywała się w niego z pełnymi gniewu oczami.

– Nie patrz tak na mnie, bo nie zabija się posłańca za przynoszenie złych wiadomości. Twój szef obserwował cię od bardzo dawna i od dawna namawiał się z kimś z Zarządu na znalezienie ci innego miejsca w strukturach, bo szykowali się na odsunięcie kilku innych osób, które przeszkadzały im w przejęciu pełnej kontroli. Byłaś im potrzebna i jesteś nadal... Słotwiński nie wypadł sroce spod ogona, że się tak ładnie wyrażę, chociaż powinienem powiedzieć, że to przebiegły skurwiel. Nie wiem jak, ale dowiedział się, że masz pewne umiejętności, które mogą się przydać, jeśli będzie cię miał u siebie, a które go zniszczą, jeśli nadejście ci na odcisk.

– Skąd to wiesz? – Czują, jak zalewa ją fala gorąca.

Krokodyl dawno nie był tak szczęśliwy. Udało mu się zwrócić jej uwagę i nie usłyszał niczego w stylu: nie wtrącaj się do mojego życia.

– Myślisz, że jak się dowiedziałem o tym, że ktoś cię porwał, to nie sprawdziłem wszystkiego i wszystkich dobrze? Chyba tylko twój stary nie ma nic na sumieniu...

Wiedziała, że gardzi Łukaszem. Nienawidził ludzi, których określał mianem nudnych.

– Ten cały Kowaliow był u Słotwińskiego układać się w kwestii diamentów, wiem, że go szantażował czymś, ale pan dyrektor był nieugięty. Przez to, że miał podsłuch, Kowaliow dowiedział się, że ostateczną decyzję uzależni od twojej opinii. Adamiakowa jest głupia i za głupotę posiedzi, ale to nie ona zleciła całą tę akcję. Grożono jej już w areszcie, że zabiją męża i dzieci, jeśli zaprzeczy, że sama to wymyśliła. Gdybyś nie uciekła, wysłaliby Słotwińskiemu zdjęcia z tego, jak cię przetrzymują, a potem dostałby poleconym twoje uszy albo nos... Tak się teraz załatwia interesy, droga pani.

– I tak by mnie zabili – szepnęła.

– Wiem – kiwnął głową – ale nie chciałabyś przeżyć tego, co zrobiliby z tobą przed śmiercią. Dlatego ucieczka była jedyną opcją... Ale ty przecież wiesz o tym najlepiej.

Justyna oddychała ciężko i czuła, jak drżą jej nogi.

– A wiesz, dla kogo pracowali kapusie z CBS? – zapytała.

– A skąd miałbym to wiedzieć?

– Robisz dla Brzezińskiego różne „robótki”, musisz wiedzieć takie rzeczy.

Krokodyl odchylił się na krześle i roześmiał się nerwowo.

– Blefujesz...

– Masz mnie za idiotkę? Jak wytlukliśmy tę szuszwolską watahę pod Ghazni, zanim zdążyła wysłać w kosmos cały DFAC, był szefem wywiadu... Mam uwierzyć, że przypadkiem załatwiliśmy sprawy w polskiej strefie akurat wtedy, gdy on zajmował jakieś ważniejsze stanowisko? Teraz jest premierem, więc pewnie już siedzicie w Iranie. Daleko nie macie, mały skok przez granicę.

Krokodylowi zajęło dobrą chwilę, zanim się uspokoił.

– Malina, jeśli ktoś się dowie, że dysponujesz takimi informacjami... Brzeziński już się zgodził, w razie czego ściągnie cię do nas, gdyby zrobiło się krucho.

– I myślisz, że zostawię Łukasza?

– Jeśli to uratuje jego dupę... Myślę, że tak.

Przycisnęła się mocniej plecami do ściany i oparła o nią głowę. Miała w tym momencie bardzo jasny obraz sytuacji, co zdarzało się jej zawsze wtedy, gdy nikt inny by sobie nie poradził.

Nie powinna podejmować tej gry, tylko powiedzieć o wszystkim mężowi i wybrać całe pieniądze z lokaty, a potem uciec daleko. Gdyby zaczęła się w to bawić, skutki mogłyby być oplakane, bo nie wiadomo było, na ile wystarczyłoby jej sił, żeby lawirować pomiędzy ścierającymi się interesami różnych ludzi wokół niej. Musiałaby na każdego mieć jakiegoś haka...

Oderwała się od ściany, podeszła do stołu i oparła rękami o blat.

– Nie pojedę nigdzie z tobą... ani z nikim innym. Nie jestem już żołnierzem ani nawet najemnikiem. Ale jeśli tylko zorientuję się, że mojemu mężowi coś grozi, zniszczę cię, premiera, a nawet Słotwińskiego. – Złapała szybko kopertę, zanim zdążył to zrobić Krokodyl, którego ręka opadła bezradnie na stół. – Wszyscy jesteście pojebani i wszyscy powinniście być zamknięci w Tworkach do końca swoich dni, bo żaden z was nie potrafi normalnie żyć. To dla was za trudne... Przerasta was. Łatwiej kombinować albo po prostu kogoś zabić. Gdyby nie Łukasz, byłabym taka sama, już taka byłam...

– I zawsze będziesz. – Krokodyl podniósł się. Podeszedł do niej, złapał za ramiona i pocałował w czoło. Zesztywniała cała, chowając kopertę za plecami. – To jest coś, czego nie da się wymazać. Patrzyłem na cię, jak do nas przyszłaś... Byłaś przesiąknięta tym swoim zmechem. Nerwowo zerkałaś na pagony ludzi, którzy się zjawiali, nie radziłaś sobie z odruchem wstawania, gdy widziałaś wyższe dystynkcje. A teraz widzę cię, jak funkcjonujesz, kiedy coś ci grozi. Normalni ludzie nie wpadają na pomysł ucieczki porywaczom, tylko wchodzą w rolę ofiary. Dlaczego zabiłaś tego mięśniaka? Bo skalkulowałaś na zimno, że ogłuszenie go ci się nie opłaca. Dlaczego? Bo jego koledzy, widząc trupa, spanikowali i stracili do reszty rozum, kiedy ty sobie beztrudnie uciekałaś przez las. A dlaczego nie pobiegłaś od razu do męża, kiedy byłaś wolna? Kto wpada na pomysł, żeby wracać do Warszawy i dowiadywać się, po co i przez kogo został porwany? Mówiłem ci, że kiedy przyjdzie czas, będziesz wiedziała, co zrobić, bo ani na chwilę nie przestaniesz być tym, kim stałaś się tam...

– Prawie się wzruszyłam.

Roześmiał się cicho i wypuścił ją z rąk.

– Wiem, że sobie poradzisz ze wszystkim. Jeśli uciekniesz, to tylko pogorszy sytuację. Ale jeśli zostaniesz... Pilnuj męża, żeby jednak zamykał te drzwi.

Nagle odsunął się od niej i wyszedł z kuchni. Słyszała, jak zamykają się za nim drzwi od mieszkania. Stała chwilę na miękkich nogach, ale zaraz ruszyła do przedpokoju i dopadła do zamka i łańcucha. Kiedy zamknęła drzwi, oparła czoło o ścianę i ciężko odetchnęła.

Łukasz spał, ciągle w tej samej pozycji. Był bardzo zmęczony po całym tygodniu ślęczenia w pracy nad jakąś sprawą. Poza tym ciągle bał się o nią. Usiadła na brzegu łóżka, przygarbiona. Spojrzała na kopertę i przygryzła wargę.

W tym momencie poczuła, że naprawdę chce go chronić.

Albo siebie, przyszła jej do głowy myśl.

Obejrzała się i popatrzyła na jego twarz. Weszła na łóżko, siadając tuż obok Łukasza.

Jest najlepszym, co przydarzyło mi się w życiu. Wszystko inne to jakieś gówno. Nie mogę go stracić.

Potrzebowała rady kogoś mądrego.

Przypomniał jej się Brenner, który zaczepił ją podczas domówki poprzedniego dnia. Jego słowa znaczyły wiele, bardzo wiele...

Wzięła leżącą bezwładnie na łóżku dłoń męża i lekko ją pogłaskała. Chwilę zajęło, zanim zaczął się wybudzać. Spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem i potarł oczy drugą ręką.

– Cześć, kochanie – powiedział zachrypniętym głosem. – Jest bardzo późno, że mnie budzisz?

– Nie, Łukasz. Muszę ci o czymś powiedzieć.

Dorota.

